



STEPHEN

king

M ROCZNA P OKŁOWA

Tę książkę dedykuję osobie,
która pomaga mi w interesach
– Shirley Sonderegger,
i jej mężowi Peterowi.

Od autora

Mam dług wdzięczności wobec śp. Richarda Bachmana. Darzył mnie pomocą i inspiracją. Bez niego ta powieść nie przyszłaby na świat.

S.K.

Richard Bachman to pseudonim Stephena Kinga (wszystkie przypisy tłumacza).

Prolog

„ - Tnij go - powiedział Maszyna. - Tnij na moich oczach. Chcę widzieć, jak broczy krwią. Nie każ sobie dwa razy powtarzać” .

George Stark
Tak jak to robi Maszyna

udzkie życie – prawdziwe życie, w przeciwieństwie do marnej fizycznej egzystencji – niekoniecznie zaczyna się w chwili narodzin. Prawdziwe życie Thada Beaumonta, chłopca urodzonego i wychowanego w Ridgeway – dzielnicy Bergenfield, New Jersey, zaczęło się w roku 1960. Przytrafiły mu się wtedy dwa wypadki. Pierwszy ukształtował jego los, drugi o mało nie położył mu kresu. W 1960 roku Thad Beaumont liczył sobie jedenaście lat.

W styczniu posłał opowiadanie na konkurs literacki sponsorowany przez czasopismo dla nastolatków „American Teen”. W czerwcu redakcja poinformowała go o honorowym wyróżnieniu w kategorii beletrystyki. Z dalszej treści listu wynikało, że jurorzy gotowi byli przyznać mu drugą nagrodę, lecz z załączonych danych dowiedzieli się, że dopiero za dwa lata będzie nastolatkiem. Niemniej jednak gratulują tak niezwykle dojrzałego opowiadania, jakim jest Przy domu Marty’ego.

W dwa tygodnie później czasopismo przysłało dyplom honorowy. Nadszedł listem poleconym. Na dyplomie nazwisko chłopca wypisano alfabetem staroangielskim, tak wymyślnym, że ledwo czytelnym. U dołu odciśnięto złotą pieczęć oraz znak firmowy „American Teen” – sylwetki krótko ostrzyżonego chłopaka i dziewczyny z końskim ogonem, podskakujących w tańcu.

Mama złapała w ramiona swego spokojnego, solidnego syna, który zawsze wydawał się niepozberany i często potykał o własne wielkie stopy, i okryła go pocałunkami.

Na ojcu list nie wywarł żadnego wrażenia.

– Jak niby taki z niego orzeł, to czemu nie dorzucili trochę forsy? – burknął z głębi fotela.

– Glen...

– Mniejsza z tym. Kiedy wreszcie przestaniesz go miętosić, może ten Ernest Hemingway skoczyłby mi po piwo.

Na to matka już się nie odezwała... ale dała list i dyplom do oprawienia, płacąc za usługę z uciulanych oszczędności, i powiesiła dowody uznania nad łóżkiem syna.

Demonstrowała je gościom, twierdząc przy tym, że Thad będzie kiedyś wielkim pisarzem.

Zawsze czuła w nim zarodki wielkości; oto pierwszy widomy znak. Te przemowy wpędzały

Thada w zażenowanie, ale zbyt kochał mamę, żeby się jej do tego przyznać.

Jednak zażenowanie nie przeszkadzało mu przyznawać w duchu matce racji. Nie miał pojęcia, czy zapowiada się na wielkiego pisarza, ale pisarzem zostanie, niech się dzieje co chce. Czemu nie? Był całkiem dobry w machaniu piórem. I co ważniejsze, tworzenie sprawiało mu frajdę, zwłaszcza kiedy na papier spływały właściwe słowa. Nie zawsze wyrolują go z forsy na jakimś kruczku. Nie zawsze będzie miał jedenaście lat.

Drugie ważne wydarzenie, jakie mu się przytrafiło tamtego roku, miało miejsce w sierpniu. Wtedy właśnie zaczęły nachodzić go bóle głowy. Z początku dawały się znieść, ale nim w połowie września szkoła otworzyła podwoje, łagodne, nieśmiałe pulsowania w skroniach i na czole przeszły w mdlący koszmar, maratony udręki. Kiedy się zaczynały, kładł się w swoim pokoju, zaciągał story i czekał na śmierć. Pod koniec września zaczął marzyć o śmierci. A od połowy października ogarniał go lęk, że nie umrze. Tak cierpiał.

Początek tych mąk zwykle zwiastował urojony hałas, słyszany tylko przez Thada – jakby dalekie ćwierkanie tysięcy ptaków. Czasami chłopiec fantazjował, że je widzi. Wyobrażał sobie wtedy wróble siedzące stadkami na drutach telefonicznych i dachach, jak miały to w zwyczaju wiosną i jesienią.

Mama zaprowadziła go na wizytę do doktora Sewarda.

Lekarz zajrzał mu w oczy oftalmoskopem. Potrząsnął głową. Następnie zaciągnął zasłony, wyłączył światło i polecił Thadowi wpatrywać się w biały bok izby przyjęć. Zapalał i gasił latarkę, rzucając jasny krąg na ścianę.

– Czy robi ci się od tego niedobrze, synu?

Thad zaprzeczył.

– Nie kręci ci się w głowie? Jakbyś miał zemdleć?

Thad znów zaprzeczył.

– Czujesz jakiś zapach? Zgniłych owoców, płonących szmat?

– Nie.

– A twoje ptaki? Nie słyszałeś ich patrząc na migające światło?

– Nie – odpowiedział oszołomiony Thad.

– To nerwy – oświadczył później ojciec, kiedy Thad został odprowadzony do poczekalni.

– Ten cholerny smarkacz to jeden kłębek nerwów.

– Sądzę, że to migrena – zakomunikował rodzicom lekarz. – Rzadkość w tak młodym wieku, ale trafia się. I wydaje się bardzo... spięty.

– Jest bardzo spięty! – potwierdziła Shayla Beaumont, nie bez uznania wobec

diagnozy.

- No cóż, może kiedyś wynajdzie się lek na migreny. Na razie obawiam się, że musi je znosić.

- Taaa... i my z nim - skrzywił się Glen Beaumont.

Ale to nie były nerwy, nie migrena i nie skoń czyło się na jednej wizycie u lekarza.

Na cztery dni przed wigilią Wszystkich Świętych Shayla Beaumont usłyszała, jak jedno z dzieci oczekujących wraz z Thadem na szkolny autobus podnosi wrzask. Wyjrzała przez kuchenne okno i zobaczyła syna leżącego na podjeździe. Wił się w konwulsjach. Pudełko na lunch leżało obok, jego zawartość - owoc i kanapka - wypadła na gorącą nawierzchnię. Matka wybiegła na dwór, odgoniła dzieciaki i stanęła bezradnie nad synem, lękając się go dotknąć.

Gdyby wielki żółty autobus prowadzony przez pana Reeda spóźnił się choć trochę, Thad pożegnałby się z życiem. Ale pan Reed był sanitariuszem w Korei. Udało mu się odgiąć w tył głowę chłopca i odetkać tchawicę, zanim udusiłby się własnym językiem. Karetka zabrała Thada do szpitala okręgowego w Bergenfield. Tylko przypadek sprawił, że dyżur pełnił doktor Hugh Pritchard. Siedział w izbie przyjęć, popijał kawę i prześcigiwał się z kolegą w niestworzonych łgarstwach na temat osiągnięć na polu golfowym, kiedy właśnie wjechały nosze z chłopcem. I znów tylko przypadek sprawił, że doktor Hugh Pritchard był najlepszym neurochirurgiem w stanie New Jersey.

Zarządził rentgen. Po obejrzeniu zdjęć zademonstrował je Beaumontom. Żółtą miękka kredką zakreślił na kliszach niewyraźny cień i poprosił, by zwrócili na niego szczególną uwagę.

- To - powiedział. - Co to jest?

- A skąd, do diabła, mamy wiedzieć? - odparował Glen Beaumont. - Pan jesteś cholerny doktor.

- Zgadza się - sucho potwierdził Pritchard.

- Żona mówi, że go coś napadło - rzekł Glen.

- Jeśli sugeruje pan, że miał atak, to zgoda, miał atak. Jeśli chodzi panu o atak epilepsji, to jestem przekonany, że nie w tym rzecz. W przypadku ataku tak gwałtownego jak u pań skiego syna na pewno mielibyśmy do czynienia z grand mal, a Thad nie wykazał żadnej reakcji na test świetlny Littona. Gdyby cierpiał na grand mal, dostrzeglibyście to bez pomocy lekarza. Przy każdym zakłóceniu w telewizorze chłopak płażałby jak wojownik plemienia Watussi.

- Więc co to jest? - nieśmiało spytała Shayla.

Pritchard wrócił do klisz zawieszonych na podświetlonym ekranie.

- Co to jest? - Stuknął po raz drugi w zakreślone kółko. - Nagłe bóle głowy i brak wcześniejszych ataków sugerują, że syn państwa ma guza mózgu, prawdopodobnie niewielkiego i mam nadzieję, że niezłośliwego.

Glen Beaumont wlepił w lekarza pozbawione wyrazu oczy. Jego żona łkała w chusteczkę. Łkała bezdźwięcznie. Ten zduszony szloch był efektem małżeńskiego treningu. Glen miał szybkie pięści, umiał sprawiać ból i nigdy nie zostawiał śladów. Po dwunastu latach cierpień bez słowa skargi nie potrafiła głośno płakać, nawet gdyby chciała.

- Czy o to w końcu chodzi, że chcecie mu krajać mózg? - spytał Glen z wrodzonym taktem i delikatnością.

- Może nie wyraziłbym tego tymi słowami, panie Beaumont, ale sądzę, że operacja jest ze wszech miar konieczna - odrzekł Pritchard i pomyślał: „Jeśli Bóg naprawdę istnieje i jeśli naprawdę stworzył nas na swój obraz i podobieństwo, lepiej nie myśleć, jakim cudem chmary facetów tego pokroju płaczą się po świecie i decydują o losie bliźnich”.

Glen pogрузił się w długim namyśle. Pochylił głowę, zmarszczył czoło. Wreszcie podniósł wzrok i zadał pytanie, które dręczyło go najbardziej.

- Tylko bez głodnych kawałków, doktoru. Ile to mnie będzie kosztować?

Pielęgniarka zobaczyła to pierwsza.

W sali operacyjnej, w której przez ostatni kwadrans słychać było jedynie mruknięcia doktora Pritcharda, syk aparatury podtrzymującej funkcje organizmu i wyrazisty, ostry wizg piły chirurgicznej Negli, przenikliwe wycie młodej kobiety zabrzmiało ogłuszająco.

Rzuciła się w tył. Potrącony stoliczek Rossa, na którym metodycznie ułożono ponad dwadzieścia narzędzi, huknął o podłogę. Poszło echo. Rozległa się seria pojedynczych cichszych dźwięków, przypominających dzwoneczki.

- Hilary! - Krzyk siostry przełożonej zdradzał szok i osłupienie. Zapomniała się tak dalece, że zrobiła pół kroku za uciekającą kobietą, trzepoczącą połamami zielonego kitla.

Doktor Albertson, chirurg asystent, kopnął w łydkę siostrę przełożoną.

- Zechciej z łaski swojej nie zapominać, gdzie jesteś!

- Tak, doktorze. - Natychmiast wyhamowała, nie spojrzawszy nawet w kierunku pchniętych na oścież drzwi.

Hilary opuściła scenę wydarzeń lewą kulisą, nie przestając wyć jak syrena pędzącego wozu strażackiego.

- Wrzucić narzędzia do sterylizatora - polecił Albertson siostrze przełożonej. - Już. Migiem.

- Tak, doktorze.

Wzięła się do zbierania instrumentów. Oddychała ciężko, wyraźnie poruszona, ale panując już nad sobą.

Doktor Pritchard zdawał się w ogóle nie dostrzegać tego zamieszania. Z napięciem obserwował wycięcie w czaszce Thada Beaumonta.

- Niewiarygodne - mruzczał. - Po prostu niewiarygodne. Przypadek wprost podręcznikowy. Gdybym nie widział tego na własne oczy...

Otrzeźwił go dopiero syk sterylizatora. Spojrzał na doktora Albertsona.

- Pompe! - rzucił ostro. Popatrzył na pielęgniarkę. - A czym się ty, kurwa, zajmujesz?! Co my tu robimy, rozwiązujemy krzyżówkę z sobotniego „Timesa”?! Rusz tyłek i dawaj co trzeba!

Oderwała się od sterylizatora, niosąc narzędzia na nowej tacce.

- Lester, pompa! - powiedział Pritchard do Albertsona. - Już. Zaraz pokażę ci coś, co widziałeś tylko na wiejskich jarmarkach.

Albertson podsunął pompę ssącą na kółkach. Nie zwracał uwagi na siostrę przełożoną, która uskokczyła mu z drogi, zręcznie balansując tacką.

Pritchard popatrzył na anestezjologa.

- Przyjacielu, podaj mi dokładne ciśnienie, o nic więcej nie proszę.

- Sto pięć na sześćdziesiąt osiem, doktorze. Ani drgnie.

- No, matka chłopaka twierdzi, że mamy tu przyszłego Williama Szekspira, więc staraj się, żeby dalej tak stało. Zbieraj mu krew, Lester. Nie wystarczy łaskotać tym cholerstwem!

Albertson włączył już pompę, zbierał krew. W tle rozlegało się uspokajające, miarowe popiskiwanie aparatury kontrolnej. Wtem Albertson sam głośno zassał powietrze. Poczł się jak po mocnym ciosie w splot słoneczny.

- Och, mój Boże. O Jezu. Jezu Chryste. - Wzdrygnął się... ale po pewnym czasie pochylił nad operowanym. Ponad maską zza szkieł w rogowej oprawie błyszcząły rozszerzone ciekawością oczy. - Co to jest?

- Chyba to, co widzisz - powiedział Pritchard. - Za chwilę ochłoniesz i skojarzysz. Czytałem o tym, ale się nie spodziewałem, że kiedyś zobaczę.

Mózg Thada Beaumonta miał kolor skraju konchy - szary z lekkim różowym odcieniem.

Z gładkiej opony mózgowej wyglądało pojedyncze, ślepe, zdeformowane ludzkie oko.

Mózg lekko pulsował i oko pulsowało wraz z nim. Jakby chciało do nich mrugnąć. Właśnie to niby – mrugnięcie wyгнаło z sali operacyjnej pielęgniarkę.

– Jezu Chryste, co to jest?! – powtórzył pytanie Albertson.

– To jest nic – odpowiedział Pritchard. – Kiedyś miało szanse być częścią żywej, oddychającej istoty ludzkiej. Teraz jest niczym. To jedynie źródło niebezpieczeństwa. A tak się składa, że możemy je usunąć.

– Wolno spojrzeć, doktorze Pritchard? – spytał anestezjolog, doktor Loring.

– Ciśnienie w normie?

– Tak.

– No to podejdź. Będziesz miał o czym opowiadać wnukom. Ale się pośpiesz. –

Podczas gdy Loring zaspokajał ciekawość, Pritchard zwrócił się do Albertsona: – Potrzebuję Negli. Chcę otworzyć go trochę szerzej. Wtedy pogrzebiemy. Nie wiem, czy zdołam wyjąć całość, ale chcę wyjąć ile się da.

Les Albertson, sprawujący teraz obowiązki siostry przełożonej bloku operacyjnego, wcisnął świeżo wysterylizowany zgłębnik w rękę Pritcharda, który nucąc właśnie pod nosem temat z Bonanzy operował w ranie szybko i nieomal bez wysiłku, od czasu do czasu sprawdzając efekty działania w lusterku zamontowanym na końcu zgłębniaka. Posługiwał się raczej dotykiem niż wzrokiem. Albertson wyznał później, że nigdy w życiu nie był świadkiem tak wstrząsającego, wykonywanego na czuja, kawałka chirurgicznej roboty.

Poza okiem znaleźli część nozdrza, trzy paznokcie i dwa zęby. Jeden z nich miał mały ubytek. Oko nie przestawało pulsować i mrugać, aż Pritchard za pomocą igłowego skalpela najpierw nakłuł je, a potem wyciął. Cała operacja, od wprowadzenia zgłębniaka do finalnej ekstrakcji, zabrała tylko dwadzieścia siedem minut. Pięć kawałków ciała poleciało z chrupnięciem do pojemnika z nierdzewnej stali, umieszczonego na stoliku obok ogolonej głowy Thada.

– Myślę, że załatwiliśmy co trzeba – zawyrokował wreszcie Pritchard. – Wygląda na to, że cała obca tkanka była połączona szczątkowymi ganglionami. Jeśli nawet jakieś kawałki się uchowały, to jest spora szansa, że je zabiliśmy.

– Ale... jak to możliwe, że ten dzieciak wciąż żyje? Przecież to wszystko było częścią jego organizmu? – zapytał oszołomiony Loring.

Pritchard wskazał na pojemnik.

– Znajdujemy w głowie chłopaka oko, kilka zębów, trochę paznokci i od razu wydaje ci się, że to części jego organizmu? Czy ubyło mu któregoś paznokcia? Chcesz sprawdzić?

– Ale nawet komórki rakowe są częścią pacjenta...

- To nie był rak - cierpliwie tłumaczył Pritchard. Mówił, a jego ręce nie ustawały w pracy. - Przyjacielu, bardzo często tak bywa, że dziecko, które przychodzi na świat, zostało poczęte wraz z bratem czy siostrą. To zdarza się w co najmniej dwóch przypadkach na dziesięć. Co dzieje się z drugim płodem? Słabszy zostaje wchłonięty przez silniejszy.

- Wchłonięty? Masz na myśli pożarty?! - dopytywał się Loring. Nieco zzieleniał. - Czy mówimy tu o kanibalizmie in utero?

- Jak zwał, tak zwał; występuje całkiem często. Jeśli wreszcie zbudują ten interes działający jak sonogram, o czym ciągle gadają na zjazdach, to może dowiemy się dokładnie, jak często. Ale bez względu na to, jak często lub jak rzadko to występuje, ten przypadek to ewenement. Część bliźniaka tego chłopca nie została wchłonięta. Traf zdarzył, że wylądowała w płacie czołowym. Równie łatwo mogła zawędrować do jelit, śledziony, rdzenia kręgowego, gdziekolwiek. Zwykle takie przypadki widzą jedynie anatomopatolodzy - wychodzą na jaw podczas sekcji, choć nigdy nie słyszałem, żeby obca tkanka była przyczyną śmierci.

- No, a co tu się stało? - spytał Albertson.

- Coś spowodowało, że rok temu submikroskopijna wtedy tkanka zaczęła się rozrastać. Przynajmniej na miesiąc przed porodem, regulator rozwoju wchłoniętego bliźniaka powinien ulec kompletnemu zniszczeniu. Tymczasem jakoś przetrwał... i cholerstwo zaczęło się rozwijać. Dalszy bieg wydarzeń nie przedstawia żadnej tajemnicy. Ciśnienie wewnątrzmożgowe wywołało u chłopaka bóle głowy, konwulsje i wylądował u nas.

- Zgoda - powiedział cicho Loring - ale dlaczego to nastąpiło?

Pritchard potrząsnął głową.

- Jeśli za trzydzieści lat nadal będę zajmował się czymś poważniejszym niż machanie kijem golfowym, wtedy mnie zapytaj. Może zdołam odpowiedzieć. Na razie wiem tyle, że udało mi się zlokalizować i usunąć bardzo specyficzny, bardzo rzadki rodzaj nowotworu. Łagodnego nowotworu. I jeśli nie nastąpią komplikacje - tyle powinni wiedzieć rodzice. Przy ojcu dzieciaka jaskiniowiec wyszedłby na demona intelektu. Czy takiemu facetowi można wytłumaczyć, że zrobiło się jego jedenastoletniemu synowi skrobanekę? Wątpię. Les, zamykamy go. - I po namyśle, smakując każde słowo, dorzucił: - Siostrze przełożona, ta głupia cipa, która uciekła z sali, straciła pracę. Zechce siostra dopilnować formalności, panie doktorze.

Thad Beaumont opuścił szpital dziewięć dni po operacji. Przez niemal pół roku lewą stronę ciała miał denerwująco słabą i od czasu do czasu, gdy ogarniało go silne zmęczenie, widział dziwne jakby - coś - znaczące błyski.

Żeby umilić synowi rekonwalescencję, matka kupiła starego remingtona 32. Thad widział błyski najczęściej przed snem, kiedy zgarbiony nad maszyną męczył się dobierając słów albo kiedy próbował wyobrazić sobie dalszy tok opowieści. Wreszcie i te sensacje minęły.

To niesamowite urojone ćwierkanie – echo fruujących eskadr wróbli – ani razu nie powtórzyło się po operacji.

Nadal pisał, nabierał wiary we własne siły i kształtował swój styl. Sprzedał pierwsze opowiadanie – czasopismu „American Teen” – sześć lat po tym, jak zaczął prawdziwe życie. Od tego momentu nie wracał już pamięcią do przeszłości.

Rodzice Thada i on sam wiedzieli jedynie, że tej jesieni, kiedy miał jedenaście lat, czołowe^Zgo płata mózgu usunięto mu niewielki nieszkodliwy nowotwór. Jeśli w ogóle o tym myślał (co w miarę upływu lat zdarzało mu się coraz rzadziej), traktował to jako prawdziwy uśmiech losu.

Dla wielu pacjentów, poddanych operacji mózgu w tamtych barbarzyńskich czasach, fortuna nie okazała się tak łaskawa.

Nadzienie durniów

„ Maszyna rozprostował spinacze długimi, silnymi palcami.

- Chyć go za łeb, Jack - wydał polecenie facetowi stojącemu za Halsteadem. - Bądź tak łaskaw, chyć go fest.

Halstead przejrzał zamiary Maszyny. Kiedy łapska Jacka Rangely'ego unieruchomiły mu głowę, dał głos. Wrzaski rozległy się w całym opustoszałym składzie, obudziły echo. Wielka pusta przestrzeń działała jak naturalny wzmacniacz. Halstead piał jak śpiewak operowy, robiący rozśpiewkę przed premierą.

- Wróciłem - powiedział Maszyna. Halstead zacisnął powieki. Na nic. Stalowy pręcik bez trudu przebił powiekę, nakłuł gałkę oczną. Rozległo się lekkie pyknięcie. Zaczął wyciekać śliski, galaretowaty płyn. - Wróciłem z za grobu i odnoszę wrażenie, że cię to wcale nie cieszy, ty niewdzięczny skurwysynu” .

George Stark

Przejażdżka do Babilonu

Ludzie będą gadać

Numer magazynu „People” z 23 maja był najbardziej typowy z typowych.

Okładkę zdobiło zdjęcie Zmarłej Osobistości, gwiazdy rock and rolla. Powiesiła się w celi, zatrzymana za posiadanie kokainy oraz różnaitości innych narkotyków. Środek czasopisma był bardziej zróżnicowany niż bufet z sałatkami: dziewięć nie wyjaśnionych morderstw na tle seksualnym w słabo zaludnionej zachodniej Nebrasce; aresztowanie apostoła zdrowego odżywiania – wylądował za kratkami oskarżony o kolportaż pornografii dziecięcej; gospodyni domowa z Maryland wyhodowała dynię przypominającą popiersie Jezusa Chrystusa, wystarczyło się jej tylko przyjrzeć (dyni, nie niewieście) na wpół zamkniętymi oczami w słabo oświetlonym pokoju; dziarska młoda paraplegiczka trenowała przed nowojorskim maratonem wózków inwalidzkich; hollywoodzki rozwód; ślub w nowojorskim wielkim świecie; as wolnej amerykanki wracał do sił po zawale; aktor komediowy odpierał przed sądem zarzuty byłej małżonki o niesprawiedliwy podział majątku.

Znajdował się tam również materiał o przedsiębiorcy z Utah, wprowadzającym na rynek supergorący towar: lalkę „Ej, Mamusiu!”. „Ej, Mamusiu!” miała ponoć wygląd „najukochańszej teściowej”. Wmontowany magnetofon wypluwał kwestie w rodzaju: „Kochanie, w moim domu on nigdy nie dostawał zimnych obiadów” lub „Twój brat nigdy nie traktuje mnie jak zło konieczne, kiedy go odwiedzam”. Prawdziwe jajo polegało na tym, że zamiast ciągnąć za jakiś sznurek z tyłu „Mamusi”, należało kopnąć drań stwo z całej siły. „»Ej, Mamusiu!« jest solidnie wypchana. Gwarantujemy, że nie pęknie i nie spowoduje uszkodzeń ścian i mebli” – głosił dumny wynalazca, pan Gaspard Wilmot (który, wspomniano mimochodem w artykule, stanął raz przed sądem pod zarzutem oszustw podatkowych – zarzut wycofano).

Na stronie trzydziestej trzeciej zabawnego i pouczającego numeru tego zabawnego i

pouczającego amerykańskiego czasopisma figurował dział zatytułowany skrótowo „People” – zgrabnym, zwięzłym, złośliwym. „BIO” – głosiła winiętka.

– „People” od razu przechodzi do sedna – rzekł Thad Beaumont do Lizy, swej żony, gdy siedzieli ramię w ramię przy kuchennym stole, przeglądając artykuł po raz drugi. – BIO! Jak nie masz ochoty na BIO, przeskakujesz na W TARAPATACH i czytasz o tych dzierlatkach ścielących się pokotem w samym sercu Nebraski.

– Jak się nad tym poważnie zastanowić, to wcale nie jest śmieszne – stwierdziła poważnie Liza Beaumont, po czym popsuła wszystko parszcząc śmiechem.

– Trudno zrywać z tego powodu boki, niemniej na pewno jest to osobliwe. – Thad wrócił do artykułu. Machinalnie tarł przy tym małą białą bliznę, widoczną wysoko na czole.

Jak zwykle w BIO i ten materiał zawierał więcej słów niż fotografii, inaczej niż pozostałe działy „People”.

– Nie żal ci, że to zrobiłeś? – spytała Liza.

– Przede wszystkim nie ja to zrobiłem. My to zrobiliśmy. Oboje za jedno i jedno za oboje, pamiętasz? – Stuknął palcem w zdjęcie na drugiej stronie artykułu. Liza podsuwa Thadowi blachę z racuszkami. Thad siedzi przy maszynie. W maszynę wkręcono kartkę papieru; nie wiadomo tylko, co na niej jest. Ale to nie miało znaczenia, ponieważ musiały to być same bzdury. Pisanie zawsze przychodziło Thadowi ciężko i niezbyt przepadał za widownią, szczególnie jeśli szwendał się wśród niej fotograf z „People”. George’owi pisanie szło jak z płatka, ale Thadowi Beaumontowi jak po grudzie. Liza obchodziła go z daleka, gdy pocił się nad maszyną – i czasem osiągał sukces. Nie przynosiła mu telegramów. Co dopiero racuszków!

– Tak, ale...

– Po drugie...

Spojrzał na zdjęcie, na którym żona podsuwa mu racuszki, a on unosi ku niej wzrok. Uśmiechali się szeroko. Ten wyraz radości wydał mu się osobliwy na twarzach ludzi, którzy choć pogodni, nie szafowali czymś nawet tak powszednim jak przelotny uśmiech. Wspomniał czasy, kiedy był przewodnikiem górskim w Appalachach – w Maine, New Hampshire i Vermoncie. W tamtej odległej, pamiętanej jak przez mgłę przeszłości oswoił szopa imieniem John Wesley Harding. Nie uczynił w tym celu żadnego wysiłku, szop po prostu zapłonął do niego gorącą miłością. Kochany J.W., jak i Thad, lubił golnąć sobie w zimne wieczory i czasem, gdy przebrał miarę, uśmiechał się szeroko. Tak jak Thad i Liza na fotografii.

– Co „po drugie”?

„Po drugie jest coś zabawnego w tym, że pisarz nominowany raz do Narodowej

Nagrody Książki i jego żona szczerzą się do siebie jak parka zalanych szopów” – pomyślał i nie wytrzymał dłużej; ryknął śmiechem.

– Thad, obudzisz bliźniaki!

Bez powodzenia próbował się uspokoić.

– Po drugie, wyglądamy jak para kretynów i wcale mnie to nie obchodzi – powiedział, przytulił ją mocno i pocałował w szyję.

W drugim pokoju najpierw William, a potem Wendy zaczęli płakać.

Liza chciała spojrzeć na niego z naganą, ale nie potrafiła. Jak dobrze jest usłyszeć śmiech. ^{jego} Dobrze, bo chyba za rzadko sobie na niego pozwala. To rozbawienie miało dla niej obcy, dziwny urok. Thad Beaumont nigdy nie był śmieszkiem.

– Moja wina – powiedział. – Zajmę się nimi.

Zaczął się podnosić, potracił stół i o mało go nie wywrócił. Był mężczyzną łagodnym, ale dziwnie niezdarnym. Zachował tę cechę z lat dzieciennych.

Liza ustawiła wcześniej na środku stołu flakon z kwiatami. Teraz złapała go, zanimby się ześlizgnął i roztrzaskał na podłodze.

– Thad, na Boga! – wykrzyknęła, ale sama wybuchnęła śmiechem.

Siadł na moment. Łagodnie wziął jej rękę w obie dłonie.

– Słuchaj, maleńka, przeszkadza ci to?

– Nie – odpowiedziała. Zastanowiła się krótko, czy nie powiedzieć: „Tylko jest mi jakoś niewyraźnie. Nie dlatego, że wyszliśmy trochę głupawo, ale dlatego, że... no, nie wiem dlaczego. Po prostu jest mi jakoś niewyraźnie, to wszystko”

Zastanowiła się, ale nie rzekła. Uściskała mocno jego dłoń.

– Nie – powiedziała. – Nie przeszkadza mi. Bawi mnie. A kiedy wreszcie poważnie zabierzesz się do Złotego psa i reklama pomoże temu drań stwu, to jeszcze lepiej.

Wstała. Usiłował pójść w jej ślady, ale wcisnęła go z powrotem w fotel.

– Zajmiesz się dziećmi następnym razem. Siedź tu, aż twoja podświadoma chęć zniszczenia mojego flakonu minie bezpowrotnie.

– W porządku – powiedział i uśmiechnął się. – Kocham cię, Lizo.

– Ja też cię kocham.

Poszła zająć się bliźniętami, a Thad Beaumont powrócił do wertowania swojego BIO.

Inaczej niż większość materiałów w „People”, BIO Thaddeusa Beaumonta nie zaczynało się od dużego zdjęcia, ale od fotografii formatu zaledwie jednej czwartej strony. Mimo skromnych rozmiarów wpadała w oko, ponieważ grafik, obdarzony umiejętnością wychwytywania rzeczy niecodziennych, dał jej czarną obwódkę. Fotografia ukazywała Lizę i

Thada na cmentarzu. Biały podpis wyskakiwał z czarnego tła.

Na zdjęciu Thad trzyma szpadel, a Liza kilof. Z boku taczka, z której sterczą inne narzędzia grabarza. Na grobie kilka bukietów, nie zasłaniających inskrypcji:

GEORGE STARK

1975 - 1988

Niezbyt Miły Facet

Z otoczeniem i wydarzeniem, które jakoby miało miejsce (niedawno zakończony pochówek kogoś, kto wedle wrytych dat winien być kilkunastoletnim chłopcem), niemal rażąco kontrastuje nastrój dwojga fałszywych kościelnych - wymieniają uścisk dłoni nad świeżo ułożoną darnią, rechocząc beztrąsko.

Oczywiście, fotografia była pozowana. Wszystkie zdjęcia towarzyszące artykułowi - pochówek, częstowanie racuszkami, Thad błakający się samotnie po opuszczonej leśnej drodze w Ludlow, niby „poszukujący pomysłów” - były pozowane. Zabawna sprawa. Liza kupowała „People” od pięciu lat. Oboje kpili z czasopisma, ale oboje na zmianę kartkowali je przy kolacji albo w kłocie, gdy zabrakło ciekawej książki. Thad od czasu do czasu zachodził w głowę, na czym polega popularność magazynu; czy ta dziwna atrakcyjność jest spowodowana nabożną ciekawością wobec mniej znanych stron życia wielkich sław, czy decyduje o tym sposób prezentacji: te wszystkie wielkie czarno - białe fotografie i składany grubą czcionką tekst, zawierający głównie proste zdania oznajmujące. Ale nigdy nie pomyślał, że zdjęcia są pozowane.

Fotografie robiła im kobieta, Phyllis Myers. Poinformowała Thada i Lizę, że ongi zrobiła serię zdjęć pluszowych misiów ułożonych w dziecięcych trumienkach. Wszystkie zabawki miały na sobie dziecięce stroje. Liczyła, że sprzeda to jakiemuś wielkiemu nowojorskiemu wydawcy. Dopiero pod koniec drugiego dnia poświęconego wywiadowi - i - sesji - zdjęciowej Thad skojarzył, że kobieta sonduje go, czy nie napisałby tekstów do fotografii. „Śmierć i pluszowe misie - powiedziała - będą stanowić idealny zbiorczy komentarz na temat amerykańskiego stylu umierania, nie uważasz, Thad?”

Thad uznał, że w świetle, tych dosyć makabrycznych zainteresowań wcale nie jest tak zaskakujące, że ta Myers zamówiła nagrobek George'a Starka i przywiozła ze sobą z Nowego Jorku. Nagrobek wykonano z papier mâché.

- Nie macie nic przeciwko temu, żeby uścisnąć sobie nad nim dłonie, prawda? - spytała z uśmiechem na twarzy. Równocześnie bałamutnym i pełnym samozadowolenia.

Liza spojrzała na Thada – pytająco i z lekką zgrozą. Potem oboje popatrzyli z mieszaniną rozbawienia i tępego zdziwienia na lipny nagrobek, który odbył drogę z miasta Nowy Jork (stałej siedziby redakcji „People”) do miasteczka Castle Rock, Maine (letniej siedziby Thada i Lizy Beaumontów). Wzrok Thada nieodmiennie przyciągał napis:

Niezbyt Miły Facet

Sedno bombowej wiadomości, którą „People” chciało się podzielić z zachłannymi wielbicielami wielkich sław Ameryki, było całkiem proste. Otóż Thad Beaumont był cenionym pisarzem, którego pierwsza powieść Przypadkowi tancerze otrzymała nominację do Narodowej Nagrody Książki w 1972 roku. Taki rodzaj wyróżnienia ma swą wagę w oczach krytyki literackiej, ale Thad Beaumont, który od tamtej pory opublikował tylko jeszcze jedną powieść pod własnym nazwiskiem, obchodził zachłannych wielbicieli wielkich sław Ameryki tyle co zeszłoroczny śnieg. A człowiek, który ich naprawdę obchodził, nie istniał! Thad napisał jeden wielki bestseller i trzy niezwykle popularne powieści kontynuujące jego wątki, ukrywając się pod innym nazwiskiem. Rzecz jasna, brzmiało ono George Stark.

Jerry Harkavay, który stanowił całą obsadę biura Associated Press w Waterville, pierwszy wypuścił tę bombę w szeroki świat, gdy agent Thada, Rick Cowley, podrzucił ją za pozwoleniem pisarza Louise Booker z „Publishers Weekly”. Ani Harkavay, ani Booker nie dostali całej bomby – Thad uparł się, żeby o tym podlizującym się kutasinie, Fredericku Clawsonie, zamieszczono tylko wzmiankę – ale była na tyle interesująca, że wyszła poza rutynowe biuletyny AP i fachowy magazyn wydawniczy. Clawson – powiedział Thad Lizie i Rickowi – to nie temat bomby. To dupek naciskający ich, żeby podali bombę prasie.

Podczas pierwszego wywiadu Jerry zapytał go, jakiego rodzaju facetem był George Stark. „George – odrzekł Thad – był niezbyt miłym facetem”. Te słowa rozpoczynały materiał Jerry’ego, a zainspirowana nimi Myers zamówiła lipny nagrobek. Pokręcony świat. Pokręcony doszczętnie.

I nagle Thad znów wybuchnął śmiechem.

Poniżej fotografii, przedstawiającej Thada i Lizę na jednym z najlepszych cmentarzy Castle Rock, figurował dwuwersowy podpis.

„ Drogi zmarły był niezwykle bliski tej dwójce” – głosił wers pierwszy.

„Więc czemu się śmieją?” – pytał drugi.

– Bo świat to takie kurewsko dziwaczne miejsce – powiedział Thad Beaumont i parsknął śmiechem, zasłaniając twarz ręką.

Liza Beaumont nie była jedyną osobą, która czuła się lekko nieswojo z powodu tego dziwnego huczku, jaki powstał wokół całej sprawy. Sam Thad też czuł się podobnie. Niemniej nie potrafił opanować wesołości. Uspokajał się na kilka sekund, a kiedy zahaczał okiem o napis „Niezbyt Miły Facet”, rechot znów rozsadał mu pierś. Próby powstrzymania się od śmiechu przypominały uszczelnianie marnej zapory ziemnej; zatkasz jeden przeciek i natychmiast gdzie indziej pojawia się nowy.

Thad podejrzewał, że jego bezradność jest nieco niezdrowa – dowodzi hysterii. Wiedział, że dobry nastrój rzadko, a ściśle mówiąc prawie nigdy, nie wiąże się z napadami niepohamowanej wesołości. Prawdę mówiąc, niepohamowana wesołość nie ma nic wspólnego z dobrym nastrojem.

Raczej z czymś, czego wypadałoby się lękać.

„Boisz się cholernego artykułu w »People«? O to ci chodzi? Głupota. Boisz się drwin kolegów z wydziału anglistyki? Tego, że popatrzą na te fotografie i pomyślą, iż straciłeś reszteciki zdrowego rozsądku?”

Nie. Nie bał się niczego ze strony swoich kolegów, nawet tych, którzy pracowali na uczelni, kiedy jeszcze dinozaury deptały ziemię. Wreszcie dochrapał się stałej posady. A jeśli przejawiłby tylko chęć, miał dość pieniędzy, żeby spojrzeć w twarz życia jako – fanfary, proszę! – pisarz i tylko pisarz. (Co prawda nie był pewien, czy ma taką chęć. Kichał na biurokratyczne i administracyjne aspekty uniwersyteckiego życia, ale samo uczenie nie było pozbawione przyjemności). Nie bał się kolegów również dlatego, że kilka lat temu przestało go obchodzić, co sobie o nim myślą. Dbał o to, co myślą o nim przyjaciele. A jakże! I w kilku przypadkach jego przyjaciele, przyjaciele Lizy i wspólni przyjaciele byli kolegami z uniwersytetu, ale oni potraktują całą aferkę jako funta kłaków niewartą.

Jeśli już miał się czegoś bać, to...

„Skoń cz z tym – nakazał umysł suchym, ostrym tonem, którego Thad używał podczas zajęć i na dźwięk którego nawet najbardziej niesforni studenci bledli i milkli. – Skoń cz natychmiast z tymi głupotami”.

Na nic. Może miał wpływ na swych studentów, ale nie miał wpływu na samego siebie.

Znów popatrzył na zdjęcie, lecz tym razem nie poświęcił uwagi twarzom żony i swojej, radośnie rozdziawionym jak u pary dzieciaków wykonującej jakiś inicjacyjny rytuał.

GEORGE STARK

1975 - 1988

Niezbyt Miły Facet

To sprawiało, że czuł się nieswojo.

Ten nagrobek. To nazwisko. Te daty. A najbardziej to kwaśne epitafium, które spowodowało, że śmiał się od ucha do ucha, ale które, nie wiedzieć czemu, w gruncie rzeczy wcale nie było śmieszne.

To nazwisko.

To epitafium.

- Nie ma znaczenia - wymruczał. - Ten złamas nie żyje.

Ale wciąż go to dręczyło.

Gdy Liza wróciła, dźwigając na każdym ramieniu świeżo przewiniętego i ubranego w czyste śpiochy niemowlaka, Thad siedział z nosem w artykule.

- Czy go zamordowałem?

Thaddeus Beaumont, okrzyknięty kiedyś najbardziej obiecującym powieściopisarzem Ameryki, nominowany w 1972 roku za Przypadkowych tancerzy do Narodowej Nagrody Książki, powtarza pytanie lekko zamyślony. Sprawia wrażenie nieco zaskoczonego.

- Morderstwo - powtarza cicho, jakby słyszał to słowo po raz pierwszy... choć mordowanie jest niemal jedyną rzeczą, wokół której krążą myśli jego „mrocznej połowy”, jak nazywa George'a Starka.

Z szerokiego słoika, stojącego obok staromodnego remingtona 32, wyjmuje ołówek, Czarnego Pięknisia firmy Berol (jedyne narzędzie pisarskie Starka, według Beaumonta), i niespiesznie zaczyna obgryzać. Sądząc po wyglądzie innych egzemplarzy, robi to nałogowo.

- Nie - ogłasza w końcu, odłożywszy ołówek. - Nie zamordowałem go. - Podnosi oczy i uśmiecha się. Liczy sobie trzydzieści dziewięć lat, ale kiedy się tak ufnie uśmiecha, można go wziąć za jednego z jego studentów. - George umarł z przyczyn naturalnych.

Beaumont twierdzi, że George Stark jest wymysłem żony. Elizabeth Stephens Beaumont, chłodna, ponętna blondynka, nie chce przyjąć na siebie całego tytułu do chwały.

- Zasugerowałam tylko, żeby napisał powieść pod innym nazwiskiem i zobaczymy, co z tego wyniknie. Thad przechodził kryzys twórczy i potrzebował odbicia. A zresztą - wybucha śmiechem - George Stark istniał od dawna! Widziałam ślady jego ręki w nie dokończonych kawałkach Thada. Należało tylko wywabić go na światło dzienne.

Zgodnie z tym, co twierdzą koledzy, kłopoty Beaumonta przekraczały nieco wymiary kryzysu twórczego. Przynajmniej dwaj dobrze znani pisarze (którzy odmawiają podania nazwisk) martwili się jego stanem psychicznym w krytycznym okresie między pierwszą a drugą książką. Jeden z nich twierdzi, że Beaumont był bliski samobójstwa po wydaniu

Przypadkowych tancerzy, którzy przysporzyli mu więcej uznania krytyki niż tantiem.

Zapytany, czy kiedykolwiek zastanawiał się nad samobójstwem, Beaumont tylko potrząsa głową i mówi:

- To kretyń ska myśl. Walczyłem nie o szerokie uznanie, lecz z kryzysem twórczym. A martwi pisarze nigdy już nie wychodzą z tej choroby.

Tymczasem Liza Beaumont uprawiała lobbying - jak to określa Beaumont - w interesie pseudonimu.

- Powiedziała, że raz mogę się zabawić. Mogę napisać każde głupstwo, jakie mi wpadnie do głowy, nie przejmując się opinią „The New York Times Book Review”.

Powiedziała, że mogę napisać western, powieść fantastycznonaukową, klasyczny kryminał.

Albo „czarny” kryminał.

Thad Beaumont uśmiecha się szeroko.

- Zdaje mi się, że to ostatnie podsunęła mi celowo. Wiedziała, że chodzi mi po głowie pomysł na „czarny” kryminał, choć sądziłem, że brak mi do tego talentu. Pomysł z pseudonimem wydał mi się śmieszny. Poczuję się w pewien sposób wolny - jakbym znalazł ukryte wyjście awaryjne, rozumiesz, o co chodzi? Ale chodziło też o coś innego. Coś, co bardzo trudno jest wytłumaczyć.

Beaumont wyciąga rękę w kierunku ostro zastruganych ołówków, sterczących ze słoika na przetwory, potem cofa. Przesuwa wzrok na przeszkloną ścianę gabinetu, za którą drzewa urządzają wiosenną rewie.

- Kiedy rozważasz pisanie pod pseudonimem, to tak jakbyś rozważał bycie niewidzialnym - odzywa się wreszcie z pewnym oporem. - Im dłużej to wałkowałem, tym bardziej czułem, że będę musiał... no... stworzyć swoje drugie „ja”.

Lewa ręka wymyka się właścicielowi i ukradkiem porywa ołówek, podczas gdy umysł zajęty jest czym innym.

Thad odwrócił stronę. Popatrzył na bliźnięta siedzące w podwójnym krzeselku.

Między mieszanymi bliźniętami zawsze istnieje braterskie podobieństwo... albo bratersko - siostrzane, żeby nie używać terminologii męskich szowinistów. Jednak Wendy i William byli superidentyczni, nie będąc identycznymi.

William wyszczerzył się do Thada znad butelki.

Wendy wyszczerzyła się znad swojej butelki, popisując się przy tym akcesorium, którego braciszek nie miał - zębkiem z przodu. Wyrósł on zupełnie bezboleśnie. Po prostu przeszył powierzchnię dziąsła tak gładko, jak peryskop okrętu podwodnego przeszywa powierzchnię oceanu.

Wendy podniosła pulchną rączkę znad plastikowej butelki. Otworzyła, demonstrując różowe wnętrze łapki. Zamknęła. Otworzyła. Znak Wendy.

Nie patrząc na siostrę, William podniósł swoją rączkę znad swojej butelki,

otworzył, zamknął, otworzył, zamknął. Znak Williama.

Thad uroczyście podniósł rękę znad stołu, otworzył, zamknął, otworzył.

Bliźnięta wyszczerzyły się znad butelek.

Opuścił wzrok na magazyn. „Ach, »People« – pomyślał – dokąd doszlibyśmy, co poczęlibyśmy bez ciebie? Ludzie drodzy, oto czas amerykańskich gwiazd!”

Oczywiście dziennikarz wyciągnął wszystkie brudy, które były do wyciągnięcia – zwłaszcza plamę, która skaziła czteroletni okres po tym, jak Przypadkowi tancerze nie wygrali NNK – ale tego należało się spodziewać. Publiczne ujawnienie tych spraw było Thadowi serdecznie obojętne. Po pierwsze, wcale nie były takie brudne, po drugie, zawsze uważał, że lepiej mieć do czynienia z prawdą niż z kłamstwem. Przynajmniej na dłuższą metę.

Co oczywiście stawiało na tapecie problem; czy czasopismo „People” i „dłuższa meta” mają w ogóle coś wspólnego?

A zresztą... i tak jest za późno.

Facet piszący ten materiał nazywał się Mike... ale jak mu było dalej? Jeśli nie jesteś earlem bełkoczącym na temat rodziny królewskiej albo gwiazdą filmową bełkoczącą na temat innej gwiazdy, twoje nazwisko umieszczone zostaje dopiero na końcu artykułu. Thad musiał przekartkować cztery strony (dwie z nich wypełnione samymi reklamami), żeby je znaleźć. Donaldson. Siedli z Mikiem Donaldsonem późno, gwarząc trzy po trzy, i gdy Thad zapytał, czy kogoś w ogóle obchodzi, że spłodził kilka książeczek pod innym nazwiskiem, Donaldson powiedział coś, na co Thad o mało nie pękł ze śmiechu.

„Badania wykazują, że większość czytelników »People« ma bardzo wścibskie, lecz kruche nosy, które trudno im wściubiać. Więc kiedy już wściubią, chcą wiedzieć ile się da. Czytelnicy chcą wiedzieć wszystko o twoim kumplu George’u.”

„On nie jest moim kumplem” – odpowiedział wtedy Thad nie przestając się śmiać.

– Wyrabiasz się, maleńka? – zapytał teraz Lizę, która skończyła zajęcia przy kuchni. Pomóc ci trochę?

– Wszystko gra. Miksuję trochę przecieru maluchom. Czy nie masz jeszcze dosyć samego siebie?

– Jeszcze nie – bezwstydnie oświadczył Thad i wrócił do artykułu.

– Najtrudniej szło wymyślanie nazwiska – kontynuuje Beaumont, lekko pogryzając ołówek. – Ale nie mogłem się bez niego obejść. Wiedziałem, że pomysł może zaskoczyć. Wiedziałem, że mogę przełamać kryzys twórczy, z którym walczyłem... jeśli stworzę

osobowość pisarza. Odpowiednią osobowość, inną niż moja.

- Jak wpadłeś na „George’a Starka” ?

- No cóż, jest taki pisarz kryminałów. Nazywa się Donald E. Westlake - tłumaczy Beaumont. - I pod swoim prawdziwym nazwiskiem pisze kryminałki. W zabawny sposób opisuje tam amerykańskie życie towarzyskie i nasze zwyczaje.

Ale od początku lat sześćdziesiątych do połowy siedemdziesiątych jako Richard Stark napisał kilkanaście zupełnie innych powieści. Opowiadają o facecie nazwiskiem Parker. Parker jest zawodowym złodziejem. Nie ma przeszłości, przyszłości i w najlepszych książkach interesuje go tylko rabunek.

Westlake z przyczyn tylko sobie wiadomych przestał wreszcie pisywać o Parkerze, ale nigdy nie zapomnę tego, co powiedział, gdy jego pseudonim został zdemaskowany: sam tworzył w słoneczne dni, a kiedy padało, pióro przejmował Stark. Przemówiło to do mnie, bo między rokiem 1973 a początkiem 1975 miałem same deszczowe dni.

W najlepszych książkach Parker bardziej przypomina śmiercionośnego robota niż człowieka. Temat jest niezmienny - obrabowany rabuś. I Parker załatwia złych - należałoby powiedzieć innych złych - jak robot zaprogramowany do wykonywania jednej czynności. „Chcę moją forszę” - powiada i to prawie wszystko, co od niego słyszymy. „Chcę moją forszę, chcę moją forszę”. Czy ci to kogoś przypomina?

Dziennikarz kiwa głową. Beaumont opisał Alexisa Maszynę, głównego bohatera pierwszej i ostatniej książki George’a Starka.

- Gdyby Tak jak to robi Maszyna utrzymało się do końca w takim samym stylu, spoczęłoby w szufladzie na wieki wieków - powiada Beaumont. - Publikacja byłaby plagiatem. Ale mniej więcej w jednej czwartej znalazłem swój rytm i wszystko zagrało.

Dziennikarz pyta, czy Beaumont chce przez to powiedzieć, że po jakimś czasie spędzonym nad książką George Stark obudził się i przemówił.

- Tak - odpowiada Beaumont. - To jest bliskie prawdy.

Thad podniósł głowę, niemal śmiejąc się wbrew własnej woli. Bliźnięta zobaczyły to i uśmiechnęły się znad purée z groszku. O ile pamiętał, powiedział wtedy:

„Chryste, co za melodramatyczne ujęcie! Mówisz tak, jakbyś cytował tę część Frankensteina, w której piorun uderza wreszcie w piorunochron umocowany na najwyższej wieży zamczyska i ożywia potwora!”

- Nie skończę karmienia, jeśli nie przestaniesz - zauważyła Liza. Na czubku nosa miała małą kropkę z purée. Thad poczuł absurdalną chęć scałowania jej.

- Co mam przestać?

- Ty się szczerzysz - one się szczerzą. Thad, nakarmienie szczerzącego się dziecka niemożliwość.

- Wybacz - powiedział z pokorą i mrugnął do bliźniąt, Identyczne, obrysowane na

zielono uśmiechy urosły na sekundkę.

Thad opuścił głowę i kontynuował lekturę.

- Zacząłem Tak jak to robi Maszyna tego samego wieczoru 1975 roku, w którym wymyśliłem pseudonim. Wtedy wynikło jeszcze coś. Kiedy byłem gotów, wkręciłem kartkę papieru w wałek... i wykręciłem. Wszystkie książki wystukałem na maszynie, ale wyglądało na to, że George Stark nie przepada za tym narzędziem pracy.

Twarz na krótko rozjaśnia szeroki uśmiech.

- Może dlatego, że tam, gdzie kiblował, w tych hotelach o zakratowanych oknach, nie uczą pisanie na maszynie.

Beaumont odwołuje się do „okładkowej bio” George’a Starka, z której można się dowiedzieć, że autor liczy sobie trzydzieści dziewięć lat i przebywał w trzech różnych zakładach karnych, skazany za podpalenie, napad z bronią w rękę i usiłowanie zabójstwa. Okładkowa bio to jednak dopiero część opowieści; Beaumont demonstruje również życiorys złożony w Darwin Press. Historia życia alter ego jest tam opowiedziana z tak drobiazgowymi szczegółami, jakie tylko dobry powieściopisarz potrafi stworzyć. Od urodzenia w Manchesterze, New Hampshire, do zamieszkania w Oxfordzie, Missisipi; jest tam wszystko z wyjątkiem pochówku George’a Starka na cmentarzu Homeland w Castle Rock, Maine.

- Znalazłem stary zeszyt w szufladzie biurka, a skrobałem tym. - Wskazuje stoik z przyborami do pisania i sprawia wrażenie nieco zaskoczonego widząc, że ręka wykonująca gest trzyma ołówek. - Piszę i nagle ni z tego, ni z owego słyszę Lizę. Mówi mi, że jest północ, i pyta, czy w ogóle zamierzam kłaść się spać.

Liza Beaumont zachowała własne wspomnienie tego wieczoru.

- Obudziłam się za kwadrans dwunasta i zobaczyłam, że nie ma go w łóżku.

Pomyślałam: „No i co, pisze”. Ale nie słyszałam maszyny, więc się trochę zlekłam.

Wyraz jej twarzy sugeruje, że była bardziej przelęknięta niż „trochę”

÷ Kiedy zeszałam na dół i zobaczyłam go skrobiącego w tym zeszycie, wystarczyły mi prztyczek i padłabym jak długa. - Wybucha śmiechem. - Nosem prawie jechał po kartce.

Dziennikarz pyta, czy poczuła ulgę.

- Wielką ulgę - odpowiada Liza Beaumont łagodnym, pozbawionym emocji głosem.

- Przekartkowałem w tył zeszyt i okazało się, że zapisałem szesnaście stron bez poprawki - mówi Beaumont. - Zużyłem trzy czwarte świeżo kupionego ołówka. - Patrzy na stoik z wyrazem, który może oznaczać melancholię albo ukryte rozbawienie. - Po śmierci George’a chyba powinienem je wyrzucić. Ja nie piszę ołówkiem. Próbowałem. Po prostu mi nie wychodzi. Piszę tylko na maszynie. Inaczej palce mi sztywnieją i tracą czucie. George’owi nigdy nie sztywniały palce. I zawsze były sprawne.

Podnosi głowę i mruga tajemniczo.

- Skarbie? - Popatrzył na żonę, skupioną na wpychaniu resztki Williamowego groszku w Williama. Spora ilość pokarmu pokrywała śliniaczek bobasa.

- Co?
 - Spójrz na sekundkę. Spojrzała.
- Thad mrugnął.
- Czy było to tajemnicze mrugnięcie?
 - Nie, kochanie.
 - Mnie się też tak zdaje.

Reszta tej opowieści stanowi rozdział większej historii. „ Tego – ironicznie mówi Thad Beaumont – co świrusy nazywają powieścią” .

Tak jak to robi Maszyna została wydana w 1976 roku przez niewielką firmę Darwin Press („ własne” rzeczy Beaumonta publikował Dutton) i odniosła niespodziewany sukces, zajmując pierwsze miejsca na listach bestsellerów w całych Stanach. Stała się również podstawą superkasowego filmu.

- Długi czas oczekiwałem, że ktoś wpadnie na to, iż ja to George, a George to ja – mówi Beaumont. - Copyright był wydrukowany na George’a Starka, ale o sprawie wiedział mój agent i jego żona – obecnie była żona, ale nadal pełnoprawny partner w interesie – oczywiście szefowie Darwin Press oraz księgowy. On musiał o wszystkim wiedzieć, bo George potrafił odręcznie pisać całe powieści, ale miał pewien mały feler. Nie mógł realizować czeków. No i, rzecz jasna, musiał wiedzieć urząd skarbowy. Więc przez jakieś półtora roku czekaliśmy z Lizą, aż ktoś odkryje tajemnicę. A tu nic z tych rzeczy. Wydaje mi się, że to po prostu ślepy traf. Dowodzi jedynie, że jeśli myślisz, iż ktoś na pewno chłapnie, wszyscy będą trzymać język za zębami.

I trzymali przez następne dziesięć lat, podczas gdy nieuchwytny pan Stark, autor dużo płodniejszy niż jego bliźniacza połówka, wydał kolejne trzy powieści. Żadna z nich nie odniosła tak olśniewającego triumfu jak pierwsza, ale wszystkie wspięły się wysoko na listach bestsellerów.

Po długiej, pełnej namysłu pauzie Beaumont zaczyna wyjaśniać, dlaczego wreszcie zdecydował się zrezygnować z tej dochodowej mistyfikacji.

- Musisz pamiętać, że w gruncie rzeczy George Stark żył tylko na papierze. Kawał czasu jego istnienie sprawiało mi przyjemność... i, do diabła, facet przynosił dochód. Mówiłem, że przynosi mi mam – was – w – dupie forszę. Miło jest wiedzieć, że stać mnie na rzucenie posady na uniwerku i dalej będę mógł spłacać hipotekę. Już to wywierało na mnie ogromnie wyzwalający wpływ.

Ale chciałem wrócić do pisania własnych książek, a Starkowi zaczynało brakować weny. Do tego się to sprowadza. Ja o tym wiedziałem, Liza o tym wiedziała, mój agent o tym wiedział... mniemam, że nawet redaktor George’a w Darwin Press o tym wiedział. Ale gdybym zachował wszystko w sekrecie, pokusa napisania kolejnego „ starka” byłaby dla mnie za mocna. Jak inni ulegam żądzy posiadania mamony. Rozwiązaniem wydało się wbicie kołka w serce upiora. Bach i po wszystkim!

Innymi słowy, wypadało ujawnić rzecz. Co zrobiłem. Co w istocie teraz robię.

Thad podniósł wzrok znad artykułu. Lekko się uśmiechał. Nagle wybrzydzenie na pozowane zdjęcia w „People” wydało mu się trochę świętoszkowate, trochę sztuczne. Fotografowie nie tylko tego czasopisma ustawiali czasami obiekty zgodnie z potrzebami i oczekiwaniami czytelników. Thad mniemał, że większość osób, z którymi przeprowadzano wywiady, dawała się na to namówić. Ale jemu celowa aranżacja szła chyba lepiej niż większości innych. Jednak był powieściopisarzem... a powieściopisarz to, zwyczajnie mówiąc, facet, któremu buli się za opowiadanie łgarstw. Im większe łgarstwo, tym okrąglejsza sumka.

„Starkowi zaczynało brakować weny. Do tego się to sprowadza”.

Ileż w tym prostoty.

Ileż nieodpartego wdzięku.

Ileż pieprzenia w bambus.

- Skarbie?

- Hm?

Liza starała się otrzeć Wendy. Dziewczynka nie była zachwycona tym pomysłem.

Wykręcała główkę, gulgocząc z oburzeniem. Liza wymachiwała bobasowi ścierką przed nosem. Thad oceniał, że żona w końcu zrealizuje swój cel, choć istniała szansa, iż wpierw opadnie z sił. Wyglądało, że Wendy liczyła na tę drugą ewentualność.

- Czy dobrze zrobiliśmy kłamiąc na temat udziału Clawsona w tym wszystkim?

- Nie kłamaliśmy, Thad. My tylko nie wymieniliśmy jego nazwiska.

- Poza tym był z niego wał, prawda?

- Nie, kochanie.

- Nie był z niego wał?

- Nie - pogodnie zaprzeczyła Liza. Teraz zajęta była oczyszczaniem buzi Williamowi.

- Był z niego śmierdzący mały Glizdowiec.

Thad prychnął.

- Glizdowiec?

- Zgadza się. Glizdowiec.

- Mam wrażenie, że słyszę to szczególne określenie po raz pierwszy.

- Zeszłego tygodnia, kiedy poszłam do sklepu na rogu zobaczyć, czy nie mają nic nowego do wypożyczenia, zobaczyłam tytuł na opakowaniu kasety. Tak nazywał się horror: Glizdowce. Pomyślałam wtedy: „Cudo. Ktoś zrobił film o Fredericku Clawsonie i jego

rodzince. Muszę powiedzieć Thadowi”. Ale zapomniałam i dopiero teraz mi się przypomniało.

- Więc uważasz, że to zostało załatwione jak należy? - Jestem głęboko przekonana, że to zostało załatwione jak należy. - Ręką ze ścierką wskazała na Thada, a potem na otwarte czasopismo. - Thad, tak czy siak dostałeś z tego, co ci się słusznie należało. „People” dostało z tego, co mu się słusznie należało. A Frederic Glawson dostał kozie bobki... i na tyle zasłużył.

- Dzięki.

Wzruszyła ramionami.

- Nie ma za co. Thad, ty czasami masz za miękkie serduszko.

- Czy to niebezpieczne?

- Tak, bardzo niebezpieczne... William, na litość boską! Thad, gdybyś zechciał mi trochę pomóc...

Thad zamknął czasopismo i zaniósł Williama do pokoju dziecinnego. Liza szła pierwsza niosąc Wendy. Pucowałowy niemowlak był ciepłutki i przyjemnie ciężki. Wybałuszał na wszystko oczka ze zwykłą ciekawością, swobodnie zarzuciwszy rączki Thadowi na szyję. Liza położyła Wendy na stoliku do przewijania, Thad położył Williama na drugim. Przewijali dzieci, Liza nieco sprawniej niż Thad.

- A więc tak - stwierdził Thad - zostaliśmy opisani w „People”. I to kończy sprawę. Zgadza się?

- Tak - odpowiedziała i uśmiechnęła się. Czegoś zabrakło w tym uśmiechu, żeby był do końca szczery, ale wspomniał swój własny dziwny wybuch wesołości i zdecydował się nie wracać do tematu wywiadu. Czasem ogarniała go swoista niepewność - umysłowy odpowiednik fizycznej niezdarności - i wtedy dręczył Lizę. Rzadko odcinała mu się ostro, ale kiedy trwało to zbyt długo, widział w jej oczach mgłę znużenia. Co ona takiego powiedziała? „Thad, ty czasami masz za miękkie serduszko”.

Skleił pampersa Willa. Przedramieniem dociskał ruchliwy brzuszek rozanielonego bobasa, zabezpieczając Willa przed stoczeniem się ze stolika i skręceniem karku, ku czemu malec zmierzał z pełną determinacją.

- Biugjuuju! - wykrzyknął Will.

- Taaa... - przytaknął Thad.

- Dijub! - wrzasnęła Wendy.

Thad pokiwał głową.

- To też niegłupie.

- Dobrze, że on nie żyje - nagle odezwała się Liza.

Thad podniósł wzrok. Zastanowił się nad tym, co powiedziała Liza, i kiwnął głową.

Nie było potrzeby określać bliżej, kim jest „on”. Wiedzieli.

- Taaa...

- Nie przepadałam za nim.

„To okropność powiedzieć coś takiego o własnym mężu” - już chciał skomentować, ale pohamował się. Nie miała nic złego na myśli, nie mówiła przecież o nim. Thad i George nie tylko pisali inaczej, różniło ich znacznie więcej.

- I ja - rzekł. - Co jest na kolację?

Przerwa w zajęciach domowych

Tej nocy Thadowi przyśnił się koszmar. Obudził się prawie ze łzami w oczach, drżący jak szczenię, które złapała burza z piorunami. We śnie towarzyszył mu George Stark, tylko że był agentem handlu nieruchomościami, a nie pisarzem. Zawsze stał tuż za plecami Thada. Dawał więc znać o sobie jedynie jako głos. I cień .

Życiorys Starka złożony w Darwin Press – napisany przez Thada tuż przed rozpoczęciem Oksfordzkiego bluesa, drugiego dzieła George’a – stwierdzał, że Stark jeździ dużą furgonetką GMC rocznik ’67, „trzymającą się kupy tylko dzięki modlitwie i podkładówce”. Jednak we śnie jechali nieskazitelnie czarnym toronado i Thad uznał, że palnął byka co do tej furgonetki. Stark jeździ tym. Tym odrzutowym karawanem. Toronado miało wgnieciony bok i wcale nie wyglądało na wóz pośrednika handlu nieruchomościami. Raczej na pojazd trzeciorzędnego mafioso.

Idąc w kierunku domu, który Stark z nie znanego bliżej powodu mu demonstrował, Thad obejrzał się przez ramię. Spodziewał się zobaczyć Starka i w sercu poczuł strach – jak ukłucie sopla lodu. Ale tamten znalazł się za drugim ramieniem (choć Thad nie miał pojęcia, jakim cudem przemieścił się tak szybko i bezszelestnie), więc pisarz ujrzał tylko samochód, stalową tarantulę połyskującą w promieniach słoń ca. Na wysoko zawieszonym tylnym zderzaku przylepiono naklejkę; GODNY SKURWYSYN. Po obu jej stronach wyrysowano trupie czaszki z piszczelami.

Stark prowadził Thada do jego domu – nie tego w Ludlow, w którym mieszkali podczas zimy, w pobliżu uniwersytetu, ale do letniego domu w Castle Rock. Za budynkiem

znajdowała się północna zatoka jeziora Castle. Thad słyszał cichy chłupot fal o brzeg. Na niewielkim trawniku przed domem wbito tabliczkę: NA SPRZEDAŻ.

Ładny domek, prawda? zasyczał Stark szorstkim, a równocześnie pieszczotliwym głosem. Przypominał liźnięcie kocurzym jęzorem.

To mój dom, odpowiedział Thad.

Mylisz się kompletnie. Właściciel tego domu nie żyje. Zabił żonę, dzieci, a potem siebie. Skoń czył z sobą. Po prostu BAM, DRYG – DRYG i pa, pa. Taki już był. I wcale nie musiałeś mu się długo przyglądać, żeby to dojrzeć. Rzec można, rzucało się w oczy.

Co to ma być, dowcip? zamierzał spytać. Bardzo mu zależało na pokazaniu Starkowi, że się nie boi. Zależało mu na tym, bo czuł zwierzęcy strach. Ale nim wypowiedział słowo, szeroka dłoń, jakby zupełnie pozbawiona linii (choć trudno było osądzić to na pewno, ponieważ Stark tak złożył palce, że rzucały ruchomy cień), wychynęła znad jego ramienia i pomachała pękami kluczy przed nosem.

Nie, nie pomachała. Gdyby zrobiła tylko tyle, Thad przemówiłby, może nawet odsunął klucze, demonstrując w ten sposób, jak mało przeraża go ten przerażający człowiek, uparcie trzymający się pleców. Ale ręka właściwie cisnęła mu klucze w twarz. Thad musiał je złapać, inaczej złamałyby mu nos.

Wsunął klucz w zamek frontowych drzwi. Były zrobione z wielkiej, gładkiej płyty dębowej, na której wyróżniały się jedynie gałka i kołatka z brązu w kształcie jakiegoś ptaka. Klucz obrócił się gładko. Było to dziwne, ponieważ wcale nie był kluczem, ale czcionką z maszyny do pisania, przylutowaną do długiego stalowego pręta. Wszystkie pozostałe klucze wyglądały na wytrychy używane przez włamywaczy.

Thad przekręcił gałkę, a wtedy drzwi z twardego jak żelazo drewna popękały i skruszyły się; rozległy się dźwięki przypominające wybuchy ogni sztucznych. Między deskami prześwitywało światło. Wionął kurz. Kawałek dekoracyjnego żelastwa z ostrym trzaskiem odpadł i uderzył o próg u stóp Thada.

Thad wszedł do środka.

Nie chciał wchodzić; chciał zatrzymać się na progu i kłócić ze Starkiem. Więcej! Chciał mu się postawić, zapytać, dlaczego, na Boga, tu wchodzi! Wejście do tego domu przerażało go jeszcze bardziej niż sam Stark. Ale to był sen, koszmarny sen, a istotą koszmarów jest nasza bezwolność. Przypominało to jazdę kolejką górską, która w każdej sekundzie może wspiąć się na wzniesienie i runąć w dół, gdzie czeka ceglany mur, a twój trup

Właśnie stark oznacza w jęz. ang. „ rzucać się w oczy ” .

rozpłaszczy się na nim ohydnie jak mucha pod packą.

Znajomy przedpokój stał się nieznamy, prawie wrogi, i to tylko dlatego, że znikł spłowiły, pomalowany w tureckie wzory bieżnik, który Liza ciągle miała wymienić...

I choć we śnie był to zaledwie drobiazg, Thad powracał potem do niego stale. Być może dlatego, że dopiero myśląc o tym na jawie czuło się autentycznie przerażenie. Jak można się czuć bezpiecznie, jeśli ubytek czegoś równie błahego, jak przedpokojowy bieżnik, rodzi tak silne wrażenia chaosu, zagubienia, smutku i dojmującego lęku?

Echo własnych kroków, gdy stąpał po parkiecie z twardego drewna, wydało mu się nieprzyjemne. Nie tylko dlatego, że jakby potwierdzało słowa złoczyńcy, którego Thad miał za plecami, iż dom jest opuszczony, sparaliżowany boleścią po stracie gospodarzy. Stukot butów podkreślał zagubienie i nieskończony, przeraźliwy żal.

Thad chciał zawrócić i wyjść, ale nie mógł. Za sobą miał Starka i skądś wiedział, że trzyma on w dłoni brzytwę Alexisa Maszyny, brzytwę z rączką z masy perłowej, tę samą, za pomocą której w finale Tak jak to robi Maszyna kochanka odwalila kawał roboty na mordzie drania.

Jeśli się odwróci, George Stark też sobie trochę postruga.

Dom był bezludny, ale poza bieżnikiem (wielki bawialniany dywan w kolorze łososiowym również przepadł) wszystkie meble pozostały. Waza z kwiatami stała na sosnowym stoliku w głębi przedpokoju. Stąd można było się udać wprost do bawialni, której sufit wznosił się wysoko jak w katedrze, a przeszklone drzwi wychodziły na jezioro, albo skręcić w prawo do kuchni. Thad dotknął wazy. Rozpękła się na kawałeczki, uniósł się obłok kwaśno woniącego ceramicznego pyłu. Chlusnęła zgniła woda. Pół tuzina stojących w wazie ogrodowych róż uschło i szerniało, nim wylądowało w cuchnącej kałuży. Dotknął stolika. Błat pękł na dwoje z suchym trzaskiem i mebel nie tyle upadł, co osunął się na nagą podłogę.

Co zrobiłeś z moim domem?! zawołał do człowieka za plecami... ale nie odwracając się. Nie musiał się odwracać, żeby zobaczyć brzytwę, którą Maszyna obrabiał nosy swych „rywali w interesach”. Oczywiście zanim Nonie Griffiths použíwała sobie na Maszynie, zamieniając jego policzki w czerwone i białe strzępki i wylupiając mu oko.

Nic, powiedział Stark i Thad nie musiał się odwracać, żeby zobaczyć uśmiech, który słyszał w głosie mężczyzny. Ty twoja zasługa, stary koniu.

Weszli do kuchni.

Thad dotknął kuchenki. Pękła na dwoje, wydając głuchy brzęk jak wielki dzwon omotany pajęczynami. Spirale grzewcze powyskakiwały w górę i na boki, jak śmieszne

kapelusiki uniesione zawadiacko wicherą. Drapiący smród wydobywał się z ciemnego piekarnika. Thad zajrzał i zobaczył indyka. Gnił koszmarnie. Sączyła się z niego czarna, wypełniona ohydnymi kawałkami mięsa ciecz.

Tu nazywamy to nadzieniem durniów, zauważył Stark.

O co ci chodzi? spytał Thad. O jakie tu?

O Koniec Pieśni, spokojnie oznajmił Stark. O miejsce, w którym koń czą bieg wszystkie pociągi, Thad.

Dodał jeszcze coś, ale Thadowi to umknęło. Potknął się o torebkę Lizy leżącą na podłodze. Złapał się kuchennego stołu, żeby nie upaść. Mebel runął na podłogę. Rozpadł się w drzazgi, unosząc kurz. Jasny gwóźdź potoczył się do kąta z metalicznym brzękiem.

Przestań natychmiast! zawołał Thad. Chcę się obudzić! Nie cierpię niszczyć rzeczy!

Zawsze byłeś niezdara, stary koniu, powiedział Stark. Mówił to takim tonem, jakby Thad miał wiele sióstr i braci, każde wdzięczne jak gazela.

Właśnie, że nie, odpalił Thad. Mało nie skamlał. Właśnie, że nie muszę być niezdarny! Właśnie, że nie muszę niszczyć rzeczy! Kiedy uważam, wszystko jest w porządku.

Tak... tylko wielka szkoda, że przestałeś uważać, powiedział Stark tym samym roześmianym ja - tylko - mówię - jak - się - rzeczy - mają tonem. Znaleźli się w tylnym holu.

Była tu Liza. Siedziała, rozruciwszy nogi, w kącie przy wejściu do drewni. Na jednej nodze miała mokasyn, na drugiej nie miała mokasyna. Nosiła rajstopy i Thad zauważył, że poszło jej oczko. Głowę opuściła, lekko zmierzwione miodowoblond włosy zasłaniały twarz. Nie chciał widzieć jej twarzy! Tak jak nie potrzebował widzieć brzytwy ani uśmiechu Starka, żeby wiedzieć o ich istnieniu, tak nie potrzebował widzieć twarzy Lizy, żeby wiedzieć, iż nie śpi ani nie jest nieprzytomna. Nie żyje.

Włącz światło, będziesz lepiej widział, powiedział Stark tym samym roześmianym nie - mam - co - robić - więc - tylko - tak - ci - towarzyszę - mój - przyjacielu głosem. Jego ręka zjawiła się nad ramieniem Thada, wskazując na lampy, które ów sam kiedyś zainstalował. Oczywiście były podłączone do elektryczności, ale wyglądały zupełnie antycznie - dwa nietoperze, zwisające na przedłużonym drewnianym zaczepie, regulowane ściemniaczem.

Nie chcę widzieć!

Usiłował przemówić twardym i pewnym siebie tonem, ale cała ta sytuacja zaczynała dawać mu się we znaki. Usłyszał w głosie drżenie, znak, że lada chwila zacznie bełkotać. A słowny opór i tak nie miał żadnego znaczenia, bo sięgnął ręką do okrągłego pokrętła. Lodowaty niebieski ogień, tak gęsty, że wyglądał raczej jak galaretka niż światło, trysnął między palcami. Pokrętło koloru kości słoniowej szerniało, odpadło od ściany i z wizgiem

przeleciało przez pomieszczenie jak miniaturowy latający spodek. Rozbiło okno i znikło. Światło dnia przybrało dziwny zielonkawy odcień spatynowanej miedzi.

Elektryczne nietoperze rzucały nienaturalnie jasny blask. Zaczepy zaczęły się kręcić, naprężając podtrzymujące łań cuchy, cienie rozbiegły się szaleń czym korowodem. Najpierw jedna, a potem druga lampa roztrzaskała się, obsypując Thada lawiną odłamków.

Automatycznie skoczył i złapał leżącą żonę, chcąc wyciągnąć ją spod lamp, zanim łań cuch trzaśnie i drewniany ciężki zaczep polecą jej na głowę. Ten impuls był tak silny, że stłumił wszystko inne, w tym przekonanie, że cokolwiek zrobi, będzie bez znaczenia, ona nie żyje. Stark mógłby równie dobrze wyrwać z ziemi Empire State Building i spuścić jej na głowę, nie ma znaczenia. W każdym razie nie dla niej. Już nie.

Gdy objął Lizę i splótł ręce na wysokości łopatek, korpus trupa przechylił się ku niemu, a głowa opadła w tył. Skóra na twarzy pękała jak powierzchnia chińskiej wazy. Szkliste oczy nagle eksplodowały. Zepsuta zielona galareta, obrzydliwie ciepła, oblała twarz Thada. Usta rozwarły się szeroko, drobne zęby wyleciały białym bryzgiem. Twarde, gładkie podziobały mu policzki i czoło. Z dziurawych dziąseł kapła na wpół skrzepła krew. Język wysunął się z ust, odpadł, stoczył na podolek żony jak kawałek okrwawionego ścierwa węża.

Thad zaczął wrzeszczeć – we śnie, nie naprawdę, dzięki Bogu, inaczej wystraszyłby śmiertelnie Lizę.

Nie skoń czyłem z tobą, ty pieściwale, cichym głosem odezwał się George Stark. Ten głos nie był już roześmiany. Był zimny jak jezioro Castle w listopadzie. Zapamiętaj. Nie leć sobie ze mną w chuja, bo wiedz, że kiedy lecisz sobie ze mną w chuja, to...

Thad obudził się z nerwowym podrygiem. Miał mokre policzki. Poduszka, którą przyciskał konwulsyjnie do twarzy, była równie mokra. Spocił się tak? Czy płakał?

...lecisz z najlepszym – skoń czył w poduszkę. Leżał nieruchomo z kolanami podciągniętymi do piersi, dygotał konwulsyjnie.

– Thad? – wymruczała Liza, tkwiąca w przepastnych gąszczach snu. – Bliźniaki w porządku?

– W porządku – wykrztusił. – Ja... nic. Śpij dalej.

- Taaa... wszystko...

Powiedziała jeszcze coś, ale zrozumiał ją nie lepiej niż Starka, kiedy ów oznajmił, że dom Thada w Castle Rock to Koniec Pieśni... miejsce, w którym kończą bieg wszystkie pociągi.

Thad leżał na swym mokrym odbiciu na pościeli, z wolna rozluźniał ręce ściskające poduszkę. Otarł twarz nagim przedramieniem, oczekiwał odejścia snu, odejścia dreszczy. Mijały, ale zaskakująco powoli. Dobrze choć to, że nie obudził Lizy.

Gapił się bezmyślnie w ciemność, nie starał się pojąć snu, pragnął tylko, żeby sobie poszedł, i w jakiś nieskończenie długi czas później Wendy obudziła się za ścianą i zaczęła płakać, domagając się przewinięcia. Oczywiście William obudził się w chwilę potem decydując, że i on potrzebuje przewinięcia (choć kiedy Thad zdjął mu pampersa, okazał się całkiem suchy).

Liza ocknęła się od razu i lunatycznym krokiem podreptała do pokoju dzieciennego. Thad poszedł z nią, znacznie bardziej trzeźwy i raz przynajmniej wdzięczny losowi, że bliźniaki potrzebują opieki w środku nocy. W każdym razie w środku tej nocy. Przewinął Williama, podczas gdy Liza przewijała Wendy. Nie mówili wiele i kiedy wrócili do łóżka, Thad z ulgą poczuł, że znów zapada w sen. Poprzednio sądził, że ma z głowy spanie na resztę nocy. Kiedy obudził się z obrazem gwałtownie gnijącej Lizy w oczach, pomyślał, że nigdy więcej nie zaśnie.

„Rano sen przepadnie, jak to sen”.

Tak myślał tuż przed zaśnięciem, ale gdy zbudził się rano, koszmar jawił się szczegółowo (choć zagubione, samotne echo kroków na nagiej podłodze przedpokoju zachowało najmocniejszą emocjonalną barwę) i w miarę upływu dni nie blakł, inaczej niż to zwykle bywa ze snami.

Ten sen towarzyszył mu stale, żywotny jak pamięć prawdziwego wydarzenia. Kluczem doń była czcionka z maszyny do pisania, gładka, pozbawiona linii dłoń i suchy, niemal wyczyny intonacji głos George'a Starka, mówiący Thadowi z za pleców, że nie skończył z nim i kiedy lecisz w chuja z tym oto godnym skurwysynem, lecisz z najlepszym.

Cmentarny blues

Steven Holt był w Castle Rock szefem trzyosobowej brygady, która opiekowała się terenami zielonymi, więc oczywiście wszyscy mieszkańcy The Rock wołali na niego Szpadel. Jest to przezwisko wspólne tysiącom konserwatorów zieleni w miasteczkach Nowej Anglii. Jak większość jego kolegów Holt miał sporo zajęć, tym bardziej że dysponował skromnym zastępem pracowników. Miasto posiadało dwa boiska małej ligi (baseballowej) wymagające pielęgnacji, jedno w pobliżu estakady kolejowej między Castle Rock a Harlow, drugie przy Castle View; miejskie błonia – gdzie trzeba było sadzić na wiosnę, strzyc w lecie i grabić jesienią (nie wspominając o drzewach, przycinanych, a czasem karczowanych); estradę koncertową z widownią; miejskie parki, jeden przy Castle Stream obok starego tartaku, drugi przy Castle Falls, gdzie od niepamiętnych czasów poczęto nieprzebraną ilość dzieci w nie zalegalizowanych (jeszcze) związkach.

Gdyby zajmował się tylko tym wszystkim, pozostałby zwyczajnie starym Stevenem Holtem do dnia zgonu. Ale w Castle Rock były również trzy cmentarze i do obowiązków brygady Holta należała opieka nad nimi. Układanie klientów na spoczynek wieczny to drobiazg w porównaniu z całością prac cmentarnych. Holt i jego chłopaki sadzili, grabili i przesadzali. Doglądali. Wpadało usuwać zwiędłe bukiety i spłowiałe flagi po świętach; po Dniu Pamięci zostawało najwięcej dziadostwa, ale Czwarty Lipca, Dzień Matki, Dzień Ojca przynosiły też sporo zajęć. Poza tym od czasu do czasu wpadało ścierać nieprzyzwoite napisy, wypisywane przez smarkaczy na sarkofagach i płytach.

Oczywiście miasto nie z tych powodów nadało Holtowi jego przezwisko. Dorobił się go grzebiąc klientów. Mama ochrzciła go Steven, ale był Szpadlem Holtem. Został Szpadlem Holtem podejmując robotę w 1964 roku i Szpadlem Holtem pozostanie aż do dnia spoczynku, nawet gdyby tymczasem podjął się innej pracy – co biorąc pod uwagę, że liczył sobie

sześćdziesiąt jeden lat, było mocno wątpliwe.

O siódmej rano w środę, pierwszego dnia czerwca, ładnego wiosennego dnia zapowiadającego ładne lato, Szpadel Holt podjechał swoją ciężarówką do cmentarza Homeland i wysiadł, by rozsunąć bramę. Brama miała zamek, ale korzystano z niego tylko dwa razy do roku – w dzień, a raczej wieczór promocji w liceum i w Halloween. Otworzywszy bramę wsiadł do wozu i powoli ruszył centralną aleją.

Tego ranka planował wyłącznie obchód. Położył obok siebie na siedzeniu podkładkę do notowania, na której zapisze obszary wymagające oczyszczenia przed Dniem Ojca. Po załatwieniu Homelandu pojedzie na cmentarz Grace po drugiej stronie miasta, a potem do cmentarzyska Stackpole przy skrzyżowaniu drogi Stackpole i drogi miejskiej nr 3. Po południu razem ze swoją brygadą zaczną pracować tam, gdzie okaże się to konieczne. Nie powinno wypaść zbyt wiele zajęć; ciężkie roboty odwalono w kwietniu, miesiącu, który Szpadel wybrał na wiosenne porządki.

Podczas tamtych dwóch tygodni wraz z Dave'em Philipsem i Dekiem Bradfordem, szefem miejskiego wydziału robót publicznych, zasuwali jak każdej wiosny po dziesięć godzin dziennie – udroźniali zatkane przepusty, sadzili świeżą darń w miejscach, gdzie topniejący śnieg porobił szkody, prostowali płyty nagrobkowe i pomniki, pod którymi obsunęła się ziemia. Na wiosnę było tysiąc jeden prac do odwalenia, małych i dużych, i Szpadel wracał do domu w takim stanie, że ledwo miał parę ugotować sobie jaki taki obiad, strzelić piwko i padał do wyra. Wiosenne porządki zawsze kończyły się tego samego dnia. Gdy Szpadel poczuł, że zastarzały ból w krzyżu znów daje mu łupnia.

Czerwcowy czas kiełkowania nie mógł się równać z kwietniem, ale również wymagał zajęć. Z końcem czerwca jak zwykle nadciągną chmury letników, a z nimi starzy mieszkańcy (i ich potomstwo), którzy wyprowadzili się w cieplejsze lub zapewniające większy dochód okolice, ale nadal posiadali posesje w granicach miasta. Ci to dopiero potrafili dopieć Szpadlowi do żywego. Niech no tylko odpadła łopatka z koła starego młyna albo nagrobek wujka Reginalda wykopyrtnął się inskrypcją w błoto, podnosili szum, że głowa mała.

No cóż, przyjdzie i zima – pomyślał. To służyło mu za pocieszenie przez wszystkie pory roku, także kiedy zima była odległa jak sen złoty.

Homeland był największym i najładniejszym z miejskich cmentarzy. Centralna aleja prawie dorównywała szerokością normalnej drodze. Krzyżowały się z nią węższe alejki, szerokie zaledwie na rozstaw kół taczki. Wszędzie rosła starannie strzyżona trawa. Szpadel jechał centralną aleją, minął pierwsze skrzyżowanie, drugie, zbliżył się do trzeciego... i
depnął
namupec.

- Ażeby to obeszczało! - wykrzyknął, zgasił silnik i wysiadł. Podszedł do nierównego dołu wykopanego jakieś pięćdziesiąt stóp dalej po prawej stronie poprzecznej alejki. Brązowe grudy i kopczyki ziemi leżały wokół jak odłamki po wybuchu granatu. - Przekłęci smarkacze!

Zatrzymał się przy dole. Wielkimi poblížnionymi rękami nerwowo poprawił na biodrach sprane zielone spodnie robocze. Co za rozgardiasz! Nieraz on i jego robotnicy musieli sprzątać po bandzie gówniarzy, która albo podbechtała się gadaniem, albo wlała w siebie tyle, że kopała grób o północy. Zwykle chodziło o jakiś chrzest wprowadzający nowicjusza do paczki albo po prostu kilku przygłupiastych szczyli dostało kota od nadmiaru bimbru i rozsadało ich. O ile Szpadel Holt się orientował, żaden nigdy nie wykopał trumny ani broń Boże nie ekshumował płatnego klienta. Ile by te dupki nie wygrzmociły, zwykle potrafiły jedynie wykopać dwu - , trzystopowy dół. Potem zabawa ich nudziła i spływali. I chociaż kopanie dołów w jednym z lokalnych miejsc spoczynku wiecznego świadczyło o złych manierach (chyba że, nie zapominajmy, podejmował się tego facet taki jak Szpadel, opłacany za grzebanie klientów i mający prawo do wykonywania tej czynności), rozgardiasz nie był tak poważny. Zwykle.

Jednakże tutaj nie było mowy o żadnym „zwykle”.

Dół był byle jaki. Jak jama. Na pewno nie można by tego nazwać grobem, gdzież tu równe kąty, prostopadłe ściany. Wykopano go głębiej, niż zwykle gmerali w ziemi licealiści, ale głębokość nie była równomierna. Dno schodziło się jak odwrócony stożek. Kiedy Szpadel uświadomił sobie, z czym mu się ono kojarzy, zimny dreszcz przeleciał mu w górę kręgosłupa.

Wyglądało to na grób kogoś pochowanego żywcem, kto ocknął się i wykopał sobie drogę na powierzchnię gołymi rękoma.

- O, żesz, daj se siana, Szpadel - zamruczał. - Jebane wygłupy. Jebani gówniarze!

Na pewno oni. Tu nie było żadnej trumny, nie przewrócono żadnego nagrobka, bo i skąd, skoro nie pogrzebano tu wcześniej żadnego ciała. Nie potrzebował wracać do szopy z narzędziami, gdzie na ścianie wisiała szczegółowa mapa, żeby się o tym przekonać. Ten sześciokwaterowy segment należał do przewodniczącego rady miejskiej, Danfortha „Bustera” Keetona. A jedyne zajęte kwatery kryły ciała ojca i wuja Bustera. Mieściły się po prawej. Nagrobki stały prosto, nie ruszane.

Szpadel pamiętał dobrze tę kwaterę z jeszcze jednego powodu. To tu te ludzie z Nowego Jorku ustawili tamten lipny nagrobek, kiedy robili ten swój kawałek o Thadzie Beaumencie. Beaumont i jego żona mieli letni dom w mieście, nad jeziorem. Dave Phillips zajmował się ich chałupą i jesienią, zanim spadły liście i znów zrobiło się huk roboty, Szpadel

pomagał Daye'owi wylać asfaltem podjazd. A na wiosnę Beaumont spytał go tak jakoś wstydliwie, czy jeden fotograf może ustawić na cmentarzu lipny nagrobek, żeby zrobić, jak rzekł, „pozowane zdjęcie”.

- Jak ci nie gra, to mów - powiedział Beaumont jeszcze bardziej wstydliwie. - Naprawdę, nie ma sprawy.

- A rób co chcesz - odrzekł Szpadel z całą uprzejmością. - Mówisz, że to faceci z „People”?

Thad potaknął głową.

- No, co ty powiesz! To ci dopiero. Facet z naszego miasta w „People”! Muszę mieć ten numer!

- Ja nie jestem taki pewny, czy mi na tym tak zależy. Dzięki, panie Holt.

Chociaż Beaumont był pisarzem, Szpadel go lubił. Sam zaliczył nie więcej jak osiem klas - ostatni oddział dopiero za drugim podejściem - i nie każdy w mieście mówił mu „pan”.
- Jak by się dało, to te dranie fotografy pewnie chciałyby twoje zdjęcie, jak stoisz golaka^{na} i jeszcze wsadzasz dogowi spluwę w srakę, co nie?

Beaumont zdobył się na rzadki u niego wybuch śmiechu.

- Taaa... tak by pewnie chcieli - powiedział i poklepał Szpadla po ramieniu.

Fotografem okazała się babka z gatunku, jak to Szpadel mówił, pierwszoklaśnych pizd miastowych. Miastem w tym wypadku oczywiście był Nowy Jork. Chodziła tak, jakby miała jedno wrzeczono w bebeczach, a drugie w tyłku, i obydwą zasuwały na wszystkich obrotach. Wzięła kombi z agencji wynajmu samochodów na lotnisku w Portlandzie i naładowała do niego górę sprzętu foto. Istny cud, że zmieścili się tam w środku z jej asystentem. Szpadel miał wrażenie, że gdyby góra sprzętu urosła ponad miarę, to jedna ciota z Wielkiego Jabłuszka będzie chciała naciągnąć go na podrzucenie na lotnisko.

Beaumontowie przyjechali własnym wozem. Sprawiali wrażenie jednocześnie zażenowanych i rozbawionych. Ale że byli z pierwszoklaśną pizdą miastową z własnej woli, Szpadel uznał, że są bardziej rozbawieni niż zażenowani. Niemniej jednak, żeby się upewnić, marudził z odejściem, nie zwracając uwagi na nadęte miny pierwszoklaśnej pizdy.

- Wszystko gra, panie B.? - spytał.

- Chryste, nie, ale chyba będzie grało - odpowiedział tamten i mrugnął do Szpadla. Szpadel niezwłocznie odmrugnął do niego.

Kiedy się upewnił, że Beaumontowie zamierzają skoń czyć, co zaczęli, zdecydował się zostać - jak każdy śmiertelnik lubił darmowe przedstawienia. Tamta kobita oprócz nawiezionych różności miała wielki lipny nagrobek. W starym stylu, zaokrąglony u góry.

Bardziej przypominał te komiksowe rysunki Charlesa Addamsa niż coś z tego, co Szpadel wmurowywał ostatnio. Robiła z tym nagrobkiem prawdziwe zawracanie dupy, kazała go przestawiać asystentowi to tu, to tam. Szpadel raz zaofiarował się z pomocą, ale ona tylko odpaliła naburmuszona w nowojorskim stylu, że nie, dziękuję, więc się wycofał.

Wreszcie nagrobek stanął tak, jak chciała, i pogoniła asystenta do ustawiania świateł. To znów zabrało z pół godzinki. Przez cały ten czas pan Beaumont stał tylko i popatrywał, czasem tarł tę małą białą bliznę, którą ma na czole. Jak to on. Wyraz jego, oczu fascynował Szpadla.

„ Ten człowiek też robi fotografie – pomyślał. – Pewnie lepsze niż jej i założę się, dłużej ^{że} przetrwają. Przymierza kobitę do książki, co to ją kiedyś napisze, a ona nawet tego nie wie” .

W końcu tamta kobita była gotowa wziąć się za fotografowanie. Kazała Beaumontom podać sobie ręce nad grobem. I żeby to choć raz! Kilkanaście razy, a jeszcze na dodatek tego dnia była paskudna pogoda. Kręciła nimi tak samo jak tym swoim piszczącym, mizdrzącym się asystencikiem. Darła się tym nowojorskim akcentem, rozkazywała, żeby zrobili to jeszcze raz, bo coś ze światłem nie grało albo z ich twarzami nie grało, albo może z jej dziurą w tyłku nie grało, i Szpadel spodziewał się, że pan Beaumont – zgodnie z tym, co głosiła plotka, nie obdarzony przesadnie cnotą cierpliwości – ryknie na nią. Ale pan Beaumont – i jego żona też – wyglądał na bardziej rozbawionego niż wnerwionego i z żoną robili wszystko grzecznie pod komendę pierwszoklasnej pizdy miastowej, choć tego dnia pogoda była naprawdę paskudna. Szpadel uznał, że gdyby chodziło o niego, dostałby po jakimś czasie kurwicy. Tak mniej więcej po piętnastu sekundach.

I to tutaj, właśnie tutaj znajdował się ten cholerny dół, tu gdzie ustawili ten lipny nagrobek! A zresztą gdyby potrzebował jeszcze jakiegoś dowodu, w rozmiękłej glebie zostały znaki, ślady po szpilkach tej pierwszoklasnej pizdy miastowej. Nie da się ukryć nowojorskiego pochodzenia, tylko kobita stamtąd mogła wejść tu w szpilkach pod koniec mokrego sezonu, a potem drobić po cmentarzu strzelając fotki. Jeśli to nie świadczy...

Ciąg myślowy urwał mu się, a ciarki znów przeleciały po kręgosłupie. Patrząc na ślady szpilek fotografki, odkrył inne, świeższe znaki.

Ślady? Czy to są ślady?!

„ Jasne, że nie. Tylko ta pusta pała, co wykopała dół, rozrzuciła ziemię. To wszystko.

Kropka” .

Ale to nie wszystko i Szpadel Holt wiedział, że nie wszystko. Zanim jeszcze stanął nad pierwszą grudką ziemi na zielonej trawie, zobaczył głęboki odcisk buta na kupie ziemi obok dołu.

„ Ślady butów. No i co z tego? Myślisz, że ten, kto tu narozrabiał, fruwał jak dobry duszek Kacper?”

Żyją na tym świecie ludzie, którym okłamywanie samych siebie idzie całkiem nieźle, ale Szpadel Holt się do nich nie zaliczał. Niecierpliwy, zręczący głos rozlegający się w jego głowie nie potrafił zaprzeczyć temu, co widziały oczy. Szpadel tropił i strzelał dziką zwierzynę całe życie. Ten znak był za wyraźny, żeby nie dało się go odczytać. Choć Szpadel modlił się do Boga, żeby było inaczej.

Tu, na kupie ziemi koło dołu, został nie tylko ślad buta, ale i okrągły odcisk duży prawie jak talerz. Wgłębienie po lewej stronie odcisku buta. A po obu stronach tych dwóch znaków, ale bliżej dołu, znalazły się rowki. Wyraźne ślady palców, które omsknęły się trochę, zanim wbiły pewnie w grunt.

Popatrzył dalej poza pierwszy odcisk buta i zobaczył następny. Jeszcze dalej na trawie była połówka trzeciego. But dotknął podłoża i gruda ziemi odpadła od podeszwy. Odpadła, ale zachowała dość wilgotności, żeby utrwalić ten... jak i kilka następnych śladów, pierwszych, które mu wpadły w oko. Gdyby nie przyszedł tak wściekle rano, kiedy trawa jest jeszcze mokra, słońce wysuszyłoby ziemię i rozleciałaby się na małe, nic nie znaczące grudki.

Gorąco żałował, że nie przyszedł później, że najpierw nie wybrał się na cmentarza Grace, jak to sobie postanowił wyjeżdżając z domu.

Ale nie przyszedł później i tyle.

Fragmentaryczne ślady butów ciągnęły się na niecałe dwanaście stóp od

(grobu)

dołu w ziemi. Szpadel podejrzewał, że dalej zroszona trawa mogła zachować kolejne odciski. Wypadało sprawdzić, choć wcale się do tego nie palił. Jednakże teraz skierował wzrok ku najwyraźniejszemu znakom, odbitym na kupie ziemi tuż obok dołu.

Rowki po palcach; okrągły odcisk lekko przed nimi; ślad buta obok. Jaką historyjkę opowiadała to konfiguracja?

Szpadel nie musiał się wcale natężyć, żeby sformułować odpowiedź na to pytanie. Usłyszał ją tak wyraźnie, jak tamten tajemniczy głos w starym programie Groucho Marxa, Załóż się o życie. Zrozumiał to tak dobrze, jakby był świadkiem całego wydarzenia. Właśnie dlatego nie chciał mieć z tym absolutnie nic wspólnego. Dostawało się od tego cholernych

dreszczy, ot co.

No, spójrzcie tylko: oto jakiś człowiek staje w świeżo wykopanym dole.

Dobra, ale jak się w nim znalazł?

Dobra, ale jak go wykopał? A może dół to robota kogo innego?

Dobra, ale dlaczego kępki trawy są poszarpane, postrzępione i wyrwane, jakby darń rozdarto gołymi rękami, a nie rozcięto gładko szpadlem?

Nie przejmuj się żadnymi „ ale ” . Wcale się nimi nie przejmuj. Może lepiej w ogóle nie należy zawracać sobie nimi głowy. Weź pod rozwagę tylko tego człowieka stojącego w dole, dole, który jest trochę za głęboki, żeby z niego zgrabnie wyskoczyć. Więc co ten człowiek robi? Kładzie ręce na najbliższej kupce ziemi i podciąga się. Żadna sztuka dla dorosłego mężczyzny. Szpadel popatrzył na kilka wyraźnych śladów butów i pomyślał: „ To nie dzieciak, musiałyby mieć strasznie wielkie stopy. Te to co najmniej dwunastki ”

Opiera ręce. Podciąga ciało. Ręce obsuwają mu się trochę w sypkiej ziemi, więc wbija palce i zostawia te rowki. Wyciąga się na zewnątrz, opiera całym ciężarem na kolanie, robiąc to okrągłe wgniecenie. Stawia stopę obok kolana, przenosi ciężar z kolana na stopę, wstaje i odchodzi. Proste jak dwa i dwa cztery.

„ Więc jakiś facet wykopał się z grobu i po prostu poszedł sobie, czy tak? Może leżąc pod ziemią zgłodniał trochę i uznał, że trza skoczyć do jadłodajni Nana na kanapkę z serem i piwko? ”

– Do cholery, to żaden grób, to tylko francowaty dół w ziemi! – zawołał. Podskoczył, bo wróbel obsztorcował go za wrzaski.

Tak, to tylko dół w ziemi – czy już sobie tego nie powiedział? Ale jakim cudem nie ma śladów po szpadlu? Jakim cudem biegnie tylko jeden ślad butów z dołu, a żaden wokół niego, żaden ku niemu, co być powinno, jeśli facet kopał i od czasu do czasu deptał wykopywaną ziemię, jak to faceci kopiący doły zwykle czynią.

Zaczął się głowić, co ma z tym wszystkim począć. Niech go szlag trafi, jeśli wiedział. Podejrzewał, że technicznie rzecz biorąc popełniono przestępstwo, ale trudno oskarżyć przestępcę o splądrowanie grobu, gdy w wykopanej kwaterze nie złożono ciała. Najcięższym przestępstwem, o jakie można by oskarżyć sprawcę, był „ wandalizm ” , ale gdyby miano podciągnąć to jeszcze pod coś, Szpadel Holt nie zgłaszał się na podciągacza.

Może najlepiej zrobi, jeśli zasypie dół, znajdzie resztki darni, poukłada na swoich miejscach, postara się o świeże kawałki, wyrówna całość, a potem puści to wszystko w niepamięć?

„ Zresztą – powiedział sobie po raz trzeci – tu nikogo nie pochowano ” .

Natychmiast ujrzał w wyobraźni tamten deszczowy wiosenny dzień . Rety, jak ten nagrobek autentycznie wyglądał! Kiedy się widziało chuchrowatego asystenta przedstawiającego go z miejsca w miejsce, wiadomo było, że to dla picu, ale kiedy już go ustawili, ze sztucznymi kwiatkami na froncie i w ogóle, przysięgłbyś, że to autentyk i pod nim naprawdę ktoś...

Na ramionach poczuł gęsią skórę.

- Przestań z tym, i to zaraz! - zachrypiał, a kiedy wróbel znów go obsztorcował, Szpadel z ulgą powitał ten niesympatyczny, ale doskonale prawdziwy i doskonale zwyczajny dźwięk. - A drzyj się, drzyj, mamuń ciu - powiedział i podszedł do ostatniego, niepełnego odcisku buta.

Za nim, jak to mniej więcej podejrzewał, ujrzał kolejne ślady na trawie. Były rzadko rozrzucone. Spoglądając na nie Szpadel pomyślał, że facet, choć nie biegł, na pewno nie marnował czasu. Czterdzieści jardów dalej dostrzegł, że gość się rozwinął; kosz z kwiatami leżał odrzucony kopnięciem. Choć tak daleko Szpadel nie widział już żadnych śladów, kosz znajdował się dokładnie na przedłużeniu tamtych, które widział. Kosz dało się obejść, ale typas nie zrobił tego. Przeciwnie, po prostu kopnął go na bok i szedł dalej.

Ci, którzy tak postępowali, nie byli w opinii Szpadla facetami, z którymi można było sobie lecieć w chuja, chyba że miało się ku temu sakramencko ważny powód.

Gość przemierzał cmentarz w skos, jakby w kierunku niskiego murku oddzielającego miejsce spoczynku zmarłych od szosy. Przemierzał go dużymi krokami jak człowiek, który ma niejedną sprawę do załatwienia.

Choć wyobraźnia Szpadla nie była większa niż jego zdolność samooszukiwania (zresztą te dwie cechy mają skłonność występować w parze), jednak zobaczył tego faceta; zobaczył; oto wielgachny gość na wielgachnych girach szybko maszeruje w ciemnościach przez elegancką dzielnicę zmarłych; wielgachne giry poruszają się pewnie, miarowo, kopnięciem zmiatają z drogi kosz kwiatów nie gubiąc rytmu. I nie boi się. Do tego faceta to niepodobne. Ponieważ jeśli - jak wierzą co poniektórzy - są tu jakieś żywe istoty, to one boją się jego. Idzie, bieży, maszeruje i niech Bóg ma w swojej opiece każdego, kto wejdzie mu w drogę!

Ptak znów się odezwał.

Szpadel podskoczył.

- Daj se spokój, stary - napomniał się raz jeszcze. - Zasyp to drań stwo i daj se spokój!

Jak najbardziej; zasypał i zamierzał dać se spokój, ale po południu Deke Bradford dopadł go przy Stackpole Road, wyrównującego teren, i podzielił się wieściami na temat

Homera Gamache'a, którego znaleziono tego przedpołudnia niecałą milę od Homeland przy drodze nr 35. Przez większość dnia miasto aż huczało od plotek i spekulacji.

Więc Szpadel Holt niechętnie udał się na słówko do szeryfa Pangborna. Nie wiedział, czy dół i ślady mają jakiś związek z Homerem Gamache'em, ale najlepiej chyba zrobi zgłaszając wszystko tym, którym płacono za robienie porządku z takimi sprawami.

Śmierć w małym miasteczku

Castle Rock, przynajmniej w ostatnich latach, nie miało szczęścia.

Jakby na przekór staremu powiedzeniu, że piorun rzadko uderza w to samo drzewo, w ciągu ostatnich ośmiu, dziewięciu lat kilka nieszczęść przytrafiło się Castle Rock – nieszczęść na tyle poważnych, by miasteczko pojawiło się w wiadomościach ogólnokrajowych. Kiedy te wydarzenia miały miejsce, szeryfem był George Bannerman, ale Wielki George, jak go z uczuciem tytułowano, nie mógł zająć się sprawą Homera Gamache’a, ponieważ Wielki George był już martwy. Przeżył pierwsze nieszczęście, serię gwałtów połączonych z uduszeniami, popełnionych przez jego podkomendnego, ale w dwa lata później przy miejskiej drodze nr 3 zagryzł go wściekły pies – nie tyle zagryzł, co dosłownie rozszarpał. Oba te przypadki były wyjątkowo dziwne, ale świat jest dziwnym miejscem. I trudnym do życia. A czasami... niefortunnym.

Nowy szeryf (Alan Pangborn sprawował urząd już ósmy rok, ale uznał, że pozostanie „nowym szeryfem” przynajmniej do roku 2000 – założywszy przy tym, powiedział żonie, że będzie tak długo kandydował i będzie wybierany) nie przebywał wtedy w Castle Rock; aż do 1980 roku zarządzał wydziałem drogówki w małym – ale – dorastającym – rangi – średniego mieście na północy stanu Nowy Jork, niedaleko Syracuse.

Spoglądając na zmaltretowane zwłoki Homera Gamache’a, leżące w rowie obok drogi nr 35, żałował, że nadal nie urzęduje koło Syracuse. Wyglądało na to, że jednak nie wszystkie nieszczęścia, które spadały na miasteczko, odeszły wraz z ostatnim tchnieniem Wielkiego George’a Bannermana.

„Och, przestań, tylko nie żałuj, że nie jesteś gdzie indziej na tym Bożym padole. Żałuj, bo nieszczęście gotowe. Annie i chłopcy czują się tu świetnie i ty też. Więc czemu po prostu nie weźmiesz się do roboty?”

Cenna rada. Alan Pangborn odkrył, że głowa zawsze udziela nerwom rad, których nie są w stanie zrealizować. Odpowiadały: „ Tak jest, proszę pana. Ależ oczywiście. Ma pan całkowitą słuszność” . I zaczynały dygotać jak szalone.

Niemniej jednak załatwianie takich spraw jest jego obowiązkiem, nieprawdaż? Pełniąc urząd szeryfa zeskrobał z miejskich dróg resztki jakiejś czterdziestki ofiar, rozdzielił nieskończone ilości bójek, miał do czynienia z setką przypadków maltretowania współmałżonków i dzieci – a to tylko wypadki zgłoszone. Ale sprawy zwykle się wyrównują; miasteczko, które nie tak dawno nawiedził wielokrotny morderca, miało rozkosznie niski wskaźnik zabójstw. Tylko cztery przypadki i tylko jeden sprawca zwał – Joe Rodway, po tym jak strzelił żonie w łeb. Zebrawszy trochę informacji o szanownej denatce, Pangborn był niemal niezadowolony, gdy policja z Kingston, Rhode Island, przysłała teleks informujący o zatrzymaniu Rodwaya.

Jedno z pozostałych morderstw popełniono z użyciem pojazdu, a reszta to zwykłe zabójstwa drugiego stopnia, jedno nożem, a drugie gołymi rękami – w tym ostatnim wypadku chodziło o maltretowanie małżonka, najzwyczajniej posunięte za daleko. Zbrodnia wyróżniała się jedną nietypową cechą: żona zatłukła na śmierć pijanego do nieprzytomności męża, tym jednym apokaliptycznym laniem wyrównując dwadzieścia zaległych lat. Kiedy pakowano kobiecinę za kratki, jej ostatnia partia sińców zachowała jeszcze wspaniałą żółtą barwę. Pangborn nie był wcale niezadowolony, gdy podsądnej upiekło się na sześciu miesiącach paki i sześciu latach nadzoru. Sędzia Pender zdecydował się na ten wyrok chyba tylko dlatego, że nie wypadało dać jej tego, na co naprawdę zasługiwała. Czyli medalu.

Prawdziwe małomiasteczkowe morderstwa, odkrył Pangborn, rzadko są podobne do małomiasteczkowych morderstw z powieści Agathy Christie, w których siódemka ludzi po kolei dziurawi ciało niegodziwego pułkownika Storpinga” „ Wole Gardło” w jego wiejskim domu „ Puddleby na Wrzosowiskach” podczas śnieżnej zadymki. Kiedy policja zjawia się w miejscu prawdziwego zabójstwa, sprawca stoi jak słup soli, gapi się na uczynioną jatkę i zachodzi w głowę, jak on to, kurwa, zrobił! Jakim cudem wszystko wymknęło się spod kontroli z tak zabójczą prędkością? Nawet jeśli sprawca się oddali, zwykle nie ujdzie daleko, a kilku naocznych świadków może dokładnie opowiedzieć, jak się to stało, kto to zrobił i dokąd poszedł. W tym ostatnim wypadku odpowiedź zwykle wskazuje na najbliższy bar. Prawdziwe małomiasteczkowe morderstwo jest z zasady proste, brutalne i głupie.

Z zasady.

Ale zasady istnieją po to, aby je łamać. Piorun jednak niekiedy uderza dwa razy w to samo drzewo i od czasu do czasu morderstwa, które zdarzają się w miasteczkach, nie dają się

natychmiast rozwiązać... takie morderstwa jak to.

Pangborn mógł zaczekać.

Funkcjonariusz Norris Ridgewick wrócił od swego wozu patrolowego, zaparkowanego za pojazdem Pangborna. Rozmowy policjantów, prowadzone przez radio, były słyszalne w ciepłym powietrzu późnej wiosny.

- Ray jedzie? - spytał Pangborn. Ray to Ray Van Allen, anatomopatolog i koroner okręgu Castle.

- Ehem - odrzekł Norris.

- Co z żoną Homera? Ktoś już ją zawiadomił?

Mówiąc te słowa Pangborn odgonił muchy z odwróconej ku niebu twarzy Homera.

Niewiele z niej zostało poza sterczącym nosem. Gdyby nie proteza lewej ręki i złoty ząb, zajmujący ongi miejsce w ustach Gamache'a, a teraz leżący w kawałeczkach na strzępkach szyi i gorsie koszuli, to wątpliwe, czy własna matka rozpoznałaby denata.

Norris Ridgewick, wykazujący przelotne podobieństwo do Barneya Fife'a, zastępcy szeryfa w starym Andy Griffith Show, przestąpił z nogi na nogę i popatrzył na swoje buty, jakby nagle wzbudziły w nim wielkie zainteresowanie.

- Tego... John patroluje Castle View, a Andy Clutterbuck jest w Auburn, w sądzie miejskim...

Pangborn westchnął i wyprostował się. Gamache żył sześćdziesiąt siedem lat.

Mieszkał z żoną w czyściutkim domku przy starej parowozowni niecałe dwie mile stąd.

Dzieci Gamache'ów dorosły i poszły w świat. Nie kto inny tylko pani Gamache zadzwoniła do biura szeryfa wcześniej tego rana. Nie płakała, ale łzy dusiły ją w gardle, kiedy mówiła, że obudziła się o siódmej i okazało się, że Homer, który czasem uciekał przed jej chrapaniem do jednego z pokoi dzieci, nie wrócił do domu wczoraj w nocy. O siódmej wieczór wyszedł na mecz ligi kręglarskiej, tak jak zawsze, i powinien wrócić przed północą, najpóźniej pół godziny po północą, ale wszystkie łóżka są puste, a ciężarówka nie ma na dworze ani w garażu.

Sheila Brigham, dyspozytor dzienny, przekazała tę wiadomość szeryfowi Pangbornowi. Szeryf tankował wtedy benzynę na stacji Sunoco Sonny'ego Jacketta. Z automatu zadzwonił do pani Gamache.

Podawała mu informacje na temat ciężarówka - furgonetka chevrolet, rocznik '71, biała z

zaprawkami, w szoferce uchwytu na strzelbę, tablice rejestracyjne Maine, nr 96529Q. Przez radio przekazał to funkcjonariuszom w terenie (w związku z wyjazdem Cluta do sądu w Auburn pozostało ich trzech) i powiedział pani Gamache, że kiedy tylko na coś trafi, skontaktuje się z nią. Homer miał słabość do piwa, zwłaszcza w te wieczory, kiedy grał w kręgle, ale nie był durniem. Gdyby wypił tyle, że czułby się niepewnie za kółkiem, przespałby noc na kanapie w salonie u jakiegoś kolesia od kręgli.

Pięknie. Pozostawało tylko jedno „ale”. Jeśli Homer zdecydował się przespać u kumpla z drużyny, dlaczego nie zadzwonił do żony? Czyżby nie wiedział, że będzie się martwiła? No cóż, było późno, może nie chciał jej budzić. To jedna możliwość. Zdaniem Pangborna istniała jeszcze lepsza. Gamache zadzwonił, żona spała, drzwi dzielą jej sypialnię od telefonu. A wypada dodać, że chrapie ogłuszająco.

Pangborn pożegnał wzburzoną niewiastę. Odwiesił słuchawkę uznawszy, że małżonek zjawi się w domu najpóźniej o jedenastej rano, skruszony i z ciężkim kacem. Ellen wygarnie do słuchu staremu hulace. Równocześnie Pangborn przyznał mu – w duchu – rację. Zachował na tyle oleju w głowie, żeby będąc pod dobrą datą nie jechać trzydziestu mil z South Paris do Castle Rock.

W godzinę po telefonie Ellen Gamache uświadomił sobie, że nie wszystko w jego ocenie sytuacji klapuje. Gdyby Gamache przespał noc u kolegi, musiałyby się to zdarzyć dopiero po raz pierwszy. Inaczej jego żona sama by na to wpadła i odczekała jakiś czas, zanimby zadzwoniła do biura szeryfa. W tym momencie Alana uderzyło, że Homer Gamache jest trochę za stary na zmienianie nawyków. Gdyby więc przespał ostatnią noc poza domem, z pewnością zrobiłby to nie po raz pierwszy. Tymczasem telefon od żony sugerował, że tak nie było. Gdyby już kiedyś zalał pałę przy kręglach i podpity ruszył do domu, prawdopodobnie powtórzyłby ten numer i wczorajszej nocy... ale nie powtórzył.

„Więc starego psa stać i na nową sztuczkę – pomyślał. – Bywa. A może tylko wypił więcej niż zwykle. Do diabła, może nawet wypił tyle co zawsze, a bardziej poszło mu do głowy. Powiadają, że to trafia się ludziom”.

Próbował zapomnieć o Homerze Gamache’u, przynajmniej na razie. Miał morze papierkowej roboty do odwalenia, siedział więc za biurkiem, turlał ołówek po blacie i myślał o starym moczymordzie, który tkwi gdzieś tam w szoferce swojej furgonetki, tym starym moczymordzie, którego siwa czupryna ma krótki wojskowy fryz, a sztuczna ręka przypomina, co stracił w miejscowości o nazwie Pusan podczas nie wypowiedzianej wojny, która toczyła się wtedy, gdy większość dzisiejszych weteranów z Wietnamu rżnęła jeszcze w pieluchy...

No cóż, nic z tego nie przedostało się na papier i bynajmniej nie pomogło znaleźć

Gamache' a.

Mimo to podszedł do dziupli, w której urzędowała Sheila Brigham, i nakazał odnaleźć Norrisa Ridgewicka. Chciał się dowiedzieć, czy ten już telefonował z jakąś wiadomością. Raport Norrisa spowodował, że strużka niepokoju Alana pogłębiła się i zamieniła w zimny potok.. Przelatywał szeryfowi przez bebechy i z lekka paraliżował.

Alan drwił z tych, którzy w radiowych programach ze słuchaczami mówili o telepatii i wiedzy uprzedniej, drwił na sposób ludzi, którym działanie na nosa tak weszło w krew, że ledwo są tego świadomi. Ale gdyby zapytać go, co sądzi na temat Homera Gamache' a w tej chwili, odpowiedziałyby: „ Kiedy Norris zadzwonił... no cóż, wtedy dotarło do mnie, że staruszek jest może ciężko ranny albo martwy. Raczej to drugie”

Norris zatrzymał się na drodze nr 35, koło domu Arsenaultów, milę na południe od cmentarza Homeland. Nie myślał nawet o Homerze Gamache' u, chociaż domy Arsenaultów i Gamache' ów dzieliły niecałe trzy mile i gdyby poprzedniej nocy Homer jechał najkrótszą drogą z South Paris, musiałyby mijać Arsenaultów. Norris nie sądził, żeby któryś z tutejszych domowników widział Homera w nocy. Gdyby tak było, dotarłby on do domu zdrowy i cały dziesięć minut później.

Tylko dlatego zatrzymał się przy farmie Arsenaultów, że w obrębie trzech miasteczek mieli najlepszy przydrożny stragan z własnymi produktami. Norris był jednym z tych niewielu kawalerów, którzy lubili gotować, i uległ straszliwej pokusie zjedzenia świeżego cukrowego groszku. Chciał się zorientować, czy Arsenaultowie nie mają go trochę na zbyciu. Przy okazji spytał Dolly Arsenault, czy przypadkiem poprzedniej nocy nie widziała ciężarówki Homera Gamache' a.

- A wiesz co - rzekła pani Arsenault - to zabawne, że o to spytałeś, bo faktycznie widziałam. Wczoraj późną nocą. Nie... jak się dobrze nad tym zastanowić, to było dziś, niedługo po północy, program Johnny' ego Carsona wciąż leciał, ale już zbliżał się do końca. Chciałam spałaszować jeszcze jedną kompotierkę lodów, zerknąć na program Davida Lettermana i iść spać. Nie śpię za dobrze dzisiejszymi czasy, a tamten człowiek z drugiej strony szosy mnie zdenerwował.

- Jaki człowiek, pani Arsenault? - zapytał tknięty nagłą ciekawością Norris.

- Nie mam pojęcia, ot jakiś tam człowiek. Nie spodobał mi się jego wygląd. Hm, ledwo go widziałam, a nie spodobał mi się, jak to możliwe? Głupio to brzmi, wiem, ale

zakład dla obłąkanych w Juniper Hill wcale nie jest tak daleko, więc kiedy się zobaczy samotnego mężczyznę na wiejskiej drodze prawie o pierwszej w nocy, to wystarczy, żeby się zdenerwować, nawet jeśli ten mężczyzna nosi garnitur.

- Co to był za garnitur...? - zaczął Norris, ale nic nie wskórał. Pani Arsenault reprezentowała typ typem wytrwałej wiejskiej gaduły i po prostu przetoczyła się po pytaniu Norrisa, majestatycznie a bezwzględnie. Zdecydował się wziąć rozmówczynię na przeczekanie i zapamiętać te wiadomości, które okażą się użyteczne. Wyjął z kieszeni notatnik.

- Ten garnitur - kontynuowała - jakoś mnie jeszcze bardziej zdenerwował! Jakoś mi nie pasowało, żeby mężczyzna nosił garnitur o takiej porze! Rozumiesz, o co mi chodzi. Pewnie nie rozumiesz, pewnie myślisz sobie, że masz przed sobą starą idiotkę, a pewnie i jestem starą idiotką, ale na minutkę, nim nadjechał Homer, miałam wrażenie, że tamten mężczyzna szykuje się wejść do nas. Wstałam, żeby się upewnić, czy drzwi są pozamykane na klucz. On się tak jakoś przypatrywał. Wiesz, zauważyłam to. Myślę sobie, że się przypatrywał, bo pewnie spostrzegł, że choć jest późno, ciągle świeci się światło. Pewnie widział też i mnie, bo w oknie wiszą tylko firanki. Twarzy to nie dojrzałam - nie było księżycy. Nie wierzę, żeby w ogóle kiedyś dociągnęli oświetlenie drogi aż do nas, co dopiero telewizję kablową, jaką mają w mieście - ale dojrzałam, że odwrócił głowę. No i zrobił krok przez drogę - przynajmniej tak mi się zdawało, albo zdawało mi się, że ma taki zamiar, rozumiesz, o co mi chodzi - i pomyślałam sobie, że podejdzie, zapuka, powie, że mu samochód nawalił, i poprosi o skorzystanie z telefonu, i zastanawiałam się, co powinnam odpowiedzieć, jeśli tak zrobi, i czy w ogóle powinnam podchodzić do drzwi. Podejrzewam, że jestem starą idiotką, bo zaczęłam myśleć o tym hiczkoce z wariatem, który potrafił ściągnąć ptaszki na dół z drzewa, tylko że siekierką kogoś porąbał, no wiesz, i ukrył kawałki trupa w bagażniku samochodowym, i tylko dlatego go złapali, że miał nieczynne jedno światło pozycyjne w wozie czy coś takiego... ale z drugiej strony...

- Pani Arsenault, jeśli łaska, chciałbym zapytać...

- ...nie chciałam wyjść na Filistynkę czy Saracenkę, czy gomoranekę, czy na kogoś tam, kto przechodził po drugiej stronie drogi - kontynuowała pani Arsenault. - Wiesz, w tej historii o miłosiernym Samarytaninie. Więc miałam tu mały orzech do zgryzienia. Ale powiedziałam sobie...

Norris zapomniał kompletnie o słodkim groszku. Wreszcie zdołał uciszyć panią Arsenault oznajmiając, że mężczyzna, którego dostrzegła, jest obiektem, jak to nazwał, „toczącego się śledztwa”. Udało mu się zawrócić ją do początku opowieści i skłonić do

powtórzenia wszystkiego, wyjąwszy wzmiankowanego hiczka, tudzież historię o miłośnier-
nym Samarytaninie, jeśli łaska.

A oto, co zrelacjonował przez radio szeryfowi Alanowi Pangbornowi: Pani Arsenault
oglądała sama The Tonight Show, mąż i chłopcy spali. Jej fotel stał przy oknie wychodzącym
na drogę nr 35. Roleta była podwinięta. Około dwunastej trzydzieści albo dwunastej czter-
dzieści wyjrzała przez okno i zobaczyła mężczyznę stojącego po drugiej stronie drogi... to
znaczy po stronie cmentarza Homeland.

Czy ten mężczyzna przybył z tamtego kierunku czy skądinąd?

Tego pani Arsenault nie była pewna. Miała wrażenie, że mógł stamtąd przyjść,
co znaczyłoby, że oddalał się od miasta, ale nie wiedziała, na czym opiera to przypuszczenie.
Wyjrzała poprzednio przez okno raz i nie zobaczyła nikogo, a potem, zanim podniosła się po
lody, wyjrzała znów – i on tam stał. Stał sobie i patrzył na oświetlone okno, prawdopodobnie
na nią. Spodziewała się, że przejdzie przez drogę, albo nawet zrobił krok do przodu (praw-
dopodobnie stał, pomyślał Alan; reszta to tylko efekt rozgorączkowanej wyobraźni kobiety),
kiedy na szczycie wzniesienia błysnęły reflektory samochodu. Wtedy mężczyzna w garniturze
podniósł kciuk w typowym, międzynarodowym geście autostopowicza.

– To była ciężarówka Homera, wypisz wymaluj, i Homer siedział za kółkiem –
powiedziała pani Arsenault Norrisowi Ridgewickowi. – Najpierw wyglądało, że zwyczajnie
pojedzie dalej, jak każdy normalny człowiek, który widzi autostopowicza w środku nocy, ale
zaraz błysnęły światła stopu, mężczyzna podbiegł do szoferki od strony pasażera i wsiadł.

Pani Arsenault, która liczyła sobie czterdzieści sześć lat, a wyglądała o dwadzieścia
starzej, potrząsnęła siwą głową.

– Homer musiał być w dobrym nastroju, żeby tak późno brać autostopowicza –
powiedziała. – Musiał być w dobrym nastroju albo za bardzo ufa ludziom. Znam Homera od
trzydziestu pięciu lat. Nie ufa ludziom.

Zastanowiła się.

– No... nie za bardzo.

Norris usiłował wydobyć od pani Arsenault nieco więcej szczegółów na temat
garnituru mężczyzny, ale bez powodzenia. Pomyślał, że to doprawdy szkoda, iż oświetlenie
drogi kończy się przy cmentarzu Homeland, ale miasteczka takie jak The Rock dysponowały
skromnym budżetem.

Miał na sobie garnitur, to jasne, nie wiatrówkę ani kurtkę, i garnitur nie był czarny,
to pozostawiało szeroką ^{ale}gamę kolorów do wyboru. Wedle pani Arsenault garnitur mężczyzny
nie był, dokładnie biorąc, biały, ale mogła jedynie przysiąc, że nie był czarny.

- Wcale nie proszę panią o przysięganie, pani A. - powiedział Norris.

- Kiedy się rozmawia z przedstawicielem prawa w sprawie urzędowej - odrzekła pani A. krzyżując sztywno ramiona na piersi - wychodzi na jedno.

Całą jej wiedza sprowadzała się do tego: mniej więcej za kwadrans pierwsza w nocy Homer Gamache zabrał do wozu autostopowicza. Nie było to nic, z czym dzwoni się do FBI, chciałoby się rzec. Sprawa stawała się ponura dopiero wtedy, kiedy skojarzyło się z nią fakt, że Homer wziął pasażera niecałe trzy mile od własnego progu... którego jednak nie przekroczył.

Pani Arsenault miała też rację co do garnituru. Widok autostopowicza na odludziu przy cmentarzu już był dziwny - za kwadrans pierwsza w nocy przeciętny włóczęga chrapałby w opuszczonej stodole albo szopie - ale gdy dodało się jeszcze fakt, że miał on na sobie garnitur i krawat („ W ciemnym kolorze - orzekła pani A. - tylko nie każcie mi zeznawać pod przysięgą, w jakim ciemnym kolorze. Nie wiem i nie przysięgnę”), wszystko stawało się z każdą chwilą mniej przyjemnie.

- Co mam dalej robić? - spytał Norris zakończony raport.

- Nie ruszaj się stamtąd - powiedział Alan. - Dopóki nie przyjadę, poopowiadajcie sobie z panią A. hiczkoki. Sam za nimi przepadam.

Ale nie ujechał mili, gdy musiał zmienić miejsce spotkania. Kazał Ridgewickowi stawić się milę na zachód od domu Arsenaultów. Chłopak nazwiskiem Frank Gavineaux, wracając do domu po porannym wędkowaniu w Strimmer's Brook, dojrzał parę nóg wystających z wysokich zarośli po południowej stronie drogi nr 35. Popędził do domu i zdał relację matce. Ta zadzwoniła do biura szeryfa. Sheila Brigham przekazała wiadomość Alanowi Pangbornowi i Norrisowi Ridgewickowi. Sheila stosowała się do regulaminu i nie używała nazwisk - zbyt wielu małych podsłuchiwczy siedziało przy wielkich obrach i bearcicach, prowadząc nasłuch na policyjnych częstotliwościach - ale zdenerwowanie w głosie dyspozytorki zdradziło Alanowi, że aż za dobrze wiedziała, do kogo należą wystające nogi.

Tego przedpołudnia dobre było tylko to, że Norris skończył opróżnić żołądek przed przyjazdem Alana i zachował na tyle trzeźwości umysłu, aby wymiotować po północnej stronie drogi, z dala od zwłok i tych dowodów, jakie mogły się blisko znajdować.

- Co teraz? - spytał Norris, przerywając bieg myśli swego szefa.

Alan westchnął ciężko i przestał odganiać muchy od szczątków Homera. Walka z insektami była skazana na przegraną.

- Teraz muszę podjechać do Ellen Gamache i powiedzieć jej, że twórca wdów dziś w

nocy nie próżnował. Zostań przy ciele. Postaraj się odgonić muchy.

- Rany, szeryfie, dlaczego? Strasznie ich dużo. A on jest...

- Martwy, taaa... widzę. Nie wiem, dlaczego. Chyba dlatego, że tak być powinno. Nie możemy mu przyszyć z powrotem pieprzonego ramienia, ale przynajmniej możemy utrudnić muchom sranie na to, co zostało z jego nosa.

- W porządku - pokornie rzekł Norris. - W porządku, szeryfie.

- Norris, jak ci się zdaje, może gdybyś się przyłożył, mógłbyś mi mówić „Alan” ?

Gdybyś to sobie przećwiczył?

- Pewnie, szeryfie, tak mi się zdaje.

Alan chrząknął i odwrócił się, żeby po raz ostatni rzucić okiem na ten wycinek rowu, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa już niedługo będzie otoczony jasnożółtymi taśmami z napisem: MIEJSCE PRZESTĘPSTWA - WEJŚCIE WZBRONIONE, przyklejonymi do żerdeń postawionych przez ekipę śledczą. Zjawi się koroner okręgowy. Zjawi się Henry Payton z koszar policji stanowej w Oxfordzie. Fotograf i technicy z wydziału zabójstw prokuratora generalnego prawdopodobnie się nie zjawia - chyba że ściągnięto ich wcześniej w te okolice do innej sprawy - ale dotrą niebawem. Do pierwszej po południu przyjedzie też ruchome laboratorium policji stanowej, cud kryminalistyki na kółkach, wiozący techników i speców od gipsowych odcisków opon, których śladów Norris w przebiegu inteligencji lub za sprawą szczęśliwego przypadku nie rozjechał wozem patrolowym (niechętnie, bo niechętnie, Alan raczej skłaniał się ku wierze w przypadek).

I jaki obrazek zarysuje się w efekcie zabiegów tych wszystkich przyjezdnych osób? Ano taki: na wpół pijany starzec zatrzymał się, żeby zrobić przysługę nieznanemu. („Ładuj się, młodzieńcze - Alan słyszał głos Homera - jadę tylko parę mil, ale zawsze mogę cię trochę podrzucić”). I nieznanomy odwdzieczył się. Pobił starego śmiertelnie i skradł ciężarówkę.

Alan podejrzewał, że mężczyzna w garniturze poprosił Homera o postój - najprawdopodobniej pod pretekstem odpryskania się - i kiedy tylko wóz zahamował, przyłożył staremu, wyciągnął go i...

Ach, właśnie to było najgorsze. Cholera, nie, nie najgorsze. Było nie do zniesienia.

Alan po raz ostatni spojrzął na rów - tam gdzie Norris Ridgewick przyklepnął obok krwawego kawałka mięsa, niegdyś ciała człowieka, i cierpliwie odganiał podkładką do notowania muchy z resztek twarzy Homera - i poczuł, że żołądek fika mu kozła.

„On był tylko starcem, ty skurwysynu - starcem jedną nogą stojącym w grobie, z jedną sprawną ręką, starcem, któremu tylko pozostało cieszyć się na wieczorną partyjkę kręgli.

Więc czemu nie przyłożyłeś mu raz a dobrze w szoferce i nie dałeś żyć? Była ciepła noc, a nawet gdyby była chłodnawa, dziadkowi pewnie nic by się nie stało. Założę się o zegarek, że znajdziemy w jego żyłach sporo przeciwzamarzacza. A numery rejestracyjne i tak rozesłano na wszystkie strony. Więc po co to? Chłopie, mam nadzieję, że będę miał okazję cię o to spytać” .

Ale czy motyw zbrodni ma jakieś znaczenie? Dla Homera Gamache’a z pewnością nie. Już nie. Już nigdy nic nie będzie miało znaczenia dla Homera. Bo przyłożywszy mu raz a dobrze, autostopowicz wyciągnął go z szoferki i zawlókł do rowu. Alan nie potrzebował pomocy chłopaków z wydziału zabójstw, żeby odczytać ślady zostawione przez obcasy butów Gamache’a. Ciągnąc Homera autostopowicz zauważył, że ma do czynienia z kaleką. Na dnie rowu oderwał sztuczne przedramię i zatłukł nim starca na śmierć.

96529Q

- Spokojnie, spokojnie - głośno odezwał się funkcjonariusz policji stanu Connecticut, Warren Hamilton, choć siedział w wozie patrolowym sam. Był wieczór, drugi czerwca, jakieś trzydzieści pięć godzin po odkryciu zwłok Homera Gamache'a opodal pewnego miasteczka w Maine, o którym policjant stanowy Hamilton w życiu nie słyszał.

Znajdował się na parkingu McDonalda (po jego południowej stronie) w Westport, przy autostradzie międzystanowej I - 95. Podczas patrolowania międzystanowej zwykł zajeżdżać na parkingi restauracji - i - stacji. Po zgaszeniu świateł, sprawdziwszy bez pośpiechu ostatni rząd wozów, czasem zaliczał nieliczne zatrzymanki. Lepiej niż nieliczne. Czarowne. Wyczuwając taką okazję, bardzo często mówił do siebie. Te tyrady zwykle zaczynały się od „Spoko, spoko”, potem następowało coś w rodzaju „Sprawdźmy tego palanta” albo „A co mamcia na to?” Zwąchawszy smakowity kąsek policjant stanowy Hamilton był nieodmiennie ciekaw, co mamcia na to.

- A co my tu mamy? - zamruczał tym razem i zawrócił. Minął camaro. Minął toyotę. W miedziowym blasku lamp sodowych miała kolor powoli schnących końskich jabłek. I... da - DAM!!! Oto stara ciężarówka GMC, która w tym poblasku wyglądała na pomarań czową, co znaczyło, że jest - lub była - biała albo jasnoszara.

Włączył punktowy reflektor i ustawił go na tablicy rejestracyjnej. W skromnej opinii policjanta stanowego Hamiltona tablice rejestracyjne poprawiały się. Kolejne stany jeden po drugim wstawiały na tablice rysunek. To ułatwiało identyfikację nocą, gdy niepewne oświetlenie nadawało kolorom zmienne, nieprawdziwe barwy. A najgorzej oświetlały tablice te cholerne pomarań czowe lampy o wysokiej intensywności. Nie wiedział, czy rzeczywiście udaremniały gwałty i napaści, ale za to dokładnie wiedział, że przez nie ciężko harującym gliniarzom, takim jak on, pochrzaniły się nieskończone ilości tablic skradzionych lub uciekających aut.

Rysunczki stanowiły milowy krok naprzód. Statua Wolności to Statua Wolności zarówno w jasnym blasku słońca, jak i mocnej poświacie tego miedziowopomarańczego draństwa. I jakiegokolwiek byłaby koloru, Szanowna Pani Wolność to Nowy Jork.

A ten popierniczony raczek, na którego teraz nastawił punktak, to symbol stanu Maine. Nie trzeba już wyteżać gałą, żeby odczytać KRAINA WAKACJI albo rozszyfrować łamigłówkę: czy to, co wygląda na róż, oranż albo siny błękit, naprawdę jest białe? Wystarczy spojrzeć na popierniczony raczek. Tak naprawdę była to langusta, wiadomo, ale popierniczony raczek ukrywający się pod innym imieniem popierniczonym raczkiem pozostanie i choć Hamilton prędzej schyli się po świnia gnój, nim wsadzi do ust jednego z popierniczonych raczków, to i tak był niezwykle rad ich obecności na tablicach rejestracyjnych..

Zwłaszcza gdy tak jak dzisiejszej nocy miał chrapkę na tablicę rejestracyjną z raczkiem.

- A co mamcia na to? - zamruczał i zatrzymał wóz. Zdjął podkładkę do notowania z magnetyzowanego paska, który przytrzymywał ją na środku tablicy rozdzielczej, tuż nad dźwignią zmiany biegów; przewrócił pusty formularz, służący wszystkim gliniarzom za osłonę wykazu z trefnymi numerami (nie ma potrzeby, żeby szeroki Ogół podglądał numery rejestracyjne darzone szczególnym zainteresowaniem policji, podczas gdy funkcjonariusz, do którego należał dany wykaz, łapał za hamburgera albo na chybika się odlewał, korzystając z udogodnień sanitarnych stacji benzynowej), i przejechał kciukiem w dół listy.

No i jest. 96529Q. Stan Maine. Ojczyzna popierniczonych raczków.

Podczas pierwszego przejazdu policjant stanowy Hamilton nie dojrzał nikogo w sfoferce ciężarówki. Uchwyty na strzelbę były puste. Niewykluczone - mało prawdopodobne, ale niewykluczone - że ktoś ukrywa się na platformie ciężarówki. Istniała nawet możliwość, że na platformie jest ktoś ze strzelbą, przedtem zdjętą z uchwytów. Co bardziej prawdopodobne, kierowca przepadł albo złapał za hamburgera w knajpie. Mimo to...

- Starzy gliniarze - tak; śmiali gliniarze - tak, ale starzy śmiali gliniarze - nie stanowy ^{- policjant} Hamilton rzekł cichym głosem. Zgasił punktak i powolutku potoczył się dalej. Zatrzymał się dwukrotnie, za każdym razem używając punktaka, choć nawet nie zwracał sobie głowy spoglądaniem na oświetlane samochody. Zawsze była możliwość, że pan 96529Q, wracając z knajpy cum świątynia dumania, dojrzy Hamiltona świecącego na ukradzioną ciężarówkę, ale jeśli dojrzy, że wóz policjanta rusza dalej i gliniarz sprawdza inne pojazdy, nie nawieje.

- Ostrożność to skarb, przezorność to samo, w to tylko wierzę jak w boziuchny prawo!

- ogłosił policjant stanowy Hamilton. To było jedno z jego ulubionych powiedzonek. Nie dorównywało retorycznemu pytaniu pod adresem mamci, ale plasowało się wysoko na liście faworytów.

Wjechał na stanowisko, z którego mógł obserwować furgonetkę. Porozumiał się z bazą znajdującą się cztery mile dalej i poinformował, że znalazł furgonetkę GMC z Maine poszukiwaną w związku z zabójstwem. Zażądał posiłków. Usłyszał, że zjawią się niebawem.

Do podejrzanego pojazdu nikt się nie zbliżał, Hamilton więc uznał, że jeśli zachowa ostrożność, nie zgrzeszy nadmierną śmiałością podchodząc do furgonetki. Za to, gdy zjawią się inne jednostki, a on będzie nadal tkwił w ciemności, oddalony o rząd od obserwowanego obiektu, wyjdzie na siusmajtkę.

Wsiadł, odpiął pasek zabezpieczający broń, ale nie wyjął jej z kabury. Za ledwie dwa razy podczas całej służby wyciągnął sztukę. Nie strzelił ani razu. I wcale nie chciał strzelać teraz. Zbliżał się do furgonetki pod takim kątem, że mógł obserwować zarówno ciężarówkę - zwłaszcza platformę ciężarówki - jak i drogę z McDonaldu. Zatrzymał się. Jakaś para opuściła knajpę i skierowała się do forda zaparkowanego trzy rzędy bliżej knajpy niż GMC. Wóz ruszył ku wyjazdowi z parkingu. Hamilton zaś ruszył ku swemu celowi.

Trzymając prawą dłoń na chwycie służbowego rewolweru, lewą opuścił na biodro. Wedle skromnej opinii Hamiltona poprawiły się i pasy służbowe. Zarówno jako dojrzały mężczyzna, jak i dziecię był wielkim fanem Batmana alias Sprawiedliwego w Pelerynie. Tak po prawdzie podejrzewał, że uwielbienie do Batmana spowodowało, iż został gliną (ten fakcik opuścił w podaniu o pracę). Jego ulubioną częścią arsenału ulubionego bohatera nie był batpole czy batarang ani nawet sam batmobile, ale pas. To cudowne akcesorium przypominało dobry sklep z pamiątkami; zawsze znalazło się tam jakieś maleńkie coś - na każdą - okazję, czy to lina, czy to noktowizor, czy kilka kapsułek gazu paraliżującego. Policyjny pas służbowy nie umywał się do pasa Batmana, niemniej jednak po lewej stronie pasa policyjnego znajdowały się trzy koluszka, z których zwisały trzy bardzo pomocne elementy wyposażenia. Pierwszy to cylinder na baterie, sprzedawany na rynku pod nazwą „Siad Pies!” Po naciśnięciu czerwonego przycisku „Siad Pies!” emitował ponaddzwiękowy gwizd, na odgłos którego nawet szalejące bulterierki miękły jak góra rozgotowanego spaghetti. Obok znajdowało się działające pod ciśnieniem opakowanie mace'a (była to używana przez policję stanu Connecticut wersja batmanowego gazu paraliżującego), a obok mace'a wisiała ładowana czterema bateriami latarka.

Hamilton odczepił latarkę lewą ręką, włączył, częściowo osłonił strumień światła. Nie zdejmował przy tym prawej ręki z, chwytu rewolweru. Starzy gliniarze - tak; śmiali gliniarze

- tak; ale starzy śmiali gliniarze - nie.

Oświetlił platformę furgonetki. Leżał na niej kawałek plandeki, ale poza tym nic. Platforma była tak samo pusta jak szoferka.

Podczas całej tej akcji Hamilton przezornie trzymał się na dystans od obiektu obserwacji - tę zasadę postępowania miał tak wpojona, że nawet nie musiał o niej myśleć. Schylił się i zaświecił pod ciężarówkę. Tylko tam jeszcze mógł się ukryć ten, kto pragnął mu zrobić krzywdę. Było to wątpliwe, ale Hamilton nie chciał, by kiedy wreszcie kopnie w kalendarz, pastor zaczął mowę nad trumną od słów: „Drodzy przyjaciele, zebraliśmy się tu dziś, aby opłakiwać nieoczekiwane odejście policjanta stanowego Warrena Hamiltona”. To byłoby trzès żałosne.

Zaświecił szybko latarką pod ciężarówkę, w lewo - w prawo. Nie dostrzegł niczego poza zardzewiałym tłumikiem, który odpadnie w bliskiej przyszłości - choć sądząc po wielkości dziur, jakie w nim prześwitywały, kierowca nie dosłyszy wielkiej różnicy.

- Widzi mi się, że jesteśmy sami, skarbie - rzekł policjant stanowy Hamilton. Omiótł wzrokiem przestrzeń wokół ciężarówki, szczególną uwagę poświęcając drodze z restauracji. Nie widział nikogo, kto mógłby widzieć jego, więc podszedł do szyb od strony pasażera i zaświecił latarką do środka.

- O, w mordę - zamruczał. - A co mamcia na ten syflaczek - rozkoszniaczek? - Nagle poczuł wielkie zadowolenie, że to pomarań czowe lampy oświetlają parking i szoferkę, ponieważ dzięki nim to, co miało kolor kasztanowy, stało się prawie czarne i krew bardziej przypominała atrament. - Jechał takim wozem? Jezu Chryste, całą drogę z Maine jechał takim wozem?! A co mamcia...?

Skierował latarkę w dół. Szoferka GMC to był jeden chlew. Poniewierały się tam puszki po piwie i napojach bezalkoholowych, puste lub prawie puste torebki po chrupkach ziemniaczanych i chrupkach bekonowych, pudełka po big macach i whopperach. Grudkę zaschniętej gumy do żucia przyklejono do deski rozdzielczej nad wgłębieniem, w którym kiedyś mieściło się radio. W popielniczce walało się mnóstwo petów.

Ale przede wszystkim była krew.

Smugi i plamy krwi pokrywały siedzenia. Krew brukała kierownicę. Zaschnięte skrzepy krwi widniały na obręczy klaksonu, niemal całkowicie zasłaniając symbol firmowy chevroleta. Krew była na wewnętrznej klamce drzwi kierowcy i na lusterku wstecznym - ta plamka przybrała owalny kształt. Pan 96529Q, dostosowując położenie lusterka do swych potrzeb, zostawił niemal idealny odcisk kciuka we krwi ofiary. Również na jednym z pudełek po big macach została wielka plama posoki. Do tej z kolei przykleiły się włosy.

- A cóż on powiedział strażnikowi przy wjeździe? - zamruczał Hamilton. - Że zaciął się przy goleniu?

Usłyszał za plecami szurnięcie. Odwrócił się czując, że robi to zbyt wolno, czując aż za dobrze, że na nic były rutynowe środki ostrożności, że okazał się nazbyt śmiały i ma starość z czapy, tak, tak, drodzy pań stwo!!! Facet zaszedł go od tyłu i niebawem w sfoferce starej furgonetki chevroleta będzie więcej krwi - jego krwi - bo facet, który od samego Maine do granicy stanu Nowy Jork siedział za kółkiem tej ruchomej rzeźni to psych, typ, który ukatrupienie policjanta stanowego rozważa nie dłużej niż zakup kwarty mleka.

Hamilton po raz trzeci w swej zawodowej karierze wyciągnął rewolwer, odwiódł kurek i o mało nie oddał strzału (albo dwóch, albo trzech) w pustą ciemność. Był spięty na maks. Lecz za plecami nie ujrzął nikogo.

Powoli opuścił broń . Krew tętniła mu w skroniach.

Noc odetchnęła lekkim powiewem wiatru. Powtórzyło się szurnięcie. Na nawierzchni parkingu zobaczył opakowanie po kanapkach z filetami rybnymi od McDonalda, bez wątpienia. Jak na to wpadłeś, Holmesie? Nie ma o czym mówić, Watsonie, to było dziecinnie łatwe. Pofrunęło kilka stóp niesione kapryśnym wiatrem i spoczęło nieruchomo.

Rozważał, czy nie wsadzić rewolweru do kabury, teraz kiedy już stało się jasne, że zastrzelić mógł tylko puste pudełko po filet - o - fish - ale nie. Potrzyma broń do przyjazdu innych jednostek. Obecność sztuki w ręce działała korzystnie. Uspokajająco. Bo nie chodziło tylko o krew czy o to, że facet, którego jakiś glina z Maine ściga za zabójstwo, przejechał czterysta mil w takim gnoju. Ciężarówka cuchnęła jak ścierwo skunksa rozjechanego na wiejskiej drodze. Hamilton nie wiedział, czy przyjezdni funkcjonariusze wniuchają ten zapach, czy też tylko on go wyczuwa. I nie dbał o to. Rzecz nie w tym, że śmierdziało krwią, zgniłym żarciem, nie mytym ciałem. Po prostu czuł woń zła. Czegoś bardzo, bardzo niedobrego. Na tyle niedobrego, że nie chciał wsadzić rewolweru do kabury, choć był prawie pewien, że ten, kto wydziela ów zapach, przepadł prawdopodobnie godziny temu. Hamilton nie słyszał delikatnych trzasków, jakie wydaje ciepły jeszcze silnik. Nieważne. To nie mogło zmienić tego, co wiedział: przez jakiś czas ciężarówka była norą potwornego zwierza i policjant stanowy Hamilton nie zaryzykuje nic, ale to nic, by to zwierzę powróciło i zastało go nie przygotowanego. Mamcia może postawić na to każdą forszę.

Stał nieruchomo, ścisnął w rękę broń , włosy jeżyły mu się na karku i miał wrażenie, że minęły długie godziny, zanim posiłki wreszcie nadszedły.

Śmierć w wielkiej metropolii

Dodie Eberhart była wnerwiona, a kiedy Dodie Eberhart była wnerwiona, to znaczyło, że w stolicy kraju funkcjonuje przynajmniej jedna laska, z którą lepiej nie pogrywać. Pokonywała schody budynku czynszowego przy L Street niepowstrzymanie jak nosorożec szarżujący otwartą sawanną. Miejsca zajmowała niemal tyle samo co nosorożec. Granatowa sukienka napinała się i marszczyła na biuście, z pewnością zbyt wielkim, żeby można było nazwać go obfitym.

Dobrych parę lat temu ta kobieta była jedną z najbardziej oszałamiających cali girls Waszyngtonu. W owych czasach zarówno jej wzrost – sześć stóp trzy cale – jak i korzystny wygląd sprawiały, że była kimś znacznie bardziej interesującym niż tylko zepsuta dziewczynką. Była tak rozrywana, że dla wielu dżentelmenów noc z Dodie miała wartość sportowego pucharu zdobiącego męski gabinet. Wnikliwa lustracja wielu zdjęć z różnych waszyngtońskich fêtes i soirées, wydawanych za drugiej kadencji Johnsona i pierwszej Nixona, pozwalała dostrzec Dodie Eberhart – zwykle uwieszoną ramienia mężczyzny, którego nazwisko firmowało wiele ważkich artykułów i esejów. Sam jej wzrost zwracał uwagę.

Dodie była kurwą o sercu kasjera bankowego i duszy żarłocznego karalucha. Dwaj regularni klienci: senator demokratów i wielokrotny przedstawiciel republikanów w Izbie Reprezentantów, zaopatrzyli ją w wystarczającą ilość gotówki, aby mogła wycofać się z zawodu. Trudno rzec, by uczynili to wyłącznie z własnej woli. Dodie była świadoma, że ryzyko choroby raczej nie maleje (a zajmujący wysokie stanowiska urzędnicy pań stwowi są równie narażeni na AIDS i inne łagodniejsze – niemniej kłopotliwe – choroby weneryczne, jak zwykli śmiertelnicy). Lat również jej nie ubywało. Nie pokładała bezwzględnie zaufania w przyrzeczeniach wzmiankowanych dżentelmenów, obiecujących zadbać o nią z własnej woli. Przykro mi, rzekła, ale zrozumcie, nie wierzę już w świętego Mikołaja ani Aniołka. Mała Dodie musi radzić sobie sama.

Za uzyskane tą drogą fundusze mała Dodie nabyła trzy domy. Sto siedemdziesiąt funtów ciała, które rzucało mężczyzn na kolana (zwykle wtedy, kiedy było nagie), wzrosło do dwustu osiemdziesięciu. Inwestycje przynoszące w połowie lat siedemdziesiątych niezły profit stały się nieopłacalne w osiemdziesiątych, gdy tymczasem wszyscy obywatele, którzy władowali forszę w akcje, złapali Pana Boga za nogi. Przy końcu kariery miała na swojej krótkiej liście dwóch znakomitych maklerów. Czasem żałowała, iż nie utrzymała z nimi kontaktu po przejściu w stan spoczynku.

Jeden dom czynszowy przepadł w 1984, drugi w 1986 roku po katastrofalnym w skutkach dochodzeniu izby skarbowej. Trzymała się tego przy L Street równie kurczowo, jak gracz w monopol idący nieubłaganie na dno, przekonana, że w tej okolicy musi nastąpić jakiś boom inwestycyjny. Ale jak do tej pory żaden boom nie wybuchł i wątpiła, żeby miał wybuchnąć w ciągu roku lub dwóch... jeśli w ogóle wybuchnie. Wtedy zamierzała spakować szmaty i przenieść się do Araba. Do tej pory właścicielka nieruchomości, ongi najbardziej rozrywana dupa stolicy kraju, musiała jakoś przetrwać.

O co się zawsze starała.

O co nadal zamierzała się starać.

I niech Bóg ma swej opiece tego, kto wejdzie jej w drogę. Jak na przykład Frederick „Pań Gruba Ryba” Clawson. Dotarła do podestu pierwszego piętra. Z mieszkania Shulmanów dobiegał ogłuszający łomot w wykonaniu Guns n’ Roses.

– Ściszcie ten pierdolony gramofon! – zawyła pełną pierśią... a kiedy

Dodie Eberhart dawała pełny głos, okna się sypały, bębunki w uszach dziatwy pękały i psy padały martwe.

Łomot od razu przeszedł w szmer. Dodie wiedziała, że Shulmanowie, przytuleni, drżą teraz jak parka wystraszonych szczeniaków podczas burzy i modlą się, żeby to nie do nich szła Zła Czarownica z L Street. Bali się. I słusznie. Shulman był radcą prawnym na usługach korporacji, miał wpływową firmę, ale brakowało mu jeszcze dwóch wrzodów, żeby dysponować środkami nacisku, które mogłyby przystopować Dodie. Niech no tylko szczawik wejdzie jej w drogę, a z jego flaków zrobi sobie podwiązki. Wiedział, że to się może tak skońżyć, i Dodie czerpała stąd wiele satysfakcji.

Kiedy konto bankowe i bilans inwestycji wykazują zero, każda satysfakcja jest dobra.

Dodie minęła róg nie tracąc prędkości i zaczęła pokonywać schody wiodące na drugie piętro, gdzie Frederick „Pan Gruba Ryba” Clawson zażywał rozkoszy samotności.

Utrzymywała ten sam równy nosorożec – szarżuje – sawanną krok. Szła z podniesioną głową, mimo swej wagi oddychała lekko. Schody, choć solidne, drżały w posadach.

Cieszyła się na to, co ją czekało.

Clawson nie był nawet na dolnym szczeblu drabiny radcostwa korporacyjnego. Jak na razie w ogóle nie był na żadnej drabinie. Jak wszyscy studenci prawa, których poznała (głównie jako lokatorów; jeszcze tylko tego brakowało, żeby posuwała któregoś z nich podczas, jak to teraz nazywała, „tamtego życia”), miał po pierwsze wysokie aspiracje, po drugie płuco w kieszeni, a maskował to wszystko jeszcze czymś innym: sporą dawką głodnych kawałków. Dodie z zasady nie myliła tych trzech wyżej wymienionych elementów. Uwierzyć głodnym kawałkom studenta prawa jest równie mądre jak odstawić numer za friko. Kiedy się raz weszło na tę drogę, można było odwiesić na kołek bokserską osłonę na jaja.

W przerośni, rzecz jasna.

A jednak Frederick „Pan Gruba Ryba” Clawson częściowo skruszył linię obroną Dodie. Spóźnił się z czynszem cztery razy z rzędu i zniósł to, ponieważ przekonał ją, że w jego przypadku wyświechtana, stara przysięga jest prawdziwa (lub może będzie). Naprawdę dostanie szmal.

Nie osiągnęłyby tego twierząc, że Sidney Sheldon jest naprawdę Robertem Ludlumem albo Victoria Holt jest naprawdę Rosemary Rogers, ponieważ w dupie miała ich wszystkich i to, czy mają miliardy bliźniaków po piórze czy nie. Dodie była fanką „czarnych” kryminałów, a im były czarniejsze i krwawsze – tym lepiej. Ludzie zawracają sobie głowę romantyczną papką albo szpiegowskimi gównami, jak dowodziły tego listy bestsellerów w niedzielnych wydaniach „Post”. Ale lata wcześniej, zanim Elmore Leonard trafił na te listy, Dodie go czytała i znalazła równie głębokie upodanie w twórczości Jima Thompsona, Davida Goodisa, Horace’a McCoya, Charlesa Willeforda. Całej tej czeredy. Jeśli chcecie to usłyszeć krótko a treściwie, Dodie Eberhart lubiła powieści, w których faceci rabowali banki, dziurawili się kulami, a swym kobietom okazywali głęboką uczucia spuszczać im dobre manto.

W jej opinii George Stark jest – lub był – najlepszym z najlepszych. Stała się jego gorącą wielbicielką od Tak jak to robi Maszyna i Oksfordzkiego bluesa i była nią aż do Przejazdu do Babilonu, prawdopodobnie ostatniej produkcji Starka.

Kiedy pierwszy raz nawiedziła „Grubą Rybę” w jego mieszkaniu na drugim piętrze, żeby wydusić zeń czynsz (zaległy, tylko trzy dni, ale daj im mały palec, a złapią od razu całą rękę), zastała go otoczonego notatkami i powieściami Starka, i gdy już załatwiła swój interes, a lokator przyrzekł dostarczyć czek do południa dnia następnego, spytała, czy dzieła zebrane George’a Starka należą teraz do zbioru lektur obowiązkowych na studiach prawniczych.

– Nie – odrzekł Clawson z szerokim, radosnym i w każdym calu drapieżnym uśmiechem – ale mogą je sfinansować!

Nabrała się właśnie na ten uśmiech i dzięki niemu poluzowała Clawsonowi pętlę. W każdym innym wypadku zacisnęłaby ją brutalnie. Widywała taki sam uśmiech wiele razy we własnym lustrze. Wtedy wierzyła, że nie da się go wywołać sztucznie i – dodajmy choćby dla porządku – wierzyła w to teraz. Clawson naprawdę miał haka na Thaddeusa Beaumonta. Walnął się tylko co do jednego. Uwierzył święcie, że Beaumont zatań czy tak, jak zagra mu Frederick „Pan Gruba Ryba” Clawson. Dodie walnęła się razem z nim.

Po tym, jak Clawson podzielił się z nią swym odkryciem, przeczytała jedną z dwóch powieści Beaumonta – Purpurową mgłę – i uznała ją za wyjątkowy dowód głupoty autora. Mimo korespondencji i fotokopii udostępnionych przez „Pana Grubą Rybę” trudno szło jej uwierzyć – nie mogła uwierzyć, że obaj pisarze to jeden i ten sam człowiek. Z jednym wyjątkiem... W trzech czwartych powieści, gdy była gotowa cisnąć nudziarstwem w drugi koniec pokoju i zapomnieć o wszystkim, trafiła na scenę, w której pewien farmer zabija konia. Koń złamał dwie nogi i musiał być zastrzelony, ale rzecz w tym, że staremu wiejskiemu grzmotowi zabicie szkapy sprawiło przyjemność. Przystawił lufę do koń skiego łba i branzłował się. Szczytując, nacisnął spust.

Beaumont chyba wyskoczył tu na filiżankę kawy... a George Stark wskoczył na jego miejsce i napisał scenę – pomyślała Dodie. Stark – literacki Titelitury. W całym snopku powieściowej słomy był to jedyny złoty kłós.

No cóż, teraz to bez znaczenia. Wszystko dowodziło, że nikt nie jest raz na zawsze odporny na głodne kawałki. „Gruba Ryba” wpuścił Dodie w maliny, ale przynajmniej szybko zorientowała się, gdzie wpadła. I teraz jest po wszystkim.

Dodie Eberhart dotarła do podestu drugiego piętra. Zacisnęła dłonie w pięści jak zazwyczaj, gdy szykowała się nie stukać uprzejmie, ale tłuc w drzwi. Wtem spostrzegła, że nie jest to konieczne. Drzwi mieszkania „Grubej Ryby” stały uchylone.

– Pańskie jaja! – zaklęła szeptem Dodie zgrzytnąwszy zębami. W tej okolicy nie snuły się ćpyny, ale kiedy szło o ogołocenie mieszkania jakiegoś tępaka, to wyjątkowo chętnie przekraczały granice rezerwatów. Ten gość jest jeszcze durniejszy, niż myślała.

Zastukała mocno w drzwi i pchnęła je do koń ca.

– Clawson! – zawołała głosem wieszczącym zgubę i zniszczenie. Nie usłyszała odpowiedzi. Zajrzała do korytarzyka. Kotary w salonie zasunięto, paliło się górne światło. Cicho grało radio.

– Clawson, chcę z tobą pogadać!

Weszła do korytarzyka... i zatrzymała się.

Jedna z poduszek kanapowych leżała na podłodze.

Nic więcej. Brakowało śladów dowodzących, że mieszkanie zostało obrobione przez głodnego ćpuna, ale zmysły Dodie się wyostrzyły i natychmiast obleciał ją strach. Czuła jakąś woń . Ledwo, ledwo uchwytną. Przypominała trochę smród nadpsutego, nie całkiem zgniłego jedzenia. Niezupełnie to, ale nie potrafiła dokładniej jej określić. Czy poprzednio kiedyś czuła tę woń ? Chyba tak.

I czuła jeszcze inną woń , choć miała wrażenie, że nie nosem wyczuwa jej obecność. Rozpoznała ją natychmiast. Dodie i policjant stanowy Hamilton z Connecticut zgodziliby się od razu, co to za woń ; to woń zła.

Stała przed drzwiami do salonu, patrzyła na pogniecioną poduszkę słysząc radio. Tego, czego nie spowodowała wspinaczka po dwóch kondygnacjach, spowodowała ta jedna niewinna poduszka – serce Dodie biło szybko pod ogromną lewą pierś. Oddychała płytko ustami. Coś tu było nie w porządku. Bardzo nie w porządku. Pytanie tylko, czy to coś dotknie również jej, jeśli dalej będzie tu tkwić.

Zdrowy rozsądek nakazywał odejść – odejść, dopóki jeszcze się dało, i głos zdrowego rozsądku był bardzo silny. Ciekawość mówiła, żeby zostać... i głos ciekawości okazał się jeszcze silniejszy.

Dodie wsunęła głowę do salonu i najpierw obróciła ją w prawo. Tam był tylko sztuczny kominek, dwa okna wychodzące na L Street i nic więcej. Obróciła głowę w lewo i nagle kark jej zeszywniał. Jakby uległ zablokowaniu w tej pozycji. Oczy Dodie rozszerzyły się.

Nieruchome spojrzenie trwało zaledwie trzy sekundy. Zobaczyła wszystko do najdrobniejszego szczegółu. Umysł Dodie zrobił fotografię tak wyraźną, tak ostrą, jak ta, którą niebawem wykona fotograf policyjny.

Zobaczyła dwie butelki piwa Amstel stojące na niskim stoliczku; jedna pusta, druga połowie^w pełna, z kożuchem piany w szyjce. Zobaczyła popielniczkę z napisem: CHICAGOLAND! na wgłębieniu. Zobaczyła dwa niedopałki bez filtra, skiepowane w środku dziewiczo białej popielniczki, choć „ Gruba Ryba” nie palił – przynajmniej papierosów. Zobaczyła plastikowe pudełeczko po pinezkach. Leżało na boku między butelkami a popielniczką. Większość pinezek, którymi „ Gruba Ryba” przybijał do kuchennej tablicy karteluszeki z zapiskami pro memoria, leżała na szklanym blacie stoliczka. Zobaczyła, że kilka z nich spoczęło na otwartym egzemplarzu „ People” , zawierającym bombową historię o Thadzie Beaumencie/George’u Starku. Rozpoznała pana i panią Beaumont wymieniających uścisk dłoni nad nagrobkiem Starka, choć widziała ich do góry nogami. Zgodnie z tym, co twierdził Frederick Clawson, ta bombowa historia nigdy nie miała zostać wydrukowana.

Natomiast miała uczynić go stosunkowo zamożnym człowiekiem. Mylił się. Prawdę mówiąc, wyglądało, że mylił się we wszystkim.

Zobaczyła Fredericka Clawsona. Nie tylko przestał być „Grubą Rybą”. Przestał w ogóle być. Siedział w jednym z dwóch foteli. Związany. Nagi. Jego ubranie, zmięte niedbale w kulę, leżało pod stolikiem. Zobaczyła krwawą dziurę w kroczu. Worek mosznowy wisiał na swoim miejscu, lecz penis był wetknięty w usta. Miał tam mnóstwo miejsca, bo morderca wyciął „Panu Grubej Rybie” język. Przybił go do ściany. Pinezka weszła tak głęboko w różowe mięso, że Dodie widziała tylko uśmiechnięty żółty rogalik – główkę pinezki. Niestrudzony umysł Dodie i to sfotografował. Krew spływała po tapecie, zakreślając nierówny kształt wachlarza.

Inną pinezką, tym razem z jasnozieloną główką, zabójca przybił drugą stronę „People do nagiej piersi eks – ” Grubej Ryby”. Dodie nie widziała twarzy Lizy Beaumont – zasłoniła ją krew Clawsona – ale widziała rękę podającą blachę z racuszkami. Uśmiechnięty Thad oceniał wysiłki żony. Dodie pamiętała, że ta fotografia szczególnie rozeźliła Clawsona. „To dopiero oszustwo! – wykrzyknął. – Ona nie cierpi kucharzenia, powiedziała to w wywiadzie zaraz po ukazaniu się pierwszej książki Beaumonta”.

Nad przybitym do ściany, okaleczonym językiem napisano zamaczanym we krwi palcem trzy słowa:

WRÓBLE ZNÓW FRUWAJĄ

„Jezu Chryste – odezwał się jakiś głos w odległym zakamarku umysłu Dodie. – To jak z powieści George’a Starka... to mógłby zrobić Alexis Maszyna”.

Usłyszała za plecami głuchy stuk.

Wrzasnęła i okręciła się na pięcie. Maszyna rzucił się na nią ze swoją straszliwą brzytwą, krew Fredericka Clawsona przygasiła stalowy błysk! Twarz bandyty wyglądała jak wykrzywiona maska, sklejoną z samych blizn – pamiątka po Nonie Griffiths, która w końcówce Tak jak to robi Maszyna wzięła brzytwę w swoje rączki, ale...

Ale Dodie zobaczyła, że nie ma nikogo.

Drzwi się zamknęły, to wszystko. Zamknęły się. Jak to drzwi.

„Czy naprawdę tylko to? – zapytał głos z odległego zakamarka umysłu... teraz lepiej, wyraźniej słyszalny. Strach dodał mu mocy. – Kiedy weszłam po schodach, drzwi stały częściowo otwarte, nikt ich nie trzymał. Nie były otwarte na oścież, ale uchylono je na tyle, że, wyraźnie widziałam, iż nie są zamknięte”.

Wróciła wzrokiem do butelek z piwem stojących na stoliku. Jedna pusta. Druga w

połowie pełna, z kożuchem piany w szyjce.

Zabójca stał za drzwiami, gdy weszła. Gdyby odwróciła głowę, na pewno zobaczyłaby go... i teraz byłaby martwa.

Siła uszła jej z nóg i Dodie osunęła się na kolana z jakąś niesamowitą gracją. Jak dziewczynka odbierająca komunię. Po głowie biegła jej jedna gorączkowa myśl jak wiewiórka w kołowrotku: „ Och, nie mogę krzyczeć, on wróci, och, nie mogę krzyczeć, on wróci, och nie mogę krzyczeć...”

I wtedy go usłyszała. Szedł. Miarowo tupał wielkimi nogami po korytarzowej wykładzinie. Później doszła do wniosku, że cholerni Shulmanowie znów włączyli gramofon i omyłkowo wzięła rytmiczne dudnienie gitary basowej za odgłos kroków, ale wtedy była przekonana, że to Alexis Maszyna, Alexis Maszyna wraca... tak zawzięty i pełen morderczej pasji, że nawet śmierć go nie powstrzyma.

Po raz pierwszy w życiu Dodie Eberhart zemdląca.

Ocknęła się po niecałych trzech minutach. Nogi nadal odmawiały jej posłuszeństwa, więc przeczołgała się krótkim korytarzykiem do drzwi. Włosy opadły jej na twarz. Pomyślała, żeby otworzyć drzwi i rozejrzeć się, ale to było ponad siły. Zsunęła tylko rygiel, przekręciła zamek i wsunęła pionową antabę w gniazdo podłogowe. Załatwiwszy to siadła oparta o drzwi. Łapała gwałtownie oddech, świat widziała jak przez mgłę. Miała niejaką świadomość, że zamknęła się w towarzystwie okaleczonych zwłok, ale to dało się wytrzymać. Całkiem spokojnie dało się wytrzymać, jeśli wziąć pod uwagę alternatywną możliwość.

Powolutku odzyskała siły i zdołała dźwignąć się na nogi. Dobrnęła do kuchni, gdzie stał telefon. Starła się omijać wzrokiem pozostałości po „ Panu Grubej Rybie” , choć był to czczy wysiłek. Jeszcze długo ta koszmarnie wyrazista fotografia, odbita w pamięci, będzie się narzucać jej wyobraźni.

Wezwała policjantów. Gdy się zjawili, nie wpuściła ich, dopóki jeden z funkcjonariuszy nie wsunął legitymacji służbowej szparą pod drzwiami.

- Imię żony?! - spytała gliniarza. Jego oprawiona w plastik legitymacja stwierdzała, nazywa ^{że} się Charles F. Toomey, Jr. Głos miała Dodie piskliwy i drżący, zupełnie niepodobny do tego, jakim się zwykle posługiwała. Bliscy przyjaciele (gdyby takowych miała) nie rozpoznałoby go.

- Stephanie, proszę pani - cierpliwie odpowiedział głos zza drzwi.

- Mogę dzwonić na posterunek i sprawdzić, wiesz o tym! - prawie wrzasnęła.

- Wiem, pani Eberhart - odrzekł głos - ale prędzej poczuje się pani bezpieczna, jak nas pani wpuści, co nie?

I ponieważ nadal potrafiła rozpoznać głos gliniarza równie łatwo jak woń zła, otworzyła drzwi i wpuściła Toomeya i jego partnera. Kiedy tylko weszli, Dodie przytrafiło się coś, czego nigdy dotąd nie zaznała: wpadła w histerię.

Obowiązki policyjne

Gdy zjawiała się policja, Thad siedział w gabinecie na górze i pisał.

Liza czytała książkę w salonie. William i Wendy miętosili się w wielkim wspólnym kojcu. Podeszła do drzwi i zanim je otworzyła, zerknęła przez jedno z wąskich, ozdobnych okienek bocznych, wierna temu nawykowi od czasu – jak go żartobliwie ochrzcili – „debiutu” Thada w „People”. Goście – przeważnie dalecy krewni wraz ze szczodłą domieszką ciekawskich z miasteczka, a nawet kilkoma absolutnymi nieznajomymi spełniającymi rolę domieszki ekstra (ci ostatni co do jednego fani Starka) – ostatnio wpadali często. Thad przypisywał ten napływ syndromowi „zobaczyć żywego krokodyla” i twierdził, że fala gości ustanie po kilku tygodniach. Liza miała nadzieję, że tak będzie. Na razie gryzła palce na myśl, że a nuż któryś z gości okaże się szalonym łowcą krokodyli, jak facet, który zastrzelił Johna Lennona, i zawsze najpierw zerkała przez okienko. Nie wiedziała, Czy rozpozna bona fide szaleńca, ale przynajmniej podczas dwóch porannych godzin, które Thad spędzał na pisaniu, mogła uchronić bieg jego myśli przed zastopowaniem. Po tych dwóch godzinach sam otwierał drzwi, zwykle rzucając jej przy tym spojrzenie małego chłopca, który coś przeszkrobał. Nie wiedziała, jak ma na nie odpowiedzieć.

Trzej mężczyźni stojący na progu w to sobotnie przedpołudnie nie wyglądali jej zdaniem na fanów Starka ani Beaumonta – ani na szaleńców... chyba że w aktualnym rzucie bzików byli tacy, którzy upodobali sobie jeżdżenie wozami patrolowymi policji stanowej. Otworzyła drzwi, czując ukłucie niepokoju znane nawet najniewinniejszym, gdy na ich progu zjawi się nie wzywana policja. Gdyby dzieci były na tyle dorosłe, że mogłyby w to deszczowe sobotnie przedpołudnie gdzieś szaleć i dokazywać, już zastanawiałyby się, czy im się nic nie stało.

– Tak?

- Czy pani Elizabeth Beaumont? - zapytał jeden z przybyłych.

- Tak, to ja. Czym mogę służyć?

- Czy pani mąż jest w domu, pani Beaumont? - zapytał drugi.

Obaj nosili identyczne szare deszczowce i czapki policji stanowej. „Nie, to duch Ernesta Hemingwaya stuka tam na górze” - chciała powiedzieć, lecz oczywiście nie powiedziała. Najpierw odezwał się czy - komuś - się - coś - stało strach, a potem cień poczucia winy pchający do ostrej lub sarkastycznej wypowiedzi, znaczącej bez względu na użyte słowa: „Wynoście się. Nie chcemy was tu. Nie popełniliśmy przestępstwa. Wynoście się i znajdźcie tego, kto je popełnił”.

- Mogę wiedzieć, dlaczego chcecie się z nim widzieć?

Trzecim policjantem był Alan Pangborn.

- Takie są nasze obowiązki, pani Beaumont - powiedział. - Czy możemy go prosić?

Thad Beaumont nie prowadził systematycznego dziennika, ale czasami notował interesujące, zabawne lub budzące lęk wydarzenia ze swego prywatnego życia. Gromadził te zapiski w oprawnej księdze i jego żona nie przywiązywała do nich zbytnej wagi. Bogiem a prawdą budziły w niej dreszcz, choć nigdy się do tego Thadowi nie przyznała. Większość tych notatek była dziwnie beznamiętna, jakby jakaś część jego osoby stała z boku i składała relację, obserwując własne życie obcym, prawie obojętnym okiem. Po wizycie policji - przedpołudniem czwartego czerwca - Thad uczynił długi wpis. Przewijał się w nim dziwny, bo nietypowy wątek emocjonalny.

Rozumiem obecnie lepiej Proces Kafki i Rok 1984 Orwella. Traktować je wyłącznie jako powieści polityczne to poważny błąd. Podejrzewam, że depresja, którą przeszedłem po ukończeniu Tancerzy, i odkrycie, że nie zapowiada się nic - to znaczy nic poza poronieniem Lizy - pozostaną najbardziej bolesnymi doznaniem naszego związku, ale to, co wydarzyło się dziś, sprawia jeszcze gorsze wrażenie. Powtarzam sobie, że ten sąd jest wywołany świeżością doznania, ale mniemam, iż chodzi o coś daleko poważniejszego. Jeśli okres blakania się po omacku i strata pierwszych bliźniaków to zagojone rany, po których zostały tylko blizny, zagoi się i nowa rana... ale nie wierzę, by czas zatarł ją kompletnie. I ona pozostawi bliznę. Krótszą, choć głębszą. Jak wąski ślad po pchnięciu nożem.

Jestem pewien, że policjanci postępowali zgodnie ze swą przysięgą (chyba ją jeszcze składają, tak przynajmniej sądzę). Jednakowoż doświadczyłem wtedy wrażenia - i nadal nie

mogę się z niego otrząsnąć – że grozi mi wciągnięcie w jakąś bezosobową, biurokratyczną maszynę, nieludzką maszynę, metodycznie wypełniającą obowiązki, dopóki nie porwie mnie na strzępy... ponieważ rozrywanie ludzi na strzępy jest jej obowiązkiem. Moje wrzaski ani nie przyspieszą, ani nie zwolnią pracy maszyny.

Wyczułem świetnie zdenerwowanie Lizy, kiedy zjawiała się na piętrze oznajmiając, że policja chce mnie widzieć, ale nie chce wyjawić dlaczego. Liza dodała, że jednym z funkcjonariuszy jest Alan Pangborn, szeryf okręgu Castle. Może wpadłem na niego przy jakiejś okazji, ale prawdę mówiąc rozpoznałem go dlatego, że widuję jego zdjęcie od czasu do czasu w „Call”, lokalnym piśmie Castle Rock.

Czułem ciekawość i ulgę. Miałem pretekst, aby się oderwać od maszyny, od moich postaci, które przez ostatni tydzień z uporem działały mi na przekór. Nie potrafiłem wyobrazić sobie celu wizyty policjantów, mogłem jedynie przypuszczać, że ma ona jakiś związek z Frederickiem Clawsonem albo że jest to jakiś uboczny skutek artykułu z „People” . Nie wiem, czy zdołałem wiernie oddać atmosferę spotkania, które nastąpiło, czy też nie. Nie wiem nawet, czy ta próba jest istotna, mam jedynie wrażenie, że winienem ją podjąć. Stali w holu, u stóp schodów. Trójka potężnych mężczyzn (nie dziwota, że nazywają ich „bykami”) . Ostatnie krople kapały z deszczowców na wykładzinę.

– Thaddeus Beaumont? – spytał jeden z nich (szeryf Pangborn) i wtedy właśnie nastąpił początek tej emocjonalnej zmiany, którą pragnę opisać (lub przynajmniej zarysować). Głębokie zdumienie dołączyło się do ogólnej ciekawości oraz ulgi spowodowanej krótkim uwolnieniem od pisania. Szeryf zwrócił się do mnie imieniem i nazwiskiem, ale bez „pan”. Tak jak sędzia zwraca się do podsądnego ogłaszając sentencję wyroku.

– Owszem, zgadza się – rzekłem – a pan jest szeryf Pangborn. Wiem, bo mamy dom nad jeziorem Castle. – I wtedy wyciągnąłem dłoń w pocziwym, automatycznym geście dobrze wytresowanego Amerykanina płci męskiej.

Spojrzał tylko na nią i na jego twarzy pojawił się specyficzny wyraz. Jakby otworzył lodówkę i stwierdził, że ryba kupiona na obiad zepsuła się.

– Nie zamierzam podawać panu dłoni – powiedział – więc lepiej niech ją pan zabiera i oszczędzi nam obu zakłopotania.

Były to piekielnie dziwne, wprost chamskie słowa, ale nie one mną wstrząsnęły. Chodziło raczej o sposób, w jaki je wypowiedział. Zabrzmiały, jakby myślał, że zwariowałem.

I ni z tego, ni z owego o władnęła mną groza. Nawet teraz trudno mi pojąć, jak szybko, jak cholernie szybko moje emocje przebyły całe spektrum: od zwyczajnej ciekawości i niejkiej przyjemności wywołanej faktem oderwania się od rutynowych zajęć – do nagiego

strachu. W jednej chwili pojąłem, że celem wizyty policjantów nie jest rozmowa na jakiś niewinny temat, ale do przyjscia skłoniło ich przekonanie, że coś zrobiłem i w tej pierwotnej chwili grozy – „Nie zamierzam podawać panu dłoni” – byłem pewien, że istotnie coś zrobiłem!

To właśnie muszę podkreślić. W martwej ciszy, która zapadła po tym, jak Pangborn odmówił podania mi dłoni, prawdę mówiąc pomyślałem, że zrobiłem wszystko, o co mnie oskarżają... i nie zdołałem się powstrzymać od przyznania się do winy.

Thad wolno opuścił rękę. Kątem oka widział, jak Liza zacisnęła między piersiami dłoń w biały kłębek, i nagle zapragnął wściec się na gliniarza, który wpuszczony do ich domu nawet nie chce mu podać ręki. Ten gliniarz jest wynagradzany, przynajmniej w jakiejś niewielkiej części, z podatków, które Beaumontowie płacą za dom w Castle Rock. Ten gliniarz przeraził Lizę. Ten gliniarz przeraził jego.

– Znakomicie – powiedział Thad bezbarwnym głosem. – Jeśli nie chce mi pan podać ręki, to może powie mi pan, w jakim celu się tu zjawił.

W odróżnieniu od gliniarzy stanowych Alan Pangborn nie miał na sobie deszczowca, ale nieprzemakalną kurtkę sięgającą jedynie do bioder. Włożył rękę do tylnej kieszeni, wyjął kartkę i zaczął z niej czytać. Dopiero po chwili Thad pojął, że słyszy wariant Mirandy o prawach przysługujących zatrzymanemu.

– Jak pan nadmienił, panie Beaumont, nazywam się Alan Pangborn. Jestem szeryfem okręgu Castle, Maine. Zjawiłem się tu, ponieważ muszę przesłuchać pana na okoliczność popełnionego morderstwa. Przeprowadzę to przesłuchanie w Orono w koszarach policji stanowej. Ma pan prawo milczeć...

– Och, słodki Jezu, o co tu chodzi? – zapytała Liza, nakładając swe słowa na te, które Thad usłyszał z własnych ust:

– Zaczekaj pan, zaczekaj jedną cholerną minutę. – Zamierzał to huknąć, ale choć umysł nakazywał wzmocnić natężenie głosu do pełnego poziomu uciszającego – podczas – wykładu ryku, gardło zdobyło się tylko na grzeczny opór, łatwo przełamany przez Pangborna.

– ...i ma pan prawo do pomocy prawnej. Jeśli nie stać pana na opłacenie adwokata, otrzyma go pan z urzędu.

Wsunął z powrotem kartkę do kieszeni.

– Thad? – Liza przylgnęła do męża jak dziecko wystraszone grzmotem. Wielkie,

zdumione oczy wbiła w Pangborna. Od czasu do czasu strzelały ku policjantom, wyglądającym jak obrońcy zawodowej drużyny futbolowej, ale przeważnie nie schodziły z Pangborna.

- Nigdzie z panem nie pójdę - powiedział Thad. Głos mu drżał, skakał w górę i w dół, zmieniał rejestry jak u dojrzewającego chłopca. Pisarz nadal chciał wykrzesać w sobie wściekłość. - Nie wierzę, że może mnie pan do tego przymusić.

Jeden z policjantów chrząknął.

- Pozostanie nam wtedy odjechać i zwrócić się o nakaz aresztowania, panie Beaumont. Z informacji, jakie mamy, wynika, że będzie to bardzo łatwe. - Zerknął na Pangborna. - Wypada chyba dodać, że szeryf Pangborn chciał, żebyśmy się o coś takiego postarali. Bardzo nas do tego namawiał i chyba by mu się nawet to udało, gdyby pan nie był... jak by tu powiedzieć... osobą publiczną.

Pangborn okazał niesmak. Prawdopodobnie sporem między nimi, prawdopodobnie tym, że policjant informował o tym Thada, a najpewniej i jednym, i drugim.

Policjant dojrzał wyraz twarzy Pangborna, przestąpił z nogi na nogę w swych przemoczonych butach, jakby podwójnie zażenowany, ale ciągnął dalej.

- Biorąc pod uwagę stan faktyczny, nie przeszkadza mi, że pan o tym wie. - Spojrzał pytająco na partnera. Ten skinął głową. Pangborn nadal okazywał niesmak. I złość. „On wygląda - pomyślał Thad - jakby chciał rozedrzeć mi brzuch paznokciami i owinać bebechy wokół głowy”.

- Doprawdy prezentuje pan bardzo profesjonalne podejście - powiedział Thad. Z ulgą stwierdził, że odzyskuje przynajmniej trochę pary i zaczyna panować nad głosem. Chciał obudzić w sobie wściekłość, bo wściekłość przegnałaby strach, ale nadal czuł wszechwładne oszołomienie. Jakby dostał zniecka po łbie. - Ale mimo pańskiego profesjonalizmu nadal nie mam zielonego pojęcia, jaki jest ten cholerny stan faktyczny!

- Jeżeli sądziłobyś, że pan wie, nie byłoby nas tu, panie Beaumont - powiedział Pangborn. Wyraz obrzydzenia na jego twarzy wreszcie spowodował, że się stało: Thad nagle wpadł w szal.

- Nie obchodzi mnie, co pan sobie sądzi! - wykrzyknął. - Powiedziałem, że wiem, kim pan jest, szeryfie Pangborn! Mamy z żoną letni domek w Castle Rock od 1973 roku - na długo przedtem, zanim pan usłyszał, że taka miejscowość istnieje. Nie wiem, co pan robi tu, ponad sto sześćdziesiąt mil od swojego rewiru, ani dlaczego patrzy pan na mnie jak na ptasie gówno na masce nowego wozu, ale wiedz pan, że nigdzie z panem nie pójdę, dopóki nie dowiem się, czego pan ode mnie chce. Jeśli potrzeba panu do tego nakazu aresztowania, jedź

pan i załatw go. Ale wiedz pan, że wpakujesz się w ten sposób do kotła z wrzącym gównem i już ja się postaram, żeby ogień nie wygasł. Nic nie zrobiłem! I to jest, kurwa, ha - nie - bne!
Po prostu, kurwa, ha - nie - bne!!!

Głos Thada osiągnął pełną moc i obaj policjanci wyglądali na trochę zbitych z tropu. Pangborn nie. Nadał wpatrywał się w Thada w ten sam niepokojący sposób.

Za ścianą jedno z bliźniąt zaczęło popłakiwać.

- O Jezu - zajęczała Liza. - O co wam chodzi? Powiedźcie!

- Zaopiekuj się dziećmi, maleńka - powiedział Thad nie odrywając spojrzenia od Pangborna.

- Ale...

- Proszę - powiedział. Już oba niemowlaki się darły. - To się wyjaśni.

Jeszcze raz spojrzała na niego cała drżąca, pytając wzrokiem: „Obiecujesz?” - i poszła do salonu.

- Chcemy przesłuchać pana w związku z zabójstwem Homera Gamache'a - powiedział drugi policjant.

Thad oderwał piorunujący wzrok od Pangborna i popatrzył na funkcjonariusza.

- Kogo?!

- Homera Gamache'a - powtórzył Pangborn. - Czy chce nam pan powiedzieć, że to nazwisko nic panu nie mówi?

- Oczywiście, że nie zamierzam twierdzić nic takiego. - Thad był zaskoczony. - Kiedy jesteśmy w miasteczku, Homer wyrzuca nam śmieci. Robi drobne naprawy w domu. Stracił ramię w Korei. Dali mu Srebrną Gwiazdę...

- Brązową - poprawił beznamiętnie Pangborn.

- Homer nie żyje? Kto go zabił?

Teraz policjanci stanowią popatrzyli na siebie zaskoczeni. Oprócz smutku ludziom najtrudniej przychodzi udawać przekonująco zaskoczenie.

Pierwszy policjant stanowią odrzekł dziwnie łagodnym głosem:

- Wszystkie przesłanki wskazują na to, że pan, panie Beaumont. Dlatego tu jesteśmy.

Przez chwilę Thad wpatrywał się w niego z wyrazem kompletnej pustki na twarzy, po czym wybuchnął śmiechem.

- Jezu! Jezu Chryste! To szaleństwo.

- Chce pan włożyć płaszcz, panie Beaumont? Na dworze mocno pada.

- Nigdzie z wami nie jadę - powtórzył z roztargnieniem Thad, kompletnie nie zwracając uwagi na nagłe rozdrażnienie Pangborna. Pogrążył się w myślach.

- Obawiam się, że tak czy siak, pojedzie pan.

- Chyba raczej siak - powiedział Thad. Otrząsnął się. - Kiedy się to wydarzyło?

- Panie Beaumont - rzekł Pangborn powoli i wyraźnie jak do czterolatka. Niezbyt błyskotliwego czterolatka, dodajmy. - Przyjechaliśmy nie po to, żeby przekazywać panu informacje.

Liza wróciła niosąc niemowlęta. Krew odpłynęła jej z twarzy. Czoło lśniło jak lampa.

- To szaleństwo - powiedziała patrząc to na męża, to na policjantów. - Szaleństwo. Nie rozumiecie?

- Słuchaj pan, szeryfie Pangborn - rzekł Thad, podchodząc do Lizy i obejmując ją ramieniem - nie zabiłem Homera, ale teraz rozumiem, dlaczego jest pan tak wkurzony. Chodźmy na górę do mojego gabinetu. Siądźmy i zastanówmy się, może dojdziemy...

- Niech pan włoży płaszcz. - Pangborn spojrzał na Lizę. - Wybacz pani łacinę, ale jak na jedno deszczowe sobotnie przedpołudnie dość nasłuchałem się pieprzenia w bambus. Mamy pana na widelcu.

Thad zwrócił się do starszego z policjantów stanowych.

- Może pan przemówi do rozsądku temu facetowi? Wyjaśni mu, że zaoszczędzi sobie mnóstwo przykrości i kłopotów, jeśli tylko powie mi, kiedy Homer został zabity. - Po namyśle dorzucił: - I gdzie. Gdyby to było w The Rock, bo nie mogę sobie wyobrazić, co Homer miałby tu do roboty... no cóż, przez ostatnie dwa i pół miesiąca, poza wyjazdami na uniwersytet, nie opuszczałem Ludlow. - Popatrzył na Lizę, potwierdziła skinieniem głowy.

Policjant przemyślał to i rzekł:

- Proszę wybaczyć na moment.

Trójka funkcjonariuszy wycofała się z holu. Policjanci stanowi prawie ciągnęli Pangborna. Wyszli za drzwi. Kiedy tylko się zatrzasnęły, z ust Lizy popłynęły chaotyczne pytania. Thad znał ją na tyle dobrze, że wiedział, iż strach objawi się w złości - nawet furii - na gliniarzy. Śmierć Homera Gamache'a też odcisnęła piętno na zachowaniu Lizy. Tak naprawdę to ledwo hamowała łzy.

- Wszystko będzie w porządku - powiedział i ucałował ją w policzek. Przy okazji cmoknął Williama i Wendy, którzy wyraźnie zaczęli okazywać, niepokój. - Sądzę, że policjanci stanowi już orientują się, iż mówię prawdę. Pangborn... no cóż, on znał Homera. Ty też. Jest wkurzony jak diabli. - „I sądząc z tego, jak wygląda i jak się zachowuje, musi mieć

niepodważalne dowody wskazujące na mój udział w morderstwie” – pomyślał, ale nie powiedział.

Podszedł do drzwi i wyjrzał przez boczne okienko, tak jak poprzednio Liza. Gdyby nie ta cała sytuacja, widok byłby zabawny. Stali na podeście, prawie, ale nie całkiem osłonięci przed deszczem. Thad słyszał ich głosy, ale nie potrafił rozróżnić słów. Pomyślał, że wyglądają jak baseballiści konferujący na „górcie” podczas końcowej partii, kiedy piłkę mają przeciwnicy. Obaj policjanci klarowali coś Pangbornowi, który potrząsał przecząco głową i żarliwie im się sprzeciwiał.

Thad wrócił w głąb holu.

– Co robią? – zapytała Liza.

– Nie wiem, ale wydaje się, że tamci chcą, aby Pangborn wyjawiał mi powody, dla których jest taki pewny, że to ja zabiłem Homera Gamache’a. Albo przynajmniej niektóre powody.

– Biedny Homer – zamruczała. – To jest jak koszmarny sen.

Wziął od niej Williama i powtórzył, żeby się nie martwiła.

Policjanci wrócili po dwóch minutach. Twarz Pangborna była jak chmura gradowa. Thad powziął podejrzenie, że policjanci stanowi powiedzieli szeryfowi to, co już zauważył, ale czego nie chciał przyznać: pisarz nie okazywał żadnych oznak poczucia winy.

– Dobra – zaczął Pangborn. Zdaniem Thada starał się unikać kwaśnego tonu i całkiem, całkiem mu to wychodziło. Nie do końca, niemniej jednak osiągał w swych staraniach godne szacunku rezultaty, biorąc pod uwagę, że znajdował się w obecności podejrzanego numer jeden w sprawie o zabójstwo jednorękiego starca. – Ci dżentelmeni chcą, abym zadał tu panu jedno pytanie, więc tak zrobię. Czy może pan podać miejsce swego pobytu od godziny jedenastej wieczór trzydziestego pierwszego maja do czwartej rano pierwszego czerwca?

Beaumontowie wymienili spojrzenia. Thad poczuł, jak wielki gład ciążący mu na sercu drgnął. Nie spadł jeszcze, jeszcze nie, ale Thad miał wrażenie, że wszystkie utrzymujące ciężar kłamry odskoczyły. Teraz wystarczy pchnąć. Raz a dobrze.

– To wtedy? – zamruczał do żony. Wydawało mu się, że wtedy, ale to było aż zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe.

– Jestem pewna, że tak – powiedziała Liza. – Trzydziestego pierwszego, mówi pan? – Patrzyła rozpromieniona na Pangborna.

Odpowiedział spojrzeniem pełnym podejrzliwości.

- Tak, pani szanowna. Ale obawiam się, że jeśli pani oświadczenie będzie nie potwierdzone, wtedy...

Zignorowała go. Liczyła wstecz na palcach. Nagle uśmiechnęła się szeroko jak uczennica.

- Wtorek! Wtorek to był trzydziesty pierwszy! - zawołała do męża. - Tak! Dzięki Bogu!

Dezorientacja i podejrzliwość Pangborna wzrosły. Policjanci popatrzyli po sobie i wrócili wzrokiem do Lizy.

- Zechce pani nam wyjaśnić, o co chodzi, pani Beaumont? - zapytał jeden z nich.

- Urządziliśmy przyjęcie wieczorem we wtorek, trzydziestego pierwszego! - odpowiedziała i zmierzyła Pangborna spojrzeniem pełnym triumfu i zjadliwej niechęci. - Mieliśmy pełen dom gości! Prawda, Thad?

- Jasne.

- W sprawie takiej jak ta, dobre alibi stanowi powód do podejrzeń - powiedział Pangborn, ale wyglądało, że jest zbity z tropu.

- Och, ty durny, arogancki człowieku! - wypaliła Liza. Policzki jej płonęły. Strach minął; nadchodziła wściekłość. Popatrzyła na policjantów stanowych. - Jeśli mój mąż nie ma alibi, powiadacie, że jest winien morderstwa! Zabieracie go na posterunek! Jeśli ma, ten człowiek twierdzi, że i tak to prawdopodobnie znaczy, że je popełnił! O co wam chodzi? Boicie się spojrzeć prawdzie w oczy! Czego tu chcecie?!

- Przestań już, Liz - spokojnie powiedział Triad. - Mają poważne powody, żeby tu być. Gdyby szeryf Pangborn szedł na wariata, to uważam, że zjawiłby się sam.

Pangborn spojrzał na niego kwaśno. Westchnął.

- Opowiedz nam pan o tym przyjęciu, panie Beaumont.

- Wydaliśmy je na cześć Toma Carrolla - powiedział Thad. - Tom pracował na wydziale anglistyki uniwersytetu przez dziewiętnaście lata, dziekanem był ostatnie pięć. Odszedł na emeryturę dwudziestego siódmego maja, w dzień oficjalnego zakończenia roku akademickiego. Zawsze był ogromnie lubiany na wydziale, większości z nas, starych weteranów, był znany jako Gonzo Tom, bo uwielbiał eseje Huntera Thompsona. Więc zdecydowaliśmy się wydać pożegnalne przyjęcie na cześć jego i jego żony.

- O której zakończyło się to przyjęcie?

Thad wyszczerzył zęby.

- No, nie skończyło się nad ranem, ale bawiliśmy się do późna. Kiedy paczka

nauczycieli angielskiego dorwie się do niewyczerpanego źródła wody, potrafi przebalować weekend. Goście zaczęli, służyć koło ósmej i... kto przyszedł ostatni, skarbie?

- Rawlie DeLesseps i ta straszna baba z wydziału historii, z którą on chodzi od czasu, kiedy Jezus był Jezusem. Ta, która pląta się pod nogami i nadaje: „Mówcie mi Billie, wszyscy mi tak mówią”.

- Tak jest - potwierdził Thad. Nie przestawał się szczerzyć. - Zła Czarownica ze Wschodu.

Oczy Pangborna wyraźnie sygnalizowały: kłamiesz - i - obaj - o - tym - wiemy.

- A o której ci przyjaciele wyszli?

Thad otrząsnął się nieznacznie.

- Przyjaciele? Rawlie jest naszym przyjacielem. Ta baba - w żadnym wypadku.

- O drugiej - uzupełniła Liza.

- Musiała być co najmniej druga, kiedy odprowadziliśmy ich do drzwi. Żeby to!

Dotaszczyliśmy ich do drzwi. Prędzej w piekle śnieg spadnie, niż wstąpię do fan klubu Wilhelminy Burks, ale namawiałbym ich, żeby zostali na noc, gdyby mieli więcej niż trzy mile do przejechania albo gdyby było później. Zresztą w nocy na drogach nikogo nie ma o tej porze - przepraszam, nad ranem. Może tylko kilka łani buszuje w ogródkach. - Nagle zatrzasnął japo. Pod wpływem ulgi prawie się rozplątał.

Na moment zapanowała cisza. Policjanci stanowi patrzyli teraz w podłogę. Uczucia malującego się na twarzy Pangborna Thad nie potrafił zidentyfikować - uznał, że nigdy przedtem czegoś takiego nie widział. Nie żał, choć był w tym i żał.

„Co się tu, kurwa, dzieje?”

- No cóż, to bardzo - dla pana wygodne, panie Beaumont - wreszcie odezwał się Pangborn - ale to żaden solidny dowód. Pan i pań ska żona określiliście z grubsza porę, o której pożegnaliście ostatnią parę. Jeśli byli tak zalani, jak sam pan twierdzi, trudno się spodziewać, żeby potwierdzili pań ską wersję. Choć jeśli ten facet, ten DeLesseps, jest naprawdę pań skim przyjacielem, może powiedzieć... no, nie wiadomo.

Niemniej jednak Alan Pangborn tracił animusz. Thad dostrzegał to i sądził - nie, wiedział - że policjanci stanowi doznają podobnej ewolucji uczuć. Jednakże szeryf nie był jeszcze gotów się poddać. Strach, który w pierwszym momencie zawładnął Thadem, i gniew, który dał potem o sobie znać, ustępowały miejsca fascynacji i ciekawości. Pomyślał, że jeszcze nigdy nie widział tak gwałtownego starcia zaskoczenia z przekonaniem o własnej racji; Pangborn dowiedziawszy się o przyjęciu - a musiał pogodzić się z faktem, że miało ono naprawdę miejsce, gdyż było to łatwo sprawdzić - stracił pewność siebie... ale nie został

przekonany. Thad widział również, że i policjanci stanowi nie zostali przekonani do końca. Jedyna różnica polegała na tym, że tamci dwaj, nie byli tak rozjuszeni. Nie znali Homera Gamache'a osobiście, więc nie byli zaangażowani uczuciowo w całą sprawę. Alan Pangborn znał i był.

„ Ja też go znałem – pomyślał Thad. – Więc może też jestem uczuciowo zaangażowany. Że nie wspomnę o zaangażowaniu mojego tyłka” .

– Słuchaj pan – rzekł cierpliwie, nie odrywając wzroku od Pangborna i starając się nie odwzajemniać jego wrogiego spojrzenia – wejdźmy w kontakt z życiem, jak mawiają moi studenci. Pytał pan, czy możemy udowodnić, gdzie przebywaliśmy...

– Gdzie pan przebywał, panie Beaumont – powiedział Pangborn.

– W porządku, gdzie ja przebywałem. Chodziło o pięć bardzo uciążliwych do wytłumaczenia godzin. Godzin, które większość ludzi spędza w łóżku. Wyłącznie dzięki ślepemu losowi potrafimy – potrafimy, jeśli tak pan woli – wytłumaczyć się przynajmniej z trzech. Może Rawlie i jego koszmarna pani wyszli o drugiej, może o wpół do drugiej, może za kwadrans druga. O którejkolwiek by to było, wyszli późno. Potwierdzą to, a ta Burks w przeciwnym razie do Rawliego nie skłamałaby mi alibi. Sądzę, że gdyby Billie Burks zobaczyła, jak morze wyrzuca mnie na brzeg, poprawiłaby jeszcze wiadrem wody.

Liza, odbierając Williama, który zaczął się trochę wiercić, posłała mężowi dziwny, nieco krzywy uśmiezek. Thad początkowo nie zrozumiał tego grymasu, ale połapał się szybko. Oczywiście, chodziło o to sformułowanie – skłamać alibi. Czasem używał go Alexis Maszyna, arcyłoczyńca z powieści George'a Starka. Trochę to dziwne; Thad nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek użył „starkizmu” w rozmowie. Z drugiej strony nigdy dotąd nie oskarżono go o morderstwo, podczas gdy dla George'a Starka morderstwo było chlebem powszednim.

– Nawet zakładając, że skońciliśmy imprezę nagle i ostatni goście wyszli o pierwszej – kontynuował – i dalej zakładając, że wskoczyłem do wozu w tej minucie ... sekundzie ... W której znikli za wzgórzem, a potem pojechałem na złamanie karku do Castle Rock, dojechałbym tam najwcześniej na piątą, wpół do piątej. Sam pan wie, na zachód nie ma autostrady.

– A ta Arsenault powiedziała, że było jakiś kwadrans po pierwszej, kiedy zobaczyła... zaczął jeden z policjantów stanowych.

– Nie ma potrzeby teraz o tym mówić – przerwał szybko Alan.

Liza westchnęła nieuprzejmie, z irytacją, na co Wendy zagulgotała do niej komicznie. William, spoczywający na drugim ramieniu matki, przestał się wiercić, nagle zachwycony

swoimi poruszającymi się paluszkami.

- Thad, o pierwszej była tu masa ludzi. Masa! - powiedziała Liza.

I napadła na Alana Pangborna. Tym razem naprawdę napadła.

- Co się z panem dzieje, szeryfie?! Dlaczego z uporem maniaka chce pan tym obciążyć mojego męża?! Co panem kieruje? Głupota? Lenistwo? Podłość? To niepodobna, ale pańskie zachowanie mnie zdumiewa. Bardzo mnie zdumiewa. Może to była loteria. Czy tak? Czy wyciągnął pan jego nazwisko z pieprzonego kapelusza?!

Alan wzdygnął się lekko, wyraźnie zaskoczony i wysadzony z siodła jej gwałtownością.

- Pani Beaumont...

- Obawiam się, że mam nad panem przewagę, szeryfie Pangborn - powiedział Thad. - Pan jest głęboko przekonany, że to ja zabiłem Homera Gamache'a.

- Panie Beaumont, nie przedstawiono panu oskarżenia...

- Nie. Ale pan tak myśli, prawda?

Thad obserwował rumieniec na policzkach Pangborna. Znamionował nie bezradność, lecz zażenowanie. Wyraźny, ceglasty, rósł wolno jak słupek rtęci na termometrze.

- Tak, proszę pana. Jestem o tym głęboko przekonany. Bez • względu na to, co usłyszałem od pana i pańskiej żony.

Ta odpowiedź napełniła Triada bezbrzeżnym zdumieniem. Cóż, na litość boską, spowodowało, że ten człowiek (który, jak Liza powiedziała, wcale nie wyglądał na idiotę) jest tak pewny swego? Tak cholernie pewny?

Thad poczuł dreszcz biegnący w górę kręgosłupa... i nastąpiło coś przedziwnego. Usłyszał w głowie urojony dźwięk - nie w uszach, w głowie. Niósł dojmujące wrażenie déjà vu, wspomnienie dalekiej przeszłości. Minęło prawie trzydzieści lat od chwili, kiedy słyszał po raz ostatni ten urojony ćwierkot setek, może tysięcy ptaków.

Przyłożył rękę do czoła i dotknął małej blizny. Dreszcz powrócił. Tym razem silniejszy. Targnął ciałem pisarza jak ostry drut. „Skłamałem mi alibi, George - pomyślał Thad. „Trochę mnie tu naciskają, więc skłamałem mi alibi”.

- Thad, nic ci nie jest? - spytała Liza.

- Hm? - Obejrzał się na żonę.

- Zbladłeś.

- Nic mi nie jest - powiedział. I nic mu nie było. Ćwierkot ucichł. Może go wcale nie słyszał?

Thad wrócił do rozmowy z Pangbornem.

- Jak powiedziałem, szeryfie, mam tu pewną przewagę. Pan myśli, że zabiłem Homera. Ja jednak wiem, że tego nie zrobiłem. Uśmiercałem ludzi tylko w książkach.

- Panie Beaumont...

- Rozumiem pańskie oburzenie. Był sympatycznym staruszkiem. Miał babę - smoka na karku, swoiste poczucie humoru i tylko jedną rękę. Ja też jestem oburzony. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby panu pomóc, ale musi pan dać sobie spokój z tymi policyjnymi sekretami i powiedzieć mi, dlaczego tu przyjechał - co, na Boga, sprowadza pana najpierw do mnie. Mam zamęt w głowie.

Alan patrzył na niego długo i rzekł:

- Wszystko mi mówi, że pan nie kłamie.

- Dzięki Bogu - powiedziała Liza. - Ten człowiek przeziera na oczy.

- Jeśli się to potwierdzi - Alan nie odrywał wzroku od Thada - osobiście znajdę osobę w AiDIA, która popierniczyła identyfikację, i obedrę ze skóry.

- Co to jest A i coś tam? - spytała Liza.

- Archiwa i Dział Identyfikacji Armii - wyjaśnił jeden z policjantów. - Waszyngton.

- Nigdy nie słyszałem, żeby im się coś popierniczyło - Alan cedził słowa tak jak poprzednio. - Powiadają, że zawsze musi być pierwszy raz, ale... jeśli nie popierniczyli i jeśli potwierdzi się ta pańska opowieść z przyjęciem, sam będę miał w głowie zamęt jak jasna cholera.

- Może nam pan powie, o co w tym wszystkim chodzi? - zapytał Thad.

Alan westchnął.

- Czemu nie? Jeśli już tyle powiedzieliśmy... W sumie i tak nie jest ważne, o której wyszli pańscy ostatni goście. Jeśli był pan w domu o północy, jeśli są świadkowie, którzy są gotowi potwierdzić to pod przysięgą...

- Co najmniej dwudziestu pięciu - wtrąciła Liza.

- ...i tak jest pan czysty. Dodając świadectwo pani, o której wspomniał ten policjant, wyniki i sekcji, mamy niemal pewność, że Homera Gamache'a zabito między pierwszą a trzecią w nocy pierwszego czerwca. Został zatłuczony na śmierć swoją sztuczną ręką.

- Dobry Boże - szepnęła Liza. - I pan pomyślał, że Thad...

- Ciężarówkę Homera odnaleziono na parkingu koło restauracji przy międzystanowej nr 95, w Connecticut, niedaleko granicy stanu Nowy Jork. - Alan zrobił pauzę. - Były w niej wszędzie odciski palców, panie Beaumont. Większość Homera, ale sporo należało do sprawcy zabójstwa. Kilka z nich w doskonałym stanie. Jeden prawie jak w gipsie - na kulce gumy do żucia, którą tamten gość wyjął z ust i przycisnął kciukiem do deski rozdzielczej.

Tam stwardniała. Ale najlepszy został na lusterku wstecznym. Tak dobry jak odcisk zdjęty na posterunku. Tyle że tamten był odbity we krwi, a nie w tuszu.

- Więc dlaczego Thad?! - domagała się odpowiedzi oburzona Liza. - Nawet nie wiedząc o tym przyjęciu, jak pan mógł podejrzewać, że Thad...

Alan spojrzał na nią i rzekł:

- Kiedy pracownicy AiDIA wrzucili te odciski do swojego graficznego komputera, dostali akta pani męża. Żeby być dokładnym, dostali odciski palców pani męża.

Przez chwilę Thad i Liza patrzyli tylko na siebie. Zdumienie odebrało im mowę.

- Więc to pomyłka - przemówiła wreszcie Liza. - Na pewno pracownicy, którzy pilnują tych spraw, mylą się od czasu do czasu!

- Tak, ale rzadko do tego stopnia. Jasne, są w daktyloskopii białe plamy. Laicy, których wiedza opiera się na serialach typu Kojak i Barnaby Jones, są przekonani, że daktyloskopia jest nauką ścisłą. Nieprawda. Ale technika komputerowa zlikwidowała wiele białych plam. A w tej sprawie trafiły się odciski wyjątkowo dobrej jakości. Pani Beaumont, kiedy mówię, że to były odciski pani męża, wiem, co mówię. Widziałem wydruki. Nałożone jedno na drugie. Nie były podobne. - Tu zwrócił się do Thada i wbił w niego niebieskie, lodowate oczy. - Były dokładnie takie same!

Liz wpatrywała się weń z otwartymi ustami. Najpierw William, a potem Wendy, trzymane w jej ramionach, podniosły płacz.

Pangborn składa wizytę

Gdy kwadrans po ósmej wieczorem znów odezwał się dzwonek, właśnie Liza podeszła do drzwi. Przygotowała już Williama do spania, podczas kiedy Thad miał jeszcze pełne ręce roboty przy Wendy. Podręczniki twierdzą, że opieka nad dziećmi jest umiejętnością do wyuczenia, nie mającą żadnego związku z płcią rodziców, ale Liza miała co to tego pewne wątpliwości. Thad ciągnął wózek razem z nią, jak najskrupulatniej wypełniał obowiązki, ale był powolny. W niedzielne popołudnie potrafił skoczyć do sklepu i z powrotem na jednej nodze. Ona w tym czasie może skoń czyłaby obchód półtek, ale kiedy szło o kładzenie bliźniąt spać, cóż...

William, wykąpany, przewinięty, w zielonym śpioszku dopiętym na ostatni zatrzask, siedział w kojcu, a Thad wciąż biedził się przy pieluchach Wendy (i nie wypłukał porządnie główki po szamponie, dostrzegła Liza, ale biorąc pod uwagę wszystkie przejścia, na jakie byli narażeni tego dnia, zdecydowała, że później sama zrobi to myjką, i nic nie powiedziała).

Przeszła przez salon, zbliżyła się do drzwi wyjściowych i wyjrzała przez boczne okienko. Na dworze stał szeryf Pangborn. Tym razem sam, ale to niewiele zmniejszyło jej obawy.

Odwróciła głowę i zawołała w kierunku łazienki cum stacja obsługi niemowląt:

- Wrócił! - W jej głosie wyraźnie brzmiała alarmowa nuta. Nastąpiła długa pauza. W głębi holu pojawił się Thad; bosy, ubrany w dżinsy i białą koszulkę.

- Kto? - zapytał dziwnym, rozwlekłym głosem.

- Pangborn. Thad, dobrze się czujesz?

Trzymał Wendy na ręku. Ubrana tylko w pieluchę, rączkami zastaniała mu twarz... ale Lizie wystarczyło zobaczyć wycinek oblicza męża i wiedziała, że coś jest nie tak.

Tymczasem Alan Pangborn czekał cierpliwie przed wejściem. Zauważył Lizę

spoglądającą przez okienko i już nie dzwonił. Wyglądał jak człowiek, który żałuje, że nie nosi kapelusza. Miałby wtedy co trzymać, a może nawet miętosić w rękach.

Powoli i bez zachęcającego uśmiechu Liza zdjęła łań cuch i wpuściła szeryfa do środka.

Wendy była ruchliwa i lubiła się bawić, stąd trudno było nad nią zapanować. Thadowi udało się wsunąć stópki i ramionka w śpioszki, a wreszcie wysupłał maleńkie dłonie z rękawków. Natychmiast zrobiła mu leciutkiego syfona. Zamiast jak zwykle się roześmiać, szarpnął w tył głowę. Spojrzała na niego nieco zdziwiona. Sięgnął po suwak zamka biegnącego od lewej stópki pod bródkę. Zamarł. Uniósł ręce i popatrzył. Trzęsły się. Lekko, ale wyraźnie.

„Czego się, do diabła, boisz? A może znowu masz jakieś poczucie winy?”

„Nie, nie poczuwał się do żadnej winy. Może nawet chciałby, żeby tak było. Po prostu wystraszył się, a tego dnia przytrafiało mu się to nazbyt często.

Najpierw zjawiła się policja z dziwnym oskarżeniem i jeszcze dziwniejszą pewnością siebie. Potem ten niesamowity, prześladowający go świergot. Nie miał pojęcia, skąd pochodził, choć wydawał się znajomy.

Po kolacji usłyszał go znowu.

Poszedł wtedy do gabinetu, żeby ocenić dzisiejsze postępy nad nową powieścią, Złotym psem. Wtem, gdy pochylał się nad plikiem maszynopisu wprowadzając drobną poprawkę, ten dźwięk znów odezwał się w głowie. To ćwierkało, świergotało równocześnie tysiąc ptaków. Tym razem dźwiękowi towarzyszył obraz.

Oto wróble.

Tysiące wróbli siedzą na krawędziach dachów, wiercą się na drutach telefonicznych, jak zwykle z początkiem wiosny, gdy ostatnie marcowe śniegi zaścielają jeszcze ziemię brudnymi gruboziarnistymi płatami.

„Och, nadchodzi ból głowy” – pomyślał z goryczą i głos, który wypowiedział tę myśl głos wystraszonego chłopca – przywołał pamięć przeszłości. Groza złapała Thada za gardło, ścisnęła skronie lodowatą obręczą.

„Czy to guz? Odnowił się? Czy tym razem będzie złośliwy?”

Urojony dźwięk – głos ptaków – nagle urósł, prawie ogłuszył Thada. Dołączył się do niego lekki, żałobny łopot skrzydeł. Odleciały wszystkie razem. Tysiące ptaków przyćmiły

białe, wiosenne niebo.

- Muszę wysuwać na północ, koniu - odezwał się głosem chrapliwym, grubym.

Obcym.

Wtem dźwięki i obraz ptaków przepadły. Był rok 1988, a nie 1960. Jest dorosłym mężczyzną. Ma żonę, dwoje dzieci, maszynę do pisania Remington.

Odetchnął długo, przerywanie. Nie poczuł bólu głowy, Ani przed nabraniem oddechu, ani po wypuszczeniu. Czuł się dobrze. Ale...

Ale kiedy znów spojrzął na plik maszynopisu, okazało się, że coś na nim napisał. Duże litery biegły na ukos po schludnych liniijkach maszynowego pisma.

WRÓBLE ZNÓW FRUWAJĄ - napisał.

Nie długopisem, skorzystał z czarnego piórnika Berola, choć nie pamiętał, kiedy zmienił długopis na ołówek. W ogóle nie używał już ołówek. Należały do zakończonego okresu... mrocznego okresu. Cisnął ołówek do słoika i wpakował cały interes do szuflady. Ręka, która wykonała te czynności, nie była zbyt spokojna.

Wtedy Liza zawołała go, by pomógł ułożyć bliźnięta do snu, i zszedł na dół. Chciał opowiedzieć o tym, co się stało, ale okazało się, że groza - groza, iż nowotwór z dzieciństwa się odrodził, groza, iż tym razem będzie złośliwy - zapieczętowała mu usta. Mimo to może i opowiedziałby jej... ale odezwał się dzwonek przy drzwiach, Liza poszła zobaczyć, kto przyszedł, i powiedziała najmniej odpowiednie słowo w najmniej odpowiednim momencie.

Wrócił! - zawołała z doskonale rozumiałą irytacją i niepokojem. Groza przeszła go jak podmuch zimnego, przenikliwego wiatru. Groza i dźwięk jednego słowa: Stark. Przez sekundę, nim rzeczywistość doszła do głosu, był zupełnie pewien, że jego miała na myśli. George'a Starka. Wróble fruwać i Stark wrócił. Nie żył. Nie żył, został publicznie pochowany, zresztą nigdy naprawdę nie istniał, ale to bez znaczenia. Żywy czy nie, niemniej wrócił.

„Przestań - nakazał sobie. - Nie jesteś płochliwym facetem i nie ma potrzeby wpadać w popłoch z powodu niesamowitego zbiegu okoliczności. Ćwierkot, który słyszałeś, to tylko fenomen nazywany przez psychologów »uporem pamięciowymi. Jest wywoływany stresem i napięciem. Więc po prostu weź się w garść”.

Ale groza nie ustąpiła całkowicie. Ćwierkot wywołał nie tylko déjà vu, złudzenie, że jakaś sytuacja już się wydarzyła, ale i presque vu.

Presque vu, złudzenie, że jakaś sytuacja jeszcze się nie zdarzyła, ale się zdarzy. Nie wiedza uprzednia, raczej pomyłka pamięci.

„Omyłkowe sranie w banię, o to ci zapewne chodzi”.

Uniósł ręce i patrzył na nie. Drzenie się zmniejszyło, a następnie ustało. Kiedy upewnił się, że nie przytnie różowutkiej po kąpieli skóry Wendy zamkiem śpioszka, pociągnął suwak, zaniósł niemowlę do salonu, umieścił w kojcu obok brata i udał się do holu, gdzie Liza stała z szeryfem Alanem Pangbornem. Z jedynym wyjątkiem, że Pangborn stawił się sam, wyglądało to na powtórkę z ranka.

„ Obecnie ze wszech miar wypada oczekiwać drobnego vu takiego czy innego rodzaju” – pomyślał Thad, ale wcale nie było mu do śmiechu. Wspomnienie świeżo doznanej grozy pozostawało jeszcze zbyt żywe... jak i ćwierkot wróbli.

– Czym mogę panu służyć, szeryfie? – zapytał z poważną miną. Ach! Jeszcze jedno odróżniało wieczór od ranka. Pangborn trzymał w ręce transporterek z półtuzinem puszek. Uniósł go trochę.

– A może by tak przepłukać sobie gardła po tym wszystkim? – spytał. – I obgadać sprawę?

Liza i Alan Pangborn wychylili po piwie; Thad wychylił pepsi z lodówki. Rozmawiając patrzyli na bliźnięta. Bawiły się razem na swój dziwny, poważny sposób.

– Nie jestem tu z obowiązku – powiedział Alan. – Zadaje się z człowiekiem, który jest podejrzany już nie o jedno, ale dwa morderstwa.

– Dwa?! – zawołała Liza.

– Dojdę do tego. Po prawdzie, dojdę do wszystkiego. Chyba będę sypał. Przede wszystkim jestem pewien, że pani mąż ma też alibi na czas drugiego morderstwa. Gliniarze stanowi też są tego pewni. Nie robią wiele szumu, ale mają pełne ręce roboty.

– Kto został zabity? – spytał Thad.

– Młody człowiek nazwiskiem Frederick Clawson. W Waszyngtonie, D.C. – Liza podskoczyła w fotelu, wylewając trochę piwa na rękę. – Widzę, że to nazwisko brzmi pani znajomo, pani Beaumont – dodał bez śladu ironii.

– Co się dzieje? – szepnęła bez tchu.

– Nie mam najmniejszego pojęcia, co się dzieje. Wariuję, żeby sobie to ułożyć. Nie przyjechałem tu, by pana aresztować, panie Beaumont, ani nawet odpytywać, chociaż prędzej mnie szlag trafi, nim zrozumie, jak ktoś inny mógł popełnić te dwa morderstwa.

Przyjechałem po pań ską pomoc.

– Może będzie mi pan mówił „ Thad” ?

Alan poprawił się w fotelu.

- Myślę, że na razie z pewnością mi będzie mówić „panie Beaumont”.

Thad kiwnął głową.

- Jak pan woli. Więc Clawson nie żyje. - Spuścił wzrok, zamyślił się. Wrócił spojrzeniem do Pangborna. - Czy moje odciski palców też były na miejscu zbrodni?

- Tak, i to wszędzie. Niedawno w „People” ukazał się artykuł na pański temat, prawda, panie Beaumont?

- Tak, przed dwoma tygodniami.

- Ten artykuł znaleziono w mieszkaniu Clawsona. Wygląda na to, że jedna strona posłużyła za symbol w rytualnym morderstwie.

- Chryste - westchnęła Liza. Sprawiała wrażenie równocześnie umęczonej i przerażonej.

- Czy możecie mi wyjaśnić, co łączyło was z tamtym człowiekiem? - zapytał Alan.

Thad skinął głową.

- Nie mamy nic do ukrywania. Czy przypadkiem czytał pan ten artykuł, szeryfie?

- Żona bierze to czasopismo przy okazji zakupów, ale żeby nie skłamać - tylko obejrzałem zdjęcia. Po powrocie do domu natychmiast siadam nad tekstem.

- Niewiele pan stracił. Musi pan wiedzieć, że to z powodu Fredericka Clawsona pojawił się ten artykuł. Widzi pan...

Alan podniósł dłoń.

- Dojdziemy do niego, ale najpierw wróćmy do Homera Gamache'a. Sprawdziliśmy jeszcze raz w AiDIA. Odciski palców w ciężarówce Gamache'a - i w mieszkaniu Clawsona, choć żaden z nich nie jest tak idealny jak odcisk na gumie do żucia i lusterku - wyglądają dokładnie jak pańskie. Co oznacza, że jeśli pan nie jest sprawcą przestępstwa, mamy dwóch ludzi z identycznymi liniami papilarnymi to już zasługuje na wpis do Księgi rekordów Guinnessa.

Popatrzył na Williama i Wendy. Udawali, że trenują koci - koci - łapci, ale najwyraźniej przede wszystkim chcieli powybić sobie oczka.

- Jednojąjowe?

- Nie - powiedziała Liza. - Są bardzo podobne, ale to brat i siostra. A bliźnięta różnej płci nigdy nie są jednojąjowe.

Alan kiwnął głową.

- Nawet bliźniaki jednojąjowe nie mają identycznych linii papilarnych. - Zrobił pauzę i dodał niedbałym tonem, który wydał się Thadowi całkiem nieszczerzy: - Pan nie ma brata

bliźniaka, panie Beaumont?

Thad powoli pokręcił przecząco głową.

- Nie. W ogóle nie mam rodzeństwa, a rodzice nie żyją. William i Wendy to moi jedyni żyjący krewni. - Uśmiechnął się do dzieci. - Jeszcze w 1974 roku Liza poroniła. Te... te pierwsze... też, o ile wiem, były bliźniakami, choć nie dowiedzieliśmy się czy jednojajowymi. To niemożliwe w przypadku trzymiesięcznego płodu. A nawet gdyby dało się wykryć, na co komu to wiedzieć?

Alan wzruszył ramionami, nieco zakłopotany.

- Robiła zakupy u Filene'a. W Bostonie. Ktoś ja pchnął. Spadła na sam dół ruchomych schodów, mocno zraniła się w rękę. Gdyby facet z ochrony domu towarowego nie założył jej opaski uciskowej, i z nią było by krucho - ale bliźnięta straciła.

- Czy jest o tym mowa w „People?” - zapytał Pangborn.

Liza uśmiechnęła się smutno i potrząsnęła głową.

- Zgadząc się na wywiad, zachowaliśmy sobie prawo do takiej redakcji naszych biografii, jaka nam odpowiadała. Oczywiście nie wspomnieliśmy o tym warunku Mike'owi Donaldsonowi, facetowi spisującemu nasze wypowiedzi, ale postępowaliśmy wedle własnych przekonań .

- Czy to pchnięcie było celowe?

- Trudno powiedzieć. - Wzrok Lizy spoczął na Williamie i Wendy... otulił dzieci. - Ale jak na przypadkowe było cholernie mocne. Wyrzuciło mnie w powietrze - na schody upadłam dopiero w połowie kondygnacji. Mimo to usiłowałam przekonać samą siebie, że to był przypadek. Łatwiej z tym żyć. Kiedy się pomyśli, że ktoś może pchnąć kobietę w dół ruchomych schodów tylko po to, żeby zobaczyć, co się stanie... kiedy się raz o tym pomyśli, ma się z bańki sen na wiele nocy.

Alan kiwnął głową.

- Lekarze, których odwiedzaliśmy, mówili, że Liza prawdopodobnie nigdy nie będzie miała dziecka - powiedział Thad. - Kiedy byki w ciąży z Williamem i Wendy, mówili, że prawdopodobnie nie donosi do terminu. Ale dała sobie radę. A ja po dziesięciu latach wreszcie siadłem do roboty nad książką sygnowaną własnym nazwiskiem. To będzie moja trzecia. Więc, jak pan widzi, leci nam dobrze. •

- Inne książki pisał pan pod pseudonimem „George Stark” .

Thad kiwnął głową.

- Ale teraz z tym koniec. Tak postanowiłem, gdy Liza weszła w ósmy miesiąc zdrowa i cała. Wtedy uznałem, że skoro znów mam być ojcem, powinienem znów być sobą.

W rozmowie nastąpiła wtedy pauzeczka – nawet nie przerwa. Następnie Thad powiedział:

– Złóżże wyznanie, szeryfie Pangborn.

Alan podniósł brwi.

– Że co, przepraszam?

Kąciki ust Thada drgnęły w lekkim uśmiechu.

– Nie twierdzą, że wyobraził pan sobie cały scenariusz, ale założę się, że przynajmniej ustalił pan główne zarysy. Gdybym miał brata bliźniaka, może on odegrałby rolę gospodarza przyjęcia. W ten sposób mógłbym być w Castle Rock i zamordować Homera Gamache’a, zostawiając odciski palców w ciężarówce. Ale to nie koniec, co? Mój bliźniak śpi z moją żoną i załatwia za mnie sprawy, podczas kiedy ja jadę wozem Homera do tego parkingu przy restauracji w Connecticut, kradnę tam inny samochód, mknę do Nowego Jorku, porzucam trefny wóz, wsiadam w pociąg albo samochód do Waszyngtonu, D.C. Tam załatwiam Clawsona i szybko wracam do Ludlow, wysyłam braciszka do domu. I nasza dwójka żyje, jak żyła. Albo nasza trójka, jeśli zakłada pan, że Liza wzięła udział w całym tym oszukań stwie.

Liza wpatrywała się w niego chwilę i wybuchnęła śmiechem. Śmiała się krótko, ale mocno. Nie było w tej wesołości nic wymuszonego, niemniej jednak śmiała się niechętnie, jak śmieją się kobiety zaskoczone tym, co usłyszały.

Alan był zaskoczony szczerze i otwarcie. Bliźnięta przez chwilę śmiały się z mamy – może ^arazem z nią – i znów powoli potoczyły wielką żółtą piłkę z jednej strony kojca na drugą.

– Thad, to straszne – rzekła Liza odzyskawszy panowanie nad sobą.

– Może – powiedział. – Jeśli tak, przepraszam.

– To... bardzo zawikłane – powiedział Alan.

Thad uśmiechnął się szeroko.

– Śmiem twierdzić, że nie jest pan fanem świętej pamięci George’a Starka.

– Szczerze mówiąc, nie. Ale mój zastępca, Norris Ridgewick, tak. Musiał mi wyjaśnić, na czym polegało to całe halo.

– No cóż, Stark robił co chciał z niektórymi zasadami powieści kryminalnej. Nigdy nie brał na warsztat czegoś tak bliskiego Agacie Christie, jak scenariusz, który właśnie podsunąłem, ale to nie znaczy, że nie umiałbym kombinować w ten sposób, gdybym się przyłożył. No, szeryfie, przyszło to panu do głowy, prawda? Jeśli nie, naprawdę winienem przeprosić żonę.

Alan milczał chwilę. Uśmiechał się i myślał intensywnie.

- Może i przyszło - powiedział w końcu. - Nie na serio i niedokładnie tak, ale nie musi pan przeproszać swojej szanownej małżonki. Od dzisiejszego rana jestem gotów rozważyć nawet najbardziej niepojęte możliwości.

- Biorąc pod uwagę stan faktyczny.

- Tak. Biorąc pod uwagę stan faktyczny.

Thad też się uśmiechnął.

- Urodziłem się w Bergenfield, New Jersey, szeryfie. Nie musi pan wierzyć mi na słowo, kiedy może pan sprawdzić akta i rozejrzeć się za jakimś bliźniakiem, o którym zapomniałem.

Alan potrząsnął głową i popił piwa.

- To był szalony pomysł i czuję się trochę jak dupa wołowa, ale to dla mnie nic nowego. Czuję się tak od rana, kiedy dał nam pan bobu z tym przyjęciem. Przy okazji, sprawdziliśmy u tych gości. Potwierdzają.

- Jasne - wtrąciła Liza z lekkim przekąsem.

- A ponieważ nie ma pan bliźniaka, to równie dobrze można dać sobie spokój.

- A założymy na chwilę - powiedział Thad - tylko teoretycznie, że jednak to wydarzyło się tak, jak zasugerowałem. Byłaby to diabelnie zmyślna historyjka... do pewnego momentu.

- Do jakiego momentu? - spytał Alan.

- Do sprawy odcisków palców. Dlaczego miałbym zadawać sobie tyle trudu tworząc alibi przy pomocy faceta, który wygląda dokładnie jak ja... a potem wszystko zepsuć, zostawiając odciski palców w miejscach zbrodni?

- Założę się jednak, że sprawdzi pan akta w magistracie, prawda, szeryfie? - spytała Liza.

- Podstawowa zasada procedury policyjnej brzmi: tłucz głową w mur, coś w końcu się rozleci - oświadczył flegmatycznie Alan. - Ale ja już teraz wiem, czego się dowiem. - Zawahał się i dodał: - Nie chodzi tylko o to przyjęcie. Panie Beaumont, pan wygląda na człowieka prawdomównego. Mówię to, bo mam pewne doświadczenie, które pozwala mi rozróżniać ludzi. Dość im się przyjrzałem jako funkcjonariusz, by powiedzieć, że na tym świecie jest naprawdę niewielu dobrych kłamców. Może w tych kryminałach, o których pan mówi, figurują od czasu do czasu, ale w życiu trafiają się bardzo rzadko.

- Więc czemu w ogóle pojawiły się te odciski? - spytał Thad. - To mnie interesuje. Czyżby szukał pan tylko jakiegoś amatora z moimi odciskami? Wątpię. Czy nie wpadło panu na myśl, że sama jakość odcisków jest podejrzana? Mówił pan o białych plamach. Znam się

trochę na daktyloskopii, bo potrzebowałem faktów do „starków”, choć nigdy nie potrafiłem zgłębić tego problemu. Śmierdzący leń ze mnie. O wiele łatwiej się przy maszynie i namotać jakieś kłamstwo. Ale przecież nim użyje się odcisków palców jako dowodu, ustala się liczbę wspólnych cech?

- W Maine wynosi ona sześć - powiedział Alan. - Dopiero przy szóstce idealnie wspólnych cech odciski mogą posłużyć za dowód.

- I czy w większości przypadków odciski palców to nie są tylko połówki, ćwiartki albo zamazane smugi z kilkoma pętlami i spiralami?

- Taaa... W rzeczywistości przestępcy rzadko idą do więzienia na podstawie porównania odcisków palców.

- A tutaj na lusterku wstecznym ma pan jeden odcisk, tak dobry jak wzięty na posterunku, i drugi na gumie do żucia, prawie jak odlany/Właśnie to mnie niepokoi. Wygląda, jakby odciski palców zostawiono specjalnie po to, żeby je pan znalazł.

- To wpadło nam na myśl.

Ha, żeby tylko wpadło! Zabiło potężnego ćwieka. To był jeden z najbardziej denerwujących aspektów sprawy. Morderstwo Clawsona wyglądało na klasyczną rozprawę gangu z informatorem: język wycięty, penis w ustach ofiary, dużo krwi, dużo bólu, a mimo to nikt nie słyszał jednego cholernego krzyku. Ale jeśli to robota zawodowców, jakim cudem odciski Beaumonta były rozsiane po całym mieszkaniu? Jeśli coś tak bardzo przypomina wrobienie, jak może nie być wrobieniem?! Nie może, chyba że ktoś wymyślił jakieś nowe zagranie. Nim się to wyjaśni, Alan Pangborn trzymał się uznanej zasady: jeśli coś chodzi jak kaczka, kwacze jak kaczka, pływa jak kaczka - jest kaczka.

- Czy odciski palców można sfabrykować? - zapytał Thad.

- Czy czytanie w myślach idzie panu tak dobrze jak pisanie książek, panie Beaumont?

- Czytam w myślach, piszę książki, ale, skarbie, nie myję okien.

Alan miał w ustach spory łyk. Zaskoczony, śmiejąc się o mało nie wypluł piwa na dywan. Przełknął z trudem, a trochę płynu dostało się do tchawicy i rozkaszał się. Liza wstała i walnęła szeryfa kilka razy w plecy. Może dziwnie wypadło, ale zrobiła to zupełnie naturalnie. Opieka nad dwojgiem niemowląt ukształtowała jej reakcje. William i Wendy wytrzeszczali oczka z kojca, żółta piłka leżała zapomniana między nimi. William zaczął się śmiać. Wendy poszła w ślady brata.

Nie wiedzieć czemu, to pobudziło Alana do jeszcze większej wesołości.

Thad dołączył do policjanta. I Liza, nadał tłukąc Pangborna po plecach, również zaczęła się śmiać.

- Nic mi nie jest - powiedział Alan nadal prychnając i śmiejąc się. - Naprawdę.

Liza walnęła go ostatni raz. Piwo wyleciało z butelki jak gejzer i oblało szeryfowi spodnie w kroku.

- Nie ma sprawy - powiedział Thad. - Pieluch ci u nas dostatek.

Więc znów wybuchnęli śmiechem i w jakimś momencie tego drobnego incydentu wszyscy troje, choćby na krótko, stali się przyjaciółmi.

- O ile wiem, o ile udało mi się zorientować, odcisków palców nie da się sfabrykować - powiedział Alan, podejmując w jakiś czas potem wątek rozmowy. Zaczęli już drugą kolejkę i kłopotliwa plama w kroku z wolna schła. Bliźnięta zasnęły, a Liza udała się do toalety. - Oczywiście nadal to sprawdzamy, ponieważ aż do dziś nie mieliśmy żadnego powodu do przypuszczeń, że coś podobnego może w ogóle wymknąć. Wiem, że próbowano czegoś takiego; kilka lat temu porywacz, zanim zabił ofiarę, zdjął jej odciski palców, zrobił z nich... matryce, tak się chyba na to mówi... i odcisnął w bardzo cienkim plastyku. Nałożył te plastikowe opuszki na własne palce i usiłował zostawić je gdzie się dało w górskiej chacie ofiary, tak żeby policja pomyślała, że całe porwanie to oszustwo i facet jest na wolności.

- Numer nie chwycił?

- Gliny dostały cudowne odciski. Przestępcy. Tłuszcz z jego palców zmiękczył odciski sfabrykowane, a ponieważ plastik był cienki i przyjmował nawet najdelikatniejszy kształt, odwzorował odciski po raz drugi. Tym razem odciski przestępcy.

- Może gdyby użyto innego materiału...

- Jasne, może. Tamta sprawa miała miejsce w połowie lat pięćdziesiątych. Wyobrażam sobie, że odtąd wynaleziono setki nowych polimerów. To niewykluczone. Na razie możemy tylko powiedzieć, że żaden z praktyków ani teoretyków kryminologii nie słyszał, żeby komuś - wypalił taki numer, i myślę, że nieprędko usłyszy.

Liza wróciła do pokoju, siadając na kanapie podwinęła nogi jak kotka. Naciągnęła sukienkę na łydki. Thad z upodobaniem obserwował ten gest. Wydawał mu się w pewien sposób ponadczasowy, zawsze wdzięczny.

- Ale są inne sprawy do rozważenia, Thad.

A więc zwrócił się do niego po imieniu - Thad i Liza wymienili szybkie spojrzenia, tak szybkie, że Alan ich nie dostrzegł. Wyciągnął podniszczony notatnik z tylnej kieszeni i zajrzał do środka.

- Palisz? - zapytał.

- Nie.

- Rzucił siedem lat temu - powiedziała Liza. - Cierpiał strasznie, ale wytrzymał.

- Są krytycy, którzy twierdzą, że świat byłby piękniejszy, gdybym znalazł sobie jakieś legowisko i zdechł w nim, ale ja na nich plwam - powiedział Thad. - A o co chodzi?

- Ale paliłeś?

- Tak.

- Pall maile?

Thad podnosił do ust puszkę pepsi. Zatrzymała się w połowie drogi.

- Skąd to wiesz?

- Masz grupę krwi A minus?

- Zaczynam rozumieć, dlaczego rano przyjechałeś nastawiony na aresztowanie mnie - powiedział Thad. - Gdybym nie miał tak murowanego alibi, już siedziałbym w więzieniu, prawda?

- Trafiałeś.

- Grupę krwi mógł pan dostać z archiwów rezerwy - powiedziała Liza. - Zakładam, że stamtąd zresztą dostał pan linie papilarne.

- Ale nie stamtąd dostał, że piętnaście lat paliłem pall maile - powiedział Thad. - O ile wiem, takie duperele nie figurują w archiwach armii.

- Duperele przyszły dziś - wyjaśnił im Alan. - Popielniczka w furgonetce Gamache'a była pełna niedopałków. Staruszek rzadko palił i wyłącznie fajkę. W popielniczce u Fredericka Clawsona było parę niedopałków pall maili. Clawson nie palił w ogóle, może okazyjnie trawkę. Tak twierdzi właścicielka kamienicy. Grupę krwi sprawcy mamy ze śliny na niedopałkach. Raport serologów dostarczył nam masę innych informacji. Lepszych niż linie papilarne.

Thad już się nie uśmiechał.

- Nie pojmuję. Nic z tego nie pojmuję.

- Jest jedna rzecz, która nie pasuje do ciebie - powiedział Pangborn. - Blond włosy. Znaleźliśmy kilka w ciężarówce Homera i kilka na oparciu fotela, w którym zabójca siedział będąc u Clawsona. Ty jesteś brunetem. Jakoś trudno mi uwierzyć, że nosisz perukę.

- Nie, Thad nie nosi peruki, ale może zabójca nosi - ponuro stwierdziła Liza.

- Może - zgodził się Alan. - Jeśli tak, zrobił ją z ludzkich włosów. A po co zmieniać kolor włosów, jeśli zamierzasz zostawić wszędzie odciski palców i niedopałki? Albo facet jest bardzo tępy, albo celowo usiłuje cię wplątać. Jasne włosy nie pasują ani tu, ani tu.

- Może po prostu nie chce być rozpoznany - powiedziała Liza. - Proszę pamiętać, że Thad był w „People” zaledwie przed dwoma tygodniami. Czasopismo rozchodzi się w całych Stanach.

- Taaa... jest taka możliwość. - Choć jeśli ten facet również wygląda jak pani mąż, pani Beaumont...

- Lizo.

- Dobra, Lizo. Jeśli wygląda jak twój mąż, nadal będzie wyglądał jak Thad Beaumont, tylko że z blond włosami, no nie?

Liza zmierzyła wzrokiem Thada i zaczęła chichotać.

- Co tu śmiesznego? - zapytał Thad.

- Usiłuję sobie wyobrazić ciebie jako blondyna - powiedziała nie przestając chichotać.

- Wyglądałbyś jak do reszty zdeprawowany David Bowie.

- To takie śmieszne? - zapytał Alana Thad. - Mnie to wcale nie śmieszy.

- No cóż... - zaczął Alan uśmiechając się.

- Mniejsza z tym. Oprócz peruki facet równie dobrze mógł nosić okulary przeciwsłoneczne i doklejone baczki.

- Jeśli zabójcą jest ten sam facet, którego pani Arsenault widziała wsiadającego do ciężarówki Homera trzy kwadransy po dwunastej pierwszego czerwca, to nie - powiedział Alan.

Thad pochylił się.

- Był do mnie podobny?

- Świadek podała tylko, że miał na sobie garnitur. Trudno ocenić, ile warte są jej słowa. Jeden z moich ludzi, Norris Ridgewick, pokazał jej dziś twoje zdjęcie. Powiedziała, że „nie sądzi”, abyś to był ty, choć nie jest pewna. Tamten mężczyzna wydał się jej większy. To jedna z tych pań, dla których pomyłka jest mniejszym złem niż ryzyko - zakończył sucho.

- Potrafiła ocenić wzrost na podstawie fotografii? - zapytała powątpiewająco Liza.

- Widziała Thada w miasteczku latem - odparł Alan. - I nie omieszkała dodać, że nie jest pewna.

Liza skinęła głową.

- Oczywiście, że go zna. Zresztą zna nas oboje. Zawsze kupujemy od niej jarzyny.

Jaka jestem głupia. Przepraszam.

- Nie ma za co przepraszać - powiedział Alan. Skończył piwo i sprawdził stan spodni. Suche. Dobra. Została niewyraźna smuga, której prawdopodobnie nie dostrzeże nikt poza żoną. - W każdym razie to doprowadza mnie do ostatniego punktu... aspektu... cholera wie jak

to nazwać. Wątpię, czy to nawet należy do sprawy, ale nigdy nie zaszkodzi sprawdzić. Jaki pan nosi rozmiar buta, panie Beaumont?

Thad spojrział na Lizę. Wzruszyła ramionami.

- Całkiem skromny jak na faceta mierzącego sześć stóp jeden cal, tak sędzę. Kupuję dziesiątki, choć pół numeru w tę czy we w tę nie robi...

- Odciski, o których nam doniesiono, były prawdopodobnie większe - przerwał mu Alan. - Zresztą nie uważam, żeby odciski grały tu rolę, a jeśli nawet, to trzeba wziąć pod uwagę, że odciski stóp są do sfabrykowania. Wpycha się trochę papieru gazetowego w czubek kilka numerów większego buta i sprawa gotowa.

- O jakich odciskach stóp mowa? - zapytał Thad.

- Nieistotne - powiedział Alan i potrząsnął głową. - Nie mamy nawet zdjęć. Myślę, że podsunęto nam pod nos prawie wszystko co trzeba, Thad. Twoje odciski palców, twoją grupę krwi, gatunek palonych papierosów...

- On nie... - zaczęła Liza. Alan podniósł uspokajająco rękę.

- Gatunek kiedyś palonych papierosów. Chyba muszę być niespełna rozumu, że cię w to wszystko wprowadzam - przynajmniej tak częściowo sędzę - ale kiedy już powiedziało się „a”, trzeba powiedzieć i „be”. Jesteś z tym związany i na inne sposoby. Biorąc pod uwagę, że pracisz podatki w obu miejscowościach, Castle Rock jest twoim oficjalnym miejscem pobytu tak samo jak Ludlow. Homer Gamache nie był twoim zwykłym znajomym, wykonywał... czy „drobne naprawy” będzie dobrym określeniem?

- Tak - powiedziała Liza. - Zrezygnował z kompletnych usług konserwacyjnych tego roku, w którym kupiliśmy dom - Dave Phillips i Charlie Fortin robią to na zmianę, ale lubił służyć radą.

- Jeśli przyjmujemy, że autostopowicz dostrzeżony przez panią Arsenault zabił Homera, rodzi się pytanie, czy zabił go, ponieważ Homer był pierwszą nadjeżdżającą osobą na tyle głupią - albo na tyle pijaną - żeby go wziąć do auta, czy zabił go, ponieważ był Homerem Gamache' em, znajomym Thada Beaumonta?

- Skąd mógłby wiedzieć, że to Homer nadjedzie? - zapytała Liza.

- Stąd, że był to wieczór, w którym Homer grał w kręgle, a Homer ma... miał... stałe nawyki. Był jak stara szkapa, Lizo. Zawsze wracał do stajni tą samą drogą.

- Twoje pierwsze założenie brzmi: Homer nie zatrzymał się dlatego, że był pijany, ale dlatego, że rozpoznał autostopowicza. Nieznajomy, który chciałby zabić Homera, w ogóle nie próbowałby numeru z autostopem. Uznałby go za zbyt naciągany, nawet z góry przegrany.

- Tak.

- Triad. - Głos Lizy zabrzmiał niezbyt pewnie. - Policja pomyślała sobie, że Homer zatrzymał się, ponieważ zobaczył, że to Thad... no nie?

- Tak - potwierdził Thad. Pochylił się i ujął ją za rękę. - Pomyśleli sobie, że tylko taki jak ^{ktoś} ja - ktoś, kto zna Homera - spróbuje takiego podstępu. Podejrzewam, że nawet ubranie jest tu świadomie dobrane. Cóż włoży na siebie elegancki pisarz, planujący morderstwo na wsi, o pierwszej w nocy? Ależ oczywiście! Dobry tweedowy garnitur... garnitur z brązowymi zamszowymi łatami na łokciach. Jest to warunek de rigueur wszystkich brytyjskich kryminałów.

Popatrzył na Alana.

- Dziwna jak jasna cholera, prawda? Ta cała sprawa.

Alan kiwnął głową.

- Można kręćka dostać. Pani Arsenault myślała, że facet rusza na drugą stronę drogi, przynajmniej miał taki zamiar, gdy wtem Homer napatoczył się swoją furgonetką. Ale jeśli znałeś również tego Clawsona w D.C., to jest bardziej prawdopodobne, że Homer został zabity dlatego, że był tym, kim był, nie dlatego, że był aż tak pijany, by się zatrzymać. Więc pomówmy o Fredericku Clawsonie, Thad. Opowiedz mi o nim.

Thad i Liza wymienili spojrzenia.

- Myślę, że moja żona zrobi to szybciej i zwięźlej - powiedział Thad. - Myślę też, że klnie mniej ode mnie.

- Na pewno wolisz, żebym ja to zrobiła?

Thad kiwnął głową. Liza zaczęła mówić, najpierw rwąc wątek, potem coraz potoczniej. Z początku Thad kilkakrotnie przerywał, ale potem rozsiadł się wygodniej i ograniczył do słuchania. Przez następne pół godziny rzadko zabierał głos. Alan Pangborn wyjął notatnik i robił pospieszne zapiski. Po kilku pytaniach też rzadko przerywał.

Najazd glizdownca

- Nazywam go Glizdowiec - zaczęła Liza. - Przykro mi, że nie żyje... ale Glizdowncem był i tyle. Nie wiem, czy autentyczne glizdownce rodzą się sobą czy dopiero nabywają cech dla nich charakterystycznych, ale ponieważ tak czy siak oślizgłość Wyróżnia je spośród innych stworzeń, więc sądzę, że nie ma to znaczenia. Tak się złożyło, że Frederick Clawson trafił do Waszyngtonu, D.C. Przywędrował studiować prawo do największego gniazda żmij adwokackich... Thad, dzieciaczki się wiercą, dasz im butelki? A mnie jeszcze jedno piwko, proszę.

Podał żonie piwo i poszedł do kuchni podgrzać butelki. Uchylił drzwi, żeby lepiej słyszeć... i w trakcie tej czynności stuknął się w kolano. Przytrafiało mu się to tyle razy, że ledwo zauważył.

„Wróble znów fruwią - pomyślał i potarł bliznę na czole. Napęłnił ciepłą wodą ronderek, postawił na kuchence. - Gdybym tylko wiedział, co to, kurwa, znaczy” - Ostatecznie większą część tej historii wydusiliśmy z samego Clawsona - mówiła dalej Liza - ale jego kąt widzenia był w naturalny sposób wypaczony. Thad lubi powtarzać, że wszyscy jesteśmy bohaterami powieści swego życia, choć Clawson uważał się raczej za Boswella niż Glizdownca, raczej za biografę niż bohatera... ale możemy przedstawić bardziej zrównoważony obraz jego osoby, dodając informacje uzyskane od pracowników Darwin Press, wydawnictwa publikującego powieści Thada wychodzące pod pseudonimem „Stark”, i dane, które podrzucił Rick Cowley.

- Kim jest Rick Cowley? - zapytał Alan.

- Agentem literackim, reprezentującym Thada pod oboma nazwiskami.

- A czego Clawson - Glizdowiec, jak mówisz - chciał?

- Forsy - sucho wyjaśniła Liza.

Thad wyjął z lodówki dwie butelki (napelnione do połowy, żeby mniej męczyć się przewijaniami w środku nocy) i wsadził do rondelka. W słowach Lizy była prawda... ale nie cała prawda. Clawson chciał dużo więcej.

Liza jakby czytała w myślach męża.

- Ale forsa to nie wszystko. Nie jestem nawet pewna, czy o nią mu głównie szło.

Chciał zyskać sławę człowieka, który ukaże prawdziwe oblicze George'a Starka.

- Chciał przebić tego, komu udałooby się zajrzeć pod maskę Niewiarygodnego Spidermana?

- Właśnie.

Thad wsadził palec do rondelka, sprawdzając temperaturę wody. Oparł się o kuchenkę, skrzyżował ręce na piersi. Słuchał. Poczul ochotę na papierosa - pierwszy raz od wielu, wielu lat.

Zadrzał.

- Clawson był w zbyt wielu odpowiednich miejscach w zbyt odpowiednim czasie - powiedziała Liza. - Nie tylko studiował prawo, pracował również dorywczo jako sprzedawca w księgarni. Nie tylko sprzedawał książki, był zapalonym wielbicielem George'a Starka. I zapewne jako jedyny w kraju wielbiciel George'a Starka przeczytał obie powieści Thada Beaumonta.

Thad wykrzywił twarz w uśmiechu - uśmiechu nie pozbawionym goryczy - i powtórnie sprawdził temperaturę wody w rondelku.

- Chciał zbudować wokół swych podejrzeń wielki teatr - ciągnęła Liza. - Musiał dobrze się napocić, żeby urósł ponad przeciętność. Kiedy już doszedł do wniosku, że Stark jest naprawdę Beaumontem i vice versa, zadzwonił do Darwin Press.

- Wydawcy Starka.

- Zgadza się. Dorwał się do Ellie Golden, redaktorki powieści Starka. Od razu zapytał: proszę mi powiedzieć, czy George Stark jest naprawdę Thaddeusem Beaumontem? Ellie wyśmiała taki pomysł. Wtedy Clawson zapytał o fotografię autora z tyłu okładki. Zażądał adresu człowieka widniejącego na zdjęciu. Ellie powiedziała, że nie rozdaje adresów autorów publikowanych przez wydawnictwo. Na to Clawson: „Nie zależy mi na adresie Starka, zależy mi na adresie faceta ze zdjęcia. Faceta udającego Starka”. Ellie powiedziała mu, że robi z siebie głupka - facet na zdjęciu jest George'em Starkiem.

- Zanim to nastąpiło, wydawca nigdy nie ogłosił, że jest to tylko pseudonim pisarski? zapytał Alan. Był autentycznie zaciekawiony. - Cały czas zachowywali się tak, jakby mieli do czynienia z istniejącą osobą?

- O, tak, Thad się przy tym uparł.

„ Tak - pomyślał, wyjął butelki z rondelka i kapnął mlekiem na wewnętrzną stronę przegubu, sprawdzając temperaturę. - Thad się uparł. Z perspektywy czasu Thad nawet nie wie, dlaczego się uparł, w istocie nie ma nawet zielonego pojęcia, ale faktycznie się uparł” .

Poszedł z butelkami do salonu, po drodze unikając kolizji z kuchennym stołem. Podał bliźniętom pokarm. Przysypiały. Z powagą wzięły butelki i zaczęły ssać. Thad zajął miejsce w fotelu. Słuchał Lizy i powtarzał sobie, że ani mu w głowie zapalić papierosa.

- W każdym razie - powiedziała Liza - Clawson miał więcej pytań . Jak sądzę, miał ich całą furę, ale Ellie obcięła go. Powiedziała, żeby dzwonił do Ricka Cowleya, i odwiesiła słuchawkę. Clawson zadzwonił do biura. Połączył się z Miriam. Była żoną Ricka i wspólnikiem w agencji. Trochę to dziwny układ, ale pracuje im się razem znakomicie.

Zapytał o to samo - czy George Stark to naprawdę Thad Beaumont. Miriam twierdzi, że powiedziała mu „ tak” . Powiedziała mu również, że nazywa się Dolley Madison. „ Rozwiodłam się z Jamesem. Thad rozwodzi się z Lizą i wychodzi za mnie na wiosnę!” I odwiesiła słuchawkę. Potem pobiegła do gabinetu Ricka i powiedziała mu, że jakiś facet z Waszyngtonu, D.C., chce rozgryźć tajemnicę tożsamości Starka. Następne telefony Clawsona do Cowley Associates kończyły się szybkim odkładaniem słuchawki.

Liza pociągnęła długi łyk piwa.

- Ale się nie poddał. Mam wrażenie, że to nie w stylu prawdziwych Glizdowców.

Uznał tylko, że uprzejme prośby nic tu nie działają.

- I nie zadzwonił do Thada? - zapytał Alan.

- Nie, ani razu.

- Sądzę, że masz zastrzeżony numer.

Thad dorzucił jeden z niewielu przyczynków do konwersacji.

- W publicznej książce telefonicznej nie figurujemy, ale numer w Ludlow znajduje się w książce uniwersytetu. Takie są wymogi. Jestem nauczycielem akademickim i mam konsultacje.

- Ale że facet nigdy nie przyszedł do źródła...? - zdziwił się Alan.

- Skontaktował się później... listownie - powiedziała Liza. - Ale nie uprzedzajmy wypadków. Mogę jechać dalej?

- Proszę - zachęcił Alan. - Ta opowieść jest fascynująca sama w sobie.

- No cóż - westchnęła Liza - nasz Glizdowiec stracił tylko trzy tygodnie i pięćset dolarów na dogrzebanie się tego, o czym był cały czas święcie przekonany - że Thad i George Stark to jeden i ten sam człowiek.

Zaczął od „Literary Market Place”, który typki z wydawnictw nazywają po prostu „LMP”. To zbiór nazwisk, adresów i telefonów biurowych prawie wszystkich osób z branży - pisarzy, redaktorów, wydawców, agentów. Korzystając z tego wykazu i działu Wybitne postaci „Publishers Weekly” namierzył kilku pracowników Darwin Press, którzy opuścili firmę między latem 1986 a latem 1987 roku.

Jeden z nich miał informację kluczową dla Clawsona i był gotów sypać. Ellie Golden twierdzi, że winna jest dziewczyna, która przez osiem miesięcy w latach '85 - 86 była sekretarką głównego księgowego. Ellie mówi o niej: dziwa z Vassar z nochalem jak waza.

Alan zaśmiał się.

- Thad też ją podejrzewa - kontynuowała Liza - ponieważ dla Clawsona decydującym dowodem okazały się kserokopie wykazu tantiem George'a Starka. Pochodziły z biura Rolanda Burretsa.

- Głównego księgowego Darwin Press - dodał Thad. Słuchał opowieści Lizy i obserwował bliźnięta. Leżały teraz na pleckach. Nóżki odziane w śpioszki tuliły się do siebie serdecznie. Butelki celowały w sufit. Szkliste oczka były nieobecne. Thad wiedział, że niebawem zasną... jednocześnie. „Wszystko robią jednocześnie - pomyślał. - Niemowlęta są śpiące, a wróble fruują”.

Potarł bliznę.

- Nazwiska Thada nie było na tych odbitkach - powiedziała Liza. - Wykaz tantiem czasem może być podstawą do wystawienia czeku, ale czekiem sam w sobie nie jest, więc nie musi zawierać nazwiska. Nadążasz?

Alan skinął głową.

- Ale Clawson dostał to, na czym najbardziej mu zależało - adres. Pan George Stark, skryt. poczt. 1642, Brewer, Maine 04412. Rzut oka na mapę i wiedział, że od południa z Brewer graniczy Ludlow, a Clawson już orientował się, co za ceniony, choć może niezbyt sławny pisarz tam mieszka. Thaddeus Beaumont. Cóż za zbieg okoliczności!

Ani Thad, ani ja nigdy nie zetknęliśmy się z nim osobiście, ale on przyjrzał się Thadowi. Wiedział, kiedy otrzymuje kwartalne wypłaty z tantiem. Tantiemy przeważnie idą najpierw do agenta. Ten potrąca prowizję i wysyła czek autorowi. Ale w przypadku Starka księgowy wysyłał czeki prosto do skrytki pocztowej w Brewer.

- Co z prowizją agenta? - zapytał Alan.

- Była odliczana w Darwin Press i Rick dostawał osobny czek - wyjaśniła Liza. - To był kolejny wyraźny sygnał dla Clawsona, że George Stark nie jest tym, za kogo się podaje... tylko że wtedy Clawsona nie obchodziły już sygnały. Potrzebował namacalnego dowodu. I wybrał się po niego.

Kiedy nadszedł czas wysyłki czeków, Clawson przyleciał do Ludlow. Na noc zatrzymał się w „Holiday Inn”; dni spędzał na „obserwacji” poczty. Tak dokładnie napisał do Thada. Obserwacja. Wypisz wymaluj film noir. Ale bardzo lichy zorganizował śledztwo. Gdyby „Stark” nie pokazał się czwartego dnia, Clawson musiałby pakować manatki. Nici z rozgłosu. Ale nie sądzę, żeby na tym poprzestał. Kiedy autentyczny Glizdowiec wpije się w ciebie, nie puści, dopóki nie odgryzie sporego kawałka.

- Albo dopóki nie wybijesz mu zębów - mruknął Thad. Alan odwrócił się w jego kierunku, uniósł brwi. Thad skrzywił się. Niezbyt wytwornie powiedziane. Wyglądało, że ktoś już to zrobił temu Glizdowcowi... to albo coś jeszcze gorszego.

- Jest to jednak sprawa dyskusyjna - podjęła wątek Liza. - Obserwacja nie trwała tak długo. Trzeciego dnia, kiedy Clawson siedział na ławce w parku, po drugiej stronie ulicy, przy której mieści się poczta, zobaczył suburbana Thada wjeżdżającego w zatokę krótkiego postoju.

Liza pociągnęła kolejny łyk piwa i otarła pianę z ust. Kiedy cofnęła rękę, uśmiechnęła się.

- Teraz jest moja ulubiona część. Jest cu - cu - downa, jak lubił powtarzać ten pedałek ze Znowu w Brideshead. Clawson miał aparat fotograficzny. Taki mały aparacik kryjący się w dłoni. Wystarczy rozsunąć palce, odsłonić obiektyw i bingo! Załatwione.

Zachichotała i potrząsnęła głową wyobrażając sobie ten obrazek.

- W liście powiedział, że wybrał aparat z katalogu firmy sprzedającej ekwipunek szpiegowski - pluskwy telefoniczne, mazidło do smarowania kopert, dzięki któremu robią się przezroczyste na kilkanaście minut, teczki ulegające samozniszczeniu przy nieumiejętnym otwieraniu, takie tam artykuły. Tajny Agent X - 9 Clawson przystępuje do akcji. Założę się, że gdyby sprzedawano koronki wypełnione cyjankiem, kazałyby sobie taką założyć na zęby. Miał wielką słabość do wcielania się w różne postaci.

W każdym razie pstryknął kilkanaście niezłych zdjęć. Na wystawę fotograficzną się nie nadawały, ale widać było, kto na nich jest i co robi. Miał ujęcie Thada zbliżającego się do skrytek pocztowych w holu, ujęcie Thada wkładającego kluczyk do skrytki nr 1642 i ujęcie Thada wyjmującego kopertę.

- Posłał wam odbitki? - zapytał Alan. Liza powiedziała uprzednio, że domagał się forsy, i Alan czuł, że ta pani wie, o czym mówi. Sytuacja nie pachniała szantażem; cuchnęła szantażem.

- O, tak. W tym powiększenie ostatniego ujęcia. Widać na nim część adresu nadawcy - litery DARW, a nad nimi wyraźny emblemat Darwin Press.

- X - 9 znów w akcji.

- Tak. X - 9 znów w akcji. Wywołał film i poleciał do Waszyngtonu. Zaledwie po paru dniach przysłał list ze zdjęciami. To było istne чудо. Clawson ślizgał się na granicy szantażu, ale ani razu jej nie przekroczył.

- Prawdziwy student prawa - powiedział Thad.

- Tak - przytaknęła Liza. - Wygląda na to, że wiedział, jak daleko wolno mu się posunąć. Thad może ci przynieść ten list, ale mniej więcej potrafię powtórzyć, o co w nim chodziło. Clawson zaczął od stwierdzenia, że niezwykle podziwia obydwie połówki, jak to nazwał, „dwudzielnego umysłu” Thada. Zdał sprawę ze swego odkrycia i metod, jakimi się posłużył. Następnie przeszedł do sedna. Zademonstrował swój szwindel w sposób bardzo zawoalowany, ale było jasne, o co mu chodzi. Jest początkującym pisarzem, lecz brak mu czasu na twórczość - studia prawnicze są bardzo pracochłonne, ale to nie wszystko. Prawdziwy problem, jak twierdził, polega na tym, że musi harować w księgarni, aby mieć na czesne i spłatę innych rachunków. Chciałby pokazać Thadowi próbki swoich prac i gdyby Thad uznał, że są obiecujące, być może byłby skłonny wygospodarować jakieś stypendium, które pozwoliłoby mu zaistnieć.

- Stypendium...??? - powtórzył osłupiały Alan. - Tak się to teraz nazywa?

Thad odrzucił głowę i zaśmiał się.

- W każdym razie tak to nazwał Clawson. Chyba umiem na pamięć ostatni kawałek. „Wiem, że przy pierwszym czytaniu ta prośba wyda się panu bardzo śmiała, ale jestem pewien, że zapoznawszy się z wynikami mojej pracy, szybko pan zrozumie, że takie ustalenia mogą przynieść korzyść nam obu” .

- Thad i ja powściekaliśmy się chwilę, potem pośmiali i znów trochę powściekali.

- Taaa... nie za dobrze pamiętam śmianie, ale wściekanie się pamiętam znakomicie.

- Wreszcie siedliśmy i gruntownie obgadaliśmy temat. Trwało to do północy. Oboje zdawaliśmy sobie sprawę, czym naprawdę są listy i fotografie, i kiedy tylko Thadowi przeszła złość...

- Wciąż mi nie przeszła - wtrącił Thad - a przecież faceta nie ma już na świecie!

- No, w każdym razie kiedy przestał się wydzierać, poczuł niemal ulgę z powodu całej

tej afery. Od jakiegoś czasu chciał się pozbyć balastu, jakim stał się Stark. Zabrał się już za długą, poważną książkę, pisaną pod własnym nazwiskiem. Którą nadal pisze. Nazywa się Złoty pies. Przeczytałam pierwsze dwieście stron. Są śliczne. Rzecz jest o klasę lepsza niż te ostatnie kawałki, które wysmażył jako Stark. Więc Thad zdecydował...

- My zdecydowaliśmy - powiedział Thad.

- W porządkujmy zdecydowaliśmy, że to szczęście w nieszczęściu, sposób na przyspieszenie tego, co już nad nami wisiało. Thad obawiał się jedynie, że Rick Cowley nie będzie tym zbyt zachwycony, bo George Stark zarabiał dla agencji fury pieniędzy więcej niż Thad. Ale Rick okazał się kochany. Powiedział nawet, że to może przynieść pewien rozgłos, który pomoże w kilku sprawach: przy rupieciach Starka, rupieciach Thada...

- Aż dwóch pozycji - wtrącił z uśmiechem Thad.

- ...i przy nowej książce, kiedy wreszcie zostanie skończone.

- Przepraszam, co to znaczy „rupiecie”? - zapytał Alan.

Thad wyszczerzył zęby.

- Stare książki, których już nie umieszczają w tych ozdobnych pojemnikach na śmieci wystawianych przed księgarnie.

- Więc podałeś swój sekret do publicznej wiadomości.

- Tak - powiedziała Liza. - Najpierw agencji AP w Maine i „Publishers Weekly”, ale wybuchła sensacja na cały kraj. Stark był przecież autorem bestsellerów i artykuł o tym, że wcale nie istniał, wypełniał jak ulał środkowe łamy każdej gazety. A potem nawiązało z nami kontakt „People”.

Dostaliśmy jeszcze jeden list od Fredericka Clawsona. Było tam dużo wściekłego narzekania. Jesteśmy be. Wstrętnei i niewdzięczni. Nie mieliśmy prawa przemilczać jego udziału w ujawnieniu rewelacji. To on odwalił prawdziwą robotę. Thad tylko napisał kilka książek. Potem Clawson zamilkł.

- A teraz zamilkł na dobre - powiedział Thad.

- Nie - zaprzeczył Alan. - Ktoś go uciszył... a to wielka różnica.

Znów zapadło milczenie. Trwało krótko... ale było bardzo, bardzo ciężkie.

Alan zastanawiał się kilka minut. Thad i Liza nie przeszkadzali mu w rozważaniach. Wreszcie podniósł głowę i rzekł:

- No, dobra. Ale wytłumaczcie mi dlaczego. Dlaczego ktoś miałby popełniać zbrodnię

z tego powodu, że jesteś autorem powieści podpisywanych „George Stark”? Zwłaszcza kiedy cały sekret został już ujawniony?

Thad potrząsnął głową.

– Jeśli morderstwa mają związek ze mną lub powieściami, które napisałem jako George Stark, nie wiem, kto je popełnił ani dlaczego.

– Dlaczego zabijać z powodu wyjawienia pseudonimu? – dumał głośno Alan. – Bez obrazy, Thad, ale przecież sprawa twojego pseudonimu nie ma wagi dokumentu rządowego ani tajemnicy wojskowej.

– Ani w głowie mi się obrażać. Zgadzam się całkowicie.

– Stark miał wielu wielbicieli – zauważyła Liza. – Niektórzy wściekli się, że Thad nie ma zamiaru pisać więcej „starków”. Po artykule „People” dostało trochę listów, a Thad całą furę. Jedna paniusia tak się zagalopowała, że zaproponowała Alexisowi Maszynie, aby porzucił stan spoczynku i popędził kota Thadowi.

– Kim jest ten Alexis Maszyna? – Alan znów wyjął notatnik.

Thad uśmiechnął się szeroko.

– Spokojnie, spokojnie, czcigodny inspektorze. Maszyna to postać występująca w dwóch powieściach George’a. Pierwszej i ostatniej.

– Wymysł na wymyśle wymysłem pogania. – Alan schował notatnik. – Wspaniale.

Thad był lekko zaskoczony.

– Wymysł na wymyśle wymysłem pogania. Nieźle. Całkiem nieźle.

– Ja to tak widzę – powiedziała Liza. – Clawson mógł mieć znajomego – jeśli Glizdowce w ogóle mogą mieć znajomych – fanatycznego wielbiciela Starka. Może ten znajomy wiedział, że to Clawson jest naprawdę odpowiedzialny za rozdmuchanie całej sprawy, i ten znajomy, wściekły, że „starki” się skończyły... – Westchnęła, przez moment spoglądała na swoją butelkę z piwem. – To bardzo kulawe wytłumaczenie, co? – zapytała podnosząc głowę.

– Przykro mi, ale tak – łagodnie powiedział Alan. – Thad, jeśli do tej pory tego nie zrobiłeś, powinieneś na kolanach dziękować Bogu za alibi. Wiesz, że w świetle tego, co opowiedziała Liza, jesteś tym smakowitszym kąskiem dla prokuratora?

– Niby tak – zgodził się Thad. – Thaddeus Beaumont napisał dwie książki, które mało kto raczył przeczytać. Drugą z nich, opublikowaną jedenaście lat temu, skrytykowali nawet krytycy. Skąpe zaliczki, które dostał, okazały się niewarte całego zachodu. W tym stanie rzeczy opublikowanie następnej książki zakrawałoby na cud. Z drugiej strony Stark ma pełne kieszenie pieniędzy. Może te kieszenie nie są bez dna, ale on za swoje książki dostaje cztery

razy tyle, ile wynoszą moje roczne pobory uczelniane. Zjawia się ten Clawson i przedstawia starannie zakamuflowany szantaż. Nie chcę ugiąć karku, ale jako jedyne wyjście zostaje mi podanie sprawy do publicznej wiadomości. Niedługo potem Clawson ginie. Niby miałem motyw morderstwa jak drzwi do stodoły, ale tylko z pozoru. Zabicie niedoszłego szantażysty po tym, jak się samemu ujawniło sekret, to czysta głupota.

- Tak... ale zawsze pozostaje motyw zemsty.

- Może. Ale spójrz na resztę tej historii. Liza powiedziała ci szczerą prawdę. Stark tak nadawał się tylko na śmietnik. Może dałoby się napisać jeszcze jedną książkę, ale tylko jedną. Rick Cowley wiedział o tym i dlatego był tak kochany, że użyję słów Lizy. I miał rację co do reklamy. Durny artykuł w „People” cudownie podbił sprzedaż. Rick twierdzi, że Przejazdźka do Babilonu ma szansę powrotu na listę bestsellerów. Wszystkie powieści Starka idą lepiej. Dutton planuje nawet wznowienie Przypadkowych tancerzy i Purpurowej mgły. Popatrz na to pod tym kątem, Clawson zrobił mi przysługę.

- Co z tego dla nas wynika? - zapytał Alan.

- Niech mnie szlag trafi, jeśli wiem - odpowiedział Thad.

Zapadła cisza, którą przerwał łagodny głos Lizy:

- Mordercą jest łowca krokodyli. Właśnie o nim myślałam rano. To sprawka łowcy krokodyli. Kompletnego szajbusa.

- Łowca krokodyli? - spytał Alan.

Liza wyjaśniła, na czym polega wymyślony przez Thada syndrom zobaczyć - żywego - krokodyla.

- Więc to mógł być zwariowany wielbiciel - powiedziała. - Jak się dobrze nad tym zastanowić, to wcale nie takie kulawe tłumaczenie. Pomyślcie o facecie, który zastrzelił Lennona, albo o tym, który usiłował zabić Ronalda Reagana, żeby wyrzeć wrażenie na Jodie Foster. Takie typki chodzą po ziemi. A jeśli Clawson trafił na ślad Thada, ktoś inny mógł trafić na ślad Clawsona.

- Ale dlaczego facet, przepadający za moimi książkami, usiłowałby uwikłać mnie w morderstwo? - zapytał Thad.

- Bo on nie za nimi przepada! - gwałtownie zaprzeczyła Liza. - Ten łowca krokodyli przepada za książkami Starka! Pewnie tak samo nienawidzi ciebie, jak nienawidzi ... nienawidził ... Clawsona. Powiedziałaś, że nie żałujesz śmierci Starka. Ot, i masz cały powód.

- Nadal tego nie kupuję - powiedział Alan. - Odciski palców...

- Alan, powiedziałaś, że nigdy do tej pory nie przeniesiono linii papilarnych, ale skoro odcisnięto je w dwóch miejscach, musi istnieć jakiś sposób. To jedyne wytłumaczenie.

Thad usłyszał swój głos. Jakby z oddalenia.

- Nie, mylisz się, Lizo. Jeśli taki facet rzeczywiście istnieje, to nie uwielbia

Starka.
Popatrzył na swoje przedramiona. Pokryła je gęsia skórka.

- Nie? - zapytał Alan.

- A nie przyszło wam do głowy, że człowiek, który zabił Homera Gamache'a i
Fredericka Clawsona, wyobraża sobie, że jest George'em Starkiem?

Stojąc już na schodach Alan powiedział:

- Będę informował cię na bieżąco, Thad.

W ręce trzymał fotokopie - zrobione na ksero Thada - dwóch listów Fredericka
Clawsona. Thad powiedział sobie po cichu, że Alan, akceptując fotokopie i nie domagając się
oryginałów, wyraźnie dał do zrozumienia, że nie żywi żadnych podejrzeń.

- I wrócisz mnie aresztować, kiedy tylko znajdziesz lukę w alibi? - zapytał Thad
uśmiechając się.

- Nie sądzę, żeby miało to nastąpić. Proszę cię tylko, też informuj mnie na bieżąco.

- Gdyby coś wyskoczyło, czy o to ci chodzi?

- Tak, o to mi chodzi.

- Przykro mi, że nie mogliśmy bardziej pomóc - powiedziała Liza.

Alan uśmiechnął się szeroko.

- Bardzo mi pomogliście. Nie mogłem się zdecydować, czy zostać tu na jeszcze jeden
dzień, co pociągnęłoby za sobą jeszcze jedną noc w pokoju motelowym, który ma ściany z
papieru, czy też wracać do Castle Rock. Dzięki temu, co od was usłyszałem, zdecydowałem
się na wyjazd. Startuję niebawem. Dobrze się składa. Ostatnio moja żona Annie skarżyła się
trochę na zdrowie.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego? - spytała Liza.

- Migrena - skwitował pytanie Alan. Ruszył podjazdem. Wtem odwrócił się. - Jeszcze
jedno.

Thad wzniosł oczy ku niebu. Potem zerknął na Lizę.

- Doczekaliśmy się. Numer na zejście z planu. Columbo „Zmięte Paletko” w akcji.

- Nic w tym stylu - zaprotestował Alan. - Policja waszyngtońska nie ujawniła pewnego
dowodu rzeczowego dotyczącego zabójstwa Clawsona. To powszechna praktyka; pozwala
eliminować wariatów lubiących przyznawać się do nie popełnionych zbrodni. Na ścianie

mieszkania Clawsona znaleziono napis. – Przerwał i dodał niemal przepraszającym tonem: – Został nakreślony krwią ofiary. Jeśli powiem wam, co to za napis, czy obiecacie mi zachować tę informację dla siebie?

Kiwnęli potakująco głowami.

– Napis brzmiał: „Wróble znów fruują”. Czy któreś z was dostrzega w tym jakiś sens?

– Nie – powiedziała Liza.

– Nie – odparł po chwili bezbarwnym głosem Thad.

Przez moment Alan spoglądał na Thada.

– Jesteś całkiem pewien?

– Całkiem.

Alan westchnął.

– Tak sądziłem, ale uznałem, że warto zapytać. W tej sprawie jest tyle dziwnych powiązań, że myślałem, a nuż trafię na jeszcze jedno. Dobranoc, Thad. Lizo. Nie zapomnijcie dać znać, gdyby się coś wydarzyło.

– Nie zapomnimy – powiedziała Liza.

– Możesz być spokojny – potwierdził Thad.

Po chwili znaleźli się w domu. Drzwi zamknęły się za Alanem Pangbomem przesłaniając mrok, poprzez który szeryf udał się w długą podróż do domu.

Później tej samej nocy

Zanieśli śpiące bliźnięta na górę i sami zaczęli przygotowywać się do snu. Thad rozebrał się do szortów i podkoszulka – tak wyglądała jego piżama – i poszedł do łazienki. Szorował zęby, kiedy dopadły go dreszcze. Upuścił szczoteczkę, wypluł dużą porcję białej piany do umywalki i zatoczył się w stronę klozetu. W nogach miał tyle czucia, co w drewnianych szczudłach.

Usiłował zwrócić zawartość żołądka, wydając przy tym żalosne steki, ale nic nie wypluł. Żołądek zaczął się uspokajać... przynajmniej na razie.

Thad odwrócił się i zobaczył Lizę. Stała w progu łazienki, ubrana w niebieski nylonowy szlafroczek, koń czący się dobrych kilka cali nad kolanami. Patrzyła mężowi prosto w oczy.

– Coś ukrywasz, Thad. To niedobrze. W każdym wypadku – niedobrze.

Odetchnął chrapliwie. Rozłożył palce przed oczyma. Wciąż drżały.

– Kiedy się zorientowałaś?

– Od początku wizyty szeryfa zachowywałeś się niespokojnie. A kiedy zadał ostatnie pytanie... o ten napis u Clawsona... to równie dobrze mógłbyś zawiesić sobie na czole neon.

– Pangborn nie zobaczył żadnego neonu.

– Szeryf Pangborn nie zna cię tak dobrze jak ja... ale skoro nie zauważyłeś, że na odchodnym przyjrzał ci się uważnie, to słabo patrzyłeś. Nawet on zobaczył, że coś tu nie gra. Widać to było po sposobie, w jaki ci się przyglądał.

Zesznurowała usta. To podkreśliło zmarszczki. Te, które zobaczył po raz pierwszy na jej twarzy po wypadku w Bostonie i poronieniu, te, które pogłębiały się w miarę, jak była świadkiem jego coraz bardziej zacieklej walki o zaczerpnięcie wody z wysychającego źródła.

To wtedy zaczął pić na umór. Wszystkie te wydarzenia – wypadek Lizy, poronienie,

brak uznania u krytyków i finansowy klops Purpurowej mgły, następnie szalone powodzenie Tak jak to robi Maszyna, niespodziewany pociąg do kielicha – wszystko to spowodowało głęboką depresję. Miał świadomość, że dowodzi ona egoistycznego przejęcia się własnym „ ja ” , ale świadomość własnych grzechów nic nie pomogła. Wreszcie połknął garść proszków nasennych i popił połówką Jacka Daniela. Bez zapachu usiłował popełnić samobójstwo... ale usiłował. Wszystko to trwało trzy lata. Wtedy wydawało się znacznie dłuższe. Wtedy wydawało się wiecznością.

Oczywiście niewiele albo nic z tego nie przedostało się na łamy „ People

” Teraz dostrzegł, że Liza przypatruje mu się tak jak dawniej. Nie cierpiał tego spojrzenia. Samo zmartwienie raniło; nieufność była jeszcze gorsza. Łatwiej zniósłby otwartą nienawiść niż ten obcy, znużony wzrok.

– Nie cierpię, kiedy mnie okłamujesz – odezwała się bez emocji.

– Nie kłamałem, Lizo! Przysięgam, na Boga!

– Czasem można skłaniać nic nie mówiąc.

– I tak chciałem ci o tym powiedzieć. Szukałem tylko sposobu, jak to wyrazić.

Ale czy to prawda? Dałby za to głowę? Nie wiedział. Choć sprawa była dziwnym, zwariowanym draństwem, nie dlatego skłamał przez przemilczenie. Przymus milczenia zawiądnął nim jak człowiekiem, który dojrzał krew w swoim stolcu albo poczuł guza w kroczu. W takich przypadkach milczenie jest irracjonalne... ale strach też jest irracjonalny. A chodziło o coś jeszcze; był pisarzem, żył zamyśleniami. Nie miał zielonego pojęcia, dlaczego wybrał tę drogę. Zresztą inni twórcy też tego o sobie nie wiedzieli. Ale czasem był skłonny uwierzyć, że potrzeba tworzenia fikcyjnych światów wynika jedynie z chęci obrony przed chaosem; może nawet szaleństwem. Rozpaczliwa chęć porządku nachodzi ludzi, którzy ten drogi skarb mogą odnaleźć umysłem... przenigdy sercem.

Po raz pierwszy Thad usłyszał pytanie wewnętrznego głosu: „ Kim jesteś, kiedy piszesz, Thad? Kim wtedy jesteś?”

I nie wiedział, co odrzec.

– No i? – Głos Lizy był ostry, bliski gniewu.

Otrząsnął się z zamyślenia, zaskoczony.

– Przepraszam?

– Znalazłeś wreszcie sposób, żeby to wyrazić? Cokolwiek by to było?!

– No, wiesz – powiedział – nie łapię, dlaczego jesteś taka wkurzona!

– Bo się boję! – zawołała rozzłoszczona... ale w kącikach oczu pojawiły się łzy. – Bo ukryłeś coś przed szeryfem, a teraz widzę, że ukrywasz coś przede mną! Gdybym nie

zobaczyła tej twojej miny...

- Uhm. - Teraz i jego zaczął ogarniać gniew. - A co to za mina? Co niby według ciebie oznacza?

- Wyglądasz, jakbyś coś przeszkrobał - naskoczyła na niego. - Wyglądasz jak wtedy, kiedy opowiadałeś na prawo i lewo, że rzuciłeś picie, choć to była nieprawda. Kiedy... - Urwała. Nie miał pojęcia, co takiego dojrzała w jego twarzy - może nawet nie chciał wiedzieć - ale to ostudziło jej gniew. Zastąpiło go skruszone spojrzenie. - Przepraszam. To było nie fair.

- Czemu nie? - spytał głucho. - To prawda. Przynajmniej częściowa.

Poszedł do łazienki i płynem do płukania ust usunął smak pasty. To był bezalkoholowy płyn do płukania ust. Podobnie jak lekarstwo na kaszel. I esencja waniliowa trzymana w szafie kuchennej. Od zakończenia ostatniego „starka” nie wychylił drinka. Lekko pogładziła go po ramieniu.

- Thad... daliśmy upust złości. Takie zachowania ranią nas oboje i nie pomagają w uzdrowieniu sytuacji. Powiedziałeś, że być może istnieje człowiek - psychicznie chory człowiek - który uważa się za George'a Starka. Zabił dwójkę znanych nam ludzi. Jeden z nich był częściowo odpowiedzialny za zdemaskowanie Starka. Na pewno pomyślałeś, że wysoko figurujesz na liście wrogów tego człowieka. Ale mimo to coś ukrywasz. Jak brzmiał tamten napis?

- „Wróble znów fruują” - powtórzył Thad. W lustrze w białym jarzeniowym świetle widział własną głębę. Znajomą, drogą głębę. Może z dodatkiem niewielkich sińców pod oczami, ale to była wciąż znajoma, droga głęba. No, cudownie. Nie była to facjata gwiazdora filmowego, ale zawsze własna.

- Tak. To miało dla ciebie jakiś sens. Jaki?

Zgasił światło w łazience i objął żonę ramieniem. Razem udali się do łóżka.

- Kiedy miałem jedenaście lat - odezwał się - przeszedłem operację. Usunięto mi małego guza z czołowego płata - tak sądzę, że to był płat czołowy - mózgu. Wiesz o tym.

- Tak? - Patrzyła na niego nie wiedząc, co myśleć.

- Powiedziałem ci, że wcześniej miałem silne bóle głowy, prawda?

- Prawda.

Machinalnie zaczął gładzić ją po udzie. Miała cudowne, długie nogi, a szlafroczek naprawdę był bardzo krótki.

- A o ćwierkaniach?

- Ćwierkaniach? - nadal była trochę zagubiona.

- Chyba nie... ale wiesz, zawsze wydawały mi się nieistotne. Wszystko to miało miejsce tak dawno. Ludzie z guzami mózgu często cierpią na bóle głowy, czasem mają ataki, a czasem jedno i drugie. Całkiem często te symptomy są poprzedzane swoistymi symptomami. Noszą nazwę zmysłowych zwiastunów. Najczęściej trafiają się zwiastuny zapachowe - woń ostrużyn z ołówka, świeżo krojonej cebuli, nadgniłych owoców. Moje zwiastuny były dźwiękowe. Słyszałem ćwierkot.

Leżeli twarz przy twarzy, prawie stykając się nosami. Niesforny włos Lizy łaskotał go w czoło.

- Dokładnie mówiąc, ćwierkot wróbli.

Usiadł na łóżku, nie chciał widzieć jej zszokowanej twarzy. Wziął Lizę za rękę.

- Chodź.

- Thad... dokąd?

- Do gabinetu - powiedział. - Chcę ci coś pokazać.

W gabinecie panoszyło się wielkie dębowe biurko. Nie było to biurko antyczne ani biurko nowoczesne. Był to po prostu niezwykle wielki, niezwykle wygodny do pracy kawał drewna o wymiarach dinozaura. Wisiały nad nim trzy klosze. Dawały jasne, niemal kłujące światło, ale blat był ledwo widoczny, zasłany maszynopisami, stosami korespondencji, książkami i korektami. Na białej ścianie za biurkiem wisiał poster. Widniał na nim budynek niewiarygodnym wprost kształcie gigantycznego ostrosłupa: Flatiron Building w Nowym Jorku. Tę budowlę Thad uwielbiał najbardziej na świecie. Jej cudowny zarys zawsze go fascynował.

Przy maszynie leżał tekst nowej powieści, Złotego psa, a na maszynie spoczywał dzienny urobek. Sześć stron. Tyle zwykle produkował... jako Beaumont. Jako Stark zwykle pisał osiem, czasem dziesięć.

- Właśnie się tym zabawiałem, kiedy wpadł Pangborn - powiedział biorąc skromny plik i wręczając żonie. - Wtedy usłyszałem ćwierkanie wróbli. Usłyszałem je po raz drugi dzisiejszego dnia, tym razem dużo wyraźniej niż poprzednio. Widzisz ten napis?

Patrzyła przez długi czas. Thad widział jedynie jej włosy i czubek głowy. Gdy uniosła wzrok, cała krew uciekła jej z twarzy. Usta zacisnęła w wąską szarą kreskę.

- Jest taki sam - szepnęła. - Taki sam! Och, Thad, co to ma znaczyć?! Co...

Zachwiała się i Thad podskoczył do przodu zaniepokojony, że zaraz zemdleje. Złapał

ją za ramiona. Zahaczył przy tym o iksowate nogi fotela i niewiele brakowało, a razem z żoną padliby na biurko.

- Dobrze się czujesz?

- Nie - powiedziała wątłym głosem. - A ty?

- Niezupełnie. Przepraszam. Ten sam kochany, niezdarny Beaumont. Lepiej nadaję się na podnóżek niż na dzielnego rycerza spieszącego damie z pomocą.

- Napisałeś to jeszcze przed przyjazdem Pangborna. - Nie mogła pojąć tego faktu. - Przed przyjazdem!

- Zgadza się.

- Co to znaczy? - Patrzyła na niego z gorączkową intensywnością. Mimo mocnego światła źrenice miała rozszerzone i ciemne.

- Nie wiem - powiedział. - Myślałem, że tobie coś wpadnie do głowy.

Potrząsnęła głową i odłożyła kartki na biurko. Otarła rękę o potę szlafrocza, jakby dotknęła czegoś nieprzyjemnego. Chyba nie wiedziała, co robi, i Thad nie zwrócił jej na to uwagi.

- Teraz rozumiesz, dlaczego to ukryłem?

- Tak... tak sądzę.

- Co on by na to powiedział? Nasz trzeźwo myślący szeryf z najmniejszego okręgu stanu Maine, który ufa wydrukowi komputerowemu z AiDIA i zeznaniom naocznych świadków? Nasz szeryf, który uznał za bardziej prawdopodobne, że ukrywam fakt posiadania brata bliźniaka, niż to, że ktoś w jakiś sposób zdołał podrobić odciski palców? Co powiedziałby na to?!

- Nie... nie wiem. - Usiłowała się otrząsnąć, wyrwać z szoku. Widział to już poprzednio, co nie umniejszało jego podziwu. - Nie wiem, co by powiedział.

- Ja też nie wiem. Myślę, że w najgorszym wypadku posądziłby mnie o dysponowanie jakąś wiedzą uprzednią i o przestępstwo. Co bardziej prawdopodobne, uznalby, że po jego wyjeździe popełdziłem na górę i napisałem te słowa.

- Dlaczego miałbyś robić coś takiego? Dlaczego?!

- Sądzę, że przede wszystkim nasuwa się zakłócenie władz umysłowych - sucho stwierdził Thad. - Sądzę, że gliniarz taki jak Pangborn jest dużo bardziej skłonny uwierzyć w zakłócenie władz umysłowych niż zaakceptować reguły, wedle których mogą wystąpić zjawiska nadprzyrodzone. Ale jeśli uważasz, że popełniam błąd ukrywając ten napis, dopóki sam czegoś nie wykombinuję - co nie jest wykluczone - mów. Zadzwonimy do biura szeryfa w Castle Rock i zostawimy mu wiadomość.

Potrząsnęła głową.

- Nie wiem. Słyszałam - w programach telewizyjnych czy gdzieś - o nadprzyrodzonych związkach...

- Wierzysz w coś takiego?

- Nigdy nic nie zmuszało mnie do zajęcia takiego czy innego stanowiska. Teraz to się chyba zmieniło. - Wzięła kartkę z wypisanymi słowami. - Pisałeś ołówkiem George'a.

- Był pod ręką, to wszystko - powiedział rozdrażniony. „A długopis?” - pomyślał. Odpędził tę myśl. - Poza tym nie ma żadnych ołówków George'a i nigdy nie było. To moje ołówki. Mam po dziurki w nosie traktowania go jak osobną postać. Ten pomysł stracił jakikolwiek urok. Jeśli kiedykolwiek go miał”.

- A jednak dziś użyłeś jednego z jego wyrażonek - „skłam mi alibi”. Nigdy nie słyszałam, żebyś tak mówił. Czy to tylko przypadek?

Otworzył usta, żeby potwierdzić, powiedzieć, że tak, oczywiście to przypadek, i zastopował. Prawdopodobnie był to przypadek, ale biorąc pod uwagę napis, skąd ta pewność?

- Nie wiem.

- Czy wpadłeś w trans, Thad? Czy pisząc to byłeś w transie?

Z wolna, opornie przyznał:

- Tak, chyba tak.

- Czy to wszystko, co się wydarzyło? A może było coś jeszcze?

- Nie pamiętam - powiedział, a potem dodał z jeszcze większym trudem: - Chyba coś powiedziałem, ale naprawdę nie pamiętam co.

Obdarzyła go długim spojrzeniem i rzekła:

- Chodźmy spać.

- Czy myślisz, że uda się nam zasnąć, Lizo?

Zaśmiała się gorzko.

Ale po dwudziestu minutach już usypiał. Obudził go głos Lizy.

- Musisz iść do lekarza. W poniedziałek.

- Tym razem nie mam bóli głowy - zaprotestował. - Tylko słyszę ćwierkanie wróbli. I zrobiłem ten dziwny napis. - Przerwał i dodał z nadzieją w głosie: - Nie uważasz tego za czysty przypadek?

- Nie wiem, co to jest - powiedziała Liza - ale muszę ci się przyznać, że przypadek

figuruje baaardzo nisko na mojej liście.

Nie wiedzieć czemu, obojgu wydało się to szalenie zabawne i objęci chichotali cichutko, żeby nie obudzić niemowląt. Znow zapanowała między nimi zgoda. I teraz, kiedy Thad niewielu rzeczy był pewien, tej jednej był pewien. Wróciła zgoda. Burza minęła.

Wredne stare kości niezgody zostały pogrzebane.

- Umówię cię - powiedziała, kiedy strumyczek rozbawienia wysechł.

- Nie - zaproponował. - Sam to zrobię.

- I nie popiszesz się żadnym twórczym aktem roztargnienia?

- Nie. Zrobię to w poniedziałek z samego rana. Słoweczko honoru.

- Niech ci będzie - westchnęła. - Stanie się cholerny cud, jeśli w ogóle zasnę. - Ale pięciu^{po} minutach oddychała cicho i regularnie, a po następnych pięciu minutach zasnął i Thad.

I znow przyśnił mu się ten sam sen.

Wszystko było identyczne z wyjątkiem zakończenia: Stark, ukryty cały czas za plecami Thada, wiódł go przez opuszczony dom, powtarzał, że Thad się myli, gdy ten upierał się drżącym, niespokojnym głosem, iż to jego własny dom. Mylisz się kompletnie, odezwał się Stark z prawego ramienia (a może lewego? co za różnica). Właściciel tego domu, powtórzył, nie żyje. Właściciel tego domu jest w tym bajkowym miejscu, w którym kończą swój bieg wszystkie pociągi, miejscu, które tu każdy (jakiegokolwiek by to tu było) nazywa Koniec Pieśni. Wszystko było tak samo. Aż dotarli do tylnego holu. Liza nie była już samotna. Dołączył do niej Frederick Clawson; nagi, okryty jedynie absurdalnie wyglądającą skórzaną kurtką. Był tak martwy jak Liza.

Stark odezwał się z zadumą: Taki los spotyka tu kabli. Zamieniają się w nadzieje durniów. Nim już się zająłem. Niebawem zajmę się resztą, jednym po drugim. Tylko postaraj się, żebyś nie musiał się tobą zajmować. Wróble znow fruwać, Thad, pamiętaj. Wróble fruwać.

I Thad usłyszał wróble; nie tysiące, lecz miliony, może miliardy, i kiedy to gigantyczne stado ptaków zaczęło skrawek słońca, a potem, całe słońce, zapadł mrok za dnia.

Nic nie widzę! krzyknął przeraźliwie i usłyszał z tyłu szept George'a Starka: One znow fruwać, stary koniu. Nie zapomnij. I nie włącz mi w paradę!

Obudził się, roztrzęsiony i zlodowaciały na całym ciele. Tym razem sen długo nie wracał. Thad leżał w ciemności myśląc, jakim absurdem jest ten pomysł, który zjawił się we

śnie. Być może zjawił się już poprzednio, ale dopiero teraz nabrał wyrazistości. Co za absurd! Fakt, że zawsze wyobrażał sobie Starka i Alexisa Maszynę jako sobowtóry (a dlaczego nie, przecież dosłownie przyszli na świat jednocześnie, razem z Tak jak to robi Maszyna) – obaj wysocy, barczyści, sprawiający wrażenie, jakby nie urosli, ale zostali wyciosani z potężnych bloków, i obaj blondyni... ten fakt nie przekreślał całej absurdalności. Pseudonimy nie ozywają, nie mordują. Opowie o tym Lizie przy śniadaniu i pośmieją się... no, może biorąc pod uwagę okoliczności, nie tyle się pośmieją, ile wymienią kpiące uśmiešky.

„Nazwę to swoim kompleksem Williama Wilsona” – pomyślał zanurzając się w sen. Ale kiedy nadszedł poranek, sen wydał się niewart wzmianki – przynajmniej wobec innych spraw. Więc nie opowiedział o nim Lizie... ale w miarę jak dzień sobie biegł, Thad przyłapał się na tym, że wciąż wraca do sennych obrazów, jakby oglądał mroczny klejnot.

Koniec pieśni

Z samego rana w poniedziałek, nim Liza zaczęła mu suszyć głowę, Thad zamówił wizytę u doktora Hume'a. Operacja z 1960 roku była odnotowana w karcie. Powiedział Hume'owi, że ostatnio dwukrotnie słyszał ćwierkania, jakie poprzedzały bóle głowy w ciągu miesięcy przed operacją. Doktor Hume chciał wiedzieć, czy powróciły też bóle głowy. Thad odparł, że nie powróciły.

Nie mówił nic o transie, o tym, co napisał, ani o tym, co znaleziono na ścianie mieszkania ofiary mordu w Waszyngtonie, D.C. Prawdę mówiąc, Thad usiłował zbagatelizować całą sprawę.

Jednakże doktor Hume podszedł do niej poważnie. Bardzo poważnie. Nakazał Thadowi udanie się po południu do centrum medycznego Wschodniego Maine. Zażądał zarówno serii zdjęć rentgenowskich czaszki, jak i wyników osiowej tomografii skanującej.

Thad pojechał, gdzie mu kazano. Usiadł do rentgena, a potem wsadził głowę do maszyny o wyglądzie wielkiej suszarki do bielizny. Suszarka trzaskała, obracając się skokowo przez piętnaście minut. Thad odzyskał wreszcie wolność... przynajmniej na razie. Zadzwoił do Lizy, powiedział, że wyniki będą pod koniec tygodnia, i dodał, że wpadnie na chwilkę do swojego gabinetu uniwersyteckiego.

- Nie zastanawiałeś się już nad telefonem do szeryfa Pangborna? - zapytała.

- Zaczekajmy na wyniki - powiedział. - Kiedy zobaczymy, co mamy, może łatwiej przyjdzie nam zdecydować.

Znajdował się w swoim biurze, oczyszczając biurko i półki z całosemestralnego

balastu, gdy ptaki znów odezwały mu się w głowie. Wpierw kilka pojedynczych ćwierknień, potem następne i niebawem zabrzmiał ogłuszający chór.

Oto blade niebo – Thad ujrzał blade niebo poznaczone sylwetkami domów, słupów telefonicznych. I wszędzie wróble. Obsiadły każdy dach, tłoczyły się przy każdym słupie, wyczekując niecierpliwie rozkazu zbiorowego umysłu. Wtedy wyskoczą w niebo furkocząc jak tysiąc prześcieradeł smaganych ostrym wiatrem.

Thad nie patrząc zatoczył się do biurka, poszukał ręką fotela, znalazł i padł.

Wróble.

Wróble i blade niebo późnej wiosny.

Ćwierkot, kakofonia ptasiego gwaru wypełniała mu głowę. Gdy przysunął kartkę papieru i zaczął pisać, nie był świadom tego, co czyni. Głowa opadła bezwładnie w tył, oczy bezmyślnie gapiły się w sufit. Długopis śmigał w lewo i prawo, w górę i w dół, jakby poruszał się samodzielnie.

W wyobraźni Thada wszystkie ptaki uniosły się mroczną chmurą. Zasłoniła blade marcowe niebo Ridgeway, dzielnicy miasta Bergenfield w stanie New Jersey.

Doszedł do siebie w niecałe dwie minuty po pierwszych ćwierknięciach. Pocił się obficie, czuł rwanie w lewym przegubie, ale nie dokuczał mu ból głowy. Spojrzał w dół. Zobaczył kartkę papieru – był to odwrócony gładką stroną formularz, służący do zamawiania nadobowiązkowych dzieł literatury amerykańskiej – i wbił w nią osłupiały wzrok.

SIOSTRUNIA KOTY OKUPCY ZNÓW FRUNAJĄ
SIOSTRUNIA TERAZ SIOSTRZYCZKA
TELEFON MIR ZAWSZE GRUPCÓW
KONIEC PIEŚNI SIOSTRUNIA
SIOSTRZYCZKA WYKOŃCZY SIOSTRZYCZKA
CIAĆ KOTY TELEFONNAĆ
WRÓBLE CIAĆ BRZYWA SIOSTRUNIA
JIAWSZE MIR SIOSTRZYCZKA
SIOSTRZYCZKA I ZAWSZE BRZYWA
MIR KOTY NADZIENIE WRÓBLE

- To jest bez sensu - wyszeptał. Tarł czoło palcami. Oczekiwał bólu głowy albo złożenia się bazgrołów w sensowne zdanie.

Chciał, żeby żadna z tych rzeczy nie nastąpiła... i żadna nie nastąpiła. Słowa pozostały pojedynczymi słowami, powtarzającymi się wielokrotnie na kartce. Niektóre wyraźnie kojarzyły się Thadowi ze snem o Starku; inne były zaledwie niespójnym bełkotem.

Z głową wszystko było w najlepszym porządku.

„Tym razem ani słowa Lizie - pomyślał. - Prędeż mnie szlag trafi. Nie dlatego, że jestem przerażony... choć to też. Chodzi o coś najprostszego w świecie - nie zawsze ukrywanie tajemnic jest złe. Czasem jest dobre. Czasem konieczne. A ukrycie tej jest i dobre, i konieczne”.

Nie wiedział, czy to rzeczywiście prawda, ale miał to w nosie i odczuł przeogromną ulgę. Był do cna zmęczony nieustannym myśleniem i nieustannym brakiem pewności.

Dokuczał mu też strach, jak człowiekowi, który pchnięty przelotną ciekawością przestąpił próg jaskini i się zgubił.

„Więc nie myśl o tym. Ot, i całe rozwiązanie”.

Może jednak faktycznie dobrze zrobi ukrywając tę tajemnicę. Nie wiedział, czy uda mu się przestać o niej myśleć, czy też nie... ale rozstrzygnie tę wątpliwość w murach drogiego college'u. Niezwykłe powoli sięgnął po formularz i zaczął go drzeć na drugie paski. Rojowisko powyginanych słów nikło. Przedarł paski w połowie i wrzucił do kosza na śmieci. Jak konfetti spoczęły na wcześniej wyrzuconych szpargałach. Przez prawie dwie minuty nie odrywał oczu od porwanej kartki, na wpeł oczekując, że jak w obrazie filmowym puszczone wstecz uniesie się w powietrze, złączy i powróci na biurko.

Wreszcie wziął kosz i wyniósł na korytarz w kierunku klapy z nierdzewnej stali, osadzonej w ścianie obok windy. Poniżej był napis: ZSYP.

Otworzył klapę i cisnął śmieci w czarną czeluść.

- Z głowy - odezwał się, przerywając dziwną ciszę, zalegającą budynek ANGIELSKI - MATEMATYKA. - Przepadło.

„Tu nazywamy to nadzieniem durniów”.

- A tu nazywamy to pierdołami - zamruczał i zaniósł pusty kosz do gabinetu.

Przepadło. Poleciało zsysem ku zagładzie. I dopóki nie dostanie wyników ze szpitala - albo dopóki nie nastąpi kolejne zaćmienie, trans, fuga, jak psychiatrzy mówią na chwilową amnezję, czy jak to, do diabła, nazwać - nie piśnie ani słówka. Ani słóweczka. Jest bardzo prawdopodobne, że bazgroły na formularzu były tylko wytworem wyobraźni, tak jak sen o Starku i pustym domu, i nie mają żadnego związku z morderstwami Homera Gamache'a i

Fredericka Clawsona.

„ Tu w Końcu Pieśni, gdzie kończą bieg wszystkie pociągi

”

– To nie ma żadnego sensu – powiedział Thad płaskim, wyzbytym emocji głosem... ale tego dnia nie opuścił uniwersytetu spokojnym krokiem, raczej uciekł.

Siostrunia

Zorientowała się, że coś nie gra, kiedy tylko wsunęła klucz w wielki zamek Kreiga, broniący dostępu do mieszkania. Klucz, zamiast wydać serię znanych i uspokajających trzasków, pchnął nie zamknięte drzwi. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że jest idiotką, jak mogła wyjść do pracy i zostawić drzwi otwarte, eeech! Miriam, a może po prostu wieszaj kartkę: CZEŚĆ, ZŁODZIEJE, GOTÓWKĘ TRZYMAM W CHIŃSKIM RONDLU NA GÓRNEJ PÓŁCE W KUCHNI!

Wcale tak nie pomyślała, ponieważ gdy pomieszkało się w Nowym Jorku sześć miesięcy, może nawet cztery, o zapominaniu mowy nie było. Może zamykało się drzwi na zatrask wyjeżdżając na wakacje z wiejskiego zadupia, może czasem zapominało się zamknąć drzwi na klucz idąc do pracy w mieście wielkości Fargo, Północna Dakota, albo Ames, Iowa, ale kiedy się już pobytu trochę w robaczywym drogim Wielkim Jabłuszku, zamykało się drzwi na klucz wyskakując po cukier do sąsiada. Zapomnieć zamknąć drzwi na klucz to jakby wypuścić oddech i zapomnieć nabrać następnego. Wielkie miasto było pełne muzeów i galerii, ale wielkie miasto było również pełne ćpunów i psychów, więc nie należało ryzykować. Ryzykować mógł tylko nieuleczalny dureń, a Miriam wcale nie była durna. Trochę głupiutka – tak. Ale nie durna.

Więc Miriam zorientowała się, że coś nie gra, i choć była pewna, że złodzieje włamali się do mieszkania i opuścili je przed dobrymi kilkoma godzinami, unosząc ze sobą wszystko, co miało choćby cień szansy na zastawienie w lombardzie (co dopiero te osiemdziesiąt czy dziewięćdziesiąt dolarów w rondlu... a może i sam rondel, jak się dobrze pomyśli; przecież był to ze wszech miar porządny rondel, no nie?), to mogli nadal tam być. To zresztą było automatyczne założenie, tak jak w przypadku chłopaków, którzy dostają pierwszą prawdziwą broń i którym wpaja się, nim się ich nauczy czegokolwiek innego, że muszą zakładać, iż broń jest zawsze załadowana, nawet kiedy przychodzi z fabryki.

Cofnęła się od progu. Zrobiła to niemal natychmiast, nawet zanim drzwi zatrzymały się pchnięte lekko do środka, ale już się spóźniła. Z mroku, przez dwustopową szparę między drzwiami a futryną, wystrzeliła ręka. Dosięgła dłoni Miriam. Miriam wypuściła klucze. Upadły na korytarzową wykładzinę.

Otworzyła usta do krzyku. Potężnej postury blondyn stał tuż przy drzwiach. Od czterech godzin cierpliwie czekał na Miriam Cowley. Nie pił kawy, nie palił papierosa. Miał ochotę zapalić i zapali, kiedy tylko załatwi sprawę, ale woń dymu mogła ją zaalarmować – nowojorczycki przypominali drobną zwierzynę skuloną w leśnym podszyciu. Byli czujni na niebezpieczeństwo nawet wtedy, kiedy wydawali się pochłonięci wesołą zabawą.

Nie zdążyła zebrać myśli, a już zacisnął palce prawej ręki na jej przegubie. Lewą złapał drzwi. Z całej siły szarpnął kobietę ku sobie. Drzwi wyglądały na drewniane, ale oczywiście były metalowe, jak Wszystkie dobre drzwi wejściowe w robaczywym drogim Wielkim Jabłuszku. Kobieta wyrznęła policzkiem o metalowy kant. Rozległ się głuchy łomot. Dwa zęby wypadły z dziąsła, przecięły wargę. Z rozdziawionych wskutek szoku ust poląła się krew. Bryznęła na drzwi. Kość policzkowa trzasnęła jak sucha gałązka.

Miriam osuwała się na wpół przytomna. Napastnik puścił ofiarę. Padła na wykładzinę korytarza. Należało działać bardzo szybko. Nowojorska wieść gminna głosiła, że w robaczywym drogim Wielkim Jabłuszku wszystkich gównem obchodzi, co się obok dzieje, dopóki to ich nie dotyczy. Wieść gminna głosiła, że w samo południe na Seventh Avenue przed dużym salonem fryzjerskim byle psych może dźgnąć kobietę dwadzieścia albo czterdzieści razy i nikt nie rzeknie słowa, chyba że: „Mógłbyś wyrównać nad uszami?” albo „Tym razem lepiej bez wody kolońskie, Joe”. Blondyn wiedział, że wieść gminna kłamie. Dla drobnej ściganej zwierzyny ciekawość była częścią wyposażenia ratunkowego. Dbaj o własną skórę, a jakże, głosiło hasło dnia, ale na wyzbytego ciekawości zwierzaka czyhała natychmiastowa śmierć. Stąd też szybkość działania była zasadniczą sprawą.

Otworzył drzwi, złapał Miriam za włosy i wciągnął do środka.

Zaledwie w chwilę potem usłyszał szcęk rygla, zgrzyt otwieranych drzwi dobiegający z głębi korytarza. Nie musiał wyglądać, żeby wiedzieć, że wychynęła twarz, królicza mordą łysonia z wężącym ciekawie nosem.

– Chyba nie stłukłaś tego, Miriam? – zapytał głośno. Po czym nadał głosowi wyższy rejestr; przysunął złożone dłonie na dwa cale do ust tłumiąc dźwięk i stał się kobietą: – Nie sadzę. Pomożesz mi to zebrać? – Odsunął dłonie. Wrócił do normalnego tonu. – Pewnie. Sekundkę.

Zamknął drzwi i spojrzał przez wizjer. Soczewka „rybie oko” dawała zniekształcony,

szerokokątny obraz korytarza. Zobaczył dokładnie to, czego się spodziewał; bladą twarz wyzierającą zza drzwi po drugiej stronie. Wysunięty z nory króliczy pysk.

Pysk się wycofał.

Drzwi się zamknęły.

Nie zatrzasnęły się – zamknęły. Głupia Miriam coś upuściła. Jej facet – może przyjaciel, może eks – mąż – pomagał teraz zbierać. Nie ma powodu do obaw. Każdemu się przytrafi; królikowi, kiedy był króliczkiem, też.

Miriam jęknęła. Zaczynała odzyskiwać przytomność.

Blondyn sięgnął do kieszeni, wyjął brzytwę. Potrząsnął, otworzył. Ostrze błysnęło w mdłym świetle bawialnianej lampki.

Otworzyła oczy. Pochylił się nad nią. Widział twarz przekręconą o sto osiemdziesiąt stopni. Usta Miriam były pomazane czerwienią, jakby jadła truskawki.

Zademonstrował jej brzytwę. Oczy kobiety – poprzednio oszołomione, zamglone – ożywiły się, rozszerzyły. Czerwone mokre usta rozchyliły się.

– Piśnij tylko, a potnę cię, siostruniu – powiedział.

Zamknęła usta.

Zanurzył rękę we włosy Miriam, pociągnął do bawialni. Sukienka zaszeleściła na wypastowanym parkiecie. Kobieta zahaczyła pośladekmi o chodniczek. Sunął za nią. Jęczała.

– Nie jęcz – nakazał. – Mówiłem ci.

Znaleźli się w bawialni. Była mała, ale miła. Przytulna. Na ścianach reprodukcje francuskich impresjonistów. Oprawiony afisz reklamujący Koty głosił: TERAZ I ZAWSZE. Zasuszone kwiaty. Sofka z szorstką beżową tapicerką. Szafka z książkami. Na jednej półce obie książki Beaumonta, cztery Starka na innej. „Beaumonty” wyżej. Nie tak być powinno, pomyślał blondyn, ale widocznie suka się nie zna.

Puścił Miriam.

– Ładuj się na kanapę, siostruniu. Tam. – Wskazał na róg, obok którego na stolyczku stał telefon z automatyczną sekretarką.

– Błagam – szepnęła nie podnosząc się z podłogi. Jej usta i policzek nabrzmiały, słowo wyszło zniekształcone: „Łagam”. – Bierz, CO chcesz. Wszystko. Pieniądze są w rondlu. – ” Enoszę szo f ontlu” .

– Ładuj się na kanapę, siostruniu. Tam. – Tym razem podsunął jej pod twarz brzytwę. Drugą ręką wskazał sofkę.

Wpełzła na sofkę, wbiła się w poduszki. Ciemne oczy otworzyła bardzo szeroko. Otarła usta. Zanim spojrzała na niego, z niedowierzaniem popatrzyła na krew, która pokryła

dłoń .

- Czego chcesz? - „, Ego esz?” Mówiła, jakby miała usta pełne jedzenia.

- Chcę, żebyś zatelefonowała, siostruniu. Nic więcej. Podniósł słuchawkę. Ręką trzymającą brzytwę dosięgnął przycisku GŁOŚNIK na sekretarce. Nacisnął. Podał kobiecie słuchawkę. Telefon był staromodny. Słuchawka wyglądała jak lekko nadtopione hantle. Była znacznie cięższa niż w modelu Princess. Wiedział o tym. Po nieznacznym stężeniu ciała kobiety zorientował się, że ona też o tym wie. Cień rozbawienia pojawił się na ustach blondyna. Nie gdzie indziej; tylko na ustach. Wyzbyty ciepła uśmiech.

- Kombinujesz, że mogłabyś mnie uziemić tym interesem, co, siostruniu? Pozwól, że ci coś powiem - to nie jest radosna myśl. A wiesz, co spotyka ludzi, którzy zapodziejają radosne myśli? - Kiedy nie odpowiedziała, rzekł: - Spadają z nieba. Szczera prawda. Widziałem to raz na filmie rysunkowym. Więc trzymaj słuchawkę na kolanach, skup się i znajdź radosne myśli.

Wpatrywała się w niego. Jak zaklęta. Krew powoli ciekła po podbródku. Kropla oderwała się, spadła na stanik sukienki. Nigdy się jej nie pozbędziesz, siostruniu, pomyślał blondyn. Mówią, że można wywabić krew splukując szybko materiał zimną wodą, ale to na nic. Są urządzenia. Spektroskopy. Chromatografy gazowe. Promienie ultrafioletowe. Lady Makbet miała rację.

- Jeśli zła myśl powróci, zobaczę ją w twoich oczach, siostruniu. Masz takie wielkie ciemne oczy. Nie chcesz chyba, żeby twoje wielkie ciemne oko wypłynęło ci na policzek, co?

Potrząsnęła głową szybko i gwałtownie. Burza włosów zaszalała wokół twarzy. Kiedy trzęsła głową, te piękne ciemne oczy nie schodziły z jego oblicza. Blondyn poczuł drgnięcie przy udzie. Proszę pana, czy ma pan w kieszeni miarkę składaną, czy po prostu robi się panu na mój widok dobrze?

Tym razem uśmiech zagościł mu i w oczach. Ona też się odrobinę rozluźnia, pomyślał.

- Wykręć numer Thada Beaumonta.

Nic, tylko patrzyła na niego. Szok spowodował, że jej oczy były jasne, świetliste.

- Beaumonta - powtórzył cierpliwie. - Tego pisarza. Do dzieła, siostruniu. Czas bieży chyżo jak uskrzydłone stopy Merkurego.

- Mój notes - powiedziała. Usta tak jej spuchły, że nie potrafiła ich domknąć. Trudno było ją zrozumieć. Zabrzmiało to jak „ Ój res” .

- Ój res? - zapytał. - Jest coś takiego jak mójkres? O czym ty gadasz? Weź się w garść, siostruniu.

Ostrożnie, pokonując ból sylabizowała:

- Mój notes. No - tes. Mój notes z adresami. Nie pamiętam numeru.

Brzytwa pomknęła ku niej. Zaszepiała jak człowiek. Prawdopodobnie była to tylko gra wyobraźni, niemniej jednak oboje usłyszeli ten szept. Kobieta wcisnęła się jeszcze mocniej w beżowe poduszki. Spuchnięte wargi skrzywił grymas. Napastnik obrócił brzytwę; słabe, ciepłe światło lampki padło na ostrze. Pochylił je; światło spłynęło jak woda. Popatrzył na kobietę wzrokiem, który mówił, że szaleń stwem jest nie podziwiać tak ślicznego przedmiotu.

- Nie wstawiaj mi gówna, siostruniu. - Teraz w jego głosie pojawił się miękki nosowy akcent mieszkańca ca Południa. - Kiedy masz do czynienia z facetem mojego pokroju, nigdy nie wyskakuj z czymś takim, nigdy. Wykręcajże ten w dupę jebany numer! - Mogła nie obciążać sobie głowy telefonem Beaumonta, rzadko miała do niego interes, ale telefon Starka musiała pamiętać. W tym książkowym biznesie Stark robił za lokomotywę, a tak się składało, że obaj faceci mieli ten sam numer.

Z oczu kobiety spływały łzy.

- Nie pamiętam - wyjęczała. „ Eee chachęa” .

Blondyn był gotów ciąć - nie dlatego, że go rozgniewała, ale dlatego, że kiedy takiej pani pozwoli się na jedno kłamstwo, zaraz opowie następne - jednak rozważył rzecz raz jeszcze. Jest ze wszech miar prawdopodobne, zdecydował, że tymczasowo straciła pamięć do równie przyziemnych spraw co numery telefoniczne, nawet tak ważnego klienta jak Beaumont/Stark. Była w szoku. Gdyby polecił jej zatelefonować do własnej agencji, też okazałoby się, że ma dziurę w mózgu.

Ale że mówili o Thadzie Beaumoncie, a nie Ricku Cowleyu, zdobył się na wielkoduszność.

- Dobra - rzekł. - Dobra, siostruniu. Jesteś poruszona. Rozumiem. Może trudno ci w to uwierzyć, ale wiem, co czujesz. I masz szczęście. Tak się składa, że znam ten numer. Rzecz można, że znam go jak swój własny. I wiesz co? Nawet nie każe ci go wykręcić. Częściowo dlatego, że nie zamierzam siedzieć tu i czekać wieki, aż go sobie przypomnisz, ale i dlatego, że naprawdę wiem, co czujesz. Zaraz sam go wykręcę. Czy wiesz, co to znaczy?

Miriam Cowley potrząsnęła głową. Jej wielkie oczy niemal przesłoniły twarz.

- To znaczy, że ci zawierzę. Ale tylko w tej sprawie; tylko tyle i nie więcej, dziewczyno droga. Czy mnie słuchasz? Dociera to do ciebie?

Miriam pokiwała gorączkowo głową. Włosy zafalowały. Boże, uwielbiał kobiety z długimi włosami.

- Dobrze. To dobrze. Kiedy będę kręcił, ty zechciej skupić wzrok na brzytwie. To

pomoże ci odszukać radosne myśli.

Zaczął wybierać numer na staromodnym tarczowym aparacie. Przez głośnik sekretarki dobiegały wzmocnione metaliczne trzaski. Brzmiały jak zwalniające „koło fortuny”. Miriam Cowley siedziała ze słuchawką na podłożu. Na przemian patrzyła to na brzytwę, to na szorstkie płaszczyzny twarzy straszliwego nieznanego.

- Pomów z nim - rzekł blondyn. - Jeśli odbierze żona, powiedz, że dzwoni Miriam z Nowego Jorku i chce mówić z jej starym. Wiem, że masz spuchnięte wargi, ale postaraj się, żeby każdy, kto odbierze telefon, cię poznał. Zrób to dla mnie, siostruniu. Jak nie chcesz mieć twarzy przemodelowanej na portret Picassa, zrób to cacanie. - Ostatnie słowo zabrzmiało „sassanie”.

- Co... co mam mówić?

Blondyn uśmiechnął się. Niezła z niej sztuka, naprawdę niezła. Sam smak. I te włosy. Kolejne poruszenie w obszarze pod klamrą paska. Zapanowało tam spore ożywienie.

Telefon dzwonił. Słyszeli to przez głośnik sekretarki.

- Już ty będziesz wiedziała co, siostruniu.

Trzask. Podniesiono słuchawkę. Blondyn odczekał, aż Beaumont odezwie się: „Halo?”, po czym z szybkością atakującego węża ciął brzytwą po policzku Miriam Cowley. Odpadł płatek skóry. Bluznęła krew. Miriam zawyła.

- Halo! - warknął Beaumont. - Halo, kto mówi? Do cholery, to ty?

Tak, ja. A jakże, ty skurwysynu, pomyślał blondyn. To ja; i ty dobrze wiesz, że to ja, co nie?

- Powiedz mu, kim jesteś i co tu jest grane - szczechnął do Miriam. - No, już! Nie każ sobie dwa razy powtarzać!

- Kto tam?! - wołał Beaumont. - O co chodzi?! Kto mówi?!

Miriam wyła. Krew chlusnęła na tapicerkę sofki. Na staniku sukienki nie było kropelki - rozlała się rzeka krwi.

- Rób, co ci mówię, albo odetnę ci pierdolony łeb tym interesem!

- Thad, tu jest człowiek! - wrzasnęła. Ogarnięta bólem i grozą odzyskała wyraźną wymowę. - Tu jest zły człowiek! Thad, TU JEST ZŁY CZŁO...!

- POWIEDZ, JAK SIĘ NAZYWASZ! - ryknął i machnął brzytwą na cal przed jej oczami.

Skuliła się, zakwiliła.

- Kto mówi?! Kto...?!

- MIRIAM! - wyła. - OCH THAD NIE POZWÓL ŻEBY MNIE ZNÓW POCIAŁ NIE

POZWÓL TEMU ZŁEMU CZŁOWIEKOWI ZNOWU MNIE POCIAĆ NIE...!

George Stark przeciął brzytwą przewód telefoniczny. Sekretarka wydała jedno gniewne elektryczne burknięcie i zamilkła.

Nieźle. Mogło być lepiej. Chciał ją mieć, naprawdę chciał sobie na niej ulżyć. Od dawna chciał sobie ulżyć z kobietą, ale choć chciał tej, nie będzie jej miał. Za dużo wrzasku. Króliki znów wysuną pyski z nor, łapiąc wiatr, czując wielkiego drapieżcę, który miękko stąpa w dżungli tuż za kręgiem ich żalosnych elektrycznych ognisk.

Nie przestawała wyć.

Najwyraźniej zapodziała wszystkie swoje radosne myśli.

Więc Stark złapał ją za włosy, odchylił w tył głowę, aż spojrzała w sufit, zawyla w sufit, i poderznął jej gardło.

W bawialni zapadła cisza.

- Cyt, cyt, siostruniu - rzekł czule. Złożył brzytwę, schował do kieszeni, Skrwawioną lewą ręką zamknął oczy Miriam. Mankiet koszuli natychmiast nasiąkł ciepłą krwią. Żyła szyjna nadal pompowała juskę, ale wypadało zrobić to, co zrobić wypadało. Kiedy w grę wchodzi kobieta, zamykasz jej oczy. Nie ma znaczenia, czy była wredna, nie ma znaczenia, czy to ćpająca kurwa, która żeby mieć na prochy, wypycha na ulicę własne dzieci; zamykałeś jej oczy.

Zresztą była zamieszana w sprawę tylko pośrednio. Rick Cowley - to inna historia.

I facet, który napisał tamten kawałek do czasopisma.

I suka, która robiła zdjęcia, zwłaszcza zdjęcie nagrobka. Suka, o tak, suka całą gębą, ale jej też zamknie oczy.

A kiedy załatwi sprawy ze wszystkimi, wtedy nadejdzie czas na pogaduszkę z Thadem. Bez pośredników, mano a mano. Nadejdzie czas, żeby Thad przejrzał na oczy. Po tym, jak skoń czy ze wszystkimi, Thad będzie gotów przejrzeć na oczy. Jeśli nie, są sposoby, żeby to przyspieszyć.

Był przecież mężczyzną żonatym - żonatym z bardzo piękną kobietą, prawdziwą królową powietrza i mroku.

I miał dzieciaki.

Stark wsunął palec w ciepły, tryskający strumyk krwi i szybko zaczął pisać po ścianie. Dwa razy musiał zmoczyć palec, żeby skoń czyć, ale wiadomość pojawiła się migiem nad odchyloną bezwładnie głową kobiety. Gdyby miała otwarte oczy, mogłaby czytać litery do góry nogami.

I, oczywiście, gdyby jeszcze żyła.

Pochylił się, ucałował Miriam w policzek.

- Dobranoc, siostruniu - rzekł.

Opuścił mieszkanie.

Facet z drugiej strony korytarza znów wyglądał przez szparę.

Kiedy ujrzał, że z mieszkania Miriam wylania się wysoki, usmarowany krwią blondyn, zatrzasnął drzwi i przekręcił zamek.

Mądrze, pomyślał George Stark, długim krokiem zmierzając do windy. Kurewsko mądrze. Przemądrze.

Trzeba się sprężyć. Żadnego zwlekania.

Dziś wieczór ma jeszcze wiele spraw na głowie.

Obłądana panika

Na kilka chwil – nigdy nie doszedł, jak długo trwały – Thada ogarnęła panika tak przemożna, tak bezbrzeżna, że nie był w stanie funkcjonować w żaden sposób. Zdumiewające, że potrafił jeszcze oddychać. Później pomyśli, że tylko raz jeden czuł coś mgliście podobnego. Miał wtedy dziesięć lat. Była połowa maja. Razem z parą koleżków poszedł popływać. Do tej pory pierwszy raz wchodzili do wody trzy tygodnie później. Co najmniej trzy tygodnie. Ale wcześniejsza kąpiel wydała im się wtedy kapitalnym pomysłem; powietrze było czyste, dzień gorący jak na maj w New Jersey, temperatura sięgała trzydziestu stopni Celsjusza. Chłopcy przyszedli nad jezioro Davisa, jak kpiąco nazwali stawek leżący milę od domu Thada w Bergenfield. Pierwszy się rozebrał, pierwszy wskoczył w strój kąpielowy, stąd też pierwszy znalazł się w wodzie. Śmignął szczupakiem. Teraz nadal uważał, że w tamtym momencie otarł się o śmierć – a jak blisko się otarł, o tym już wcale nie chciał myśleć. Tamtego dnia powietrze może i przypominało środek lata, ale woda miała taką temperaturę jak przed nastaniem lodów, ostatniego dnia późnej jesieni. System nerwowy Thada doznał wstrząsu. Oddech zamarł w płucach, serce zatrzymało się w połowie uderzenia i kiedy Thad wyskoczył na powierzchnię, poczuł się, jakby był samochodem, któremu siadł akumulator i który należało zapalić, koniecznie, ale nie wiadomo jak. Zapamiętał jasny blask słońca, odbijający się tysiącami złotych iskierek na niebiesko – czarnej powierzchni stawu, zapamiętał Harry’ego Blacka i Randy’ego Wistera stojących na brzegu; Harry wbijał swój opasy tyłek w spłowiałe spodenki gimnastyczne, nagi Randy trzymał w ręce kąpielówki, darł się: „Jaka woda, Thad?!” – i Thad zdołał tylko pomyśleć: „Umieram, słońce świeci, tam stoi dwójka moich najlepszych kumpli, jest po szkole, nie mam nic do odrobienia w domu, dziś wieczór leci Pan Blandings buduje dom swoich marzeń i mama obiecała, że pozwoli mi zjeść kolację przed telewizorem, ale nigdy tego nie obejrzę, bo zaraz umrę”. Oddychanie, kilka

sekund temu prosta, nieskomplikowana czynność, ustało, jakby w gardle Thada uwięzła nasiąknięta frotowa skarpetka, coś nie dającego się wypluć na zewnątrz ani wepchnąć do żołądka. Serce siadło w piersi jak zimny kamyczek. Wtem otrząsnął się, zachłysnął wielkim łykiem powietrza – ciało pokryła gęsia skórka – i odpowiedział Randy’emu z bezmyślną, złośliwą satysfakcją, która jest wyłączną domeną chłopców: „Woda pycha! Wcale nie zimna! Skaczcicie!” Dopiero po latach przyszło mu na myśl, że mógł przyprawić o śmierć jednego kolegę lub obu, tak jak o mały włos nie przyprawił o śmierć samego siebie.

Teraz ogarnął go dokładnie ten sam stan – paraliż całego ciała. W wojsku mieli określenie na coś takiego – zaryć się po szyję w gównie. Tak. Dobre określenie. Jeśli chodzi o terminologię, wojo jest niezastąpione. Utknął po szyję w zbiorniku gęstego gówna. Siedział na fotelu, nie w fotelu, ale na fotelu, pochylony, nie wypuszczając słuchawki z ręki, wpatrzony w martwy ekran telewizora. Pojawiła się Liza. Stała w progu, spytała, kto dzwonił, potem co się stało – i czuł się jak tamtego dnia nad jeziorem Davisa, właśnie tak; Włchawicy ugrzęzła brudna skarpetka i nie chciała się ruszyć w żadną stronę, wszystkie linie komunikacyjne między mózgiem a sercem nagle się urwały, przepraszamy za ten nie przewidziany rozkładem postój, ruch zostanie wznowiony najszybciej, jak to będzie możliwe, a może ruch nigdy nie zostanie wznowiony, ale tak czy inaczej zechcicie, pań stwo, zakosztować rozkoszy pobytu w uroczym Końcu Pieśni, miasteczku, w którym kończą bieg wszystkie pociągi.

Lecz otrząsnął się tak samo jak poprzednim razem; spróbował zaczerpnąć powietrza. Serce uderzyło dwa razy szybko, nierytmicznie i podjęło regularną pracę... choć jej tempo było nadal przyspieszone, o wiele za ostre.

Co za krzyk! Jezu Chryste, Panie nasz, co to był za krzyk!

Liza biegła teraz przez pokój i dopiero, kiedy usłyszał ją wołającą „Halo!”, a potem dobrych kilka razy „Kto dzwoni?!”, uświadomił sobie, że wyrwała mu słuchawkę. Wreszcie dotarło do niej, że słyszy szum zerwanego połączenia, i odłożyła słuchawkę na widełki.

– Miriam. – Liza popatrzyła na niego i dlatego wreszcie się odezwał. – To była Miriam. Krzyczała.

„Uśmiercałem ludzi tylko w książkach”.

„Wróble fruwią”.

„Tu nazywamy to nadzieniem durniów”. „Mówimy na to Koniec Pieśni”.

„Muszę wysuwać na północ, koniu. Skłamałem alibi, bo muszę wysuwać na północ.

Trza mi puścić w ruch brzytwę”.

– Miriam? Krzyczała? Miriam Cowley? Thad, co się dzieje?

- To jednak on. Wiem, że to on. Chyba wiedziałem o tym od początku, a jeszcze dziś... po południu... powtórzyło się.

- Co się powtórzyło?! - Mocno tarła sobie z boku szyję. - Znow miałeś zaćmienie? Wpadłeś w trans?

- Jedno i drugie. Najpierw wróble. Kiedy miałem zaćmienie, napisałem na kartce mnóstwo idiotyzmów. Wyrzuciłem ją, ale imię Miriam było na kartce, napisałem imię Miriam, kiedy byłem nieprzytomny... i...

Urwał. Wytrzeszczał oczy. Coraz szerzej.

- Co? Thad, o co chodzi? - Potrząsnęła go za ramię. - O co chodzi?!

- W jej bawialni wisi plakat - powiedział. Słyszał swój głos jak głos kogoś obcego, jakby ktoś mówił z daleka. Może przez interkom. - Plakat broadwayowskiego musicalu. Koty. Zauważyłem go podczas naszej ostatniej wizyty. Koty, TERAZ I ZAWSZE. I to napisałem. Napisałem, bo on tam był! Więc i ja byłem! Część mojej osoby, część mnie widziała to jego oczyma...

Popatrzył na nią. Spoglądała szeroko, szeroko wytrzeszczonymi oczyma.

- To nie guz, Lizo. Przynajmniej nie cielesny guz.

- Nie wiem, o co ci chodzi! - niemal wrzasnęła Liza.

- Muszę zadzwonić do Ricka - wymruczał. W jakiejś mierze rozumował bystro, precyzyjnie, rozmawiał sam ze sobą posługując się obrazami i wyraźnymi, jasnymi symbolami. Czasem czuł się tak samo pisząc, ale po raz pierwszy zdarzyło mu się przeżyć coś podobnego w prawdziwym dziennym życiu... czy pisanie należy do prawdziwego życia? - zastanowił się nagle. Chyba nie. To rodzaj przerwy w życiu.

- Thad, proszę cię!

- Muszę ostrzec Ricka. Może mu grozić niebezpieczeństwo.

- Thad, mówisz bez sensu!

Tak, jak najbardziej. A jeśli przerwie myślenie, żeby wyjaśnić, o co chodzi, zabrzmie jeszcze ^{to} bardziej bez sensu... i kiedy podzieli się lękami z żoną, prawdopodobnie osiągnąjąc tyle, że ta zacznie się zastanawiać, ile czasu trwa załatwienie ubezpieczenia, George Stark minie dziewięć przecznic na Manhattanie, dzielących mieszkanie Ricka od mieszkania jego byłej żony. Siedzi na tylnym siedzeniu taksówki albo za kierownicą skradzionego wozu, diabła tam, Thad wiedział, że siedzi za kierownicą czarnego toronada widzianego we śnie - kiedy już się pokonało taki kawał drogi do szaleństwa, czemu po prostu nie powiedzieć „mam ^{to} w dupie” i nie dojechać do końca? Siedzi w toronado, pali papierosa i po zabiciu Miriam szykuje się zabić Ricka...

Zabił ją?

Może tylko przestraszył, zostawił łkającą i w szoku. A może zranił... Żadne „może”, pewnie zranił. Co powiedziała? „Nie pozwól, żeby mnie znów pociął, nie pozwól temu złemu człowiekowi znowu mnie pociąć”. A na kartce było słowo „ciąć”. A poza tym „wykoń czyć”.

Tak. Tak było napisane. Ależ to wiązało się tylko ze snem! To wiązało się z Końcem Pieśni, miasteczkiem, w którym wszystkie pociągi kończą swój bieg.

Modlił się, żeby tak było.

Musi sprowadzić pomoc dla Miriam, przynajmniej musi podjąć próbę w tym kierunku, i musi ostrzec Ricka. Ale jeśli zadzwoni do Ricka i ni stąd, ni zowąd każe się pilnować, Rick zechce wiedzieć dlaczego.

„O co chodzi, Thad? Co się stało?”

A kiedy Thad tylko wymieni imię Miriam, Rick zerwie się i pomknie jak strzała do jej mieszkania, bo wciąż mu zależało na Miriam. Zależało jak cholera. I wtedy nie kto inny, tylko Rick znajdzie ciało... może w kawałkach. (Thad usiłował uciec od tej myśli, od tego plastycznego wyobrażenia, ale uparty umysł zmuszał go do oglądania pięknej Miriam pociętej jak mięso na rzeźnickim stole).

A może na to właśnie Stark liczył. Głupi Thad pośle Ricka prosto w pułapkę. Głupi Thad odwali za niego robotę.

„Ale czy cały czas nie odwalałem za niego roboty? Na litość boską, czy nie po to są pseudonimy?”

Znów czuł zator w głowie, wszystko tam sztywniało. Zarył się w gównie. Nie może sobie na to pozwolić, nie może sobie na to pozwolić!

- Thad... błagam! Powiedz mi, o co chodzi!

Nabrał głęboko tchu i złapał jej zimne ramiona w swoje zimne ręce.

- Dzwonił ten sam człowiek, który zabił Homera Gamache'a i Clawsona. Był z Miriam. Był... groził jej. Mam nadzieję, że nie posunął się dalej. Nie wiem. Krzyczała. Połączenie zostało przerwane.

- Och, Thad! Jezu!

- Żadne z nas nie może sobie pozwolić na histerię - powiedział i pomyślał: „Choć Bóg wie, jak bardzo bym chciał pohisteryzować”. - Idź na górę. Weź swój notes z adresami. Ja nie mam adresu ani telefonu Miriam. Ty chyba masz.

- Co znaczyło, że wiedziałeś od początku?

- Teraz nie czas na wyjaśnienia, Lizo. Idź po notes. Pospiesz się. Dobra?

Zawahała się jeszcze.

- Może jest ranna! Idź!

Odwróciła się i wybiegła z pokoju. Usłyszała jej szybkie, lekkie kroki zmierzające na piętro i usiłował znów zagonić głowę do pracy.

Nie dzwoń do Ricka! Jeśli to naprawdę pułapka, dzwonienie do Ricka jest bardzo złym pomysłem.

Dobra, to już wiemy. Nie jest to wiele, ale zawsze coś na początek. Więc do kogo?

Wydział Policji Nowego Jorku, NYPD? Nie, zacznij zadawać masę czasochłonnych pytań - na początek: jakim cudem facet z Maine zgłasza przestępstwo popełnione w Nowym Jorku? Nie NYPD. Znowu bardzo zły pomysł.

Pangborn!

Uczepi! się tej myśli. Wpierw zatelefonuje do Pangborna. Musi uważać na słowa, przynajmniej na razie. To, co powie lub czego nie powie później o zaćmieniach umysłu, ćwierkaniu wróbli, o Starku - obroni się samo. Na razie ważna była Miriam. Jeśli Miriam była ranna, ale nadal żywa, czynniki, które mogą przyhamować Pangborna, w żadnym wypadku nie polepszą sprawy. To Pangborn będzie musiał wezwać gliny z Nowego Jorku. Zareagują szybciej i zadadzą mniej pytań otrzymawszy wiadomość od kolegi po fachu, nawet jeśli ten pracuje w zapadłym Maine.

Ale najpierw Miriam. Boże daj, żeby podniosła słuchawkę.

Liza jak na skrzydłach wróciła z notesem w ręce. Twarz miała prawie tak bladą, jak wtedy, kiedy wreszcie wydała na świat Williama i Wendy.

- Proszę - powiedziała. Oddychała ciężko, niemal dyszała. Chciał powiedzieć: „Wszystko będzie w porządku”, ale powstrzymał się. Lepiej nie mówić niczego, co łatwo może się okazać nieprawdą... a odgłosy, jakie wydawała Miriam, sugerowały, że sprawy daleko minęły etap w - porządku. Jeśli chodzi o Miriam, sprawy mogą nigdy nie wrócić do etapu w - porządku.

„Tu jest człowiek, tu jest zły człowiek”.

Thad pomyślał o George'u Starku i przeszedł go lekki dreszcz. To był bardzo zły człowiek, nie ma gadania. Thad wiedział o tym najlepiej. Przecież ulepił George'a Starka od podstaw... prawda?

- Nic nam nie grozi - powiedział Lizie. To przynajmniej było prawdą. „Jak do tej pory” - usłyszał w głowie przezorny szept. - Jeśli możesz, weź się w garść, dziecinko. Hiperwentylacja i omdlenie na podłodze nie uratują Miriam.

Usiadła, sztywna jakby kij połknęła, wpatrzona w męża. Nieprzerwanie żuła dolną wargę. Zaczął wybierać numer Miriam. Drżący palec dostał czkawki przy drugiej cyfrze i

uderzył przycisk dwukrotnie. „ Jesteś wielki w mówieniu ludziom, żeby się wzięli w garść”
Wziął długi oddech, zatrzymał. Uderzył w widełki, zaczął jeszcze raz narzuciwszy sobie
wolniejsze tempo. Stuknął w ostatni przycisk i słuchał, jak niespieszne trzaski składają się
na sygnał połączenia.

„ Boże, spraw, żeby się jej nic nie stało, a jeśli nie mogłeś sprawić, żeby się jej nic
stało, ^{nie} oby przynajmniej mogła odebrać telefon. Błagam” .

Ale telefon Miriam nie zadzwonił. Rozległo się tylko uparte DAG – DAG – DAG
oznaczające zajętą linię. Może linia naprawdę była zajęta; może Miriam dzwoniła do Ricka
albo do szpitala. A może słuchawka nie leżała na widełkach.

Jest i inna możliwość, pomyślał naciskając znów widełki. Może Stark wyrwał
przewód z gniazdka. Lub może

(nie pozwól temu złemu człowiekowi znowu mnie pociąć)

pociął przewód.

Tak jak Miriam.

„ Brzytwa” – pomyślał Thad i dreszcz przebiegł mu po plecach. To kolejny bazgroł
napisany po południu. „ Brzytwa” .

W ciągu następnej półgodziny powtórnie popadł w ponury, surrealistyczny nastrój
wywołany ongi wizytą Pangborna i dwóch policjantów stanowych. Tym razem nie poczuł się
osobiście zagrożony, ale doznał identycznego wrażenia, że idzie przez mroczny pokój
wypełniony delikatnymi nitkami pajęczyn, które gładzą go po twarzy. Najpierw tylko
łaskoczą, by doprowadzić niemal do szaleń stwa. Nie przyklejają się, umykają z szelestem
przed ręką.

Kolejny raz spróbował połączyć się z Miriam, a gdy linia znów okazała się zajęta,
nacisnął widełki i zawahał się przez moment. Zadzwonić do Pangborna czy na centralę
nowojorską i żądać sprawdzenia numeru Miriam? Czyżby nie potrafili ustalić różnicy między
linią zajętą, linią łączącą z telefonem, którego słuchawkę zdjęto z widełek, i linią, która
nie wiadomych przyczyn została wyłączona z eksploatacji? Na pewno potrafili. Ale nieważne,
dlaczego telefon Miriam milczy w tej chwili. Ważne jest, dlaczego połączenie zostało
zerwane. Niemniej jednak mogli się dowiedzieć, o co chodzi z tym numerem Miriam – Liza
mogłaby się dowiedzieć, gdyby mieli dwa numery, a nie jeden. Dlaczego nie mają dwóch
numerów?! Przecież to głupota nie mieć dwóch numerów, prawda?

Choć te myśli przewinęły się mu przez głowę w jakieś dwie sekundy, wydawało się to trwać znacznie dłużej i strofował się za hamletyzowanie, podczas kiedy Miriam Cowley być może wykrwawia się na śmierć. Postaci w książkach – przynajmniej w „starkach” – nigdy nie przeżywają podobnych rozterek, nie wyłączają się z akcji trawiąc czas na nonsensownych rozważaniach; na przykład dlaczego nie podłączyły drugiego numeru, na wypadek gdyby kobiecie w sąsiednim stanie groziło wykrwawienie na śmierć? Postaci książkowe nigdy nie wyłączają się z akcji, żeby się wypróżnić. I nigdy nie dopada ich taki skurcz, jaki miał przed chwilą.

Świat byłby znacznie wygodniejszym miejscem do życia, gdyby wszyscy jego mieszkańcy zeszedli z kart popularnych powieści. Ludzie z kart popularnych powieści zawsze mają poukładane w głowach jak należy i gładko suną przez rozdziały.

Połączył się z informacją telefoniczną Maine, a kiedy telefonistka zapytała: „Jakie miasto?” – pogubił się na moment, ponieważ Castle Rock było miasteczkiem. Nie miastem, ale małym miasteczkiem, mimo że stanowiło siedzibę władz okręgu. Wtedy pomyślał: „Wpadasz w panikę, Thad. Obłądną panikę. Musisz nad nią zapanować. Nie wolno dopuścić, żeby Miriam umarła, dlatego że ty uległeś panice”. I nawet zdążył się zastanowić, dlaczego nie może do tego dopuścić, i wytłumaczył sobie: jest jedyną żywą postacią, nad którą ma jakąś taką władzę, a panika po prostu nie leży w charakterze tej postaci. Tak przynajmniej uważał.

„Tu nazywamy to sranie w banię, Thad. Tu nazywamy to nadzieniem z du...”

– Proszę pana? – naciskała telefonistka. – Jakie miasto?

„Dobra. Zapanuj nad tym”.

Wziął głęboki oddech, dał sobie kopa w dupę i powiedział:

– Castle City. – Chryste! Zamknął oczy. I nie otwierając ich powiedział wolno i wyraźnie: – Przepraszam panią. Castle Rock. Numer biura szeryfa.

Pauza, a po pauzie głos z taśmy zaczął recytować numer. Thad uświadomił sobie, że nie ma długopisu ani ołówka. Taśma powtórzyła numer. Thad wysilił pamięć. Numer jak błyskawica przeleciał przez głowę i odfrunął w mroki niepamięci. Nie został po nim żaden ślad.

– Jeśli potrzebuje pan dalszych informacji – taśma przewijała się dalej – proszę się rozłączać, a telefonistka...

– Lizo? – poprosił błagalnie. – Ołówka! Czegoś do pisania!

W notatnik adresowy miała wpięty bic. Wręczyła go Thadowi. Zgłosiła się telefonistka – żywa telefonistka, nie taśma. Thad powiedział, że nie zdążył zanotować numeru. Telefonistka zaprzęła taśmę do pracy i ta odezwała się falującym, trochę kobiecym

głosem. Thad zapisał numer na okładce notesu, już prawie się rozłączał, ale zdecydował sprawdzić numer. Zamienił kolejność dwóch cyfr. No, koncertowo poradził sobie z paniką. Dowód ma przed nosem.

Trzepnął w widełki. Był zlany potem.

- Uspokój się, Thad.

- Ty nie słyszałaś Miriam - rzekł ponuro i połączył się z biurem szeryfa.

Telefon zdzwonił cztery razy, zanim odezwał się znudzony głos z jankeskim akcentem.

- Biuro szeryfa okręgu Castle, zastępca Ridgewick. Czym mogę służyć?

- Mówi Thad Beaumont. Dzwonię z Ludlow.

- Ehe. - Żadnej reakcji. Żadnej. Będą potrzebne wyjaśnienia. Kolejne pajęczyny.

Mętnie przypominał sobie nazwisko Ridgewick. Oczywiście - to funkcjonariusz, który przeprowadził rozmowę z panią Arsenault i znalazł ciało Gamache'a. Na rany Chrystusa, ten gliniarz znalazł trupa! Jak mógł nie skojarzyć nazwiska domniemanego zabójcy?!

- Zastępczo Ridgewick, szeryf Pangborn był u mnie... przedyskutować morderstwo Homera Gamache'a. Mam pewne informacje na ten temat i muszę się z nim niezwłocznie porozumieć!

- Szeryfa nie ma. - Wzburzenie Thada spotkało się z kamienną obojętnością.

- No to gdzie jest?!

- A w domu.

- Proszę o numer.

Nie wierząc własnym uszom usłyszał:

- Eh, no nie wiem, panie Bowman. Szeryf... Alan znaczy... nie miał ostatnio dla siebie za bardzo czasu, a żona mu trochę wysiadła. Głowa ją bolała.

- Muszę z nim porozmawiać!

- E tam - z samozadowoleniem stęknął Ridgewick - pewnie, że tak pan sobie myślisz.

A może i nawet tak jest. Znaczy, że niby faktycznie pan musisz porozmawiać. Coś panu powiem, Bowman. Może spróbuj to wyjaśnić mnie, żebym to ja oce...

- Przyjechał mnie aresztować! Aresztować za morderstwo Homera Gamache'a!

Wydarzyło się coś jeszcze i jeśli nie poda mi pan zaraz...!

- O święta Petronelo! - wrzasnął Ridgewick.

Thad usłyszał lekki stuk i wyobraził sobie nogi zastępcy zjeżdżające z biurka - co prawdopodobne, z biurka Pangborna - i lądujące na podłodze, kiedy zastępca prostował się w fotelu.

- Beaumont, nie Bowman!

- Tak, i...

- Na Judasza! Na Judasza rudego! Szeryf... Alan... powiedział, że jakbyś pan dzwonił, mam zaraz pana połączyć!

- Dobrze. Więc...

- Na Judasza rudego! Ale ze mnie fujara!

Thad, gotów potwierdzić tę samoocenę całym sercem, rzekł:

- Proszę o jego numer.

Nie wiedział, skąd wziął resztkę sił, żeby się pohamować i nie wrzasnąć.

- Jasne. Tylko sekundkę. Eee... - Pauza, która nastąpiła, mogła doprowadzić do szaleń stwa. Oczywiście trwała tylko sekundy, ale Thadowi wydało się, że wystarczyłaby na zbudowanie piramidy. Zbudowanie i zburzenie. A może przez cały ten czas życie ucieka z Miriam, leżącej na dywanie w bawialni pięćset mil stąd. Mogłem ją zabić, pomyślał. Choćby dlatego, że zadzwoniłem do Pangborna i wdałem się w rozmowę z tym gigantycznym idiotą, zamiast najpierw zadzwonić do Wydziału Policji Nowego Jorku. Albo na 911. 'To właśnie powinienem zrobić, wystukać 911 i zepchnąć to im na głowę.

Tyle że nie miał prawa spychać na nikogo odpowiedzialności. Choć nie przewidział napaści na Miriam... to trans i napisane wtedy słowa świadczyły, że wiedział o akcji Starka. Upiorne ćwierkanie tysięcy ptaków potwierdzało, że Thad odpowiada za całe szaleń stwo.

Ale jeśli Miriam umrze tylko dlatego, że uległ panice i nie zatelefonował na numer 911, jak spojrzysz Rickowi w twarz?

Pieprzyć to; jak spojrzysz sobie w twarz?

Ridgewick, Nasz Jankeski Kretyn Domowy, wrócił. Podał Thadowi numer szeryfa, wymawiając każdą cyfrę tak powoli, że nawet zapóźniony w rozwoju potrafiłby ją zapisać... ale mimo to Thad kazał mu powtórzyć numer raz jeszcze, choć czuł namolną jak szturchnięcie palcem konieczność pośpiechu. Nadal pamiętał wstrząs, jaki przeżył spierniczywszy numer biura szeryfa. Co stało się raz, może się powtórzyć.

- W porządku - powiedział Thad. - Dzięki.

- Eee, panie Beaumont? Byłbym szczerze zobowiązany, gdyby pan nie rozpowiadał o tym, jak ja...

Thad przerwał połączenie bez najmniejszych wyrzutów sumienia i wybrał numer podany przez Ridgewicka. Pangborn nie podniesie słuchawki. Ależ jasne, nie ma co marzyć o takim szczęściu w Wieczór Pajęczyn. A ten, kto się odezwie, powie (to znaczy powie po kilku minutach obowiązkowej słownej zabawy w chowanego), że szeryf udał się po chlebuś i

mleczko. Najpewniej do Laconii, New Hampshire, choć nie należało z góry wykluczać i Phoenix.

Zarechotał dziko. Liza wlepiła w niego zaskoczone spojrzenie.

- Thad? Nic ci nie jest?

Otworzył usta do odpowiedzi, ale ktoś podniósł słuchawkę, więc tylko dał znak ręką, że nic. Nie Pangborn podniósł słuchawkę; tu się przynajmniej nie pomylił. Odezwał się dziesięcioletni chłopczyk.

- Halo, tu dom państwa Pangbornów - zapiszczał. - Todd Pangborn przy aparacie.

- Cześć - powiedział Thad. Miał mglistą świadomość, że za mocno ściska słuchawkę, i spróbował rozluźnić palce. Zatrzeszczały, ale ledwie drgnęły. - Nazywam się Thad... - „Pangborn” miał na końcu języka, och, Jezu, to by dopiero było świetne, nie ma co, koncertowo panuje nad wszystkim. Thad, rozminąłeś się z powołaniem, powinieneś być kontrolerem ruchu powietrznego. - ... Beaumont - zakończył po krótkiej korekcie w locie. Czy szeryf jest w domu?

„Nie, musiał pojechać do Lodi, Kalifornia, po piwo i papierosy

”
Zamiast tego usłyszał, że chłopiec odsuwa słuchawkę od ust i nawołuje:

- Taaatooo! Telefon!

Rozległ się spory huk, od którego Thada zabolął bębenek w uchu.

W chwilę później, o chwala Tobie, Panie, i wszystkim świętym w niebiosach, głos Alana Pangborna powiedział:

- Halo?

Dźwięk tego głosu położył kres nerwówce.

- Tu Thad Beaumont, szeryfie Pangborn. Pewna pani w Nowym Jorku może bardzo pilnie potrzebować pomocy. Ma to związek ze sprawą, o której mówiliśmy w sobotę wieczór.

- Wal! - jasnym głosem rzucił Alan. Ot po prostu. O rany, co . za ulga. Thad poczuł się, jakby odzyskał ostrość widzenia.

- Nazywa się Miriam Cowley, jest byłą żoną mojego agenta. - Minutę temu pewno określiliby Miriam jako „agenta mojej byłej żony”. - Zadzwoiła do mnie. Płakała, była niezwykle zdenerwowana. Z początku nawet jej nie poznałem. Wtem usłyszałem niewyraźny męski głos. Nakazywał jej powiedzieć mi, kim jest i co tam jest grane. Powiedziała, że w jej mieszkaniu jest mężczyzna, grozi, że ją skrzywdzi. Że... - Thad przełknął ślinę - ... ją potnie. Wtedy rozpoznałem jej głos, ale mężczyzna wrzasnął, że jeśli się nie przedstawi, odetnie jej pierdolony łeb. To jego słowa. „Rób, co ci mówię, albo odetnę ci pierdolony łeb”. Wtedy powiedziała, że to Miriam. Błagała mnie... - Znów przełknął ślinę. W gardle trzasnęło mu, tak

wyraźnie jakby przesyłał literę „ E” alfabetem Morse’a. – Błagała, żebym nie pozwolił złemu człowiekowi tego zrobić. Żeby nie pociął jej jeszcze raz.

Siedząca naprzeciw Thada Liza bladła coraz bardziej. „ Nie mdlej – prosił czy też modlił się Thad. Proszę, nie mdlej teraz” .

– Krzyczała. Potem połączenie się urwało. Chyba przeciął sznur albo wyrwał wtyczkę ze ściany. – Tylko że to było pieprzenie. Żadne „ chyba” . Wiedział na pewno. Sznur został przecięty, nie ma co gadać. Brzytwą. – Próbowałem się do niej dodzwonić, ale...

– Jej adres?

Głos Pangborna nadal był jasny, nadal miły dla ucha, nadal spokojny. Gdyby nie rozkazujący, zdecydowany ton, jaki w nim pobrzmiwał, można by pomyśleć, że gwarzy o głupstwach z dobrym przyjacielem. Miałem rację, że do niego zadzwoniłem, pomyślał Thad. Dzięki Bogu za ludzi, którzy wiedzą, co robią, albo przynajmniej wierzą, że wiedzą, co robią. Dzięki Bogu za ludzi, którzy zachowują się jak postaci z kart popularnych powieści. Gdybym miał tu do czynienia z bohaterem Saula Bellowa, chyba dostałbym kręćka.

Thad popatrzył do notesu Lizy na zapis pod nazwiskiem Miriam.

– Kochanie, to trójka czy ósemka?

– Ósemka – powiedziała dalekim głosem.

– Dobrze. Wracaj na fotel. Głowę połóż na kolanach.

– Panie Beaumont? Thad?

– Przepraszam. Moja żona jest bardzo poruszona. Źle wygląda.

– Nie dziwię się. Oboje jesteście bardzo poruszeni. To poruszająca sytuacja. Ale dajecie sobie znakomicie radę. Tylko tak dalej, Thad.

– Tak. – Uświadomił sobie ponuro, że jeśli Liza zemdleje, nie będzie mógł jej podnieść z podłogi, będzie musiał ciągnąć rozmowę z Pangbornem, aż ten otrzyma dość informacji, żeby móc działać. „ Proszę, nie mdlej” – pomyślał znów i wrócił spojrzeniem do notesu. – Mieszka przy 84th West Street, numer 109.

– Numer telefonu?

– Mówiłem ci – jej telefon...

– Mimo to jest mi potrzebny, Thad.

– Tak. Oczywiście, że jest ci potrzebny. – Choć nie miał bladego pojęcia po co. – Przepraszam. – Wyrecytował numer.

– Jak dawno był ten telefon?

„ Godziny temu” – pomyślał i spojrzął na zegar nad kominkiem. Najpierw przyszło mu do głowy, że wskazówki się zatrzymały. Przecież musiały się zatrzymać.

- Thad?

- Jestem, jestem - powiedział spokojnym głosem, który wydawał się obcy. - W przybliżeniu sześć minut temu. Wtedy połączenie się skończyło: Zostało zerwane.

- Dobra, niewiele czasu straciliśmy. Gdybyś zadzwonił do NYPD, przytrzymałoby cię trzy razy tyle. Oddzwonię jak najszybciej, Thad.

- W porządku. Kiedy będziesz rozmawiał z policją, powiedz, że jej były nie powinien niczego się dowiedzieć. Jeśli ten gość... wiesz, zrobił coś Miriam, Rick jest następnym na liście. - Jesteś zupełnie pewny, że to ten sam gość, który wykończył Homera i Clawsona?

- Na sto dwa. - I słowa wypadły mu z ust, i popłynęły przewodem, zanim nabrał pewności, że chce je wypowiedzieć: - Myślę, że wiem, kim on jest.

Po sekundowym wahaniu Pangborn rzekł:

- Dobra. Bądź pod telefonem. Chcę o tym z tobą pogadać, kiedy znajdę czas. -

Wyłączył się.

Thad spojrział na Lizę. Osunęła się na bok w fotelu. Oczy miała wielkie, szkliste. Wstał, podszedł szybko, wyprostował ją, poklepał lekko po policzkach.

- Który to? - spytała zduszonym głosem z szarego świata niecałkowitej świadomości. - Stark czy Alexis Maszyna? Który to, Thad?

Odpowiedział po bardzo długiej chwili.

- Nie sądzę, żeby to miało jakieś znaczenie. Zrobię herbaty, Lizo.

Był pewien, że zaczną o tym rozmawiać. Jakże nie? Ale milczeli. Długi czas siedzieli, patrzyli na siebie sponad kubków i czekali, aż Alan oddzwoni. I gdy nieskończone minuty kapały powoli, Thad doszedł do wniosku, że tak być powinno. Dopóki Alan nie zadzwoni, nie powie, że Miriam umarła lub żyje - nie powinni wszczynać rozmowy.

Przypuśćmy, pomyślał siorbiąc z kubka i obserwując Lizę, która uniosła obiema rękami swój kubek do ust, przypuśćmy, że pewnego wieczoru siedzielibyśmy tu, z książkami w rękach (postronny obserwator pomyślałby, że czytamy, i może nawet podczytywalibyśmy, ale tak naprawdę smakowalibyśmy ciszę jak jakieś szczególnie wyborne wino, jak tylko potrafią smakować ciszę rodzice bardzo małych dzieci, ponieważ kosztują jej tak mało), i przypuśćmy dalej, że meteorit runąłby przez dach, wylądował na podłodze bawialni dymiąc i płonąc. Czy któreś z nas poszłoby do kuchni, napełniło wiadro wodą, zlało meteorit, nim ogień przeskoczyłby na dywan, a potem siadło bez słowa do dalszej lektury? Nie -

zaczęlibyśmy o tym rozmawiać. Musielibyśmy o tym porozmawiać. Tak jak musimy porozmawiać na ten temat.

Może złączą rozmowę po telefonie Alana. Może nawet złączą rozmowę podczas telefonu – Liza będzie uważnie słuchała pytań Alana i odpowiedzi Thada. Tak, w ten sposób złączą się ta rozmowa. Ponieważ Alan był rodzajem katalizatora. Thadowi w jakiś niesamowity sposób wydało się, że to Alan wywołał całą tę sprawę, choć szeryf jedynie reagował na postępkę Starka.

Na razie siedzieli, czekali.

Korciło go, żeby znów spróbować połączyć się z Miriam, ale nie miał odwagi – zadzwonił Alan i trafił na zajętą linię. Thad znów zaczął obracać w głowie pomysł zainstalowania drugiego numeru. No cóż, pomyślał, obracanie w głowie jedno, posiadanie drugie.

Rozsądek i logika podpowiadały mu, że to niemożliwe, by Stark grasował po świecie zabijając ludzi jak jakaś niesamowita odmiana raka w człowieczej postaci. Jak powiedziałby ten prostak z Poniżyła się, by zwyciężyć Olivera Goldsmitha: „To abstrakcyjnie niemożliwe, Diggory”.

A jednak możliwe. Thad w to wierzył. Podobnie Liza. Zastanawiał się, czy Alan też uwierzy. Niby to niemożliwe. Po takim facecie należy oczekiwać, że pośle raczej po zręcznych młodzieńców w czystych białych kitlach. George Stark nie istniał. Nie istniał i Alexis Maszyna, wymysł na wymyśle wymysłem poganiany. Żaden z nich nigdy nie istniał. Podobnie jak George Eliot, Mark Twain, Lewis Carroll, Tucker Coe czy Edgar Box. Pseudonimy to tylko wyższa forma fikcyjnych postaci.

A jednak Thadowi ciężko było uwierzyć, że Alan Pangborn nie uwierzy w istnienie Starka, nawet jeśli z początku będzie się opierał. Thad sam też się opierał, ale nie umiał znaleźć innego wytłumaczenia. To, na które trafił, miało, jeśli można tak rzec, nieubłagane pozory prawdy.

– Czemu nie dzwoni? – zapytała niespokojnie Liza.

– Minęło dopiero pięć minut, dziecinko. – Raczej dziesięć.

Język świerzył go, żeby odpalić: to nie premiowa runda w teleturnieju, Alan nie dostanie dodatkowych punktów i cennej nagrody rzeczowej za telefon przed dziesiątą. Ale się powstrzymał.

Nie ma Starka, kołatało mu w głowie. Ale ta rozsądna myśl była dziwnie pozbawiona mocy, jakby wynikała nie z prawdziwej wiary, ale przyzwyczajenia. Reagował jak wytresowana papuga, powtarzająca: „Ładny chłopiec” albo „Polly chce herbatnika!” A

przecież to prawda! Czy ma uwierzyć, że Stark wstał z grobu jak bohater jakiegoś horroru? To dopiero byłaby sztuczka, przecież facet – lub niefacet – nigdy nie został pochowany, jego nagrobek wykonano z papier mâché i ustawiono w pustej cmentarnej kwaterze, tak nieprawdziwej jak całe jego istnienie...

„ W każdym razie to doprowadza mnie do ostatniego punktu... aspektu... cholera wie, jak to nazwać... Jaki pan nosi rozmiar buta, panie Beaumont?

” Thad siedział rozwalony w fotelu i choć zakrawało to na szaleń stwo, prawie przysypiał. Teraz wyprostował się tak nagle, że mało co nie wylał herbaty. Odciski stóp. Pangborn mówił coś o...

„ O jakich odciskach stóp mowa?

Nieistotne. Nie mamy nawet zdjęć. Myślę, że podsunięto nam pod nos prawie wszystko co ,trzeba... „

– Thad? Co jest? – spytała Liza.

Jakie odciski stóp? Gdzie? Oczywiście w Castle Rock, inaczej Alan nie wiedziałby o nich. Czy odkryto je na cmentarzu Homeland, tam gdzie neurasteniczna fotografka zrobiła zdjęcie, które tak rozbawiło Thada i Lizę?

– Niezbyt miły facet – zamruczał.

– Thad?!

Zadzwoił telefon i oboje rozlali herbatę.

Ręka Thada zanurkowała po słuchawkę... i zamarła, zakołysała się nad telefonem.

„ A co, jeśli to on?”

„ Nie skoń czyłem z tobą, Thad. Nie leć sobie ze mną w chuja, bo wiedz, że kiedy lecisz sobie ze mną w chuja, lecisz z najlepszym” .

Zmusił się do opuszczenia ręki, ujęcia słuchawki i podniesienia jej do ucha.

– Halo?

– Thad? – Głos Alana Pangborna. Nagłe Thad zwiotczał, jakby usunięto z jego ciała sztywne stalowe druciki, spinające wszystkie członki.

– Tak – powiedział. Słowo uleciało mu z ust jak syk, jak westchnienie. Wziął oddech. Czy z Miriam wszystko w porządku?

– Nie wiem. Podałem NYPD jej adres. Szybko się dowiemy, choć muszę cię ostrzec, że dziś wieczór tobie i twojej żonie kwadrans czy pół godziny mogą wydać się wiecznością.

- Owszem, mogą.

- Czy z nią wszystko w porządku? - dopytywała się Liza.

Thad zastąpił mikrofon słuchawki. Powiedział, że Pangborn jeszcze nie wie. Liza skinęła głową i zagłębiła się w fotelu. Nadal była zbyt blada, ale wydała się spokojniejsza. Panowała lepiej nad sobą. Przynajmniej wszczęto odpowiednie kroki. Odpowiedzialność nie ciążyła wyłącznie na Thadzie i na niej.

- Poprzez przedsiębiorstwo telekomunikacyjne znaleźli również numer pana Cowleya...

- Hej! Nie powinni...

- Thad, nie zrobią nic, dopóki nie dowiedzą się, co jest z tą Cowley. Opisałem im sytuację. Umysłowo niezrównoważony człowiek może atakować osobę lub osoby wymienione w artykule z „People”. Wyjaśniłem, co wiąże ciebie z Cowleyami. Mam nadzieję, że niczego nie pokręciłem. Znam się słabo na pisarzach, a jeszcze mniej na ich agentach. Ale z pewnością pojęli, że byłoby błędem ze strony eks - małżonka tej pani pognać do jej mieszkania, zanim oni tam się zjawia.

- Dziękuję ci. Dziękuję za wszystko, Alan.

- Thad, NYPD jest zbyt zajęty akcją, żeby teraz potrzebować dalszych wyjaśnień w tej sprawie, ale będzie ich potrzebował. Ja też. Kim według ciebie jest ten gość?

- To coś, o czym wolę nie opowiadać przez telefon. Przyjechałbym do ciebie, ale w tej chwili nie chcę zostawiać żony i dzieci. Chyba rozumiesz. Ty musisz tu przyjechać.

- Nie mogę - cierpliwie tłumaczył Alan. - Mam swoją robotę i...

- Twoja żona jest chora?

- Wygląda, że teraz wszystko z nią w porządku. Ale jeden z moich zastępców zachorował i muszę wziąć jego działkę. Standardowa procedura w niewielkim miasteczku. Właśnie zbierałem się do wyjścia. Zmierzam do tego, Thad, że wybrałeś sobie bardzo nieodpowiedni moment na sekrety. Mów.

Zastanowił się. Czuł dziwną pewność, że Pangborn kupi jego wytłumaczenie. Ale chyba nie przez telefon.

- Mógłbyś przyjechać tu jutro?

- Oczywiście, że musimy się jutro spotkać - Alan mówił spokojnie i równocześnie z wielkim naciskiem. - Ale tego, co wiesz, potrzeba mi dziś. To, że nowojorscy tajniacy zechcą wyjaśnień, jest dla mnie drugorzędne. Mam swoją robotę. W mieście wielu ludzi pragnie złapać za kołnierz mordercę Homera Gamache'a. Tak się składa, że jestem jednym z nich. Więc nie każ się prosić. Nie jest jeszcze tak późno, żebym nie mógł zadzwonić do prokuratora

okręgu Penobscot i poprosić go, by potrząsnął ciębie za kołnierz. Jesteś istotnym świadkiem w śledztwie o morderstwo, prowadzonym w okręgu Castle. Prokurator już wie o tym od policji stanowej. Alibi to na razie rzecz drugorzędna.

- Zrobiłbyś to? - Thad był oszołomiony i przejęty.

- Jeśli mnie zmusisz. Ale do tego chyba nie dojdzie.

Thad zebrał nieco myśli. Nadał im jakiś kierunek. Otóż w gruncie rzeczy to ani dla Pangborna, ani dla NYPD nie ma specjalnego znaczenia, czy facet, którego szukają, jest psychem uważającym się za Starka czy samym Starkiem... prawda? Chyba nie ma. I raczej go nie złapią, kimkolwiek by był.

- Jestem głęboko przekonany, że to psychicznie chory. Zgadzam się z moją żoną - wreszcie powiedział Alanowi. Napotkał wzrok Lizy, usiłując przekazać wiadomość. I musiało mu się to udać, ponieważ skinęła lekko głową. - To w jakiś wariacki sposób gra z resztą. Czy pamiętasz, jak wspominałeś o odciskach stóp?

- Tak.

- Zostały znalezione na cmentarzu Homeland?

Liza otworzyła szerzej oczy.

- Skąd wiesz? - Po raz pierwszy Alan zdawał się wytrącony z równowagi.

- Przeczytałeś już artykuł? Ten z „People”?

- Tak.

- Na cmentarzu Homeland ta kobieta ustawiła lipny nagrobek. Na cmentarzu Homeland pochowano George'a Starka.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza. - O, cholera - padło po chwili.

- Kojarzysz?

- Chyba. Jeśli ten facet uważa się za Starka i jest szalony, pomyśl, żeby zacząć od grobu, gra z resztą. Czy ta fotografka też mieszka w Nowym Jorku?

Thad wzdrygnął się.

- Tak.

- Więc jej też może grozić niebezpieczeństwo?

- Tak, mnie... no, mnie wcale nie przyszło to do głowy, ale może tak być.

- Nazwisko? Adres?

- Nie znam jej adresu. - Dała mu służbową wizytówkę, pewnie licząc na współpracę nad książką, ale wyrzucił ją. Cholera! Mógł podać Alanowi tylko nazwisko. - Phyllis Myers.

- A gość, który pisał tekst?

- Mike Donaldson.

- Też nowojorczyk?

Thad nagle uświadomił sobie, że nie wie, gdzie mieszka ta dwójka, nie jest tego pewien, i zaczął się nieco wycofywać.

- No, chyba po prostu założyłem, że...

- To całkiem sensowne założenie. Jeśli biura czasopisma mieszczą się w Nowym Jorku, pracownicy powinni mieszkać blisko.

- Może, ale jeśli któreś z nich albo oboje są wolnymi strzelcami...

- Wróćmy do fotografii. Cmentarz nie jest wymieniony z nazwy. Ani w podpisie pod zdjęciem, ani w tekście. Jestem pewien. Powinienem rozpoznać tło, ale skupiłem się na tym, co było z przodu.

- Tak, nie podano, że to Homeland - potwierdził Thad.

- Burmistrz Dean Keeton na pewno uparł się przy zachowaniu anonimowości cmentarza - musiał postawić to jako niezłomny warunek. Dean jest bardzo ostrożnym gościem. Prawdę mówiąc, to męczydupa. Wyobrażam sobie, że dał pozwolenie na robienie zdjęć, ale stanąłby okoniem, gdyby miano ujawnić nazwę, bałby się aktu wandalizmu... ze strony ludzi szukających tego nagrobka i różnych takich.

Thad pokiwał głową. To miało sens.

- Więc twój psych albo cię zna, albo pochodzi stąd - kontynuował Alan.

Uprzednio Thad poczynił założenie, którego obecnie wstydził się całym sercem. Założył, że szeryf małego miasteczka z Maine, gdzie było więcej drzew niż ludzi, musi być palantem. Ale to nie był żaden palant; ładował światowej sławy czempionowi powieściopisarstwa, Thaddeusowi Beaumontowi, w każdej rundzie.

- Musimy to założyć, przynajmniej na razie, ponieważ wygląda na to, że dysponuje zakulisowymi informacjami.

- Więc ślady, o których wspominałeś, są z Homeland?

- Pewnie, że z Homeland - potwierdził Pangborn zamyślonym głosem. - Co ukrywasz, Thad?

- O co ci chodzi? - spytał ostrożnie.

- Nie bawmy się w ciuciubabkę, dobra? Ja muszę zadzwonić do Nowego Jorku i podać te dwa nowe nazwiska, a ty musisz pogrzebać w pamięci i sprawdzić, czy nie masz tam innych nazwisk, o których powinienem wiedzieć. Wydawców... redaktorów... nie wiem. Mówisz mi, że gość, którego chcemy dopaść, uważa się za George'a Starka. W sobotni wieczór snuliśmy na ten temat teoretyczne rozważania, bujaliśmy w obłokach, a dziś wieczór podajesz mi to jako niezbity fakt. I na poparcie dobijasz mnie tymi odciskami stóp. Albo

opierając się na faktach, które obaj znamy, wspiałeś się na niedosiężne dla mnie szczyty dedukcji, albo wiesz coś, czego ja nie wiem. Naturalnie druga możliwość jest mi milsza. Więc kawa na ławę.

Ale co miał wyłożyć? Zaćmienia umysłu zapowiadane ćwierkotem tysięcy wróbli? Zdanie, które mógł nabazgrać, zanim Alan Pangborn powiedział mu, że taki sam napis znaleziono u Fredericka Clawsona? Kolejną notatkę, zrobioną na kartce, którą podarł na kawałki i wrzucił do zsypu w budynku ANGIELSKI – MATEMATYKA? Sny, w których straszliwy niewidoczny mężczyzna oprowadza go po domu w Castle Rock, a wszystko, czego Thad dotyka, z własną żoną włącznie, rozpada się? To fakty poznane sercem, wymykające się umysłowi. Żadne dowody. Odciski palców i zawartość śliny sugerowały coś bardzo dziwnego – a jakże! – ale coś aż tak dziwnego???

Tak, to wątpliwe dowody.

– Alan – rzekł powoli – roześmiałyś się. Nie... cofam... wiem już, że stać cię na coś więcej. Nie śmiałyś się, ale trudno mi uwierzyć, że byłeś w stanie mi uwierzyć. Wywracałem to na dziesiątą stronę, ale wychodzi mi, że naprawdę nie potrafiłbyś mi uwierzyć.

Alan odezwał się natychmiast. Głosem nagłym, rozkazującym, nie znoszącym sprzeciwu.

– Przekonaj się.

Thad zawahał się, spojrział na Lizę. Wreszcie potrząsnął głową.

– Jutro. Kiedy będziemy mogli pogadać osobiście. Wtedy ci powiem. Dziś wieczór musi ci wystarczyć moje słowo, że to coś nie gra roli. Powiedziałem ci wszystko, co ma jakąś praktyczną wartość. Więcej praktycznych wartości nie będzie.

– Thad, kiedy mówiłem o zatrzymaniu cię jako istotnego świadka...

– Jeśli musisz to zrobić, rób. Nie będę miał do ciebie pretensji. Ale nie usłyszysz ode mnie nic więcej, dopóki się nie spotkamy, bez względu na to, co zdecydujesz.

Po stronie Pangborna zapadła cisza. Potem rozległo się westchnienie.

– Dobra.

– Podam ci luźny opis mężczyzny, którego powinna poszukiwać policja. Nie jestem pewien, czy do końca pokrywa się z prawdą, ale myślę, że jest bliski prawdy. W każdym razie na tyle bliski, że warto go podać nowojorskim glinom. Masz ołówek?

– Tak. Podaj mi ten opis.

Thad zamknął oczy, które z łaski Boga miał na twarzy, i otworzył to oko, które z łaski Boga miał w umyśle, oko uparcie patrzące nawet na rzeczy, których Thad nie chciał oglądać.

Kiedy po raz pierwszy spotykał swoich czytelników, niezmiennie byli rozczarowani. Usiłowali to ukryć, ale bezskutecznie. Nie miał do nich żalu, ponieważ rozumiał ich uczucie... przynajmniej trochę. Jeśli lubili owoce jego pracy (a niektórzy wyznawali, że nawet za nimi przepadają), z góry zakładali, że ich autor jest w prostej linii kuzynem Pana Boga. Zamiast Boga mieli przed sobą faceta wysokiego na sześć stóp jeden cal, okularnika z początkami łysiny, niezgrabiasza potrącającego meble. Mieli przed sobą faceta z włosami w nieładzie i nosem z dwiema dziurkami, dokładnie jak u nich.

Ale trzeciego oka, umieszczonego w umyśle, nie widzieli. To oko słało blask z jego mrocznej połowy, stamtąd gdzie panował wieczny cień... Było boskim narzędziem i Thad cieszył się, że ludzie nie mogą go zobaczyć. Gdyby mogli, wielu próbowałoby je skraść. Tak. Nawet gdyby należało w tym celu podłubać tępym nożem.

Patrząc w mrok przywołał znany tylko sobie obraz George'a Starka - prawdziwego George'a Starka, w niczym nie przypominającego modela pozującego do zdjęcia na okładkę. Szukał człowieka - cienia, który niezauważalnie urósł przez lata. Znalazł go i zaczął ukazywać Alanowi Pangbornowi.

- Jest sporego wzrostu - zaczął Thad. - W każdym razie wyższy ode mnie. Sześć stóp trzy cale, może sześć stóp cztery cale w butach. Blondyn. Włosy ma obcięte krótko i porządnie uczesane. Niebieskie oczy. Ma znakomity wzrok. Jakies pięć lat temu zaczął używać okularów dla dalekowidzów. Przeważnie do czytania i pisania.

Rzuca się w oczy nie z powodu wzrostu, ale rozmiarów. Nie jest tusty, ale wyjątkowo szeroki, Numer kołnierzyka: czterdzieści sześć, może siedem. Jest w moim wieku, ale nie traci tężyzny fizycznej jak ja i nie tyje. Jest bardzo silny. Wygląda jak Schwarzenegger, który trochę sobie odpuścił. Dźwiga ciężary. Może tak napiąć biceps, że rozsąd/i szew na rękawie koszuli, ale nie ma przerostu mięśni.

Urodził się w New Hampshire, ale po rozwodzie rodziców przeniósł się z matką do Oxfordu, Missisipi. Tam się wychował. Tam spędził większość życia. Kiedy był młodszy, miał tak wyraźny wiejski akcent jak rdzenny mieszkaniak Koziej Wólki, W college'u wielu się z niego śmiało - ale nie w twarz, takiemu facetowi nie śmieją się w twarz - i bardzo się starał, żeby nauczyć się poprawnej wymowy. Teraz ten akcent białej biedoty można usłyszeć u niego tylko wtedy, kiedy się wścieknie, a ludzie, którzy doprowadzają go do wściekłości, rzadko potem mają okazję złożyć zeznania. Łatwo traci panowanie nad sobą. Jest gwałtowny. Niebezpieczny. Mówiąc prawdę, to wariat, dający upust swojemu wariactwu.

Ostatnia rzecz: może jeździć toronado. Nie znam rocznika. W każdym razie to jeden ze starych egzemplarzy, które mają dużo koni pod maską. Czarny kolor. Tablice rejestracyjne

Missisipi, ale chyba zmienione. – Zrobił pauzę i dodał. – Ach, wóz ma nalepkę na tylnym zderzaku: GODNY SKURWYSYN.

Otworzył oczy.

Liza wpatrywała się w niego. Była blada jak płótno.

Po drugiej stronie nastąpiła długa pauza.

– Alan? Jesteś tam...?

– Sekundkę. Zapisuję. – Kolejna, krótsza pauza. – Dobra. Mam. Możesz mi to wszystko powiedzieć, ale nie kim gość jest, jakie ma z tobą powiązania i skąd go znasz?

– Nie wiem, czy mogę. Spróbuję. Jutro. Jego nazwisko i tak dziś nikomu nic nie da, bo używa innego.

– George Stark.

– No cóż, stać go na takie wariactwo, żeby nazwać się Alexis Maszyna, ale wątpię, by to zrobił. Myślę, że używa nazwiska Stark, taaa... – Spróbował mrugnąć do Lizy. Nie wierzył, żeby mrugnięcie czy cokolwiek innego mogło poprawić jej nastrój, ale spróbował. Zamrugał tylko obydwoma oczyma jak śpiący puchacz.

– Nie ma sposobu, żeby udało mi się wydobyć to od ciebie dziś?

– Nie, nie ma. Przykro mi, ale nie ma.

– W porządku. Odezwę się najszybciej, jak będę mógł. – I odłożył słuchawkę. Tak po prostu, żadnego „dziękuję”, żadnego „do widzenia”. Zastanowiwszy się Thad uznał, że właściwie nie zasłużył na „dziękuję”.

Odłożył słuchawkę, podszedł do żony. Wpatrywała się w niego jak , skamieniała. Ujął jej ręce – były bardzo zimne – i powiedział:

– Wszystko będzie w porządku;, Lizo, przysięgam ci.

– Powiesz mu jutro o transach? O ćwierkaniu? Że słyszałeś je jako dziecko i co oznaczało? O tym, co pisałeś?

– Powiem mu wszystko. Ile przekaże innym władzom... – Thad wzruszył ramionami – to zależy od niego.

– Tak wiele – odezwała się Bezsilnym głosem. Nie spuszczała z męża wzroku, jak zaczarowana. – Wiesz o nim tak wiele. Thad... skąd?

Mógł tylko klęknąć, trzymając w dłoniach jej zimne ręce. Skąd wie tak wiele? Raz po raz stawiano mu to pytanie. Wyrażano je innymi słowami – skąd ci to przyszło do głowy? jak potrafiłeś to tak wyrazić? jak udało ci się to zapamiętać? jak to dostrzegłeś? – ale zawsze znaczyło to jedno i to samo: skąd to wiesz?

Nie wiedział, skąd wie.

Po prostu wiedział.

- Tak wiele - powtórzyła głosem osoby pogrążonej w koszmarnym śnie.

Milczeli oboje. Oczekiwał, że bliźnięta wyczują niepokój rodziców", obudzą się i zaczną płakać, ale rozlegało się jedynie monotonne tykanie zegara. Poprawił pozycję, nie wypuszczając rąk Lizy. Miał nadzieję, że zdoła je ogrzać. Piętnaście minut później, gdy zadzwonił telefon, nadal były zimne.

Alan Pangborn mówił bezbarwnym, oznajmującym tonem. Rick Cowley jest bezpieczny w swoim mieszkaniu pod ochroną policji. Wkrótce należy się spodziewać, że uda się do swojej byłej żony, która na zawsze pozostanie jego byłą żoną; ponowny ślub, o którym od czasu do czasu mówili, nigdy nie nastąpi. Miriam nie żyje. Rick dokona formalnej identyfikacji w dzielnicowej kostnicy Manhattanu na First Avenue. Thad nie powinien dziś oczekiwać telefonu od Ricka i nie powinien sam próbować się z nim łączyć. Związek między Thadem a morderstwem Miriam Cowley zatajono przed Rickiem „aż do ustalenia”. Phyllis Myers została odnaleziona, również jest pod ochroną policji. Umieszczenie Michaela Donaldsona to twardszy orzech do zgryzienia, ale do północy spodziewają się go odszukać i wziąć pod ochronę.

- Jak ją zabito? - zapytał Thad, znając doskonale odpowiedź. Ale czasem zapytać trzeba. Bóg wie czemu.

- Poderżnięto jej gardło - odpowiedział Alan. Thad podejrzewał, że brutalność tych słów była zamierzona. Po chwili dorzucił: - Ciągłe jesteś pewien, że nie chcesz mi powiedzieć?

- Rano. Kiedy się zobaczymy.

- Dobra. Pomyślałem, że nie zaszkodzi spytać.

- Nie. Nie zaszkodzi.

- Policja nowojorska dysponuje listem goń czym rozesłanym za człowiekiem nazwiskiem George Stark, z opisem podanym przez ciebie.

- Dobrze. - I wierzył, że dobrze, choć równocześnie wiedział, że to bezcelowe. Prawie na pewno nie znajdą go, jeśli nie chce dać się znaleźć, a jeśli już ktoś go znajdzie - pożałuje.

- O dziewiątej - powiedział Pangborn. - Postaraj się być w domu, Thad.

- Możesz na to liczyć.

Liza wzięła środek uspokajający i wreszcie zasnęła. Thad zapadał w lekką, płytką drzemkę i budził się. Kwadrans po trzeciej wstał i poszedł do toalety. Kiedy sikał, wydało mu się, że słyszy wróble. Stęzał, słuchał. Strumyczek moczu urwał się natychmiast. Hałas ani nie wzrósł, ani się nie podniósł i po paru chwilach Thad uświadomił sobie, że to tylko świerszcze.

Wyjrzał przez okno i zobaczył wóz patrolowy policji stanowej, zaparkowany po drugiej stronie ulicy, mroczny, cichy. Pomyślałby, że i opuszczony, gdyby nie błyski zapalonego papierosa. Wyglądało na to, że on, Liza i bliźnięta również są pod ochroną policyjną.

„Lub policyjną strażą” – pomyślał i wrócił do łóżka.

Obecność policji, bez względu na to, co znaczyła, działała uspokajająco. Zasnął i obudził się o ósmej. Nie pamiętał żadnego złego snu. Ale oczywiście złe sny nadal istniały na jawie. Gdzieś tam.

Nadzieńie durniów

Gość z idiotycznym wąsikiem ciposmyrkiem był znacznie szybszy, niż się Stark spodziewał.

Czekał na Michaela Donaldsona za rogiem korytarza na ósmym piętrze, niedaleko drzwi do mieszkania. Wszystko byłoby dużo łatwiejsze, gdyby dało się dostać do środka, tak jak u tamtej suki, ale Stark spojrział tylko raz na zamki i wiedział, że tych, w odróżnieniu od tamtych, nie zakładał chłopak roztropek. Niemniej jednak wszystko powinno grać. Było późno i króliki w królikarni powinny głęboko spać, śniąc o koniczynie. Donaldson powinien być ma zwolnionych obrotach i pod dobrą datą. Kiedy się wraca do domu za kwadrans pierwsza w nocy, to nie z biblioteki publicznej.

Donaldson może i był pod dobrą datą, ale wcale nie na zwolnionych obrotach.

Przetrzęsał bezmyślnie klucze. Stark wynurzył się zza rogu i chlasnął brzytwą. Liczył, że oślepi faceta szybko i skutecznie, a następnie, nim tamten zdąży wrzasnąć, otworzy mu gardziołko i odetnie wloty kanalizacyjne, niszcząc przy tym struny głosowe.

Stark nie starał się być cicho. Chciał, żeby Donaldson go usłyszał, żeby odwrócił twarz i ułatwił sprawę.

Pierwsza reakcja zaatakowanego była zgodna z oczekiwaniami. Wtedy brzytwa śmignęła krótkim, mocnym łukiem. Ale Donaldson zdołał się trochę uchylić. Niewiele, ale wobec planów Starka za wiele. Brzytwa, miast dosięgnąć oczu, wylądowała na kości czoła. Zwitek skóry opadł na brwi jak luźny pasek tapety.

– POMOCY! – zabeczał Donaldson zduszonym głosem.

No, nie trafiło się gdzie trzeba. Kurwa!

Stark ruszył w przód, trzymając lekko uniesioną brzytwę blisko oczu, jak matador pozdrawiający byka przed pierwszą korridą. Dobra; nie za każdym razem musi iść jak w

podręczniku. Nie oślepił donosiciela, ale krew lała się z czoła kwaterkami i Donaldson widział wszystko przez kleistą czerwoną mgłę.

Stark chlasnął go po gardle, lecz drań cofnął szybko łeb, jak grzechotnik uciekający przez kijem, zadziwiając szybko, i Stark przyłapał się na tym, że wzbiera w nim niejaki podziw dla faceta – bez względu na to, czy faktycznie smyrał tym wąsikiem cipki, czy nie smyrał.

Ostrze minęło gardło zaledwie o ćwierć cala i Donaldson znów zawołał o pomoc. Króliki, które nigdy nie zasypiają głęboko w tym mieście, w tym robaczywym drogim Wielkim Jabłuszku, zaraz się pobudzą. Stark zmienił wektor i uderzył powtórnie, tym razem stając na palcach i wyrzucając ciało do przodu. Był to pełen wdzięku, baletowy gest i powinien załatwić sprawę. Ale Donaldson jakimś sposobem zasłonił gardło rozpostartą dłonią. Stark, zamiast zabić, zadał tylko serię długich, płytkich ran, które anatomopatolodzy policyjni nazwaliby obronnymi. Brzytwa przeszła u podstawy czterech palców. Na serdecznym Donaldson nosił gruby sygnety, pamiątkę maturalną, i ten palec ocalał. Ostrze przebiegło po sygnecie. Rozległo się wyraźne metaliczne BIIIINK! i na złotym stopie ukazała się ryska. – W pozostałe trzy palce brzytwa weszła głęboko, tak łatwo jak rozgrzany nóż wnika w kostkę masła. Kiedy ścięgnięta zostały przecięte, palce : skłoniły się jak zasypiające laleczki i tylko serdeczny sterczał prosto, jakby w pomieszeniu i grozie Donaldson zapomniał, którym palcem pokazuje się byle kutasowi, że jest kutasem.

Kiedy tym razem Donaldson otworzył usta i autentycznie zawył, Stark pojął, że cicho i bez zwracania uwagi nie zakończy czy interesu. Początkowo wszystko wskazywało na to, że tak się właśnie stanie. Nie musiał oszczędzać Donaldsona. Nie był mu potrzebny do żadnej rozmowy telefonicznej. Jednak z drugiej strony nie zamierzał wcale darować mu życia. Jak już zacząłeś mokrą robotę, jedziesz z nią, aż skończysz albo ciebie skończą. Stark parł dalej. Dotarli prawie do drzwi następnego mieszkania. Niedbałym ruchem strzepnął brzytwę, oczyszczając ostrze. Delikatny rzucik ozdobił kremową ścianę.

W głębi korytarza otworzyły się drzwi i zaspany facet w niebieskiej koszuli od piżamy, z rozczochranymi włosami, wysadził głowę.

– Co się tu wyprawia?! – spytał gburowato. A niech sobie na korytarzu rozrabia nawet papież! Koniec zabawy!

– Morderstwo – oznajmił pogodnym głosem Stark i na jeden moment przesunął wzrok z pokrwawionego, wyjącego człowieka, którego miał przed sobą, na człowieka w drzwiach. Później ten drugi człowiek zeznał policji, że oczy napastnika były niebieskie. Błękitne. I całkowicie szalone. – Chcesz spróbować, jak smakuje?

Drzwi zatrzasnęły się tak szybko, jakby ich nigdy nie otwierano.

Choć Stark zdjął z niego wzrok tylko na chwilę, Donaldson dojrzał w tym dla siebie szansę. Uchwycił się jej. Spanikowany ranny mały drań był szybki. Podziw Starka dla szybkości i woli przetrwania frajera wzrósł. Niemal przesłonił fakt, że frajer sprawiał swoją osobą kurewski kłopot.

Gdyby skoczył w przód, wdał się w zapasy ze Starkiem, kłopot przerodziłby się w niebezpieczeństwo. Ale Donaldson, zamiast skoczyć w przód, zawrócił do ucieczki.

Reakcja całkowicie usprawiedliwiona. Ale błędna.

Stark runął za nim. Wielkie buciska szurnęły po wykładzinie. Chlasnął faceta w kark, pewien, że tym sposobem skoń czy wreszcie, co zaczął.

Ale w ostatnim momencie Donaldson szarpnął głowę w przód, po czym jakoś wciągnął ją, jak żółw chowający się do skorupy. Stark zaczął podejrzewać go o telepatię. Ostatnie cięcie tylko rozorało skórę. Kark ochroniła zaporą kości czaszki. Polała się krew, ale do końca było jeszcze daleko.

Stawało się to irytujące, doprowadzało do wściekłości... i graniczyło z absurdem.

Donaldson zasuwał korytarzem. Pomykał od ściany do ściany, czasem nawet odbijał się jak kula w elektrycznym bilardzie, tłukąca w te oświetlone grzybki dające graczowi dziesięć tysięcy punktów, darmową grę czy inne gówno. Wrzeszczał zasuważąc korytarzem. Rozlewał krew po wykładzinie zasuważąc korytarzem. Od czasu do czasu znaczył ścianę krwawymi odciskami dłoni zasuważąc korytarzem. Ale nie chciał zdechnąć zasuważąc korytarzem.

Nie otwarły się już żadne drzwi, ale Stark wiedział, że w dobrych kilku mieszkaniach dobrych kilka palców wyciska (lub już wycisnęło) cyfry 9 - 1 - 1 na dobrych kilku aparatach.

Donaldson potykając się zasuwał w kierunku wind.

Nie zły ani przestraszony, tylko doprowadzony do granicy wytrzymałości nerwowej, Stark podążył za nim. Nagłe zagrzmiał:

- No, czemu się wreszcie nie uspokoisz?! Bądźże poważny!

Wrzask Donaldsona przeszedł w skrzek. Spróbował się obejrzeć. Nogi mu się zaplątały i padł jak długi dziesięć stóp od niewielkiego holu z windami. Nawet najzwinniejsi faceci - odkrył już Stark - zapodziejają radosne myśli, kiedy ich dobrze pochlastasz.

Donaldson uniósł się na kolana. Gdy nogi go zdradziły, planował czołgać się do wind. Odwrócił zakrwawioną nietwarz, żeby sprawdzić pozycję napastnika, i Stark stopą obutą w brązowy mokasyn dał kopa w zalany krwią garbek nosa. Dał cholernej zarazie kopa najmocniejszego z mocnych. Opuścił przy tym ręce, odchylił lekko ciało dla utrzymania

równowagi. Stopa trafiła, ale kopnięcie było tak silne, że frunęła hen ponad łeb Starka. Niewielu kibiców futbolu amerykańskiego widziało równie dobry, równie mocny kop.

Głowa Donaldsona poleciała w tył, palnęła o ścianę tak mocno, że wyłobiła w gipsie dziurę wielkości miski, i odbiła z powrotem.

– W końcu wyłączyłem ci akumulatory, co? – zamruczał Stark. Usłyszał za sobą szmer otwieranych drzwi. Odwrócił się i zobaczył kobietę o zmierzwionych czarnych włosach. Szeroko otworzyła ciemne oczy. Jej mieszkanie mieściło się niemal na końcu korytarza. – ŁADUJ SIĘ Z POWROTEM, SUKO! – wydarł się. Drzwi zatrzasnęły się jak na sprężynach.

Pochylił się, złapał Donaldsona za sklezione, obrzydliwe włosy, odchylił mu w tył głowę, poderżnął gardło. Donaldson chyba już nie żył, zanim palnął w ścianę, niemal na pewno nie żył po tym, jak palnął, ale pewności nigdy za dużo. A poza tym: skoro zacząłeś ciąć, koń czysz ciąć.

Szybko się cofnął, ale Donaldson nie chlusnął krwią tak jak tamta. Pompa już mu wysiadła albo ciągnęła resztkami. Stark szybkim krokiem skierował się do wind. Złożył brzytwę, schował do kieszeni.

Dzwonek oznajmił przyjazd kabiny.

Może to lokator, W wielkim mieście pierwsza to nie za późna pora na powrót do domu, nawet w poniedziałkową noc. Mimo to Stark udał się ku wielkiej doniczkowej roślinie, która wraz z bezpłciową reprodukcją zdobiła kąt małego holu. Przywarował. PING! PING! PING! Wszystkie radary Starka głośno sygnalizowały niebezpieczeństwo. Może ktoś wraca z szaleństwa posobotniej nocy lub pijackiego zwieńczenia służbowej kolacji, ale Stark myślał swoje. Myślał, że to policja. Prawdę mówiąc, wiedział, że to policja.

Obsada wozu patrolowego, która szczęśliwym zbiegiem okoliczności znalazła się w pobliżu, kiedy jeden z lokatorów tego skrzydła zgłosił morderstwo popełnione na korytarzu? Możliwe, lecz wątpliwe. Nasuwało się raczej, że Beaumont zadął w trąbę, siostrzyczka została odnaleziona i oto zjawiała się policyjna obstawa Donaldsona. Że niby lepiej późno niż wcale.

Prześliznął się pod ścianą. Skrwawiona wiatrówka, którą miał na sobie, zaszeleściła głucho. Nie ukrył się. Zanurzył, jak okręt podwodny schodzący na peryskopową. Schronienie, jakie zapewniała roślina, było minimalne. Jeśli się rozejrzą, dojrzą Starka. ^{Ten} Jednakże stawiał konia z rzędem, że całą ich uwagę przykuje eksponat A, spoczywający w połowie korytarza. Przynajmniej na kilka sekund, a to już wystarczy.

Szerokie, krzyżujące się liście rzucały mu na twarz zębate cienie. Za palmą czyhał błękitnooki tygrys.

Drzwi windy rozsunęły się. Stark usłyszał przytłumiony okrzyk: niech mnie coś – tam czy sroś – tam. Wybiegło dwóch mundurowych. Potem wyszedł asfalt w nabijanych ćwiekami dżinsach i wielkich, rozkosznych, rozczłapanych trampkach na rzepy. Miał na sobie koszulkę z odprutymi rękawami. Na koszulce napis: WŁASNOŚĆ N.Y. YANKEES. Nie dość kamuflażu. Poza tym miał ciemne, szczelnie przylegające do twarzy okulary sutenera i jeśli nie był tajniakiem, to Stark był Królem Jerzym Pierdolonej Dżungli. Kiedy chłopcy wkładali cywilne ciuchy, zawsze przeginali... i potem czuli się głupio. Wyglądało tak, jakby wiedzieli, że przeginają, ale nie mogli nic poradzić. A więc to była – przynajmniej w założeniu – ochrona Donaldsona. W zwykłym wozie patrolowym nie siedzą tajniacy. To już byłby zbyt szczęśliwy zbieg okoliczności. Facet zjawił się, żeby najpierw odpytać, a potem ululać Donaldsona.

Przykro mi, ferajna, pomyślał Stark. Coś mi się zdaje, że on już nigdy nie pójdzie lulu.

Wyprostował się i obszedł donicę z rośliną. Liść nie zaszeleścił. Buty nie zaszurały na wykładzinie. Minął tajniaka w odległości niecałych trzech stóp. Tamten pochylił się wyjmując z kabury na łydce trzydziestkędwójkę. Stark, gdyby chciał, mógłby dać mu kopa w dupę. Kopa jak marzenie.

Wśliznął się do windy na ułamek sekundy przed zasunięciem drzwi. Jeden z mundurowych uchwycił kątem oka ruch – może drzwi, może samego Starka, co naprawdę było bez znaczenia – i poderwał głowę znad trupa.

– Hej...

Stark podniósł rękę i dostojnie pokiwał gliniarzowi. Pa, pa. Drzwi zatrzasnęły się za żywym obrazem w korytarzu.

Parterowy westybul był bezludny – jeśli nie liczyć nieprzytomnego portiera leżącego za biurkiem. Stark wyszedł na zewnątrz, minął róg budynku, wsiadł do ukradzionego samochodu i odjechał.

Phyllis Myers mieszkała w jednym z nowych budynków czynszowych na West Side. Jej ochrona policyjna (wraz z tajniakiem ubranym w spodnie do joggingu firmy Nike, bluzę N.Y. ISLANDERS z odprutymi rękawami i ciemne, szczelnie przylegające do twarzy okulary sutenera) zjawiła się o wpół do jedenastej wieczorem szóstego czerwca tylko po to, żeby usłyszeć narzekania z powodu zerwanej randki. Phyllis z początku była w kwaśnym nastroju, ale znacznie się rozpogodziła usłyszawszy, że ktoś podający się za George'a Starka może

chcieć ją zamordować. Odpowiedziała na pytania tajniaka dotyczące wywiadu z Thadem Beaumontem – co określała jako sesję fotograficzną z Thadem Beaumontem – wkładając równocześnie filmy do trzech aparatów i grzebiąc wśród dwóch tuzinów obiektywów. Kiedy tajniak spytał, co robi, mrugnęła i odrzekła:

– Wierzę w skautowskie hasło: kto wie, może się coś wydarzy.

Po rozmowie, już na korytarzu, jeden z mundurowych spytał tajniaka:

– Ona tak poważnie?

– Pewnie. Kłopot z nią polega na tym, że poza pracą niczego nie traktuje poważnie.

Dla niej cały świat to obiekt czekający na fotografa. Macie tu głupią sukę, która naprawdę wierzy, że zawsze znajdzie się po bezpiecznej stronie obiektywu.

Było wpół do czwartej nad ranem siódmego czerwca. Tajniak dawno sobie poszedł. Jakieś dwie godziny temu dwaj funkcjonariusze wyznaczeni do ochrony Phyllis Myers otrzymali wiadomość o zamordowaniu Donaldsona. Przekazano im ją przez nadajniki, które mieli przy pasach. Poradzono, by zachowali wyjątkową ostrożność i czujność, gdyż psych, który wodzi za nos policję, udowodnił, że jest zarówno wyjątkowo krwiożerczy, jak i wyjątkowo sprytny.

– Ostrożność mam na drugie – powiedział Gliniarz nr I.

– Co za zbieg okoliczności – powiedział Gliniarz nr II. – Ja mam Wyjątkowa.

Byli partnerami ponad rok i szło im razem świetnie. Wyszczерzyli do siebie zęby. Bo czemu nie? Obaj byli uzbrojonymi, umundurowanymi członkami Najlepszej Straży robaczywego drogiego Wielkiego Jabłuszka. Stali w dobrze oświetlonym, klimatyzowanym korytarzu dwudziestego piątego piętra świeżutkiego budynku czynszowego – a może to było condo, kto go, kurwa, wie. W czasach kiedy funkcjonariusze Ostrożność i Wyjątkowa byli chłopcami, gość z zahamowaniem mowy tak mówił na to, co wsadzał na ptaka: condo. Nikt się do nich nie podkradnie, nie zeskoczy z sufitu, nie zasypie deszczem pocisków z magicznego uzi, który nigdy się nie zacina i nigdy nie przestaje strzelać. Oni występują w prawdziwym życiu, nie w powieści o posterunku przy 87th Street czy w filmie z Rambo, a prawdziwe życie dziś w nocy polega na realizacji specjalnego zadanka, o cholere i trochę miłszego niż jeżdżenie wozem patrolowym i przerywanie bójek w barach, dopóki bary nie zostaną pozamykane, a potem dalszym przerywaniu bójek, aż do świtu dnia, na zakazanych uliczkach prowadzących do domów, w których pijani mężowie i żony porozumieli się, że koniec z porozumieniem. Prawdziwe życie Ostrożności i Wyjątkowej podczas gorących

Pełna nazwa condominium – spółdzielcze mieszkanie własnościowe.

miejskich nocy zawsze powinno polegać na przebywaniu w klimatyzowanych korytarzach. Takie było ich głębokie przekonanie.

Doszli do tego punktu swych przemyśleń , gdy otworzyły się drzwi windy i ranny ślepiec utykając wytoczył się z kabiny.

Był wysoki i bardzo szeroki w barach. Na oko miał koło czterdziestki. Nosił wymiętą wiatrówkę i spodnie, które do niej nie pasowały, ale przynajmniej uzupełniały strój. W każdym razie mniej więcej uzupełniały. Pierwszy gliniarz, Ostrożność, zdążył pomyśleć, że przewodnik wybierający ślepcowi ubranie miał znakomity gust. Ślepiec nosił również wielkie czarne okulary, które przekrzywiły mu się na nosie, gdyż brakowało jednego z zauszników. W najmniejszym stopniu nie przypominały ciasno przylegających do twarzy okularów sutenera. Przypominały okulary przeciwsłoneczne, jakie Claude Rams nosił w Niewidzialnym człowieku.

Ślepiec wyciągnął przed siebie ręce. Lewa była pusta i wymachiwał nią bezradnie. W prawej ścisnął brudną białą laskę z gumową rączką. Obie dłonie pokrywała zaschnięta krew. Wiatrówkę i koszulę też pokrywały plamy zaschniętej krwi. Były rdzawego koloru. Gdyby dwaj gliniarze wyznaczeni do ochrony Phyllis Myers byli rzeczywiście Wyjątkowo Ostrożni, zdaliby sobie sprawę, że coś tu nie gra. Ślepiec wrzeszczał o czymś, co wedle wszelkiego prawdopodobieństwa miało miejsce niedawno, i z tego jak wyglądał, coś mu się musiało stać, coś szczególnie niesympatycznego, ale krew na skórze i ubraniu zdążyła zbrązowieć. To sugerowało, że plamy pojawiły się jakiś czas temu. Funkcjonariuszy głęboko przywiązanych do zasady Wyjątkowej Ostrożności ten fakt winien uderzyć jako nieco dziwny. W ich głowach winny nawet załopotać czerwone chorągiewki.

A może nie? Wydarzenia następowały zbyt szybko, a kiedy wydarzenia następują zbyt szybko, przestaje się liczyć, czy jesteś wyjątkowo ostrożny czy wyjątkowo nieuważny, po prostu płyniesz z prądem.

Dopiero co stali przed mieszkaniem tej Myers, szczęśliwi jak chłopcy w dzień , kiedy nie ma szkoły, bo siadł kocioł co. ; w chwilę potem mieli przed sobą tego oto ślepcę, wymachującego laską. Nie było czasu na myślenie, co dopiero dedukcję.

- Policjaaa! - rozdarł się kaleka, zanim jeszcze drzwi windy dobrze się otwały. - Portier mówił, że na dwudziestym piątym jest policja! Policjaaa! Jesteście tu?!

Zataczając się szedł korytarzem; laska przelatowała z boku na bok i TRZASK! uderzyła w ścianę po lewej. WIUUM! w drugą stronę i TRZASK! w ścianę po prawej. Jeśli ktoś na tym cholernym piętrze jeszcze spał, zaraz się obudzi.

Wyjątkowa i Ostrożność ruszyli nie spojrzawszy nawet na siebie.

- Policjaaa! Po...

- Sir! - warknął Ostrożność. - Proszę przestać! Zaraz spadnie pan na...

Ślepiec gwałtownie odwrócił głowę w kierunku, skąd usłyszał głos Wyjątkowej, ale się nie zatrzymał. Runął w przód, wymachując łaską i pustą ręką. Wyglądał trochę jak Leonard Bernstein, który po niuchnięciu paru działek wyśmienitej kokainy próbuje dyrygować Nowojorską Orkiestrą Filharmoniczną.

- Policjaaa! Zabili mi psa! Zabili moją Peretkę! Policjaaa!!!

- Sir...

Ostrożność wyciągnął rękę do słaniającego się ślepca. Słaniający się ślepiec wsadził rękę do lewej kieszeni wiatrówki i wyjął z niej nie dwa bilety na galowy bal ślepców, ale rewolwer kalibru 45. Wycelował w Ostrożność i dwukrotnie pociągnął za spust. Rozsnuło się wiele niebieskiego dymu. W zamkniętym korytarzu odgłos strzałów był ogłuszający i płaski. Ostrożność dostał z prawie zerowej odległości. Padł. Klatka piersiowa zapadła mu się jak przydepnięty koszyk na truskawki. Spalona bluza mundurowa dymiła.

Wyjątkowa wlepił oczy w ślepca, który wycelował w niego czterdziestkępiątkę.

- Jezu, proszę, nie - powiedział bardzo cicho Wyjątkowa. Jakby dostał cios w splot słoneczny. Ślepiec znów wystrzelił dwukrotnie. Znów rozsnuł się niebieski dym. Strzelał bardzo dobrze jak na ślepca. Wyjątkowa poleciał do tyłu, oddalił się od niebieskiej chmury, uderzył łopatkami o wykładzinę korytarza. Wstrząsnął nim gwałtowny spazm. Znieruchomiał.

W oddalonym o pięćset mil Ludlow Thad Beaumont niespokojnie przewrócił się na bok.

- Niebieski dym - wymamrotał. - Niebieski dym.

Za oknem sypialni dziewięć wróbli usiadło na drucie telefonicznym. Potem sześć. Siedziały milczące i niewidzialne nad ludźmi tkwiącymi w wozie policji stanowej.

- Już tego nie potrzebuję - powiedział we śnie Thad. Jedną ręką wykonał niezdarny ruch, jakby zdejmował coś z twarzy, drugą uczynił gest odrzucania.

- Thad? - zapytała Liza podnosząc się na łożku. - Thad, czy nic ci nie jest?

Thad powiedział coś niezrozumiałego.

Liza popatrzyła na swoje ramiona. Pokryła je gęsia skórka.

- Thad? Czy to znów ptaki? Czy słyszysz te ptaki?

Thad milczał. Za oknem wróbłe uniosły się w powietrze i uleciały w mrok, choć o tej

porze nigdy nie latały.

Ani Liza, ani policjanci nie zauważyli ptaków.

Stark odrzucił na bok okulary i laskę. W korytarzu unosił się gryzący zapach kordytu. Wystrzelił cztery naboje colta hi – point, przerobione domowym sposobem na dum – dum. Dwa pociski przeszły gliniarzy i wydrążyły dziury wielkości talerzy w ścianie korytarza. Stark podszedł do drzwi Phyllis Myers. Był gotów wywabić ją na zewnątrz, ale stała tuż przy drzwiach. Słyszac ją już wiedział, że łatwo upora się z kolejną ofiarą.

– Co się dzieje?! – darła się. – Co się stało?!

– Mamy go, pani Myers! – radośnie oznajmił Stark. – Jak pani chce zrobić zdjęcie, to piorunem, i tylko proszę pamiętać, że wcale nie pozwoliłem pani fotografować!

Otworzyła drzwi nie zdejmując łań cucha. Żaden problem. Podsunęła piwne oko do szpary. Przestrzelił je.

Tu nie dało się zamknąć oczu damie – raczej tego jednego, które jeszcze jej zostało więc odwrócił się i ruszył w stronę wind. Nie zwlekał, ale i nie biegł. Jedne drzwi otwały się – wyglądało, że dzisiejszej nocy wszyscy otwierali przed nim drzwi. Stark podniósł broń i wycelował w króliczy pysk, wytrzeszczone oczy. Drzwi natychmiast się zatrzasnęły. .

Nacisnął guzik windy. Drzwi kabiny, którą wjechał po ogłuszeniu drugiego tej nocy portiera (za pomocą laski ukradzionej ślepcowi na 60th Street), rozsunęły się od razu, zgodnie z oczekiwaniem – o tej porze nie było specjalnie wielkiego zapotrzebowania na windy. Cisnął rewolwer za siebie. Stuknął o wykładzinę.

– To przynajmniej poszło jak należy – uznał, wsiadł do windy i zjechał do westybulu.

Słońce świeciło już w okna bawialni Ricka Cowleya, kiedy zadzwonił telefon. Rick liczył sobie pięćdziesiąt lat. Miał przekrwione oczy, porytą zmarszczkami twarz i mocno w czubie. Podniósł słuchawkę roztrzęsioną ręką. Ledwo się orientował, gdzie jest, i zmęczona, obolała głowa upierała się, że to wszystko sen. Czyżby niespełna trzy godziny temu był w kostnicy dzielnicowej przy First Avenue, dokonując identyfikacji okaleczonych zwłok swojej byłej żony, niecałą przecznicę od sztywnej francuskiej restauracyjki, – dokąd zapraszali tylko tych klientów, z którymi utrzymywali przyjacielskie stosunki? Czyżby za drzwiami

mieszkania stała policja, ponieważ facet, który zabił Mir, może chcieć zabić i jego? Czy to może być prawda? Oczywiście, że nie. To sen... i może to wcale nie dzwonił telefon, tylko budzik. Z zasady nienawidził tego nakręcanego drań stwa... nieraz cisnął nim przez pokój. Ale tego poranka był gotów je pocałować. I to jak, do diabła! Z języczkiem!!

Ale nie obudził się. Zamiast tego powiedział do słuchawki:

- Halo?

- Mówi facet, który podciął twojej kobiecie gardło - usłyszał.

Rick nagle otrząsnął się całkowicie. Wszelkie nadzieje, że to wszystko jest snem, przysły. Taki głos powinno się słyszeć tylko w snach... ale słyszy się go tylko na jawie.

- Kim jesteś? - usłyszał własne pytanie, zadane bezsilnym głosem.

- Spytaj o to Thada Beaumonta - powiedział facet. - Wie wszystko co trzeba. Powiedz mu, że jesteś już martwy. I dodaj, że jeszcze nie skoń czyłem robić nadzienia durniów.

Rick usłyszał metaliczny trzask, chwilową ciszę, a następnie pusty szum zerwanego połączenia.

Opuścił słuchawkę na kolana, popatrzył na nią i nagle zalał się łzami.

O dziewiątej rano zadzwonił do biura i powiedział Friedzie, że mogą z Johnem iść do domu - do końca tygodnia mają labę. Frieda chciała wiedzieć dlaczego i Rick ku własnemu zdumieniu mało nie skłamał, jakby został przyskrzyniony za jakieś niemile i poważne przestępstwo - powiedzmy, napastowanie nieletniego - i nie potrafił spojrzeć prawdzie w oczy, zanim szok nieco ustąpi.

- Miriam nie żyje - wyjaśnił Friedzie. - Dziś w nocy zabito ją we własnym mieszkaniu.

Zszokowana Frieda zachłysnęła się.

- Chryste Panie, Rick! Nie żartuj sobie w takich sprawach! Nie wywołuj wilka z lasu!

- To prawda, Friedo - powiedział i poczuł, że znów duszą go łzy. I, te łzy - wylane kostnicy, wylane w samochodzie podczas powrotnej drogi do domu, wylane po telefonie tego wariata i te, których starał się teraz nie wylać - to dopiero początek. Na myśl o tych wszystkich przyszłych łzach ogarnęło go głębokie znużenie. Miriam była suką, ale na swój sposób słodką suką i kochał ją. Rick zamknął oczy. Kiedy je otworzył, ujrzał stojącego za oknem mężczyznę, choć okno było na wysokości trzynastego piętra. Wzdrygnął się, ale zaraz dostrzegł kombinezon. Kombinezon pomywacza okien. Pomywacz stojąc na opuszczonej platformie, pomachał do Ricka. Ten podniósł dłoń, usiłując oddać pozdrowienie. Ręka

zdawała się ważyć w przybliżeniu jakieś osiemset funtów i spadła mu na udo prawie natychmiast.

Frieda powtarzała, żeby nie żartował, i Rick poczuł się znużony jak nigdy. Zrozumiał, że już wylane łzy to dopiero początek.

– Zaczekaj chwilkę, Friedo – powiedział i odłożył słuchawkę. Podszedł do okna, aby zsunąć zasłony. Wypłakiwanie się w słuchawkę było wystarczająco okropne; nie musiał dodatkowo wystawiać się na pokaz cholernemu pomywaczowi.

Gdy dotarł do okna, mężczyzna na opuszczanej platformie sięgnął do kieszeni. Rick poczuł ukłucie niepokojem. „Powiedz mu, że jesteś już martwy”.

(Jezu...)

Pomywacz okien wyjął małą tabliczkę. Była żółta, miała czarny napis: MIŁEGO DNIA! Po obu jego stronach szczerzyły się kretynskie śmiechusy.

Rick pokiwał ze znużeniem głową. Miłego dnia. Pewnie. Zaciągnął zasłony i wrócił do telefonu.

Kiedy wreszcie udało mu się przekonać Friedę, że nie żartuje, wybuchnęła długim i niekłamnym szlochem – każdy pracownik i wszyscy klienci, nawet cholerny buc Ollinger, autor fatalnych powieści fantastycznonaukowych, który chyba zaparł się, że każdej kobiecie Wolnego Świata strzeli z biustonosza, lubili Miriam – i co oczywiste, Rick popłakał się razem z Friedą. W końcu udało mu się rozłączyć. Przynajmniej zaciągnął zasłony, pomyślał.

Gdy po piętnastu minutach robił sobie kawę, odezwał się w nim niepokój. Wspomniał telefon wariata. Za drzwiami stali dwaj gliniarze, a on nie poinformował ich słowem. Co się z nim, do diabła, dzieje?

No cóż, pomyślał, moja była żona nie żyje, a kiedy zobaczyłem ją w kostnicy, wyglądała tak, jakby dwa cale pod brodą wyrosły jej dodatkowe usta. To może mieć jakiś związek z tym, co się ze mną dzieje.

„Spytaj Thada Beaumonta, kim jestem. Wie wszystko co trzeba”.

Zamierzał zadzwonić do Thada. Oczywiście! Ale w głowie wciąż mu się kotłowało. Wszystko przybrało nowe proporcje, których na razie nie potrafił uchwycić. Hm, na pewno zadzwoni do Thada. Zrobi to, jak tylko powie policji o telefonie.

Więc powiedział, a oni okazali wyjątkowe zainteresowanie. Pierwszy przekazał przez nadajniki informację do kwatery głównej. Kiedy skończył, powiedział Rickowi, że szef

dochodzeniówki chce z nim porozmawiać/Oczekuje go pod numerem pierwszym na Police Plaza. W tym czasie ktoś wpadnie do mieszkania, podłączy do aparatu telefonicznego magnetofon i namiernik, urządzenie do odczytu numerów dzwoniących facetów na wypadek następnym telefonów.

- Na pewno jeszcze dostaniesz pan telefony - powiedział Rickowi drugi gliniarz. - Te psychy kochają wsłuchiwać się we własny głos.

- Powinienem najpierw zadzwonić do Thada - powiedział Rick. - On też może mieć kłopoty. Tak sędzę po tym, co usłyszałem.

- Panie Cowley, policja w Maine zatroszczyła się o ochronę pana Beaumonta. Idźmy, dobra?

- Hm, wydaje mi się...

- Może zadzwoni pan do niego z centrali. A teraz... bierze pan płaszcz?

I tak Rick, oszołomiony i wciąż niepewny, czy to wszystko dzieje się naprawdę, pozwolił sobą pokierować.

Wrócili po dwóch godzinach. Jeden z eskortujących Ricka policjantów zmarszczył brwi na widok zamkniętych drzwi mieszkania i powiedział:

- Nikogo nie ma.

- I co z tego? - spytał słabym głosem Rick. Czuł się słabo, jakby był taflą ze źle wykonanego mlecznego szkła, za którą nic się nie ukryje. Zadano mu bardzo wiele pytań i odpowiadał najlepiej jak potrafił - było to trudne zadanie, zważywszy, jak niewiele pytań robiło sensowne wrażenie.

- Jeśli faceci z łączności skoń czyli do naszego powrotu, powinni poczekać.

- Są chyba w środku - powiedział Rick.

- Jeden tak, ale drugi powinien stać na zewnątrz. Taka jest standardowa procedura.

Rick wyjął klucze, poprzebierał w nich, znalazł właściwy, wsunął do zamka. Problemy facetów z procedurą operacyjną kolegów to nie jego zmartwienie. Dzięki Bogu; miał dość zmartwień jak na dzisiejsze przedpołudnie.

- Powinienem zaraz zadzwonić do Thada. - Westchnął i lekko się uśmiechnął. - Jeszcze nie ma południa i już czuję się tak, jakby ten dzień nigdy nie miał się skończyć... - Nie rób tego! - nagle krzyknął jeden z gliniarzy i rzucił się do przodu.

- Nie rób cze... - zaczął Rick obracając klucz w zamku. Drzwi eksplodowały w kuli

światła, dymu i łoskotu. Gliniarz, którego instynkt pchnął do działania sekundę za późno, został później rozpoznany przez krewnych; ale Rick Cowley niemal wyparował. Drugi, stojący nieco z tyłu gliniarz, który odruchowo zasłonił sobie twarz, kiedy jego partner krzyknął, odniósł oparzenia, wstrząs mózgu i uszkodzenia organów wewnętrznych. Litościwie – niemal cudem – granat nie zranił go nawet odłamkiem. Jednakże nigdy nie wróci do pracy w NYPD; w ułamku sekundy fala uderzeniowa pozbawiła go kompletnie słuchu.

Dwaj technicy z łączności, którzy przybyli spreparować telefony, leżeli martwi na dywanie w bawialni Ricka. Jeden z nich miał przypiętą pinezką do czoła wiadomość:

WRÓBLE ZNÓW FRUWAJĄ

Do czoła drugiego przypięto inną wiadomość:

KOLEJNE NADZIENIE DURNIÓW. NIECH THAD WIE.

Stark przejmuje opiekę

„ - Byle zręczny głupek może capnąć tygrysa za jaja - powiedział Maszyna Jackowi Halsteadowi. - Czy wiesz o tym?

Jack ryknął śmiechem. Maszyna spojrział i Jack się zreflektował.

- Przestań wyć jak dupek i słuchaj, co do ciebie mówię - powiedział Maszyna. - To są instrukcje. Czy słuchasz uważnie?

- Tak, panie Maszyna.

- No to się skup i wbij sobie do głowy raz na zawsze: byle zręczny głupek może capnąć tygrysa za jaja, ale trzeba bohatera, żeby je przytrzymać. Jak już przy tym jestem, to powiem ci coś jeszcze. Tylko bohaterowie i mięczaki odnoszą łatwe zwycięstwa, Jack. Nikt inny. A ja nie jestem mięczakiem” .

George Stark

Tak jak to robi Maszyna

Stark nie dowierza

Thad i Liza, pogrążeni w szoku tak głębokim i paraliżującym, jakby skuł ich blok lodu, słuchali opowieści Alana Pangborna o nocnych godzinach w mieście Nowy Jork. Mike Donaldson porznięty nożem, zatłuczony na śmierć w korytarzu swojego budynku; Phyllis Myers i dwaj policjanci zastrzeleni na miejscu w jej condo na West Side. Nocny portier z budynku Myers uderzony ciężkim przedmiotem, uraz czaszki. Lekarze dawali mu nieznacznie większą szansę, że obudzi się po tej stronie niebiańskich bram. Portier Donaldsona nie żyje. We wszystkich wypadkach mokrą robotę załatwiono w stylu gangsterskim; zabójca nie kryjąc się zbliżał się do ofiar i robił swoje.

Alan, zdając relację, mówił o mordercy: „George Stark”.

„Nazywa go właściwym imieniem i nazwiskiem i nawet nie zwraca na to uwagi” – zadumał się Thad. Potrząsnął głową, trochę zły na samego siebie. Jakoś przecież trzeba go nazwać i chyba już lepiej „Stark” niż „sprawca” czy „pan X”. Na tym etapie błędem byłoby myśleć, że Pangborn używa tego nazwiska z innego powodu, jak tylko dla wygody.

– Co z Rickiem? – spytał, kiedy Alan skoń czył, a on sam wreszcie pokonał paraliż języka.

– Pan Cowley żyje, ma się dobrze. Jest pod ochroną policji.

Była za kwadrans dziesiąta. Do eksplozji, która zabije Ricka i jednego z jego strażników, brakowało prawie dwóch godzin.

– Phyllis Myers też była pod ochroną policji – powiedziała Liza. W obszernym kojcu Wendy zasnęła głęboko, a William zapadał w sen. Zamykał oczka, główka opadała mu na piersi... i znów ją podrywał. Alanowi w komiczny sposób kojarzył się z żołnierzem walczącym ze snem podczas warty. Ale każde poderwanie główki było słabsze. Alan złożył już notatnik na kolana. Przyglądając się bliźniętom, zauważył interesującą rzecz: za każdym

razem, gdy William podrywał główkę, Wendy poruszała się we śnie.

„ Czy rodzice to zauważyli?” – zastanowił się i uznał: „ Oczywiście

”
– To prawda, Lizo. Zaskoczył ich. Wiesz, policjanci są równie narażeni na zaskoczenie jak wszyscy inni. Jedynie wymaga się od nich lepszej umiejętności reagowania. Kilkoro sąsiadów Phyllis Myers otworzyło drzwi i wyjrzało podczas strzelaniny. Dzięki ich zeznaniom oraz korzystając z tego, co policja znalazła na miejscu zbrodni, mamy doskonałą orientację w przebiegu wypadków. Stark udawał ślepcę. Po zabójstwach Miriam Cowley i Michaela Donaldsona nie zmienił ubrania, choć morderstwa były... Wybaczcie, były krwawe. Wychodzi z windy, ma na sobie czarne okulary kupione na Times Square albo w ruchomym kiosku i wymachuje pokrwawioną białą laską. Bóg wie, skąd wziął tę laskę. Zdaniem NYPD użył jej do ogłuszenia portiera.

– Ależ ukradł ją prawdziwemu ślepcowi – spokojnie powiedział Thad. – Ten gość to nie sir Galahad, Alan.

– Najwidoczniej nie. Pewnie darł się, że został pobity przez uliczne męty albo napadnięty w mieszkaniu przez włamywaczy. Tak czy inaczej, wyrósł przed nimi tak szybko, że nie mieli wiele czasu, by zareagować. To byli tylko gliniarze patrolujący ulice, oderwani od roboty i niespodziewanie postawieni przed drzwiami tej kobiety.

– Ale na pewno dowiedzieli się, że Donaldson został zamordowany – zaprotestowała Liza. – Jeśli to nie wzbudziło ich czujności, nie uświadomiło, że facet jest niebezpieczny...
– Wiedzieli, że ochrona Donaldsona zjawiała się po morderstwie – powiedział Thad. – Byli nadmiernie pewni siebie.

– Może i tak – ustąpił Alan. – To nie do ustalenia. Ale goście od Cowleya wiedzą, że facet jest śmiały, sprytny i zdolny do zabójstwa. Mają oczy otwarte. Nie, Thad, twój agent jest bezpieczny. Możesz na to liczyć.

– Mówiłeś, że są świadkowie – powiedział Thad.

– O, taaa... Dużo świadków. W domu żony Cowleya, u Donaldsona, u Myers.

Wyglądało, że ma ich w dupie. – Popatrzył na Lizę – Przepraszam – powiedział.

Uśmiechnęła się przelotnie.

– Już obito mi się to o uszy, Alanie.

Kiwnął głową, uśmiechnął lekko i zwrócił się do Thada.

– Jak opis, który ci podałem? – spytał pisarz.

– Potwierdził się co do joty – odparł Alan. – Kawał chłopca, blondyn, dobrze opalony.

Więc powiedz mi, kto to jest, Thad. Podaj nazwisko. Mam teraz dużo więcej zmartwień niż tylko sprawę Homera Gamache'a. Cholerny dowódca policji nowojorskiej siedzi mi na

głowie. Sheila Brigham, moja główna dyspozytorka, uważa mnie za przyszłą gwiazdę mass mediów. Ale sprawa Homera leży mi na sercu. To dla mnie ważniejsze niż rozwiązanie zagadki morderstwa na dwóch funkcjonariuszach, którzy mieli strzec Phyllis Myers. Więc podaj mi to nazwisko.

- Już ci podałem - powiedział Thad.

Zapadła długa cisza, może dziesięciosekundowa. Po czym Alan spytał cicho:

- Co?

- On nazywa się George Stark.

Thad był zaskoczony spokojnym tonem swego głosu, a jeszcze większym zaskoczeniem napawał go spokój, jaki czuł w sobie ... chyba że głęboki szok i spokój wyrażają się tak samo. Ale ulga towarzysząca słowom: „Wiesz, jak się nazywa, on nazywa się George Stark” - nie dała się opisać.

- Chyba cię nie rozumiem - odezwał się po kolejnej długiej pauzie Alan.

- Ależ oczywiście, że rozumiesz, Alanie - powiedziała Liza. Thad popatrzył na nią, zaskoczony szorstkim, rzeczowym tonem żony. - Mój mąż twierdzi, że jego pseudonim w jakiś sposób ożył. Ten sfotografowany nagrobek... ten napis zamiast modlitwy czy wierszyka, to coś, co Thad powiedział reporterowi agencji prasowej, który pierwszy wypuścił bombową informację, NIEZBYT MIŁY FACET... Przypominasz sobie to?

- Tak, ale, Lizo... - Patrzył na nich z bezradnym zdumieniem, jakby nagle uświadomił sobie, że wdał się w rozmowę z ludźmi, którzy postradali zmysły.

- Zaoszczędź sobie różnych „ale” - mówiła wciąż tym samym stanowczym tonem. - Będziesz miał dużo czasu na „ale” i pouczenia. Ty i wiele innych ludzi. Teraz tylko słuchaj tego, co do ciebie mówię. Thad nie żartował twierdząc, że George Stark jest niezbyt miłym facetem. Być może wyobrażał sobie, że żartuje, ale tu nie ma miejsca na żarty. Prawdę mówiąc, George Stark to nie tylko niemiły facet, to straszny facet! Z każdą z tych książek, przy których się pojawiał, czułam się coraz bardziej zdenerwowana. I kiedy wreszcie Thad zdecydował się go zabić, poszłam do sypialni i płakałam z ulgi. - Thad wybałuszył oczy. Zmierzyła go wzrokiem i dopiero po chwili kiwnęła głową. - A tak. Płakałam. Naprawdę płakałam. Pan Clawson z Waszyngtonu był obrzydliwym małym Glizdowncem, ale oddał nam przysługę, może największą przysługę, jaką oddano nam jako małżeństwu, i choćby z tego powodu żał mi, że zginął.

- Lizo, nie wierzę, żebyś naprawdę miała na myśli...

- Nie mów mi, co mam, a czego nie mam na myśli!

Alan zamrugał. Liza panowała nad głosem. Wendy nie zbudziła się, a William po raz

ostatni uniósł główkę, aby kiwnąć się na boczek i zasnąć obok siostrzyczki. Jednak Alan miał przecucie, że gdyby nie dzieci, podniosłaby głos. Może nawet do maksimum.

- Teraz Thad ma ci coś do powiedzenia. Słuchaj go bardzo uważnie, Alanie, i spróbuj mu uwierzyć. Bo jak nie, to obawiam się, że ten człowiek - czy nieczłowiek - będzie zabijał dalej, aż zaszlachtuje wszystkich ze swej listy. Z pewnego bardzo osobistego powodu nie chciałabym, żeby dopiął celu. Widzisz, moim zdaniem Thad, ja i maluchy figurujemy na jego liście. Jestem o tym przekonana na dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

- Dobra. - Odezwał się bez pośpiechu, ale myśli wirowały mu w głowie w zawrotnym tempie. Uczynił świadomy wysiłek, odepchnął na bok frustrację, gniew, a nawet zdumienie, i rozważał ten chory pomysł z jak największą bezstronnością. Nie zadawał sobie pytania, czy to, co usłyszał, jest prawdą czy wymysłem - samo założenie, że coś takiego może być prawdą, było oczywistą niemożliwością - ale zadał sobie pytanie, dlaczego ci ludzie w ogóle zawracali sobie głowę opowiadaniem takiej bajeczki. Czy sklecili ją, żeby ukryć swój wymaginowany współudział w morderstwach? Faktyczny współudział? Czy w ogóle wierzyli w to, co mówili? Niemożliwe, żeby parą wykształconych i zdrowo myślących osobników mogła w to wierzyć, choć czuł to samo co w dniu, w którym przyjechał aresztować Thada: nie towarzyszyła im ta ulotna, ale nie dająca się z niczym pomylić woń, charakterystyczna dla ludzi, którzy kłamią. Świadomie kłamią, poprawił się. - Jedź, Thad.

- Dobra - powiedział Thad.

Chrząknął nerwowo i wstał. Podniósł dłoń do kieszonki na piersi i z nieco gorzkim rozbawieniem przytapał się na tym. Sięgał po papierosy. Nie było ich tam od lat. Wsadził ręce do kieszeni i popatrzył na Alana Pangborna tak, jak radca popatrzyłby na szukającego porady klienta, którego morze kłopotów wyrzuciło na brzeg przyjaznego biura prawnego.

- Tu dzieje się coś bardzo dziwnego. Nie - to jest więcej niż dziwne. Jest strasznie niewytłumaczalne, ale dzieje się naprawdę. I jak mi się wydaje, zaczęło się, kiedy miałem jedenaście lat.

Thad opowiedział wszystko: o bólach głowy w dzieciństwie, o natrętnym świergocie, mętnych obrazach wróbli zapowiadających nadejście boli, powrocie ptaków. Pokazał Alanowi stronę maszynopisu z napisem: WRÓBLE FRUWAJĄ naniesionym ołówkiem wyraźnymi ostrymi literami. Opowiedział mu o fudze, która przytrafiła mu się wczoraj w gabinecie uniwersyteckim, i o tym, co napisał (tyle ile sobie przypomniał) na odwrotnej

stronie formularza. Wyjaśnił, jaki koniec spotkał formularz, i usiłował oddać strach i oszołomienie, które spowodowały, że go zniszczył.

Twarz Alana pozostała bez wyrazu.

- Poza tym - zakończył Thad - wiem, że to Stark. Tutaj. - Dłonią złożoną w pięść stuknął się lekko w pierś.

Przez kilka chwil Alan nie odezwał się słowem. Bawił się obrączką ślubną na serdecznym palcu lewej dłoni i ta czynność zdawała się pochłaniać całą jego uwagę.

- Od ślubu spadłeś na wadze - spokojnie zauważyła Liza. - Jeśli nie dopasujesz obrączki, zgubisz ją kiedyś.

- Chyba tak. - Podniósł głowę i popatrzył na Lizę. Kiedy przemówił, zabrzmiało to tak, jakby Thad wyszedł załatwić jakąś sprawę i w pokoju zostało tylko ich dwoje. - Po moim odjeździe twój mąż zawołał cię na górę i pokazał tę pierwszą wiadomość ze świata spirytualnego... zgadza się?

- Jedyne znane mi światy spirytualne to sklepy monopolowe o milę Stąd - wycedziła Liza - ale poza tym zgadza się. Po twoim odjeździe pokazał mi tę wiadomość.

- Zaraz po moim odjeździe?

- Nie. Położyliśmy bliźnięta i kiedy sami szliśmy spać, zapytałam Thada, co ukrywa.

- Między moim odjazdem a chwilą, w której powiedział ci o zaćmieniach i ćwierkaniach, były momenty, w których traciłaś go z oczu? Momenty, w których mógł pójść na górę i napisać wspomniane przeze mnie zdanie?

- Nie jestem tego pewna - odrzekła. - Wydaje mi się, że byliśmy razem przez cały czas, ale brak mi absolutnej pewności. A gdybym ci powiedziała, że nie traciłam go z oczu, nie miałoby to znaczenia, prawda?

- O co ci chodzi, Lizo?

- Chodzi mi o to, że założyłbyś, że ja również kłamię, prawda?

Alan westchnął głęboko. Tak naprawdę każde z nich potrzebowało od niego odpowiedzi tylko na to jedno pytanie.

- Thad nie kłamię.

Alan pokiwał twierdząco głową.

- Wierzę w twoją uczciwość. Ale ponieważ nie możesz przysiąc, że nie opuścił cię na kilka minut, nie może być tu mowy o kłamstwie. To mnie cieszy. Przyznajesz, że taka możliwość zaistniała, i przyznasz również, że jej alternatywa jest wysoce fantastyczna.

Thad oparł głowę o komin. Oczy mu biegały jak widzowi na meczu tenisowym. Żadne słowo szeryfa Pangborna nie było dlań zaskoczeniem. Alan wskazywał na dziury w

całej tej opowieści. Czynił to z wielkim taktem, ale mimo to Thad czuł gorzkie rozczarowanie... prawie rozpacz. Przeczucie, że Alan uwierzy – uwierzy w jakiś instynktowny sposób – okazało się równie fałszywe jak działanie lekarstwa remedium.

– Tak, przyznaję – wycedziła Liza.

– Co do wydarzeń, które zdaniem Thada nastąpiły na uniwersytecie... nie ma świadków, którzy potwierdziliby zaćmienie umysłu i pojawienie się napisu. Prawdę mówiąc, nie wspomniał ci o tym incydencie aż do telefonu pani Cowley, prawda?

– Tak. Nie wspomniał.

– A więc... – wzruszył ramionami.

– Alanie, chcę cię o coś spytać.

– Proszę.

– Po co Thad miałby kłamać? Czemu miałoby to służyć?

– Nie wiem. – Alan popatrzył na nią z absolutną szczerością. – On może o tym nawet nie wiedzieć. – Zerknął na Thada. Wrócił spojrzeniem do Lizy. – Może nie wiedzieć, że kłamie. Chodzi mi o coś najprostszego w świecie: to, co tu mówicie, jest nie do przyjęcia bez wyraźnych dowodów. Dla żadnego funkcjonariusza policji. A wy nie macie jakichkolwiek dowodów.

– Thad mówi prawdę. Rozumiem cię w pełni, ale bardzo mi zależy, żebyś mu uwierzył. Strasznie mi na tym zależy. Widzisz, ja żyłam obok George’a Starka! I wiem, czym on cały czas był dla Thada. Powiem ci coś, czego nie było w „People”. Już po drugiej książce Thad zaczął mówić o pozbyciu się Starka...

– Po pierwszej – spokojnie sprostował Thad, podnosząc się ze swego fotela przy kominku. Chęć na papierosa spalała go jak gorączka. – Zacząłem mówić o tym po skończeniu pierwszej.

– Niech będzie, po pierwszej. Z artykułu można wyciągnąć wniosek, że to całkiem świeża sprawa. Nieprawda. To moim zdaniem bardzo ważne. Gdyby Frederick Clawson nie pojawił się i nie postawił mojego męża pod ścianą, to Thad wciąż mówiłby o pozbyciu się Starka. Tak jak alkoholik albo narkoman opowiada swojej rodzinie i przyjaciołom, że rzuci jutro... albo pojutrze... albo pojutrze.

– Nie. Dokładnie biorąc, nie o to chodzi – powiedział Thad. – Wiesz, że dzwonią, ale nie wiesz gdzie.

Zrobił pauzę, zmarszczył czoło. Powiedzieć, że myślał, to za mało. Koncentrował się. Alan niechętnie zarzucił ideę, że kłamią lub z jakiegoś dziwnego powodu nabierają go. Ich wysiłki szły nie tyle w kierunku przekonania go ani nawet samych siebie, ale

zdefiniowania, jak było... podobnie biedziliby się opisując gaszenie pożaru, który miał miejsce dawno temu.

- Słuchaj - wreszcie rzekł Thad. - Dajmy sobie na chwilę spokój z zaćmieniami umysłu, wróblami i wizjami przyszłości, jeśli tak można je określić. Skoro czujesz taką potrzebę, możesz pogadać o symptomach z moim lekarzem, George'em Hume'em. Może badania mózgu wykażą coś nietypowego, a nawet jeśli nie wykażą, to lekarz, który operował mnie w dzieciństwie, może jeszcze żyje i zechce z tobą pogadać. Może wie o czymś, co uporządkuje trochę ten bałagan. Na razie nie potrafię przypomnieć sobie jego nazwiska, ale jestem pewien, że znajduje się w mojej karcie zdrowia. Ale w tej chwili całe to nadprzyrodzone gównno to boczny tor.

To Alanowi zabrzmiało bardzo dziwnie... jeśli założyć, że faktycznie Thad sam napisał pierwszy tekst zapowiadający przyszłe wydarzenia i kłamał na temat drugiego. Ktoś na tyle zwariowany, że stać go było na zrobienie tych rzeczy - i na tyle zwariowany, żeby nich zapomnieć, uwierzyć, iż teksty autentycznie były nadprzyrodzonymi fenomenami - uczepiłby się ich jak pijany płotu. Nieprawdaż? Alana zaczęła boleć głowa.

- No, dobra - powiedział bezbarwnym głosem. - Jeśli, jak mówisz, „nadprzyrodzone gównno” to boczny tor, jaka jest główna trakcja?

- Główna trakcja to George Stark - powiedział Thad, a pomyślał: „Ta trakcja ciągnie się do Końca Pieśni, miejsca, w którym kończą bieg wszystkie pociągi”. - Wyobraź sobie, że ktoś obcy wprowadził się do twojego domu. Ktoś, kogo zawsze trochę się bałeś, tak jak Jim Hawkins zawsze trochę bał się Starego Wilka Morskiego przesiadującego „Pod Admiralem Benbow”... Czytałeś Wyspę skarbów, Alanie?

Alan kiwnął twierdząco głową.

- Więc wiesz, kogo mam na myśli. Boisz się faceta, bynajmniej za nim nie przepadasz, ale pozwalasz mu mieszkać u siebie w domu. Nie prowadzisz gospody jak Hawkins w Wyspie skarbów, ale może wyobrażasz sobie, że to daleki krewny żony albo ktoś w tym rodzaju. Nadążasz?

Alan kiwnął twierdząco głową.

- I wreszcie pewnego dnia, po tym jak ten niepożądany gość na przykład walnął zatkaną solniczką o ścianę, mówisz do żony: „Jak długo jeszcze ten twój pociotek będzie się tu plątał?”, a ona patrzy na ciebie i mówi: „Mój pociotek? Myślałam, że to twój pociotek!”

Alan prychnął śmiechem, choć usiłował zachować powagę.

- Czy wtedy wykopujesz faceta? - kontynuował Thad. - Nie. Po pierwsze, przebywa pod twoim dachem już od jakiegoś czasu i choć dla kogoś nie zaznajomionego bezpośrednio z

sytuacją zabrzmiało to groteskowo, wyglądało, że nabył prawo pobytu przez zasiedzenie. Ale nie w tym rzecz.

Liza potakiwała Thadowi. Jej oczy wyrażały podniecenie i wdzięczność osoby, której właśnie podrzucono słowo, wymykające się pamięci od samego rana.

- Rzecz w tym, że boisz się faceta jak jasna cholera - wtrąciła. - Boisz się tego, co zrobi, kiedy wreszcie powiesz mu wprost, żeby zbierał tyłek w troki i zjeżdżał.

- No i masz - powiedział Thad. - Chciałbyś zdobyć się na odwagę i powiedzieć mu, żeby sobie poszedł. Boisz się go nie tylko ze względu na to, że jest niebezpieczny. Rzecz w tym, że boisz się, iż z jego winy stracisz szacunek do samego siebie. Ale... zwlekasz. Znajdujesz powody do zwłoki. Na przykład - pada deszcz. Pewnie narobi mniej krzyku, jeśli pokażesz mu drzwi w słoneczny dzień. Albo - najpierw wszyscy musicie się dobrze wyspać. Wymyślasz tysiące powodów do zwłoki. Okazuje się, że gdy znajdziesz powód wystarczająco dobry, wtedy przynajmniej odzyskujesz trochę szacunku do samego siebie, a zawsze to lepsze mieć do siebie trochę szacunku niż zero. Trochę to również lepsze niż ta cała granda. „Cała granda” oznacza z kolei rozmówienie się z facetem i wylądowanie w szpitalu lub na cmentarzu. Niekoniecznie samemu.

Liza znów się wtrąciła. Mówiła miłym dla ucha, zrównoważonym tonem kobiety przemawiającej do członkiń kółka ogrodniczego, może na temat pory sadzenia kukurydzy albo zrywania pomidorów.

- Był wstrętnym, niebezpiecznym człowiekiem, kiedy... mieszkał z nami... i jest wstrętnym, niebezpiecznym człowiekiem teraz. Dowody wskazują, że jeśli nastąpiła w nim jakaś zmiana, to wyraźnie zmiana na gorsze. Oczywiście jest szalony, ale w jego pojęciu to, co czyni, jest jak najbardziej usprawiedliwione: odnajduje i po kolei pozbywa się ludzi, którzy zawiązali spisek, żeby go zabić.

- Skoń czyliście?

Zaskoczona popatrzyła na Alana, jakby jego głos wytrącił ją z głębokich marzeń

- Co?

- Pytałem, czy skoń czyliście. Chcieliście się wypowiedzieć, więc chcę mieć pewność, że wypowiedzieliście się do końca.

Jej spokój prysł. Westchnęła głęboko i bezwiednie poprawiła włosy.

- Nie wierzysz w to, co? W ani jedno słowo.

- Lizo - powiedział Alan - to jest po prostu... świrnięte. Przykro mi, że używam tego określenia, ale biorąc pod uwagę okoliczności, uważam, że jest najłagodniejsze z możliwych. Wkrótce pojawią się tu i inni gliniarze. Zapewne FBI. Ten facet jest obecnie traktowany jako

zbiegły przestępca, który popełnił zbrodnię na terenie kilku stanów, i dlatego wkracza do akcji Biuro Federalne. Jeśli opowiecie im całą tę historię, z zaćmieniami umysłu i pisaniem pod dyktando ducha wyłącznie, usłyszycie mnóstwo mniej łagodnych słów. Gdybyście opowiedzieli mi, że tamci ludzie zostali zamordowani przez ducha, też bym wam nie uwierzył. – Thad poruszył się, lecz Alan podniósł rękę i Thad mu się podporządkował. – Ale chcecie, żebym uwierzył w coś jeszcze bardziej fantastycznego niż historyjka o duchu. Mówimy nie o duchu, mówimy o człowieku, który nigdy nie istniał.

– Jak więc wytłumaczysz mój opis? – nagle zapytał Thad. – Podałem ci swój osobisty wizerunek George’a Staraka. Aktualny, nie z przeszłości! Część z tego spoczywa w archiwach Darwin Press. Część wyłącznie tkwiła w mojej głowie. Nigdy nie zastanawiałem się specjalnie, jak facet wygląda, wiesz – w ciągu lat tylko stworzyłem sobie wyobrażenie na ten temat, tak samo jak wyobrażasz sobie disc jockeya, którego słuchasz codziennie jadąc do pracy. Ale jeśli spotkałbyś go przypadkiem, okazałoby się, że wyobraziłeś sobie wszystko błędnie. Otóż ja wyobraziłem sobie wszystko poprawnie. Potrafisz to wytłumaczyć?

– Nie – powiedział Alan. – Ale oczywiście możesz kłamać na temat źródła, z którego zaczerpnąłeś opis.

– Wiesz, że nie kłamię.

– Nie bądź tego taki pewny. – Alan wstał i podszedł do kominka. Niespokojnie trącił poprzeczkiem brzoźowe kłody. – Nie każde kłamstwo jest owocem świadomej decyzji. Jeśli człowiek przekona samego siebie, że mówi prawdę, może śpiewająco przejść test na wykrywaczu kłamstw. Jak Ted Bundy, ten wielokrotny morderca.

– Daj spokój – prychnął Thad. – Nie wysilaj się tak. To wygląda na powtórkę afery z liniami papilarnymi. Jedyna różnica w tym, że teraz nie mam na podorędziu pęczka świadków. Przy okazji, co powiesz o liniach papilarnych? Kiedy się połączy jedno z drugim, czy to nie sugeruje, że mówimy prawdę?

Alan odwrócił się. Nagle wezbrał w nim gniew na Thada... na nich oboje. Czuł się uparcie spychany pod ścianę. Cholera, nie mieli prawa go tak traktować! Czuł się jak jedyny normalny na zebraniu Towarzystwa Płaskiej Ziemi.

– Nie potrafię nic z tego wytłumaczyć... jeszcze nie potrafię. Ale tymczasem może powiesz mi, Thad, skąd, dokładnie biorąc, ten facet – żywy facet – pochodzi? Może ot tak, urodziłeś go pewnej nocy? Wskoczył z cholernego wróblego jajeczka? Czy wyglądałeś jak on pisząc te książki, które potem wyszły pod jego nazwiskiem? Dokładnie biorąc, jak się to stało?

– Nie wiem, skąd się wziął – rzekł ze znużeniem Thad. – Czy myślisz, że bym ci tego

nie powiedział? O ile wiem, o ile pamiętam, byłem sobą pisząc Tak jak to robi Maszyna, Oksfordzkiego bluesa. Pasztet z lichwiarza i Przejazdkę do Babilonu. Nie mam zielonego pojęcia, kiedy stał się... osobną postacią. Kiedy pisałem jako on, wydawał mi się żywy, ale tylko w taki sposób, w jaki żywe wydają mi się wszystkie pisane opowieści. Chcę przez to powiedzieć, że traktuję je serio, ale nie wierzę w nie... chyba że wtedy... że wtedy. Przerwał i wybuchnął zwariowanym chichotem.

- Ileż to razy mówiłem o pisaniu. Setki wykładów, tysiące godzin zajęć ze studentami chyba nie powiedziałem ani słowa na temat tego, jak pisarz sobie radzi z dwiema postrzeganymi rzeczywistościami - świata i maszynopisu. Nie wydaje mi się, żebym poświęcił temu tematowi chociaż jedną myśl. A teraz dociera do mnie... hm... że nie mam nawet pojęcia, jak powinienem o tym myśleć!

- To bez znaczenia - wtrąciła Liza. - On wcale nie musiał być osobną postacią, dopóki Thad nie zapragnął go zabić.

Alan zwrócił się do niej.

- Cóż, Lizo, znasz Thada lepiej niż ktokolwiek inny. Czy pisząc kryminały przemieniał się z doktora Beaumonta w pana Starka? Czy cię tłukł? Czy podczas przyjęć rzucał się z brzytwą na ludzi?

- Sarkazm wcale nie ułatwi nam rozmowy - powiedziała mierząc go spokojnym wzrokiem.

Wyrzucił w górę ręce zirytowany choć nie wiedział, czy irytacja dotyczy ich, jego samego czy całej trójki.

- Nie jestem sarkastyczny, próbuję tylko użyć wobec was słownej terapii szokowej, żebyście zrozumieli, co za wariactwa wygadujecie! Mówicie o ożywaniu cholernego pseudonimu! Jeśli powiecie FBI choć połowę z tych bzdur, rzuca się na obowiązujące w stanie Maine przepisy dotyczące przymusowego osadzania w klinikach psychiatrycznych!

- Odpowiedź na twoje pytanie brzmi „nie” - powiedziała Liza. - Nie bił mnie, nie wymachiwał brzytwą na przyjęciach. Ale kiedy pisał jako George Stark - a zwłaszcza kiedy pisał o Alexisie Maszynie - nie był sobą. Kiedy... najlepiej chyba powiedzieć „otwierał drzwi”... kiedy otwierał drzwi i zapraszał Starka, oddalał się. Nie był zimny, nawet nie był chłodny. Tylko oderwany od świata. Nie miał ochoty chodzić w gości, spotykać się z ludźmi. Czasami zawałał spotkania rady wydziału, nawet spotkania ze studentami... choć rzadko. Kładł się później spać i czasem długo wiercił się w łóżku, nim zasnął. A wtedy podrygiwał, mruczał, jakby dręczyły go koszmary. Kilka razy spytałam go o to. Odpowiedział, że głowa go pobołęwała, czuł jakieś niepokoje, ale jeśli nawet miał złe sny, nic nie pamięta.

Nie przechodził wyraźnej zmiany osobowości... ale nie był sobą. Alanie, jakiś czas temu mój mąż rzucił picie. Nie chodził na żadne spotkania anonimowych alkoholików czy coś w tym rodzaju, rzucił sam. Z jednym wyjątkiem. Kiedy kończył pracę nad kolejnym „starkiem”, upijał się. Wtedy zawałał wszystko. Wszystko. Jakby mówił sobie: „Ten sukinsyn znów sobie poszedł. Przynajmniej na chwilę poszedł sobie. George wrócił na swoją farmę w Missisipi. Hurra!”

- Dobrze to określiła - powiedział Thad. - Hurra! Tak mi wtedy w duszy grało. Pozwól, że podsumuję to, co mamy, zostawiając całkowicie na boku zaćmienia i automatyczne pisanie. Człowiek, którego szukasz, zabija znanych mi ludzi, ludzi, którzy poza Homerem Gamache'em odpowiadają za „egzekucję” George'a Starka... w spisku ze mną, rzecz jasna. Ma moją grupę krwi, co nie jest wyjątkowe, niemniej jednak spotyka się ją tylko u sześciorga ludzi na sto. Opisałem ci z grubsza wygląd George'a Starka. Poszukiwany przez ciebie odpowiada temu właśnie opisowi. Pali gatunek papierosów, który ja kiedyś paliłem. A w końcu, co najbardziej interesujące, ma identyczne z moimi linie papilarne. Mimo to nie chcesz się nawet zastanowić nad moim założeniem, że Stark jakimś sposobem żyje. Otóż, szeryfie Alanie Pangborn, powiedz mi: kim jest ów mroczny nieznajomy, że pozwolę sobie go tak nazwać?

Skalne podłoże, niegdyś spoczywające nieruchomo i bezpiecznie pod stopami Alana, drgnęło. Możliwość zarysowana przez Thada była nie do przyjęcia. Ale... jeśli nie nawinie się nic innego, Alan będzie zmuszony porozmawiać z lekarzem Thada i prześledzić historię choroby. Jakże cudownie byłoby dowiedzieć się, że nie wycięto żadnego guza mózgu, a Thad albo kłamał, albo fantazjował! O ileż wygodniej byłoby udowodnić, że morderca jest psychem. A może...

Gównem z „może”! Nie ma George'a Starka i nigdy nie było George'a Starka! Może Alan Pangborn nie jest genialnym młodzieńcem, pracownikiem potężnej FBI, ale w to nie uwierzy! Może tamci w Nowym Jorku złapią za kołnierz drania, kiedy będzie usiłował dobrać się do Cowleya, nawet na pewno złapią, ale w przeciwnym wypadku psych może wybrać na miejsce tegorocznych wakacji stan Maine. Jeśli tu wróci, Alan chciałby spróbować na nim swoich sił. A wtedy nie pomoże mu żadne gówno z Krainy Ucieleśnionych Marzeń. Alan zaś nie zamierza teraz tracić czasu na dalsze bezpłodne rozważania.

- Jak sądzę, czas pokaże - rzucił ogólnikowo. - Na razie radzę wam trzymać się tej linii, którą obraliście wobec mnie wczoraj wieczór - mordercą jest facet, który uważa się za George'a Starka, na tyle szalony, że zaczął działać w narzucającym się logicznie miejscu - w każdym razie logicznie dla szaleńca - w miejscu, gdzie Stark został oficjalnie pochowany.

- Jeśli nie dasz temu choćby odrobiny wiary, nie obejrzysz się, a utkniesz po pachy głównie^w - powiedział Thad. - Alanie... z tym facetem nie ma uproś, nie ma układów. Możesz zebrać o litość - jeśli da ci czas - ale to na nic. Skoro tylko podejdziesz do niego z opuszczoną gardą, zrobi pasztet z ciebie!

- Sprawdzę u twojego lekarza - powiedział Alan - i u tamtego chirurga. Nie wiem, co to da ani w czym rozjaśni ten interes, ale zrobię to. Jeśli nic nie wypali, będę musiał działać na chybił trafił. Będę ryzykował.

Uśmiech Thada był pozbawiony śladu wesołości.

- Patrząc z mojego punktu widzenia, na tym polega cały problem. Moja żona, dzieci i ja będziemy ryzykować wraz z tobą.

Piętnaście minut później schludna furgonetka z błękitnymi pasami po bokach wjechała na podjazd domu Thada i zatrzymała się za wozem Alana. Wyglądała jak mikrobus firmy telekomunikacyjnej, dysponowała zresztą podobnym wyposażeniem, lecz miała dyskretnie wypisane na obu drzwiach literami niedużego formatu: POLICJA STANU MAINE.

Dwaj technicy zastukali do drzwi, przedstawili się, przeprosili za spóźnienie (wobec Thada i Lizy przeprosiny nie miały sensu, ponieważ w ogóle nie wiedzieli, że faceci mają się zjawić) i zapytali Thada, czy nie ma nic przeciwko podpisaniu oświadczenia, które mu podsunęli. Upoważniało ich do założenia namiernika i aparatury nagrywającej rozmowy telefoniczne. Zapisy nie mogły być wykorzystane w postępowaniu sądowym.

Thad naskrobał w stosownym miejscu podpis. Alan Pangborn i jeden z techników (Thad z osłupieniem dostrzegł, że z jednej strony pasa miał telefoniczne urządzenie kontrolne, a z drugiej czterdziestkępiątkę) potwierdzili ważność podpisu.

- Ten namiernik naprawdę działa? - spytał Thad w kilka minut później, gdy Alan udał się do koszar policji stanowej w Orono. Czuł się zmuszony odezwać, gdyż po odebraniu dokumentu technicy zapadli w milczenie.

- Taaa... - odpowiedział jeden z nich, szybko patrosząc słuchawkę telefonu w bawialni.
- Możemy prześledzić połączenie nawiązane z dowolnego punktu kuli ziemskiej. To nie ta stara technika, jaką pokazują na filmach, kiedy trzeba mieć rozmówcę na linii aż do wyśledzenia numeru. Dopóki ktoś nie odkłada tej słuchawki - pomachał trzymanym w ręku przedmiotem, który teraz wyglądał trochę jak android z sagi fantastycznonaukowej zniszczony śmiercionośnymi promieniami - możemy znaleźć numer, z którego nawiązano

rozmowę. Najczęściej okazuje się numerem automatu w pasażu handlowym.

- Ten załatwiony - powiedział jego kolega. Majstrował przy wtyczce wyjętej z gniazdka podłogowego. - Ma pan telefon na górze?

- Dwa - powiedział Thad. Zaczął czuć się tak, jakby ktoś brutalnie wepchnął go w ślad za Alicją do dziury Królika. - Jeden w gabinecie, drugi w sypialni.

- Są podłączone do osobnej linii?

- Nie, mamy tylko jeden numer. Gdzie podłączycie magnetofon?

- Pewnie w piwnicy - z roztargnieniem odpowiedział pierwszy. Wpychał przewody w przezroczystą, jarzącą się stykami sprężynowymi kostkę. W głosie pobrzmiwał mu ton a - może - tak - dałoby - się - nam - nie - przeszkadzać.

Thad objął Lizę w talii i wyszli. Zastanawiał się, czy ktoś na tym świecie pojąłby, że wszystkie magnetofony i cuda techniki w rodzaju przezroczystych kostek nie powstrzymają George'a Starka. Stark się szykował. Może nabierał sił, może już ruszył w drogę.

A jeśli nikt mu nie uwierzy, co, do diabła, ma z tym zrobić? Jak, do diabła, ma ochronić swoją rodzinę? Czy w ogóle istnieje jakiś sposób?! Zamyślił się głęboko, a kiedy myślenie nic nie dało, po prostu wsłuchał się w siebie. Czasem - nie zawsze, ale czasem - kiedy odpowiedź nie chciała zjawić się inną drogą, zjawiała się tą.

Ale nie tym razem. Z rozbawieniem poczuł nagły, rozpaczliwy przyptyk pożądania. Rozważył, czy nie popieścić Lizy w sypialni, ale przypomniał sobie, że technicy zjawiają się tam niebawem i będą wyczyniać kolejne cudeńka ze staromodnymi podłączonymi - do - jednej - linii telefonami.

Nawet nie można pociupciać. Więc co mamy robić?!

Ale odpowiedź nasuwała się sama. Czekać, to wszystko.

Nie musieli długo czekać na kolejny odcinek straszliwych wieści: Stark jednak dopadł Ricka Cowleya - w sobie tylko widomy sposób urządził zasadzkę na techników, którzy preparowali telefon Ricka, i podpiął ładunek wybuchowy do drzwi. Rick obrócił klucz w zamku i zdetonował zapalnik.

To Alan przyniósł im tę wiadomość. Dowiedział się przez radiotelefon o eksplozji, nie przejechawszy nawet trzech mil do Orono. Zawrócił natychmiast.

- Twierdziłeś, że Rick jest bezpieczny - powiedziała Liza. Mówiła i patrzyła tępo, nawet jej włosy jakby straciły blask. - Praktycznie dawałeś gwarancje.

- Myliłem się. Przykro mi.

Alan czuł się tak zszokowany, jak - sądząc z wyglądu - musiała się czuć Liza, ale bardzo się starał, żeby tego nie ujawnić. Zerknął na Thada, który zrewanżował mu się

spojrzeniem. Jego oczy były spokojne i pełne blasku. Gorzki uśmiezek błąkał się na ustach.

„ On dokładnie wie, co myślę. – To pewnie była nieprawda, ale Alan uważał to za prawdę. – No... zapewne nie wszystko, ale część. Zapewne całkiem spora część. Może dlatego, że ukrywanie uczuć nie jest moją najsilniejszą stroną, ale chyba nie w tym rzecz.

Po prostu taki jest. Po prostu jest zbyt bystry

”
– Postawiłeś założenie, które okazało się błędne, to wszystko – powiedział Thad. – Zdarza się najmądrzejszym. Może przemyśl wszystko raz jeszcze, zastanów się nad George’em Starkiem. Co ty na to, Alanie?

– Pewnie masz rację – przytaknął Alan i rzekł w duchu, że mówi to tylko po to, żeby ich uspokoić. Ale twarz George’a Starka, jak dotąd znana tylko z opisu Thada Beaumonta, zaczęła zerkać mu przez ramię. Jeszcze jej nie widział, ale czuł, że jest tam, wyziera.

– Chciałbym pogadać z tym doktorem Hurdem...

– Hume’em – poprawił Thad. – Nazywa się George Hunie.

– Dzięki. Chcę z nim pogadać, więc będę kręcił się niedaleko. Gdyby FBI wreszcie się pokazało, chciecie, żebym wpadł?

– Nie wiem jak Thad, ale ja bardzo chcę – powiedziała Liza.

Thad skinął głową.

– Przykro mi z powodu całej sprawy, ale najgorsze jest to, że obiecałem wam, że wszystko będzie w porządku, i guzik z tego wyszło.

– Sytuacja jest taka, że łatwo się przejechać – rzekł Thad. – Wyznałem ci prawdę z prostego powodu. Jeśli to rzeczywiście Stark, wielu ludzi mocno się przejedzie, zanim wszystko się skoń czy.

Alan przenosił wzrok z Thada na Lizę i z powrotem. Po długiej chwili, podczas której sły chać było jedynie głos policjanta z ochrony ustawionego przy frontowych drzwiach (drugi stał za domem), przemówił:

– Cały syf polega na tym, że wy, ludzie, naprawdę w to wierzycie, co?

Thad kiwnął głową.

– Ja w każdym razie wierzę.

– Ja nie – powiedziała Liza. Obaj mężczyźni popatrzyli na nią zaskoczeni. – Ja nie wierzę. Ja wiem.

Alan westchnął i głębiej wepchnął ręce w kieszenie.

– Jeśli tak mówicie... Ja nie wierzę. Nie mogę wierzyć, tak by to chyba trzeba określić... ale jeśli tak mówicie, to czego, do diabła, ten facet chce? Po prostu zemścić się?
– Bynajmniej – powiedział Thad. – Chce tego samego, co ty lub ja chcielibyśmy w jego

sytuacji. Chcę wreszcie przestać być martwy. Tego tylko chce. Wreszcie przestać być martwy. Tylko ja mogę to sprawić. A jeśli ja nie zdołam tego sprawić lub nie zechcę... no cóż... wtedy on przynajmniej postara się o towarzystwo.

George Stark telefonuje

Alan udał się na rozmowę z doktorem Hume'em, a agenci FBI właśnie kończyli przesłuchanie – jeśli tym słowem można określić czynność tak chaotyczną i dziwnie pozbawioną zapału – kiedy zadzwonił George Stark. Telefon odezwał się w pięć minut po tym, jak technicy policji stanowej (nazywali siebie „monterami”) wreszcie okazali z satysfakcją z działania akcesoriów podłączonych do aparatów.

Byli pełni niesmaku, choć nie zaskoczeni, gdy okazało się, że pod zewnętrzną powłoką ostatniego krzyku telekomunikacyjnej mody, aparatu telefonicznego marki „Merlin” własności państwa Beaumontów, funkcjonuje przedpotopowy dekadowy system.

– Człowieku, to niewiarygodne – rzekł monter imieniem Wes. (Ton głosu wskazywał, że tu, w miejscowości Kalosz Wschodni, nie spodziewał się niczego innego.) Drugi monter – o imieniu Dave – udał się więc do furgonetki na poszukiwanie właściwej przystawki czy innego urządzenia, które należało podłączyć do telefonów Beaumontów, aby móc sprostać wymaganiom techniki policyjnej końca dwudziestego wieku. Wes przewrócił oczyma i tak popatrzył na Thada, jakby ten był mu winien od razu w progę informację, że korzysta z urządzeń, które przetrwały z pionierskiej epoki telekomunikacji.

Żaden z monterów nie zaszczycił uwagą pracowników FBI. Chociaż federales przyjechali do Bangor z samego Bostonu, a następnie heroicznie pokonali dzikie, nawiedzane przez groźne wilki i niedźwiedzie ostępy między Bangor a Ludlow, monterzy traktowali ich tak, jakby ci egzystowali w spektrum widzianym nie lepiej niż promienie podczerwone lub rentgenowskie.

– Wszystkie telefony w miasteczku działają na tej zasadzie – pokornie tłumaczył się Thad. Miał zgagę. W normalnych okolicznościach stałby się gderliwy i nietowarzyski. Dziś czuł się jedynie zmęczony, bezbronny i okropnie smutny.

Wracał wciąż myślami do ojca Ricka, mieszkającego w Tucson, i rodziców Miriam z San Luis Obispo. Co stary pan Cowley myśli w tej chwili? Co myślą Penningtonowie? Jak ci ludzi, często wspominani w rozmowach, ale nigdy nie poznani osobiście, poradzą sobie z tym, co się wydarzyło? Jak można sobie poradzić nie ze śmiercią dziecka, ale ze śmiercią dorosłego dziecka? Jak można sobie poradzić z brutalnym, niepojętym faktem morderstwa?

Thad uświadomił sobie ponuro, że rozmyśla o żywych zamiast o umarłych tylko z jednego powodu – czuł się odpowiedzialny za wszystko. Czemu nie? Jeśli nie on odpowiadał za postępkę George’a Starka, to kto? Żbik Goldthwaite? Alexander Haig? Fakt, że staromodny system dekadowy, nadal tu używany, utrudnia założenie podsłuchu, to kolejny powód do samobiczowania.

– To chyba wszystko, panie Beaumont – powiedział jeden z agentów FBI. Do tej pory przeglądał notatki, równie obojętny na istnienie Wesa i Dave’a, jak monterzy byli obojętni względem niego. Obecnie tenże agent, noszący nazwisko Malone, zamknął oprawny w skórę notatnik, dyskretnie ozdobiony w dolnym lewym rogu inicjałami. Agent był ubrany w konserwatywny szary garnitur, włosy miał rozdzielone nieskazitelnym przedziałkiem po lewej stronie. – Masz jeszcze coś do dodania, Bill?

Bill alias agent Prebble zamknął swój notatnik – również oprawny w skórę, ale bez inicjałów – i potrząsnął przecząco głową. Agent Prebble nosił konserwatywny brązowy garnitur. Jego włosy również były rozdzielone nieskazitelnym przedziałkiem po lewej stronie.

– Może potem wynikną jakieś pytania w tej sprawie, ale na razie mamy wszystko, co potrzeba. Dziękujemy państwu za współpracę. – Obdarzył ich szerokim uśmiechem, szczerząc zęby osłonięte koronkami albo tak idealne, że aż dziw, i Thad pomyślał: „Gdybyśmy mieli po pięć lat, wręczyłby każdemu dyplom: DZIŚ BYŁ DZIEŃ WESOŁEJ BUZI!, żebyśmy w domku mieli co pokazać mamusi”.

– Bardzo nam miło – powiedziała Liza rozwlekłym, nieobecny głosem. Łagodnie masowała koniuszkami palców lewą skroń, jakby czuła nadchodzący ciężki ból głowy.

„Przypuszczalnie – pomyślał Thad – dopadł ją ból głowy”.

Popatrzył na zegar kominkowy. Dopiero wpół do trzeciej. Czy to najdłuższe popołudnie w życiu? Nie marzył, aby życie odpowiedziało twierdząco na to pytanie, ale podejrzewał, że to zrobi.

Liza wstała.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, chyba pójdę na chwilę wyciągnąć nogi. Nie czuję się zbyt rześko.

- To dobry... - „, pomysł” , zamierzał oczywiście skońżyć, ale zanim zdążył, zadzwonił telefon.

Wszyscy popatrzyli na aparat. Thad poczuł, że puls uderza mu w szyi jak młot kowalski. Kolejny balonik kwasu, gorący i żrący, uniósł się powoli w górę przełyku, spęczniał w gardle.

- Dobrze się składa - ucieszył się Wes. - Nie będzie trzeba gnać do budki, by przetestować łącza.

Thad nagle poczuł, że spowiała go chmura zimnego powietrza. Ruszyła wraz z nim. Do aparatu tulił się gadżet wyglądający jak przezroczysta cegła. Jedno z jego światełek pulsowało synchronicznie z terkotem telefonu.

„ Gdzie ptaki? Powinienem słyszeć ptaki” . Ale nie słyszał żadnych ptaków, odzywał się jedynie rozkazujący terkot telefonu marki „ Merlin

” . Wes, klęcząc przy kominku, wkładał narzędzia do czarnej walizki, która za sprawą przesadnie wielkich chromowych zatrzasków przypominała robotnicze menażki. Dave opierał się o framugę między jadalnią a bawialnią. Poprzednio zapytał Lizę, czy może się poczęstować bananem z wazy na stole. Teraz uważnie obierał go ze skóry. Od czasu do czasu przerywał pracę i oceniał swe wysiłki krytycznym okiem artysty pogrążonego w mękach twórczych.

- Wyciągnij próbnik obwodu, co? - rzucił Wesowi. - Jak będzie trzeba poprawić złącza, zrobi się od razu. Zaoszczędzimy sobie jeżdżenia tam i z powrotem.

- Dobry pomysł - powiedział Wes i ze swej przerośniętej menażki wyjął dings z uchwytem pistoletowym.

Obaj monterzy wyglądali na lekko zaskoczonych telefonem. Nic więcej. Agenci Malone i Prebble wstali. Pakowali notatniki, strząsali ostre jak noże kanty nogawek i ogólnie utwierdzali Thada w pierwotnej opinii: bardziej nadawali się na konsultantów podatkowych niż władających bronią pracowników tajnych służb. Malone i Prebble robili przy tym wrażenie kompletnie nieświadomych dźwięku aparatu.

Ale Liza wiedziała, co on znaczy. Przestała trzeć skroń i spoglądała na Thada szeroko otwartymi, wystraszonymi oczami osaczonego zwierzęcia. Prebble dziękował jej za kawę i francuskie ciastko, które im podała, i w równym stopniu nie reagował na jej milczenie jak na dzwonek telefonu.

„ Ludzie, co z wami, ludzie?! - : nagle chciał wrzasnąć Thad. - Po coście w ogóle podłączyli te wszystkie urządzenia?!”

Tak myśleć to oczywista nieuczciwość. W niecałe pięć minut po zainstalowaniu

urządzeń podsłuchowych poszukiwany dzwoni pierwszy do Beaumontów? Zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe! Tak lub podobnie zareagowaliby, gdyby ktoś głośno podsunął im tę możliwość. Nie tym torem toczą się sprawy w cudownym świecie techniki policyjnej ostatnich lat dwudziestego wieku! Thad, to dzwoni kolega po fachu z prośbą o podrzucenie jakiegoś świeżego pomysłu, a może ktoś chce pożyczyć od twojej żonki szklanę cukru! Ale facet uważający się za twoje alter ego? No, coś ty, Jasiu? Za wcześnie. Nadmiar szczęścia.

Tylko że to był Stark! Thad czuł to. I patrząc na żonę wiedział, że i ona jest podobnej myśli.

Wreszcie Wes spojrzął na Thada, bez wątpienia zachodząc w głowę, dlaczego gospodarz nie podnosi słuchawki świeżo spreparowanego telefonu.

„ Nie przejmuj się – pomyślał Thad. – Nie przejmuj się, on zaczeka. Masz pojęcie? On wie, że tu jesteśmy” .

– Hm, no to nie będziemy się już pani narzucać, pani Beau... – zaczął Prebbie, ale Liza odezwała się spokojnym, ale przepelnionym cierpieniem głosem:

– Proszę was. Lepiej zostańcie.

Thad podniósł słuchawkę i krzyknął:

– Czego chcesz, skurwysynu?! Czego ty, kurwa, chcesz?!

Wes podskoczył. Dave zamarł, nim zdążył nadgryźć banana. Głowy agentów federalnych odwróciły się jak na sprężynach. Thad z wielkim żalem, acz niezwykle gorąco zapragnął, żeby Alan Pangborn, zamiast rozmawiać z doktorem Hume' em daleko w Orono, był tu z nimi. Alan nie wierzył w Starka, przynajmniej jeszcze nie, ale chociaż był człowiekiem. Niewykluczone, że i tu obecni byli ludźmi, ale wątpliwe, by mieli świadomość, iż on i Liza też nimi są.

– To on, to on! – powtarzała Liza Prebble' owi.

– Och, Jezu – powiedział Prebbie. Wymienił z drugim nieustraszonym pieszczoszką prawa bezradne spojrzenia: „ Co my teraz, kurwa, zrobimy?!”

Thad widział i słyszał to wszystko, ale był od tego oddzielony. Oddzielony nawet od Lizy. Teraz liczył się tylko Stark i on sam. Znów razem po raz pierwszy, jak zwykli zapowiadać konferansjerzy w starych wodewilach.

– Daj se spokój, Thad – powiedział George Stark. Był rozbawiony. – Nie ma potrzeby walić z grubej rury. – Tego głosu Thad się spodziewał. Każdego tonu aż do lekkiego zaciągania typowego dla południowców, które zmieniało „ nie ma potrzeby” prawie w „ ni maaa poczebyyy” .

Dwaj monterzy wymienili uwagi, po czym Dave, nie wypuszczając banana z ręki,

pognał lotem strzały do furgonetki, w której był dodatkowy telefon. Wes zbiegł do piwnicy sprawdzić działanie uruchamianego głosem magnetofonu.

Nieustraszone pieszczoszki Effy Bijącej po jAJjach stały na środku pokoju i wytrzeszczały oczy. Każdy z nich wyraźnie chciał poszukać schronienia w ramionach drugiego. Malcy zabłąkali się w lesie.

- Czego chcesz? - zapytał Thad cichszym głosem.

- No cóż, po ptokach - rzekł Stark. - Ostatnią dopadłem w południe tę dziewczę, co dawniej pracowała dla Darwin Press w dziale głównego księgowego.

Prawie, prawie jak „w dziale głównego księgowego”.

- Od niej Clawsonik dostał cynk - powiedział Stark. - Gliny ją znajdują, miała mieszkanie przy Second Avenue w centrum. Resztki zostały na podłodze, część wyłożyłem na stole w kuchni. - Zaśmiał się. - Pracowity tydzień, Thad. Wszystko obkoczyłem na jednej nodze. Dzwonię tylko po to, żeby cię uspokoić.

- Daleko mi do spokoju - odrzekł Thad.

- Eee, rozważ to dobrze, stary koniu, rozważ to dobrze. Ja chyba machną się na Południe powędkować. To miejskie życie za dużo mnie kosztuje. - Zaśmiał się. Ten odgłos był pełen tak koszarnej radości, że Thad dostał gęsiej skórki.

Stark kłamał.

Thad był tego równie pewien jak tego, że Stark zaczekał, aż urządzenia podsłuchowe zostaną zamontowane, i dopiero wtedy zadzwonił. Czy mógł wiedzieć o czymś takim? Tak. Stark mógł sobie dzwonić z miasta Nowy Jork, ale łączyła go z Thadem ta sama niewidzialna, ale nierozzerwalna więź, która łączyła bliźnięta. Byli bliźniakami, połówkami całości, i Thad ze zgrozą poczuł, że opuszcza swe ciało, podąża drutem telefonicznym nie do samego Nowego Jorku, nie, ale zatrzymuje się w połowie tej pepowiny, może w zachodnim Massachusetts, i spotyka potwora. Spotykają się i znów łączą, podobnie jak spotykali się i łączyli za każdym razem, kiedy zakrywał pokrowcem maszynę do pisania i brał jednego z cholernych czarnych pięknisiów.

- Ty kłamliwy chuju! - zawołał.

Agenci FBI podskoczyli, jakby dostali klapsa w tyłek.

- Hej, Thad, to nieładnie! - powiedział Stark urażonym tonem. - Czy ty sobie wyobrażasz, że ja chcę cię skrzywdzić?! Gdzie tam, do diabła! Mściłem się za ciebie! Wiedziałem, że to na mnie spadnie. Wiem, że w piersi bije ci zajęcze serduszko, ale nie mam ci tego za złe; żeby stara ziemia zasuwiała jak trzeba, muszą ją deptać różne typki. Po cóż, na diabła, bym się pocił mszcząc za ciebie, gdybym nie potrafił ustawić wszystkiego po twojej

myśli?

Palce Thada przemknęły do małej białej blizny na czole i tarły, tarły skórę tak silnie, aż poczerwieniała. Usiłował – usiłował rozpaczliwie – pozbiierać myśli, utrzymać się w znanej mu rzeczywistości.

„ Kłamie. Ja wiem dlaczego i on wie, że ja wiem, i wie, że to nie ma znaczenia, bo nikt mi nie uwierzy. Wie, że im się to wszystko wydaje dziwne, wie, że słuchają, wie, co sobie myślą... Wie też, jak myślą, i dzięki temu czuje się bezpieczny. Oni myślą, że to psych, któremu tylko wydaje się, że jest George'em Starkiem. Muszą tak myśleć. Myśleć inaczej to odrzucić wszystko, czego się nauczyli, wszystko, czym są. Wszystkie linie papilarne na całym świecie tego nie zmieniają. Wie, że kiedy da do zrozumienia, że nie jest George'em Starkiem, kiedy da do zrozumienia, że wreszcie przejrzał na oczy, oni poluzują. Nie zdejmą ochrony natychmiast... ale zrobią to szybciej” .

– Wiesz, kto wpadł na ten pomysł, żeby cię pochować? Ja.

– Nie, nie! – gładko skłamał Stark i zabrzmiało to prawie (choć nie całkiem) jak „ niii, niii!” – Zbałamucili cię, to wszystko. Kiedy ta plwocina Clawson się napatoczył, walnęło cię zdrowo – w tym cała sprawa. Potem ta cyrkowa mała, która nazywała siebie agentem literackim, dała ci naprawdę fatalną radę. Thad, to było tak, jakby ktoś podał ci na stół jakiś syf. Ty wzywasz kogoś zaufanego i pytasz, co masz z tym zrobić, a wtedy ten ktoś mówi: „ Żaden problem! Polej to skwarkami. Gówno ze skwarkami znakomicie podchodzi w zimny wieczór” . Sam nigdy byś czegoś takiego nie zrobił. Wiem, że nie, koniu.

– To cholerne kłamstwo i wiesz o tym dobrze!

Nagle zrozumiał, jak to wszystko jest idealnie wykoncypowane. Jak dobrze Stark rozumie ludzi, z którymi ma do czynienia! „ Zaraz się niby odsłoni, zaraz to powie. Zaraz się odsłoni, powie, że nie jest George'em Starkiem. Uwierzą. Przesłuchają taśmy, które nagrywają się teraz w piwnicy, i uwierzą w to, co powie. Alan uwierzy, cała reszta. Nawet dlatego, że chcą w to uwierzyć, ale dlatego, że już w to wierzą” .

– W ogóle nie wiem, o czym mówisz – powiedział spokojnie, prawie przyjaźnie Stark.

– Nie będę dalej zawracał ci głowy, Thad, ale pozwól, że przed odejściem chociaż dam ci niezłą radę. A nuż ci się przyda. Nie wyobrażaj sobie, że jestem George'em Starkiem. Wystarczy, że ja popełniłem ten błąd. Musiałem zabić całą kupę ludzi, zanim przejrzałem na oczy.

Oszołomiony Thad słuchał. Powinien się odezwać, ale hamowało go niesamowite wrażenie oderwania od własnego ciała i niebywały tupet faceta!

Thad wspomniawszy próżne wysiłki, jakie podjął w celu przekonania Alana Pangborna, i

znów przeżył moment rozterki. Kim był wymyślając Starka, który na początku przecież należał tylko do kręgu postaci kolejnej opowiadki? Którędy przebiega granica między wiarą a niewiarą w wymyślone? Czy przekraczając w jakimś momencie tę granicę stworzył potwora, czy też istniał jakiś inny czynnik, nieznan, niewidzialny, a dający znać o sobie tylko ćwierkaniem upiornych ptaków?

- Nie wiem - mówił Stark śmiejąc się pogodnie - może faktycznie jestem tak zwariowany, jak mówili mi w tamtym domu.

„No wspaniale, wspaniale, zagnaj ich do przeszukania zakładów dla umysłowo chorych na Południu, niech rozglądają się za wysokim, szerokim w ramionach blondynem. To nie odciągnie od ciebie wszystkich, ale wystarczy na początek, prawda?”

Thad zacisnął mocno dłoń na słuchawce, w głowie czuł rwanie wywołane bezsilną wściekłością.

- Ale wcale nie żałuję tego, co zrobiłem, bo ja uwielbiam te książki, Thad. Kiedy siedziałem... tam... w wariatkowie... to chyba tylko dzięki nim nie sfiksowałem. I wiesz co? Teraz mi dużo lepiej. Wiem na pewno, kim jestem, a to już coś. Przeszedłem... powiedzmy, kurację, choć nie wydaje mi się, żeby ten sposób leczenia mógł się stać popularny, hm?

- Przestań kłamać, do cholery! - wrzasnął Thad.

- Możemy to przedyskutować - powiedział Stark. - Możemy przedyskutować na dziesiątą stronę, ale to zabrałoby trochę czasu. Zapewne powiedzieli ci, żebyś przytrzymał mnie ciut na linii, co?

„Nie. Nie muszą trzymać cię na linii. To leż wiesz”

- Pozdrów jak najserdeczniej swoją śliczną żonę - powiedział Stark. W głosie brzmiał mu prawie szacunek. - Uważaj na dzieci. I nie przejmuj się tak. Już nie będę ci się naprzykrzał. To jest...

- A co z ptakami? - nagle zapytał Thad. - Czy słyszysz ptaki, George?

Nagle w słuchawce zapadła cisza. Thad czuł, że towarzyszy jej pewne zdziwienie... jakby po raz pierwszy podczas całej rozmowy wydarzyło się coś niezgodnego ze starannie przygotowanym scenariuszem George'a Starka. Thad nie wiedział dokładnie, o co chodzi. Widocznie jego koniuszki nerwowe posiadały jakąś tajemną umiejętność, nie znaną reszcie organizmu. Przeżył moment dzikiego triumfu - takiego triumfu, jakiego doświadcza bokser amator, któremu udaje się przedrzeć przez gardę Mike'a Tysona i choć raz sieknąć mistrza.

- George... czy słyszysz ptaki?

W pokoju rozlegało się tylko tykanie zegara kominkowego. Liza i agenci FBI nie odrywali oczu od Thada.

- Nie wiem, o czym gadasz, koniu - powoli rzekł Stark. - Czy ci się coś...

- Ach, nie! - Thad zaśmiał się dziko. Nadal pocierał palcami małą białą bliznę na czole, mającą kształt znaku zapytania. - Nie wiesz, o czym mówię, tak? No to posłuchaj mnie minutkę, George. Ja słyszę ptaki. Jeszcze nie wiem, o co tu chodzi... ale się dowiem. A kiedy się dowiem...

Ale umilkł. Co zrobi, kiedy się dowie? Nie wiedział. Głos po drugiej stronie przemówił powoli, starannie dobierając słów, z naciskiem:

- To, o czym mówisz, Thad, cokolwiek by to było - nie ma znaczenia. Bo jest po ptokach.

Rozległ się trzask. Stark przepadł. Thad niemal poczuł szarpnięcie. Przeleciał drutem telefonicznym z tamtego mitycznego miejsca spotkania w zachodnim Massachusetts, szarpnięty nie z prędkością dźwięku czy światła, ale z szybkością myśli, i został gwałtownie wrzucony w swoje ciało. Stark jest bez niego tam, a on jest tu bez Starka.

Jezu!

Ciśnie ta słuchawka upadła krzywo na widełki. Odwrócił się. Zamiast nóg miał szczudła i nie obchodziło go, czy utrzymują właściwą postawę.

Dave wpadł do pokoju z jednej strony, Wes z drugiej.

- Działa idealnie! - wykrzyknął Wes. Agenci FBI podskoczyli raz jeszcze. Malone wydał odgłos niezwykle przypominający pisk, który w kreskówkach towarzyszy spotkaniu kobiety z myszą. Thad usiłował sobie przedstawić, jakie dźwięki wydaliby ci dwaj w konfrontacji z gangiem terrorystów lub uzbrojonymi w dubeltówki rabusiami banków, lecz wyobraźnia go zawiodła. „Może to wynik nadmiernego zmęczenia?” - pomyślał.

Dwaj monterzy wykonali niedźwiedzi tan, poklepując się po plecach, po czym wyprysnęli na dwór do furgonetki.

- To on - powiedział Thad do Lizy. - Zaprzeczył, ale to on. On!

Zbliżyła się do niego, objęła mocno. Potrzebował tego - nie wiedział jak bardzo, dopóki tego nie zrobiła.

- Wiem - szepnęła mu do ucha, a on zanurzył twarz w jej włosy i zamknął oczy.

Hałas obudził bliźnięta. Darły się teraz zdrowo. Liza poszła zająć się dziećmi. Thad ruszył za nią, ale zawrócił poprawić słuchawkę. Telefon natychmiast zadzwonił. Alan Pangborn na linii. Przed spotkaniem z doktorem Hume'em wstąpił na kawę do koszar policji

stanowej w Orono. Tam Dave przez radio przekazał mu wiadomość o telefonie i wstępnych zamiarach. Alan sprawiał wrażenie bardzo podekscytowanego.

- Nie dostaliśmy jeszcze pełnego namiaru, ale wiemy, że to Nowy Jork, kod miejscowy 212 - powiedział. - Pięć minut i mamy lokalizację.

- To on - powtórzył Thad. - Stark. Zaprzeczył, ale to był on. Ktoś musi sprawdzić, co dziewczyna. Chyba nazywa się Daria Gates.

- Dziwa z Vassar z nosem jak waza?

- Zgadza się - powiedział Thad. Wątpliwe, żeby Daria Gates dręczyła się jeszcze kiedykolwiek swoim nosem. Czuł ogromne zmęczenie.

- Przekażę nazwisko NYPD. Jak sobie radzisz, Thad?

- W porządku.

- A Liza?

- Może w tej chwili dajmy sobie spokój z tym wersalem, co? Słyszałeś, co mówiłem? To był on. Nieważne, co gadał, to był on!

- Hm... czemu nie poczekać i nie przekonać się o rezultatach namiarów?

W głosie Alana pojawiło się coś nowego. Nie był to ten rodzaj ostrożnego niedowierzania, okazanego po raz pierwszy, kiedy Alan zrozumiał, że Beaumontowie traktują George'a Starka jak żywego faceta, ale najprawdziwsze zażenowanie. Thad z rozkoszą udałby, że go nie słyszy, ale nowy ton w głosie szeryfa brzmiał aż za wyraźnie. Było to zażenowanie bardzo szczególnego rodzaju - daje znać o sobie wtedy, gdy rozmawiamy z kimś nazbyt poruszonym, zbyt głupim lub może po prostu zbyt tępym, by poczuć je samemu. Te rozważania wzbudziły w Thadzie przelotne gorzkie rozbawienie.

- Dobra, poczekamy i przekonamy się - zgodził się Thad. - A kiedy będziemy czekać, aż się przekonamy, mam nadzieję, że nie przestaniesz działać i spotkasz się z moim lekarzem.

Pangborn odpowiadał, informował o jakimś innym telefonie, który trzeba najpierw wykonać, ale nagle Thadowi wszystko stało się obojętne. Kwasy znów bulgotały, tym razem żołądek szalał jak wulkan. „George jest szczwany - pomyślał. - Sądzą, że go przejrżeli. On chce, żeby tak sądzili. Ustawia ich sobie, a kiedy odjadą, odjadą odpowiednio daleko, szczwany drogi George pojawi się w czarnym toronado. I jak mam go zatrzymać?”

Nie wiedział.

Odłożył słuchawkę, odebrał głos Alanowi Pangbornowi. Wszedł na górę pomóc Lizie przewinąć bliźnięta i ubrać je na popołudnie.

Nie przestawał myśleć o tym, jak się czuł uwięziony w drucie telefonicznym, biegnącym nad wiejskimi okolicami zachodniego Massachusetts, uwięziony w mroku ze

szczwanym drogim George' em Starkiem. A czuł się tam jak w miejscowości Koniec Pieśni.

Dziesięć minut później telefon znów się odezwał. W połowie drugiego sygnału umilkł i monter Wes wezwał Thada. Zszedł na dół.

- Gdzie ci z FBI? - zapytał Wesa.

Przez moment oczekiwał, że usłyszy wypowiedziane jak najpoważniejszym tonem:

„FBI? Nie widziałem nikogo z FBI” .

- Oni? Poszli. - Wes wzruszył pogardliwie ramionami, jakby chciał zapytać Thada, czego innego się spodziewał. - Oni siedzą tylko przy tych swoich komputerach. Jak człowiek się nimi nie bawi, to się i zastanowi, skąd to masowe bezrobocie i czy nie można by trochę ograniczyć budżetu, czy co.

- Czy oni w ogóle coś robią?

- Eee tam - krótko ujął rzecz całą Wes. - Nie przy okazji takich spraw. W każdym razie ja nigdy nie widziałem, żeby coś robili. Zapisują i tyle. Potem wsadzają do jakiegoś komputera. Mówiłem już.

- Rozumiem.

Wes popatrzył na zegarek.

- My z Dave'em też zmykamy. Sprzęt sam będzie działał. Nawet nie obciążymy pana rachunkiem.

- Dobrze - powiedział Thad idąc do telefonu. - I dziękuję.

- Nie ma sprawy. Panie Beaumont?

Thad odwrócił się.

- Gdybym miał przeczytać jakąś pańską książkę, to radziłby mi pan pisaną pod własnym nazwiskiem czy pod nazwiskiem tamtego gościa?

- Spróbuj pan tamtego - odparł Thad i uniósł słuchawkę. - Więcej się dzieje.

Wes kiwnął głową, zamarkował wojskowy salut i wyszedł.

- Halo? - odezwał się Thad. Właściwie powinien przymocować telefon do głowy.

Oszczędzi sobie czasu i atłasu. Oczywiście nie zapomni o namierniku. Ten będzie nosił w plecaku.

- Hej, Thad. Tu Alan. Wciąż siedzę u policjantów stanowych. Słuchaj, wiadomości o namierzeniu rozmówcy nie są zbyt pomyślne. Twój kumpel dzwonił z budki telefonicznej przy stacji benzynowej Penna.

Thad przypomniał sobie, co mówił drugi monter, Dave. Instalowanie tego kosztownego, nowoczesnego sprzętu służy namierzaniu automatów w pasażach handlowych.

- Jesteś zaskoczony?

- Nie. Zawiedziony, ale nie zaskoczony. Mamy nadzieję, że się pośliznie, i nie chcesz, to nie wierz, ale zwykle wcześniej czy później taki facet się pośliznie. Chciałbym wpaść wieczorem. Można?

- Można - odrzekł Thad - czemu nie? Gdyby było nudno, zagramy w brydża.

- Do wieczora spodziewamy się jego wykresów głosowych.

- Więc macie jego wykres głosowy. I co?

- Nie wykres. Wy - kre - sy.

- Nie...

- Wykres głosowy jest sporządzonym przez komputer graficznym obrazem charakterystyki wokalne danej osoby - powiedział Pangborn. - Nie ma żadnego związku ze sposobem mówienia; dokładnie biorąc, nie jesteśmy zainteresowani akcentacją, zahamowaniami mowy, wymową, tymi sprawami. Komputer „destyluje” wysokość i barwę tego, co eksperci nazywają emisją rezonatora czaszkowego oraz rezonatorów piersiowego i brzuszego. Podobnie jak w przypadku odcisków palców, nikt jeszcze nie widział dwóch identycznych wykresów głosowych. U bliźniaków jednojajowych różnią się jeszcze bardziej niż ich linie papilarne. Tak mi powiedziano.

Zrobił pauzę.

- Posłaliśmy taśmę z nagraniem o wysokiej rozdzielczości do FOLE w Waszyngtonie. Dostaniemy porównanie jego wykresu głosowego z twoim. Tutejsi faceci pewnie chcieli mi powiedzieć, że mam świra. Widziałem to w ich twarzach, ale po aferze z odciskami palców i twoim alibi nikt nie miał odwagi oznajmić tego głośno.

Thad otworzył usta, usiłował się odezwać, nie udało mu się, oblizał wargi, znów spróbował i znów mu się nie udało.

- Thad, znowu odwiesiłeś słuchawkę?

- Nie - powiedział i nagle głos mu się załamał. - Dzięki, Alan.

- Nie, nie mów tak. Wiem, za co dziękujesz, i nie chcę wprowadzać cię w błąd.

Trzymam się tylko standardowej procedury dochodzeniowej. W tym przypadku wygląda ona trochę dziwnie, to pewna, bo okoliczności - są trochę dziwne. Ale to nie oznacza, że powinieneś stawiać bezpodstawne hipotezy. Kojarzysz?

- Tak. Co to jest FOLE?

- FO... och, Federalny Urząd Policyjny. Może jedyna dobra rzecz, którą Nixon zrobił

podczas całej swojej cholernej okupacji Białego Domu. W FOLE mieszczą się głównie komputerowe banki danych, centralne archiwum dla lokalnych agencji policyjnych... i oczywiście informatyków, którzy w nich urzędują. Mamy dostęp do linii papilarnych prawie każdego przestępcy skazanego od 1969 roku. FOLE przeprowadza również analizy balistyczne na podstawie raportów, porównuje grupy krwi w sprawach o zabójstwo, tworzy wykresy głosowe i komputerowe rysopisy podejrzanych.

- Więc sprawdzimy, czy mój głos i jego...?

- Tak. Powinniśmy mieć wyniki do siódmej. Ósmej, gdyby komputery miały dużo do przemienienia.

Thad potrząsnął głową.

- Mamy bardzo różne głosy.

- Słyszałem taśmę i wiem o tym - powiedział Pangborn. - Powtarzam: wykres głosowy nie ma absolutnie nic wspólnego ze sposobem mówienia! Rezonator czaszkowy i piersiowy, Thad. To wielka różnica.

- Ale...

- Powiedz mi coś. Czy Elmer Fudd i Kaczor Kwak mówią według ciebie tym samym głosem?

Thad zamrugał.

- No... nie.

- Według mnie też nie - powiedział Pangborn - ale facet, który nazywa się Mel Blanc, robi za jednego i za drugiego... żeby nie wspomnieć o Króliku Bunnym, Ptaszku Tweetiem, Foghorn Leghornie i Bóg wie ilu innych. Muszę iść. Widzimy się wieczorem, dobra?

- Tak.

- Między wpół do ósmej a dziewiątą, gra?

- Czekamy na ciebie, Alan.

- Dobra. Cokolwiek by się działo, jutro wracam do The Rock i jeśli w sprawie nie nastąpi jakiś nieoczekiwany przełom, siedzę na miejscu.

- Niezbadane są wyroki Opatrzności, zgadza się? - powiedział Thad i pomyślał: „Przynajmniej on na to liczy”.

- Taaa... mam wiele innych rybek do podsmażenia. Żadna nie jest tak wielka jak ta, ludzie ^{ale} z Castle Rock płacą mi pensję za wrzucanie różnych rybek na patelnię. Wiesz, o co mi chodzi?

Thadowi wydało się to poważnym pytaniem, nie tylko banalną uwagą rzuconą dla podtrzymania rozmowy.

- Tak, wiem. - „Obaj wiemy. Ja... i szczwany George” .

- Muszę się stąd zbierać, ale wóz patrolowy policji stanowej będzie parkował pod twoim domem dwadzieścia cztery godziny, na dobę, aż się to skoń czy. Thad, ci faceci to twardziele. Gliny nowojorskie potrafią opuścić trochę gardę, ale nie spodziewaj się tego po facetach z patroli, którzy będą się tobą opiekowali. Nikt już nie zlekceważy tego świra. Ty i twoja rodzina nie będziecie zmuszeni samotnie stawić mu czoło. Jedni zajmą się rozpracowaniem sprawy, a drudzy będą pilnować ciebie i twoich bliskich. Rozumiesz to, prawda?

- Tak. Rozumiem. - I pomyślał: „Dziś. Jutro. Za tydzień . Może za miesiąc. Ale za rok? Mowy nie ma. Wiem. I on też wie. Teraz nie dowierzają temu, że poszedł po rozum do głowy i sobie odpuścił. Później... kiedy miną tygodnie i nic się nie wydarzy, nie tylko roztropność każe im uwierzyć, również gospodarność. George i ja wiemy, że świat zapycha wokół słoneczka po swym zwykłym torze tak jak my, i kiedy tylko wszyscy zajmą się wrzucaniem na patelnię innych rybek, George zjawi się i wrzuci na patelnię mnie. Nas” .

Piętnaście minut później Alan nadal tkwił w koszarach policji stanowej w Orono, nadal przy telefonie, nadal ze słuchawką w ręce. Usłyszał trzask. Młoda kobieta odezwała się z przeproszającą nutą w głosie:

- Czy może pan jeszcze trochę zaczekać, dowódco Pangborn? Komputer nie ma dziś najlepszego dnia.

Alan rozważył, czy nie oświecić jej, że jest szeryfem z małego miasteczka, nie dowódcą, najwyższym oficerem placówki policji stanowej, ale w końcu puścił ten tytuł mimo uszu. Często mylono jego funkcję.

- Jasne - powiedział.

TRZASK!

Znów czekał ze słuchawką przy uchu, skazany na dwudziestowieczną wersję czyścica.

Siedział w ciasnym pomieszczeniu biurowym na tyłach koszar. Gdyby przesunął się jeszcze bardziej na tyły, siedziałby w krzakach. Pomieszczenie zalegały zakurzone szafki z aktami. Jedno biurko - model z pochylonym, otwieranym blatem i dziurą na kałamarz - było wygnany cem ze szkoły podstawowej. Alan balansował sobie nim na kolanach i dla zabicia czasu przesunął w tył i w przód. Równocześnie obracał w kółko kartkę papieru. Drobnym, schludnym pismem zanotował na nim: „Hugh Pritchard” i pod spodem: „szpital okręgowy w

Bergenfield, New Jersey” .

Myślał o ostatniej rozmowie z Thadem. Tej, podczas której opowiedział mu, jak to dzielni policjanci stanowią będą bronić jego i jego żony przed złym wariatuń ciem, nazywającym siebie George'em Starkiem. Alan zastanawiał się, czy Thad uwierzył tym słowom. Wątpliwe. Człowiek utrzymujący się z beletrystyki wyczuje bajanie na milę.

No cóż, policjanci będą starali się ochronić Thada i Lizę, nie ma dwóch zdań . Ale Alan nie mógł zapomnieć tego, co wydarzyło się w Bangor w 1985 roku.

Pewna kobieta zażądała ochrony policyjnej i otrzymała ją, kiedy została dotkliwie pobita przez żyjącego z nią w separacji małżonka. Facet zagroził, że wróci i zabije, jeśli ona zrealizuje swe plany rozwodowe. Przez dwa tygodnie jednak nie wykonał ruchu. Policja w Bangor zamierzała właśnie wycofać strażników, kiedy małżonek się objawił. Przyjechał wozem z pralni, ubrany w zielone luźne spodnie, z napisem firmowym na koszuli. Podszedł do drzwi z tobołem bielizny. Policja może i rozpoznałaby faceta, nawet w stroju roboczym, gdyby zjawił się wcześniej, kiedy dopiero zaczynali służbę, ale tkwili tam długo i jak wreszcie się pokazał, nie zwrócili na niego uwagi. Zapukał do drzwi i gdy kobieta otworzyła, wyciągnął broń z kieszeni spodni i oddał śmiertelny strzał. Zanim gliniarze ogarnęli sytuację i wygrzebali się z wozu, facet podniósł rączki do góry. Dowód przestępstwa cisnął w krzak róż. „ Nie zabijajcie mnie – powiedział spokojnie. – Ja już skoń czyłem” . Okazało się, że samochód i ubranie pożyczył od starego kolesia moczymordy, który nawet nie wiedział, że sprawca ma na pień ku z żoną.

Wniosek narzucał się sam: jeśli ktoś ma do ciebie zadreę, to wystarczy mu odrobina szczęścia i dostanie cię. Weźmy Oswalda, weźmy Chapmana, weźmy to, co ten Stark zrobił ludziom w Nowym Jorku.

TRZASK!

– Jest pan tam jeszcze, dowódco? – spytał radośnie kobiecy głos ze szpitala okręgowego w Bergenfield.

– Tak – powiedział. – Jeszcze tu jestem.

– Mam informację, o którą pan prosił. Doktor Hugh Pritchard odszedł na emeryturę w 1978 roku. Mam jego adres i numer telefonu w Forcie Laramie, Wyoming.

– Mogę je otrzymać?

Podawała mu dane. Alan podziękował, odłożył słuchawkę i wybrał numer. Telefon Pritcharda umilkł w połowie pierwszego dzwonka, zaczęła pracę automatyczna sekretarka, sącząc Alanowi do ucha nagrany tekst.

– Halo, tu Hugh Pritchard – odezwał się chrapliwy głos.

„ Hm – pomyślał Alan – dobrze choć, że facet nie wykitował.

W każdym razie zrobiłem pierwszy krok we właściwym kierunku” .

– Helga i ja jesteśmy teraz nieobecni w domu. Ja chyba gram w golfa, Bóg wie co porabia Helga. – Rozległ się starczy, chrypliwy śmiech. – Jeśli masz wiadomość, proszę mówić po usłyszeniu sygnału. Masz jakieś pół minuty.

BIIP!

– Doktorze Pritchard, tu szeryf Alan Pangborn. Jestem funkcjonariuszem policyjnym z Maine. Muszę z panem porozmawiać na temat człowieka nazwiskiem Thad Beaumont. W 1960 roku usunął pan z jego mózgu obcą tkankę. Miał wtedy jedenaście lat. Proszę dać mi znać do koszar policji stanowej w Orono: 207 – 555 – 2121. Dziękuję.

Skoń czył lekko spocony. Przemawiając do sekretarki automatycznej, zawsze czuł się jak uczestnik teleturnieju, któremu koń czy się czas.

„ Po co w ogóle zawracam sobie tym głowę?”

Podał Thadowi proste wytłumaczenie: procedura. Sam nie mógł się zadowolić tak prostym wytłumaczeniem, ponieważ wiedział, że to żadna procedura. Byłoby to. zastosowanie się do procedury – no, powiedzmy, że byłoby – gdyby ten Pritchard operował faceta, który mówił o sobie Stark .

(tylko, że on już tak nie mówi, on mówi, że wie, kim naprawdę jest)

ale było inaczej. Pritchard operował Beaumonta, a zresztą miał go pod nożem dwadzieścia osiem lat temu.

Więc dlaczego?

Ponieważ wszystko było tu nie w porządku, oto dlaczego. Odciski palców były nie w porządku, grupa krwi na niedopałkach papierosowych, połączenie rozsądku i zbrodniczej furii, uparte utrzymywanie przez Thada i Lizę, że pseudonim żyje. Zwłaszcza to. Przy czymś takim mogła się upierać tylko parka szajbusów. I teraz doszło jeszcze coś, co było nie w porządku. Policja stanowa przyjęła bez żadnego oporu twierdzenie faceta, że wiem, kim naprawdę jest. Wszystko to było dla Alana tak autentyczne jak trzydolarówka. Na miłą czuł oszustwo, nabieranie gościa, wpuszczanie w maliny.

Zastanawiał się, czy aby na pewno poszukiwany zrobił już sobie wystarczająco dobrze.

„ Ale nic z tego nie odpowiada na jedno pytanie – szeptało mu coś w umyśle. – Dlaczego w ogóle zawracasz sobie tym głowę? Dlaczego dzwonisz do Fortu Laramie, Wyoming, i szukasz starego doktoraka, który najpewniej ma już demencję i nie pamięta Thada Beaumonta?

Ponieważ nie mam nic lepszego do roboty – odpowiedział sam sobie z irytacją. –
Ponieważ mogę zadzwonić stąd, nie narażając się na sarkanie burmistrza z powodu
cholernych opłat za międzymiastowe. I ponieważ oni w to wierzą – Thad i Liza. To
wariactwo, pewnie, ale pod każdym innym względem robią wrażenie całkiem normalnych... i
do cholery, oni w to wierzą. Co nie znaczy, że ja wierzę!

” I nie wierzył.

Nie wierzył?

Czas mijał powoli. Doktor Pritchard nie oddzwonił. Ale niebawem po ósmej gotowe
były wykresy głosowe i okazały się zdumiewające.

Wyglądały zupełnie inaczej, niż Thad oczekiwał.

Spodziewał się kartki papieru milimetrowego pokrytego ostrymi szczytami i dolinami,
które Alan będzie starał się im wyjaśnić. On i Liza będą mądrze kiwać głowami, jak to ludzie
słuchający tłumaczenia rzeczy zbyt skomplikowanej, by ją zrozumieć, świadomi, że jeśli o
coś zapytają, odpowiedź skołuje ich do reszty.

Alan jednak pokazał im dwie kartki zwyczajnego białego papieru. Przez środek każdej
biegła pojedyncza linia. Znalazło się tam kilka ostrych zygzaków, zawsze podwójnych lub
potrójnych, ale przeważnie linie były łagodnymi (choć mocno nieregularnymi) sinusoidalni.
Wystarczyło popatrzeć gołym okiem, aby stwierdzić, że są identyczne albo prawie
identyczne.

– To wszystko? – spytała Liza.

– Nie do końca – powiedział Alan. – Patrzcie. – Złożył kartki razem. Miał przy tym
minę prestidigitatora demonstrującego wyjątkowo ciekawą sztuczkę. Podniósł do światła.

Thad i Liza patrzyli uważnie na złożone kartki.

– Faktycznie – odezwała się Liza cichym, zdumionym głosem. – Takie same.

– Hm... nie całkiem – powiedział Alan i wskazał na trzy miejsca, w których wykresy
spodniej kartki wyłamywały się minimalnie ze wspólnego kursu. Jedno wyłamanie szło
bardziej w górę w stosunku do górnej kartki, pozostałe dwa w dół. We wszystkich trzech
przypadkach następowało to przy zygzakach. Sinusoidy pasowały do siebie idealnie. –
Różnice uwidaczniają się u Thada i jedynie w chwilach zdenerwowania. – Alan stuknął po
kolei palcem we wszystkie wyłamania. – Tu: „Czego chcesz, skurwysynu. Czego ty, kurwa,
chcesz”. I tu: „To cholerne kłamstwo i wiesz o tym dobrze”. I wreszcie tu: „Przestań
kłamać,

do cholery” . W tej chwili wszyscy fachowcy pracują nad tymi trzema drobnymi różnicami, bo fachowcy trzymają się założenia, że żadne dwa wykresy głosowe nigdy nie są podobne. Ale fakt faktem – Stark podczas rozmowy nie okazał zdenerwowania. Drań od początku do końca był chłodny, spokojny i opanowany.

– Taaa... – potwierdził Thad. – Był na luzie, jakby popijał lemoniadę.

Alan złożył wykresy głosowe na małym stolyczku.

– Nikt w kwaterze głównej policji stanowej nie wierzy, że to naprawdę mogą być różne wykresy głosowe, nawet przy tych drobnych różnicach. Przyszły z Waszyngtonu błyskawicznie. Przyjechałem tak późno dlatego, że ekspert w Augusta, kiedy je zobaczył, zażądał kopii taśm. Wysłaliśmy ją normalnym rejsem Eastern Airlines z Bangor, a oni przepuścili to przez gadżet, na który mówią „wzmacniacz” . Służy do odróżnienia głosu nagranych bezpośrednio od nagrania nagrania.

– Znaczący, odróżnia życie od kina – powiedział Thad. Siedział przy kominku i popijał pepsi.

Liza po obejrzeniu wykresów wróciła do kojca. Usiadła po turecku na podłodze, pilnując, by William i Wendy nie stuknęli się główkami. Bobasy obadywały sobie nawzajem stópki.

– Po co to robili?

Alan wskazał kciukiem na Thada, który uśmiechał się kwaśno.

– Twój mąż wie.

Thad zwrócił się do Alana:

– Przy niewielkiej różnicy zygzaków mogą przynajmniej bujać samych siebie, że nagrali dwa różne głosy, nawet jeśli w gruncie rzeczy wiedzą co innego – o to ci chodziło, nie?

– Mhm. Choć nigdy nie słyszałem, żeby wykresy głosowe były choćby w najmniejszym stopniu równie podobne. – Wzruszył ramionami. – Nie mam tak wielkiego doświadczenia jak faceci z FOLE. Oni żyją z badania tych spraw. Nie porównuję się nawet z facetami z Augusty, którzy mają bogatą praktykę – znają się na wykresach głosowych, liniach papilarnych, odciskach stóp, śladach kół. Ale czytam literaturę fachową i byłem na miejscu, kiedy przyszły te wyniki. Tak, bujają samych siebie, ale bez przekonania.

– Więc znaleźli trzy drobne różnice, ale to za mało. Problem polega na tym, że ja byłem zdenerwowany, a Stark nie. Więc skorzystali ze wzmacniacza licząc, że pomoże im wybrnąć z sytuacji. Liczyli, prawdę mówiąc, na to, że kwestie Starka okażą się nagraniem. Może mojego autorstwa. – Podniósł brew patrząc na Alana. – Wygrałem duszonego kurczaka?

- Nie tylko. Wygrałeś serwis na sześć osób i wycieczkę na Cyterę.

- To najbardziej zwariowana rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam - chłodno oświadczyła Liza.

Thad zaśmiał się bez specjalnego rozbawienia.

- Cała ta sprawa jest zwariowana. Myśleli, że mogę zmieniać głos jak Rich Little... albo Mel Blanc. Pomysł zakłada, że nagrywam taśmę z głosem George'a Starka, zostawiam pauzy tam, gdzie mogę odpowiedzieć w obecności świadków własnym głosem. Oczywiście muszę kupić gadżet, który podłączy magnetofon kasetowy do automatu telefonicznego. Takie rzeczy istnieją, prawda, Alan?

- A pewnie. Są dostępne w każdym sklepie z elektronicznymi częściami zamiennymi albo „dzwonisz na koszt rozmówcy pod numer, który pojawi się na twoim ekranie, telefonistki są w gotowości!”

- Zgadza się. Potrzeba mi tylko współnika - kogoś zaufanego, kto uda się na Dworzec Pensylwań ski, podłączy magnetofon do tego automatu, który jest najrzadziej używany, i o właściwej porze zadzwoni do mnie do domu. Wtedy... Ale jak zapłaci za rozmowę? O tym zapomniałem. Nie dzwonił na koszt rozmówcy.

- Użył twojej karty kredytowej - powiedział Alan. - Na pewno dałeś ją swojemu współnikowi.

- Taaa... oczywiście. Kiedy zaczęła się ta polka, musiałem zrobić tylko dwie rzeczy. Po pierwsze, należało samemu odebrać telefon. Po drugie, należało nie zapomnieć swoich kwestii i rzucać je w odpowiednich miejscach. Spisałem się znakomicie, co, Alan?

- Taaa... fantastycznie.

- Mój współnik odwiesza słuchawkę wtedy, kiedy powinien. Odłącza magnetofon od aparatu, pakuje pod pachę...

- Gdzie tam, wrzuca do kieszeni - powiedział Alan. - Produkują teraz taki klasa towar, że nawet CIA zamawia u nich sprzęt przez telefon.

- Dobra, wrzuca do kieszeni i po prostu odchodzi. W ten sposób odbywa się konwersacja, podczas której jestem zarówno widziany, jak i słyszany. Rozmawiam z człowiekiem odległym o pięćset mil, człowiekiem o innym głosie - w istocie ma ciut południowy akcent - ale którego wykres głosowy okazuje się identyczny z moim. Numer jak z odciskami palców, tylko że jeszcze lepszy. - Popatrzył na Alana szukając potwierdzenia.

- Jury po zastanowieniu - powiedział Alan - przyznaje ci w nagrodę bezpłatną wycieczkę do Portsmouth.

- Dziękuję.

- Ależ nie ma za co.

- To nie jest wariactwo - powiedziała Liza - to po prostu niewiarygodne. Myślę, że ci wszyscy ludzie powinni się dobrze stuknąć...

Podczas gdy rozmowa przykuła jej uwagę, bliźniętom wreszcie udało się zderzyć główkami. Podniosły zdrowy ryk. Liza wzięła na ręce Williama. Thad pospieszył na ratunek Wendy.

Kryzys zażegnano i Alan powiedział:

- To niewiarygodne, jak najbardziej. Wy o tym wiecie, ja o tym wiem i oni też o tym wiedzą. Ale Conan Doyle włożył w usta Sherlocka Holmesa jedną wielką prawdę o wykrywaniu zbrodni: kiedy wyeliminujesz wszystkie sprzeczne z logiką wyjaśnienia, zostanie ci odpowiedź... choćby była najbardziej nieprawdopodobna.

- Chyba oryginał brzmiał nieco bardziej elegancko - powiedział Thad.

Alan uśmiechnął się szeroko.

- Pierdol się.

- Może wam to się wydaje śmieszne, ale nie mnie - powiedziała Liza. - Thad musiałby zwariować, żeby zrobić coś takiego. Oczywiście policja może wyobrazić sobie, że oboje jesteśmy zwariowani.

- Nic takiego nie myśli - z powagą stwierdził Alan - przynajmniej jeszcze nie, i nie pomyśli, dopóki zachowacie swoje co dziksze opowiadki dla siebie.

- A co z tobą, Alanie? - wtrącił Thad. - Ty poznałeś wszystkie nasze dzikie opowiadki - i co sobie myślisz?

- Nie uważam was za wariatów. Wszystko byłoby dużo prostsze, gdybym w to wierzył. Nie wiem, co tu jest grane.

- A czego dowiedziałeś się od doktora Hume'a? - spytała Liza.

- Nazwiska lekarza, który operował Thada - odpowiedział Alan. - Hugh Pritchard. Czy brzmi ci to znajomo, Thad?

Thad zmarszczył czoło i zastanawiał się. Wreszcie rzekł:

- Chyba tak... ale może tylko bujam samego siebie. To było dawno temu.

Liza pochyliła się w przód, oczy jej błyszczały; William zagulgotał do ojca z bezpiecznego schronienia na kolanach matki.

- Co ci Pritchard powiedział?

- Nic. Odezwała się automatyczna sekretarka - co pozwala mi założyć, że facet jeszcze żyje - i to wszystko. Zostawiłem wiadomość.

Liza wyprostowała się na fotelu, wyraźnie zawiedziona.

- Co z moimi wynikami? - zapytał Thad. - Czy Hume już coś dostał? A może ukrywa je przed tobą?

- Powiedział, że jeśli dostanie wyniki, ty poznasz je pierwszy - oznajmił Alan. Wyszczrzył zęby. - Doktor Hume wydawał się raczej obrażony sugestią, że ma cokolwiek zdradzić szeryfowi okręgowemu.

- Taki jest George Hume. - Thad się uśmiechnął. - Na drugie ma Zrzęda.

Alan poprawił się w fotelu.

- Chciałbyś coś do picia? - zapytała go Liza. - Piwa, pepsi?

- Nie, dzięki. Wróćmy do tego, w co policja stanowa wierzy, a w co nie wierzy. Nie wierzy, że któreś z was jest w to zamieszane, ale rezerwuje sobie prawo, aby wierzyć, że możecie być zamieszani. Wie, że nie może tobie, Thad, przypisać roboty z wczorajszej nocy i dzisiejszego przedpołudnia. Mógł to zrobić twój wspólnik, tu zgoda - na przykład osoba, która wykonała numer z magnetofonem - ale nie ty. Ty byłeś tu.

- Co z Darią Gates? - cicho zapytał Thad. - Tą urzędniczką, która pracowała w dziale głównego księgowego?

- Nie żyje. Ciężko okaleczona, tak jak on sugerował, ale najpierw zastrzelona pojedynczym strzałem w głowę. Nie cierpiała.

- To kłamstwo.

Alan zamrugął.

- Nie wypuścił jej z rąk tak tanio. Nie po tym, co zrobiła dla Clawsona. Ona pierwsza doniosła. Clawson pomachał jej przed nosem jakąś sumką - niezbyt wielką, sądząc po stanie jego finansów - a ona w odpowiedzi puściła farbę. Więc nie opowiadaj mi, że zastrzelił ją, zanim porznął, i że nie cierpiała.

- W porządku - zgodził się Alan. - Nie było tak. Chcecie wiedzieć, jak naprawdę było?

- Nie - natychmiast powiedziała Liza.

Na moment zapadła przygniatająca cisza. Nawet bliźnięta zdawały się ją wyczuwać. Spojrzały na siebie z wielką powagą. Wreszcie odezwał się Thad:

- Pozwól, że powtórzę pytanie. Co myślisz ty? Co myślisz teraz?

- Nie mam żadnej teorii. Wiem, że nie nagrałeś wypowiedzi Starka, bo wzmacniacz nie wykrył szumu taśmy, a po podniesieniu poziomu słychać megafony Dworca Pensylwań skiego informujące, że „Pielgrzym” do Bostonu stoi na peronie trzecim. Tego popołudnia „Pielgrzym” faktycznie odjeżdżał z trzeciego. Ludzie zaczęli wsiadać o drugiej dwadzieścia sześć, co idealnie zbiega się z twoją pogaduszką. Ale to mi nawet niepotrzebne. Gdyby słowa Starka zostały nagrane na taśmę, zaraz po przyjeździe zapytalibyście mnie, co

wykazało wzmocnienie. Żadne z was tego nie zrobiło.

- Tyle danych i nadal nie wierzysz - powiedział Thad. - Ale ruszyło cię - ruszyło tak, że naprawdę chcesz dopaść doktora Pritcharda - z tym że nie potrafisz dojść do sedna wydarzeń. - Czuł taką bezradność i udręczenie, że nawet słyszał je w swym głosie.

- Facet przyznał, że nie jest Starkiem.

- O, tak. Okazał wielką szczerłość w tym względzie - zaśmiał się Thad.

- Zachowujesz się tak, jakby cię to nie zaskoczyło.

- Bo nie. A ciebie zaskoczyło?

- Szczerze mówiąc, tak. Zaskoczyło. Facet zadał sobie tyle trudu stwarzając wrażenie, że macie te same linie papilarne, ten sam wykres głosowy...

- Alan, zaczekaj sekundkę - powiedział Thad.

Alan zamilkł, patrząc pytająco na Thada.

- Powiedziałem ci dziś przed południem, że moim zdaniem George Stark może być sprawcą tych czynów. Nie moim współnikiem, nie psychem, któremu jakimś sposobem - między atakami morderczej żądz i fugami - udało się wynaleźć sposób na noszenie linii papilarnych innych ludzi. I nie uwierzyłeś mi. Czy teraz wierzysz?

- Nie, Thad. Chciałbym móc powiedzieć ci co innego, ale stać mnie tylko na to: wierzę, że ty wierzysz. - Przesunął wzrok na Lizę. - Że oboje wierzycie.

- Muszę spojrzeć w twarz prawdzie, skoro jest prawdopodobne, że uciekanie przed nią może mnie zabić - powiedział Thad. - Mnie i całą moją rodzinę. Więc robi mi się lżej na sercu, kiedy słyszę choć tyle, że nie masz teorii. Zrozum, odciski palców i wykres głosowy nic nie znaczą i Stark o tym wie. Mów co chcesz o eliminowaniu wszystkiego sprzecznego z logiką i akceptowaniu tego, co zostaje, choćby najbardziej nieprawdopodobnego, ale nie w tym rzecz. Ty nie akceptujesz Starka, a on jest właśnie tym, co pozostaje po wyeliminowaniu reszty! Pozwól, że ujmę to tak, Alan: kiedy masz guza mózgu, idziesz do szpitala na operację, nawet gdyby szanse przeżycia były bardzo marne.

Alan otworzył usta, potrząsnął głową i zamknął usta. Thad nagle poczuł się tak, jakby nie wychodził z tego pokoju przez całe swoje dorosłe życie. Słyszał tykanie zegara, cichutkie gaworzenie bliźniąt, ale przede wszystkim ciszę.

- Z jednej strony masz taką liczbę dowodów, że mógłbyś śmiało walczyć w poszlakowej rozprawie sądowej - podjął łagodnym głosem Thad. - Z drugiej zaś masz nie potwierdzone zapewnienie głosu w telefonie, że on „przejrzał na oczy” i „teraz wie, kim jest”
A jednak zamierzasz zignorować dowody na korzyść tego zapewnienia.

- Nie, Thad. To nieprawda. W tej chwili nie akceptuję żadnych zapewnień - ani

twoich, ani twojej żony, a już najmniej człowieka, który zadzwonił. Jestem otwarty na wszystkie możliwości.

Thad wskazał przez ramię kciukiem w kierunku okna. Za łagodnie powiewającymi zasłonami widać było wóz policji stanowej, należący do funkcjonariuszy pilnujących domu Beaumontów.

- A co z nimi? Czy oni są otwarci na wszystkie możliwości? Modlę się do Boga, żebyś został z nami, Alanie - wolę cię od armii policjantów stanowych, bo ty przynajmniej masz na wpół otwarte jedno oko. Oni mają oba mocno zamknięte.

- Thad...

- Dajmy spokój. To prawda. Wiesz o tym... i on też. On będzie czekał. A kiedy wszyscy uznają, że jest po wszystkim i Beaumontowie są bezpieczni, kiedy cała policja zwinie namioty i się wyniesie, zjawi się George Stark.

Zamilkł, twarz miał ponurą, wyrażającą wiele uczuć. Alan odczytał z niej żal, zdecydowanie i lęk.

- Powiem coś wam obojgu. Dobrze wiem, czego on chce. Chce, żebym znów napisał kryminał, pod którym podpisze się Stark - prawdopodobnie kryminał o Alexisie Maszynie. Nie wiem, czy zdołałbym napisać taką powieść, ale gdybym uważał, że to coś da, dziś wieczór cisnąłbym do kosza Złotego psa i zaczął pisać kryminał.

- Thad, nie! - zawołała Liza.

- Nie martw się - powiedział. - To by mnie zabiło. Nie pytaj, skąd to wiem, po prostu wiem. Ale nawet gdyby moja śmierć mogła zamknąć wszystko, podjąłbym się pisania. Nie sądzę jednak, żeby się na tym skoń czyło. Bo wątpię, aby on był człowiekiem.

Alan milczał.

- A więc...! - Thad przemówił tak, jakby zamykał ważny etap negocjacji. - Tak to wygląda. Nie mogę, nie będę, nie powinienem. Więc on się zjawi. A kiedy się zjawi, Bóg wie co nastąpi.

- Thad - rzekł Alan, czując się niezręcznie - potrzebujesz spojrzenia z dystansu, to wszystko. A kiedy ci się to uda, większość problemów po prostu... zniknie jak zdmuchnięta. Jak kulka mlecza. Jak zły sen po rannym przebudzeniu.

- Nie potrzeba nam spojrzenia z dystansu - powiedziała Liza. Zobaczyli, że płacze cicho, w jej oczach pojawiły się łzy. - Potrzeba nam kogoś, kto da mu w czapę.

Alan wrócił do Castle Rock nocą. Do domu dotarł tuż po drugiej. Wśliznął się jak najciszej. Zauważył, że Annie znów zapomniała włączyć alarm przeciwwłamaniowy. Nie zawracał jej drobiazgami głowy – ostatnio migreny nawiedzały ją dość często – ale na to chyba będzie musiał zwrócić jej uwagę.

Szedł na górę w skarpetkach. Poruszał się tak płynnie, jakby unosił się nad stopniami. Niezaprzeczalny wdzięk jego ruchów był dokładnym przeciwieństwem niezdarności Thada Beaumonta. Alan rzadko ujawniał tę cechę; wydawał się jakby zażenowany tajemnymi umiejętnościami swego ciała. Teraz w zalegającej dom ciszy nie musiał się kryć, sunął więc jak cień z niemal makabryczną gracją.

W połowie schodów zatrzymał się... i wrócił na parter. Miał małą dziuplę przylegającą do schowka na miotły. Stało tam tylko biurko i trochę półek z książkami, ale to zaspokajało jego potrzeby. Starał się nie zamieniać domu w drugi posterunek. Nie zawsze mu się to udawało, ale starał się pilnie.

Zamknął drzwi, zapalił światło i popatrzył na telefon.

„ Chyba nie zamierzasz tego zrobić? – zapytał sam siebie. – Przecież w Górach Skalistych jest prawie północ, a facet nie jest zwykłym lekarzem na emeryturze, jest neurochirurgiem na emeryturze. Obudzisz go i gotów zmieszać cię z błotem” .

Ale Alan, pomyślał o oczach Lizy Beaumont – ciemnych, przestraszonych oczach – i zdecydował się zrobić, co zamierzał. Może nawet się to na coś przyda, telefon późną nocą potwierdzi wagę sprawy i zmusi doktora Pritcharda do zastanowienia. Potem zadzwoni do niego o rozsądniejszej porze.

„ Kto wie – pomyślał bez zbytej nadziei (ale z lekkim rozbawieniem) – może brakuje mu telefonów w środku nocy” .

Wyjął kawałek kartki z kieszeni bluzy mundurowej i wycisnął numer Hugh'a Pritcharda w Forcie Laramie. Zrobił to na stojąco, przygotowując się na chrapliwy wybuch gniewu.

Niepotrzebnie się przejmował; sekretarka automatyczna włączyła się po takim samym sekundowym dzwonku i przekazała, informację.

Odłożył słuchawkę zamyślony, siadł za biurkiem. Przykryta abażurem lampa na giętym ramieniu kładła okrągłą plamę światła na blat biurka i Alan zabawił się rzucaniem cieni – królika, psa, jastrzębia, nawet całkiem udanego kangura. Jego ręce miały ten sam urok, którym promieniowała reszta ciała, kiedy był sam i nie miał zajęć. Dzięki tym niesamowicie

ruchliwym palcom zwierzęta maszerowały pochodem przez drobny krąg światła lampy; jedno przemieniało się w drugie. Ta krótka rozrywka zawsze fascynowała i bawiła dzieci, często leczyła samego Alana z niepokoju.

Nie dziś.

„Doktor Pritchard nie żyje. Stark też go dopadł”.

Oczywiście, że to nieprawdopodobieństwo. Gdyby ktoś przystawił Alanowi broń do skroni, uwierzyłby w istnienie ducha, ale nie w istnienie złowrogiego ducha – Supermana, który może przejść cały kontynent jednym krokiem. Alan potrafił wymyślić kilka niezłych przyczyn, dla których ktoś włączał na noc automatyczną sekretarkę. Chociażby po to, żeby nie być niepokoiony przez dzwoniących późno nieznanym w rodzaju szeryfa Alana J. Pangborna z Castle Rock, Maine.

„Taaa... ale on nie żyje. I jego żona też nie żyje. Jak jej było? Helga. »Ja chyba w golfa, ^{gram} Bog wie co porabia Helga«. Ale ja wiem, co porabia Helga, wiem, co oboje porabiacie. Broczycie krwią z podejrziętych gardeł, a na ścianie waszej bawialni, daleko w Krainie Bezkresnego Nieba, jest napis: WRÓBLE ZNÓW FRUWAJĄ”.

Alan zadygotał. To była wariacka myśl, ale i tak zadygotał. Drżenie szarpnęło ciałem szeryfa jak ostry drut.

Przywołał centralę Wyoming, dostał numer biura szeryfa w Forcie Laramie i zadzwonił tam. Dyspozytor odpowiedział na w pół śpiącym głosem. Alan przedstawił się, powiedział, z kim usiłował się porozumieć, i podał jego adres. Zapytał, czy mają doktora Pritcharda i jego żonę w swojej „rubryce wakacyjnej”. Gdyby lekarz z żoną faktycznie udali się na wakacje – a właśnie zaczynał się okres wyjazdów – prawdopodobnie poinformowaliby o tym lokalnych stróżów prawa i poprosili o zwrócenie uwagi na pusty dom.

– Hm, może zechciałbyś podać mi swój numer? – spytał dyspozytor. – Oddzwonię z informacją.

Alan westchnął. Taka była standardowa procedura. Kolejne sranie w banię, żeby nie przesadzić z elegancją. Dyspozytor nie palił się z podaniem informacji, dopóki nie będzie pewien, że Alan jest tym, za kogo się podaje.

– Nie – powiedział. – Dzwonię z domu i jest środek nocy...

– Tu też jest kawałek czasu do południa, szeryfie Pangborri – usłyszał lakoniczną odpowiedź.

Alan weschnął.

– Nie wątpię, że to prawda, i nie wątpię, że twoja żona i dzieci nie śpią na górnym piętrze biura szeryfa. Przyjacielu, zrób rzecz następującą: zadzwoń do koszar policji stanowej

w Oxfordzie, Maine – podyktuję ci numer – i sprawdź mnie. Podadzą ci mój służbowy numer identyfikacyjny. Odezwę się w jakieś dziesięć minut i sprawdzimy hasło.

– Wal – powiedział dyspozytor, ale nie wydawał się uszczęśliwiony. Alan uznał, że mógł oderwać faceta od nocnego programu telewizyjnego albo ostatniego numeru „Penthouse’a”. – A o co chodzi? – zapytał policjant, powtórzywszy numer koszar policji stanowej w Oxfordzie.

– Prowadzę śledztwo w sprawie o morderstwo i rzecz jest pilna. Nie zawracam ci głowy moim zdrowiem, przyjacielu. – Odłożył słuchawkę.

Siedział za biurkiem, rzucał cienie zwierzątek i czekał, aż sekundnik obiegnie tarczę zegarka dziesięć razy. Trwało to bardzo długo. Wskazówka koń czyła dopiero piątą rundę, gdy drzwi gabinetu otworzyły się i weszła Annie. Miała na sobie różowy szlafroczek i w jej postaci było coś z ducha. Znów poczuł, jak rodzi się w nim drżenie, jakby spojrzął w przyszłość i zobaczył coś niemiłego. Nawet groźnego.

„ Jak bym się czuł, gdyby to do mnie on miał zadreć? – nagle przyszło mu na myśl. Do mnie, Annie, Toby’ego i Todda? Jak bym się czuł, gdybym wiedział – kim on jest... i nikt mi nie wierzył?”

– Alanie, czemu siedzisz tu tak późno?

Uśmiechnął się, wstał i pocałował swobodnie żonę.

– Czekam, żeby działanie narkotyku ustało, o nic więcej nie chodzi.

– Nie, pytam poważnie – czy to ta sprawa z Beaumontem?

– Taaa... Usiłowałem dopaść lekarza, który może coś o tym wie. U niego odzywa się tylko automatyczna sekretarka, więc zadzwoniłem do biura szeryfa, by się dowiedzieć, czy mają go w „rubryce wakacyjnej”. Facet pewnie sprawdza, czy jestem osobą godną zaufania. Popatrzył na Annie z ostrożnym zafrasowaniem. – Jak się czujesz, skarbie? Głowa ci dokucza?

– Nie, ale usłyszałam, jak przyjechałeś. – Uśmiechnęła się. – Kiedy chcesz, potrafisz być najcichszym mężczyzną na świecie, ale nic nie poradzisz z samochodem.

Uściskał ją.

– Masz ochotę na filiżankę herbaty? – zapytała.

– Broń Boże. Wypiłbym szklankę mleka, jeśli jesteś tak dobra.

Zostawiła go i wróciła po chwili z mlekiem.

– Jaki jest pan Beaumont? Kilkakrotnie widziałam go w mieście. Jego żona od czasu do czasu przychodzi do firmy, ale z nim nigdy nie rozmawiałam.

Firmą był zakład galanteryjno – krawiecki „Szyjemy Jak Nikt”, którego właścicielką i

kierowniczką była Polly Chalmers. Annie Pangborn pracowała tam na niepełnym etacie od czterech lat.

Alan zastanowił się nad odpowiedzią.

- Lubię go - powiedział wreszcie. - Nie od początku - miałem go za zimną rybę. Ale zastałem go w ciężkiej sytuacji. Jest po prostu... oderwany od życia. Może z powodu tego, co robi.

- Bardzo podobały mi się jego obie książki - powiedziała Annie.

Uniósł brwi.

- Nie wiedziałem, że je czytałaś.

- Nigdy nie pytałeś, Alanie. A kiedy wybuchła ta bomba z pseudonimem, spróbowałam wziąć się do którejś z tych innych. - Zmarszczyła nosek z obrzydzeniem.

- Niedobra?

- Okropna. Bałam się przy niej. Nie skoń czyłam. Nigdy bym nie uwierzyła, że napisał ją ten sam człowiek.

„A wiesz co, dziecinko? - pomyślał Alan. - On też nie wierzy

”
- Powinnaś wracać do łóżka - powiedział - bo znów się obudzisz z waleniem w skroniach.

Potrząsnęła głową.

- Myślę, że Migrenowy Potwór przepadł, przynajmniej na chwilę. - Przyjrzała się mężowi spod opuszczonych rzęs. - Nie zasnę, dopóki się nie zjawisz... jeśli oczywiście nie zjawisz się zbyt późno.

Ujął jej pierś przez szlafroczek i pocałował rozchylone usta.

- Będę na gorze najszybciej, jak tylko potrafię.

Wyszła i Alan stwierdził, że minęło ponad dziesięć minut. Zadzwoił do Wyoming i usłyszał tego samego zaspanego dyspozytora.

- Myślałem, że zapomniałeś o mnie, przyjacielu.

- Bynajmniej - odpowiedział Alan.

- Zechciałbyś podać mi swój numer identyfikacyjny, szeryfie?

- 109 - 44 - 205 - ME.

- Wyglądasz na nie podrabiany artykuł, zgadza się. Przepraszam, że o tak późnej porze zmuszam cię do tych wszystkich bzdur, szeryfie Pangborn, ale mam nadzieję, że rozumiesz.

- Rozumiem. Co możesz mi powiedzieć o doktorze Pritchardzie?

- Figuruje razem z żoną w „rubryce wakacyjnej”, jak najbardziej - powiedział dyspozytor. - Są w parku Yellowstone na kempingu aż do końca miesiąca.

„ No i masz – pomyślał Alan. – A widzisz? Siedzisz tu w środku nocy i boisz się własnego cienia. Żadnych podciętych gardel. Żadnych napisów na ścianie. Dwójka starszków pojechała sobie na wycieczkę kempingową” .

Ale nie poczuł wielkiej ulgi. Zapowiadało się, że doktor Pritchard będzie człowiekiem trudno uchwytnym co najmniej przez kilka tygodni.

– Gdybym chciał przekazać facetowi wiadomość, czy sądzisz, że dałoby się to wykonać? – spytał Alan.

– Myślę, że tak – powiedział dyspozytor. – Zadzwoń do obsługi parku Yellowstone. Wiedzą, gdzie jest albo gdzie powinien być. To może trochę potrwać, ale pewnie ci go znajdą. Zetknąłem się z nim kilka razy. Wygląda na strawnego dziadka.

– Hm, dobrze wiedzieć – odparł Thad. – Dzięki za użyczenie swojego czasu.

– Nie ma o czym mówić, po to tu jesteśmy.

Alan usłyszał lekki szelest kartek i wyobraził sobie, jak pół kontynentu dalej anonimowy facet sięga po „ Penthouse’a” .

– Dobrej nocy – powiedział.

– Dobrej nocy, szeryfie.

Alan położył słuchawkę, siedział przez chwilę, wyglądał przez okno swojej dziupli w ciemność.

„ On tam gdzieś jest. Gdziekolwiek. I wciąż się przybliża

”
Alan po raz wtóry zastanowił się, jak by się czuł, gdyby to jego życie – i życie Annie oraz dzieci – było zagrożone. Zastanawiał się, jak by się czuł, gdyby o tym wiedział, a nikt mu nie wierzył.

„ Znów zrobiłeś sobie w domu drugi posterunek, kochanie” – usłyszał w wyobraźni głos Annie.

I to była prawda. Piętnaście minut temu był przekonany – jego nerwy były przekonane, jeśli nie umysł – że Hugh i Helga Pritchard leżą martwi w kałuży krwi. To okazało się nieprawdą; tej nocy śpią spokojnie pod niebem pełnym gwiazd w parku narodowym Yellowstone. To byłoby na tyle z intuicją; jakoś wystawiła cię do wiatru.

„ Tak będzie się czuł Thad, kiedy dojdziemy, co tu się naprawdę dzieje – pomyślał. – Kiedy odkryjemy, że wytłumaczenie, choć niezwykle, jest zgodne z prawami natury” .

Naprawdę w to wierzył?

Tak, zdecydował – naprawdę. Przynajmniej umysł to potwierdzał. Nerwy mniej.

Alan dopił mleko, zgasił lampkę i poszedł na górę. Annie ciągle nie spała, a jej nagość była boska. Wzięła go w ramiona i Alan z zadowoleniem pograżył się w całkowitym

zapomnieniu.

Stark zatelefonował dwa dni później. Thad Beaumont był wtedy „U Dave’a”. W tym zacisznym sklepiku oddalonym o półtorej mili robiło się świetne zakupy, kiedy jazda do supermarketu w Brewer wydawała się zawracaniem głowy.

Thad pojechał tam w piątek wieczór po transporterki pepsa, chrupki i krem do krakersów. Towarzyszył mu jeden z policjantów opiekujących się rodziną. Był dziesiąty czerwca, w pół do siódmej, całkiem jasno. Lato, cudowna zielona dziwka, zajęchało do Maine.

Gliniarz siedział w wozie, a Thad wszedł do sklepu. Wziął pepsa i przeglądał bogaty wybór sosów (mogłeś wybrać ulubiony mażowy, a jak nie lubiłeś ulubionego mażowego, ulubiony cebulowy), kiedy zadzwonił telefon.

Thad od razu zareagował i podniósł głowę: „No tak!”

Stojąca za ladą Rosalie odebrała, powiedziała „halo”, posłuchała, wyciągnęła w kierunku Thada słuchawkę, dokładnie tak jak to przewidział. Znow ogarnęło go senne uczucie presque vu.

– Telefon, panie Beaumont.

Był całkiem spokojny. Serce potknęło się raz, ale tylko raz. Teraz truchtało zwykłym rytmem. Nie pocił się.

I nie słyszał ptaków.

Nie czuł cienia strachu i wściekłości, jakie miotaly nim trzy dni wcześniej. Nie pytał Rosalie, czy to żona prosi o zakup tuzina jajek, a może kartonu soku pomarań czowego. Wiedział, kto dzwoni.

Stał akurat przy komputerze lotto „Megabucks”. Jasnozielony ekran informował, że w zeszłym tygodniu nie było zwycięzcy i bank wynosi cztery miliony dolarów. Thad wziął słuchawkę od Rosalie i powiedział:

– Witaj, George.

– Witaj, Thad. – Głos nie stracił lekkiego południowego akcentu, ale gwarowy nalot wiejskiego ciotka całkowicie znikł. I dopiero teraz Thad uświadomił sobie, jak subtelnie, a jednocześnie wyraziście, Starkowi udało się przekazać sygnał cześć – chłopaki – zmyślny – to – może – nie – jezdem – ale – łudało – mi – się – hy – hy – hy. „A to teraz to so tylko sami swoji – pomyślał Thad. – Dwóch białych pisorzy stoi se godo”ⁱ.

- Czego chcesz?

- Wiesz czego. Przed sobą nie musimy się zgrywać. Trochę na to za późno.

- Może tylko chciałbym usłyszeć to z twoich ust. - Tamto uczucie, przedziwne uczucie wysiania z ciała i przemieszczenia drutem telefonicznym do miejsca znajdującego się dokładnie w połowie odległości między nimi, wróciło.

Rosalie przeszła w głąb pomieszczenia za ladą. Wykładała papierosy z kartonów na półkę. Ostentacyjnie, w niemal zabawny sposób nie słuchała Thada. Nikt w Ludlow - przynajmniej w tej części miasteczka - nie był nieświadomy, że Thad jest pod policyjną strażą czy pod policyjną ochroną, czy jakimś innym policyjnym cholerstwem. Thad nie musiał słuchać plotek, żeby wiedzieć o ich istnieniu. Ci, którzy nie wierzyli, że niebawem zostanie aresztowany za rozprowadzanie narkotyków, bez wątpienia wierzyli, że molestuje nieletnich lub bije żonę. Biedna, kochana Rosalie starała się zachować przyzwoicie i Thad poczuł absurdalną wdzięczność. Równocześnie czuł się tak, jakby patrzył na nią przez drugi koniec potężnego teleskopu. Siedział w telefonicznym drucie jak w króliczej norze i zamiast białego królika był tylko szczwany drogi George Stark, człowiek, którego tu być nie powinno. Ale był.

Szczwany drogi George. I tu, w Koń cu Pieśni, wszystkie wróble znów fruują.

Starał się otrząsnąć z tego uczucia. Starał z całej mocy.

- Zasuważ, George - powiedział. Z zaskoczeniem usłyszał w głosie szorstki ton furii. Był oszołomiony; potężny nurt unosił go daleko w przestrzeń, w nierealność... ale, na Boga, jaki trzeźwy i stanowczy miał głos! - Wyduś to z siebie, no, wal!

- Jeśli ci na tym zależy.

- Zależy.

- Czas zacząć nową książkę. Nowego „starka”.

- Nie sądzę.

- Nie mów tak! - Ostry ton zabrzmiał jak trzask bicia zakoń czonego śrucinami. - Naszkicowałem ci rysunek, Thad. Rysunek dla ciebie. Nie zmuszaj mnie, żebym naszkicował go na tobie!

- Ty nie żyjesz, George. Brak ci rozumu, żeby spocząć w grobie.

Rosalie lekko odwróciła głowę. Thad dostrzegł jedno wytrzeszczone oko, zanim szybko wróciła do półki z papierosami.

- Uważaj, co mówisz! - W tym głosie była prawdziwa furia. Ale czy i nie coś innego? Może strach? Ból? Jedno i drugie? A może Thad tylko oszukuje samego siebie?

- Co się dzieje, George? - zadrwił nagle. - Zapodziałeś swoje radosne myśli?

Cisza. Thad zaskoczył go, wytrącił z równowagi choć na chwilę. Był tego pewien. Ale dlaczego? Co było przyczyną?

- Słuchaj mnie, druhu - odezwał się Stark. - Daję ci tydzień na wzięcie się do roboty. Nie wyobrażaj sobie tylko, że możesz mi wcisnąć ciemnotę. O, nie. - Z tym że ostatnie słowo naprawdę brzmiało „niii”. Tak, George był zdenerwowany. Zanim się wszystko to skoń czy, Thad może zapłacić wysoką cenę, ale na razie czuł tylko dziką przyjemność. Dobrał mu się do skóry. Wyglądało, że podczas tych pogaduszek, intymnych jak we śnie, nie tylko Thad czuje się bezbronny i koszmarnie bezradny. Zranił Starka, czuł to z bezbrzeżną rozkoszą.

- Temu nie przeczę. Żaden z nas nie potrafi drugiemu wcisnąć ciemnoty. Niech sobie będzie co chce, ale żadnego wciskania ciemnoty między nami być nie może.

- Pomysł masz - powiedział Stark. - Miałeś go, zanim ten cholerny gówniarz wykombinował szantaż. Chodzi mi o tę historię z weselem i opancerzonym samochodem.

- Wyrzuciłem swoje notatki. Skoń czyłem z tobą.

- O, nie! Wyrzuciłeś moje notatki, nie swoje! Ale to bez znaczenia. Notatki ci niepotrzebne. To będzie dobra książka.

- Nie rozumiesz. George Stark nie żyje!

- To ty nie rozumiesz - odrzekł Stark. Przemawiał głosem cichym, głuchym, bezbarwnym. - Daję ci tydzień . I jak nie będziesz miał co najmniej trzydziestu stron rękopisu, zajmę się tobą, koniu. Ale nie od ciebie zacznę - to byłoby za proste. To byłoby dużo za proste. Najpierw zajmę się twoimi dziećmi. Nie umrą szybko. Postaram się. Wiem jak. Nie będą wiedziały, co się dzieje, tylko tyle, że umierają i okropnie boli. Ale ty będziesz wiedział, ja będę wiedział i twoja żona będzie wiedziała. Za nią wezmę się w drugiej kolejności... tylko że zanim się za nią wezmę, to ją wezmę. Wiesz, o co mi chodzi, stary koniu. A kiedy ich już nie będzie, załatwię ciebie, Thad. Umrzesz tak, jak jeszcze żaden człowiek nie umarł.

Urwał. Thad słyszał bliskie chrapliwe dyszenie. Jak z pyska psa w upalny dzie

ń Nie wiedziałeś o ptakach - cicho powiedział Thad. - Temu nie zaprzeczysz, co?

- Thad, gadasz od rzeczy. Jak nie zaczniesz szybko, sporo ludzi zakosztuje bólu. Czas ucieka.

- Och, słucham cię uważnie. Zastanawiam się tylko, jak mogłeś napisać to na ścianie u Clawsona i u Miriam, nie wiedząc o tym.

- Lepiej przestań chrzanić i zacznij gadać z sensem, przyjacielu - powiedział Stark, Thad usłyszał w jego głosie wyraźne oszołomienie, nagi strach. - Nic nie było pisane na ścianach.

- O, było. Było, było. I wiesz co, George? Może dlatego o tym nie wiesz, bo to ja

писаłem. Myślę sobie, że częściowo byłem tam. Jakimś cudem tam byłem i obserwowałem cię. Myślę sobie, że z nas dwóch tylko ja wiem o wróblach. Myślę sobie, że to może ja zrobiłem te napisy. Lepiej zastanów się nad tym, George... zastanów się dobrze... zanim zaczniesz mnie przyciskać.

- Słuchaj - przemówił Stark, łagodnie podkreślając słowa. - Słuchaj dobrze. Najpierw dzieci... potem żona... potem ty. Zaczynaj nową książkę. To najlepsza rada. Najlepsza, jaką dostałeś w swoim zaszranym życiu. Zaczynaj nową książkę. Ja nie umarłem. - Długa pauza. Potem cichy, prawie wahający się głos powiedział: - I nie chcę umrzeć. Więc jedź do domu, naostrz ołówki, a jeśli trzeba ci zachęty, pomyśl, jak twoje dzieciaczki będą wyglądać z buziami pełnymi szkła. Nie ma żadnych cholernych ptaków. Zapomnij o nich. Już! I bierz się za pisanie.

Trzask.

- Pierdol się - szepnął Thad w martwą słuchawkę i powoli położył ją na widełki.

Upadek Wendy

Thad był pewien, że sytuacja rozwiązałaby się sama w takim czy innym kierunku bez względu na wydarzenia. Po prostu George Stark wcale nie zamierza zniknąć. Ale doszedł do przekonania, nie pozbawionego zresztą podstaw, że upadek Wendy ze schodów, dwa dni po telefonie Starka do sklepu Dave'a, raz a dobrze wyznaczył dalszy bieg wypadków.

Co najważniejsze, ten epizod wreszcie wskazał mu drogę postępowania. Przeżył dwa dni w nieustannym bezładzie. Nie potrafił się skupić nawet na najprostszych programach telewizyjnych, nie mógł czytać, a myśl o pisaniu wydawała mu się porównywalna z ideą podróżowania z prędkością światła. Przeważnie wałęsał się z pokoju do pokoju, przysiadł i znów ruszał. Właził Lizie pod nogi i działał na nerwy. Nie rugała go, choć czuł, że nieraz musiała przygryźć język, aby nie sprawić mężowi chłosty – werbalnej, rzecz jasna.

Dwa razy zabierał się do opowiedzenia jej o drugim telefonie Starka, kiedy to szczywany George bez ogródek podzielił się z nim swoimi planami wiedząc, że nie grozi mu podsłuch. Za każdym razem powstrzymał się świadom, że tylko przyprawi żonę o większe zdenerwowanie.

Dwa razy przyłapał się na tym, że dociera do gabinetu i trzyma w ręce cholerny ołówek Berola, którego zaprzysiągł sobie więcej nie używać, i patrzy na świeży stos zeszytów, w których Stark zapisywał powieści.

„Pomysł masz... Chodzi mi o tę historię z weselem i opancerzonym samochodem”.

I to była prawda. Thad nawet miał tytuł, dobry tytuł: Stalowa maszyna. I jeszcze jedno było prawdą; częściowo naprawdę chciał pisać. Wprost swędziała go ręka, żeby pisać. Jak miejsce na plecach, którego nie można dosięgnąć, żeby się poskrobać.

„George skrobnie za ciebie”.

O, tak. George skrobnałby. Z rozkoszą! Ale wtedy co z Thadem? Sprawy przecież

wzięty inny obrót. Co dokładnie z nim się stanie? Nie wiedział, może nie mógł wiedzieć, ale wciąż powracał przerażający obrazek. Pochodził z tej dawnej czarującej opowiadki rasistowskiej Mały czarny Sambo. Kiedy czarny Sambo wlaź na drzewo i tygrysy nie mogły go zjeść, tak się rozzłościły, że każdy złapał w paszczę ogon współtowarzysza i biegały coraz szybciej wokół drzewa, aż zamieniły się w masło. Sambo zebrał masło do garnka i zaniósł do domu mamie.

„ George alchemik – rozważał Thad siedząc w gabinecie i stukając nie zastruganym czarnym piętakiem w brzeg blatu. – Słomę w złoto. Tygrysy w masło. Książki w bestsellery. I Thada w... co?”

Nie wiedział. Bał się wiedzieć. Ale on przepadnie, Thad przepadanie. Na pewno. Może będzie żył ktoś wyglądający jak on, ale za twarzą Thada Beaumonta będzie inny umysł. Chory, błyskotliwy umysł.

Nowy Thad Beaumont będzie o wiele mniej niezdarny... i o wiele więcej niebezpieczny.

Liza i dzieci?

Czy Stark zostawi ich w spokoju, kiedy przejmie kierownicę?

To do niego niepodobne.

Zastanawiał się też nad ucieczką. Zapakuje Lizę i bliźnięta w suburbana i po prostu pojedzie. Ale co to da? Co to da, skoro szczywany drogi George patrzy oczyma durnego drogiego Thada? Mogą sobie uciekać na koniec świata; dojadą, obejrzą się i zobaczą George'a Starka z brzytwą w dłoni, wędrującego po śniegu za zaprzęgiem huskies.

Rozważał, czy nie zadzwonić do Alana Pangborna. Odrzucił ten pomysł jeszcze szybciej i bardziej zdecydowanie niż poprzedni. Alan wiedział, gdzie przebywa doktor Pritchard. Odwlekanie kontaktu z neurochirurgiem – czekanie, aż powróci z kempingu – wymownie świadczyło o wierze Alana... a tym bardziej o niewierze. Jeśli Thad opowie Alanowi o telefonie „ U Dave'a ”, Alan pomyśli, że Thad go buja. Jeśli nawet Rosalie potwierdzi, że do Thada ktoś dzwonił, Alan nadal nie uwierzy. On i inni funkcjonariusze uczestniczący w tym właśnie konkursie o laur zakutej pały mieli niewyczerpane zapasy niewiary.

Więc czas mijał z wolna, monotennie. Tuż po południu drugiego dnia Thad zanotował w dzienniku: „ Przeżywam umysłowy odpowiednik morskiej ciszy ”. Był to jedyny zapis w całym tygodniu. Może ostatni? Nowa powieść, Złoty pies, utknęła na mieliźnie. O tym zresztą w ogóle nie było co mówić. Bardzo trudno wymyślać historyjki, kiedy boisz się, że zły człowiek – bardzo zły człowiek – zjawi się, i zaszlachtuje całą twoją rodzinę, a potem

weźmie się do ciebie.

Jak sięgał wstecz pamięcią, tylko raz czuł się równie zagubiony. Po odstawieniu butelki. Podczas tygodni po poronieniu Lizy, a przed zjawieniem się Starka. Przestał pławić się w wannie z wodą, wyrwał korek. Wtedy tak jak i teraz czuł, że gnębi go jakiś problem, ale nie potrafi się do niego zbliżyć, podobnie jak do wodnego mirażu, widzianego na końcu długiego, płaskiego odcinka szosy w gorące popołudnie. Im szybciej przebierał nogami w kierunku problemu, gotów zaatakować go obiema rękami, rozwiązać, uporać się z nim, tym szybciej problem umykał, aż wreszcie Thad zostawał sam, zadyszany, bez tchu, a nieprawdziwy, zmarszczony obrazek drwił z niego na horyzoncie.

W te noce spał źle i śnił, że George Stark pokazuje mu jego własny, opuszczony dom, dom, w którym przedmioty rozlatywały się pod dotknięciem i gdzie w ostatnim pokoju czekały trupy Fredericka Clawsona i żony. Gdy tam docierał, wszystkie ptaki zaczynały fruwać; podrywały się w górę z drzew i drutów telefonicznych, słupów, tysiące ptaków, miliony, tak wiele, że zasłaniały słońce.

Aż do upadku Wendy czuł się jak nadzienie z durniów czekające na stosownego biesiadnika – mordercę, który przyjdzie, założy serwetkę, sięgnie po widelec i zacznie jeść.

Bliźnięta już od pewnego czasu potrafiły się czołgać. Od miesiąca zaczęły podciągać się do pozycji stojącej. Korzystały przy tym z najbliższego stałego (lub przy pewnych okazjach niestałego) obiektu – dobra była noga krzesła czy stoliczek, ale nadawał się i pusty tekturowy karton – dobry przynajmniej do chwili, w której dany bliźniak nie naparł na pudło zbyt mocno i nie złożył go wraz z sobą do środka albo nie odzepił się, padając na plecki. Małe dzieci zawsze demonstrują boską umiejętność pakowania się w kłopoty, ale w wieku ośmiu miesięcy, kiedy czołganie już nie zaspokaja ich ambicji, a chodzenie nie zostało jeszcze opanowane, najwyraźniej przeżywają Złoty Wiek Pakowania się w Kłopoty.

Liza zostawiła bobasy na podłodze, żeby bawiły się w plamie słońca. Była za kwadrans piąta. Po jakichś dziesięciu minutach pewnego czołgania się i niepewnego stania (temu ostatniemu towarzyszyły głośne, dumne piski radości skierowane do rodziców i siebie nawzajem) William podciągnął się przy stoliczku. Rozejrzył się i wykonał kilka władczych gestów prawą rączką. Przypomniały Thadowi starą kronikę filmową: il duce zwraca się z balkonu do, swych poddanych. Następnie William capnął filiżankę mamy i zanim opadł na pupę, udało mu się wylać na siebie fusy. Szczęściem herbata była zimna, ale William nie

wypuścił filiżanki i tak zręcznie uderzył się w buzię, że rozciął lekko dolną wargę. Zaczął szlochać. Wendy niezwłocznie udzielił się nastrój braciszka.

Liza podniosła go, obejrzała, przewróciła oczami, popatrzyła na Thada i zabrała malucha na górę utulić i przebrać.

- Uważaj na księżniczkę - powiedziała wychodząc.

- Będę uważał - odrzekł Thad, ale już wcześniej odkrył i niebawem miał odkryć po raz wtóry, że kiedy dzieci przeżywają Złoty Wiek Pakowania się w Kłopoty, takie zobowiązania są niewiele warte. Williamowi udało się porwać filiżankę spod samego nosa Lizy, a Thad ujrzy Wendy lecącą z trzeciego stopnia o sekundkę za późno, żeby uchronić ją przed upadkiem.

Przeglądał magazyn - nie czytał, tylko bezmyślnie kartkował, od czasu do czasu zatrzymując wzrok na zdjęciu. Przekartkował do końca i podszedł do kominka, przy którym stał wielki wiklinowy kosz, służący za podręczne składowisko makulatury. Thad zamierzał odłożyć przejrany magazyn i wziąć następny. Wendy czołgała się po podłodze, zapomniawszy o smutku, zanim łzy zdążyły wyschnąć na puciołowatych policzkach. Wydawała ciche BRUM - BRUM - BRUM. Oboje z bratem brumbrumali podczas czołgania. Thad czasem zastanawiał się, czy przypadkiem nie utożsamiają każdego ruchu z samochodami oglądanymi w telewizji. Kucnął, położył magazyn na stosie czasopism i zaczął przeglądać zawartość kosza, aby w końcu, bez żadnego szczególnego powodu, wybrać „Harper's” sprzed miesiąca. Przyszło mu do głowy, że zachowuje się trochę jak facet w poczekalni u dentysty.

Odwrócił się i zobaczył Wendy na schodach. Doczołgała się do trzeciego stopnia i teraz niepewnie wstawała, trzymając się tralki. Kiedy na nią spojrzął, dostrzegła go, obdarzyła gestem o szczególnym rozmachu i szeroko się uśmiechnęła. Ruch ramienia spowodował, że pulchne ciało zakołysało się do przodu.

- Jezu - westchnął i wyprostował się. W kolanach mu strzeliło. Wendy zrobiła krok w przód i puściła tralkę. - Wendy, nie wolno!

Wykonał skok przez cały pokój i prawie dopadł małej, ale że był niezdara, zaczepił stopą o fotel. Mebel runął, a Thad wyciągnął się jak długi. Wendy poleciała na buzię piszcząc cichutko, zaskoczona. Obróciła się nieco w powietrzu. Thad z klęczek wyciągnął ręce, próbując ją ratować. Zabrakło dobrych dwóch stóp. Prawą nóżką uderzyła o pierwszy stopień. Główną stuknęła o wykładzinę podłogi.

Krzyknęła. Zdążył pomyśleć, jak przerażający jest dziecięcy krzyk bólu. Pochwyił ją w ramiona.

Liz zawołała zaniepokojona: – Thad?! – po czym dobiegło go TUP – TUP pantofli z górnego korytarza.

Wendy usiłowała płakać. Pierwszy okrzyk zabrał jej z płuc całe powietrze i teraz nastąpił paraliżujący, trwający wieczność moment, podczas którego usiłowała uruchomić klatkę piersiową, nabrać oddechu i wydać kolejny wrzask. Niech no załatwi wstępne czynności, a krzyk rozerwie wszystkim bębni!

Jeśli krzyknie.

Thad trzymał córeczkę na rękach, z niepokojem patrząc na wykrzywioną, nabiegłą krwią buzię. Nabrała prawie ciemnofioletowego koloru, jedynie na czole odbijał się czerwony znak. Wyglądał jak wielki przecinek. „Boże, a co jeśli zemdleje? Co jeśli zadusi się na śmierć, nie nabierze oddechu i nie wyda krzyku, który uwiąże w zapadniętych płucach?”

– Krzycz, do cholery! – wrzeszczał pochylając się nad nią. Boże, ta purpurowa buzia! Te wysadzone, oszołomione oczka! – Krzycz!

– Thad! – W tonie Lizy przebijał wielki strach, ale głos żony wydawał się dobiegać z bardzo daleka. Podczas tych kilku trwających wieczność sekund, między pierwszym krzykiem Wendy a końcem walki o wydanie drugiego krzyku, złapanie oddechu, po raz pierwszy od ostatnich ośmiu dni George Stark znikł z głowy Thada. Wendy wciągnęła ogromny konwulsyjny oddech i zaczęła wrzeszczeć. Thad, trzęsąc się z ulgi, przytulił ją i łagodnie gładził po plecach, wydając z siebie „szsz” i „ciiiciii”

– Liza zbiegła na dół z głośnym tupotem. William podskakiwał, przyciśnięty do boku mamy jak woreczek zboża.

– Co się stało?! Thad, nic jej nie jest?

– Nic. Spadła z trzeciego stopnia. Wszystko gra, od kiedy zaczęła płakać. Najpierw... jakby się zablokowała. – Zaśmiał się niepewnie i wymienił Wendy na Williama, który zabuczał łącząc się w bólu z siostrzyczką.

– Nie mogłeś na nią uważać? – zapytała Liza z naganą. Automatycznie kiwała biodrami w przód i w tył; kołysała Wendy, starając się ją uspokoić.

– Uważałem... Nie uważałem. Sięgnąłem po czasopismo. Zanim się obejrzałem, stała na schodach. To było zupełnie jak z Willem i filiżanką. Są jak cholerne... węgorzyki. Myślisz, że w główkę nic jej nie stało? Uderzyła o wykładzinę, ale mocno.

Liza przez chwilę odsunęła Wendy na odległość ramienia... obejrzała czerwony siniak i pocałowała czule. Szloch cichły z wolna.

– Myślę, że nic jej nie jest. Przez kilka dni będzie nosiła siniak, i tyle. Dzięki Bogu tę wykładzinę. Thad, nie chciałam na ciebie wsiadać. Wiem, jakie są szybkie. Ja... chyba będę

miała okres, tylko że teraz cały czas się tak czuję.

Szlochły Wendy ustały, przeszły w pociągania noskiem. William zgodnie zaczął się uspokajać. Wyciągnął pulchną łapkę i złapał za białą, bawełnianą koszulkę siostrzyczki. Obejrzała się. Zaszczębiotał, a potem gaworzył dłuższą chwilę. Thadowi ich gaworzenie zawsze wydawało się trochę niesamowite; brzmiało jak rozmowa w obcym języku, nagrana na taśmę i puszczone na zwiększonych obrotach, tak że nie dało się rozpoznać języka, co dopiero zrozumieć słów. Wendy uśmiechnęła się do braciszka, choć z oczu nadal kapały łzy i policzki były mokre. Odpowiedział szczebiotem i gaworzeniem. Przez chwilę znaleźli się w swoim własnym świecie – świecie bliźniąt – i prowadzili konwersację.

Wendy pogładziła Williama po ramionku. Patrzyli na siebie i szczebiotali.

„ Coś ci się stało, skarbeczku?”

„ Tak, uderzyłam się, Williamku, ale niezbyt mocno” .

„ Serduszko moje, wolisz zostać w domu i nie iść na obiad do Stadleyów

” ?
„ Chyba nie jest aż tak źle. Ale jak to miło, że o to spytałeś

”
„ Jesteś całkiem pewna, moja droga Wendusiu?”

„ Tak, Williamku kochany, nic poważnego się nie stało, choć żywie przemożne obawy, iż narobiłam w pieluchy” .

„ Och, najdroższa moja, jakież to KŁOPOTLIWE!”

Thad uśmiechnął się lekko i popatrzył na nóżkę Wendy.

– Będzie siniak – powiedział. – Wygląda, jakby już był.

Liza zdobyła się na blady uśmiech.

– Do wesela się zagoi. To nie ostatni.

Thad pocałował Wendy w czubek noska. Jak szybko i z jaką furią wybuchają te burze – niecałe trzy minuty temu myślał, że udusi się z braku tlenu – i jak szybko się rozchodzą.

– Masz rację – przytaknął. – Dzięki Bogu, nie będzie ostatni.

O siódmej, nim bliźnięta obudziły się z późnej drzemki, siniak na udzie Wendy stał się ciemnopurpurowy. Miał dziwny, wyraźny kształt grzyba.

– Thad – odezwała się Liza od stolika do przewijania. – Popatrz na to.

Thad zdjął już pieluszkę Wendy, lekko wilgotną, ale jeszcze nie przemoczoną, i wrzucił do kubełka na pieluchy z napisem: JEJ. Żeby zobaczyć, co Liza chce mu pokazać, podszedł ze swoją gołą córeczką do stolika, na którym przewijano jego synka. Popatrzył na

William i oczy mu się rozszerzyły.

- Co o tym myślisz? - zapytała spokojnie. - Czy to nie niesamowite?

Thad patrzył na Williama przez długi czas.

- Taaa... To zupełnie niesamowite - powiedział wreszcie.

Przytrzymała rozrabiającego malca, położywszy mu rękę na piersi. Teraz uniosła głowę i spojrzała ostro na Thada.

- Dobrze się czujesz?

- Tak - odrzekł.

Był zaskoczony własnym spokojem. Ujrzał wielki jasny błysk przypominający strzał z raketnicy - nie oczami, ale w głębi umysłu. Nagle wydało mu się, że rozumie obecność ptaków - przynajmniej trochę - i wie, jaki powinien uczynić następny krok. Wystarczyło, że popatrzył na synka, zobaczył siniak na nóżce, identyczny w kształcie, kolorze i w tym samym miejscu co u Wendy, i zrozumiał, co ma zrobić. Kiedy Will złapał za filiżankę Lizy i wylał zawartość na siebie, siadł twardo na pupie. O ile Thad się zorientował, nie zrobił sobie nic w nóżkę. A jednak proszę - na górnej części uda pojawił się identyczny siniak jak u Wendy, siniak mający prawie wyraźny kształt grzybka.

- Jesteś pewien, że dobrze się czujesz? - powtórzyła Liza.

- Siniaki też mają wspólne - powiedział patrząc na nóżkę Williama.

- Thad?

- Nic mi nie jest - oznajmił i przesunął wargami po policzku Lizy. - Może ubierzemy

Psycha i Somatyczną, hm, jak uważasz?

Liza wybuchnęła śmiechem.

- Thad, jesteś szalony.

Posłał jej trochę niesamowity, lekko nieobecny uśmiech.

- Taaa... Szalony. Ale szczywany jak lis.

Zaniósł z powrotem Wendy do jej stolika i wziął się do zakładania pieluszki.

Pisanie automatyczne

Zanim udał się do gabinetu, odczekał, aż Liza położy się spać. Przystanął przy drzwiach sypialni wsłuchał się w regularne falowanie oddechu żony, upewniając się, czy zasnęła. Wcale nie był przekonany, że jego zamierzenia się sprawdzą, ale jeśli tak, może być niebezpiecznie. Wyjątkowo niebezpiecznie.

Ogromny gabinet – był to odrestaurowany strych stodoły – dzielił się na dwa obszary. Pierwszy to „czytelnia”, zastawiona półkami z książkami, kanapą i fotelem z rozkładanym oparciem. Punkty świetlne były tu ruchome. Natomiast w głębi długiego pomieszczenia znajdowała się część do pracy, zdominowana przez staromodne urzędowe biurko. Nic nie maskowało wyjątkowej szpetoty tego porysowanego, poobijanego, służącego wyłącznie do pracy mebla. Thad miał go od dwudziestego szóstego roku życia i Liza czasem zwierzała się znajomym, że mąż nie potrafi się z nim rozstać, ponieważ potajemnie ufa, że tu mieści się jego Fontanna Słów. Kiedy to mówiła, oboje się uśmiechali, jakby naprawdę wierzyli, że to żart.

Trzy szklane kule zwisały nad dinozaurem, a kiedy – tak jak teraz – Thad używał tylko tych źródeł światła, ostre, zlewające się na nierównym pejzażu biurka kręgi jasności sprawiały wrażenie, że pisarz zabiera się do rozegrania dziwnej partii bilarda. Jakie zasady mogą obowiązywać w grze na tak nierównej powierzchni – nie dało się powiedzieć, ale w nocy po upadku Wendy zacięty wyraz twarzy Thada przekonałby postronnego obserwatora, że gra będzie szła o bardzo wysokie stawki, niezależnie od zasad.

Thad zgodziłby się z tym na sto procent. Przecież potrzebował dwudziestu czterech godzin na zebranie odwagi.

Spojrzał na remingtona standarda. Maszyna garbiła się pod pokrowcem. Z jej lewej strony, jak kciuk autostopowicza, sterczała stalowa dźwignia przesuwu wałka. Thad usiadł,

przez kilka chwil niespokojnie bębnił palcami o brzeg blatu. Wysunął szufladę z lewej strony biurka.

Miała okazałą szerokość i głębokość. Wyjął leżący z brzegu dziennik i wyciągnął szufladę do koń ca. Słoik na marynaty, w którym przechowywał czarne pięknie, potoczył się w głąb, zawartość się wysypała. Thad postawił naczynie na starym miejscu, zebrał ołówki i włożył z powrotem do słoika.

Zasunął szufladę i popatrzył na słoik. Wrzucił go do szuflady po pierwszej fudze, kiedy to na maszynopisie Złotego psa napisał: WRÓBLE ZNÓW FRUWAJĄ. Nie zamierzał wtedy więcej sięgać po ołówki... a jednak zaledwie kilka wieczorów temu bawił się jednym z nich. Proszę, wróciły na stare miejsce, w którym stały od kilkunastu lat, kiedy to Stark żył z nim, żył w nim. Długie okresy siedział jak mysz pod miotłą, jakby go wcale nie było, aż Thad wpadał na pomysł i szczywany drogi George wyskakiwał z głowy jak diabełek z pudełka.

BANG – I – TRANG! Jestem, Thad! Wio, stary koniu! Siodło na grzbiet!

I od tej chwili Stark wyskakiwał codziennie, nie wyłączając weekendów, punkt dziesiąta. Wyskakiwał, łapał za berola i zaczynał pisać te zwariowane głupoty – zwariowane głupoty splacające to, na co Thad nie potrafił zarobić własną pracą. Po czym książka była gotowa, George znikał jak zwariowany karzeł, który zamieniał młynarzównie słomę w złoto.

Thad wyjął ołówek, obejrzał ślady zębów na drewnianym korpusie i wrzucił berola z powrotem do słoika. Rozległo się cichutkie DZYŃ!

– Moja mroczna połowa – zamruczał.

Ale czy George Stark był jego? Kiedykolwiek? Napisawszy KONIEC na dole ostatniej strony ostatniego „starka”, Przejazdźki do Babilonu, Thad nie używał już ołówków nawet do notatek, jedynie podczas fug, transów czy jak je nazwać.

Z beroli nie było pożytku; należały do George’a Starka, a Stark nie żył... tak przynajmniej zakładał Thad. Za jakiś czas je wyrzuci.

Ale teraz chyba znalazł dla nich pożytek.

Sięgnął do szerokiego otworu słoika, lecz cofnął rękę, jakby osmalił ją potężny, odpychający żar pieca hutniczego.

Jeszcze nie.

Wyjął z kieszonki koszuli pióro, otworzył dziennik, odkręcił – obsadkę i po chwili wahania zaczął pisać.

Kiedy William płacze, płacze Wendy. Ale odkryłem, że związek pomiędzy nimi jest daleko trwalszy, głębszy. Wczoraj Wendy spadła ze schodów i nabiła sobie siniaka wyglądającego jak wielki purpurowy grzyb. Kiedy bliźnięta obudziły się z drzemki, William

też miał siniaka. W tym samym miejscu, o tym samym kształcie.

Po tym wprowadzającym akapicie Thad wpadł w styl autowywiadu, charakteryzującego spore fragmenty dziennika. Już ten nawyk, ten sposób dochodzenia do autentycznych przekonań, sugerował kolejną odmianę dwoistości... a może był tylko kolejnym dowodem pojedynczego rozdarcia ducha i umysłu, dowodem czegoś jednocześnie fundamentalnego i tajemniczego.

Pytanie: Gdyby zrobić slajdy siniaków na nogach moich dzieci, potem nałożyć te slajdy na siebie, czy pokryłyby się?

Odpowiedź: Tak, tak sądzę. To jak z liniami papilarnymi. To jak z wykresami głosowymi.

Thad siedział chwilę spokojnie, stukał piórem o dziennik, dumał nad tym, co spłodził.

Pochylił się i wziął do pracy. Tym razem pisał szybciej.

Pytanie: Czy William WIE, że ma siniaka?

Odpowiedź: Nie. Nie sądzę.

Pytanie: Czy ja wiem, czym są wróble, co znaczą?

Odpowiedź: Nie.

Pytanie: Ale wróble ISTNIEJĄ. Tyle wiem, prawda? Niech Alan Pangborn albo inni myślą sobie co chcą, wróble ISTNIEJĄ i wiem, że znów fruują, prawda?

Odpowiedź: Tak.

Teraz pióro biegło po papierze. Od miesięcy nie pisał tak szybko, tak łatwo.

Pytanie: Czy Stark wie, o istnieniu wróbli?

Odpowiedź: Nie. Powiedział, że nic o nich nie wie, i ja mu wierzę.

Pytanie: Czy NA PEWNO mu wierzę?

Przerwał na krótko i znów podjął pisanie:

Stark wie, że COS istnieje. Ale i William musi wiedzieć, że coś istnieje – jeśli ma nodze ^{na} siniaka, musi go boleć. Przecież Wendy nabiła mu siniaka spadając ze schodów. Ale William wie tylko, że ma bolące miejsce.

Pytanie: Czy Stark wie, że ma bolące miejsce? Wrażliwe miejsce?

Odpowiedź: Tak, tak sądzę.

Pytanie: Czy ptaki są moje?

Odpowiedź: Tak.

Pytanie: Czy to znaczy, że pisząc WRÓBLE ZNÓW FRUWAJĄ u Clawsona i u Miriam, nie wiedział, co robi, i nie pamiętał o tym, kiedy skoń czył pisać?

Odpowiedź: Tak.

Pytanie: Kto pisał o wróblach? Kto pisał krwią?

Odpowiedź: Ten, kto wie. Ten, do kogo należą wróble.

Pytanie: Kim jest ten, który wie? Do kogo należą?

Odpowiedź: Ja wiem. Do mnie należą.

Pytanie: Czy byłem tam? Byłem, kiedy ich mordował?

Znów przerwał na krótko. Tak – napisał, a następnie: Nie. I tak, i nie. Nie miałem fugi, kiedy Stark zabijał Homera Gamache’a czy Clawsona. Przynajmniej nie pamiętam, żebym miał. Sądzę, że to, co wiem... co WIDZĘ... może rosnąć.

Pytanie: Czy on ciebie widzi?

Odpowiedź: Nie wiem. Ale...

– Musi widzieć – zamruczał Thad.

Napisał: Musi mnie znać. Musi mnie widzieć. Jeśli naprawdę napisał te powieści, zna mnie od dawna. I jego wiedza, jego widzenie też rośnie. Namiernik i reszta sprzętu do nagrywania rozmówców wcale nie zaniepokoiły szczwanego drogiego George’a, prawda? Nie, oczywiście, że nie. Bo szczwany drogi George wiedział, że sprzęt zostanie podłączony. Kiedy się pisze dziesięć lat powieści kryminalne, wie się o takich sprawach. To jedna przyczyna, dla której się nie zaniepokoił. Ale jest jeszcze ładniejszy numer, prawda? Kiedy chciał ze mną porozmawiać, porozmawiać na osobności, dokładnie wiedział, gdzie będę i jak się ze mną połączyć, co nie?

Tak. Stark zadzwonił do domu, kiedy chciał być podsłuchany, i zadzwonił do sklepu Dave’a, kiedy nie chciał być podsłuchany. Dlaczego za pierwszym razem chciał być podsłuchany? Bo wiedział, że funkcjonariusze policji będą słuchać, a chciał im przekazać wiadomość, że nie jest George’em Starkiem i wie, że nim nie jest... koniec z mordowaniem, nie ma zamiaru dobierać się do Thada i jego rodziny. I jeszcze coś. Zależało mu na tym, żeby Thad zobaczył wykresy głosowe. Wiedział, że policja je zrobi. Wiedział, że policja nie przyjmie do wiadomości nasuwających się wniosków, choćby były jak najbardziej jednoznaczne... ale Thad przyjmie.

Pytanie: Skąd wiedział, że tam będę?

To dopiero znakomite pytanie, prawda? Tej klasy co problem: jak dwaj ludzie mogą mieć te same linie papilarne i wykresy głosowe? jak dwoje niemowląt może mieć dokładnie te same siniaki?... zwłaszcza kiedy tylko jedno z nich uderzyło się w nóżkę.

Ale Thad wiedział, że podobne niezwykłości są dobrze udokumentowane i akceptowane, przynajmniej w wypadku bliźniąt. Więzi łączące bliźnięta są wprost niesłychane. W jednym z czasopism jakiś rok temu był tekst na ten temat. Ponieważ los zesłał

mu parkę, Thad przeczytał artykuł uważnie.

Opisano w nim przypadek bliźniąt jednojajowych, które rozdzielał cały kontynent. Ale kiedy jedno z nich złamało nogę, drugie cierpiało na niebywałe bóle, nie wiedząc nawet, że coś przytrafiło się bratu. Były też takie bliźniaczki jednojajowe, które wykształciły własny niezwykle język, nie znany nikomu i nie rozumiany przez nikogo na świecie. Te bliźniaczki nigdy nie nauczyły się angielskiego, mimo że obie miały bardzo wysoki iloraz inteligencji. Po co im angielski? Miały siebie... i to wszystko, czego im było potrzeba. I – kontynuował artykuł – byli tacy bliźniacy, którzy rozdzieleni po urodzeniu, spotkali się jako dorośli. Okazało się, że ożenili się tego samego dnia tego samego roku z kobietami noszącymi to samo imię i do siebie uderzająco podobnymi. Co więcej, oba małżeństwa dały pierwszemu dziecku na imię Robert. Obaj chłopcy zaś urodzili się w tym samym miesiącu tego samego roku.

Jedne dwojaki, a z dwóch.

Miecz tnij w górę i w dół.

Z dwóch patyków jeden krzyż.

– W głowie Jacka to co u Placka – zamruczał Thad. Zakreślił ostatni napisany wers:

Pytanie: Skąd wiedział, że tam będę?

Poniżej napisał:

Odpowiedź: Bo wróble znów fruują. I dlatego, że jesteśmy bliźniakami.

Przewrócił kartkę i odłożył pióro. Serce biło mu mocno, skórę mroził strach. Drżącą ręką wyjął ołówek ze słoika. Drewniany korpus zdawał się palić wewnętrznym, nieprzyjemnym gorącem.

Czas wziąć się za robotę.

Thad Beaumont pochylił się nad czystą stronicą, zastygł i napisał u góry dużymi literami: WRÓBLE ZNÓW FRUWAJĄ.

Czego, dokładnie biorąc, spodziewał się pisząc te słowa?

Dobrze wiedział, czego się spodziewa. Zamierzał odpowiedzieć na ostatnie pytanie, tak oczywiste, że nawet nie chciało mu się go zapisywać: Czy zdoła świadomie wprowadzić się w trans? Czy zmusi wróble do fruwania?

Ten pomysł wiązał się z ponadmysłową formą kontaktu, o której czytał, ale której nigdy nie widział na oczy: z automatycznym pisaniem. Osoba, usiłująca za pomocą tej

metody nawiązać kontakt ze zmarłą (albo żyjącą) duszyczką, brała swobodnie w rękę pióro albo ołówek, dotykała jego końcówką czystej kartki papieru i po prostu czekała, aż duch zechce nim poruszyć. Thad czytał, że automatyczne pisanie na tabliczkach ouija, często traktowane jako psota, nawet gra towarzyska, mogło okazać się niezwykle niebezpieczne, prawdę mówiąc, mogło narazić żartownisia na różnego rodzaju opętania.

Thad, zapoznając się z artykułem, przyjmował go z obojętnością, treść wydawała mu się tak nie związana z życiem, jak bałwochwalstwo u pogan albo trepanacje czaszki mające rzekomo uwalniać od bóli głowy. Teraz to wszystko nabrało swoistej nieubłaganej logiki. Ale musi wezwać wróble.

Wyobrażał je sobie. Usiłował przywołać obraz tych wszystkich ptaków, tych tysięcy ptaków, czekających na telepatyczny sygnał do odlotu, siedzących pod bladym wiosennym niebem na szczytach dachów i drutach telefonicznych.

I obraz pojawił się... ale był płaski, nierealny, jak plastyczne wyobrażenie wyzbyte życia. Często gdy zaczynał pisać, doznawał podobnego uczucia martwoty, bezpłodności. Zabieranie się teraz do pisania było jeszcze gorsze – wydawało się obrzydliwe jak całowanie trupa, wpychanie języka w martwe usta.

Ale nauczył się, że jeśli wytrwa, jeśli po prostu będzie wyciskał słowo po słowie na kartkę, włączy się coś jeszcze, coś jednocześnie cudownego i strasznego. Słowa utracą swą odrębność. Postaci, sztywne i martwe, zaczną unosić członki, jakby uwięzione na noc w ciasnej szafie musiały rozluźnić mięśnie, zanim pójdą w wymyślne płasy. Coś zaczynało się dziać z jego mózgiem. Niemal czuł zmianę fal elektromagnetycznych; zarzucały szorstką dyscyplinę dreptaniny krocdek – w – krocdek i łagodnie, luźno pulsowały w rytm fal delta, jak podczas marzeń sennych.

Thad garbił się nad dziennikiem, ścisnął ołówek w rękę i usiłował wejść we właściwy stan. Mijała chwila za chwilą; nic się nie działo i zaczynał się czuć coraz bardziej głupio.

Po głowie krążyła mu wyliczanka ze starej kreskówki Rocky i Bullwinkle: „Ecie – pecie – mecie – śmiecie, duchy przecież są na świecie”. Krążyła i nie chciała się wynieść. Co, na litość Boską, powie Lizie, jeśli pokaże się i zapyta, co wyczynia, siedząc z ołówkiem w łapie nad kartką czystego papieru kilka minut przed północą?! Powie, że stara się namalować króliczka na książeczce papierowych zapalek i wygrać stypendium do Sławnej Akademii Sztuk Pięknych w New Haven? Do diabła, nawet nie miał przy sobie żadnej stosownej książeczki zapalek!

Poruszył się, żeby odłożyć ołówek, i zamarł. Odkładając berola zmienił trochę pozycję i spojrzął w okno po lewej stronie biurka.

Za szybą przycupnął ptak. Siadł na parapecie, patrzył bystrym czarnym oczkiem.

Był to wróbel.

A do niego dołączył następny wróbel.

I następny.

– O mój Boże – odezwał się Thad drżącym, rozwlekłym głosem. Nigdy w życiu nie doznał równego przerażenia... i nagle znów ogarnęło go uczucie, że się oddala, tak jak podczas rozmowy telefonicznej ze Starkiem, ale teraz to doznanie było o wiele, wiele silniejsze.

Wylądował następny wróbel, z braku miejsca spychając na bok pierwszą trójkę. Za nimi Thad dojrzał cały rząd ptaków siedzących na dachu powozowni, w której Beaumontowie trzymali narzędzia ogrodnicze i samochód Lizy. Zasłoniły staroświeckiego kurka na szczycie. Kołysał się pod ich ciężarem.

– O mój Boże! – powtórzył i usłyszał swój głos z odległości miliona mil, pełen grozy, strachu i zachwytu. – O mój dobry Boże, one żyją! Wróble żyją!

Nigdy się tego nie spodziewał... ale nie było czasu na zastanawianie się nad tym faktem, zabrakło umysłu, który mógłby się nad tym zastanawiać. Nagle znikł gabinet, a zamiast niego Thad ujrzał Ridgeway, dzielnicę miasta Bergenfield, w którym dorastał. Była tak milcząca i opuszczona, jak dom w koszmarnym śnie o Starku. Thad nagle zobaczył milczące przedmieście w wymarłym świecie.

A jednak nie był zupełnie wymarły, ponieważ dach każdego domu obsiadły szeregi ćwierkających wróbli. Obsadziły każdą antenę telewizyjną. Każde drzewo było ich pełne. Tłoczyły się jeden obok drugiego na drutach telefonicznych. Siedziały na dachach aut, na wielkiej niebieskiej skrzynce pocztowej na rogu Duke Street i Marlborough Lane i na stojaku rowerowym przed sklepem z artykułami pierwszej potrzeby, do którego matka wysyłała go po mleko i pieczywo.

Świat pełen był wróbli czekających na sygnał do odlotu.

Thad Beaumont opadł bezwładnie na fotel, piana cienką strugą ciekła z kącika ust, stopy wykonywały nie kontrolowane podrygi, a we wszystkich oknach gabinetu zasiadły wróble. Dziwni powietrzni widzowie obserwowali gospodarza. Zagulgotał przeciągle. Oczy uciekły w głąb czaszki, ukazując wysadzone błyszczące białka.

Ołówek dotknął kartki i zaczął pisać.

SIOSTRUNIA

pojawiło się na górze. Ołówek opuścił dwie linijki, zrobił znak w kształcie litery „L”, charakterystyczny dla każdego nowego akapitu u Starka, i pisał:

L Kobieta cofnęła się od progu. Zrobiła to niemal natychmiast, nawet zanim drzwi zamknęły się pełnięte letnio do środka, ale już się spóźniła. Z mroku, przez dmuszoną szparę między drzwiami a futrym, wystąpiła moja ręka. Dotknęła jej dłoni.

Wróble fruwały.

Nagle wystartowały wszystkie, i te pamiętane z Bergenfield, i te w Ludlow... żywe wróble. Uniosły się w niebo; blade wiosenne niebo roku 1960 i ciemne letnie niebo roku 1988.

Fruwały, przepadły w ogłuszającym łopocie skrzydełek.

Thad się wyprostował... ręka zaciśnięta na ołówku sunęła po kartce.

Ołówek pisał sam.

„Udało mi się – pomyślał oszołomiony, ocierając ślinę z ust i podbródka lewą ręką. – Udało mi się... i, na Boga, wolałbym, żeby mi się nie udało. Co to jest?”

Patrzył na słowa wypisywane własną ręką. Serce biło mu tak mocno, że czuł puls w gardle, mocny i szybki. Zdania pojawiające się między niebieskimi linijkami były pisane jego charakterem pisma – ale przecież wszystkie „starki” były pisane jego charakterem pisma. „Przy tych samych liniach papilarnych, tym samym gatunku palonych papierosów i dokładnie tych samych wykresach głosowych zdziwiłoby mnie, gdyby charakter pisma nie był ten sam” – pomyślał.

Pismo miało jego charakter, tak jak zawsze dotychczas, ale skąd brały się słowa? Na pewno nie z jego głowy, w tej chwili nie było tam nic poza grozą i rykiem zamętu. Ręka straciła czucie. Prawe przedramię kończyło się mniej więcej trzy cale nad przegubem. W palcach nie miał nawet śladu dotyku, choć widział, że ściska berola tak silnie, że czubki kciuka oraz palców wskazującego i wielkiego zbiegły. Sprawiało to wrażenie, jakby dostał końską dawkę nowokainy.

Dotarł do końca pierwszej strony. Nie czująca dłoń przewróciła kartkę, nie czująca podstawa dłoni pobiegła w górę zszywki, wygładziła stronę i pisanie rozpoczęło się na nowo.

L Otworzyła usta do kuryku. Staremu też przy
drzwiach. Od czterech godzin cierpliwie czeka-
łemu na Miriam Cowley. Nie miałem kawy, nie
paliłem papierosa. (Miałem ochotę zapalić i za-
palić, kiedy tylko załatwię sprawę, ale nieszczę-
śliwie dyktuję magła, że zaalarmować). Przypo-
mniałem sobie, że trzeba zauważyć jej oczy,
kiedy podersnę gardło.

Thad uświadomił sobie z rosnącą grozą, że czyta opis morderstwa Miriam Cowley... i
tym razem nie bazgroły, szczątki słów, ale spójną, brutalnie dokładną narrację człowieka,
który na swój niesamowity sposób był niezwykle sprawnym pisarzem – na tyle sprawnym, że
miliony ludzi kupowały jego powieści.

„Debiut Georga’a Starka w literaturze faktu” – pomyślał z obrzydzeniem.

Udało mu się dokładnie to, co zamierzał: nawiązał kontakt. Nie wiadomo jakim
sposobem założył podsłuch w głowie Starka, podobnie jak Stark założył podsłuch w głowie
Thada. Ale z jakimi złowrogimi, nieznanymi mocami wszedł w kontakt? Czy da się to
ocenić? Kto mógłby to ocenić? Pojawienie się wróbli – żywych wróbli – już było okropne, ale
to było jeszcze gorsze. Czy ołówek i zeszyt nie wydały się gorące w dotyku? Nic dziwnego.
Umysł faceta to pieprzony piec hutniczy.

A teraz... Jezu! Znowu! Pisane własną ręką! Jezu Chryste!

L - Kombinujesz, że mogłabyś mnie uziemić tym
interesem, co, siostreniu? - powiedziałem jej.
- Pozwól, że ci coś powiem - to nie jest radosna
myśl. A mianowicie, co spotyka ludzi, którzy zapodkie-
wają radosne myśli? L Łzy spływały po jej twarzy.

„Co się dzieje, George? Czyżbyś zapodział swoje radosne myśli?”

Nic dziwnego, że te słowa przystopowały tego skurwysyna o czarnym sercu. Jeśli to,
co pokazało się na papierze, opisywało to, co się zdarzyło, Stark użył dokładnie tego samego
wyrażenia przed zabiciem Miriam.

„Podczas morderstwa miałem podsłuch jego głowy – tak! Dlatego użyłem tego

wyrażenia podczas rozmowy »U Dave' a«” .

Oto Stark zmuszał Miriam do zadzwonienia do Thada, wybierał za nią numer, ponieważ była ogarnięta taką grozą, że wypadł jej z pamięci, choć zdarzały się tygodnie, podczas których wydzwaniała pod ten numer dziesiątki razy. Że w pamięci Miriam powstała dziura, a Stark przeszedł nad tym do porządku – wydało się Thadowi równocześnie straszliwe i wiarygodne. A teraz Stark za pomocą brzytwy...

Ale nie zamierzał tego czytać i nie przeczytał. Uniósł ramię, a razem z nim nieczułą jak balast rękę. Natychmiast kiedy ołówek oderwał się od zeszytu, krew z powrotem napłynęła do ręki. Mięśnie ogarnął skurcz i bok wielkiego palca pulsował głuchym bólem; ołówek zostawił wgniecenie, które teraz czerwieniało.

Thad patrzył na zapisaną stronę, pełen grozy i jakiegoś tępego zdumienia. Ostatnie, czego pragnął, to połączyć na powrót ten obrzydliwy obwód łączący go ze Starkiem... ale poprzednio przecież nie uruchamiał go tylko po to, żeby poznać z pierwszej ręki opis morderstwa Mir Cowley, prawda?

„Przypuśćmy, że ptaki wrócą...”

Ale nie wrócą. Ptaki spełniły swoje zadanie. Obwód nadal był zamknięty. Thad nie miał pojęcia, skąd o tym wie, ale wiedział.

„Gdzie jesteś, George? – zastanawiał się. – Co sprawia, że cię nie wyczuwam? Czy dlatego, że nie uświadamiasz sobie mojej obecności, jak ja twojej? A może chodzi o coś innego? Gdzie ty, kurwa, jesteś?!”

Wałkował ten problem, usiłował zobaczyć go w myślach tak wyraźnie jak jasny, czerwony neon. Złapał ołówek i wziął się do pisania.

Kiedy tylko czubek ołówka dotknął papieru, ręka cofnęła się i przewróciła kartkę. Podstawa dłoni przeleciała wzdłuż zszywki, jak za pierwszym razem. Ołówek wrócił na papier i napisał:

L - To nie ma znaczenia - powiedział Maszyna do facia Rangely'ego. - Wszystkie domy są jednakowe. - Przerwał. - Może z wyjątkiem własnego domu. Posuwał go, wtedy tam trafię.

„Wszystkie domy są jednakowe” . Poznał początkowy wers, a potem cały cytat.

Pochodził z pierwszego rozdziału pierwszej powieści Starka, Tak jak to robi Maszyna.


Ołówek tym razem zatrzymał się z własnej woli. Thad podniósł go i popatrzył na

skreślone słowa, obojętne, kanciaste. „Może z wyjątkiem własnego domu. Poznam go, kiedy tam trafię”.

W Tak jak to robi Maszyna dom stał przy Flatbush Avenue. Tam Alexis Maszyna spędził dzieciństwo, sprzątając salę bilardową, w której rządził jego ojciec – alkoholik, syfilityk. Gdzie jest jego dom w tej opowieści?

„Gdzie jest dom?” – zadał w myśli pytanie ołówkowi i powoli opuścił go na papier.

Berol szybko napisał kilka znaków w kształcie nierównych „m”. Zastygł. Ruszył znowu.


L Tam dom, gdzie początek

napisał pod ptaszkami.

Kalambur. Czy coś znaczył? Czy kontakt nadal trwał, czy Thad tylko oszukiwał sam siebie? Nie oszukiwał sam siebie w sprawie ptaków i nie oszukiwał sam siebie podczas erupcji pierwszej gorączkowej pisaniny, to wiedział, ale teraz wrażenie gorąca i przymus jakby malały. Ręka nadal była zdrętwiała, ale uścisk ołówka – bardzo mocny uścisk, sądząc po czerwonym znaku z boku palca – mógł świadczyć, że coś tu nie gra. Czy nie czytał w tamtym artykule na temat automatycznego pisania, że ludzie często oszukiwali samych siebie korzystając z tabliczek ouija – że w większości wypadków nie duchy kierowały piszącymi rękami, ale podświadome pragnienia?

„Tam dom, gdzie początek”. Jeśli nadal pisał Stark i jeśli żart miał jakiś sens, to wskazywał na ten dom, jego dom. W nim urodził się George Stark.

Nagle z pamięci wyłonił się fragment cholernego artykułu z „People”

„Kiedy byłem gotów, wkręciłem kartkę papieru w wałek... i wykręciłem. Wszystkie książki wystukałem na maszynie, ale wyglądało na to, że George Stark nie przepada za tym narzędziem. Może dlatego, że tam gdzie kiblował, w tych hotelach o zakratowanych oknach, nie uczył się pisać na maszynie”.

Urocze. Przeurocze. Ale z faktami nader luźno spokrewnione. Thad nie po raz pierwszy – a podejrzewał, że i nie ostatni – opowiedział historyjkę daleką od prawdy.

Oryginalne powiedzenie brzmi: Home is where heart is – Tam dom, gdzie dobrze.

Podejrzewając zakładał oczywiście, że przeżyje. Nie kłamał wprost; dokładnie biorąc nawet nie koloryzował. Był to prawie nieświadomy akt beletryzacji własnego życia. Thad nie znał żadnego pisarza, który tego nie robił. Nie chodziło o przedstawianie siebie w lepszym świetle. Czasem do tego się to sprowadzało, ale równie chętnie opowiadało się historyjkę nie przynoszącą zaszczytu lub taką, za sprawą której wychodziło się na wyjątkowego pacana. W jakim to filmie jakiś pismak mówi: „Kiedy masz wybór – drukować prawdę czy legendę, drukuj legendę” ? Może w Człowieku, który zabił Liberty Valance’a? Dzięki tej zasadzie powstawały gówniane albo niemoralne reportaże, ale za to rodziła się cudowna beletrystyka. Napływ fikcji w życie pisarza był nieuniknionym efektem ubocznym jego pracy – jak blizny na opuszkach palców u, gitarzysty albo kaszel u wieloletniego palacza.

Prawdę mówiąc, fakty dotyczące urodzin Starka różniły się znacznie od wersji w „People”. Żadne mistyczne natchnienie nie kazało Thadowi pisać „starków” ręcznie, choć czas sprawił, że przypadek utrwalił się i nabrał rytualnej mocy. A jeśli chodzi o rytuały, pisarze są tak przesądni jak profesjonalni sportowcy. Zawodnicy baseballa, kiedy trafiają celnie w piłkę, noszą dzień po dniu skarpetki ze zwycięskiego spotkania; albo żegnają się przed zajęciem stanowiska battera. Pisarze, kiedy odnieśli sukces, są skłonni trzymać się tych samych, przechodzących w rytuały zachowań, co ma zabezpieczyć przed literackim odpowiednikiem „pułta” ... znanym jako „kryzys twórczy” .

George Stark przywykł pisać ręcznie, bo Thad nie miał świeżej taśmy do underwooda, stojącego w gabinecie letniego domu w Castle Rock. A że pomysł, który wpadł mu do głowy, wydawał się znakomity i obiecujący – żeby nie czekać, Thad przeszukał szuflady biurka, znalazł zeszyt, kilka ołówków i...

„ Wtedy zwykle przyjeżdżaliśmy tam o wiele później, bo prowadziłem ten trzytygodniowy kurs... Jak się to nazywało? Metody twórcze. Co to była za cholerna zgaga! Ale tamtego roku zjawiliśmy się pod koniec czerwca. Pamiętam, poszedłem na górę do gabinetu i okazało się, że zabrakło taśm. Mało tego, pamiętam, jak się Liza wściekała, bo zabrakło nawet kawy...”

„ Tam dom, gdzie początek” .

Opowiadając Mike’owi Donaldsonowi o na wpół fikcyjnych narodzinach George’a Starka, zmienił lokalizację na duży dom w Ludlow. Nawet się nad tym nie zastanowił – chyba dlatego, że głównie pisał w Ludlow i umieszczenie tu tej sceny było całkiem naturalne, zwłaszcza że kiedy się umieszczało scenę, myślało się o scenie, tak jak podczas pisania kawałka beletrystyki. Ale to nie tu George Stark miał swój debiut, nie tu po raz pierwszy spojrzął oczami Thada na świat, choć tu powstała większość jego dorobku – Starka i

Thada. To tu przeżyli większość swego dziwnego, podwójnego życia.

„ Tam dom, gdzie początek” .

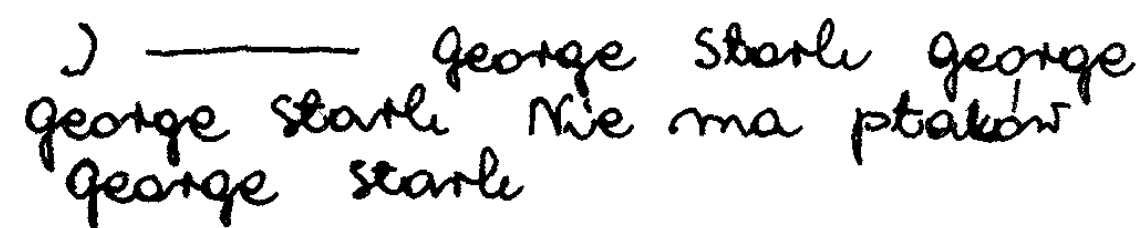
W takim wypadku „ dom” musi oznaczać Castle Rock. W Castle Rock jest cmentarz Homeland. A na cmentarzu Homeland George Stark pierwszy raz ujawnił się fizycznie, przybrał postać mordercy. Tak sądził Thad, a i pewnie Alan Pangborn.

Wtem, jak najbardziej narzucająca się rzecz na świecie (i z tego co wiedział, tak było), Thadowi przyszło do głowy następne pytanie, tak spontanicznie, że wymruczał je głośno, jak nieśmiały wielbiciel podczas spotkania autorskiego:

– Czemu chcesz znów pisać?

Opuścił rękę. Czubek ołówka dotknął papieru. Drewnota ogarnęła dłoń , jakby wsunął ją w nurt bardzo zimnej, bardzo czystej wody.

Ręka kolejny raz uniosła się i odwróciła stronę. Opadła, wygładziła kartkę... ale tym razem nie zaczęła natychmiast pisać. Thad zdążył pomyśleć, że mimo drewnoty dłoni dziwny kontakt został przerwany. Wtem ołówek podskoczył jak żywe stworzenie... żywe, ale ciężko ranne. Podskoczył, zrobił znak przypominający rozlazły przecinek, potem kreskę i napisał:



J ——— George Starli George
George Starli Nie ma ptaków
George Starli

zanim zatrzymał się jak sterana część maszyny.

„ Tak. Potrafisz napisać swoje imię i nazwisko. I potrafisz napisać, że nie ma wróbli. Znakomicie. Ale dlaczego chcesz znów pisać? Dlaczego to takie ważne? Na tyle ważne, żeby zabijać?”



L Jaki nie, to umnę

napisał ołówek.

– Co to znaczy? – zamruczał Thad, ale poczuł w głowie eksplozję szaleńczej nadziei. Czy możliwe, żeby to było aż tak proste? Chyba tak, zwłaszcza dla pisarza, który nie istniał poza fikcją. Chryste, dość było takich żywych autorów, którzy nie mogli żyć, jeśli nie pisali,

albo tak im się wydawało... co w przypadku facetów typu Ernesta Hemingwaya wychodziło na jedno, nieprawdaż?

Ołówek zadrżał, pociągnął długą, nierówną linię pod ostatnim napisem. Dziwnie przypominała wykres głosowy.

Ł Tracę SPÓJNOŚĆ

napisał ołówek. Szczudłowate litery pojawiały się niechętnie. Ołówek podskoczył i zachwiał się w palcach. Były woskowobiałe. „ Ścisnę mocniej – pomyślał Thad – i po prostu trzaśnie.

”

tracę
tracę konieczną SPÓJNOŚĆ
Ł nie ma ptaków NIE MA ŻADNYCH PTAKÓW, KURWA
o ty słutnyśynie, wam
z mojej aforyzmy!

Nagle ramię frunęło w górę. Równocześnie zdrętwiała dłoń przerzuciła ołówek ze zręcznością magika manipulującego kartą i ścisnęła w pięści jak sztylet.

Ręka spuściła berola w dół – Stark spuścił w dół – i nagle ołówek wbił się w międzykciuk a palec wskazujący lewej ręki Thada. Grafitowy czubek, przytępiony przez Starka, przeszedł prawie na wylot. Ołówek trzasnął. Kałuża jasnej krwi wypełniła zagłębienie. Nagle moc, która zaważadnęła Thadem, ustąpiła. Czerwone rozlewisko buchało z dłoni. Ołówek sterczał z ciała.

Thad odrzucił w tył głowę i zacisnął zęby, tłumiąc rozdzierające wycie.

Z gabinetem sąsiadowała mała łazienka. Gdy Thadowi powróciło czucie w nogach, zabrał tam swą koszmarnie rwącą rękę i zbadał ranę w ostrym świetle sufitowej jarzeniówki. Wyglądała na postrzałową, miała kształt idealnego okręgu, okolonego napuchniętą czarną kryzą, której kolor przypominał proch strzelniczy, nie grafit. Thad odwrócił rękę i zobaczył jasnoczerwony punkcik, jak o ukłucia kolcem. Czubek ołówka.

„ Tyle zabrakło, żeby przeszedł na wylot” – pomyślał.

Lał na ranę zimną strugę, aż ręka zdrętwiała. Wyjął z wiszącej szafki butelkę wody utlenionej. Okazało się, że nie może jej utrzymać w lewej ręce. Żeby zdjąć nakrętkę, musiał przycisnąć butelkę do boku lewym przedramieniem. Zalał ranę środkiem dezynfekującym. Płyn zbielał i spenił się. Thad zacisnął zęby z bólu.

Odstawił z powrotem wodę utlenioną i zdjął po kolei kilka buteleczek z lekarstwami. Czytał naklejki. Dwa lata temu podczas jazdy na biegówkach przewrócił się. Nabawił się okropnych boli pleców i dobry, kochany doktor Hume przepisał mu percodan. Thad wziął wtedy tylko kilka tabletek. Okazało się, że strasznie zakłócają rytm snu i utrudniają pisanie. Wreszcie znalazł plastikową buteleczkę, ukrytą za pojemnikiem z pianką do golenia „Barbasol” liczącą przynajmniej tysiąc lat. Podważył nakrywkę zębami i wytrząsnął tabletkę na brzeg umywalki. Początkowo chciał wziąć dwie, ale zrezygnował. To silny środek.

„A może są zepsute? Może uda ci się zakończyć tę cudowną noc pięknymi konwulsjami i wycieczką do szpitala. Co ty na to?”

Ale zdecydował się zaryzykować. Nie było zresztą mowy o innym rozwiązaniu – ból był ogromny, niewiarygodny. A co do szpitala... popatrzył na ranę i pomyślał: „Pewnie powinienem pojechać i powinni to zobaczyć. Ale prędzej mnie szlag trafi. Przez ostatnie kilka dni tylu ludzi patrzyło na mnie jak na wariata, że mam dość na całe życie”
Wytrząsnął jeszcze cztery percodany, schował do kieszeni spodni i odstawił buteleczkę do szafki. Następnie zakrył ranę okrągłym plastrem opatrunkowym. Wystarczył jeden. „Patrząc na ten plastikowy krążek, nikt by nie zgadł – pomyślał – jak to cholerstwo boli. Zastawił na mnie paści. W swojej głowie. I wszedłem prosto w nią”

Czy tak się naprawdę stało? Tego Thad nie wiedział na pewno, ale wiedział co innego: nie chce powtórki.

Kiedy znów wziął się w garść, wsunął dziennik z powrotem do szuflady, zgasił światło w gabinecie i zszedł na pierwsze piętro. Przystanął na podeście, nasłuchując przez moment. Bliźnięta były spokojne. Również Liza.

Percodan, najwidoczniej nie tak stary, zaczął działać i ból zelżał. Kiedy Thad niechcący ruszył ręką, słabe rwanie zamieniło się w koszmar, ale wystarczyło uważać i dało się znieść.

„O, tak, ale rano będzie bolało, stary... i co powiesz Lizie?”

„Dokładnie to nie wiedział co. Chyba prawdę... w każdym razie część prawdy.”

Wyglądało, że Liza nabyła sporych umiejętności w odczytywaniu kłamstw męża.

Ból przestał dokuczać, ale skutki nagłego szoku – wszystkich nagłych szoków – nadal dawały znać o sobie i Thad uznał, że nie od razu zaśnie. Zszedł na parter i przez firanki zasłaniające wielkie okno w bawialni zerknął na wóz patrolowy policji stanowej, zaparkowany na podjeździe. Dwa papierosy w samochodzie migotały jak robaczki świętojańskie.

„Siedzą tam sobie spokojni i niewzruszeni – pomyślał. – Ptaki wcale nie wytrąciły ich równowagi, więc może nie było żadnych ptaszków, tylko mi się zwidziały. Zresztą ci faceci dostają pieniądze za to, że niełatwo ich wytrącić z równowagi”

Miło byłoby w to uwierzyć, ale gabinet mieścił się po drugiej stronie domu. Jego okien ani okien powozowni nie było widać z podjazdu. Więc gliniarze i tak nie mogli dostrzec ptaków. Przynajmniej wtedy, kiedy lądowały.

„Ale kiedy wszystkie startowały? Chcesz mi powiedzieć, że ich nie słyszeli? Thad, widziałeś przynajmniej sto wróble, a może dwieście lub trzysta”

Thad wyszedł na dwór. Nie otworzył jeszcze na oścież siatkowych drzwi prowadzących z kuchni, kiedy obaj policjanci wyskoczyli z wozu. Dwaj wielcy mężczyźni poruszali się szybko i bezszelestnie jak oceloty.

– Dzwonił, panie Beaumont? – zapytał ten, który wysiadł od strony kierowcy. Nazywał się Stevens.

– Nie, nic z tych rzeczy – odparł Thad. – Pisałem w gabinecie, kiedy wydało mi się, że słyszę odlot całej chmary ptaków. Wystraszyłem się ździebko. Słyszeliście coś?

Thad nie znał nazwiska drugiego gliniarza. Był młody, jasnowłosy, a jego pyzata, niewinna twarz promieniowała dobroduszością.

– Widziałem i słyszałem, a jakże – powiedział. Wskazał na niebo. Księżyc wychodzący z pierwszej kwadry wisiał nad domem. – Przeleciały dokładnie na tle księżyca. Wróble. Całe stado. Rzadko kiedy fruują nocą.

– Jak się wam zdaje, skąd mogły się wziąć? – zapytał Thad.

– Hm, żeby nie skłamać, to nie wiem – powiedział pyzaty policjant. – Zawaliłem egzamin ze śledzenia ptaków.

Zaśmiał się. Drugi policjant nie.

– Czuje się pan podenerwowany, panie Beaumont?

Thad spojrział mu prosto w oczy.

– Tak. Ostatnio każdej nocy jestem coś podenerwowany.

– Czy możemy panu w czymś pomóc, sir?

- Nie. Nie sądzę. Zaciekał mnie tylko ten hałas. Dobranoc, chłopaki.

- Branoc - odpowiedział pyzaty policjant.

Stevens tylko kiwnął głową. Jego oczy wypatrywały bystro i bez wyrazu spod szerokiego ronda stetsona, jakie nosili policjanci stanowi.

„ Ten uważa, że jestem winny - myślał Thad, wracając ścieżką biegnącą od drogi. - Winny czego? Nie wie. Pewnie nawet jest mu to obojętne. Ale ma twarz kogoś, kto wierzy, że każdy jest czegoś winny. Kto wie? Może to i racja” .

Zamknął drzwi kuchenne. Przekręcił zamek. Wrócił do bawialni i znów wyjrzał przez okno. Pyzaty policjant wycofał się do wozu, ale Stevens nadal stał przy drzwiach i przez moment Thad miał wrażenie, że spogląda mu prosto w oczy. Oczywiście było to niemożliwe. Przez zaciągnięte firanki Stevens dostrzegłby tylko niewyraźny, mroczny kształt... jeśli w ogóle coś by dojrzał.

Niemniej jednak Thad miał takie wrażenie.

Zaciągnął zasłony i podszedł do barku. Otworzył go, wyjął butelkę glenliveta. To był jego ulubiony trunek. Długo przyglądał się butelce. Odstawił ją z powrotem. Bardzo chciał się napić, ale teraz był najgorszy moment na powrót do picia.

Udał się do kuchni i nalał sobie szklanekę mleka. Bardzo uważał, żeby nie zginać ręki. Rana paliła ostro.

„ Zjawił się nieprzytomny - rozważał popijać mleko. - Nie trwało to długo - otrzeźwiało upiornie szybko - ale zjawił się nieprzytomny. Może spał. Może śnił o Miriam. Nie, nie sądzę. To, do czego się podłączyłem, było zbyt spójne na sen. Trafiłem na pamięć. Na archiwa podświadomości George'a Starka. Wszystko jest tam starannie zapisywane, a potem odkładane na właściwe miejsce. Jeśli on podłączyłby się do mojej podświadomości - a z tego, co wiem, prawie mu się udało - trafiłby na to samo” .

Popijał mleko i patrzył na drzwi spiżarki.

„ Ciekawe, czy mógłbym się podłączyć do jego trzeźwych myśli... świadomych myśli?”

Uznał, że odpowiedź na to pytanie może brzmieć „ tak” ... ale równocześnie uznał, że ubezwłasnowolniłoby go. A następnym razem nie musi się skoń czyć na ołówku w dłoni.

Następnym razem może się skoń czyć na nożu do papieru w karku.

„ Nie zrobi tego. Potrzebuje mnie.

Taaa... ale jest szalony. Szaleń cy nie zawsze dbają o swe interesy

”
Patrzył na drzwi spiżarki i myślał o tym, żeby tam wejść... a stamtąd wyjść na dwór, na tyły domu.

„ Czy mógłbym zmusić go do czegoś? Tak jak on mnie?”

Nie znał odpowiedzi na to pytanie. Jeszcze nie. A jeden nieudany eksperyment może zakończyć się śmiercią.

Thad skończył mleko, umył szklanę, odłożył na suszarkę. Wszedł do spiżarni. Tutaj, między półkami z produktami w puszkach po prawej a półkami z towarami papierniczymi po lewej, znajdowały się dzielone poziomo drzwi, prowadzące na szeroki trawnik nazywany przez Beaumontów tylnym podwórkiem. Otworzył zamek, pchnął obie połowki i zobaczył przed sobą stolik piknikowy oraz rożen stojący samotnie na warcie. Wyszedł na asfaltową ścieżkę. Obiegała ona dom i łączyła się z główną dróżką na froncie.

W słabym świetle księżyca asfalt błyszczał jak czarne szkło. Thad widział na nim nierówne białe bryzgi.

„ Wróble gówna, żeby nie przesadzić z elegancją” – pomyślał.

Z wolna podszedł pod okna gabinetu. Ciężarówka „ Orinco” wyrosła na horyzoncie, pędząc drogą nr 15 w kierunku domu. Na moment oświetliła wyraźnie trawnik i ścieżkę. Thad zobaczył na asfalcie dwa wróble trupki – drobne pierzaste kłębki ze sterczącymi łapkami o trzech pazurkach. Ciężarówka przepadła. W blasku księżyca ciała zdechłych ptaków znów zamieniły się w nieregularne cienie, nic więcej.

„ One były żywe. Wróble były żywe”. Ślepa, nieopanowana groza powróciła, brukając Thada w jakiś niepojęty sposób. Spróbował zacisnąć dłonie w pięści i lewa odpowiedziała przeszywającym bólem. Ta odrobina ulgi, jaką przyniósł percodan, wygasła.

„ Były tu. Żywe. Jakim cudem?”

Nie miał pojęcia.

„ Czy je przywołałem, czy stworzyłem z niczego?”

Na to pytanie też nie miał odpowiedzi. Ale jedno wiedział na pewno: wróble, które zjawily się dziś, żywe wróble, które zjawily się tuż przed zapadnięciem w trans, to tylko cząstka stada, które może się zjawić. Niewykluczone, że mikroskopijna cząstka.

„ Nigdy więcej. Błagam, nigdy więcej” .

Ale podejrzewał, że jego pragnienia się nie liczyły. Na tym polegała prawdziwa groza. Odkrył w sobie jakąś straszliwą nadzmysłową umiejętność, ale nie potrafił jej kontrolować. Sam pomysł kontrolowania zakrawał na żart.

I wierzył, że zanim ta cała sprawa się skończy, wróble powrócą.

Przeszedł go dreszcz. Wrócił do domu. Wśliznął się do spiżarni jak złodziej, przekręcił zamek w drzwiach i położył się spać, czując cały czas rwanie w ręce. Wcześniej połknął kolejny percodan, popijając wodą z kranu.

Kładąc się nie zbudził Lizy. W jakiś czas potem zapadł w trzygodzinny, niespokojny sen. Rzucał się w łóżku, a koszmary krążyły wokół, zawsze nieuchwytnie.

Stark robi zakupy

Budzenie się nie przypominało budzenia.

Jak się dobrze nad tym zastanowić, nigdy nie był w pełni trzeźwy lub uśpiony, inaczej niż inni ludzie. Jego życie przypominało wieczny sen, w którym przechodził z jednego marzenia w drugie. W ten sposób życie – tyle, ile z niego pamiętał – przypominało chińskie pudełko, kryjące kolejne pudełko, i tak bez końca. Lub przypominało zagłębienie nie końca czący się korytarz luster.

Ten sen był koszmarem.

Z wolna budził się wiedząc, że naprawdę nie zasnął. Thad jakimś sposobem na krótko przejął nad nim władzę, na krótko nagiął go do swej woli. Czy gadał, odkrył się Beaumontowi? Może... ale równocześnie był całkiem pewny, że Beaumont nie umiał interpretować nabytej wiedzy, nie umiał odróżnić ziaren od plew.

Poza tym obudził go ból.

Wynajmował kawalerkę w East Village tuż przy Avenue B. Kiedy odemknął oczy, siedział przy kulawym kuchennym stole. Na blacie leżał otwarty zeszyt. Strumyk świeżej krwi sunął po żółtej ceracie. I nie ma się co dziwić, że czuł ból. Z prawej ręki sterczał długopis marki „Bic”.

Sen zaczął się przypominać.

W ten sposób udało mu się wyrzucić Beaumonta z głowy, w jedyny sposób pozwalający na rozerwanie więzi, którą to tchórzliwe gówno w jakiś sposób stworzyło między nimi. Tchórzliwe? Tak. Ale równocześnie cwane i złym pomysłem byłoby o tym zapomnieć. Doprawdy – bardzo złym.

Stark jak przez mgłę pamiętał, że Thad był z nim, leżeli razem w łóżku; rozmawiali, szeptali, co z początku było miłe i dziwnie bezpieczne – jak rozmowa z bratem po zgaszeniu

światła.

Ale było to coś więcej niż tylko rozmowa, prawda?

Tak naprawdę to dzielili się sekretami... lub raczej Thad zadawał pytania, a on odpowiadał. Miło się odpowiadało, bezpiecznie. Ale równocześnie czuł niepokój. Z początku niepokój dotyczył ptaków – dlaczego Thad ciągle wypytywał o ptaki? Nie było żadnych ptaków. Może kiedyś... dawno, dawno temu... ale już nie. To była zagrywka, zmyłka, żeby go wystraszyć. A potem niepokój zaczął się łączyć z niesamowitym poczuciem zagrożenia – coraz większym i konkretniejszym, w miarę jak Stark walczył ze snem. Czuł się jak uwięziony pod wodą, przytapiany...

Więc wciąż częściowo przebudzony, częściowo uśpiony poszedł do kuchni, otworzył zeszyt i wziął do ręki długopis. Thad nie musiał się wysilać. A po co? Czyż nie pisał oddalony o pięćset mil? Oczywiście, długopis był zupełnie nie na miejscu – nawet nie leżał mu w ręce, ale wystarczy. Na razie.

„Rozsypuję się” – napisał i stanął bardzo blisko magicznego lustra dzielącego sen jawy. ^{od}Usiłował narzucić długopisowi własne myśli, pokierować tym, co się pokaże na czystej kartce, ale dobry Boże! Chryste miłosierny! Szło mu ciężko, tak cholernie ciężko!

Długopis marki „Bic” i kilka zeszytów zakupił w sklepie papierniczym zaraz po przyjeździe do Nowego Jorku, nawet jeszcze przed wynajęciem tej obskurnej kawalerki. W sklepie były berole i chciał je kupić, ale nie kupił. Bez względu na to, czyj umysł kierował ołówkami, trzymała je ręka Thada Beaumonta i Stark chciał wiedzieć, czy potrafi przerwać tę więź. Więc kupił nie ołówki, lecz długopis.

Gdyby umiał pisać, gdyby umiał pisać bez niczyjej pomocy, wszystko by grało i ta ślamazarna kanalia z Maine wcale nie byłaby potrzebna. Ale nie potrafił nic zrobić tym długopisem. Bez względu na to jak się starał, bez względu na to, jak się spinał, pisał tylko imię i nazwisko. W kółko: George Stark, George Stark, George Stark, aż na samym dole strony wyrazy przeszły w nieczytelne bazgroły przedszkolaka.

Wczoraj poszedł do nowojorskiej biblioteki publicznej i zapłacił za godzinę korzystania z ponurej, szarej elektrycznej maszyny IBM. Godzina zdała się trwać tysiąc lat. Siadł w skrytorium, w wydzielonym miejscu osłoniętym z trzech stron; palce dygotały mu na klawiaturze, pisał imię i nazwisko, tym razem wersalikami: GEORGE STARK, GEORGE STARK, GEORGE STARK.

„Wyrwij się z tego! – wrzeszczał na siebie w myśli. – Napisz coś innego, byle co, tylko wyrwij się z tego!”

Więc spróbował. Pochylił się nad klawiaturą, i pocąc się napisał: „Zwinny rudy lis

przeskoczył nad leniwym psem” .

Ale na kartce pokazało się: „ Georgowy George Stark georgnął starknął nad siarkowym starkiem” .

Zamarzył, żeby wyrwać IBM z blatu, poszaleć po sali, powymachiwać maszyną jak barbarzyńca maczugą, rozłupywać czaszki i łamać kręgosłupy. Jeśli nie może tworzyć, niechby sobie poniszczą!

Jednak zamiast tego opanował się (z wielkim wysiłkiem), wyszedł z biblioteki, dokładnie zmiął bezużyteczną kartkę i wrzucił do kosza na śmieci przy krawężniku. Trzymając teraz bicia przypomniał sobie nieopanowaną, ślepą furie, kiedy okazało się, że bez Beaumonta może się tylko podpisać.

Przypomniał sobie strach.

I panikę.

Ale nadal miał Beaumonta w ręku, co nie? Niech sobie Beaumont myśli, że jest na odwrót, bo może... może czeka go jeszcze wielka pierdolona niespodzianka.

„ tracę” - napisał. Jezu, nie może powiedzieć Beaumontowi słowa więcej - to, co napisał, już było wystarczająco okropne. Dokonał potężnego wysiłku, żeby opanować zdradziecką dłoń .

„ konieczną SPÓJNOŚĆ” - napisała, jakby rozwijając poprzednią myśl, i nagle Stark wyobraził sobie, że dźga Beaumonta długopisem. Pomyślał: „ Stać mnie na to. Wątpię, żeby ciebie było stać, Thad, bo mówiąc bez ogródek, to jesteś po prostu wymoczkiem. A że sprawa stoi na ostrzu noża... to JA ją załatwię, ty draniu. Coś mi się zdaje, że czas dać ci nauczkę” .

I choć czuł się tak, jakby wszedł w kolejny sen, choć przeżywał tę straszliwą, przyprawiającą o zawrót głowy utratę samokontroli, odzyskał częściowo pierwotne, niekwestionowane zaufanie do samego siebie i przebił tarczę snu. Triumfalnie wyskoczył na powierzchnię, zanim Beaumont zdołał go utopić. Przejął kontrolę nad długopisem... i wreszcie napisał sam!

Przez moment - naprawdę moment - miał wrażenie, że dwie ręce trzymają dwa przybory do pisania. To wrażenie było zbyt wyraźne, zbyt autentyczne, aby nie było autentyczne.

„ nie ma ptaków” - napisał - pierwsze prawdziwe zdanie, które kiedykolwiek napisał jako żywy. Pisanie było koszmarnie trudne, tylko istota obdarzona nadludzką determinacją mogła sprostać temu zadaniu. Ale kiedy tylko słowa zostały przelane na papier, poczuł, że odzyskuje pełną samokontrolę. Władza tamtej ręki osłabła i Stark wzmocnił uścisk,

nie okazując litości ani wahania.

„ Ja przytopię ciebie na chwilę – pomyślał. – Zobacz, jak to smakuje” .

W wytrysku słów szybszym i rozkoszniejszym niż najpotężniejszy orgazm napisał:

„ NIE MA ŻADNYCH PTAKÓW, KURWA, O ty skurwysynu, won z mojej GŁOWY!”

I zanim zdążył pomyśleć – myślenie mogło spowodować fatalne wahanie – – zamachnął się długopisem, prowadząc rękę płytkim, krótkim łukiem. Stalowa końcówka wbiła się w prawą dłoń ... poczuł, jak setki mil na północ Thad Beaumont wykonuje zamach czarnym pięknisiem i wbija go w lewą dłoń .

Wtedy to obudził się – wtedy obaj obudzili się naprawdę.

Ból był przenikliwy i ogromny, ale równocześnie wyzwalający. Stark wrzasnął, wcisnął spoconą twarz w ramię, żeby zagłuszyć krzyk, w którym oprócz bólu była radość i poczucie ulgi.

Czuł, jak Beaumont hamuje wrzask, tam daleko, w swym gabinecie w Maine. Współświadomość, którą Beaumont stworzył między nimi, nie znikła, raczej przypominało to rozwiązywanie naprędce splątanego supła, który szarpnięty po raz ostatni, rozłazi się. Stark poczuł, prawie zobaczył sondę, która za sprawą tego zdradzieckiego drania wśliznęła mii się do głowy podczas snu. Teraz, kręcąc się i podrygując, wyślizgiwała się na zewnątrz.

Stark sięgnął – nie fizycznie, ale w wyobraźni – i złapał znikającą końcówkę sondy Thada. Wyglądała jak robak, jak tłusta biała larwa, obłąkańczo napchana odpadkami i zgnilizną.

Zastanawiał się, czy nie zmusić Thada do kolejnego dźgnięcia, tym razem w oko. A może tak kazać mu dźgnąć się głęboko w ucho? Niech drewno i grafit rozerwą bębenek, zanurzą się w miękkiej tkance mózgu. Prawie słyszał wrzask Thada. Tego wrzasku nie da rady zagłuszyć.

Ale pohamował wyobraźnię. Nie chciał śmierci Beaumonta.

Na razie.

Najpierw Beaumont musi nauczyć go samodzielnego życia.

Stark powoli rozluźnił pięść, a wtedy poczuł, że uścisk, w który pochwycił duszę Beaumonta – uścisk zaciśnięty w wyobraźni, w każdym calu równie szybki i bezlitosny jak pięść – również słabnie. Poczuł, jak Beaumont – tłusta biała larwa – wyślizguje się piszcząc i jęcząc.

- To tylko na razie - szepnął i zajął się sprawą niecierpiącą zwłoki. Zacisnął lewą dłoń wokół bicia, wystającego z prawej dłoni. Płynnie szarpnął. Wyrzucił długopis do kosza.

Obok zlewu, na suszarce z nierdzewnej stali, stała butelka glenlivet. Stark wziął ją poszedł do łazienki. Prawa ręka kołysała się, bryzgając krwią na popękane i wyblakłe linoleum. Kapały krople wielkości dziesięciocentówek. Rana znajdowała się pół cała powyżej kłykci, nieco bliżej serdecznego palca. Była idealnie okrągła. Plama czarnego tuszu na brzegu rany, połączona z wewnętrznym krwotokiem i spuchlizną, upodabniała ranę do postrzałowej. Spróbował wyprostować dłoń. Palce drgnęły... ale ból i zawrót głowy były zbyt wielkie, by mógł dalej eksperymentować.

Pociągnął za łańcuszek zwisający z urządzenia nad szafką łazienkową z lustrem i zapłonęła naga sześćdziesięciowatowa żarówka. Przycisnął do boku butelkę whisky i odkręcił korek. Wystawił ranną dłoń nad umywalkę. Czy Beaumont robił to sam w Maine? Wątpliwe. Wątpliwe, żeby Beaumont miał na tyle hartu, by posprzątać, co sam narozrabiał. Niewątpliwe natomiast, że zapychał już do szpitala.

Stark polał ranę whisky. Piorun czystego jak stal bólu skoczył do ramienia. Alkohol bulgotał w ranie, drobne krwawe nitki drgały w bursztynowym płynie. Po raz wtóry musiał wcisnąć w koszulę zlaną potem twarz.

Wydawało mu się, że ból nigdy nie zelżeje, ale wreszcie zaczął ustępować.

Stark spróbował odstawić butelkę whisky na półeczkę pod lustrem, przykręconą do wyłożonej kafelkami ściany. Ręka trzęsała się zbyt mocno. Operacja nie miała szansy sukcesu. Odstawił butelkę na pokryty rdzawymi zaciekami brodzik prysznicowy. Za chwilę będzie musiał się napić.

Podniósł rękę pod światło i spojrzał w dziurę. Widział przez nią żarówkę, ale niewyraźnie - przypominało to patrzenie przez czerwony filtr posmarowany błotnistym świńskim stwem. Nie przebił dłoni na wylot, ale zabrakło cholernie mało. Może Beaumont zrobił to lepiej.

Zawsze można pomarzyć.

Podsunał dłoń pod zimną strugę wody, rozłożył palce, żeby jak najbardziej rozszerzyć ranę. Przygotował się na ból. Z początku był bardzo mocny - Stark musiał powstrzymać kolejny krzyk, zagryzł zęby i zacisnął usta w cienką białą linię - ale niebawem dłoń zdrętwiała i poczuł się lepiej. Wytrzymał całe trzy minuty. Zakręcił kran i znów podniósł rękę

do światła.

Blask żarówki nadał przebijał przez dziurę, ale teraz był mętny i daleki. Rana zamykała się. Jego ciało miało zdumiewające zdolności regeneracji, co było dość zabawne, ponieważ równocześnie rozpadał się. Tracę spójność, napisał. Był bliski prawdy.

Pół minuty, może dłużej, patrzył jak zaczarowany na swą twarz odbitą w sfalowanym, cętkowanym lustrze szafki, a potem otrząsnął się, wzdrygnął całym ciałem. Patrzenie we własną twarz, tak opatrzoną i bliską, a równocześnie tak nową i obcą, zawsze wprowadzało go niemal w hipnotyczny stan. Podejrzywał, że gdyby patrzył na nią dość długo, uległby autohipnozie.

Stark otworzył szafkę, usuwając sprzed oczu lustro oraz budzącą wstręt i fascynację twarz. Wewnątrz znajdowała się dziwna mała kolekcja przedmiotów: dwie żyletki, jedna z nich używana; buteleczka podkładu do twarzy; puderniczka; kilka płatków delikatnej gąbki, które miały kolor kości słoniowej tam, gdzie nie pobrudził ich nieco ciemniejszy puder; buteleczka ze zwykłą aspiryną. Żadnych plastrów z opatrunkami. Plastry z opatrunkami są jak gliny, pomyślał – nigdy nie ma ich pod ręką, kiedy są naprawdę potrzebne. Ale nic nie szkodzi – zdezynfekuje ranę kolejną porcją whisky (najpierw zdezynfekowawszy sobie wnętrze zdrowym łykiem, rzecz jasna), a potem owinie chusteczką. Wątpliwe, aby dostało się zakażenie. Wyglądało, że jest odporny na infekcję. I to wydało mu się zabawne.

Otworzył opakowanie aspiryny zębami, wypluł nakrętkę do umywalki, przechylił buteleczkę do góry dnem i wsypał do ust kilka tabletek. Wziął whisky z brodzika i pociągnął. Alkohol zalał żołądek. Rozkwitł kojący, ciepły kwiat. Następnie Stark spryskał ranę.

Poszedł do sypialni, otworzył górną szufladę komody, która pamiętała lepsze – znacznie lepsze – dni. Komoda i staroświecka rozkładana sofa były jedynymi meblami w pokoju.

Górna szuflada jedyna miała jakąś zawartość, pozostałe były wyścielone egzemplarzami „Daily News”. Leżały w niej: trzy pary męskich slipów w opakowaniu, dwie pary skarpetek w papierowych banderolach wytwórcy, para lewisów i frotowa opaska na przegub. Rozerwał zębami celofan na opasce i owinał ją wokół dłoni. Bursztynowy płyn przesiąkł przez materiał, tworząc drobną plamę krwi. Stark czekał, sprawdzał, czy plama się powiększy. Nie. Wspaniale. Doprawdy wspaniale.

Czy Beaumontowi udało się odebrać jakieś dane zmysłowe? – zastanawiał się. Czy wiedział, że George Stark obecnie wynajmuje pozbawione komfortu mieszkanie w East Village, w lichym budynku, gdzie żyły karaluchy tak wielkie, że mogły kraść czekoladki z opieki socjalnej? Wątpliwe. Ale nie ma sensu ryzykować, kiedy się nie musi. Obiecał Thadowi

tydzień na podjęcie decyzji i choć był już całkowicie przekonany, że tamten nie zamierza pisać kolejnego „starka”, pozwoli mu wykorzystać cały obiecany czas.

Jest przecież słownym facetem.

Wygląda na to, że Beaumontowi przydałaby się niewielka zachęta. Wystarczyłoby zapalić i podsunąć pod podeszwy dzieciaczków propanowy palnik, jaki można kupić z sklepie z artykułami żelaznymi. Ale to na potem. Na razie zaczeka... a w międzyczasie nie zawadziłoby powędrować trochę na północ. Trzeba wyrobić sobie pozycjkę wyjściową, tak to nazwijmy. Przecież jest wóz – czarny toronado. Stoi w garażu, ale to nie znaczy, że musi zostać w garażu. Stark może wyjechać z Nowego Jorku jutro rano. Ale przed wyjazdem powinien zrobić zakupy... a w tej chwili trzeba użyć kosmetyków z łazienkowej szafki.

Wyjął słoiczki z płynnym podkładem, puder, gąbki. Zanim przystąpił do nakładania makijażu, pociągnął łyk z butelki. Ręce przestały się trząść, ale prawa dłoń rwała wrednie. Przyjmował to bez szczególnej przykrości. Jeśli jego rwała dłoń, Beaumont wił się z bólu.

Przyjrzał się sobie w lustrze, dotknął palcem płatka skóry pod lewym okiem, pociągnął palcem w dół policzka, do kącika ust.

– Tracę spójność – zamruczał. O rany, rany, święta prawda.

Kiedy Stark po raz pierwszy popatrzył na swoją twarz – klęcząc przy cmentarzu Homeland nad nieruchomą powierzchnią błotnistej kałuży, oświetlonej okrągłym księżycem niedalekiej latarni – był zadowolony. Wyglądał dokładnie jak w marzeniach, które śnił uwięziony w lochach wyobraźni Beaumonta, będących mu matczynym łonem. Ujrzał mężczyznę obdarzonego konwencjonalną urodą, o rysach trochę zbyt topornych, żeby zwracały uwagę. Gdyby czoło było nie tak szerokie, a oczy trochę więcej rozstawione, może kobiety oglądałyby się za nim. Idealnie nie wyróżniająca się twarz (jeśli coś takiego istnieje) może zwrócić uwagę właśnie dlatego, że żadna cecha nie zdąży wpaść w oko, nim skieruje ono uwagę na coś innego; całkowita zwyczajność może na tyle zaniepokoić oko, że powróci i zerknie powtórnie. Tej twarzy, którą ujrzał pierwszy raz na żywe oczy w błotnistej kałuży, daleko było do pospolitości. Uznał ją więc za doskonałą, za nie dającą się opisać. Niebieskie oczy... opalenizna, która mogła się wydać nieco dziwna przy tak jasnych włosach... i tyle! Nic więcej! Świadek popatrzy na szerokie bary, które w jego sylwetce wyróżniały się najmocniej... ale na świecie jest pełno barczystych mężczyzn.

Obecnie wszystko uległo zmianie. Obecnie ta twarz niezwykle zwracała uwagę... i

jeśli Stark szybko nie wróci do pisania, stanie się więcej niż dziwna. Stanie się groteskowa.

„ Tracę spójność – znów pomyślał. – Ale ty, Thad, już zadbasz, żeby to się skończyło. Kiedy zaczniesz książkę o opancerzonym samochodzie, to, co mnie teraz spotyka, cofnie się. Nie mam pojęcia, skąd o tym wiem, ale wiem to dobrze” .

Minęły dwa tygodnie, odkąd zobaczył siebie po raz pierwszy, i od tej pory jego twarz wyraźnie się zdegenerowała. Na początku było to nieznaczne, tak nieznaczne, że przekonał siebie samego, iż to tylko wyobraźnia... ale kiedy zmiana nabrała przyspieszenia, ten pogląd stał się nie do utrzymania i musiał go porzucić. Gdyby ktoś zobaczył dwie fotografie Starka zrobioną wtedy i teraz, pomyślałby, że widzi człowieka wystawionego na działanie jakiegoś dziwnego promieniowania albo oblanego żrącą substancją chemiczną. Wszystkie miękkie tkanki George'a Starka przechodziły stan spontanicznego rozkładu.

Kurze łapki przy oczach, zwyczajne oznaki wieku średniego, stały się głębokimi zmarszczkami. Powieki opadły i nabrały szorstkości krokodylej skóry. Policzki podobnie – wyglądały na pokiereszowane i spękane. Obwódki oczu szzerwieniały, dzięki czemu Stark nabrał żałosnego wyglądu faceta, który nie wie, że czas odstawić butelkę. Głębokie zmarszczki znalazły sobie drogę od kącików ust do linii podbródka, przez co wargi stały się dziwnie luźne, jak u lalki brzuchomówcy. Blond włosy, od początku słabe, jeszcze bardziej wydelikatniały, przerzedziły się na skroniach. Na ciemieniu wyjrzała różowa skóra. Na dłoniach wyskoczyły wątrobiane plamy.

Wszystko to było do zniesienia bez uciekania się do makijażu. Przecież tylko się postarzał, a starczy wiek wcale nie rzucał się w oczy. Nie stracił nic na sile. A poza tym miał niewzruszoną pewność, że kiedy tylko Beaumont zacznie pisać – rzecz jasna, jako George Stark – cały proces ulegnie odwróceniu.

Ale teraz zęby zaczęły się chwiać. No i doszły wrzody.

Trzy dni temu zauważył po wewnętrznej stronie prawego łokcia pierwszy wrzód – czerwoną plamkę w koronce nieskazitelnej bieli. Ten rodzaj skazy kojarzył mu się z pelagrą, która lokalnie nawiedzała głębokie Południe jeszcze w latach sześćdziesiątych. Przedwczoraj zauważył następny. Tym razem na szyi, pod lewym uchem. Wczoraj wyszły dwa kolejne; jeden na piersi między sutkami, drugi poniżej pępka.

Dziś po raz pierwszy wrzód zjawił się na twarzy, na prawej skroni.

Nie bolały. Czuł tępe, głębokie swędzenie, ale to wszystko... przynajmniej jeśli chodzi o to, co czuł. Ale rosły szybko. Prawe ramię od łokcia do połowy wysokości spuchło i przybrało odcień mdłej czerwieni. Zrobił błąd, podrapał się i ciało rozlazło się z ohydą łatwością. Mieszanka krwi i żółtawej ropy sączyła się wzdłuż rowków wrytych paznokciami,

z rany rozszedł się ciężki smród. A jednak to nie była infekcja. Przysięgłby. Raczej...
gnicie. Gdyby ktoś na niego spojrział – nawet ktoś z wykształceniem medycznym –
prawdopodobnie sądziłby, że Stark ma błyskawicznie rozprzestrzeniającego się czerniaka,
być może wywołanego mocnym napromieniowaniem.

Niemniej jednak wrzody zbyt go nie martwiły. Przybędą kolejne, zajmą coraz większy
obszar, połączą się i wreszcie zeżrą żywcem... jeśli im na to pozwoli. Ponieważ nie zamierzał
im na to pozwalać, nie musiał się martwić. Ale nie był już tylko jednym z tłumu. Te znaki na
twarzy zamieniały się w kratery czynnego wulkanu. Stąd makijaż.

Nakładał podkład gąbką ostrożnymi ruchami, rozprowadzał szminkę od policzków do
skroni, wreszcie przykrywając matowy czerwony guz poniżej końca prawej brwi i nowy
wrzód, który właśnie zaczynał się przebijać powyżej lewej kości policzkowej. Facet z
teatralnym makijażem na gębie przypomina tylko jedno stworzenie na tym łez padole, odkrył
Stark. Faceta z teatralnym makijażem na gębie. Co wskazuje albo na aktora z telewizyjnej
mydlanej opery, albo na gościa z programu Donahue. Ale wszystko jest lepsze niż wrzody, a
opalenizna nieco tonowała sztuczny efekt. Trzymając się mroku, a pokazując jedynie w
sztucznym świetle, ukryje makijaż. Przynajmniej taką miał nadzieję. Poza tym powinien
unikać słońca z jeszcze jednego powodu. Podejrzewał, że przyspiesza ono katastrofalną
reakcję zachodzącą w jego wnętrzu. Zamieniał się w wampira. Ale to nie szkodzi; zawsze w
pewnym sensie był wampirem. „Poza tym jestem nocnym łowcą i zawsze nim byłem – taką
mam naturę”.

To spowodowało, że wyszczerzył w uśmiechu zęby. Wyglądały jak kły.

Zakręcił pokrywkę na pojemniku z podkładem i zaczął się pudrować.

„Czuję swój smród – pomyślał – i inni szybko zaczną mnie czuć. Śmierdę potężnie i
ohydnie – jak rondel mięsa zostawionego cały dzień na słońcu. To nie za dobrze, przyjaciele
i kochanki. To wcale nie za dobrze”.

– Będziesz pisał, Thad – powiedział do lustra. – Ale jak dobrze poleci, nie będziesz
skazany na długą pracę.

Wyszczerzył się jeszcze bardziej, demonstrując siekacz, który szerniał i zgnił.

– Szybko się ucze.

O wpół do jedenastej następnego dnia właściciel sklepu papierniczego na Houston
Street sprzedał wysokiemu, barczystemu mężczyźnie, ubranemu w koszulę w kratę,

niebieskie dzinsy i noszącemu wielkie okulary przeciwsłoneczne, trzy pudełka czarnych piękniś Berola. Jak zauważył sklepikarz, facet miał na sobie teatralny makijaż – prawdopodobnie pozostałość po nocy spędzonej na włóczeniu się po barach, w których kwitła prawdziwa męska przyjaźń. Facet tak woniał, że chyba nie polał się kochaną „English Leather”, tylko wziął sobie w niej kąpielkę. Woda toaletowa nie mogła zmienić faktu, że barczysty goguś śmierdział. Sklepikarz zastanawiał się przez chwilę – bardzo krótką chwilę – czy nie zażartować sobie z tego powodu, ale porzucił zamiar. Goguś śmierdział nieprzyjemnie, ale wyglądał tak samo. Poza tym transakcja była na szczęście krótka. Pedał kupował ołówki, nie rolls – royce’a corniche’a.

Lepiej nie tykać gówna.

W powrotnej drodze Stark zatrzymał się na krótko w kawalerce na East Village. Wpakował swój skromny dobytek do worka marynarskiego kupionego podczas pierwszego dnia pobytu w drogim robaczywym Wielkim Jabłuszku. Gdyby nie butelka szkockiej, pewnie wcale nie zawracałby sobie głowy wracaniem do mieszkania.

Wchodząc po sypiących się frontowych schodach, nie zauważył trupków trzech wróbli.

Opuścił Avenue B pieszo... ale nie szedł zbyt długo. Jak już wcześniej odkrył, człowiek zdeterminowany zawsze złapie okazję.

Po ostatecznym terminie

Ostatni dzień tygodnia łaski dla Thada Beaumonta bardziej przypominał koniec lipca niż drugą dekadę czerwca. Thad pokonywał osiemnastomilowy odcinek do Uniwersytetu Maine, mając nad sobą niebo koloru rozmytego chromu. Klimatyzacja suburbańska hulawała na całego mimo fatalnego wpływu na spalanie. Za autem Thada jechał ciemnobrązowy plymouth. Nigdy nie podjeżdżał bliżej niż na dwa wozy i nigdy nie oddalał się bardziej niż ^{na} pięć. Rzadko pozwalał innemu samochodowi wśliznąć się między siebie a suburbańska. Jeśli komuś udało się dokonać tej sztuki na skrzyżowaniu albo obok szkoły w Veazie, gdzie obowiązywało ograniczenie szybkości, brązowy plymouth mijał śmiałka szybko... a gdy ten się stawił, jeden z opiekunów Thada ściągał okrycie z niebieskiego światła alarmowego na desce rozdzielczej. Kilka błysków załatwiało sprawę.

Thad prowadził głównie prawą ręką, z lewej korzystając tylko w razie absolutnej konieczności. Dłoń miała się lepiej, ale gdy zbyt nonszalancko zginał ją lub prostował, bolała jak wszyscy diabli. Nie mógł się doczekać końca cała pełnej godziny. Tę porę wyznaczył sobie na połknięcie następnego percodanu.

Liza namawiała go, by zaniechał wyjazdu. Podobnie policjanci wyznaczeni do opieki nad Beaumontami. Chłopakom ze stanowej powód narzucał się sam przez się: nie chcieli rozdzielać grupy. Pobudki działania Lizy były nieco bardziej skomplikowane. Mówiła mu o ręce. Że prowadząc wóz, otworzy sobie ranę. Ale w oczach miała zupełnie co innego. W oczach miała George'a Starka i tylko George'a Starka.

A po jasną cholere musisz akurat dziś jechać do pracy? – chciała wiedzieć. Powinien przygotować sobie wcześniej odpowiedź na to pytanie. Semestr się skończył, i to już jakiś czas temu, a Thad nie prowadził żadnych letnich kursów. Wreszcie zdecydował, że za pretekst posłuży mu zgłoszenie na specjalizację.

Sześćdziesięciu studentów wydziału anglistyki złożyło formularze S - 7A, wybierając seminarium z twórczości pisarskiej. Ponad dwukrotnie więcej niż poprzedniej jesieni. Ale (fakty, drogi Watsonie) poprzedniej jesieni ludzkość - w tym ta jej część, która zamierzała zdobyć tytuł naukowy na wydziale anglistyki Uniwersytetu Maine - nie wiedziała, że zbiegiem okoliczności nudny, poczciwy Thad Beaumont jest również szalonym George'em Starkiem.

Więc powiedział Lizie, że chce przejrzeć zgłoszenia, ograniczając sześćdziesiątkę do piętnastki. Tyle wynosiła maksymalna liczba studentów, którymi mógł się zająć (co prawdopodobnie przekraczało o czternaście liczbę tych, których mógł czegoś nauczyć).

Oczywiście chciała wiedzieć, dlaczego nie może tego odłożyć, przynajmniej do lipca, i przypomniała mu (również oczywiście), że w zeszłym roku odłożył to aż do połowy sierpnia. Ponownie posłużył się argumentem wielkiego wzrostu liczby zgłoszeń, a potem cnotliwie zaznaczył, iż nie chce, aby lenistwo z ostatniego lata przeszło mu w nawyk.

Wreszcie przestała protestować - nie dlatego, że argumenty Thada ją przekonały, ale ponieważ zrozumiała, że jest zdecydowany jechać, bez względu na wszystko. I wiedziała równie dobrze jak on, że będą musieli wyjść z domu wcześniej czy później. Ukrywanie się, aż ktoś zabije lub złapie za kołnierz George'a Starka, nie bardzo się im uśmiechało. Ale w oczach miała nadal wielki, tępy strach. Niedowierzenie.

Thad ucałował ją i bliźnięta i szybko wyszedł. Wyglądała, jakby zaraz miała się rozpłakać, a gdyby do tej chwili pozostał w domu, zostałyby na dobre.

Oczywiście, nie chodziło o seminarium.

Chodziło o ostateczny termin.

Obudził się rano, też pełen tępego strachu, tak nieprzyjemnego jak skręt kiszek. George Stark zadzwonił przedpołudniem dziesiątego czerwca i dał mu tydzień na rozpoczęcie powieści o zwinięciu opancerzonego samochodu. Thad nie zrobił nic, żeby ją zacząć... choć z każdym dniem widział coraz lepiej akcję. Nawet śniła mu się kilka razy. Była to miła przerwa w obchodzeniu własnego opuszczonego domu i dotykaniu przedmiotów, które wtedy natychmiast wybuchały. Ale dziś pierwsze, co pomyślał, to: „Ostateczny termin. Przekroczyłem ostateczny termin”.

Znaczyło to, że choć pogaduszka z George'em wcale mu się nie uśmiechała, przyszedł na nią czas. Czas dowiedzieć się, jak wściekły jest George. Hm... znał chyba odpowiedź na to pytanie. Ale było równie możliwe, że jeśli George jest bardzo wściekły, wściekły tak, że stracił nad sobą panowanie, a Thad zdoła go rozjuszyć do tego stopnia, że straci panowanie nad sobą do reszty, szczywany drogi George zrobi błąd i coś chlapnie.

„ Tracę spójność” .

Thad już miał uczucie, że George coś chlapnął pozwalając, aby nieproszona ręka Thada napisała tamte słowa w dzienniku. Gdyby tylko wiedział, co one znaczą! Wyobrażał sobie coś... ale nie był pewien. A błąd w tym momencie mógł kosztować życie nie tylko samego Thada.

Więc udał się na uniwersytet, do swojego gabinetu w budynku ANGIELSKI – MATEMATYKA. Udał się tam nie po zgłoszenia na seminarium specjalizacyjne – choć je zabierze – ale ponieważ stał tam telefon, telefon nie na podsłuchu, i ponieważ coś należało zrobić. Przekroczył termin ostateczny.

Patrząc na lewą dłoń spoczywającą na kole kierownicy, pomyślał (nie po raz pierwszy podczas tego bardzo długiego tygodnia), że telefon nie jest jedynym sposobem nawiązania kontaktu z George’em. Udowodnił to... ale za bardzo wysoką cenę. Nie chodziło o rozdzierający ból towarzyszący wbiciu ołówka w dłoń lub koszmar, jaki przeżył, gdy pozbawione kontroli ciało rzuciło się na siebie, słuchając Starka – szczerwanego drogiego George’a, ducha człowieka, którego nigdy nie było. Zapłacił realną cenę. Realną ceną było pojawienie się wróbli, groza towarzysząca uświadomieniu, że działające tu siły są o wiele potężniejsze i trudniejsze do zrozumienia niż sam Stark.

Coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że wróble oznaczają śmierć. Ale czyją?

Ogarniała go groza na myśl, że nawiązując kontakt ze Starkiem może narazić się na spotkanie z wróblami.

Widział ich przylot; widział, jak zjawiają się w tym mistycznym punkcie wyznaczającym połowę drogi, którą zmierzali ku sobie – gdzie wreszcie będzie musiał zmierzyć się z George’em Starkiem w walce o jedną duszę, do której obaj rościli pretensje.

Bał się. Czuł, komu może przypaść wygrana.

Alan Pangborn siedział w swym gabinecie na tyłach biura szeryfa okręgu Castle, które zajmowało jedno skrzydło magistratu Castle Rock. Dla niego też był to długi, wyczerpujący tydzień ... ale to żadna nowość. Kiedy w The Rock lato rozkręcało się na dobre, pracy przybywało. Od Dnia Pamięci do Święta Pracy stróże prawa w Krainie Wakacji zawsze mieli urwanie głowy.

Pięć dni temu na drodze nr 117 nastąpił karambol czterech pojazdów, istny fajerwerk spowodowany nadmiarem spożycia alkoholu. Dwa trupy. Dwa dni później Norton Briggs

przyłożył małżonce patelnię, rozkładając połowicę bez czucia na kuchennej podłodze. Norton na potęgę tłukł żonę podczas dwudziestu lat burzliwego współżycia, ale tym razem uwierzył, że ją zabił. Napisał krótki list, pełen tyleż żalu, co gramatycznych błędów, i rewolwerem kalibru 38 odebrał sobie życie. Kiedy pani Norton, która również nie traciła słodkich lat młodości na naukę, odzyskała przytomność i stwierdziła, że na podłodze spoczywa sztywniejący trup jej dręczyciela, odkręciła gaz i wsadziła głowę do piekarnika. Sanitariusze Żogotowia ratunkowego w Oxfordzie wyratowali ją. W ostatniej chwili.

Dwójka nowojorskich dzieciaków wymaszerowała z letniego domku rodziców nad jeziorem Castle i zgubiła się w lesie. Wypisz, wymaluj Jaś i Małgosia. Zostali znalezieni po ośmiu godzinach, wystraszeni, ale cali i zdrowi. John LaPointe, drugi zastępca Alana, zakończył poszukiwania w znacznie gorszym stanie i obecnie leżał w domu. Wpakował się w krzew sumaka jadowitego i ciężko poparzył. W jadłodajni Nana para letników wszczęła bójkę o ostatni egzemplarz niedzielnego „New York Timesa”; kolejna bijatyka odbyła się na parkingu Mellow Tigera; niedzielny wędkarz oderwał sobie pół ucha, wymyślnie zarzucając wędkę do jeziora; trzy kradzieże w sklepach; niegroźny napad na „Universe”, salę bilardową i wypożyczalnię wideo – napastnik na prochach.

Ot, typowy czerwcowy tydzień w małym miasteczku, rodzaj wielkiej inauguracji letniego karnawału. Alan ledwo zdążył wypić całą filiżankę kawy w chwilach wytchnienia. A mimo to raz po raz przyłapywał się na tym, że ucieka myślami do Thada i Lizy Beaumontów... do nich i faceta, który ich prześladował. Faceta, który również zabił Homera Gamache’a. Alan kilkakrotnie dzwonił do glin w Nowym Jorku – pewien porucznik o nazwisku Reardon zapewne już znienawidził go ze szczętem – ale nie trafili na nic nowego.

Tego popołudnia w biurze panował zupełnie niespodziewany spokój. Sheila Brigham nie miała żadnych zgłoszeń, a Norris Ridgewick drzemał z nogami na biurku. Alan powinien go obudzić – gdyby Dean Keeton, burmistrz, zjawił się i zobaczył, co Norris wyprawia, dałby mu bobu – ale nie miał serca tego robić. Norris też zaliczył ciężki tydzień. Zbierał resztki ^{do} wypadku na 117. i odwalił cholernie dobrą robotę, tym bardziej że był wrażliwy na takie widoki.

Alan siedział za biurkiem, bawił się w rzucanie cieni zwierzątek na płamę słońca padającą na ścianę... i jeszcze raz wracał myślami do Thada Beaumonta. Po błogosławieństwie od Thada doktor Hume z Orono zadzwonił do Alana, powiadamiając, że wyniki badań neurologicznych okazały się negatywne. Myśląc o tym Alan kolejny raz zastanawiał się nad doktorem Hughem Pritchardem, który operował Thada, gdy ten miał jedenaście lat i długą drogę do sławy przed sobą.

Królik skoczył przez płamę słoń ca. Za królikiem kot; kota gonił pies.

„ Nie myśl o tym. To wariactwo” .

Pewnie, że to wariactwo. I pewnie, że mógł o tym nie myśleć. Niedługo wybuchnie jakiś nowy kryzys, nie potrzeba nadprzyrodzonych umiejętności, żeby to wiedzieć. Po prostu tu, w The Rock, tak latem toczyły się sprawy. Człowiek był tak zajęty, że przeważnie nie miał czasu na myślenie – i czasem dobrze było nie myśleć.

Za psem maszerował słoń , kiwał się cień trąby, w rzeczywistości lewego palca wskazującego Alana Pangborna.

- A niech to szlag trafi! - zaklął i przysunął do siebie telefon. W tej samej chwili ręką wyjmował drugą portfel z tylnej kieszeni. Nacisnął klawisz, który automatycznie łączył go z koszarami policji stanowej w Oxfordzie, i zapytał dyżurnego, czy jest Henry Payton, dowódca placówki i szef wydziału śledczego. Okazało się, że jest. Alan zdążył pomyśleć, że stanowej też przytrafił się dla odmiany jeden luźniejszy dzień , i usłyszał Henry' ego w słuchawce.

- Alan! Co mogę dla ciebie zrobić?

- Czy mógłbyś zadzwonić w moim imieniu do szefa straży w parku narodowym Yellowstone? - zapytał Alan. - Mogę podać ci numer. - Popatrzył na zapis z lekkim zaskoczeniem. Dostał go z automatycznej informacji prawie tydzień temu i zapisał na odwrocie urzędowej wizytówki. Zręczna dłoń wyjęła ją z portfela prawie bez udziału jego woli.

- Yellowstone! - W głosie Henry' ego słychać było rozbawienie. - Czy to nie tam urzęduje miś Jogi?

- A nie - uśmiechnął się Alan. - To Jellystone. Zresztą miś nie jest o nic podejrzany. Przynajmniej z tego, co ja wiem. Henry, muszę pogadać z facetem, który jest tam na kempingu. Hm... tak prawdę mówiąc, to nie wiem, czy koniecznie muszę, ale kiedy to zrobię, będę spokojniejszy. Coś dręczy mnie jak nie sfinalizowana umowa.

- Czy to ma jakiś związek z Homerem Gamache' em?

Alan przełożył słuchawkę do drugiego ucha i bezmyślnie przesunął kłtykami po wizytówce.

- Tak - powiedział - ale jak każesz mi to wytłumaczyć, wyjdę na durnia.

- Tylko przeczucie?

- Tak. - I ku swemu zdziwieniu stwierdził, że faktycznie ma przeczucie, nie wiedział tylko, czego dotyczy. - Facet, z którym chciałbym pogadać, to lekarz na emeryturze. Nazywa się Hugh Pritchard. Jest z żoną. Szef straży pewnie wie, gdzie są; zakładam, że po przyjeździe musieli się zameldować, i zakładam, że pewnie znajdują się na tym obszarze parku, na którym

jest telefon. Oboje mają pod siedemdziesiątkę. Jeśli zadzwonisz do szefa straży, chyba przekaże wiadomość facetowi.

- Innymi słowy uważasz, że strażnik parku narodowego weźmie bardziej na serio dowódcę oddziału policji stanowej niż szeryfa z Psiej Wólki?

- Henry, jesteś mistrzem w dyplomatycznym nazywaniu spraw.

Henry Payton zaśmiał się zachwycony.

- A jestem, może nie? Hm, powiem ci coś, Alan. Nie mam nic przeciwko temu, żeby ci trochę pomóc, jeśli tylko nie zamierzasz mnie w to głębiej angażować i jeśli tylko...

- Nie, wcale nie zamierzam - z wdzięcznością odparł Alan. - O nic więcej mi nie chodzi.

- Zaczekaj minutkę, nie skoń czyłem. I jeśli tylko jest dla ciebie jasne, że nie mogę skorzystać z naszej linii specjalnej. Przyjacielu, kapitan sprawdza rachunki. Sprawdza dokładanie. A jak zobaczy ten, gotów zapytać, dlaczego wydaję pieniądze podatników na grzanie zupki w twoim kociołku. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Alan westchnął z rezygnacją.

- Możesz wpisać numer mojej osobistej karty kredytowej i powiedz szefowi straży, żeby Pritchard zadzwonił na koszt rozmówcy. Potwierdzę wezwanie i zapłacę z własnej kieszeni.

Nastąpiła pauza. Kiedy Henry się odezwał, przemówił poważniejszym tonem:

- To naprawdę dla ciebie istotne, co, Alan?

- Tak. Nie wiem dlaczego, ale tak jest.

Nastąpiła druga pauza. Alan czuł, że Henry Payton walczy ze sobą, żeby nie zadać pytania. Wreszcie lepsza strona natury Henry'ego wygrała. A może tylko bardziej praktyczna strona? - pomyślał Alan.

- Dobra - powiedział Payton. - Zadzwonię i powiem szefowi straży, że chcesz pogadać z tym Hughem Pritchardem. Prowadzisz śledztwo w sprawie morderstwa w okręgu Gastle, Maine. Jak jego żona ma na imię?

- Helga.

- Skąd przyjechali?

- Z Fortu Laramie, Wyoming.

- Dobra, szeryfie; teraz trudniejsze pytanie: jaki jest numer twojej kredytowej karty telefonicznej?

Alan westchnął i podał mu numer.

W minutę później parada cieni znów sunęła po ścianie.

„Gość pewnie wcale się nie odezwie – pomyślał – a jak się odezwie, za cholere nie powie mi ani jednej użytecznej rzeczy – no bo skąd?”

Henry jednak nie mylił się; Alan miał przeczucie. Nieokreślone przeczucie. Ale natrętne.

Podczas kiedy Alan Pangborn rozmawiał z Henrym Paytonem, Thad Beaumont parkował za budynkiem ANGIELSKI – MATEMATYKA na jednym ze stanowisk zarezerwowanych dla wykładowców. Wsiadł uważając, żeby nie urazić dłoni. Przez chwilę stał bez ruchu, smakując ciszę i nietypowy senny bezruch kampusu.

Brązowy plymouth zatrzymał się obok suburbana, a dwaj wysocy mężczyźni, którzy z niego wysiedli, rozwiali wątłe nadzieje na spokój, jakie Thad właśnie zaczął sobie roić.

– Skoczę tylko na kilka minut na górę do gabinetu – powiedział. – Jeśli chcecie, możecie tu zostać. – Zauważył dwie przechodzące dziewczyny. Prawdopodobnie szły do wschodniego aneksu zapisać się na letni kurs. Jedna nosiła odsłaniającą brzuch bluzkę i niebieskie szorty. Druga miała na sobie sukienkę mini bez pleców; jej skraj był o jedno uderzenie serca zdrowego mężczyzny poniżej wypukłości pośladków. – Podziwiajcie widoki.

Dwaj gliniarze spojrzeli za dziewczynami. Ruch ich głów sugerował, że w karkach mają przeguby Cardana. Jeden z nich – nazywał się Ray Garrison czy Roy Harriman, Thad nie był pewien – odwrócił się i powiedział z żalem:

– Bardzo chętnie, sir, ale lepiej pójdziemy z panem na górę.

– Ale naprawdę, nie ma potrzeby, to tylko pierwsze piętro...

– Zaczekamy na korytarzu.

– Nie macie pojęcia, chłopaki, jak to wszystko mnie załamuje – rzekł Thad.

– Rozkazy – odparł Garrison – lub – Harriman. Jasne było, że załamanie – czy uniesienie – Thada znaczy dla niego mniej niż zero.

– Taaa... – powiedział Thad poddając się. – Rozkazy.

Skierował się do bocznych drzwi. Gliniarze szli za nim w odległości kilkunastu kroków. Zdaniem Thada w cywilnych ubraniach jeszcze bardziej wyglądali na gliniarzy niż w mundurach.

Po nieruchomym wilgotnym upale klimatyzowane powietrze wprost łupnęło Thada. Natychmiast wydało mu się, że koszula przymarzła do ciała. Budynek, tak pełen życia i wrzawy podczas roku akademickiego od września do maja, sprawiał z lekka upiorne wrażenie

w weekendowe popołudnie pod koniec wiosny. Może w poniedziałek odzyska jedną trzecią zwykłego gwaru i ruchu, ale dziś Thad poczuł się odrobinę podniesiony na duchu obecnością policyjnej straży. Może pierwsze piętro, na którym mieścił się gabinet, będzie opustoszałe, co uwolni go od konieczności tłumaczenia się z obecności wielkich kumpli brytanów.

Okazało się, że nie jest opustoszałe, ale mimo to wykpił się łatwo. Rawlie DeLesseps wędrował z pokoju nauczycielskiego do swojego gabinetu, sunąc klasycznym dryfem à la Rawlie DeLesseps... co oznaczało, że wyglądał tak, jakby niedawno dostał potężny cios w głowę, który pozbawił go zarówno pamięci, jak i kontroli nad ośrodkiem ruchowym. Łagodnymi łukami przemieszczał się z jednej strony korytarza na drugą, wytrzeszczając oczy na komiksy, wiersze i ogłoszenia przyklejone do tablic na drzwiach gabinetów kolegów. Może szedł do swojego gabinetu – wyglądało na to, że tam idzie – ale nawet ktoś, kto go dobrze znał, nie założyłby się o to. Żółty ustnik fajki niewiarygodnej długości sterczał ze sztucznych szczęk. Szczęki nie były dokładnie tak żółte jak fajka, ale niewiele im brakowało. Fajka wygasła gdzieś pod koniec 1985 roku, kiedy to po lekkim ataku serca lekarze zabronili Rawliemu palić. „Nigdy nie przepadałem za paleniem – wyjaśniał Rawlie łagodnym, roztargnionym głosem, kiedy ktoś pytał go o fajkę. – Ale bez tego kawałka w zębach... dżentelmeni, nie wiedziałbym, dokąd iść ani co robić, gdybym szczęśliwie gdzieś dotarł”. Zresztą przeważnie sprawiał wrażenie człowieka, który nie wie, dokąd iść ani co ma robić... tak jak teraz. Niektórzy znali Rawliego latami, nim odkryli, że wcale nie jest takim roztargnionym uniwersyteckim łamagą, na jakiego wygląda. Inni nie odkryli tego nigdy.

– Cześć, Rawlie – powiedział Thad szukając klucza.

Rawlie zamrugnął, przeniósł wzrok na mężczyzn stojących za Thadem, przeprowadził oględziny, a zakończywszy je wrócił spojrzeniem do Thada.

– Cześć, Thaddeusu. Nie wiedziałem, że prowadzisz w tym roku letnie kursy.

– Nie prowadzę.

– Więc co cię opętało, żeby zjawić się właśnie tu w pierwszy bona fide dzień kanikuły?

– Zabieram zgłoszenia na seminarium – odrzekł Thad. – Wierz mi, nie zamierzam siedzieć tu dłużej, niż muszę.

– Co z twoją dłonią? Jest sina aż do przegubu.

– Hm – Thad okazał zakłopotanie. W świetle opowiadki wychodził na pijaka albo idiotę, albo i na jednego, i na drugiego... ale i tak przechodziła mu przez usta bardziej gładko niż prawda. Z gorzkim rozbawieniem zauważył, że policja zaakceptowała ją równie łatwo jak Rawlie. Nie padło żadne pytanie, jak ani dlaczego przygniół sobie dłoń drzwiami ściennej

szafy w sypialni.

Instynktownie wiedział, jaką historyjkę podsunąć – wiedział to nawet skręcając się w bólu. Oczekiwano od niego niezdarności; była częścią jego charakteru. W podobny sposób opowiedział dziennikarzowi z „People” (Panie, świeć nad jego duszą), że George Stark został stworzony w Ludlow, a nie w Castle Rock, i że dlatego pisze odręcznie, iż nigdy nie nauczył się pisać na maszynie.

Nawet nie próbował oszukiwać Lizy... ale naciskał, żeby trzymała język za zębami. Zobowiązała się do milczenia. W zamian przyrzekł tylko, że już nigdy nie będzie próbował nawiązać kontaktu ze Starkiem. Złożył obietnicę dość chętnie, choć wiedział, że może będzie musiał ją złamać. Podejrzywał, że w głębi duszy Liza również o tym wiedziała.

Rawlie popatrzył na niego z prawdziwym zainteresowaniem.

– Drzwiami od szafy sypialnianej. Bajeczna sprawa. Bawiliście się w chowanego? A może to jakiś dziwny rytuał seksualny?

Thad uśmiechnął się szeroko.

– Dałem sobie spokój z rytuałami seksualnymi koło 1981 roku. Lekarz mi poradził.

Prawdę mówiąc, nie wiem, jak to się stało. Cała ta sprawa jest trochę krępująca.

– Wyobrażam sobie – powiedział Rawlie... i mrugnął. Było to bardzo nieznaczne mrugnięcie, niesłychanie delikatny trzepot spuchniętej, pomarszczonej starczej powieki...
ale było. Czyżby Thad myślał, że oszuka Rawliego? Chyba wierzy w cuda.

Nagle coś przyszło Thadowi do głowy.

– Rawlie, dalej ciągniesz to seminarium z wierzeń ludowych?

– W każdym zimowym semestrze – potwierdził Rawlie. – Thaddeusu, czyżbyś nie znał rozkładu zajęć na swoim wydziale? Różdżkarstwo, wiedźmy, leczenie holistyczne, diabelskie znamiona sławy i bogactwa. To cieszyło się i cieszy popularnością. Czemu pytasz?

Thad znał idealną odpowiedź na to pytanie. Oto jedna z cudownych właściwości bycia pisarzem; zawsze masz odpowiedź na pytanie: „Czemu pytasz?”

– Wiesz, mam pomysł na powieść. To jeszcze ciągle projekt, ale widzę pewne możliwości.

– Co chciałbyś wiedzieć?

– Czy wiadomo ci, żeby wróble grały jakąś rolę w amerykańskich przesądach albo wierzeniach ludowych?

Czoło Rawliego nabrało wyglądu powierzchni obcej planety, bezwzględnie wrogiej ludzkiemu życiu. Zagryzł fajkę.

– Na poczekaniu nic nie przychodzi mi do głowy, ale... zastanawiam się, czy naprawdę

dlatego cię to interesuje.

„ Chyba jednak wierzę w cuda” – znów pomyślał Thad.

– Hm... może i nie, Rawlie, może i nie. Może dlatego tak powiedziałem, iż nie potrafię w dwóch słowach wytłumaczyć, czemu naprawdę mnie to interesuje. – Zerknął w kierunku swoich brytanów. – Teraz krucho u mnie z czasem.

Usta Rawliego zadrżały w leciutkim uśmiešku.

– Chyba cię zrozumiałem. Wróble... takie zwyczajne ptaki. Wydają mi się za zwyczajne, żeby mogły grać jakąś poważną rolę w wierzeniach. Chociaż... jak się zastanowić... coś tam było. Tylko że kojarzy mi się z lelkami. Niech sprawdzę. Będziesz tu jeszcze trochę?

– Obawiam się, że nie krócej niż pół godziny.

– Hm, może szybko trafię na coś u Barringera. Wierzenia ludowe – w Ameryce. Prawdę mówiąc ta książka to tylko spis przesądów, ale mam ją pod ręką. I zawsze mogę do ciebie zatelefonować.

– Tak. Nic nie stoi na przeszkodzie.

– Wydaliście z Lizą wspaniałe przyjęcie na cześć Toma Carrolla – powiedział Rawlie. – Oczywiście wy zawsze wydajecie najlepsze przyjęcia. Thaddeusu, Liza jest zbyt urocza na to, żeby być żoną. Powinna być twoją kochanką.

– Dzięki. Chyba masz rację.

– Gonzo Tom – kontynuował czule Rawlie. – Trudno uwierzyć, że Gonzo Tom Carroll zawiązał do szarych przystani emerytury. Dwadzieścia ostatnich lat słyszałem, jak w gabinecie za ścianą pierdzi głośniej niż puzon. Spodziewam się, że kolejny sąsiad będzie cichszy. A przynajmniej dyskretniejszy.

Thad zaśmiał się.

– Wilhelmina też dobrze się bawiła – dodał Rawlie. Opuścił szelmowsko powieki. Doskonale wiedział, jakimi uczuciami Thad i Liza darzą Billie.

– To wspaniale – powiedział Thad. Jego zdaniem Billie Burks i dobra zabawa były pojęciami wzajemnie się wykluczającymi... ale ponieważ Billie wraz z Rawliem tworzyli część bardzo potrzebnego alibi, to chyba winien się cieszyć, że przyszli. – A gdyby coś związanego z tamtą sprawą wpadło ci do głowy...

– Wróble i ich miejsce w niewidzialnym świecie. Ależ oczywiście. – Rawlie skinął głową policjantom. – Życzę przyjemnego popołudnia, dżentelmeni. – Ominął ich i kontynuował drogę do gabinetu nieco bardziej wyrównanym kursem. Ale tylko nieco.

Thad popatrzył za nim zamyślony.

- A cóż to było? - zapytał Garrison - lub - Harriman.

- DeLesseps - wymruczał Thad. - Głowa katedry gramatyki i znawca amator wierzeń ludowych.

- Wygląda na faceta, który bez mapy nie trafi do domu - powiedział drugi gliniarz.

Thad podszedł do gabinetu i przekręcił klucz.

- Jest bardziej żwawy, niż wygląda - powiedział i uchylił drzwi.

Dopóki nie włączył światła, nie wiedział, że Garrison - lub - Harriman stoi obok niego, trzymając rękę w szytej specjalnie dla wysokich facetów wiatrówce. Thada ponieważ obleciał strach, ale gabinet oczywiście był pusty - pusty i jakże czysty, gdyż całoroczny rozgardiasz znikł jak miękka, równa warstwa kurzu. Pomieszczenie wyglądało jak pokój zmarłego.

Z niewiadomego powodu w Thadzie wezbrała nagle, niemal bolesna fala tęsknoty, pustki, poczucia utraty - mieszanka smakująca jak głęboki, nieoczekiwany żal. Jak sen. Poczuli się tak, jakby przyszedł tu się pożegnać.

„Przestań robić z siebie takiego cholernego głupka” - powiedział sobie, a inna część jego umysłu odrzekła spokojnie: „Jest już po ostatecznym terminie, Thad. Po ostatecznym terminie i moim zdaniem to był ciężki błąd, że choć nie spróbowałeś zrobić tego, czego ten facet od ciebie chce. Krótka ulga jest lepsza niż żadna”
- Jeśli macie ochotę na kawę, jest w pokoju nauczycielskim - powiedział. - Jak znam Rawliego, dzbanek jest pełny.

- Gdzie to? - zapytał partner Garrisona - lub - Harrimana.

- Po drugiej stronie korytarza, dwoje drzwi wcześniej - odrzekł Thad. Otworzył zamek w szafce z aktami. Odwrócił się, posłał policjantom uśmiech. Czuł, że jest to krzywy uśmiech.
- Chyba mnie usłyszycie, kiedy wrzasnę.

- Tylko żeby w razie czego na pewno pan wrzasnął - powiedział Garrison - lub - Harriman.

- Na pewno wrzasnę.

- Mogę posłać Manchestera po kawę, ale mam wrażenie, że chciałby pan zażyć trochę intymności.

- No, taaa... Jeśli już o tym mowa.

- Niech będzie, panie Beaumont - zgodził się policjant. Spojrzał na Thada poważnie i ten nagle przypomniał sobie jego nazwisko. Harrison. Tak jak eks - bitels. Głupio zapomnieć coś takiego. - Tylko proszę pamiętać, że tamci ludzie w Nowym Jorku umarli wskutek nadmiaru intymności.

„ Och? A ja myślałem, że Phyllis Myers i Rick Cowley umarli w towarzystwie policji
”
Chciał to wypowiedzieć na głos, ale się powstrzymał. Przecież ci ludzie tylko wypełniali swój obowiązek.

- Niech się pan rozchmurzy, policjancie Harrison - rzekł. - W budynku jest dziś tak cicho, że gdyby ktoś szedł bosą, usłyszelibyśmy echo.

- Dobra. Jesteśmy po drugiej stronie korytarza, w tym jak - mu - tam.

- Pokoju nauczycielskim.

- Zgadza się.

Wyszli i Thad otworzył szafkę z napisem: SEM. ZGŁ. Oczyma duszy nadal widział Rawliego DeLessepsa szybko, mimochodem puszczającego oko. Słyszał głos mówiący, że przekroczył ostateczny termin, że znalazł się po mrocznej stronie. Tam gdzie czają się potwory.

Telefon milczał jak zaklęty.

„ Odezwij się - rozkazywał mu w myślach, kładąc zgłoszenia na biurku obok uniwersyteckiego selectrica IBM. - Odezwij się, odezwij, jestem tu, przy telefonie bez podsłuchu, więc odezwij się, George, dzwoń, dźwięknij, daj cynk”

Ale telefon nadal milczał jak zaklęty.

Thad uświadomił sobie, że patrzy w głąb szafki, którą nie tyle przeczesał, co doszczętnie wybebeszył. Tak się zamyślił, że wyciągnął wszystkie podania, nie tylko te napisane przez studentów zainteresowanych twórczością pisarską. Wyciągnął nawet kopie zgłoszeń tych, którzy chcieli się zająć gramatyką transformacyjną, alfa i omega nauk, wedle tego co głosił Noam Chomsky, a nauczał dziekan wygasłej fajki, Rawlie DeLesseps.

Podszedł do drzwi i wyjrzał na korytarz. Harrison i Manchester stali przy drzwiach pokoju nauczycielskiego, popijając kawę. W pięściach wielkości szynek spore kubki wyglądały jak filiżanki do małej czarnej. Thad podniósł rękę. Harrison odpowiedział tym samym gestem i zapytał, czy to jeszcze długo potrwa.

- Pięć minut - rzekł Thad. Obaj gliniarze kiwnęli głowami.

Wrócił do biurka, oddzielił zgłoszenia na swoje seminarium, resztę zaczął wkładać do szafki. Czynił to możliwie najwolniej, dając telefonowi czas na odezwanie się. Ale zachowywał się tak samo jak do tej pory. Milczał. Thad usłyszał z odległej części korytarza dzwonienie przytłumione zamkniętymi drzwiami, brzmiące jakoś upiornie w niezwyklej

letniej ciszy budynku. „Może George pomylił numer” – pomyślał i parsknął śmiechem.

George nie zatelefonuje i tyle. Thad pomylił się i tyle. Wygląda na to, że George szykuje ^{inny} kawał. Nie ma się co dziwić. Kawały to spécialité de la Maison George’a Starka. A jednak Thad był tak pewny, tak cholernie pewny...

– Thaddeusu?

Podskoczył, zawartość kilku ostatnich teczek o mało nie wyśliznęła mu się na podłogę. Upewniwszy się, że panuje nad nimi, odwrócił się. Rawlie DeLesseps stał za progiem. Wielka faja sterczała jak horyzontalny peryskop.

– Wybacz – powiedział Thad. – Przez ciebie niemal wyzionąłem ducha ze strachu. Myślami byłem o dziesięć tysięcy mil stąd.

– Ktoś dzwoni do ciebie na mój numer – uprzejmie oznajmił Rawlie. – Musiał się pomylić. Na szczęście byłem w gabinecie.

Thad poczuł, że serce zaczyna mu bić powoli i mocno – jakby w piersi miał werbel i ktoś zaczął walić w niego z wielką, skupioną energią.

– Tak – odparł. – To istne szczęście.

Rawlie przyjrzał mu się badawczo. Niebieskie oczy pod napuchniętymi, lekko zaczerwienionymi powiekami były tak pełne życia i dociekliwości, że wręcz nieuprzejmie kontrastowały z radosną niezdarnością roztragnionego profesora.

– Czy aby wszystko jest w porządku, Thaddeusu?

„Nie, Rawlie. Obłąkań czy morderca, który jest częściowo mną, właśnie buszuje na wolności; to facet, który najwyraźniej potrafi zawładnąć moim ciałem i zmusza do robienia fajnych żarcików; na przykład wbijania w siebie ołówka. Każdy zmierzch, który witam o zdrowych zmysłach, uważam za sukces. Stary druhu, świat wypadł z posad”.

– W porządku? A czemu nie miałyby być w porządku?

– Rozpoznaję w twoim głosie ton ironii, Thad. Ulotny, acz wyraźny jak ślad rdzy na żelazie.

– Mylisz się.

– Doprawdy? To dlaczego wyglądasz jak łania złapana w światła reflektorów?

– Rawlie...!

– A facet, z którym rozmawiałem, robi na mnie wrażenie komiwojażera, od którego jesteś gotów kupić wszystko przez telefon, byle tylko mieć pewność, że nigdy nie najdzie cię osobiście.

– To nic, Rawlie.

– Znakomicie. – Rawlie nie wyglądał na przekonanego.

Thad udał się w górę korytarza do jego gabinetu.

- Gdzie się pan wybiera?! - zawołał za nim Harrison.

- Zadzwoniono do mnie na numer Rawliego - wyjaśnił. - Tu wszystkie numery telefonów idą po kolei. Facetowi musiało się pokitwasić!

- I tak się złożyło, że akurat zadzwonił do jedyne go wykładowcy, który jest dziś obecny? - zapytał sceptycznie Harrison.

Thad wzruszył ramionami i poszedł dalej.

Gabinet Rawliego DeLessepsa był zagracony, miły i nadal przesiąknięty wonią tytoniu fajkowego - dwa lata abstynencji najwyraźniej nie mogły odrobić trzydziestu lat samopobłażania. Królowała tam tarcza do strzałek, na której zawieszono fotografię Ronalda Reagana. Księga o rozmiarach encyklopedii, Wierzenia ludowe Ameryki Franklina Barringera, spoczywała otwarta na biurku. Zdjęta z aparatu słuchawka leżała na stosie czystych arkuszy egzaminacyjnych. Thad spoglądając na nią poczuł, jak dawny, znany lęk otula go na powrót. Jakby owinięto go w stary koc, któremu bardzo przydałoby się pranie. Odwrócił głowę pewien, że zobaczy całą trójkę - Rawliego, Harrisona, Manchesterę - uszeregowaną w progu jak wróble na telefonicznym drucie. Ale próg gabinetu był pusty. Z głębi korytarza Thad słyszał mięką chrypkę Rawliego. Uczepił się brytanów Thada. Wątpliwe, aby zrobił to przypadkowo.

Thad podniósł słuchawkę.

- Halo, George - powiedział.

- Dostałeś swój tydzień - odezwał się głos z drugiej strony linii. Należał do Starka, wykresy ^{ale} głosowe raczej już nie pasowałyby do siebie równie dokładnie jak przedtem. Głos George'a uległ zmianie. Stał się szorstki i ochrypły, jak głos człowieka, który zbyt gorliwie kibicował na meczu. - Dostałeś swój tydzień i gównno zrobiłeś.

- Masz zupełną rację - przyznał Thad. Było mu bardzo zimno. Musiał na siłę powstrzymać dreszcze. Chłód płynął z telefonu, kłuł z dziurek słuchawki jak soople lodu. Ale Thad czuł również gniew. - Nie zamierzam tego zrobić, George. Ani za tydzień, ani za miesiąc, ani za dziesięć lat. Czas nie gra tu roli. Czemu się z tym nie pogodzisz? Jesteś trupem i będziesz trupem.

- Błąd, stary koniu. A jeśli chcesz, żeby to był śmiertelny błąd, rób tak dalej.

- Wiesz, jak brzmi twój głos? - zapytał Thad. - Jakbyś się rozsypywał. Dlatego chcesz, żebym wrócił do pisania, co? Tracisz spójność, tak właśnie napisałeś. Ulegasz biodegradacji, co? Nie potrwa długo, a kompletnie rozlecisz się na kawałki, jak stara jednokonna bryczka.

- Nie twój interes, Thad - odpowiedział chrapliwy głos. Szorstko buczał, by przez

ostry szmer przypominający grzechotanie żwiru sypiącego się z wywrotki przejść w piskliwy szept – jakby struny głosowe całkowicie odmówiły funkcjonowania na czas zdania czy dwóch – i znów wracał do buczenia. – Co dzieje się ze mną, to nie twój interes. To tylko nie pozwala ci się skupić, druhu. Do wieczora masz się wziąć do galopu albo pożałujesz po skurwysynie. I nie tylko ty jeden.

– Nie...

TRZASK! Stark przepadł. Thad zamyślony patrzył przez chwilę na słuchawkę, a potem odłożył ją na widełki. Kiedy się odwrócił, stanął oko w oko z Harrisonem i Manchesterem.

– Kto to był? – zapytał Manchester.

– Pewien student – odparł Thad. W tym momencie nie był nawet pewien, dlaczego kłamię. Jedyne, czego był pewien, to okropnego uczucia, które zagnieżdżyło mu się w brzuchu. – Tylko student. Tak jak myślałem.

– Skąd wiedział, że pan tu jest? – zapytał Harrison. – I jakim cudem zadzwonił na numer tego dżentelmena?

– Poddaję się – powiedział z pokorą Thad. – Jestem rosyjskim, głęboko zakamuflowanym szpiegiem. Naprawdę dzwonił mój łącznik. Nie będę stawiał oporu.

Harrison nie był zły – przynajmniej tego nie okazywał. Spojrzenie pełne nagany i lekkiego znużenia posłane Thadowi było dużo skuteczniejsze niż gniew.

– Panie Beaumont, staramy się pomóc panu i pań skiej żonie. Wiem, że para facetów łąząca za panem krok w krok męczy jak wrzód na dupie, ale naprawdę zależy nam na tym, żeby panu pomóc.

Thad poczuł się zawstydzony... ale nie na tyle, żeby powiedzieć prawdę. To okropne uczucie, że sprawy przybiorą zły obrót, że może już przybrały zły obrót, nie ustępowało. I poczuł coś jeszcze. Nieznaczne swędzenie na całym ciele. Mrowienie pod skórą. Dudnienie w skroniach. To chyba nie zapowiadało wróbli. Niemniej jednak jakiś umysłowy barometr, którego istnienia nie był nawet do tej pory świadomy, opadał. Nie po raz pierwszy doznał tego wrażenia. Osiem dni temu, jadąc do sklepu Dave'a, czuł coś podobnego, choć mniej wyraźnie. To samo czuł w swym gabinecie wyjmując podania. Nikłe drżenie w całym ciele.

„ To Stark. W jakiś sposób jest z tobą, w tobie. Obserwuje. Jeśli powiesz coś nie tak jak trzeba, dowie się. I wtedy ktoś ucierpi ”

- Przepraszam - rzekł. Za plecami policjantów wyrósł Rawlie DeLesseps. Patrzył spokojnie, z ciekawością. Thad wiedział, że musi kłamać, i kłamał tak gładko i naturalnie, jakby pomagał mu w tym sam George Stark. Nie był do końca przekonany, że Rawlie się nabierze, ale nie czas się tym martwić. - Jestem trochę zirytowany, to wszystko.

- To zrozumiałe - powiedział Harrison. - Niech tylko pan zrozumie, że nie jesteśmy pań skimi wrogami, panie Beaumont.

- Chłopak, który dzwonił, wychodził wcześniej z księgarni i wiedział, że tu będę. Pytał, czy prowadzę letni kurs pisarski. W wydziałowej książce telefonicznej numery są uporządkowane katedrami, a członkowie katedry są wymienieni alfabetycznie. Druk jest bardzo drobny, co potwierdzi każdy, kto używał tej książki.

- Pod tym względem jest ona istnym utrapieniem - przytaknął Rawlie, nie wyjmując fajki z ust. Zaskoczeni policjanci odwrócili się. DeLesseps obdarzył ich uroczystym skinieniem głowy zasypiającego puchacza.

- Rawlie jest wymieniony po mnie - powiedział Thad. - Tak się złożyło, że tego roku na wydziale nie mamy nikogo o nazwisku na „C”. - Zerknął na Rawliego. Ten wyjął był właśnie fajkę z ust i poddawał krytycznej ocenie szerniały cybuch. - Tym sposobem ja zawsze dostaję telefony skierowane do niego, a on odbiera moje. Poinformowałem tego chłopaka, że nic z tego. Nie będzie mnie do jesieni.

No, proszę, ot i wszystko. Może trochę za bardzo się rozgadał, ale to nieważnie - ważne, kiedy Harrison i Manchester dotarli do drzwi gabinetu Rawliego i ile usłyszeli. Normalnie nie opowiada się kandydatom na kursy pisarskie, że ulegają biodegradacji i nie potrwa długo, a rozleca się na kawałki.

- Chciałbym, żeby to mnie nie było do jesieni - westchnął Manchester. - Skoń czył pan, panie Beaumont?

Thad odetchnął w duchu.

- Muszę tylko włożyć z powrotem niepotrzebne zgłoszenia.

(i list musisz napisać list do sekretarki)

- I oczywiście muszę napisać list do panny Fenton - dodał. Nie miał zielonego pojęcia, dlaczego to mówi. Wiedział tylko, że musi to powiedzieć. - Jest sekretarką katedry anglistyki.

- Zdążymy jeszcze wypić filiżankę kawy? - zapytał Manchester.

- Jasne. Może nawet zdążycie zjeść kilka ciasteczek, jeśli hordy barbarzyńców zostawiły co nieco. - Wrażenie, że świat wypadł z posad, że porządek rzeczy obraca się w pył i proch, powróciło mocne jak nigdy. Zostawić list do panny Fenton?! Jeżu, to dopiero śmiech na sali. Rawlie chyba przegryzł fajkę.

- Mogę zamienić z tobą kilka słów, Thaddeusu? - DeLesseps zagadnął wychodzącego Thada.

- Jasne - odparł Beaumont. Pragnął powiedzieć Harrisonowi i Manchesterowi, żeby zostawili ich samych, że zaraz przyjdzie, ale niechętnie doszedł do wniosku, że nie jest to właściwa uwaga, jeśli się nie chce wzbudzać podejrzeń. A antena Harrisona pracowała. Może nie była wyciągnięta na pełną długość, ale prawie.

W każdym razie milczenie poskutkowało lepiej. Odwrócił się do Rawliego, a tymczasem Harrison i Manchester spacerkiem oddalili się korytarzem. Harrison rzucił coś partnerowi i przystanął w drzwiach pokoju asystentów. Manchester ruszył na ciasteczkowy połów. Harrison miał Thada i Rawliego na widoku, ale poza zasięgiem słuchu.

- Twoja historyjka o książce telefonicznej wydziału była znakomita - zauważył Rawlie, wsuwając z powrotem do ust obgryzioną fajkę. - Sądzę, Thaddeusu, że masz wiele wspólnego z tą dziewczynką z Otwartego okna Sakiego. Błyskawiczny romans wydaje się twoją specjalnością.

- Rawlie, to nie jest to, co myślisz.

- Nie mam zielonego pojęcia, co to jest - łagodnie powiedział Rawlie - i choć przyznaję się do pospolitego grzechu ciekawości, nie byłbym pewien, czy tak naprawdę chcę wiedzieć.

Thad uśmiechnął się nieznacznie.

- Za to mam głębokie wrażenie, że celowo zapomniałeś o Tomie Carrollu Gozo. Emerytura emeryturą, ale kiedy ostatni raz zaglądałem do książki, jego nazwisko nadal rozdzielało nasze.

- Rawlie, muszę się zbierać.

- Ależ to zrozumiałe - rzekł Rawlie. - Musisz jeszcze napisać list do panny Fenton.

Thad poczuł ciepło na policzkach. Althea Fenton, sekretarka wydziału anglistyki od 1961 roku, zmarła na raka gardła w kwietniu.

- Jeśli w ogóle pozwalam sobie cię zatrzymywać, to dlatego - mówił dalej Rawlie - że być może znalazłem to, czego szukasz. To o wróblach.

Serce Thada weszło w kłus.

- O co ci chodzi?

Rawlie wciągnął Thada do gabinetu i wziął do ręki Wierzenia ludowe Ameryki Barringera.

- Wróble, nury, a zwłaszcza lelki, to psychopompowie. - Nie krył triumfu. - Wiedziałem, że to ma coś wspólnego z lelkami!

- Psychopompowie? - z powątpiewaniem powtórzył Thad.

- Z greckiego. Znaczy „ci, którzy wskazują drogę”. W tym wypadku to ci, którzy prowadzą ludzkie dusze z krainy żywych do krainy umarłych lub na odwrót. Nury i lelki to heroldowie żywych; podobno zbierają się tam, gdzie niebawem nastąpi śmierć, tak twierdzi Barringer. To nie są ptaki złowróżbne. Wiodą dusze zmarłych do miejsc ich pozagrobowego życia.

Popatrzył Thadowi prosto w oczy.

- Gromadzenie się wróble jest dużo bardziej złowróżbne, przynajmniej według tego, co pisze Barringer. Wróble ponoć są heroldami umarłych.

- Co znaczy...

- Co znaczy, że ich zadaniem jest prowadzenie zatraconych dusz z powrotem do krainy żywych. Innymi słowy, są heroldami żywych trupów.

Rawlie wyjął fajkę z ust i popatrzył na Thada z powagą.

- Thaddeusu, nie znam twojej sytuacji, ale sugeruję ci ostrożność. Najwyższą ostrożność. Wyglądasz na człowieka, któremu grozi poważne niebezpieczeństwo. Jeśli mogę coś dla ciebie zrobić, proszę, mów.

- Doceniam to, Rawlie. Już dużo zrobiłeś trzymając język za zębami.

- W tym przynajmniej ty i moi studenci zgadzacie się idealnie. - Ale mimo żartobliwego tonu łagodne oczy patrzące znad fajki wyrażały zatroskanie. - Będziesz na siebie uważał?

- Będę.

- Jeśli ci ludzie po to towarzyszą ci bez przerwy, żeby wspierać w biedzie, może byłoby mądrze im zaufać.

Tak, byłoby to cudowne, ale na nic by się nie zdało. Jeśli zdobyłby się na uczciwą rozmowę, ich zaufanie zmalałoby żałośnie. A zresztą mógłby zdobyć się na szczerść wobec Harrisona i Manchestera dopiero wtedy, kiedy ustąpiłoby to łaskotanie, podskórne mrowienie. George Stark obserwował. A Thad przekroczył termin ostateczny.

- Dzięki, Rawlie.

DeLesseps kiwnął głową, powtórzył, żeby na siebie uważał, i siadł za biurkiem.

Thad wrócił do gabinetu.

„I oczywiście muszę napisać list do panny Fenton”.

Zamarł wkładając ostatnie, wyjęte omyłkowo zgłoszenie i popatrzył na beżowego selectrica IBM. Ostatnio niemal hipnotycznie reagował na wszystkie przyrządy do pisania, duże i małe. W tym tygodniu coraz częściej się zastanawiał, czy nie siedzą w nich jakieś inne wersje Thada Beaumonta, jak złe dżiny kryjące się wewnątrz sterty butelek.

„ Muszę napisać list do panny Fenton” .

Ale żeby porozumieć się ze świętej pamięci cudowną panną Fenton, która robiła kawę tak mocną, że umarłego stawiała na nogi, wypadałoby raczej skorzystać z tabliczki ouiija niż elektrycznej maszyny do pisania. Zresztą, po co w ogóle to powiedział? Panna Fenton była ostatnią osobą na świecie, o której myślał.

Thad wrzucił ostatnie nie – dotyczące – twórczości – pisarskiej zgłoszenie do szafki aktami,^Z zasunął szufladę i popatrzył na lewą dłoń . Obandażowana spuchlizna między kciukiem a palcem wskazującym nagle zaczęła piec i swędzieć. Potarł dłoń o nogawkę, ale swędzenie tylko wzrosło. Doszło do tego rwanie. Żar – mocny, promieniujący z głębi ciała – wzmagał się.

Thad wyrzwał przez okno.

Wróble obsiadły druty telefoniczne po drugiej stronie Bennett Boulevard. Wróble siedziały na dachu przychodni. Stadko właśnie lądowało na korcie tenisowym.

Wydawało się, że wszystkie patrzą na Thada.

„ Psychopompowie. Heroldowie żywych trupów” .

Chmara wróbli jak cyklon spalonych liści opadała na dach Bennett Hall.

– Nie – szepnął Thad drżącym głosem. Plecy miał pokryte twardą gęsią skórką. Dłoń swędziała i paliła.

Maszyna do pisania!

Pozbyć się wróbli i doprowadzającego do szaleń stwa swędzenia dłoni mógł tylko korzystając z maszyny.

„ Muszę napisać list do panny Fenton” .

„ Do wieczora masz się wziąć do galopu albo pożałujesz po skurwysynie. I nie tylko ty jeden” .

To swędzenie, podskórne mrowienie dawało się odczuć coraz wyraźniej. Emanowało falami z rany w dłoni. W idealnej synchronizacji z nim pulsowały gałki oczne. A w wyobraźni Thada obraz wróbli stawał się coraz dokładniejszy. To Ridgeway, dzielnica Bergenfield; Ridgeway pod bladym wiosennym niebem; to rok 1960. Zamarł cały świat. Ruszały się tylko straszne, banalne ptaki, psychopompowie. Wszystkie zerwały się do lotu. Mroczne niebo przesłoniła kotłująca się masa. Wróble znów fruwały.

Za oknem wróble siedzące na drutach, na przychodni, na Bennett Hall uniosły się trzepocząc skrzydełkami. Kilkoro studentów przerwało spacer po dziedzińcu uniwersyteckim i obserwowało stado, które wykręciło ostro w lewo i znikło na zachodzie.

Thad tego nie widział. Widział jedynie, jak okolice, w których przeżył dzieciństwo, niepojęty sposób zamieniają się w nieziemską, zamartłą krainę ze snu. Siadał przed maszyną do pisania, zapadając się coraz głębiej w świat transu, w którym każda rzecz mogła się zdarzyć. Oprócz jednej. Szczwany George mógł go zmusić do zajęcia miejsca i stukania w klawiaturę IBM, ale nie do napisania książki... i jeżeli Thad wytrwa, szczwany drogi George rozsypie się albo po prostu zostanie zdmuchnięty ze świata żywych jak płomyk na wietrze. Thad wiedział o tym. Czuł to.

A w ręce wzbierał mu teraz łomot i był przekonany, że gdyby mógł ją zobaczyć, ujrzalby łapę komiksowej postaci – na przykład Dzikiego Kojota – wyjętą spod kowalskiego młota. Dokładnie nie był to ból, było to swędzenie zaraz – chyba – zwariuję, które lubi odezwać się ze środka pleców, jedyne miejsce, którego nie da się podrapać. Swędzenie nie skóry, ale wnętrza ciała, tam gdzie przebiegają nerwy; pulsujące swędzenie, które zmusza do zagryzienia zębów.

Ale nawet ono wydawało się dalekie, nieważne.

Siadł przed maszyną do pisania.

Włączył maszynę i swędzenie ustało... a z nim znikł obraz wróbli.

Ale trans trzymał go nadal w uścisku i najważniejszy stał się bezwzględny przymus: pisz! Całe ciało wprost darło się: weź się do roboty! poharuj! odwal orkę! Na swój sposób było to o wiele gorsze niż obraz wróbli albo swędzenie ręki. To swędzenie dobiegało z głębi umysłu.

Wkręcił kartkę w wałek. Przez moment siedział bez ruchu, czując się oderwany od wszystkiego, zagubiony. Ustawił palce w klasycznej pozycji maszynistki na środkowym rzędzie klawiszy, choć lata temu zaprzestał prób nauki pisania bezwzrokowego.

” Palce drżały chwilę, a potem wszystkie poza wskazującymi się cofnęły. Najwidoczniej tak właśnie pisał Stark. Identycznie jak Thad: szukam i dzióbię. Nic w tym dziwnego, maszyna do pisania nie była ulubionym narzędziem pracy George’a.

Poruszył lewą dłońią i poczuł słabe ukłucie, ale to wszystko. Palce stukały powoli, lecz wiadomość szybko ukazała się na białej kartce. Była porażająco krótka. Uderzył klawisz

czcionki sanserif i pojawiły się cztery pisane wersalikami wyrazy:

ZGADNIJ, SKĄD DZWONIŁEM, THAD

Rzeczywistość nagle powróciła z całą ostrością. Thad nigdy w życiu nie doznał takiego przerażenia, takiej grozy. O Boże, ależ oczywiście, zgadza się. Jasne!

„ Skurwysyn dzwonił ode mnie z domu! Ma Lizę i bliźnięta!”

Zaczął wstawać nie mając pojęcia, dokąd się kieruje. Nie wiedział nawet, co robi, dopóki ręka nie zapłonęła mu bólem jak dymiąca pochodnia, która machnięta szybko w powietrzu, rozkwita jasnym kielichem ognia. Obnażył wargi i zajęczał cicho. Opadł na krzesło i zanim się zorientował, co się dzieje, ręce odnalazły drogę do klawiszy i znów uderzyły.

Sześć wyrazów tym razem:

PUŚCISZ FARBĘ I ONI NIE ŻYJĄ

Patrzył tępo na słowa. Kiedy tylko napisał ostatnie „ A ” , wszystko się urwało – jakby był lampą – której wyciągnięto sznur z gniazdka. Żadnego bólu w dłoni. Żadnego swędzenia. Żadnego podskórnego mrowienia.

Ptaki przepadły. Zaćmienie, trans skoń czyły się. I Stark przepadł.

Z tym że tak naprawdę to on wcale nie przepadł, no nie? Aha. Thad wyjechał, a Stark obserwował dom. Dwaj policjanci zostali na straży, ale to nie miało znaczenia. Thad okazał się głupcem, niewiarygodnym głupcem, wierząc, że para gliniarzy stwarza tu jakąś różnicę. Komórka szturmowa Zielonych Beretów z Delta Force nie stworzyłaby żadnej różnicy. George Stark nie był człowiekiem. Był szwabskim czołgiem typu „ Tygrys ” w człowieczej postaci.

– Jak leci? – usłyszał zza pleców Harrisona.

Thad podskoczył, jakby wbito mu pinezkę w kark... i przypomniał sobie Fredericka Clawsona, który wsadził nos w nie swoje sprawy... i wydał na siebie wyrok opowiadając, co wiedział.

PUŚCISZ FARBĘ I ONI NIE ŻYJĄ

biło w oczy Thada z kartki wkręconej w wałek.

Wyrwał papier z maszyny, zmiął. Nie sprawdzał, jak blisko stoi Harrison. To byłby

ciężki błąd. Usiłował zachowywać się na luzie, choć nie czuł się na luzie. Czuł, że dostanie fioła. Oczekiwał, że Harrison zapyta go, co napisał i dlaczego tak spieszno było mu wyciągnąć to z maszyny. Kiedy policjant się nie odezwał, przemówił Thad.

- Chyba już skoń czyłem. Do diabła z listem! Zresztą oddam te podania, zanim panna Fenton dowie się, że znikły. - Co to, to prawda... chyba że Althea przypadkiem zerknie w dół z niebios. Wstał modląc się, żeby nogi go nie zdradziły i nie padł z powrotem na fotel. Z ulgą spostrzegł, że Harrison stoi w progu i wcale na niego nie patrzy. Przed chwilą Thad przysiągłby, że czuje oddech faceta na karku, ale ten jadł ciasteczko i patrzył Thadowi przez ramię, obserwując grupkę studentów, która wlokła się przez dziedziniec.

- Rany, to miejsce faktycznie jest martwe - powiedział gliniarz.

„ Zanim dojadę do domu, może moja rodzina też będzie martwa” .

- Jedziemy? - zapytał Thad.

- Niezła myśl.

Ruszył do drzwi. Harrison popatrzył na niego zdziwiony.

- Ejże, ejże! Może jednak te opowiadki o roztargnionych profesorach nie są bez sensu.

Thad zdenerwowany popatrzył na niego, potem w dół i ujrzał, że nadal ściska zmiętą kartkę papieru. Rzucił ją do kosza, ale drżąca dłoń zawiodła go. Papierowa kula odbiła się od brzegu. Zanim zdążył się pochylić i złapać ją, Harrison go minął. Podniósł zmiętą kartkę i ot, na luzie, przerzucił ją z ręki do ręki.

- Zamierza pan wyjść bez tych zgłoszeń , po które pan przyjechał? - zapytał.

Wskazał na teczki leżące na biurku obok maszyny do pisania, owinięte czerwoną gumką. Następnie powrócił do zabawy papierową kulą, na której były dwie ostatnie wiadomości od Starka. Z ręki do ręki, z prawej do lewej, z lewej do prawej, tam i z powrotem, skakała piłeczka. Thad widział szereg liter na załamaniu: ISZ FARBE I ONI NIE ŻYJ

- Ach. To. Dziękuję.

Wziął zgłoszenia. O mało ich nie upuścił. Teraz Harrison rozwinie papierową kulę. Zrobi to, a choć Stark teraz nie czuwa - Thad był o tym święcie przekonany - wkrótce sprawdzi, co się stało. Sprawdzi i dowie się. A kiedy się dowie, zrobi coś Lizie i bliźniakom, coś nie dającego się opisać.

- Nie ma sprawy - powiedział Harrison i wrzucił papier do kosza. Kula obiegła prawie cały brzeg i wpadła do środka. - Dwa punkty - oznajmił i wyszedł na korytarz, tak że Thad mógł zamknąć drzwi.

Szedł na dół schodami. Policyjna eskorta za nim. Rawlie DeLesseps wystawił głowę z gabinetu. Na wypadek gdyby już miał Thada nie widzieć, życzył mu przyjemnego lata. Thad życzył mu tego samego głosem, który przynajmniej w jego własnych uszach brzmiał całkiem normalnie. Czuł się, jakby był samolotem na autopilocie. To wrażenie trwało, aż dotarł do suburbana. Wrzucając podania na siedzenie pasażera, kątem oka zauważył automat telefoniczny po drugiej stronie parkingu.

- Zadzwoń do żony - powiedział Harrisonowi. - Dowiem się, czy jej czegoś nie kupić.

- Powinien pan był zadzwonić z góry - stwierdził Manchester. - Zaoszczędziłby pan ćwierć dolara.

- Zapomniałem. Może faktycznie te opowiadki o roztargnionych profesorach nie są bez sensu.

Gliniarze wymienili rozbawione spojrzenia i wsiedli do plymoutha, skąd z klimatyzowanego wnętrza mogli obserwować Thada przez szybę.

Thad czuł się tak, jakby wnętrzości zamieniły mu się w potłuczone szkło. Wyszukał w kieszeni ćwierćdolarówkę i wrzucił do szczeliny w aparacie. Ręce mu się trzęsły i pomylił drugą cyfrę. Odwiesił słuchawkę, poczekał na zwrot monety i znów zaczął wybierać numer, myśląc: „Chryste, jest jak w ten wieczór, kiedy zginęła Miriam. Jakby ten wieczór się powtarzał” .

To déjà vu nie było mu do szczęścia potrzebne.

Za drugim razem wybrał właściwy numer. Przyciskał tak mocno słuchawkę, że rozboleło go ucho. Usiłował przybrać rozluźnioną postawę, żeby Harrison i Manchester nie wpadli na to, że coś jest nie w porządku. Bardzo się starał. Na próżno. Mięśnie miał jak z żelaza.

Stark podniósł słuchawkę po pierwszym dzwonku.

- Thad?

- Co im zrobiłeś?! - wyrzucił to z siebie, jakby wypluwał suche kawałki bandaża. W tle słyszał bliźnięta. Darły się wniebogłosy. Ich wrzaski były w jakiś dziwny sposób uspokajające. Nie przypominały zduszonych okrzyków, jakie wydała Wendy po upadku ze schodów. Te wrzaski sygnalizowały oszołomienie, może złość, ale nie ból.

Liza?! - pomyślał. Gdzie Liza?!

- Nic a nic - odrzekł Stark. - Sam możesz posłuchać. Nie tknąłem włoska z ich małych,

drogich łepków. Jeszcze nie.

- Liza - powiedział Thad. Nagle poczuł grozę, tylko grozę. Jakby zanurzył się w zimnym morskim grzywaczu.

- A co ma z nią być? - Żartobliwy ton był groteskowy, nieznośny.

- Daj mi ją! - warknął Thad. - Jeśli chcesz, żebym napisał kiedykolwiek jedno cholerne słówko pod twoim nazwiskiem, daj mi ją!!! - A jakaś część jego umysłu, najwyraźniej nie poruszona nawet tak wyjątkową grozą i zaskoczeniem, ostrzegęła: „Uważaj na swoją minę, Thad. Jesteś tylko w trzech czwartych tyłem do gliniarzy. Facet nie drze mordy do telefonu pytając żonę, czy ma dość jajek” .

- Thad! Thad, stary koniu! - Stark był urażony, ale Thad wiedział z okropną, szaleńczością, że skurwysyn szczerzy zęby. - Masz o mnie diabelnie złe zdanie, druhu. Brzydko, synu! Weź se na wstrzymanie. Oto i ona.

- Thad? Thad, jesteś tam?! - W jej głosie była udreka i przestrasz, ale nie panika. Jeszcze nie panika.

- Tak. Skarbie, czy ci nic nie jest? Co z dziećmi?

- Nic nam nie jest. My... - ostatnie słowo rozmyło się trochę. Thad słyszał, że dra mówi coś do niej, ale nie zrozumiał co. Powiedziała: „Tak, dobra” i odezwała się do słuchawki. Teraz była bliska płaczu. - Thad, musisz zrobić to, czego on chce.

- Tak. Wiem o tym.

- Ale mam ci powiedzieć, że nie możesz tego zrobić tutaj. Policja zaraz się zjawi. On... Thad, on mówi, że zabił tych dwóch, którzy pilnowali domu.

Thad zamknął oczy.

- Nie wiem, jak to zrobić, ale mówi, że zrobił... i ja... mu wierzę. - Teraz płakała. Usiłowała nie płakać wiedząc, że to wyprowadzi Thada z równowagi i że wyprowadzony z równowagi może zrobić coś niebezpiecznego. Ścisnął jeszcze mocniej słuchawkę, przyłożył do ucha i starał się sprawiać wrażenie, że jest na luzie.

Stark mruczał coś. Thad pochwycił jedno słowo. „Współpraca”. Niewiarygodne. No, kurwa, niewiarygodne!

- Zaraz nas stąd zabierze - powiedziała. - Mówi, że wiesz, gdzie pojedziemy. Pamiętasz ciotkę Marthę? Mówi, że powinieneś zgubić tych ludzi, którzy są z tobą. Wie, że potrafisz to zrobić, bo on potrafi. Masz spotkać się z nami dziś o zmroku. Mówi... - zaszlochała przestraszona. Powstrzymała następny szloch. - Mówi, że będziesz z nim współpracował. Kiedy on i ty siądziecie razem do pracy, wyjdzie najwspanialsza książka świata. On...

Mru, mru, mru.

Och, jak bardzo Thad pragnął wbić palce w kark tego wcielenia zła, George'a Starka, i ścisnąć, aż zejda się na gardle!

- On mówi, że Alexis Maszyna wrócił z grobu i jest potężny jak nigdy. - Jej głos stał się bardziej piskliwy: - Proszę, zrób, co on mówi, Thad! On ma broń ! I palnik gazowy! Podręczny palnik! Mówi, że jeśli wpadnie ci do głowy coś głupiego...

- Lizo...

- Proszę, Thad, rób, co on mówi!

Jej głos cichł. Stark wziął słuchawkę.

- Powiedz mi jedną rzecz, Thad. - Znikła żartobliwa nuta. Był śmiertelnie poważny. - Powiedz mi jedną rzecz i postaraj się być przekonujący i szczery, druhu, bo inaczej oni za to żąłają. Czy ty mnie rozumiesz?

- Tak.

- Pewien jesteś? Bo ona nie kłamała z tym palnikiem.

- Tak! Tak, do cholery!

- O co jej chodziło, kiedy mówiła, żebyś pamiętał o ciotce Marcie? Kto to, kurwa, jest? Thad, czy to ma być jakieś hasło? Czy ona chciała zrobić mnie w jajo?

Thad nagle zobaczył życie żony i dzieci wiszące na pojedynczej cienkiej nitce. Tu nie chodziło o metaforę; to było coś widzialnego. Nitka była niebieska jak głęboki lód, pajęcza, ledwo widoczna w środku nieogarnionej wieczności. Wszystko teraz sprowadzało się do dwóch rzeczy - tego, co powie i w co George Stark uwierzy.

- Czy urządzenie podsłuchowe jest odłączone od telefonu?

- Oczywiście, że tak! - odparł Stark. - Za kogo mnie masz, Thad?

- Czy Liza wiedziała o tym, kiedy dawałaś ją do telefonu?

Nastąpiła pauza, po czym Stark odezwał się:

- Wystarczyło jej popatrzeć. Druty leżą na środku cholernej podłogi.

- Ale czy to zrobiła? Gzy popatrzyła? - Przestań kręcić, Thad.

- Próbowala dać mi do zrozumienia, dokąd jedziecie. - Thad usiłował zdobyć się na cierpliwy, pouczający ton - cierpliwy, ale lekko protekcyjny. Nie miał pojęcia, czy mu się udaje, ale - jak podejrzewał - George da mu znać. Niezależnie od wyniku usiłowań. - Chodziło jej o letni dom. W Castle Rock. Martha Tellford to ciotka Lizy. Nie przepadamy za nią. Wystarczy, że zadzwoni i zapowie się z wizytą, a zaczynamy marzyć o ucieczce do Castle Rock i ukryciu się w letnim domu aż do jej śmierci. Teraz powiedziałem to na głos i jeśli nasz telefon jest na bezprzewodowym podsłuchu, sam się martw, George.

Pocił się, czekał i zastanawiał, czy też Stark to kupi... czy też cienka nić, jedyna dzieląca ^{rzecz} najbliższych Thada od wieczności, trzaśnie.

- Nie jest na podsłuchu - powiedział wreszcie Stark. W jego głosie znów pojawiło się rozluźnienie. Thad starał się nie osunąć, nie oprzeć o budkę. Zamknął z ulgą oczy. „ Jeśli jeszcze się spotkamy, Lizo - pomyślał - skręcę ci kark za takie wariackie ryzyko” . Choć jeśli się spotka z żoną, pewnie będzie ją całował do utraty tchu.

- Nie zrób im krzywdy - rzekł do telefonu. - Proszę, nie rób im krzywdy. Zrobię wszystko, czego chcesz.

- O, wiem o tym. Wiem, że to zrobisz, Thad. I zrobimy to razem. Przynajmniej na początku. A teraz rusz się. Pozbądź się swoich brytanów, zabierz dupę w troki i jazda do Castle Rock. Jedź tam najszybciej, jak potrafisz, ale nie tak szybko, żeby zwracać uwagę. To byłby błąd. Może wpadnie ci do głowy zmienić samochód, ale szczegóły zostawiam tobie, przecież jesteś gość z inwencją. Jeśli chcesz zastać ich żywymi, bądź tam przed zmrokiem. Nie spierdol niczego. Kapujesz? Nie spierdol niczego i nie bądź za sprytny.

- Nie będę.

- To ładnie. Nie będziesz. Słuchaj, koniu, rób tylko to, co trzeba. Jak coś pochachmęcisz, znajdziesz same trupy i taśmę, na której twoja żona będzie przeklinać cię przed śmiercią.

Rozległ się trzask. Połączenie zostało przerwane.

Szedł z powrotem do suburbana. Manchester spuścił szybę i zapytał, czy w domu wszystko w porządku. Po oczach faceta Thad odgadł, że nie jest to błahe pytanie. Policjant musiał zauważyć coś na jego twarzy. Ale to nie problem, poradzi sobie z tym. Jest przecież gościem z inwencją, a myśli sunęły mu teraz przez głowę bezszmerowo, z upiorną prędkością japońskich superekspresów. Znów pojawiło się pytanie: kłamać czy mówić prawdę? Jak i poprzednio pojedynek nie był wyrównany.

- Wszystko w normie - rzucił naturalnie i na luzie. - Dzieci są upierdliwe, to wszystko. Więc Liza też jest upierdliwa. - Podniósł trochę głos. - Od kiedy wyjechaliśmy z domu, zachowujecie się, chłopcy, jakbyście siedli na mrowisku. Czy wydarzyło się coś, o czym powinienem wiedzieć?

Miał na tyle poczucia przyzwoitości, że nawet w tej rozpaczliwej sytuacji ogarnęły go drobne wyrzuty sumienia. Pewnie, że się coś wydarzyło - na dodatek wiedział co i milczał.

- Nie - Harrison odezwał się zza kierownicy. Przechylił się w stronę partnera mówiąc do Thada. - Nie możemy się tylko porozumieć z Chattertonem i Eddingsem, to wszystko. Może weszli do środka.

- Liza powiedziała, że zrobiła mrożoną herbatę - skłamał lekkomyślnie Thad.

- Więc to dlatego - powiedział Harrison. Uśmiechnął się do Thada, który poczuł kolejne, tym razem mocniejsze wyrzuty sumienia. - Może zostanie coś dla nas, hm?

- Wszystko jest możliwe. - Thad zatrzasnął drzwi suburbaną i wsadził klucz do stacyjki ręką wrażliwą jak kawałek drewna. Pytania wirowały mu w głowie, tań cząc swego skomplikowanego i nieszczególnie miłego gawota. Czy Stark wraz z Lizą i dziećmi wyjechali już do Castle Rock? Miał nadzieję. Chciał, żeby byli już daleko, zanim wieści o porwaniu rozejdą się policyjnymi sieciami komunikacyjnymi. Jeśli są w wozie Lizy i ktoś ich spostrzeże albo jeśli nadal są blisko Ludlow, albo w samym Ludlow, mogą wyniknąć duże kłopoty. Zabójcze kłopoty. Straszliwa ironia losu polegała na tym, że powinien żywić nadzieję, iż Stark się wyrwie. Ale w taką właśnie sytuację wpakowało go przeznaczenie.

A kiedy już mowa o wyrywaniu, jak się pozbędzie Harrisona i Manchesterą? To kolejne dobre pytanie. Nie uciekną im w suburbanie, to pewne. Ich plymouth wyglądał marnie, był zakurzony i bez kołpaków na kołach, ale basowy pomruk motoru sugerował, że dotrzyma kroku każdemu pojazdowi. Może dałoby się ich zgubić - miał już pomysł, gdzie i kiedy - ale jak bez zwracania uwagi przejedzie sto sześćdziesiąt mil do The Rock?

Nie miał zielonego pojęcia... wiedział tylko, że jakoś musi to zrobić.

„Pamiętasz ciotkę Marthę?”

Nafaszerował Starka masą bzdur i ten wszystko przełknął. Więc drań nie ma takiego łatwego dostępu do jego głowy. Martha Tellford była ciotką Lizy - zgoda - i często, przeważnie w łóżku, żartowali o ucieczce przed nią, ale rozmawiali o tak egzotycznych miejscach jak Aruba czy Tahiti... bo ciotka Martha wiedziała wszystko o letnim domu w Castle Rock. Odwiedzała ich tam o wiele częściej niż w Ludlow. Ulubionym miejscem ciotki w Castle Rock było wysypisko śmieci. Jako wierna, ba! zaprzysięgła członkini Narodowego Stowarzyszenia Posiadaczy Broni (NRA) uważała śmietnisko za swój teren łowiecki. Polowała na szczury.

„Jeśli chcesz, żeby sobie pojechała - Thad wspomniał swoją rozmowę z Lizą - sama musisz jej to powiedzieć”. - Ta konwersacja również odbyła się w łóżku, u kresu nie kończącej się wizyty ciotki Marthy w lecie... 1979 czy 1980 roku. Bez znaczenia. „To twoja ciotka! W dodatku obawiam się, że kiedy jej o tym powiem, wyceluje swojego winchestera we mnie!”

Liza na to: „Wcale nie jestem pewna, czy pokrewień stwo ułatwia porozumienie. Ona ma coś takiego w oczach...” – Udała, że trzęsie się ze strachu, i dała mu kuksań ca w zębra. „Śmiało. Bóg nie cierpi tchórzy. Powiedz jej, że jesteśmy obrońcami przyrody, nawet szczurów śmietnikowych. Podejdź prosto do niej, Thad, i powiedz: »Zjeżdżaj, ciociu Martho! Twój ostatni szczur śmietnikowy padł! Pakuj walizy i po prostu zjeżdżaj!«

” · Oczywiście żadne z nich nie powiedziało ciotce Marcie, żeby zjeżdżała; nadal codziennie odbywała ekspedycje na wysypisko, gdzie zastrzeliła kilkadziesiąt szczurów (i zapewne kilka morskich mew, gdy szczury się skryły). Wreszcie nadszedł błogosławiony dzień, w którym Thad zawiózł ją na lotnisko w Portlandzie i wsadził na samolot do Albany. Przy stanowisku odlotów potrzęsnęła mu ręką jak mężczyzna, dwukrotnie, jakoś dziwnie nieprzyjemnie – jakby potwierdzała zawarcie umowy, a nie żegnała się – i powiedziała, że być może w przyszłym roku zaszczyci ich wizytą. „Kapitałne strzelanie – powiedziała. – Chyba dociągnęłam do osiemdziesiątki tych roznosicieli zarazków”.

Już jednak nie przyjechała, choć raz doprawdy niewiele brakowało. (Ta zapowiedziana wizyta została szczęśliwie odwołana dzięki zaproszeniu do Arizony, które nadeszło w ostatniej minucie. Ciotka Martha poinformowała ich przez telefon, że ów stan nadal obfituje w kojoty).

Przez całe lata po tej wizycie „Pamiętaj ciotkę Marthę” stało się ich własnym hasłem, podobnie jak „Pamiętaj Maine”. Znaczyło, że któreś z nich powinno wyjąć z szopy strzelbę kalibru 22 i zastrzelić jakiegoś szczególnie nudnego gościa, tak jak ciotka Martha strzelała do szczurów na śmietniku. Kiedy Thad myślał o tym teraz, przypomniał sobie, że podczas wywiadu – i – sesji – zdjęciowej dla „People” Liza użyła tego sformułowania. Czy nie odwróciła głowy i nie zamruczała: „Zastanawiam się, czy ta Myers pamięta ciotkę Marthę” ?

Zasłoniła wtedy usta i zachichotała.

Bardzo śmieszne.

Ale teraz nie było mu do śmiechu.

I teraz nie chodziło o strzelanie do szczurów na śmietniku.

Jeśli mu się wszystko nie pochrzaniło, żona starała się powiedzieć, żeby zabił George’a Starka. Liza, która płakała słysząc o usypianiu bezdomnych zwierzaków w azylu w Derry, musiała dojść do wniosku, że nie ma innego rozwiązania. Musiała pomyśleć, że są tylko dwa wyjścia: śmierć Starka... albo śmierć własna i bliźniąt.

Harrison i Manchester patrzyli na niego z ciekawością i Thad uświadomił sobie, że

Ten zwrot odwołuje się do historycznego zawołania: „Pamiętaj Alamo!” Alamo – miejsce masakry Teksasów dokonanej przez Meksykan w 1836 roku.

prawie całą minutę siedział pogrążony w myślach za kierownicą pracującego na wolnych obrotach suburbana. Podniósł dłoń w niewyraźnym geście pozdrowienia, wycofał się i wjechał w Maine Avenue, która wyprowadzi go z kampusu. Usiłował znaleźć sposób ucieczki przed policjantami, zanim dowiedzą się przez policyjne radio o śmierci kolegów. Usiłował znaleźć sposób ucieczki, ale słyszał głos Starka powtarzający, że jeśli coś pochachmęci, to kiedy dojedzie do Castle Rock, znajdzie tylko trupy i taśmę, na której Liza będzie przeklinać przed śmiercią jego imię.

I wciąż widział Marthę Tellford patrzącą przez przyrządy celownicze winchestera, przewyższającego o niebo kalibrem jego dwudziestkędwójkę, którą trzymał zamkniętą w szopie koło letniego domu, Marthę Tellford celującą w tłuste szczury, przemykające między górami nieczystości i pomarań czowymi płomykami niewielkich ognisk. Nagle Thad uświadomił sobie, że chce zastrzelić Starka, i to wcale nie strzelbą kalibru

22. Szczwany George zasługiwał na coś większego.

Haubica byłaby w sam raz.

Szczury wyskakują ponad jasne galaktyki rozbitych butelek i pogniecionych puszek, ciała najpierw skręcają się, potem rozpryskują, fruują flaki i sierść.

Tak, sprowadzenie George'a Starka do postaci rozwalanego szczura byłoby bardzo przyjemne.

Ścisnął za mocno kierownicę. Dłoń go zabolęła. Zabolęła tak głęboko, że kości i stawy – gdyby mogły – zajęczałyby z bólu.

Usiłował się rozluźnić i poczuł na piersi opakowanie percodanu. Zażył pastylkę bez popijania.

Zaczął myśleć o skrzyżowaniu przy szkole w Veazie. Tam gdzie znak stopu obowiązywał dla wszystkich kierunków.

I zaczął też myśleć o tym, co powiedział Rawlie DeLesseps. O psychopompach.

O heroldach żywych trupów.

Stark przyjmuje opiekę

Bez trudności zaplanował, co zrobi i jak, choć faktycznie nigdy nie był w Ludlow.

Ale był tam wystarczająco wiele razy w snach.

Zjechał ukradzioną podniszczoną hondą civic na parking przy terenie biwakowym półtorej mili od domu Beaumontów. Thad udał się na uniwersytet. Dobrze. Czasem nie potrafił odgadnąć, co Thad robi albo myśli, choć prawie zawsze, jeśli się przyłożył, potrafił wyczuć jego nastrój.

Jeśli nawiązanie kontaktu okazywało się trudne, po prostu zaczynał bawić się ołówkiem kupionym przy Houston Street.

To pomagało.

Dzisiejsze zadanie zapowiadało się na bezproblemowe. I będzie bezproblemowe, gdyż bez względu na to, co Thad naopowiadał swoim brytanom, pojechał na uniwersytet tylko z jednego powodu: przekroczył ostateczny termin i był przekonany, że Stark będzie usiłował nawiązać z nim kontakt. Stark właśnie zamierzał to uczynić. A jakże.

Z tym że nie tak, jak Thad to sobie wyobrażał.

I na pewno nie z tego domu, który Thad sobie wyobrażał.

Dochodziło południe. Na terenie biwakowym znajdowało się zaledwie kilku piknikowiczów, ale ludzie siedzieli na trawie przy stolikach albo gromadzili się przy małych kamiennych rożnach nad rzeką. Nikt nie zwrócił uwagi na Starka wysiadającego z hony i idącego dalej pieszo. Dobrze. Gdyby go ktoś zobaczył, z pewnością zapamiętałby go.

Zapamiętałby.

Ale nie potrafiłby opisać.

Stark, kiedy przeszedł na drugą stronę asfaltowej drogi, a następnie skierował się pieszo do posesji Beaumontów, bardzo przypominał Niewidzialnego Człowieka z powieści

H.G. Wellsa. Szeroki bandaż zakrywał czoło od brwi do linii włosów. Zasłaniał również podbródek i dolną szczękę. Na głowę Stark wbił czapkę New York Yankees. Miał okulary przeciwsłoneczne, ocieplaną kamizelkę i czarne rękawiczki.

Bandaże były przesiąknięte żółtym, przypominającym ropę płynem, sączącym się nieprzerwanie przez gazę jak lepkie łzy. Żółty płyn kapał spod okularów marki „Foster Grant”. Stark od czasu do czasu ocierał policzki rękawiczkami z taniej imitacji giemzy. Pokrywała je od wewnątrz schnąca ropa. Większość skóry pod bandażami złuszczyła się. To, co pozostało, nie było dokładnie biorąc ludzkim ciałem, tylko ciemną, gąbczastą materią, z której nieustannie lał się wysięk. Przypominał on ropę i rozaczał gęsty smród, jak mieszanka mocnej kawy i tuszu.

Stark szedł z lekko pochyloną głową. Pasażerowie niewielu jadących z przeciwka samochodów widzieli mężczyznę w baseballowej czapce, sunącego z rękami w kieszeniach i opuszczoną głową, chroniącego oczy przed blaskiem. Dobrze trzeba było się zgiąć, żeby zajrzeć pod daszek czapki, a nawet wtedy widziało się tylko bandaże. Oczywiście pasażerowie samochodów nadjeżdżających z tyłu i zmierzających na północ widzieli tylko plecy.

Bliżej bliźniaczych miast Bangor i Brewer przechadzka stałaby się nieco trudniejsza. Tam mija się eleganckie przedmieścia i osiedla. Część Ludlow, w której mieszkali Beaumontowie, na tyle wychodziła poza zabudowę miejską, że kwalifikowała się jako wieś – nie głucha wieś, lecz nijak nie przypominająca fragmentu żadnej z wymienionych metropolii. Tu domy wybudowano na posesjach tak wielkich, że czasami wypadało nazwać je polami. Dzielili je nie płoty, te wcielenia prywatności eleganckich przedmieść, ale wąskie pasy drzew i niekiedy kamienne mury. Od czasu do czasu, jak zwiadowcze posterunki kosmicznych najeźdźców, na horyzoncie wyrastały ponure talerze anten satelitarnych.

Szedł poboczem drogi, aż minął siedzibę Clarków. Dom Thada stał obok. Stark przeciął róg trawnika. Pokrywało go raczej siano niż trawa. Popatrzył na dom. Zasłony broniły wnętrza przed upałem, drzwi garażu zamknięto szczelnie. Clarkowie nie wyszli zaledwie dziś rano. Dom miał wygląd opuszczonego. Za siatkowymi drzwiami wprawdzie nie piętrzyły się gazety, ale mimo to Stark uznał, że właściciele prawdopodobnie udali się na letnie wakacje. Bardzo mu to odpowiadało.

Wszedł w pas drzew rozdzielający posesje, wdrapał się na resztki kamiennego muru i przykleknął na jedno kolano. Po raz pierwszy spoglądał na dom swego upartego brata bliźniaka. Wóz policyjny parkował na podjeździe, a jego dwuosobowa załoga stała obok w cieniu drzewa i paliła papierosy. Dobrze.

Wiedział, co trzeba zrobić. Było to łatwe jak zjedzenie porcji lodów i popicie oranżadą. A jednak zwlekał. Nie uważał się za człowieka z wyobraźnią – przynajmniej poza kartami książek, które w lwiej części stanowiły jego dzieło – ani ulegającego emocjom, więc czując palący wewnętrznego węgielek furii i urazy był zaskoczony.

Jakim prawem ten skurwysyn odmawiał mu pomocy?! Jakim cholernym prawem? Dlatego, że był pierwszy? Tylko dlatego, że Stark nie wiedział, jak, dlaczego ani kiedy zjawił się na świecie?! Sranie w banię. Zdaniem George’a Starka prawo starszeństwa nie ma tu nic do rzeczy. Powinien leć i umrzeć bez słowa protestu, bo tak to sobie wykombinował Thad Beaumont?! Jego obowiązkiem względem samego siebie było – przeżyć. Po prostu przeżyć. A to jeszcze nie wszystko.

Przecież musiał myśleć o swoich lojalnych wielbicielach, co nie?

No, popatrzcie tylko na ten dom. No, popatrzcie! Przestronna willa w stylu kolonialnym Nowej Anglii. Dobudować jeszcze jedno skrzydło i toż to rezydencja. Wirujące żwawol zraszacze dbają o świeżość wielkiego trawnika. Drewniany płot biegnie wzdłuż lśniącej czarnej nitki podjazdu. O takim płocie to się chyba mówi „malowniczy”. Kryty pasaż między domem a garażem – kryty pasaż, dobry Boże! Dom umeblowany wdzięcznie (a może oni mówili na to „wykwintnie”) w stylu kolonialnym, żeby komponował się z architekturą – długi dębowy stół w jadalni, wysokie zgrabne komody w pokojach na piętrze, fotele delikatne i miłe dla oka, a przy tym niepretensjonalne – fotele, które można podziwiać, równocześnie bez obawy ich używając. Ściany nie tapetowane, ale malowane, a następnie ozdabiane za pomocą wzorników. Stark widział to wszystko, widział w snach, o których Beaumont nie miał nawet pojęcia, śniąc je wtedy, kiedy pisał jako George Stark.

Spalić ten czarujący biały dom równo z ziemią! Przytknąć zapałkę – a może płomień palnika gazowego, tkwiącego w kieszeni kamizelki – i spalić do fundamentów! Ale najpierw dostanie się do środka. Najpierw rozwalą meble, nasra na wykładzinę w bawialni i zostawi chamskie brązowe smugi ekskrementów na starannie pomalowanych ścianach. Najpierw siekierą porąbie te och – jakże – delikatne komódki.

Jakim prawem Beaumont ma dzieci? Z piękną kobietą? Jakim właściwie prawem Thad Beaumont żyje szczęśliwy i cieszy się blaskiem słońca, a jego mroczny brat – który przysporzył mu bogactwa i sławy, gdy czekało go życie w nędzy i zgon w zapomnieniu – ma umrzeć w ciemności, jak chory kundel w ciemnym zaułku?

Oczywiście żadnym prawem. Absolutnie żadnym. Chodziło tylko o to, że Beaumont uwierzył w to prawo i nadal mimo wszystko w nie wierzył. Ale to ta wiara, nie George Stark z Oxfordu, Missisipi, jest fikcją.

- Czas na twoją pierwszą wielką lekcję, druhu - zamruczał Stark. Wymacał spinacze trzymające bandaż na głowie, wyjął je i wsadził do kieszeni. Przydadzą się na potem. Odwijał bandaż. Im bliżej niesamowitego ciała, tym zwoje były wilgotniejsze. - Nigdy, przenigdy jej nie zapomnisz. Ja ci to, kurwa, gwarantuję.

To był tylko wariant numeru „na ślepego”, zastosowanego wobec gliniarzy nowojorskich, ale zdaniem Starka pasował idealnie. Wierzył nieugięcie, że gdy się raz wpadło na dobry gag, należało go używać do zużycia. Zresztą gliniarze nie prezentowali problemu, chyba że odstawiłby fuszerkę. Strażowali od dobrego tygodnia i z każdym dniem rosło w nich przekonanie, że szaleniec nie kłamał głosząc, iż bierze zabawki i jedzie do domu. Jedyną niewiadomą była Liza - jeśli przypadkiem wyjrzy przez okno, kiedy będzie koń czył te wieprze, sprawy mogą się skomplikować. Ale wypada wziąć pod uwagę, że dochodziło południe - Liza i bliźnięta drzemią albo układają się do drzemki. Bez względu na to, jak potoczą się sprawy, potoczą się we właściwym kierunku. Niewątpliwie.

Wręcz na pewno.

Prawdziwego uczucia nic nie powstrzyma.

Chatterton przydeptał butem niedopałek - potem zamierzał cisnąć go do popielniczki, gdyż policja stanowa w Maine nie zaśmieca podjazdów podatkowiczów - a gdy podniósł wzrok, ujrzał człeka z twarzą odartą ze skóry. Powłócząc nogami zbliżał się podjazdem; jedną ręką niemrawo machał do Chattertona i Jacka Eddingsa, prosząc o pomoc, drugą trzymał za plecami. Ta druga wyglądała na złamaną.

Chatterton mało nie dostał zawału.

- Jack! - ryknął i Eddings odwrócił się. Rozdziawił usta.

- ... pomóżcie... - zaskrzeczał człek z twarzą odartą ze skóry.

Chatterton i Eddings rzucili się z pomocą.

Gdyby przeżyli, mogliby naopowiadać kolegom z policji, że myśleli, iż facet miał wypadek samochodowy, poparzył się podczas wybuchu benzyny czy nafty, wpadł twarzą w jedną z tych maszyn rolniczych, które od czasu do czasu decydują się wciągnąć swych właścicieli i posiekać ostrzami, płatami albo okrutnymi wirującymi szprychami. Wiele

mogliby napisać kolegom z policji o tym, co niby myśleli, ale tak naprawdę to nie myśleli niczym. Groza jak gąbka przejechała po ich umysłach i starła wszelkie myśli. Lewa strona twarzy rannego wprost gotowała się, jakby zerwawszy skórę ktoś chlusnął stężonym kwasem karbolowym na żywe mięso. Kleisty, niesamowity płyn toczył się po ziarninie, spadał przez czarne pęknięcia, czasem przelewał się przez obrzydliwe mięsne zapory.

Nie myśleli nic. Po prostu reagowali.

Na tym polegała cała uroda numeru „na ślepego”.

– ... pomóżcie mi...

Mężczyźnie zaplątały się nogi i skłonił się w przód. Wykrzykując coś niezrozumiałego do partnera, Chatterton skoczył, żeby uchronić rannego przed upadkiem. Stark objął prawym ramieniem kark policjanta i wyciągnął lewą rękę zza pleców. W niej miał niespodziankę. Niespodzianką była brzytwa z rączką z masy perłowej. Ostrze błysnęło świetliście w wilgotnym powietrzu. Morderca wyprowadził mocny zamach w przód. Ostrze przecięło prawą gałkę oczną Chattertona z głośnym PUK! Policjant zapał przeraźliwie i przycisnął rękę do twarzy. Stark złapał go za włosy, odchylił głowę w tył i poderżnął gardło od ucha do ucha. Krew siknęła z muskularnej szyi. Wszystko to trwało cztery sekundy.

– Co?? – zapytał cicho, przedziwnie dociekliwym tonem Eddings. Stał jak wryty dwie stopy za Chattertonem i Starkiem. – Co??

Jedna z jego opuszczonych luźno rąk dyndała obok chwytu służbowego rewolweru, ale Stark jednym szybkim spojrzeniem przekonał się, że wieprz ma o tym równie dokładne pojęcie co o populacji Mozambiku. Oczy wieprza wyłaziły z orbit. Nie wiedział, na co patrzy ani kto krwawi. „Nie, nieprawda – pomyślał Stark – on sądzi, że to ja krwawię. Stał i widział, jak poderżnąłem jego partnerowi gardło, ale sądzi, że to ja krwawię, bo ja nie mam połówki twarzy. Ale nawet nie to kształtuje mu optykę. Ja krwawię, ja muszę krwawić, ponieważ on i jego partner są policjantami. W tym filmie to oni są za bohaterów”
– Proszę – powiedział – potrzymaj, dobra? – I pchnął umierającego Chattertona na jego partnera.

Eddings zapiszczał. Chciał się cofnąć, ale było za późno. Dwieście funtów stygnącego policyjnego cielska, które kiedyś było Tomem Chattertonem, pozbawiło go równowagi, przyparło do wozu. Gorąca krew chlustała jak woda z zepsutego prysznicza na podniesioną twarz Eddingsa. Wrzasnął i odepchnął Chattertona. Ten obrócił się powoli i na ślepo złapał samochodu. Lewą ręką trafił na maskę. Zostawił ślad rozczapierzonych palców. Prawą wyrwał z karoserii antenę. Upadł na podjazd, trzymając ją przed jedynym całym okiem – jak naukowiec, który nawet in extremis nie wypuszcza z rąk rzadkiego okazu.

Eddings kątem oka zauważył ruch odartego ze skóry człeka. Nacierał szybko, pochylony. Policjant starał się odskoczyć. Wpadł na samochód.

Stark ciął od dołu. Brzytwa zakreśliła długi łuk w górę i na zewnątrz. Weszła jak w masło. Rozplatała krok beżowych i mundurowych spodni Eddingsa, rozplatała worek mosznowy. Jądra, nagle pozbawione wzajemnego towarzystwa, poleciały do tyłu, klapnęły o uda jak grube supły na koń cach skręconej przepaski. Krew zabrudziła spodnie w okolicy rozporoka. Eddings przez chwilę miał wrażenie, że ktoś wsadził mu w krocze garść lodu... potem poczuł ból, szarpnięcie mnóstwa ostrych rozpalonych kłów. Wrzasnął.

Stark śmignął brzytwą jeszcze raz, ruchem szybkim i zręcznym, mierząc w gardło, ale Eddingsowi udało się podnieść rękę i pierwszy śmiertelny sztych tylko przeciął dłoń na pół. Policjant usiłował przekręcić się w lewo. W ten sposób odsłonił prawą stronę szyi.

Nagie ostrze, blad srebrne w migotliwym blasku dnia, znów zakreśliło łuk i tym razem doszło celu. Eddings osunął się na kolana, ściskając ręce między nogami. Beżowe spodnie prawie do kolan pokryły się jasną czerwienią. Opuścił głowę. Wyglądał jak ofiara pogań skiego rytuału.

- Miłego dnia, kurwa twoja mać - powiedział Stark uprzejmym tonem. Pochylił się, wsunął rękę w zmierzwione włosy Eddingsa, pociągnął głowę w tył obnażając szyję do finalnego ciosu.

Otworzył czarne drzwi wozu patrolowego, poderwał w górę Eddingsa za kołnierz mundurowej koszuli i zakrwawione siedzenie spodni, po czym cisnął do środka jak worek zboża. Powtórzył to samo z Chattertonem. Ten musiał ważyć blisko dwieście trzydzieści funtów plus pas z wyposażeniem i czterdziestkąpiątką, ale Stark poczynął sobie z nim jak z workiem pierza. Zatrzasnął drzwi. Spojrzał na dom, bystro, uważnie.

Był cichy. Tylko świerszcze grały w wyschniętej trawie za podjazdem i pracowały zraszacze, wydając odgłosy jak podczas picia przez słomkę, - ŁIK! ŁIK! ŁIK! Do tych dźwięków doszedł hałas przejeżdżającej cysterny „Orinco”. Z prędkością sześćdziesięciu mil na godzinę waliła na północ. Światła stopu błysnęły na moment czerwienią. Stark stężał i pochylił się za samochodem. Prychnął śmiechem, kiedy światła zgasły i cysterna przyspieszyła, znikając za wzgórzem. Kierowca dojrzał wóz patrolowy na podjeździe, popatrzył na prędkościomierz i pomyślał, że to kontrola szybkości. Najnaturalniejsza reakcja na świecie. Niepotrzebnie się martwił, ta kontrola już nigdy nikogo nie złapie.

Na podjeździe rozlało się dużo krwi, ale na czarnym asfalcie przypominała wodę... chyba że spojrzano się z bardzo bliska. A jeśli nie przypominała wody, to i tak diabli z nią. Stark złożył brzytwę. Ściskając ją w klejącej się ręce podszedł do drzwi. Nie zauważył kupki zdechłych wróbli przy stopniach ani szeregów żywych ptaszków na dachu domu i jabłonce obok garażu. Obserwowały go w milczeniu.

Po kilku minutach Liza Beaumont zeszła na dół. Lekko oszołomiona południową drzemką podążała otworzyć drzwi.

Nie krzyknęła. Chciała krzyżeć, ale kiedy otworzyła drzwi i zobaczyła odartą ze skóry twarz, ten widok zatrzasnął w niej krzyk głęboko, zamroził, zmazał, skreślił, pogrzebał żywcem. Inaczej niż Thad, nie pamiętała żadnych snów z George'em Starkiem, ale chyba drzemały w mrokach jej szybko pracującej podświadomości, ponieważ wpatrzona natrętnie w Lizę roześmiana twarz mimo całej swej grozy pokrywała się z jej oczekiwaniami.

- Hej, pani szanowana, podobam się? - Zapytał Stark przez siatkę. Szczerzył się, eksponując całe mnóstwo zębów. Większość z nich szerniała. Okulary przeciwsłoneczne wyglądały jak wielkie czarne oczodoły. Ropa kapiała z policzków i szczęk, rozpryskiwała się na kamizelce.

Poniewczasie usiłowała zamknąć drzwi. Stark wbił rękę przez siatkę i otworzył je na oścież. Liza zatoczyła się w tył, usiłowała krzyknąć. Nie mogła. Gardło nadal miała sparaliżowane.

Stark wszedł do domu. Zamknął za sobą drzwi.

Patrzyła na niego. Zbliżał się z wolna. Wyglądał jak zgniły strach na wróble, który jakimś sposobem ożył. Najgorszy był uśmiech. Lewa połowa górnej wargi nie wyglądała na gnijącą, ale odgryzioną. Liza widziała szaroczarne zęby i świeże ubytki w dziąsłach.

Wyciągnął do niej urękawiczone dłonie.

- Siemasz, Beth - szczerzył się koszmarnie. - Wybacz, proszę, że cię nachodzę, ale byłem niedaleczko i pomyślałem sobie, że wpadnę. Jestem George Stark. Jak miło, że mogę cię poznać. Milej, niż to sobie wyobrażasz.

Dotknął palcem jej podbródka... popieścił. Ciało pod czarną rękawiczką wydawało się gąbczaste, miękkie. Przypomniała sobie śpiące na górze bliźnięta i paraliż prysł. Odwróciła się i pognęła do kuchni. Mimo szalejącego w głowie zamieszania wyobraziła sobie, jak porywa jeden z długich noży, wiszących na magnetyzowanych uchwytych nad ladą kuchenną,

i wbija w tę ohydłą karykaturę twarzy.

Słyszała go za sobą, szybkiego jak wiatr.

Usiłował ją złapać, musnął bluzkę, ale Liza wymknęła się.

Szeroko otwarte kuchenne „kowbojki” podierał drewniany klin. Biegnąc kopnęła go. Wiedziała, że jeśli nie trafi albo tylko potrąci podpórkę, nie będzie szansy poprawki. Ale stopa w kapciu idealnie trafiła w cel. Palce na moment zawyły bólem. Klin śmignął po kuchennej podłodze, tak wypastowanej, że całe pomieszczenie odbijało się w niej do góry nogami. Poczowała, że Stark znów usiłuje ją chwycić. Wyciągnęła rękę do tyłu i zatrzasnęła drzwi. Wpadł na nie z łomotem. Zawył, wściekły i zaskoczony, ale cały. Sięgnęła do noży...

... i Stark złapał ją za włosy i bluzkę. Szarpnął do tyłu i odwrócił. Usłyszała szorstki trzask pękającego materiału i pomyślała niezbornie: „Jak mnie zgwałci o Jezu jak mnie zgwałci zwariuję...”

Tłukła w groteskowe oblicze pięściami, przekrzywiła i strąciła okulary. Ciało pod lewym okiem zwisło i opadło jak usta trupa, odsłaniając pełną, nabiegłą krwią, nabrzmiętą gałkę oczną.

Śmiał się tylko.

Złapał ręce Lizy i ściągnął w dół. Wyrwała jedną i podrapała go po twarzy. Palce zostawiły głębokie rowki. Ospale zaczęły spływać krew i ropa. Opór miał niewielki sens. Albo żaden. Równie dobrze mogła drapać kawał popstrzonego przez muchy mięsa. Teraz zaczęła wydawać dźwięki – chciała wrzeszczeć, wyrzucić z siebie grozę i strach, zanim zdążą ją udusić, ale zdobyła się tylko na serię chrapliwych, histerycznych parsknięć.

Capnął oswobodzoną rękę, wykręcił razem z drugą za plecy, ujął jak w cęgi. Jego dłoń była gąbczasta, a równocześnie niepokonana jak kajdany. Drugą ręką przykrył pierś Lizy. Wzdrygnęła się. Zamknęła oczy i starała się wyrwać z uścisku.

– No, przestań – powiedział. Nie uśmiechał się, ale lewa strona twarzy zamarła na zawsze w zgniłym, trupim grymasie. – Przestań, Beth. Dla własnego dobra. Podnieca mnie, kiedy się stawiasz. Nie chcesz chyba, żebym się podniecił. Tego jestem pewien. Sądzę, że powinniśmy nawiązać platoniczne stosunki.

Przynajmniej teraz.

Mocniej ścisnął pierś. Pod zgniłą warstwą ciała poczuła bezlitosną siłę, jakby dotykał jej miękki plastik kryjący układ giętkich stalowych rurek.

„Skąd on czerpie siłę? Skąd? Wygląda na umierającego”.

Ale odpowiedź nasuwała się sama. Nie był człowiekiem. Tak naprawdę nie był chyba nawet żywy.

- A może zachciało ci się? - Zapytał. - O to chodzi? Chcesz? Chcesz teraz? - Wsunął z obnażonych, wykrzywionych ust czarnoczerwonożółty język, pokryty dziwnymi pęknięciami jak wyschnięte pobocze rzeki, zatrzepotał nim w jej kierunku.

Natychmiast zaprzestała walki.

- Lepiej - powiedział Stark. - A teraz, Bethie, moja droga, moja najdroższa, zaraz cię puszcę. Kiedy to nastąpi, żądza pokonania stujardówki w pięć sekund znów opanuje cię bez reszty. To całkiem naturalne; ledwo się znamy i jestem świadom, że nie prezentuję się dziś najkorzystniej. Ale zanim zrobisz jakieś głupstwo, wiedz, że ci dwaj gliniarze, co byli na dworze - nie żyją. I pomyśl o swoich bambini, które śpią cichutko na górze. Dzieci potrzebują odpoczynku, nieprawdaż? Zwłaszcza bardzo małe dzieci, bardzo bezbronne dzieci, takie jak twoje. Czy mnie zrozumiałaś? Czy nadążasz?

Otępiała pokiwała głową. Teraz poczuła jego woń. Cuchnął ohydnie surowym miechem. „On gnije - pomyślała. - Gnije teraz, na moich oczach.

Zrozumiała bardzo jasno, dlaczego Stark tak rozpaczliwe pragnie, żeby Thad znów wziął się do pisania.

- Jesteś wampirem - wykrztusiła przez ściśnięte gardło. - Cholernym wampirem. I Thad wziął cię na dietę. Dlatego się tu włamujesz. Terroryzujesz mnie i grozisz moim dzieciom. Jesteś kurewskim tchórzem, George'u Stark.

Wpuścił ją. Naciągnął najpierw lewą, potem prawą rękawiczkę. Wygładził. Ten gest był pedantyczny, a jednocześnie jakoś dziwnie groźny.

- Nie powiedziałbym, że to uczciwe postawienie sprawy, Beth. A co ty zrobiłabyś w mojej sytuacji? Co na przykład zrobiłabyś, gdybyś wylądowała na bezludnej wyspie, bez jedzeniu i napitku? Stroiłabyś tęskne pozy i wzdychała ślicznie? Czy walczyła? Naprawdę masz do mnie pretensję, że chcę przetrwać?!

- Tak!!! - wypluła.

- Przemawiasz jak autentyczny przeciwnik... ale może zmienisz zdanie. Widzisz, cena, jaką się płaci za zachowanie własnych przekonań, może być znacznie wyższa, niż ci się zdaje, Beth. Gdy druga strona sporu jest przebiegła i zawzięta, ta cena może sięgnąć tam, gdzie twoje oczęta nie sięgną. Może jeszcze zostaniesz taką entuzjastką naszej współpracy, że ci się nawet nie śni.

- Sam sobie śnij, kurwa twoja mać!

Prawa strona jego ust podeszła wyżej. Wieczne rozbawienie, rysujące się po lewej, wzrosło i obdarzył ją grymasem upiора. Prawdopodobnie w zamierzeniu miał to być zalotny uśmiech. Obrzydliwie galaretowata łapa pieszczotliwie ześliznęła się po przedramieniu Lizy,

jeden palec wymownie nacisnął jej dłoń , nim opadł.

- To nie sen, Beth, zapewniam cię. Thad i ja będziemy współpracować nad nowym „starkiem” ... przez jakiś czas. Inaczej mówiąc, Thad popchnie mnie. Widzisz, jestem jak unieruchomiony samochód. Tyle że nie akumulator wysiadł mi, ale zdolności twórcze. To wszystko. W mej ocenie to jedyny kłopot. Kiedy tylko się potoczę, wrzucę dwójkę, puszcę sprzęgło i BRUUUM! Nie ma mnie!

- Jesteś wariatem - szepnęła.

- Aha. Ale Tołstoj też był wariatem. I Richard Nixon. I to jego wybrano na ten wielki, wielgaśny urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych. - Stark odwrócił głowę i spojrzał w okno. Liza nic nie słyszała, ale on wsłuchiwał się jak najpilniej, usiłował złowić jakiś słaby, prawie niesłyszalny dźwięk.

- Co...? - zaczęła.

- Buźka na kłódkę, skarbie - powiedział. - Stul ust pąkowie, o nic więcej nie proszę.

Słyszała nikły dźwięk. Stado ptaków wzbijało się w powietrze. Ten dźwięk był niewiarygodnie daleki, niewiarygodnie piękny. Niewiarygodnie swobodny.

Stała nieruchomo, oceniając Starka wzrokiem. Serce biło jej zbyt szybko. Zastanawiała się, czy zdołałaby się uwolnić. Dokładnie biorąc, nie był w transie, nie, nic takiego, ale bez wątpienia odwrócił od niej uwagę. Może zdołałaby uciec? Gdyby dopadła broni...

Gnijąca ręka znów chwyciła w cęgi jej przegub.

- Wiesz, umiem wejść w twojego starego i rozglądnąć się. Czuję, kiedy on kombinuje. Z tobą mi to nie wychodzi, ale popatrzę ci w oczy i już wiem, co tam świta. Myśl sobie co chcesz, Beth, ale pamiętaj o gliniarzach!., i dzieciaczkach. Dobra pamięć pozwoli ci zachować właściwą perspektywę.

- Dlaczego tak na mnie mówisz?

- Jak? Beth? - Zaśmiał się nieprzyjemnie, jakby w gardle utknęło mu trochę żwiru. - Wiesz, gdyby on miał dość oleju w głowie, sam tak by do ciebie mówił.

- Jesteś wa...

- Wariatem, wiem. To urocze, że tak uważasz, kochana, ale twe opinie na temat mego zdrowia psychicznego musimy odłożyć na czas dalszy. Teraz za dużo się dzieje. Posłuchaj, muszę zadzwonić do Thada, ale nie do gabinetu. Ten numer może jest na podsłuchu. On tak nie uważa, ale gliny mogły założyć podsłuch bez jego wiedzy. Twój stary to ufny gość. Ja nie.

- Skąd...?

Stark pochylił się nad nią. Mówił bardzo powoli, starannie, jak nauczyciel do

nierozgarniętego pierwszoklasisty.

- Beth, przestań się ze mną spierać i odpowiadaj na pytania. Bo jeśli nie wydam cię, to wydam cię z twoich bliźniaczków. Wiem, że jeszcze nie umieją mówić, ale może zdołam je tego nauczyć. Niewielka zachęta potrafi sprawić cuda.

Mimo upału miał na koszuli ocieplaną kamizelkę, z wieloma zapinanymi na zamek błyskawiczny kieszeniami, model lubiany przez myśliwych i turystów górskich. Rozpiął zamek na kieszeni, której powłokę wypychał jakiś cylindryczny przedmiot. Wyjął niewielki palnik gazowy.

- Nawet jeśli nie nauczę ich mówić, założę się, że nauczę je śpiewać. Założę się, że zakwilą jak para skowroneczków. Beth, nie wydaje mi się, żebyś miała ochotę usłyszeć tę wokalizę.

Usiłowała oderwać wzrok od palnika. Nadaremnie. Bezradnie patrzyła, jak przerzuca go z ręki do ręki. Oczy miała jak przykute do wylotu dyszy.

- Powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć - oznajmiła i pomyślała: „ Teraz

”
- To grzecznie z twojej strony - odparł i włożył palnik z powrotem do kieszeni.

Kamizelka odchyliła się. Liza zobaczyła chwyt ogromnego pistoletu. - I bardzo mądrze. Teraz słuchaj. Dziś na wydziale anglistyki jest ktoś jeszcze. Widzę go tak wyraźnie jak teraz ciebie. Mały, drobny facecik, siwy włos, w zębach trzyma fajkę wielką jak on sam. Jak się nazywa?

- Wygląda, że to Rawlie DeLesseps - powiedziała zatrwożona. Zastanowiła się, skąd Stark wie, że Rawlie jest dziś na uniwersytecie... i uznała, że woli nie wiedzieć.

- Może to ktoś inny?

Liza pomyślała szybko i potrząsnęła głową.

- To musi być Rawlie.

- Masz książkę telefoniczną wydziału?

- Jest w szufladzie stolika, na którym stoi aparat. W bawialni.

- Dobrze. - Minął Lizę, zanim nawet uświadomiła sobie, że się ruszył - na widok tej płynnej, kociej gracji gnijącego kawała miecha zrobiło się jej trochę niedobrze - i zdjął długi nóż z magnetyzowanych uchwytów. Liza zesztyniała. Stark spojrzął na nią i znów w gardle zachręścił mu żwir. - Nie przejmuj się, nie pochlastam cię. Jesteś moją małą pomocnicą, prawda? Chodź.

Silna, ale obrzydliwie gąbczasta ręka złapała przegub w cęgi. Spróbowała się wyszarpnąć. Cęgi zacisnęły się mocniej. Liza natychmiast ustąpiła i dała się poprowadzić.

- Dobrze - powiedział.

Zaprowadził ją do bawialni. Usiadła na kanapie, podciągnęła nogi, objęła je pod

kolanami. Stark spojrział na nią, kiwnął do siebie głową i skupił uwagę na telefonie. Kiedy uznał, że nie podłączono czujnika na wypadek awarii – fuszerka, czysta fuszerka – odciął przewody dodane przez policję stanową: jeden prowadzący do namiernika i drugi schodzący do piwnicy, podłączony do magnetofonu.

– Umiesz się zachować, to bardzo ważne – powiedział Stark do Lizy. Trzymała opuszczoną głowę. – Posłuchaj teraz. Zaraz znajdę numer tego Rawliego DeLessepsa i utnę sobie krótką pogawędkę z Thadem. A ty w międzyczasie pójdziesz na górę, spakujesz łachy i inne rzeczy potrzebne twoim małym na wyjazd do letniego domu. Kiedy skońzysz, obudź je i znieś na dół.

– Skąd wiesz, że one...?

Uśmiechnął się lekko wobec jej zaskoczenia.

– Och, znam twój rozkład dnia. Może nawet lepiej niż ty. Obudzisz je, Beth, przygotujesz i zniesiesz na dół. Rozkład domu znam równie dobrze jak twój rozkład dnia i jeśli spróbujesz nawiać przede mną, kochanie, zorientuję się. Nie musisz ich ubierać, spakuj tylko co potrzeba i znieś na dół w śpiochach. Ubierzesz je potem, kiedy już wyruszymy na naszą wesołą wyprawę.

– Do Castle Rock? Chcesz jechać do Castle Rock?

– Aha. Ale nie myśl o tym teraz. Teraz myśl tylko o tym, że jeśli na moim zegarku minie ponad dziesięć minut, a ciebie nie będzie, pójde na górę sprawdzić, co cię zatrzymało. Popatrzył jej prosto w oczy. Czarne szkła sprawiały, że spod łuszczących się, kapiących brwi patrzyły na nią trupie oczodoły. – A przybędę z palniczką. Zapalonym i gotowym do użytku. Czy rozumiesz?

– T... tak.

– Nade wszystko, Beth, zapamiętaj jedną rzecz. Jeśli będziesz ze mną współpracować, nic ci się nie stanie. I twoim dzieciom nic się nie stanie. – Znow się uśmiechnął. – Myślę, że dla tak dobrej matki to najważniejsze. Jesteś za mądra, żeby odgrywać spryculę. Ci dwaj gliniarze leżą teraz na tylnym siedzeniu bryki i karmią sobą muchy, bo na swoje nieszczęście wleźli właśnie na tory, kiedy zajeżdżał mój ekspres. W Nowym Jorku cała kupa gliniarzy też miała taki sam niefart... jak pewnie wiesz. Pomożesz sobie i swoim dzieciom – i Thadowi też, bo jeśli zrobi to, co chcę, nic mu nie będzie – jak będziesz durna i chętna do pomocy. Czy rozumiesz?

– Tak – wykrztusiła.

– Może ci coś wpaść do głowy. Wiem, co dzieje się w głowie człowieka dociśniętego do muru. Ale jak ci już coś wpadnie, przegoń to jak najszybciej. Zapamiętaj sobie, choć może

nie wyglądam gracko, słuch mam koncertowy. Jeśli spróbujesz otworzyć okno, usłyszę. Jeśli spróbujesz wyjąć siatkę z futryny, też usłyszę. Beth, jestem gościem, który słyszy tryle aniołków w niebie i wycia czartów w najdalszych zakątkach piekieł. Pytam cię, czy warto ryzykować? Sprytna z ciebie kobitka. Wydaje mi się, że podejmiesz właściwą decyzję. Bujaj się, dziewczyno. Żwawo.

Popatrzył na zegarek. Najwyraźniej zaczął liczyć jej czas. I Liza na zdrętwiałych nogach skierowała się ku schodom.

Słyszała, jak na dole Stark mówi coś krótko do telefonu. Długa pauza i znów się odezwał. Tym razem innym głosem. Nie wiedziała, do kogo mówił najpierw – może do Rawliego DeLessepsa – ale za drugim razem była niemal pewna, że po tamtej stronie linii jest Thad. Nie potrafiła rozróżnić słów i nie śmiała podnieść słuchawki gabinetowego aparatu, „ale była pewna, że to Thad. Zresztą nie miała czasu na podsłuchiwanie. Miała zapytać samą siebie, czy warto ryzykować sprzeciw. Odpowiedź brzmiała: „nie”.

Wrzuciła pieluchy do torby, ubrania do walizki. Kremy, pudry, chusteczki do wycierania rąk, agrałki do pieluch i inne różności cisnęła do torby na ramię.

Konwersacja na dole urwała się. Szła obudzić bliźnięta, gdy zawołał:

– Beth! Już czas!

– Idę! – Podniosła Wendy, która zaczęła popłakiwać sennie.

– Jesteś mi potrzebna na dole – czekam na telefon, a ty zapewnisz mi efekty dźwiękowe!

Ale ledwo usłyszała ostatnie zdanie. Oczy wlepiła w plastikową puszkę na agrałki do pieluch, leżącą na komodzie bliźniąt.

Obok puszek błyszczały nożyczki krawieckie.

Położyła Wendy z powrotem do łóżeczka, rzuciła spojrzenie na drzwi i szybko podeszła do komody. Wzięła nożyczki i dwie agrałki. Te ostatnie wsadziła w usta, jak krawcowa przy pracy, i rozsunęła zamek błyskawiczny spódniczki. Przypięła agrałkami nożyczki do majtek, zasunęła zamek. Tam gdzie były uszy nożyc, zrobiło się małe wybrzuszenie. Zwykły człowiek nie zwróciłby na nie uwagi, ale George Stark nie był zwykłym człowiekiem. Wypuściła bluzkę na spódniczkę. Lepiej.

– Beth! – Głos był bliski gniewu. Co gorsza, dochodził z półpiętra. Wcale nie słyszała kroków Starka, choć trudno było wejść głównymi schodami tego starego domu nie budząc

całej gamy trzasków i skrzypnięć.

Właśnie wtedy zadzwonił telefon.

- Znieś je natychmiast na dół! - wrzasnął. Szybko poszła budzić Williama.

Nie miała czasu na łagodne obchodzenie się z synkiem, w związku z czym schodząc na dół trzymała na każdej ręce wydzierające się pełnym głosem niemowlę. Stark stał przy telefonie. Spodziewała się, że hałas jeszcze bardziej go rozjuszy. Jednak przeciwnie - wyglądał na całkiem zadowolonego... ale uświadomiła sobie, że jeżeli rozmawia z Thadem, to zadowolenie jest oczywiste. Nawet gdyby przyniósł tu własną płytę z efektami dźwiękowymi, nie mógł liczyć na lepszy wynik.

„ Król perswazji ” - pomyślała i poczuła falę potężnej nienawiści do tej gnijącej kreatury, która nie miała żadnej racji bytu, ale która nie chciała zniknąć.

Stark trzymał w ręce ołówek, łagodnie postukiwał gumką w stolik. Z lekkim wstrząsem rozpoznała czarnego pięknisia Berola. „ Ołówek Thada - pomyślała. - Wzięty z gabinetu? ”

Nie... oczywiście, że nie był to ołówek wzięty z gabinetu. Nie należał do Thada. W istocie nigdy nie były to ołówki Thada - on je tylko czasami kupował. Czarne pięknie należały do Starka. Pisał coś drukowanymi literami na odwrocie książki telefonicznej wydziału. Podeszła i zdołała przeczytać dwa zdania: ZGADNIJ, SKĄD DZWONIŁEM, THAD? To pierwsze. Drugie było brutalnie proste: PUŚCISZ FARBĘ I ONI NIE ŻYJĄ.

Jakby na potwierdzenie tego Stark mówił:

- Nic a nic. Sam możesz posłuchać. Nie tknąłem włoska z ich małych, drogich łepków.

Odwrócił się do Lizy i mrugnął. To było tak obrzydliwe, że aż nie do zniesienia - zachował się, jakby tworzyli parę współników. Lewą ręką kręcił okularami jak wiatraczkiem. Oczy miał wysadzone, wyglądały jak szklane kulki w obliczu statui.

- Jeszcze nie - dodał.

Słuchał. Uśmiechnął się szeroko. Nawet gdyby jego twarz nie rozkładała się niemal na jej oczach, ten uśmiech zrobiłby na niej wrażenie złośliwego. Złowrogiego.

- A co ma z nią być? - zapytał prawie radośnie i właśnie wtedy wściekłość pokonała w niej strach; po raz pierwszy pomyślała o ciotce Marcie i szczurach. Jaka szkoda, że nie ma tu ciotki Marthy! Zajęłaby się tym szczególnym egzemplarzem szczurzej rasy! Liza miała nożyczki, ale to jeszcze nie znaczy, że Stark umożliwi jej skorzystanie z tego narzędzia. Ale Thad... Thad znał ciotkę Marthę. Pewna myśl zaświtała jej w głowie.

Po skończonej rozmowie, gdy Stark odłożył słuchawkę, zapytała, co zamierza dalej.

- Zwijać się. To moja specjalność. - Wyciągnął ręce. - Dawaj jedno dziecko. Byle które.

Odchyliła się, instynktownie tuląc oba do piersi. Niemowlęta uspokoiły się, ale ściśnięte konwulsyjnie, zaczęły popłakiwać i wiercić się.

Stark popatrzył na nią wyrozumiale.

- Nie mam czasu na przekonywanie cię, Beth. Nie każ mi używać tego argumentu. - Poklepał wybrzuszenie na myśliwskiej kamizelce. - Nie zamierzam skrzywdzić twoich dzieci. Wiesz, tak się śmiesznie składa, że ja też jestem ich tatuniem.

- Nie wolno ci tak mówić! - wrzasnęła, odchylając się jeszcze bardziej.

Dygotała, gotowa do ucieczki.

- Panuj nad sobą, kobieto.

Zabrzmiało to płasko, lodowato. Każde z tych słów trzasnęło ją w twarz jak uderzenie workiem zimnej wody.

- Wprowadzę cię w sprawę, kochana. Muszę wyjść na dwór i umieścić tę policyjną brykę w garażu. Nie mogę pozwolić, żebyś w tym czasie pognęła drogą w przeciwnym kierunku. Jeśli będę miał jednego z twoich dzieciaków - powiedzmy, jako zastaw - nie będę musiał sobie tym suszyć głowy. Szczerze mówię, że nie zamierzam skrzywdzić żadnego z nich ani ciebie... a nawet jak mówię nieszczerze, co by mi dało skrzywdzenie któregoś z dzieci? Potrzebuję twojej współpracy. W ten sposób sobie jej nie zapewnię. Teraz dawaj już któreś z nich albo skrzywdzę oba - nie zabiję, ale skrzywdzę, naprawdę skrzywdzę - i ty będziesz temu winna.

Wyciągnął ręce. Zniszczona twarz była zdecydowana, zacięta. Zrozumiała, że żaden argument nie zmieni jego zdania, żadna prośba go nie wzruszy. Nawet nie będzie słuchał. Spełni groźbę.

Podeszła do niego, a gdy sięgnął po Wendy, zacisnęła ramię opierając się przez moment. Wendy zaczęła głośniej szlochać. Liza rozluźniła uścisk i sama rozplęnęła się we łzach. Spojrzała mu głęboko w oczy.

- Jeśli zrobisz jej krzywdę, zabiję cię.

- Wiem, że jesteś do tego gotowa - odpowiedział z powagą. - Bardzo szanuję twoje macierzyńskie uczucia, Beth. Uważasz mnie za potwora i może nie bez powodu. Ale prawdziwe potwory nigdy nie są pozbawione uczuć. Myślę, że w tym tkwi sedno ich

potworności, nie w ich wyglądzie. Nie zamierzam skrzywdzić tej ptaszyny, Beth. Jest przy mnie bezpieczna... tak długo, jak ty będziesz ze mną współpracować.

Liza obejmowała teraz Williama dwoma rękami... i krąg jej ramion nigdy nie wydał się jej tak pusty. Nigdy w życiu nie była równie przekonana, że popełniła błąd. Ale co innego mogła zrobić?

- Poza tym... spójrz! - zawołał Stark i w jego głosie było coś, w co nie mogła uwierzyć. W co nigdy nie uwierzy. Czułość, którą usłyszała, musiała być oszukana, była tylko kolejną monstrualną drwiną. Ale on patrzył na Wendy z głębokim, niepokojącym skupieniem... a Wendy patrzyła na niego znieruchomiła, nie płacząc. - Ta ptaszyna nie wie, jak wyglądam. Beth, ona się mnie wcale nie boi! Ani, ani.

Znieruchomiła ze zgrozy Liza patrzyła na Starka. Podniósł prawą dłoń. Zdarł wcześniej rękawiczki i gruby bandaż przebiegał mu dokładnie przez to samo miejsce, w którym Thad nosił opatrunek na lewej dłoni. Stark otworzył dłoń, zamknął, znów otworzył. Skurcz zaciśniętej szczęki wyraźnie dowodził, że płaci bólem ze ten ruch, ale mimo to rozprostowywał dłoń.

„Thad robi tak samo, robi dokładnie tak samo, o mój Boże, DOKŁADNIE TAK SAMO...”

Wendy okazywała teraz zupełny spokój. Patrzyła w twarz Starkowi, obserwowała go z wielką uwagą, wlepiła szare oczka w mętnoniebieskie tęczówki. Teraz, kiedy spod oczu Starka odpadła skóra, wydawało się, że jeszcze chwila, a wypadną i zadyndają na nerwach optycznych, obijając się o policzki.

I Wendy pomachała mu w odpowiedzi.

Rączka otwarta, rączka zamknięta, rączka otwarta.

Znak Wendy.

Liza poczuła ruch. Spojrzała w dół i zobaczyła, że William patrzy na George'a Starka z tym samym skupieniem co siostrzyczka, tymi samymi szaroniebieskimi oczkami.

Uśmiechał się.

Rączka Williama otworzyła się, zamknęła, otworzyła.

Znak Williama.

- Nie - zajęczała tak cicho, że prawie niesłyszalnie. - O Boże, nie, proszę, spraw, się to ^{żeby} skończyło.

- Widzisz? - Stark popatrzył na nią. Szczrzył się swym zamartwym sardonicznym uśmiezkiem i najstraszniejsze było to, że zrozumiała, iż usiłuje być łagodny... i nie może. Widzisz? One mnie lubią, Beth. Lubią!

Stark włożył okulary i wyszedł na podjazd, niosąc ze sobą Wendy. Liza podbiegła do okna i patrzyła za nimi niespokojnie. Była częściowo przekonana, że Stark zaraz wskoczy do wozu policyjnego i odjedzie z jej dzieckiem na siedzeniu obok i trapami dwóch policjantów z tyłu.

Ale przez chwilę nie robił nic – stał tylko w palącym słońcu przy drzwiach kierowcy, pochylił głowę, dziecko trzymał na rękach. Przez jakiś czas trwał w tej nieruchomej pozycji, jakby rozmawiał poważnie z Wendy albo się modlił. Później, kiedy wiedziała więcej, uznała, że usiłował skontaktować się z Thadem; może czytał jego myśli i zgadywał, czy zrobi on to, co Stark mu każe, czy też ma własne plany.

Po jakichś trzydziestu sekundach Stark uniósł głowę, potrząsnął nią energicznie, jakby chciał wrócić do rzeczywistości, wsiadł do samochodu i włączył silnik. „Kluczyki były w stacyjce – pomyślała tępo. – Nawet nie musiał zapalać na krótko, czy jak się na to mówi. Ten człowiek ma diabelskie szczęście”.

Sprowadził samochód do garażu, zgasił silnik. Liza usłyszała trzaśnięcie drzwi. Stark wyszedł tyłem, zatrzymując się tylko po to, żeby nacisnąć guzik. Drzwi garażowe załomotały jadąc w dół.

Po kilku chwilach znalazł się w domu i oddał Lizie Wendy.

– No, widzisz? Ma się świetnie – powiedział. – Teraz opowiedz mi o sąsiadach. O Clarkach.

– Clarkach? – zapytała, czując się wyjątkowo idiotycznie. – Po co ci o nich wiedzieć? Tego lata wyjechali do Europy.

Uśmiechnął się. W pewnym sensie była to najokropniejsza rzecz do tej pory, ponieważ w normalnych okolicznościach byłby to uśmiech autentycznie przyjemny... i wielce pociągający. I czy nie poczuła w sobie zainteresowania? Idiotycznego napływu pożądania? To szaleństwo, oczywiście, ale czy dlatego miała się tego wyprzeć? Nie zamierzała się wypierać i nawet wiedziała, dlaczego poczuła coś podobnego. Przecież poślubiła najbliższego krewnego tego człowieka.

– Cudownie! – zawołał. – Lepiej być nie mogło! Czy oni mają samochód?

Wendy zaczęła płakać. Liza popatrzyła na nią. Córeczka wyciągała milutkie pulchne rączki do człowieka z gnijącą twarzą i wysadzonymi, martwymi jak szklane kulki oczyma. Nie płakała ze strachu przed nim, płakała, ponieważ chciała iść do niego z powrotem na ręce.

– Czy to nie słodkie! – powiedział Stark. – Ona chce wrócić do tatusia.

- Zamknij się, potworze! - syknęła Liza.

Szczwany George Stark odrzucił głowę i wybuchnął śmiechem.

Dał jej pięć minut na spakowanie kilku dodatkowych rzeczy osobistych i uzupełnienie bagażu bliźniąt. Powiedziała mu, że przez pięć minut nie zdąży zebrać połowy tego, co jest potrzebne, na co usłyszała, że ma się postarać najlepiej jak może.

- Biorąc pod uwagę okoliczności, masz w ogóle szczęście, że daję ci trochę czasu - dwaj nieżywi gliniarze leżą w garażu, a twój mąż wie, co jest grane. Jeśli chcesz poświęcić swoje pięć minut na kłótnie ze mną, twoja sprawa. Zostało ci tylko... - Spojrzał na zegarek. Uśmiechnął się. - Cztery i pół.

Więc starała się jak mogła. Przystanęła tylko raz. Przerwała wkładanie do reklamówki słoików z jedzeniem dla dzieci i popatrzyła na maluchy. Siedziały obok siebie na podłodze, bawiły się w jakieś dziwne koci - koci - łapci i obserwowały Starka. Ze zgrozą poczuła, że wie, o czym myślą.

„ Czy to nie słodkie!”

Nie. Nie będzie o tym myślała. Ale choć nie chciała, nie potrafiła myśleć o niczym innym, widziała Wendy płaczącą i wyciągającą pulchne rączki. Wyciągającą rączki do tego nieznajomego. Do mordercy.

„ One chcą wrócić do tatusia” .

Stał w kuchennych drzwiach, obserwował ją uśmiechnięty. Zapragnęła puścić w ruch nożyce. Nigdy w życiu nie pragnęła niczego tak bardzo.

- Nie możesz mi pomóc? - zawołała rozgniewana, wskazując na dwie reklamówki i turystyczną lodówkę pełną jedzenia.

- Oczywiście, Beth - powiedział. Wziął lodówkę. Drugą rękę, lewą, miał pustą.

Przeięli boczny trawnik, wąski pas drzew dzielący posesje i weszli na trawnik Clarków, kierując się do podjazdu. Stark popędzał Lizę i nim zatrzymali się przed zamkniętymi drzwiami garażu, zasapała się. zaproponował, że poniesie jedno z bliźniąt, ale odrzuciła ofertę.

Postawił lodówkę na ziemi, wyjął z tylnej kieszeni portfel, z niego cienki, ostro

zakoń czony sztyft i wsunął go w zamek drzwi garażowych. Przekręcił najpierw w prawo, potem w lewo. Nasłuchiwał z przekrzywioną głową. Trzasnęło. Stark uśmiechnął się.

- Dobrze. Nawet zwykłe klódy potrafią dać człowiekowi w dupę. Duże sprężyny. Ciężko je podważyć. Ten zamek jest wyrobiony jak kurwią pizda o świcie. Mamy szczęście.

Nacisnął rączkę i podniósł drzwi. Załomotały sunąc w górę.

Garaż był rozgrzany jak strych z sianem, a w volvo Clarków było jeszcze goręcej. Stark zajrzał pod deskę rozdzielczą. Wystawił przy tym kark. Liza, sadowiąc się na tylnym siedzeniu, miała go przed sobą. Palce ją zaświerbiły. Wyjęcie nożyc trwałoby sekundę, ale jeszcze za długo. Widziała, z jaką szybkością reagował na nagłe wypadki. Nie zaskoczyło jej, że miał refleks dzikiego zwierzęcia. Tym przecież był.

Wyrwał wiązkę przewodów. Z kieszonki na piersi wyjął zakrwawioną brzytwę. Liza zadygotała. Szybko przełknęła dwa razy ślinę, żeby stłumić odruch wymiotny. Rozłożył brzytwę, schylił się, zdarł izolację z dwóch przewodów i zetknął je ze sobą. Poszła niebieska iskra i silnik zaczął się obracać. Po chwili samochód był na chodzie.

- No i proszę! - zaskrzypiał George Strak. - Jedziemy, co nie?

Bliźnięta zachichotały i pomachały do niego. Rozbawiony Stark też pomachał im w odpowiedzi. Gdy wyprowadzał samochód z garażu, Liza ukradkiem sięgnęła za Wendy, która siedziała na jej kolanach, i dotknęła wypukłości, jakie tworzyły nożyczki. Nie teraz, ale niebawem. Nie będzie czekała na Thada. Za bardzo niepokoiła się tym, co ta mroczna kreatura mogła zrobić tymczasem bliźniętom.

Albo jej.

Kiedy tylko jego uwaga zostanie w wystarczający sposób odwrócona, Liza wyciągnie nożyce z ukrycia i wbije mu w gardło.

Przybycie psychopompów

- Poeci nawijają o miłości - rzekł Maszyna, miarowymi, hipnotyzującymi ruchami wecując na pasku brzytwę. - W porządku. Miłość rzecz ważna. Politycy nawijają o obowiązku względem ojczyzny. I w porządku. Obowiązek względem ojczyzny rzecz ważna. Erie Hoffer nawija o postmodernizmie. Hugh Hefner. nawija o seksie, „Łowca” Thompson nawija o narkotykach, a Jimmy Swaggart nawija o Bogu, Ojcu Wszehmogącym, stwórcy nieba i ziemi. Wszystko to ważne. W porządku. Ale ty, Jack, wiesz, co się naprawdę liczy?

- Taaa... chyba - odpowiedział Jack Rangely. Naprawdę to nie wiedział, ale kiedy Maszyna wpadał w podobny nastrój, tylko szaleniec mógłby z nim dyskutować.

Maszyna obrócił brzytwę ostrzem w dół. Rozplątał pas na dwoje. Długi kawał skóry legł na podłodze sali bilardowej jak okaleczony jęzor.

- Liczy, się Dzień Sądu - rzekł. - Naprawdę liczy się tylko to.

George Stark
Przejażdżka do Babilonu

Thad ucieka

„Wyobraź sobie, że piszesz książkę, – pomyślał skrecając w lewo w College Avenue i zostawiając za sobą kampus. – I wyobraź sobie, że jesteś postacią z tej książki”
Ta myśl posiadała magiczną moc. Do tej pory w jego głowie szalała panika; umysłowe tornado, w którym cząstki ewentualnego planu wirowały jak kawałki poszatkowanego pejzażu. Ale gdy przyjął, że to wszystko jest nieszkodliwym wymysłem, że może żonglować nie tylko sobą, ale innymi postaciami z opowiadki (na przykład Harrisonem i Manchesterem), tak jak żonglował bohaterami istniejącymi tylko na papierze, kiedy siedział bezpieczny w gabinecie, mając nad głową jasne światło, a obok zimną puszkę pepsi albo parującą filiżankę herbaty... na tę myśl wichur wyjący między jego uszami odleciał. Niepotrzebne na nic pierdoły też odleciały i zostały tylko rozrzucone fragmenty planu... planu, który łatwo da się złożyć i który może nawet zadziała.

„I lepiej, żeby zadziałał – pomyślał Thad. – Jeśli nie, lądujesz w zakładzie opiekuń czym, a Liza i dzieciaki na cmentarzu”.

Ale co z wróblami? Gdzie je dopasować?

Nie wiedział. Rawlie pouczył go, że są psychopompami, heroldami żywych trupów, i to się zgadza, co nie? Tak. W każdym razie do pewnego momentu. Bo szczywany drogi George ożył, ale szczywany drogi George równocześnie nie żył... nie żył i gnił. Więc wróble tu pasowały... ale nie dokładnie. Jeśli to wróble wskazały z powrotem drogę George'owi

(z krainy umarłych)

stamtąd, skąd przybył, jakim cudem on nic o nich nie wiedział? Jakim cudem nie pamiętał, że napisał WRÓBLE ZNÓW FRUWAJĄ na ścianach dwóch mieszkań?

– Bo to ja pisałem – wymruczał Thad i wrócił myślami do czynionych w transie zapisków.

Pytanie: Czy ptaszki są moje?

Odpowiedź: Tak.

Pytanie: Kto pisał o wróblach?

Odpowiedź: Ten, kto wie... Ja wiem. Ja nimi rządę.

Nagle blisko zamajaczyły wszystkie odpowiedzi – straszliwe, niewiarygodne odpowiedzi. Thad wydał długie, urywane westchnienie. Jęk.

Pytanie: Kto przywrócił George’a Starka do życia?

Odpowiedź: Ten, kto wie. Ten, do kogo należą wróble.

– Ja naprawdę nie chciałem! – krzyknął.

Ale czy ten krzyk był szczery? Absolutnie szczery? Czyż zawsze w jakimś stopniu nie uwielbiał nieskomplikowanego, gwałtownego charakteru Starka? Czyż zawsze w jakimś stopniu nie podziwiał George’a, mężczyzny, który o nic się nie potykał, na nic nie wpadał, mężczyzny, który nigdy nie wyglądał na słabeusza ani głupka, mężczyzny, który nigdy nie lękał się demonów zamkniętych w barku z alkoholami? Mężczyzny, który nie musiał liczyć się z żoną, myśleć o dzieciach, którego żadna miłość nie wiązała, nie przyduszała do ziemi? Mężczyzny, który nigdy nie pocił się nad gównianą studencką pracą arii nie przeżywał katuszy podczas zebrania komitetu finansowego wydziału? Mężczyzny, który miał ostrą, wyraźną odpowiedź na wszystkie trudne pytania, jakie stawia życie?

Mężczyzny, który nie lękał się mroku, ponieważ rządził mrokiem?!

– Tak, ale to DRĄŻ! – zawył Thad w gorącym wnętrzu funkcjonalnego amerykańskiego samochodu napędzanego na obie osie.

„Zgadza się – i dlatego aż tak cię pociąga, nieprawdaż?”

Być może naprawdę nie on, Thad Beaumont, stworzył George’a... ale czyż nie pod wpływem jego tęsknoty Stark się odtworzył?

Pytanie: Jeśli ja rządę wróblami, czy mogę je wykorzystać?

Nie pojawiła się żadna odpowiedź. Chciała się pojawić; czuł jej napór. Ale tań czyła poza zasięgiem świadomości i nagle wezbrała w nim obawa, że to on – osobnik, który w jakimś stopniu uwielbia Starka – nie dopuszcza jej do siebie. Po części nie chciał, żeby George umarł.

„Ja wiem. Ja nimi rządę. Ja je sprowadzam”.

Zatrzymał samochód na światłach w Orono i ruszył dalej drogą nr 2 w kierunku Bangor i Ludlow.

Rawlie był częścią jego planu – tą częścią, którą Thad przynajmniej jako tako rozumiał. Co zrobi, jeśli uda mu się pozbyć gliniarzy i okaże się, że Rawlie opuścił już uniwersytet?

Nie miał pojęcia.

Co zrobi, jeśli złapie Rawliego, ale ten odmówi pomocy?

Też nie miał pojęcia.

„ Spalę mosty, kiedy do nich dotrę i jeśli do nich dotrę

”
A dotrze do nich niebawem.

Mijał teraz z prawej złomowisko Golda. Stał tam długi, zaokrąglony barak z aluminiowych prefabrykatów, pomalowany wyjątkowo jadowitą odmianą akwamaryny. Otaczało go kilkanaście akrów złomowanych samochodów. W ostrym słońcu potłuczone szyby błyszczały galaktyką białych gwiazd. Było sobotnie popołudnie – prawie od dwudziestu minut. Liza i jej mroczny porywacz są już w drodze do The Rock. I choć w baraku, w którym Gold prowadził sprzedaż detaliczną, jeden albo dwóch ekspedientów obsługuje majster – klepków, to Thad mógł żywić uzasadnioną nadzieję, że samo złomowisko będzie nie strzeżone. Wśród blisko dwudziestu tysięcy samochodów w różnych stadiach rozkładu, niedbale ustawionych w nierówne rzędy, powinien ukryć suburbana... musiał go ukryć. Wóz miał wysokie zawieszenie, sporą szerokość, był pomalowany na szaro z dodatkiem przeraźliwie czerwonych pasów po bokach. Rzucił się w oczy jak wyłamany kciuk.

UWAGA, SZKOŁA – informował napis pod znakiem ograniczenia szybkości. Gorący drut przeszył Thadowi wnętrzości. Teraz albo nigdy.

Sprawdził w lusterku, jak wygląda sytuacja z tyłu. Plymoutha nadal dzieliły od suburbana dwa wozy. Nie było to tak dobrze, jakby sobie Thad życzył, ale zapewne musi wystarczyć. Reszta będzie zależeć od szczęścia i zaskoczenia. Nie spodziewają się, że zwieje. Po co miałyby to robić? Na chwilę odechciało mu się. Przypuśćmy, że zamiast uciekać, zjedzie na pobocze. A gdy oni zatrzymają się za nim i Harrison wyjdzie, by zapytać, czy stało się coś złego, odpowie: „ Bardzo złego. Stark dopadł moją rodzinę. Rozumie pan, wróble wciąż fruują” .

„ Thad, on mówi, że zabił tych dwóch, którzy pilnowali domu. Nie wiem, jak to zrobił, ale mówi, że to zrobił... i ja... mu wierzę

”
Thad też mu wierzył. Na tym polegało całe okropieństwo. I dlatego nie mógł po prostu zatrzymać się i poprosić o pomoc. Jeśli spróbuje czegoś głupiego, Stark się dowie. George chyba nie potrafił czytać jego myśli, przynajmniej nie tak, jak robią to kosmici w komiksach i filmach fantastycznonaukowych, ale potrafił „ dostroić się” do myślenia Thada... potrafił znakomicie wyczuć jego zamiary. Może Thadowi uda się przygotować małą niespodziankę dla George’a, zakładając, że rozwikła sprawę z tymi cholernymi wróblami – ale na razie będzie tań czył tak, jak mu George zagra.

Zakładając, że potrafi tań czyć.

Dojechał do skrzyżowania obok szkoły i stanął przy znaku stopu, obowiązującym obie

przecinające się jezdnie. Jak zawsze ruch samochodowy był tu gęsty. Od lat miejsce obfitowało w stłuczki, przeważnie z winy ludzi, którzy nie mogli strawić myśli, że tu wszystkich obowiązuje zasada przepuszczania jadących z przeciwka. Ci niecierpliwi pchali się więc na oślep. Po każdym wypadku sypała się lawina listów, przeważnie od zaniepokojonych rodziców domagających się od władz miejskich postawienia sygnalizacji świetlnej. Po każdej lawinie listów urzędnik magistracki z Veazie odpowiadał, że sprawa sygnalizacji świetlnej „ jest dyskutowana” ... i problem był odkładany aż do następnej stłuczki. Thad stanął w rzędzie samochodów szykujących się skręcić na południe, sprawdził, czy plymouth nadal jest dwa wozy z tyłu, i skupił na ty – teraz – dygasz – ja – teraz – się kłaniam akcji na skrzyżowaniu. Zobaczył, że samochód pełen błękitnowłosych dam o mało nie zgniótł pary nastolatków w datsunie, zobaczył, że dziewczyna z datsuna palcem zademonstrowała błękitnowłosym damom ptaka, i zobaczył, że sam skręci na południe, zanim długa cysterna Produktów Mlecznych Granta skieruje się na wschód. To był nieoczekiwany uśmiech losu.

Samochód przed suburbanem skręcił i Thad zajął stanowisko startowe. Znów w brzuchu poczuł gorący drut. Po raz ostatni popatrzył w lusterko. Harrison i Manchester nadal byli w odległości dwóch wozów.

Para samochodów mijają krzyżówkę. Po lewej cysterna z mlekiem czekała gotowa do startu. Thad wziął głęboki oddech i statecznie przejechał skrzyżowanie. Furgonetka kierująca się na północ do Orono minęła go jadąc drugim pasem.

Za skrzyżowaniem poczuł niemal nieprzewyciężone pragnienie – przymus – wciśnięcia pedału i pognania na złamanie karku. Ale grzecznie toczył się z prędkością piętnastu mil na godzinę. Wzrok przykleił do lusterka. Plymouth wciąż czekał na skrzyżowaniu. Przed sobą miał dwa samochody.

„ Cysterno z mlekiem! – pomyślał, skoncentrował się, skupił, jakby potrafił wprowadzić pojazd w ruch samą siłą woli... tak jak poruszała siłą woli ludzi i przedmioty w swych powieściach. – Cysterno z mlekiem, rusz się!”

I ruszyła się, przetoczyła przez skrzyżowanie, powoli, godnie, jak mechaniczna lalka matrona, jak królowa wdowa.

Kiedy ciemnobrązowy plymouth znikł w lusterku wstecznym suburbana, Thad wcisnął pedał gazu do oporu.

Znalazł się między dwiema przecznicami. Następna skręcała w prawo. Wjechał w nią i pognął krótki odcinek z prędkością czterdziestu mil na godzinę, modląc się, żeby żaden dzieciak goniący za gumową piłeczką nie wskoczył mu pod koła.

Przeżył nieprzyjemną chwilę, kiedy wydało mu się, że uliczka kończy się ślepo, ale dojrzał następny skręt w prawo – wysokie ogrodzenie narożnego domu zasłaniało skrzyżowanie.

Zatrzymał się w stylu kalifornijskim, ryjąc maską w asfalcie. Skręcił w prawo. Opony zapiszczały. Sto osiemdziesiąt jardów dalej znów skręcił w prawo i poprowadził suburbana do krzyżówki z drogą nr 2. Wrócił na główną szosę ćwierć mili na północ od skrzyżowania ze znakiem stopu. Jeżeli zgodnie z jego nadziejami cysterna z mlekiem zasłoniła plymouthowi widoczność, policjanci nadal powinni jechać na południe dwójką. Mogli się nawet nie spodziewać, że coś się stało... choć Thad szczerze wątpił, żeby Harrison był tak tępy. Manchester może tak. Ale nie Harrison.

Skręcił w lewo, wśliznął się w przerwę w sznurze samochodów tak krótką, że kierowca forda musiał ostro depnąć hamulce. Pogroził Thadowi pięścią, kiedy suburban przeleciał przed przednim zderzakiem. Thad znów wcisnął pedał w podłogę i skierował się do złomowiska Golda. Ryzykował, że jakiś przejeżdżający gliniarz zwróci uwagę na suburbana, który nie tylko łamie ograniczenie prędkości, wręcz ma je gdzieś. Ale nie stać go było na zwłokę. Należało jak najszybciej ukryć zbyt wielki, zbyt błyszczący pojazd.

Do złomowiska było pół mili. Thad przez większość tego dystansu wypatrywał w lusterku plymoutha. Skręcał do Golda, a po policji ani śladu.

Powoli minął bramę w drucianej siatce. Spłowiata czerwone litery na białym tle głosiły: DALEJ WJAZD TYLKO DLA PRACOWNIKÓW! W tygodniu natychmiast zauważono by suburbana i zawrócono. Ale była sobota i sam środek pory lunchu.

Thad jechał alejką między wrakami, składowanymi po dwa, a czasem po trzy, jeden na drugim. Te na spodzie utraciły wszelkie podobieństwo do samochodów i z wolna wtapiały się w ziemię, tak szerniały od oleju, że nie uwierzyłybyś, iż cokolwiek może na niej urosnąć, ale wybujałe zielone chwasty i wielkie, bezgłośnie chwiejące się słoneczniki przebijały na powierzchnię rzadkimi kępami. Wyglądały jak jedyne pozostałości po nuklearnej zagładzie. Wielki żółty kwiat wychynał przez stłuczoną przednią szybę furgonetki piekarza, leżącej na boku jak zdechły pies. Wąsata łodyga zacisnęła się jak pięść wokół kalekiej osi, druga pięść przyłgnęła do ozdoby maski starego cadillaca spoczywającego na furgonetce. Słonecznik

gapił się na Thada czarno – żółtym okiem zdechłego potwora.

Z tej rozległej, milczącej nekropolii dzieci Detroit wiało grozą.

Thad skręcił w prawo, potem w lewo. Nagle zauważył, że wszędzie siedzą wróble. Na dachach, maskach i okaleczonych, wysmarowanych silnikach. Trio ptaszków kąpało się w zakrętce wlewu paliwa, która była pełna wody. Nie odfrunęły, gdy się zbliżył. Zamarły, obserwowały go czarnymi perełkami oczu. Wróble siadły rzędem na krawędzi szyby opartej o starego plymoutha. Minął je w odległości trzech stóp. Zatrzepotały nerwowo skrzydełkami, ale pozostały na miejscu.

„Heroldowie żywych trupów” – pomyślał Thad. Jego ręka przemknęła do małej białej blizny na czole i zaczęła ją nerwowo trzeć.

Przednia szyba mijanego datsuna miała dziurę jak po meteorycie. Przez nią Thad ujrzał na desce rozdzielczej plamy zaschłej krwi.

„To nie meteoryt zrobił tę dziurę” – pomyślał. Żołądek powoli wywrócił mu się na drugą stronę. Thadowi zrobiło się niedobrze.

Zastęp wróbli siedział na przednim siedzeniu datsuna.

– Czego wy ode mnie chcecie? – spytał ochryplym głosem. – Czego wy, na Boga, ode mnie chcecie?!

I dostał odpowiedź. Wydało mu się, że słyszy piskliwy zbiorowy głos podniebnej inteligencji: „O nie, Thad – czego ty od nas chcesz? Ty nami rządysz. Ty nas sprowadzasz. Ty o nas wiesz” .

– Gówno o was wiem – zamruczał.

Przy końcu rzędu, przed najnowszym modelem cutlassa supreme’a, któremu amputowano cały front, znalazł wolne miejsce. Wjechał tyłem, wysiadł. Rozglądając się po wąskiej alejce, poczuł się trochę jak szczur w laboratoryjnym labiryncie. Śmierdziało tu olejem silnikowym i ostrzejszą, bardziej gorzką wonią oleju ze skrzyni biegów. Panowała cisza, jedynie z drogi nr 2 dobiegało dalekie buczenie pojazdów.

Wróble siedziały dokoła – jak brązowoszary sejmik.

Wtem wszystkie zerwały się do lotu – były ich setki, może tysiące. Przez moment niebo zaćmiły ostre skrzydełka. Skierowały się na zachód ku Castle Rock. I Thad nagle znów poczuł w sobie mrowienie... swędzenie nie tyle skóry, co pod skórą.

„Czyżbyśmy nabrali ochoty na małe zaglądarko, George?”

Zaczął nucić pod nosem piosenkę Boba Dylana:

– John Wesley Harding... był ubogich bratem... z olstrów, gdy jechał, dwa gnaty mu sterczały...

Ta mrowienie, swędzenie rosło. Skoncentrowało się na ranie dłoni. Może Thad mylił się kompletnie, żywił tylko pobożne życzenia, ale zdawało mu się, że czuje w tym swędzeniu gniew i... bezradność.

- A druty telegrafu... jego imieniem dźwięczały... - nucił cicho.

Na zlanej oliwą ziemi leżała stalowa korba. Przypominała część metalowej rzeźby, której nikt nie zaszczyca już spojrzeniem. Thad poniósł korbę i wrócił do suburbana. Nie przestawał nucić pod nosem urywków Johna Wesleya Hardinga, wspominając swego kochanego kumpla - szopa JWS. Jeśli obtłucze trochę, przykamufluje suburbana, zdobędzie dodatkowe dwie godziny, które mogą zadecydować o życiu lub śmierci Lizy i bliźniąt.

- Po wszystkich wsiach... wybacz, brachu, mnie tak samo to boli... wiele bram wyważył...

Cisnął korbą w drzwi kierowcy, wybijając dziurę wielkości odpływu umywalki. Podniósł ciężki przedmiot, stanął przed maską i z taką siłą grzmotnął w kratkę chłodnicy, że mało nie nadwerczył sobie barku. Plastik pękł i frunął na wszystkie strony. Thad podniósł maskę. Suburban uśmiechał się teraz jak zdechły aligator, co zapewne było u Golda dowodem automobilowej haute couture.

- ... ale nikt nie słyszał, by skrzywdził uczciwego...

Schylił się po korbę. Zauważył, że świeża krew plami bandaż. Nic teraz nie mógł na to poradzić.

- ... ze swą żoną u boku stanął z wrogiem twarz w twarz...

Po raz ostatni cisnął korbą. Z gęstym chrzęstem rozbiła przednią szybę i - choć to absurdalne - poczuł ukłucie w sercu.

Teraz suburban zadowolająco przypominał wrak samochodu.

Thad wrócił alejką. Skręcił na pierwszym skrzyżowaniu, kierując się do bramy i sklepu z częściami. Wjeżdżając zauważył wiszący przy drzwiach automat telefoniczny. W połowie drogi przystanął i przestał nucić. Przekrzywił głowę. Wyglądał jak człowiek, który usiłuje usłyszeć jakiś nikły dźwięk. A naprawdę wsłuchiwał się w swoje ciało, badał je.

Mrowienie rozpląnęło się, podskórne swędzenie ustało.

Wróble znikły. Podobnie George Stark, przynajmniej na jakiś czas.

Lekko się uśmiechając, Thad ruszył zwawiej przed siebie.

Po dwóch dzwonek Thad się spocił. Jeśli Rawlie nadal jest w gabinecie, już

powinien odebrać. Pokoje w budynku ANGIELSKI – MATEMATYKA nie były za przestronne. Do kogo innego zadzwonić? Kto, do diabła, może jeszcze tam być? .

W połowie trzeciego dzwonka Rawlie podniósł słuchawkę.

– Halo, tu DeLesseps.

Na dźwięk zachrypłego od tytoniu głosu Thad przymknął oczy i oparł się o chłodną metalową ścianę sklepu.

– Halo?

– Cześć, Rawlie. Tu Thad.

– Cześć, Thad. – Rawlie nie wydawał się strasznie zaskoczony telefonem. –

Zapomniałeś czegoś?

– Nie. Rawlie, jestem w kropce.

– Tak. – Nic więcej. Żadnych pytań. Rawlie wypowiedział jedno słowo i czekał.

– Wiesz, kim byli ci dwaj... faceci, który ze mną przyjechali?

– Tak – odparł spokojnie Rawlie. – To eskorta policyjna.

– Zgubiłem ich – powiedział Thad i szybko obejrzał się przez ramię, słysząc warkot samochodu wjeżdżającego na ubity skrawek ziemi, służący Goldowi za parking dla klientów. Przez chwilę był tak pewny, że to brązowy plymouth, że zobaczył brązowego plymoutha... ale to była jakaś zagraniczna marka, a to, co początkowo wziął za brąz, było purpurą, przygaszoną drogowym kurzem. Zresztą kierowca tylko zawracał. – Przynajmniej mam nadzieję, że ich zgubiłem. – Zrobił pauzę. Doszedł do miejsca, w którym wybór sprowadzał się do decyzji: skoczyć czy nie skoczyć, i nie miał czasu na zwłokę. Jak się temu dobrze przyjrzeć, to zresztą nie było nic do decydowania. Nie miał żadnego wyboru. – Potrzebuję pomocy, Rawlie. Muszę mieć samochód, w którym mnie nie rozpoznają.

DeLesseps zachowywał milczenie.

– Mówiłeś, że jeśli jest coś, co mógłbyś dla mnie zrobić, mam ci powiedzieć.

– Pamiętam, co mówiłem – rzekł łagodnie Rawlie. – Przypominam sobie również, że poradziłem ci, iż mądrze uczynisz udzielając maksymalnej pomocy tym dwóm mężczyznom, którzy prawdopodobnie mają ci zapewnić bezpieczeństwo. – Zrobił pauzę. – Śmiem wnioskować, że zdecydowałeś się nie skorzystać z mej rady.

Thad o mało nie powiedział: „Nie mogłem, Rawlie. Człowiek, który ma moją żonę i dzieci, zabiłby ich wtedy”. Nie obawiał się, że Rawlie uzna go za szaleńca; wykładowcy z college’ów i uniwersytetów mają o wiele bardziej elastyczne poglądy na temat szaleństwa niż większość populacji, a czasem nie mają na ten temat żadnych poglądów, woląc myśleć, iż ludzie są nudni (lecz zdrowi psychicznie), nieco ekscentryczni (lecz zdrowi psychicznie) lub

bardzo ekscentryczni (niemniej całkiem zdrowi psychicznie, mój stary). Jednak milczał, bo Rawlie DeLesseps był osobnikiem niewrażliwym na naciski i Thad w niczym nie mógł zmienić jego zdania... a cokolwiek by powiedział, mogło tylko popsuć sprawę. Ale choć niewrażliwy na naciski, gramatyk miał dobre serce... był na swój sposób odważny... i zdaniem pisarza niezmiernie ciekaw, co dzieje się z Thadem, policyjną eskortą i co znaczy dziwne zainteresowanie wróblami. Poza wszystkim Beaumont po prostu wierzył, że milcząc najlepiej przysłuży się swym interesom.

Mimo to czekanie wiele go kosztowało.

- Dobra - wreszcie przemówił Rawlie. - Wypożyczę ci swój samochód.

Thad przymknął oczy i musiał napiąć mięśnie nóg, żeby nie ugięły się w kolanach.

Otarł szyję. Ręka zrobiła się mokra od potu.

- Ale żywię nadzieję, że w razie jakichś... uszkodzeń zachowasz się przyzwoicie i pokryjesz koszty naprawy. Jeśli ukrywasz się przed wymiarem sprawiedliwości, bardzo wątpię, żeby moje przedsiębiorstwo ubezpieczeniowe wyrównało straty.

Ukrywał się przed wymiarem sprawiedliwości? Dlatego że znikł z pola widzenia dwóch gliniarzy, którzy nie mieli szans zapewnić mu ochrony? Nie wiedział, czy to oznaczało ucieczkę przed sprawiedliwością czy też nie. To interesujące pytanie będzie musiał rozważyć w późniejszym terminie. Kiedy przestanie wariować z niepokoju i strachu.

- Wiesz, że to zrobię.

- Mam jeszcze jeden warunek.

Thad znów przymknął oczy. Tym razem z frustracji.

- O co chodzi?

- Kiedy się to skoń czy, chcę wiedzieć wszystko - powiedział Rawlie. - Chcę wiedzieć, dlaczego naprawdę interesują cię wierzenia ludowe na temat wróbli i dlaczego zbladłeś, kiedy powiedziałem ci, kim są psychopomowie i co czynią.

- Czy zbladłem?

- Jak ściana.

- Opowiem ci całą historię - obiecał Thad. Uśmiechnął się nieznacznie. - Może nawet w część uwierzysz.

- Gdzie jesteś? - zapytał Rawlie.

Thad powiedział mu. I poprosił, żeby przyjechał tak szybko, jak tylko potrafi.

Odwiesił słuchawkę, zawrócił przez bramę i siadł na szerokim błotniku szkolnego autobusu. Pojazd z niewiadomych powodów został przecięty na pół. Oto miejsce jakby stworzone do czekania – osłonięte od strony drogi, ale wychyliwszy się Thad widział parking przed sklepem. Poszukał wzrokiem wróbli, lecz żadnego nie dostrzegł – jedynie duża, tłusta wrona nieustannie dziobała błyszczące chromem detale, leżące w alejce między samochodami. Myśl, że niewiele ponad pół godziny temu skoń czył rozmowę z George’em Starkiem, wydawała się częściowo nierealna. Można by sądzić, że minęły całe godziny. Mimo ciągłego niepokoju Thad poczuł się śpiący, jakby był wieczór.

Po jakimś kwadransie od rozmowy z Rawliem poczuł znane swędzenie. Zaśpiewał pamiętane urywki z Johna Wesleya Hardinga i po kilku minutach swędzenie ustało.

„Może to coś psychosomatycznego” – pomyślał, ale wiedział, że wmawia sobie pierdoły. Swędzenie znaczyło, że George usiłuje wdrzeć mu się do głowy. W miarę jak Thad coraz lepiej uświadamiał sobie tę prawdę, coraz mocniej wyczuwał swędzenie. Prawdopodobnie działało to i w drugą stronę. Prawdopodobnie Thad mógłby oddziaływać na George’a. I prawdopodobnie – wcześniej czy później – spróbuje to wykorzystać... ale wtedy równocześnie wezwałby wróble, a wcale się do tego nie palił. No i jeszcze jedno – kiedy ostatnim razem udało mu się dostać do głowy George’a Starka, skoń czył się na ołówku wbitym w dłoń .

Minuty wlokły się z wyjątkową powolnością. Gdy upłynęła dwudziesta piąta, Thad zaczął się obawiać, że Rawlie zmienił zdanie i nie przyjedzie. Opuścił zderzak okaleczonego autobusu i stanął na przejeździe między samochodowym cmentarzem a parkingiem, nie bacząc na to, że ktoś może zobaczyć go z drogi. Zaczął rozważać, czy nie zaryzykować autostopu.

Zdecydował się jeszcze raz połączyć z gabinetem Rawliego i był w połowie drogi do baraku, kiedy zakurzony volkswagen garbus wjechał na parking. Thad poznał go od razu i pobiegł, z rozbawieniem wspominając niepokoje Rawliego związane z ubezpieczeniem samochodu. Wyglądało, że wartość volkswagena plus wyrównanie szkód odpowiadały cenie kilku butelek po pepsi. Pustych butelek.

DeLesseps podjechał do koń ca baraku. Wsiadł. Thad z niejakim zaskoczeniem ujrzał zapaloną fajkę, dymiącą wielkimi kłębami, które w zamkniętym pomieszczeniu byłyby wyjątkowo nieznośnie.

– Nie powinienes palić, Rawlie. – Oto, co pierwsze wpadło mu do głowy.

- Nie powinienesz uciekać, Thad - odrzekł z powagą DeLesseps.

Popatrzyli na siebie i wybuchnęli śmiechem.

- Jak dostaniesz się do domu? - spytał Thad. Teraz gdy wszystko sprowadzało się do tego, by wskoczyć do samochodziku Rawliego i pojechać długą i krętą drogą do Castle Rock, zasób wypowiedzi Thada zredukował się do zdań non sequitur.

- Chyba wezwę taksówkę - odpowiedział Rawlie. Przyglądał się połyskującym wzgórzom i dolinom zniszczonych pojazdów. - Sądzę, że zajeżdżają tu dość często po facetów, którzy z wymuskanej kawalerii przeszli do marnej piechoty.

- Pozwól, że dam ci pięć dolarów...

Thad wyjął portfel, ale Rawlie powstrzymał go ruchem ręki.

- Jak na nauczyciela angielskiego w lecie jestem dość dziany. Wyobraź sobie, że dysponuję gotówką w wysokości czterdziestu dolarów. To cud, że Billie pozwala mi wychylić nos z domu, nie przydzieliwszy osobistej ochrony w postaci swej osoby. - Z wielką rozkoszą pyknął z fajki, wyjął ją z ust i rzekł: - Ale we właściwym momencie przedstawię ci rachunek za taksówkę, nie obawiaj się.

- Zacząłem myśleć, że już nie przyjedziesz.

- Zatrzymałem się przy sklepie z taniochą - powiedział Rawlie. - Kupiłem kilka rzeczy, które moim zdaniem mogą ci się przydać, Thaddeusu.

Siadł do garbusa (który opadł wyraźnie na lewa stronę; resor był złamany albo bliski złamania) i po chwili grzebania, mruczenia i wydmuchiwania kolejnych kłębow smogu wygramolił się z papierową torbą. Wręczył ją Thadowi. Ten zajrzał do środka i zobaczył okulary przeciwsłoneczne i baseballową czapkę Boston Red Sox, która całkiem nieźle przykryje mu włosy. Zaskoczony i wzruszony, spojrzął na DeLessepsa.

- Dziękuję ci, Rawlie.

Ten pomachał ręką i posłał Thadowi zawstydzony i chytry uśmiezek.

- Może to ja powinienem ci dziękować - powiedział. - Przez ostatnie dziesięć miesięcy szukałem usprawiedliwienia, żeby znów rozpalić tę kochaną śmierdzielnicę. Od czasu do czasu coś się trafiało: rozwód najmłodszego syna, przegrane w jedną noc u Toma Carrolla pięćdziesiąt dolarów - ale nic z tego nie sięgało stosownych... apokaliptycznych wymiarów.

- To jest wystarczająco apokaliptyczne - powiedział Thad i zadrżał. Popatrzył na zegarek. Dochodziła pierwsza. Stark miał nad nim przewagę godziny, może więcej. - Muszę ruszać, Rawlie.

- Tak... to pilne, prawda?

- Niestety, tak.

- Mam jeszcze coś, wsadziłem do kieszeni kurtki, żeby nie zgubić. To nie ze sklepu z tanioczą. Znalazłem w biurku.

Rawlie przystąpił do metodycznego przeszukiwania swojej starej wiatrówki w kratę, noszonej przez okrągły rok.

- Gdyby olej się skoń czył, zjedź na stację i kup butelkę sapphire'a - powiedział nie przerywając poszukiwań. - Ten olej nadaje się do recyklingu. Aha! A już myślałem, że zostawiłem to w gabinecie.

Z kieszeni wyjął okrągły kawałek odartego z kory drewnianka. Było długości wskazującego palca i wydrążone. Na końcu miało nacięcie. Wyglądało na stare.

- Co to jest? - zapytał Thad, biorąc drewnianko od Rawliego. Ale nie potrzebował odpowiedzi. Wiedział, co to jest. Poczł, jak kolejny element tej nie dającej się nazwać układanki trafia na swoje miejsce.

- To świstawka na ptaki. - Rawlie bacznie mu się przyglądał znad dymiącego cybucha. - Jeśli twoim zdaniem może ci się przydać, chciałbym, żebyś ją wziął.

- Dziękuję ci - powiedział Thad i niezbyt spokojną ręką wsadził świstawkę do kieszeni na piersi. - A nuż się przyda.

Oczy pod krzaczastymi brwiami rozszerzyły się. Rawlie wyjął fajkę z ust.

- Nie jestem pewien, czy będzie ci potrzebna - rzekł cichym, drżącym głosem.

- Co?

- Popatrz za siebie.

Thad odwrócił się. Nim popatrzył, wiedział już, co Rawlie zobaczył.

Teraz pojawiły się nie setki, ale parę tysięcy wróbli; trupy samochodów osobowych i ciężarówek złożonych na dziesięciu akrach złomowiska Golda i przy sklepie z częściami samochodowymi pokrywał dywan wróbli. Siedziały wszędzie... i przybyły bez jednego szmeru.

Dwaj mężczyźni patrzyli na ptaki czterema oczyma. Ptaki patrzyły na nich dwudziestoma tysiącami oczu... może czterdziestoma tysiącami. Nie odzywały się. Siedziały na maskach, szybach, dachach, rurach wydechowych, kratkach chłodnic, blokach silników, przegubach Cardana i podwoziach.

- Jezu Chryste - zachrypiał Rawlie. - Psychopompowie... co to ma znaczyć, Thad? Co to ma znaczyć?

- Chyba zaczynam się domyślać - powiedział Thad.

- Mój Boże. - Rawlie uniósł ręce nad głowę i głośno zaklaskał. Wróble ani drgnęły. Rawlie ich nie obchodził, wpatrywały się w Beaumonta.

- Znajdźcie George'a Starka - cicho szepnął Thad. - George'a Starka. Znajdźcie go. Lećcie!!

Wróble uniosły się czarną chmurą w rozprężony lazur nieba, trzepot skrzydełek zahuczał jak daleki grom. Zaćwierkały. Dwaj mężczyźni stojący w drzwiach sklepu wybiegli na dwór. Czarna masa na niebie skręciła, jak poprzednio mniejsze stado, i poleciała na zachód.

Thad patrzył za nią i na moment rzeczywistość zlała się z obrazem, który zapowiadał początek transów; na moment przeszłość i terażniejszość splotły się w jeden dziwny, cudowny warkocz.

Wróble odleciały.

- Boże wszechmogący! - wrzasnął facet w szarym dresie mechanika. - Widzieliście te ptaki? Skąd się ich tyle, kurwa,abrało?!

- Mam lepsze pytanie - powiedział Rawlie. Odzyskał panowanie nad sobą, ale wyraźnie doznał silnego szoku. - Dokąd one lecą? Wiesz dokąd, prawda, Thad?

- Tak, oczywiście - zamruczał Thad. Otworzył drzwi volkswagena. - Ja też muszę się zbierać, Rawlie, naprawdę muszę. Brak mi słów, żeby ci podziękować.

- Uważaj, Thaddeusu. Bardzo uważaj. Żaden człowiek nie rządzi posłańcami świata pozagrobowego. Jeśli już, to na krótko. I zawsze musi za to zapłacić.

- Będę uważał, jak tylko potrafię.

Dźwignia zmiany biegów volkswagena stawiała opór, ale w końcu poddała się i jedynka wskoczyła. Thad włożył ciemne okulary i czapkę, uniósł rękę pozdrawiając Rawliego i ruszył z parkingu.

Wjechał na drogę nr 2. Widział, jak Rawlie człapie do automatu, i pomyślał: „Teraz to ja muszę nie dopuszczać do siebie Starka. Bo teraz ja mam tajemnicę. Może nie mam absolutnej władzy nad psychopompami, ale jakąś władzę nad nimi mam - lub one nade mną - i nie mogę pozwolić, żeby on się o tym dowiedział”.

Wrzucił dwójkę i volkswagen Rawliego DeLessepsa z dygotem wtoczył się do rzadko odwiedzanego królestwa szybkości, przekraczając trzydzieści pięć mil na godzinę.

Dwa telefony do szeryfa Pangborna

Pierwsza z dwóch rozmów telefonicznych, które z powrotem pchnęły Alana Pangborna w oko cyklonu, odbyła się tuż po trzeciej po południu, właśnie wtedy, gdy na stacji benzynowej w Augusta Thad wlewał trzy kwarty oleju samochodowego „Sapphire” w żarłoczne brzucho volkswagena Rawliego. Alan właśnie wybierał się do jadłodajni Nana na filiżankę kawy.

Sheila Brigham wystawiła głowę z pomieszczenia dyspozytora i wrzasnęła:

– Alan?! Czy odbierasz telefon na swój koszt od faceta, który nazywa się Hugh Pritchard?

Alan zawrócił.

– Tak! Przyjmuj!

Pospieszył do swego gabinetu i podnosząc słuchawkę usłyszał jeszcze Sheilę potwierdzającą przyjęcie rozmowy.

– Doktorze Pritchard? Doktorze Pritchard, jest tam pan?

– Tak, jestem. – Alan słyszał znakomicie, ale właśnie dlatego poczuł wątpliwość. Facet nie miał głosu siedemdziesięciolatka. Można było mu dać może czterdziestkę, ale nie siedemdziesiątkę.

– Czy pan jest doktorem Hughem Pritchardem, który praktykował w Bergenfield, New Jersey?

– Bergenfield, Tenafly, Hackensack, Englewood, Englewood Heights... do diabła, zaglądałem w chore głowy aż w Paterson. Czy pan jest szeryfem Pangbornem, który usiłował się ze mną porozumieć? Byliśmy z żoną tam, gdzie diabeł mówi dobranoc. Dopiero co wróciliśmy. Nawet korzonki resztek włosów mnie bolą.

– Tak. Przepraszam za zawracanie głowy. Dziękuję, że pan zadzwonił, doktorze. Ma

pan głos osoby dużo młodszej, niż się spodziewałem.

- Miło to słyszeć - odparł Pritchard - ale powinien mnie pan zobaczyć. Wyglądam jak aligator na dwóch łapach. Czym mogę panu służyć?

Po namyśle Alan zdecydował się na ostrożne podejście. Wsadził słuchawkę między uniesione ramię i przechyloną głowę, odchylił się na fotelu i parada cieni rozpoczęła marsz po Ścianie.

- Prowadzę dochodzenie w sprawie o morderstwo w okręgu Castle, Maine - powiedział. - Ofiarą jest tutejszy obywatel, Homer Gamache. Być może mam świadka w tej sprawie, ale wiąże się to z bardzo delikatną sytuacją. Z dwóch powodów. Po pierwsze, jest sławny. Po drugie, wykazuje objawy, z którymi zapewne się pan zetknął. Mówię tak dlatego, że operował go pan dwadzieścia osiem lat temu. Miał guza mózgu. Obawiam się, że jeżeli guz odrósł, świadectwo tego człowieka nie będzie mogło zostać uznane za wiary...

- Thaddeus Beaumont - nagle przerwał Pritchard. - Jeśli jednak cierpi na jakąś chorobę, bardzo wątpię, żeby był to nawrót starej przypadłości.

- Skąd pan wie, że to Beaumont?

- Ponieważ uratowałem mu życie w 1960 roku - powiedział Pritchard i dodał z nie uświadomioną arogancją: - Gdyby nie ja, nie napisaliby ani jednej książki. Umarłby przed dwunastymi urodzinami. Od kiedy o mały włos nie dostał za pierwszą powieść Narodowej Nagrody Książki, obserwowałem jego karierę z pewnym zainteresowaniem. Wystarczyło mi raz popatrzeć na zdjęcie z tyłu okładki i wiedziałem, że to ten sam facet. Twarz się zmieniła, ale oczy pozostały takie same. Niezwykłe oczy. Rzekłbym, marzycielskie. I oczywiście wiem, że mieszka w Maine. Czytałem ten niedawny artykuł w „People”. Tuż przed naszym wyjazdem na wakacje.

Na moment urwał i powiedział coś tak zaskakującego, a równocześnie tonem tak niedbałym, że Alan przez moment nie mógł wykrztusić słowa.

- Mówi pan, że był świadkiem morderstwa. A na pewno nie podejrzewa go pan o nie?

- Hm... więc...

- Tylko głośno myślę - kontynuował Pritchard - ponieważ ludzie z guzami mózgu często wyczyniają niezwykle rzeczy. Ich niezwykłość jest wprost proporcjonalna do inteligencji osobnika dotkniętego schorzeniem. Ale musi pan wiedzieć, że ten chłopiec wcale nie miał guza mózgu, przynajmniej w ogólnie przyjętym tego słowa znaczeniu. To był niezwykle przypadek. Absolutnie niezwykle. Od roku 1960 czytałem tylko o trzech podobnych - dwa z nich miały miejsce po moim odejściu na emeryturę. Czy przeszedł standardowe testy neurologiczne?

- Tak.

- I?

- Okazały się negatywne.

- Nie jestem zaskoczony. - Pritchard zapadł na kilka chwil w milczenie. Potem przemówił: - Nie byłeś ze mną zbyt szczery, młody człowieku?

Alan zakończył parady cieni i wyprostował się w fotelu.

- Chyba ma pan rację. Ale bardzo chciałbym wiedzieć, co pan miał na myśli mówiąc „w ogólnie przyjętym tego słowa znaczeniu”. Rozumiem dobrze zasadę zachowania tajemnicy lekarskiej i nie wiem, czy może zaufać pan człowiekowi, z którym rozmawia po raz pierwszy w życiu - i do tego przez telefon - ale proszę mi uwierzyć, jestem po stronie Thada i jestem pewien, że on pragnąłby, aby zapoznał mnie pan ze wszystkim, co chcę wiedzieć. Nie stać mnie na stratę czasu. Nie mogę prosić go o telefon do pana i udzielenie pozwolenia na szczerą rozmowę ze mną. Muszę wiedzieć teraz!

I Alan ku swemu zdziwieniu poczuł, że nie kłamie. Ogarnęło go przedziwne napięcie, wrażenie, że dzieje się coś ważnego. Nie wiedział co... ale wkrótce się dowie.

- Nie widzę żadnego powodu, by nie zapoznać pana z tym przypadkiem - spokojnie powiedział Pritchard. - Wielokrotnie myślałem, że powinienem skontaktować się z Beaumontem. Choćby po to, żeby opowiedzieć, co wydarzyło się w szpitalu zaraz po operacji. Sądzę, że mogłoby go to zainteresować.

- Co to było?

- Zapewniam pana, że dojdę do tego. Nie powiedziałem rodzicom, co odkryłem w czasie operacji, ponieważ zapoznanie ich z tym faktem nie miało znaczenia - w sensie praktycznym - i nie chciałem mieć z nimi więcej do czynienia. Szczególnie z ojcem. Ten człowiek powinien urodzić się w jaskini i spędzić żywot polując na włochate mamuty. Wtedy uznałem, że najlepiej zrobię mówiąc im, co chcieli usłyszeć, i jak najprędzej się ich pozbywając. Następnie, rzecz jasna, sam upływ czasu stał się decydującym czynnikiem. Kontakt z pacjentami ulega zerwaniu. Gdy Helga pokazała mi tę pierwszą książkę, zastanawiałem się nad napisaniem do niego i powracałem do tej myśli kilkakrotnie, ale obawiałem się, że może mi nie uwierzyć... lub będzie mu to obojętne... albo uzna, że mam hysia. Nie znam żadnych sławnych ludzi, ale żał mi ich; podejrzewam, że wiedzą nie zorganizowane, niespokojne życie, każdej chwili lękając się napaści. Uznałem, że wygodniej będzie nie wywoływać wilka z lasu. Teraz najważniejsze. Jak mówią moje wnuczeta - siwy dym.

- Na co skarżył się Thad? Co go do pana sprowadziło?

- Fugi. Bóle głowy. Urojone odgłosy. I wreszcie...

- Urojone odgłosy?

- Tak, ale pozwoli pan, szeryfie, że opowiem to po swojemu. - Alan znów usłyszał nie uświadomioną arogancję w głosie rozmówcy.

- W porządku.

- Wreszcie przeszedł atak. Wszystkie te kłopoty były spowodowane przez niewielką masę komórkową w płacie czołowym mózgu. Przystępując do operacji myśleliśmy, że to guz. Ten jednak okazał się bliźniakiem Thada Beaumonta.

- Co?!

- Właśnie to, co pan słyszał - powiedział Pritchard. Wyglądało, że nie ukrywany szok Alana dostarczył mu sporej przyjemności. - Nie jest to wyjątkowy przypadek - jedno z bliźniąt często bywa absorbowane in utero, a czasem absorpcja nie jest całkowita - jedynie lokalizacja, jak również wzrost obcej tkanki były wyjątkowe. Tkanka tego rodzaju prawie zawsze pozostaje w spoczynku. Skłonny jestem twierdzić, że kłopoty Thada mogły zostać spowodowane wczesnym dojrzewaniem.

- Chwila! - przerwał Alan. - Jedna chwila! - Trafił kilkakrotnie w książkach na sformułowanie „w głowie mu zawirowało”, ale po raz pierwszy sam doznał tego uczucia. - Czy chce mi pan powiedzieć, że Thad miał brata bliźniaka, ale... powiedzmy... jakoś go zjadł?!

- Lub siostrę. Ale raczej podejrzewam, że był to brat, ponieważ moim zdaniem absorpcja jest znacznie częstsza w przypadku bliźniąt płci męskiej. To twierdzenie jest oparte na obliczeniach statystycznych, nie na faktach, ale podzielam je. A ponieważ bliźnięta jednojajowe są zawsze tej samej płci, odpowiedź na pańskie pytanie brzmi: „tak”. Moim zdaniem płód, którym kiedyś był Thad Beaumont, zjadł swego brata w łonie matki.

- Jezu - szepnął Alan. Nigdy w życiu nie słyszał czegoś tak straszliwego, tak niesamowitego.

- Wyczuwam w pańskim głosie odrazę - radośnie stwierdził doktor Pritchard - ale zapewniam, nie ma ku niej żadnego powodu, wystarczy tylko umieścić sprawę we właściwym kontekście. Nie mówimy tu o Kainie, który podnosi kamień i morduje Abła. To nie było morderstwo; jedynie zadziałał jakiś nieznaną biologiczny imperatyw. Być może wadliwy sygnał wysłany przez hormony matki. Dokładnie trudno nawet mówić tu o płodzie; w macicy pani Beaumont znajdowały się tylko dwa zespoły tkanek, zapewne nie posiadające jeszcze ludzkich kształtów. Żyjące ziemnowodne stwory, jak pan woli. I jeden z nich - większy, silniejszy - po prostu wpełzł na słabszego, otulił sobą... i wchłonął.

- Coś z życia kurewskich owadów - zamruczał Alan.

- Czyżby? Zapewne w jakieś mierze tak. W każdym razie absorpcja nie była całkowita. Drobną cząstka drugiego bliźniaka zachowała swą odrębność. Ta obca materia... nie mogę znaleźć innego określenia... wylądowała w tkance, która rozwinęła się w mózg Thaddeusa Beaumonta. I z nieznanego powodu stała się aktywna niedługo po skończeniu przez chłopca jedenastu lat. Zaczęła rosnać. Ale nie było miejsca w gospodzie. Stąd też konieczne stało się usunięcie tej materii. Jak brodawki. Co uczyniliśmy z wielkim sukcesem.

- Jak brodawki - powtórzył Alan, czując obrzydzenie i zafascynowanie.

Różne myśli biegały mu po głowie. Wszystkie mroczne jak nietoperze w opuszczonej dzwonnicy. Jedna z nich była całkowicie czytelna: „On jest dwojgiem ludzi; zawsze był dwojgiem ludzi. To konieczne w przypadku każdego, kto utrzymuje się ze zmyślenia. Jeden z dwójki egzystuje w normalnym świecie... a drugi tworzy światy. Jest ich dwóch. Co najmniej dwóch” .

- Zawsze pamiętałbym tak niezwykle przypadek - mówił doktor Pritchard - ale tuż przed obudzeniem się chłopca z narkozy wydarzyło się coś jeszcze bardziej niezwykłego. Nigdy nie przestało mnie to zastanawiać.

- Co?

- Mały Beaumont przed każdym bólem głowy słyszał ćwierkanie ptaków - powiedział Pritchard. - Właściwie nie było w tym nic szczególnego; to dobrze udokumentowany fakt w wypadku guza mózgu lub epilepsji. Nosi nazwę „syndromu zmysłowego zwiastuna” . Ale niebawem po operacji wydarzył się dziwny incydent z udziałem żywych ptaków! Szpital okręgowy w Bergenfield zaatakowały wróble.

- Co pan ma na myśli?

- Brzmi absurdalnie, co nie? - Pritchard wydawał się wielce zadowolony z siebie. - Nawet nie wspominałbym o tym, gdyby nie wyjątkowo obfita dokumentacja. Był nawet na ten temat artykuł w „Courierze” bergenskim. Na pierwszej stronie, z fotografią. Tuż po drugiej po południu 28 października 1960 roku niespotykane duże stado wróbli opanowało zachodnią część szpitala. Tam wtedy znajdował się oddział intensywnej terapii i oczywiście tam zawieziono po operacji małego Beaumonta. Wiele okien zostało wybitych i sprzętaczę usunęli ponad trzysta zdechłych wróbli. O ile sobie przypominam ornitolog cytowany w artykule podkreślił, iż prawie cała zachodnia strona budynku była zbudowana ze szkła, i wysunął teorię, jakoby ptaki zwabił refleks słońca.

- To szaleństwo - powiedział Alan. - Ptaki tylko wtedy wpadają na szkło, kiedy go nie widzą.

- Sądzę, że reporter przeprowadzający wywiad wspomniał o tym, na co ornitolog podkreślił, iż ptaki w stadzie rządzą się jednym umysłem - o ile można powiedzieć, że ptaki mają umysł. Podobnie jak to bywa w przypadku atakujących mrówek. Jeśli jeden osobnik w stadzie zdecydował się wlecieć w szkło, reszta poszła w jego ślady. Nie było mnie w szpitalu, kiedy to nastąpiło - po zoperowaniu młodego Beaumonta upewniłem się, że wszystko jest w normie...

- To znaczy?

- Sprawdziłem funkcjonowanie głównych organów, szeryfie. Następnie pojechałem grać w golfa. Ale rozumiem, że w skrzydle Hirschfelda ptaki napędziły wszystkim niezłego stracha. Dwoje ludzi pokaleczyły fruujące odłamki. Mogę przystać na teorię ornitologa, ale nie satysfakcjonuje mnie do końca ca... wiem o zmysłowych zwiastunach Beaumonta, rozumie pan. Nie chodzi tu o ptaki w ogóle, ale o konkretne ptaki: wróble.

- Wróble znów fruują - wymruczał Alan nieswoim, przerażonym głosem.

- Przepraszam, szeryfie?

- Nic. Proszę jechać dalej.

- Tego samego dnia wypytałem go o symptomy. Czasem w wyniku operacji, która usunęła przyczynę zwiastunów zmysłowych, te ostatnie padają ofiarą amnezji, ale tym razem było inaczej. Zachował bardzo wyraźne wspomnienia. Nie tylko słyszał wróble. Widział je również! Powiedział, że widział je wszędzie, na domach, trawnikach i ulicach Ridgeway, dzielnicy Bergenfield, w której mieszkał.

Byłem na tyle zaciekawiony tym wszystkim, że porównałem zapisy na jego karcie z opisem wypadku. Stado wróbli zaatakowało szpital około dziesięciu minut po drugiej. Chłopiec obudził się dziesięć po drugiej. Może trochę wcześniej. - Przerwał i dodał: - Prawdę mówiąc, jedna z pielęgniarek na oddziale uważała, że dźwięk pękającego szkła wyrwał go ze snu.

- Uff! - szepnął Alan.

- A tak - powiedział Pritchard. - Jak najbardziej „uff!” Nie rozmawiałem o tej historii przez lata, szeryfie Pangborn. Czy pomogłem panu w czymś?

- Nie wiem - szczerze odparł Alan. - Niewykluczone. Doktorze Pritchard, może nie wyciął pan wszystkiego? Jeśli tak, guz znów zaczął rosnąć.

- Powiedział pan, że przeszedł badania. W tym tomografię komputerową?

- Tak.

- I oczywiście zdjęcia rentgenowskie.

- Uhm.

- Jeśli wyniki okazały się negatywne, to dlatego, że nic tam nie ma. Ze swej strony jestem przekonany, że wycięliśmy wszystko, co było do wycięcia.

- Dziękuję, doktorze Pritchard. - Alanowi trochę kłopotu sprawiało mówienie. Miał zdrętwiałe, jakby nie swoje usta.

- Szeryfie, kiedy ta sprawa się rozwikła, czy wyjawi mi pan więcej szczegółów? Byłem z panem bardzo szczery i wydaje mi się, że w zamian proszę o niewielką przysługę. Jestem bardzo ciekaw.

- Jeśli będzie to możliwe, to tak.

- O nic więcej nie proszę. Niech pan teraz wraca do swojej pracy, a ja wrócę do wczasowania.

- Mam nadzieję, że miło spędzacie czas z żoną.

Pritchard westchnął.

- W moim wieku nawet jakie takie spędzanie czasu kosztuje coraz więcej energii. Zawsze uwielbialiśmy wakacje na łonie natury, ale w przyszłym roku chyba zostaniemy w domu.

- No cóż, jestem bardzo wdzięczny, że zadał pan sobie ten trud i odpowiedział na mój telefon.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Szeryfie Pangborn, tęsknię za swoją pracą. Nie brakuje mi osławionej mistyki chirurgii - zawsze miałem ją w nosie - ale misterium. Misterium pracy ludzkiego mózgu. To było niezwykle podniecające.

- Wyobrażam sobie. - Alan pomyślał, że byłby znacznie szczęśliwszy, gdyby w jego życiu mniejszą rolę odgrywało misterium pracy ludzkiego mózgu. - Skontaktuję się z panem, kiedy... sprawy się wyjaśnią. Jeśli w ogóle się wyjaśnią.

- Dziękuję, szeryfie. - Zamilkł na chwilę i dorzucił: - To dla pana sprawa wielkiej wagi, nieprawdaż?

- Tak. Zgadza się.

- Chłopiec, jeśli mnie pamięć nie myli, był bardzo miły, Wy straszony, ale miły. Na jakiego człowieka wyrósł?

- Myślę, że na dobrego - powiedział Alan. - Trochę chłodnego, trochę oderwanego od świata, ale dobrego. - I powtórzył: - Tak myślę.

- Dziękuję panu. Nie będę pana dłużej odrywał od pracy. Do widzenia, szeryfie Pangborn.

Rozległ się trzask i Alan powoli odłożył słuchawkę. Rozparł się w fotelu, splótł giętkie palce. Wielkie czarne ptaszysko przefrunęło przez słoneczną plamę na ścianie gabinetu.

Przyszedł mu do głowy cytat z Czarnoksiężnika z Oz. Słyszał bez przerwy: „ Och, wierzę w duchy, och, wierzę w duchy, och, jak ja wierzę, wierzę w duchy!” Czy to nie Tchórzliwy Lew tak wykrzykiwał?

Pytanie brzmi: w co wierzy szeryf Alan Pangborn?

Łatwiej było powiedzieć mu, w co nie wierzy. Nie wierzy, że Thad Beaumont kogoś zamordował. Nie wierzy, że Thad napisał te tajemnicze słowa na ścianie.

Więc skąd się wzięły?

Po prostu. Drogi doktor Pritchard przyleciał z Fortu Laramie, zabił Fredericka Clawsona, napisał na ścianie: WRÓBLE ZNÓW FRUWAJĄ, przeniósł się z D.C. do Nowego Jorku, dobrał się swoim ulubionym skalpelem do Miriam Cowley i powtórzył akcję wykonaną na Clawsonie. Zoperował ich, tęskniąc za misterium pracy ludzkiego mózgu.

Nie. Oczywiście, że nie. Ale Pritchard nie jedyny wiedział o... jak im było?... zmysłowych zwiastunach Thada. W „ People” nie padło na ten temat słowo, to prawda, ale...

„ Zapominasz o odciskach palców i wykresach głosowych. Zapominasz o spokoju i chłodzie, z jakim Thad oraz Liza twierdzą, że George Stark żyje, jest gotów popełnić morderstwo, aby nadal żyć. A teraz za diabła nie chcesz wziąć pod uwagę faktów, które przyjmujesz do wiadomości. Mówiłeś im, że szaleństwem jest wierzyć w mściwego ducha, co dopiero w ducha faceta, który nie istniał. Ale pisarze zapraszają przecież duchy, tak jak aktorzy i inni artyści. Są jedynymi mediami, jakie akceptuje cywilizowane społeczeństwo. Tworzą nie istniejące światy, które zaludniają nie istniejącymi ludźmi, i zapraszają nas, żebyśmy razem z nimi snuli fantazje. I snujemy je, prawda? Tak. I płacimy za to” .

Alan splótł ciasno dłonie, wyprostował mały palec. Ptaszek, dużo mniejszy niż poprzedni, przeleciał przez słoneczną plamę. Wróbel.

„ Nie potrafisz wyjaśnić, dlaczego stado ptaków wleciało do szpitala okręgowego w Bergenfield prawie trzydzieści lat temu, tak jak nie potrafisz wyjaśnić, jakim sposobem dwaj mężczyźni mogą mieć te same linie papilarne i te same wykresy głosowe, ale wiesz teraz, że Thad Beaumont żył w łonie matki nie sam. Żył tam z kimś” .

Hugh Pritchard wspominał o wczesnym okresie dojrzewania.

Alan Pangborn zaczął się zastanawiać, czy rozrost tej obcej tkanki nie wiązał się z czymś innym.

Zastanawiał się, czy nie nastąpił wtedy, kiedy Thad Beaumont zaczął tworzyć.

Odezwał się interkom, wytrącając szeryfa z zamyślenia.

- Alan, Puchaty Martin na linii - powiedziała Sheila. - Chce z tobą mówić.

- Puchaty? Czego chce, do diabła?

- Nie wiem. Nie powiedział.

- Jezu, tego mi jeszcze dziś brakowało.

Puchaty miał sporą posiadłość za miastem, przy drodze nr 2, jakieś cztery mile od jeziora Castle. Ongiś była to prosperująca farma mleczna, ale w dawnych czasach, kiedy na Puchatego mówiono jeszcze po bożemu Albert i kiedy to on rządził flachą whisky, a nie na odwrót. Dzieci urosły, żona dziesięć lat temu uznała go za przypadek nie rokujący nadziei i rzuciła, więc teraz Puchaty rezydował na dwudziestu siedmiu akrach ziemi, które powoli, ale stałe zarastały chwastami. Po zachodniej stronie posesji, tam gdzie droga wiała się w kierunku jeziora, stał dom i obora. Ta ostatnia, niegdyś schronienie czterdziestu krów, była dużym budynkiem. Dach zapadł się znacznie, farba spęzła, a w większość okien wstawiono rozłożone kartony. Od czterech lat Alan i Trevor Hartland, szef straży pożarnej Castle Rock, czekali, kiedy dom Martina albo obora Martina, albo jedno i drugie Martina się spali.

- Mam mu powiedzieć, że cię nie ma? - spytała Sheila. - Właśnie przyjechał Clut, mogę dać mu Puchatego.

Alan zastanowił się, ale westchnął i pokręcił przecząco głową.

- Pogadam z nim, Sheilo. Dzięki.

Podniósł słuchawkę i wsadził między przekrzywioną głowę i uniesione ramię.

- Pan dowódca Pangborn?

- Tak, tu szeryf, słucham.

- Tu Puchaty Martin, z miejskiej nr 2. Panie dowódco, wygląda, że jest problem.

- Tak? - Alan przysunął do siebie drugi aparat, zapewniający bezpośrednie połączenie z innymi służbami magistrackimi. Palcem błędził koło kwadracika z cyfrą „4”. Wystarczy podnieść słuchawkę, wcisnąć przycisk i Trevor Hartland jest na linii. - Na czym polega ten problem?

- No, panie dowódco, żeby mnie obesrało, nie wiem. Gdybym wiedział, co to za wóz, powiedziałbym, że to jakieś kuglarstwo z kradzieżą samochodu. Ale nie wiem. Nigdy go na oczy nie widział. Ale wyjechał z mojej obory. - Puchaty mówił z wyraźnym i nieco zabawnym akcentem Maine, dzięki czemu tak zwyczajne słowo jak „obora” brzmiało jak wybuch śmiechu - „boora”.

Alan odsunął drugi telefon na stałe miejsce. Bóg ma słabość do durniów i pijaków – przekonał się dobrze podczas wielu lat służby. Wyglądało, że dom Puchatego i obora Puchatego nadal stoją, choć pijany Puchaty siał niedopałkami gdzie popadło. „Teraz czeka mnie – pomyślał Alan – siedzenie i słuchanie, a on będzie wyłuszczał problem. Dopiero kiedy Puchaty go wyniszczy, będę mógł zdecydować, czy problem dotyczy świata prawdziwego, czy świata, który istnieje tylko w szczątkach mózgu Puchatego”.

Przyłapał się na tym, że posłał drugiego wróbla w lot, i nakazał sobie przestać.

– Co za samochód wyjechał z twojej obory, Albercie? – spytał cierpliwie. Prawie wszyscy mieszkańcy The Rock (w tym sam Martin) nazywali go Puchatym Albertem i może Alan też tak będzie go nazywał spędziwszy następne dziesięć lat w miasteczku. Raczej dwadzieścia.

– Właśnie powiedział, że nigdy go nie widziałem. – W tonie głosu Puchatego Martina tak wyraźnie przebijało „och, ty cholerny durniu”, że równie dobrze mógł to powiedzieć na głos. – Dlatego właśnie dzwonię, panie dowódco. Pewnie, że nie był mój.

Alanowi coś przyszło do głowy. Straciwszy krowy, dzieci i żonę, Puchaty Martin nie potrzebował wcale dużej gotówki – ziemia była jego, nie obciążona długami, musiał tylko zapłacić podatki przejmując ją po tacie. Drobne sumki, które wpadały mu do kieszeni, pochodziły z niejasnych źródeł. Alan podejrzewał, a prawdę mówiąc wiedział, że co kilka miesięcy na poddaszu obory obok siana zjawia się parę snopków marihuany. To tylko jedno z drobnych przestępstw Puchatego. Od czasu do czasu Alan myślał sobie, że powinien go przyskrzynić za posiadanie surowca do produkcji narkotyku i zamiar sprzedaży, ale wątpił, żeby Puchaty palił trawkę, co dopiero miał dość sprytu, żeby zająć się rozprowadzaniem. Najprawdopodobniej raz na jakiś czas dostawał jedną, dwie stówki za magazynowanie. A nawet w takim małym miasteczku jak Castle Rock były ważniejsze sprawy niż przyskrzynianie pijaczków za magazynowanie trawki.

Kolejna usługa Puchatego – tym razem przynajmniej legalna – polegała na garażowaniu samochodów letników w oborze. Kiedy Alan zjawił się w miasteczku, obora Puchatego była normalnym garażem. Widywało się tam do piętnastu samochodów – przeważnie letnich wozów właścicieli domów nad jeziorem; pojazdy stały pod tym samym dachem, pod którym kiedyś krowy spędzały zimy. Puchaty porozbijał przegrody, zrobił jeden wielki garaż i samochody przeczekiwały tu długie miesiące jesieni i zimy, stojąc zderzak w zderzak, bok przy boku w słodko pachnącym sianem cieniu; blask karoserii gasiła stara sieczka sypiąca się z poddasza.

Z biegiem lat garażowy interes Puchatego siadł radykalnie. Alan podejrzewał, że

beztroska Martina przy paleniu stała się tajemnicą poliszynela i załatwiła sprawę. Nikt nie chce stracić samochodu podczas pożaru obory, nawet jeśli to tylko gruchot do załatwiania drobnych sprawunków. Ostatnim razem Alan ujrzał u Puchatego tylko dwa pojazdy, t – birda z 1959, własność Ossiego Brannigana – klasyczny model, ale niestety zardzewiały kompletnie i zajeżdżony na śmierć – i starego woody’ego, forda kombi Thada Beaumonta.

Znów Thad.

Wygląda, że dziś wszystkie drogi prowadzą do Thada Beaumonta.

Alan wyprostował się w fotelu, nieświadomie przysunął do siebie telefon.

– To nie był stary ford Beaumonta? – zapytał Puchatego. – Jesteś pewien?

– Jasne, że jestem pewien. To nie był żaden ford i jestem pewien jak cholera, że to był żaden^{nie} woody kombi. To był czarny toronado.

Kolejna raca wypaliła w głowie Alana... ale nie wiedział dokładnie, dlaczego. Ktoś coś mówił o czarnym toronado. Nie tak dawno. W tym momencie nie przypominał sobie, kto ani kiedy... ale sobie przypomni.

– Właśnie byłem w kuchni i nalewałem sobie zimnej limoniadki – kontynuował Puchaty – kiedy patrzę, a tu ten samochód wyjeżdża tyłem z obory. Najpierw sobie pomyślałem, że taki to u mnie nie garażuje. Potem myślę sobie, jakim cudem ktoś mógł się tam dostać, kiedy na drzwiach wisi kłódka Kreiga po zbójcu, a jedyny klucz dynda u mnie na koluszk.

– A co z innymi, którzy tam zostawiają samochody? Nie mają kluczy?

– Nie, panie szanowny! – Sam taki pomysł wydawał się Puchatemu obelgą.

– Nie udało ci się zobaczyć numerów rejestracyjnych, co?

– A że się pochwalę, udało mi się! – zawołał Puchaty. – Przecież moje stareń kie szkiełka leżą nie gdzie indziej, jak na okiennym parapecie w kuchni, no nie?

Alan, który wraz z Trevorem Hartlandem dokonywał inspekcji obory, ale nigdy kuchni (i w bliskiej przyszłości bynajmniej nie miał takich zamiarów, dzięki serdeczne), powiedział:

– No, taaa... szkiełka. Zapomniałem.

– A ja nie! – rzekł Puchaty energicznie i radośnie. – Masz pan ołówek?

– Pewnie, Albercie.

– Panie dowódcu, czemu nie mówi pan do mnie „Puchaty”, jak wszyscy?

Alan westchnął.

– W porządku, Puchaty. A przy okazji, dlaczego nie mówisz do mnie zwyczajnie „szeryfie” ?

- Jak pan sobie życzysz. Ale chcesz pan w końcu ten numer czy nie?

- Strzelaj.

- Po pierwsze, to był z Missisipi. - W głosie Puchatego zabrzmiała jakby nuta triumfu.

- I co pan na to?!

Alan dokładnie nie wiedział, co on na to... poza tym, że trzecia raca wystrzeliła mu głowie,^W jaśniejsza od poprzednich. Toronado. I Missisipi. Coś o Missisipi. I miasteczko. Oxford? Czy chodziło o Oxford? Nazywało się jak jedno z tutejszych miasteczek?

- Nie wiem - powiedział i uznawszy, że Puchaty chce to usłyszeć, dodał: - Wygląda to bardzo podejrzanie.

- Na rany Chrystusa, prawda! - zakrakał Puchaty. Chrząknął i odezwał się rzeczowo. - Dobra. Missisipi, numer 62284. Zapisane, panie dowódco?

- 62284.

- 62284, yhm, to, kurwa, pewne jak w banku! Podejrzane! No, yhm! Takem sobie pomyślał! Jezus jakby się o tym zwiędział, toby wtrząchnął puszkę fasoli!

Na myśl, że Jezus mógłby posilać się fasolą puszkowaną przez firmę B&M, Alan znów musiał na krótką chwilę przerwać rozmowę.

- A więc tak - powiedział Puchaty - jakie działania pan zastosuje, panie dowódco?

„ Zamierzam zakończyć tę konwersację nie tracąc zdrowia psychicznego - pomyślał

Alan. - To działanie pierwsze. A potem zamierzam przypomnieć sobie, kto wspominał...

”
Przypomniał sobie. Przeszył go lodowaty prąd, ramiona pokryła gęsia skórka ostra jak drut kolczasty, skóra napięła się na karku jak powierzchnia bębna.

Przypomniał sobie rozmowę telefoniczną z Thadem. Niedługo po tym, jak psych zadzwonił z mieszkania Miriam Cowley. W tę noc, kiedy zaczął się karnawał morderstw.

Usłyszał głos Thada: „ Przeniósł się z matką z New Hampshire do Oxfordu, Missisipi... pozbył się prawie zupełnie południowego akcentu” .

Co jeszcze Thad powiedział, opisując George'a Starka?

„ Ostatnia rzecz: może jeździć czarnym toronado. Nie znam rocznika. W każdym razie to jeden ze starych egzemplarzy, które mają dużo koni pod maską. Czarny. Tablice rejestracyjne Missisipi, ale na pewno zmienione” .

- Chyba był trochę zbyt zajęty, żeby to zrobić - zamruczał Alan. Gęsia skórka nadal rozłaziła mu się po ciele na tysiącu drobnych stópek.

- O co chodzi, panie dowódco?

- Nic, Albercie. Mówię sam do siebie.

- Moja mama mówiła, to znak, że będą jakieś pieniądze. Może też powinienem zacząć

gadać sam do siebie.

Alan nagle przypomniał sobie, że Thad dodał coś jeszcze – ostatni szczegół.

– Albercie...

– Puchaty, panie dowódco. Powiedziałem panu.

– Puchaty, czy ten samochód miał na zderzaku naklejkę? Może zauważyłeś...

– Skąd, do diabła, pan o tym wiesz?! Ma pan ten pojazd na swoim wykazie trefnych numerów rejestracyjnych?

– Puchaty, nieważne skąd. To sprawa policji. Czy przeczytałeś naklejkę?

– Pewno, że przeczytałem – odparł Puchaty Martin. – GODNY SKURWYSYN stało na niej. Wyobrażasz pan sobie coś takiego?!

Alan powoli odłożył słuchawkę, w pełni wyobrażając sobie coś takiego, ale powtarzając w myśli, że to nie dowodzi niczego, zupełnie niczego... może poza tym, że Thad Beaumont jest szalony jak głodna pluskwa. Byłoby czystą głupotą zakładać, że to, co widział Puchaty, dowodziło, iż dzieje się coś... hm, powiedzmy z braku lepszego słowa – nadprzyrodzonego.

Wtem przypomniały mu się wykresy głosowe, linie papilarne, setki wróbli rozbijających się o okna szpitala okręgowego w Bergenfield i ogarnął go atak gwałtownych dreszczy, trwających prawie całą minutę.

Alan Pangborn nie był tchórzem ani zabobonnym wieśniakiem, który rozwidłonymi palcami odpędza zły urok, jaki sprowadzają wrony, albo zabrania ciężarnym kobietom podchodzić do mleka, bo mogłyby się zwarzyć. Nie był wiejskim prostakiem, nie na niego były numery cwaniaczków z miasta sprzedających taniutko sławne mosty. Nie urodził się wczoraj. Wierzył w logikę i rozsądek. Więc przeczekał, aż dreszcze ustaną, przysunął do siebie kołnотatnik i odszukał numer telefonu Thada. Z gorzkim rozbawieniem zauważył, że numer na kartce i numer, jaki miał w głowie, pasują do siebie. Najwidoczniej sławny „gościu pisarz” z Castle Rock mocniej zapadł mu w pamięć, niż myślał.

„To musiał być Thad. Po wyeliminowaniu obłąkańczych możliwości, jaka alternatywa zostaje? Opisał ten wóz. Jak się nazywał ten stary teleturniej? Nazwij to i jest twoje.

Ale szpital okręgowy w Bergenfield faktycznie zaatakowały wróble!”

I to nie wszystko. Było jeszcze wiele innych niejasności. Zbyt wiele.

Thad wraz z rodziną byli pod ochroną policji stanu Maine. Gdyby Beaumontowie zdecydowali się spakować i przyjechać na weekend, chłopcy ze stanowej powinni dać znać – po części, żeby zaalarmować szeryfa, po części z grzeczności. Ale policja stanowa starałaby się powstrzymać Thada przed taką wyprawą, teraz kiedy osłona ograniczała się do rutynowego wystawienia posterunku w Ludlow. A jeśli pomysł wyprawy wynikł nieoczekiwanie, tym bardziej staraliby się Thada powstrzymać.

Następnie pozostawał problem tego, czego Puchaty nie widział, czyli samochodu lub samochodów eskorty towarzyszącej Beaumontom, gdyby zdecydowali się włożyć swe siedmiomilowe buty... do czego zresztą mieli prawo. Nie byli przecież więźniami.

„Ludzie z guzami mózgu często wyczyniają niezwykłe rzeczy”.

Jeśli toronado należało do Thada i jeśli pojechał do Puchatego, żeby je wziąć, i jeśli był sam, wszystko to prowadziło do trudnej do przełknięcia konkluzji; trudnej, ponieważ Thad niezmiernie przypadł Alanowi do gustu. Oto rzeczona konkluzja: pisarz świadomie wpuścił w kanał swoją rodzinę i swych opiekunów.

„Jeśli Thad faktycznie wyjechał z Ludlow, policja stanowa powinna mnie zawiadomić. Rozesłaliby za nim APB, a cholernie dobrze wiedzą, że Castle Rock narzuca się jako jedno z najbardziej prawdopodobnych miejsc, do których mógł się udać”.

Wybrał numer Beaumonta. Słuchawkę podniesiono po pierwszym dzwonku. Odpowiedział nieznany głos. Ale jedynie z nazwiska. Alan od pierwszej głoski wiedział, że rozmawia ze stróżem prawa.

– Halo, tu dom Beaumontów.

Ostrożnie powiedziane. Jeśli telefonujący okaże się właściwą... albo niewłaściwą osobą, głos wepchnie klin pytań w następną przerwę w rozmowie.

„Co się stało?” – zastanowił się Pangborn i natychmiast sobie odpowiedział: „Nie żyją. Ktoś tam wybił całą rodzinę do nogi, tak szybko, sprawnie i bezlitośnie jak innych. Ochrona, przesłuchania, namiernik... wszystko na nic”.

Żadna z tych myśli nie ujawniła się w jego głosie, gdy odpowiadał na pytanie.

– Tu Alan Pangborn – rzekł dziarsko. – Szeryf okręgu Castle. Dzwonię do Thada Beaumonta. Z kim rozmawiam?

Pauza.

– Tu Steve Harrison, szeryfie. Policja stanu Maine – odpowiedział głos. – Właśnie miałem do pana dzwonić. Powinienem zrobić to przynajmniej godzinę temu. Ale tu... tu

All Points Bulletin – list goń czy rozesłany tylko wśród służb policyjnych.

wszystko popierdoliło się wyżej, niż wzrok sięga. Mogę wiedzieć, w jakim celu pan dzwoni?

Bez sekundy namysłu, który niewątpliwie wpłynąłby na jego odpowiedź, Alan skłamał. Nawet nie pytał siebie, dlaczego to robi. Na to będzie czas potem.

- Dzwonię, żeby sprawdzić, co u Thada. Minęło trochę czasu, odkąd się z nim kontaktowałem, i chciałbym wiedzieć, co porabiają. Rozumiem, że są jakieś kłopoty.

- Takie kłopoty, że głowa mała - ponuro odpowiedział Harrison. - Dwaj moi ludzie nie żyją. Jesteśmy przekonani, że to robota Beaumonta.

„Jesteśmy przekonani, że to robota Beaumonta”.

„Niezwykłość tego postępowania jest wprost proporcjonalna do inteligencji osobnika dotkniętego schorzeniem”.

Wrażenie déjà vu nie przemknęło mu przez głowę - przemaszerowało przez całe ciało jak armia najeźdźców. Thad, zawsze wszystko sprowadzało się do Thada. Oczywiście. Był inteligentny, był niezwykłym i jak sam przyznał, cierpiał na objawy wskazujące na guza mózgu.

„Ale musi pan wiedzieć, że ten chłopiec wcale nie miał guza mózgu”.

„Jeśli wyniki okazały się negatywne, to dlatego, że nic tam nie ma

”
„Mniejsza o guza mózgu. Teraz skup się na wróblach, bo wróble znów fruują”

- Co się stało? - zapytał policjanta stanowego Harrisona.

- Pociął Toma Chattertona i Jacka Eddingsa na kawałki, ot, co się stało! - wrzasnął Harrison. Rozmiar furii zaskoczył Alana. - Zabrał rodzinę. Muszę dorwać skurwysyna!

- Co... jak uciekł?

- Nie mam czasu na szczegółowe opowieści. To kurewsko smutna historia, szeryfie. Jechał czerwono - szarym chevroletem suburbanem, cholernym wielorybem na kółkach, ale naszym zdaniem musiał go gdzieś upchnąć i wsiaść do innego wozu. Ma tu letni dom. Zna pan okolice i położenie budynku, prawda?

- Tak. - Myślał gorączkowo. Popatrzył na zegar ścienny. Za niecałą minutę trzecia czterdzieści. Czas. Wszystko sprowadzało się do czasu. I uświadomił sobie, że nie zapytał Puchatego, kiedy zobaczył toronado wyjeżdżające z obory. Wtedy nie wydawało się to ważne. Teraz tak. - O której godzinie stracił go pan z oczu, Harrison?

Wręcz odczuł niezadowolenie policjanta wywołane tym pytaniem, ale ów odpowiedział bez gniewu, nie popadając w ton samousprawiedliwienia.

- Koło wpół do pierwszej. Jeśli zmienił samochody, musiało mu to zająć trochę czasu, a potem pojechał do domu w Ludlow...

- Gdzie go pan zgubił? Jak daleko od domu?

- Szeryfie, chciałbym odpowiedzieć na wszystkie pana pytania, ale nie ma czasu.

Rzecz w tym: jeśli pojechał do letniego domu - wydaje się to nieprawdopodobne, ale facet jest stuknięty, więc nigdy nie wiadomo - to jeszcze tam nie dotarł, ale niebawem się zjawi. Razem z całą rodziną. Byłoby bardzo miło, gdyby pan z kilkoma ludźmi zgotował mu powitanie. Jak coś wyskoczy, niech się pan kontaktuje przez radio z Henrym Paytonem w koszarach policji stanowej w Oxfordzie, a przyślemy takie wsparcie, jakiego jeszcze pan nie widział. W żadnym wypadku proszę nie podejmować próby samodzielnego zatrzymania! Zakładamy, że żona jest zakładnikiem. Jeśli jeszcze żyje. Nie ulega kwestii, że dzieciaki też mają mu posłużyć jako zakładnicy.

- Tak, musiał porwać żonę siłą, jeśli zabił policjantów wykonujących obowiązek służbowy, co nie? - przytaknął mu Alan, lecz myślał równocześnie: „Ale chętnie wrobiłbyś w to całą rodzinę, prawda? Uparłeś się przy jednym i nie zmienisz zdania. Do diabła, człowieku, dopóki krew nie zaschnie na twoich kumplach, nawet nie pomyślisz, choćby przez krótką chwilkę”.

Chciał zadać jeszcze kilkanaście pytań, a odpowiedzi zapewne pociągnęłyby następnych kilkadziesiąt - ale Harrison miał rację w jednym. Nie było czasu.

Zawahał się przez moment. Bardzo korciło go zadać Harrisonowi najważniejsze pytanie, warte tyle co główny los na loterii: czy jest pewny, że Thad miał dość czasu, by pojechać do domu, zabić ludzi sprawujących straż i wywieźć rodzinę, zanim pojawił się pierwszy patrol? Ale zadając to pytanie wbiłby nóż w ranę, która teraz przysparzała Harrisonowi największego bólu. Zadając je nieuchronnie wydałby sąd: „Zgubiłeś go. Tak czy inaczej - zgubiłeś. Miałeś zadanie do wykonania i spierdoliłeś robotę”.

- Szeryfie, czy mogę na panu polegać? - zapytał Harrison. Znikł gniew, zostało zmęczenie i udreka. Alana ogarnęło głębokie współczucie.

- Tak. Zaraz każę obstawić dom.

- Dobry z pana człowiek. I połączy się z pan z koszarami w Oxfordzie?

- Oczywiście. Henry Payton to kumpel.

- Beaumont jest niebezpieczny, szeryfie. Wyjątkowo niebezpieczny. Jeśli się pokaże, niech pan uważa na swój tyłek.

- Będę uważał.

- I proszę mnie informować - zakończył Harrison bez pożegnania.

Umysł Alana – w każdym razie część dbająca o procedurę – obudził się i zaczął zadawać pytania... przynajmniej starał się to robić. Zdecydował, że nie ma czasu na procedurę. Na żaden z paragrafów, punktów ani podpunktów. Po prostu uruchomił i weźmie do galopu wszystkie obwody mózgowia. Alan miał uczucie, że już niebawem niektóre z nich zaczną wyłączać się wedle własnego widzimisię.

„Przynajmniej weź jakichś ludzi do pomocy”.

Ale i do tego się nie palił. Wezwałby Norrisa Ridgewicka, ale ten miał urlop i przebywał poza miasteczkiem. John LaPointe ciągle leżał powalony jadem sumaka. Seat Thomas patrolował ulice. Andy Clutterbuck był pod ręką, ale Clut był pierwszorocznikiem, a zapowiadało się niemiłe zadanie.

Na razie zajmie się tym sam.

„Jesteś wariat!” – rozdarła się Procedura.

– Niewiele mi już brakuje, to fakt – powiedział głośno Alan. Znalazł w książce telefonicznej numer Alberta Martina i zadzwonił z pytaniami, które powinien wcześniej postawić.

– O której to toronado wyjechało z obory, Puchaty? – zapytał, gdy Martin podniósł słuchawkę. Alan myślał przy tym: „Nie będzie wiedział. Do diabła, nie jestem nawet pewien, czy on się zna na zegarku”.

Ale Puchaty udowodnił w prosty sposób, że się myli.

– Piczy kłaczek po trzeciej, panie – dowódco. – Zrobił pauzę na namysł i rzekł: – Praszam za moją łacinę.

– Zadzwoniłeś dopiero... – Alan zerknął na raport dzienny, w którym odruchowo umieścił informację o telefonie Puchatego. – Dopiero o trzeciej dwadzieścia osiem.

– Musiałem sobie to przemyśleć – odparł Martin. – Mężczyzna zawsze powinien najpierw popatrzeć, zanim wykona ruch, panie dowódco, tak ja to przynajmniej widzę. Zanim zadzwoniłem do pana, poszedłem do obory sprawdzić, czy ten, kto wyprowadził samochód, nie zrobił tam jakiej grandy.

„Grandy – westchnął w myśli Alan. – Pewnie sprawdzałeś, czy snopki marihuany leżą na miejscu, co, Puchaty?”

- I zrobił?
- Co zrobił?
- Jakąś grandę?
- Nie, nie. Nie wydaje mi się.
- W jakim stanie była kłódka?
- Otwarta - zwięźle rzekł Puchaty.
- Rozwalona?
- No, nie. Wisiała kabłąkiem na haku.
- Myślisz, że użyto klucza?
- Skąd by ten skurwysyn go dorwał?! Dobrał się wytrychem.
- Czy był sam w wozie? Możesz to powiedzieć?

Puchaty nie od razu odpowiedział.

- Na pewno to nie mogę nic rzec. Wiem, co pan se kombinuje, panie dowódco - jak dałem radę odczytać tablice rejestracyjne i tą przemądrzałą naklejkę, to powinienem wypatrzeć, ile ludzi siedzi w środku. Ale słoń ce grzało w okna, a poza tym nie zdaje mi się, żeby były ze zwykłego szkła. Było trochę barwione. Nie mocno. Ale zawsze trochę.

- W porządku, Puchaty. Dzięki. Sprawdźmy to.

- No, w każdym razie tu go nie ma - rzekł Puchaty i dodał w błysku dedukcji, oślepiającym jak błyskawica: - Ale musi być gdzie indziej.

- Święta prawda. - Obiecał powiedzieć Puchatemu, „ jak się to wszystko rozwionże” , i odłożył słuchawkę. Odsunął się od biurka i popatrzył na zegar ścienny.

„ Trzecia - powiedział Puchaty. - Piczy kłaczek po trzeciej. Praszam, za moją łacinę

”
Nawet gdyby Thad rozwinął kosmiczną prędkość, nie mógłby przejechać z Ludlow do Castle Rock w trzy godziny, wykonując przy tym odskok do domu - odskoczek, podczas którego przy okazji porwał żonę i dzieci oraz zabił dwóch policjantów. Może gdyby gnał prosto z Ludlow, to tak. Ale jechać skądinąd, zatrzymać się w Ludlow, potem przyjechać tu do Castle Rock, mieć dość czasu na otwarcie wytrychem kłódki i odjechać toronado, które akurat stało ukryte w oborze Puchatego Martina? Mowy nie ma.

Ale przypuścmy, że ktoś inny zabił policjantów i porwał rodzinę Thada? Ktoś, kto nie musiał zwracać sobie głowy gubieniem policyjnej eskorty, zmianą samochodów i odskokiem z głównej trasy? Ktoś, kto po prostu wrzucił Lizę Beaumont i jej bliźnięta do wozu i ruszył do Castle Rock? Ten ktoś dojechałby na trzecią. Nawet bez specjalnego pośpiechu.

Policja - na razie w tę rubrykę wypada wpisać: „ funkcjonariusz policji stanowej

Harrison” – uznała, że to musi być Thad, ale Harrison i jego compadres nie wiedzieli o toronado.

Tablice rejestracyjne Missisipi, powiedział Puchaty.

Missisipi to stan rodzinny George’a Starka, zgodnie z wymyśloną przez Thada biografią faceta. Jeśli z Thada był taki schizo, że przynajmniej ’ od czasu do czasu uważał się za Starka, mógł dla wzmocnienia iluzji, fantazji czy czegoś tam zakupić bez problemu czarne toronado... ale żeby dostać tablice rejestracyjne, nie wystarczyłoby mu pojechać do Missisipi, musiałby mieć oficjalnie potwierdzone miejsce zamieszkania.

„ Ale chrzaniisz. Mógł ukraść tablice. Albo kupić od kogoś stare. Puchaty nie wspomniał, z którego były roku – nie potrafił odczytać rocznika nawet przez swoje szkietka ” .

Ale to nie był samochód Thada. Nie mógł być. Liza wiedziałaby o tym.

„ Może nie. Jeśli jest bardzo szalony, to może nie

”
Z kolei sprawa zamkniętych drzwi obory. Jak Thad mógł dostać się do środka nie niszcząc kłódki? Był pisarzem i nauczycielem, nie włamywaczem.

„ Dorobione klucze” – podszeptał mu umysł. Ale to wątpliwe. Jeśli Puchaty faktycznie magazynował u siebie od czasu do czasu trawkę, to na pewno bardzo uważał, gdzie kładzie klucze, choć bardzo nie uważał, gdzie rzuca niedopałki.

I ostatnie, rozstrzygające pytanie: jak Puchaty mógł nie wiedzieć, że w jego oborze jest czarne toronado, jeśli stało tam od dawna? Jak to możliwe?

„ A co ty na to? – • szepnął głos z głębi umysłu, gdy Alan złapał za kapelusz i wyszedł z gabinetu. – To bardzo zabawny pomysł, Alan. Będziesz się śmiał. Śmiał do rozpuku. A założmy, że Thad Beaumont miał rację od samiuśkiego początku? Założmy, że naprawdę żyje potwór nazywający się George Stark, buszuje gdziekolwiek chce... a elementy jego życia, te elementy, które Thad stworzył, nabierają realnych kształtów, kiedy ich potrzebuje. Kiedy ich potrzebuje, ale nie zawsze tam, gdzie ich potrzebuje. Ponieważ zawsze ujawniają się w miejscach mających związek z życiem twórcy. Thada. Więc Stark wyprowadził swój wóz z tego garażu, w którym Thad trzyma swój, tak jak wyłonił się z tego grobu, w którym Thad symbolicznie go pochował. Jak ci się to podoba? Prawda, że cudo?”

Nie podobało mu się. Nie było to żadne cudo. I nic w tym zabawnego. Brutalnie przekreślało nie tylko wszystko, w co wierzył do tej pory, ale i sposób, w jaki nauczył się myśleć.

Przypomniały mu się słowa Thada: „ Kiedy piszę, nie wiem, kim jestem” . Niedokładnie tak to powiedział, ale prawie tak. „ A co jeszcze bardziej zdumiewające, aż do dziś nie przyszło mi do głowy zastanowić się nad tym” .

Zadrzał. Sheila Brigham akurat wtedy podniosła głowę znad maszyny do pisania.

- Alan, jest za gorąco, żebyś mógł mieć dreszcze. Na pewno dopadło cię przeziębienie.

- Tak, pewnie mnie coś dopadło - odparł. - Odbieraj telefony, Sheila. Wszystkie drobne sprawy przekazuj Seatowi Thomasowi. Wszystkie poważne przekaż mnie. Gdzie Clut?

- Tu jestem! - odezwał się głos w ubikacji.

- Spodziewam się wrócić za jakieś czterdzieści pięć minut! - wrzasnął w jego kierunku

Alan. - Do mojego powrotu przejmujesz dowództwo!

- Gdzie jedziesz, Alan? - Clut wyłonił się z toalety. Wpychał koszulę do spodni.

- Nad jezioro - mętnie wyraził się Alan i znikł za progiem, nim Clut lub Sheila zdążyli zadać kolejne pytanie... lub sam mógł się zastanowić nad tym, co robi. Wychodzenie bez wskazania miejsca pobytu było bardzo złym pomysłem w obecnej sytuacji. Sam dopraszał się kłopotów, sam dopraszał się śmierci.

Ale to, co myślał

(wróble znów fruwały)

po prostu nie mieściło mu się w głowie. Nie mieściło. Musiało być jakieś bardziej racjonalne wytłumaczenie.

Nadal usiłował sobie o tym przekonać, gdy wyjeżdżał wozem patrolowym z miasta i pakował się w największe niebezpieczeństwo swego życia.

Przy drodze nr 5, jakieś pół mili od posiadłości Puchatego Martina, był parking i teren biwakowy. Alan wjechał na parking, kierowany na poły przecuciem, na poły kaprysem. Przecucie opierało się na prostym rozumowaniu: bez względu na to, czy czarne toronado miało jakiś związek ze sprawą Beaumont/Stark, czy nie miało, nie przyfrunęli tu z Ludlow na latającym dywanie. Musieli przyjechać samochodem. To znaczyło, że gdzieś musi stać porzucony wóz. Facet, którego ścigał, zostawił ciężarówkę Homera Gamache'a na przydrożnym parkingu, a co sprawca zrobi raz jeden, zrobi raz drugi.

Trzy pojazdy stały na parkingu. Wóz do transportu piwa, nowy ford escort i zakurzone volvo.

Alan wysiadł z wozu patrolowego. Z męskiej toalety wyszedł mężczyzna w zielonych luźnych spodniach i podszedł do szoferki ciężarówki. Był niski, wąski w ramionach i czarnowłosy. George'a Starka ani widu, ani słyhu.

- Dzień dobry, panie władzo - powiedział i kiwnął ręką Alanowi. Ten skinął mu głową i podszedł do trzech starszych pań siedzących przy piknikowym stolyczku. Popijały kawę z termosu i gawędziły.

- Witamy, panie władzo - rzekła jedna z nich. - Czy możemy w czymś pomóc? - „A może zrobiliśmy coś złego?” - od razu zapytały jej niespokojne oczy.

- Chciałbym tylko wiedzieć, czy ten ford i volvo należą do pań? - zapytał Alan.

- Ford jest mój - odpowiedziała druga z nich. - Wszystkie przyjechałyśmy razem. Nie wiem, czyje jest to volvo. Czy to chodzi o naklejkę z firmy ubezpieczeniowej? Naklejka jest stara? Mój syn obiecał się zająć tą naklejką, ale on jest taki zapominalski! Ma już czterdzieści trzy lata i ciągle muszę mu pow...

- Naklejka jest w porządku, szanowna pani - powiedział Alan i zdobył się na swój najlepszy policjant - jest - waszym - przyjacielem uśmiech. - Żadna z pań nie widziała wjeżdżającego volvo?

Potrząsnęły przecząco głowami.

- Gzy w ciągu ostatnich kilku minut nie widziałyście kogoś, do kogo mogłoby ono należeć?

- Nie - odpowiedziała trzecia z nich. Popatrzyła na niego drobnymi, bystrymi oczami wiewiórki. - Jest pan na tropie, panie władzo?

- Przepraszam panią?

- Chodzi mi o to, czy ściga pan kryminalistę?

- Aha. - Poczuję się trochę jak w nierzeczywistym świecie. Co on tu właściwie robi? Co właściwie myślał, wybierając się w to miejsce? - Nie, proszę pani. Po prostu lubię volvo. - O rany, to dopiero błyskotliwa odpowiedź. Zabrzmiało to po prostu... kurewsko... wystrzałowo.

- Aha - powiedziała pierwsza ze starszych pań. - No cóż, nikogo nie widziałyśmy. Ma pan ochotę na kawę? Sądzę, że akurat została jeszcze jedna spora filiżanka.

- Nie, dziękuję - powiedział Alan. - Życzę paniom miłego dnia.

- My panu też, panie władzo. - Odpowiedziały trzyosobowym, niemal idealnie harmonijnym chórkim. Alan nigdy nie czuł się tak nierealnie jak w tej chwili.

Wrócił do volvo. Nacisnął klamkę od strony kierowcy. Drzwi były otwarte. W środku żar przypominał rozgrzany strych. Auto musiało stać już dobrą chwilę. Popatrzył na tylne siedzenie. Na podłodze zobaczył opakowanie, nie większe niż po niskokalorycznym batonie. Pochylił się i podniósł je.

Na opakowaniu był napis: CHUSTECZKA DO RĄK. Alan poczuł, że do żołądka ktoś

spuścił mu kulę do kręgli.

„ To nic nie znaczy – natychmiast odezwał się głos Procedury i Rozsądku. – Przynajmniej nie na sto procent. Wiem, co myślisz: myślisz o niemowlakach. Ale takie chusteczki do rąk wydają też w przydrożnych straganach ze smażonymi kurczakami. Alan, na miłość boską!”

Niemniej jednak...

Włożył chusteczkę do kieszeni bluzy mundurowej i wysiadł z wozu. Już chciał zatrzaskać drzwi, ale wsadził jeszcze raz głowę do środka. Usiłował zajrzeć pod deskę rozdzielczą i nie udawało mu się. Musiał klęknąć.

Znow ktoś spuścił kulę. Wydał zduszony dźwięk – taki, z jakim mężczyzna przyjmuje mocny cios.

Przewody stacyjki zwisały. Miedziane rdzenie były nagie i lekko skręcone. Alan wiedział, że zostały splecione, kiedy połączono je razem. Volvo wprowadzono w ruch spinając przewody na krótko. Zrobiono to bardzo fachowo. Kiedy wprowadzono samochód na parking, kierowca złapał za izolowany odcinek przewodów, szarpnął i silnik zgasł.

Więc to była prawda... przynajmniej częściowa prawda. Wielkie pytanie brzmiało: jak duża była ta część? Zaczął się czuć jak człowiek, który coraz bardziej zbliża się do grożącej śmiercią przepaści.

Wsiadł do swojego wozu, zapalił silnik i zdjął mikrofon z haka.

„ O jakiej prawdzie opowiadasz? – szepnęły Procedura i Rozsądek. Boże, ten głos mógł doprowadzić do szaleń stwa. – Ktoś jest w letnim domu Beaumontów? Tak, to może być prawda. Ktoś nazywający się George Stark wyprowadził czarne toronado z obory Puchatego Martina? Alan, przestań !”

Dwie myśli niemal jednocześnie przysły mu do głowy. Po pierwsze, jeśli skontaktuje się z Henrym Paytonem, tak jak kazał Harrison, może nigdy się nie dowie, jak się to wszystko sfinalizuje. Trakt do Jeziora, przy którym stał dom Beaumontów, koń czył się ślepo. Policja stanowa zakaze mu tam podjeżdżać; przecież podejrzany więzi Lizę i bliźnięta, a dokonał przedtem co najmniej pół tuzina morderstw, więc nie pozwolą zbliżyć się do domu pojedynczemu funkcjonariuszowi. Każą mu tylko ustawić blokadę drogową i nic więcej, a sami poślą kawalkadę aut, może śmigłowiec, i na ile ich Alan znał, kilka niszczycieli i klucz samolotów bojowych.

Po drugie, pomyślał o Starku.

Oni nie pomyślą o Starku. Stark im nawet do głowy nie przyjdzie.

A co, jeśli Stark jednak żyje?

Jeśli tak, to posłanie oddziału przygłupich policjantów stanowych na Trakt do Jeziora będzie tym samym, co wrzucenie ich do maszynki do mięsa.

Odwiesił mikrofon. Pojedzie tam. Sam, Może to błąd. To pewnie jest błąd, ale trudno. Można żyć wiedząc, że palnęło się głupstwo; Bóg wie, że Alan Pangborn już tego doświadczył. Ale nie będzie mógł żyć wiedząc, że spowodował śmierć kobiety i dwojga malutkich dzieci, wezwawszy przez radio posiłki, zanim zapoznał się z sytuacją.

Alan wyjechał z parkingu i skierował się ku Traktowi do Jeziora.

Przybycie wróbli

Thad ani razu nie wjechał na autostradę (Stark polecił Lizie z niej skorzystać, co skróciło przejazd o pół godziny), musiał więc minąć albo Lewiston – Auburn, albo Oxford. L.A., jak tubylcy je nazywali, było znacznie większą metropolią... ale koszary policji stanowej mieściły się w Oxfordzie.

Wybrał Lewiston – Auburn.

Stał na skrzyżowaniu ze światłami, bez przerwy wypatrując w lusterku wozów policyjnych, gdy myśl, która po raz pierwszy wyraźnie zaświtała mu w głowie, kiedy rozmawiał z Rawliem na złomowisku, nawiedziła go po raz wtóry. Tym razem nie przeleciała przez głowę jak motylek, lecz spadła jak kowadło.

„ Ja wiem. Ja rządę wróblami. Ja je sprowadzam” .

„ Tu działa magia – pomyślał Thad – każdy magik wart choć trochę tego miana musi mieć magiczną różdżkę. To oczywiste. Ja na szczęście wiem, gdzie mogę znaleźć swoją. Prawdę mówiąc, wiem, gdzie sprzedają różdżki w dowolnych ilościach” .

Najbliższy sklep papierniczy był na Court Street. Tam skierował się Thad. Był pewien, że w Castle Rock leżą czarne piёнknisie Berola i był równie pewien, że Stark przywiezie własne ołówki, ale on sam ich nie chciał. Chciał za to takich, których Stark nigdy nie dotykał ani własnymi palcami, ani za pośrednictwem swego brata bliźniaka.

O pół kwartału od sklepu Thad znalazł miejsce na zaparkowanie samochodu. Zgasił silnik volkswagena (wyłączył się z trudem, zarzęził wpierw i zakaszlał jak gruźlik). Wysiadł. Lepiej się poczuł, uciekwszy na świeże powietrze od ducha fajki Rawliego.

W papierniczym kupił pudełko czarnych piёнknisi. Zapytał, czy może je zatemperować. Sprzedawca wskazał strugaczkę przybitą do ściany. Thad naostrzył sześć ołówków. Włożył do kieszonki na piersi, jeden obok drugiego. Grafitowe czubki sterczały jak główce małych

śmiercionośnych pocisków.

„ Presto i abrakadabra – pomyślał. – Czas zacząć maskaradę” .

Wrócił do samochodu, wsiadł i siedział spokojnie przez kilka chwil, pocąc się w duchocie i cicho podśpiewując Johna Wesleya Hardinga. Przypomniawszy sobie prawie cały tekst. To naprawdę zadziwiające, do czego zdolny jest ludzki umysł w sytuacji kryzysowej.

„ To może się okazać bardzo, bardzo niebezpieczne” – pomyślał. Ale niewiele się tym przejął. W gruncie rzeczy nie nikt inny tylko on wydał na świat George’a Starka i był za niego odpowiedzialny. To niezbyt sprawiedliwe; tworząc George’a nie miał żadnych złych intencji. Bez względu na to, co groziło jego żonie i dzieciom, nie mógł się przecież porównywać z tymi haniebnymi lekarzami, panami Jekylllem i Frankensteinem. Nie nastawiał się na napisanie serii powieści, która przyniesie mu górę pieniędzy, i na pewno nie nastawiał się na stworzenie potwora. Usiłował tylko znaleźć sposób na obejście skały, która zablokowała jego pisarską ścieżkę. Chciał tylko znaleźć sposób na napisanie kolejnej fajnej opowiadki, bo to zajęcie dawało mu szczęście.

Zamiast tego złapał jakąś nadprzyrodzoną chorobę. A przecież wiele chorób dopadało ludzi, którzy niczym na nie nie zasłużyli. Takie przyjemności, jak paraliż mózgu, zanik mięśni, epilepsja, choroba Alzheimera. Ale kiedy już raz dopadły człowieka, trzeba było stawić im czoło. Jak nazywał się ten stary teleturniej? Nazwij to i jest twoje?

Ale to może okazać się bardzo niebezpieczne dla Lizy i dzieci – upierał się, całkiem zresztą logicznie, umysł.

Tak. Operacja mózgu też może okazać się niebezpieczna... ale gdy wiadomo, że rośnie w głowie guz, jaki wybór pozostaje?

„ On będzie na nie patrzył. Oglądał. Ołówki są w porządku, może nawet przypadną mu do gustu. Ale jeśli wyczuje, jak chcę się nimi posłużyć, jeśli dowie się o świstawce na ptaki... jeśli zgadnie, co wiąże się z wróblami... diabła tam, jeśli choćby zgadnie, że jest coś do zgadnięcia... to siedzę po uszy w gównie” .

„ Ale to się może udać – szepnął inny głos w jego umyśle. – Do cholery, wiesz, że to może udać się” .

Tak, wiedział o tym. I ponieważ w głębi serca był przeświadczony, że nie może zrobić nic innego, włączył silnik i skierował się do Castle Rock.

Po piętnastu minutach miał Auburn za sobą i znów znalazł się wśród pól. Jechał na zachód w kierunku pojezierza.

Przez ostatnie czterdzieści mil podróży Stark nieprzerwanie opowiadał o Stalowej maszynie – książce, którą miał pisać razem z Thadem. Kiedy Liza otwierała drzwi domu, pomógł przy dzieciach; jedną rękę trzymał cały czas swobodną, tak by szybko sięgnąć po broń zatknietą za pasek, w razie gdyby Liza spróbowała jakiegoś numeru. Dotychczas miała nadzieję, że przynajmniej na niektórych podjazdach odchodzących od Traktu do Jeziora będą stały samochody, miała nadzieję, że usłyszy ludzkie głosy albo warkot pił, ale tylko buczały usypiająco owady i ryczał silnik toronado. Skurwysyn miał szczęście jak sam diabeł.

Podczas wyładowywania i przenoszenia bagaży Stark gadał i gadał. Nie przestawał opowiadać nawet wtedy, kiedy brzytwą odcinał wszystkie przewody telefoniczne w domu. Zostawił tylko jeden czynny aparat. A książka zapowiadała się świetnie. To dopiero było przerażające. Naprawdę robiła znakomite wrażenie. Mogła dorównać – a nawet przebić – Tak jak to robi Maszyna.

– Muszę skorzystać z toalety – wpadła Liza Starkowi w pół słowa, kiedy bagaże znalazły się w domu.

– W porządku – powiedział łagodnie i popatrzył na nią. Po przyjeździe zdjął okulary. Nie mogła znieść widoku tych wytrzeszczonych szklistych oczu. Odwróciła twarz. – Już za tobą idę.

– Wolę być sama, kiedy się załatwiam. Ty nie?

– Mnie to nie robi żadnej różnicy – rzekł z wyraźnym rozbawieniem. Emanował radością, odkąd zjechali z autostrady w Great Falls. Zachowywał się jak człowiek, który wie, że wszystkie sprawy ułożą się jak najlepiej.

– Ale mnie robi – odezwała się do niego jak do szczególnie tumanowatego dziecka. Palce podwinęła jak szpony. Wyobraziła sobie, że wydrapuje te wytrzeszczone ślepia z rozwalających się oczodołów... a kiedy zdobyła się na krótkie zerknięcie i zobaczyła rozbawioną twarz, zrozumiała, że on wie, co ona myśli i czuje.

– Stanę tylko w progu – powiedział z udaną pokorą. – Będę grzecznym chłopcem. Nie będę podglądał.

Niemowlęta, przejęte, pełzały po dywanie w bawialni. Były uradowane, gadatliwe, pełne animuszu. Wydawały się zachwycone przyjazdem do domu, który odwiedziły tylko raz podczas długiego zimowego weekendu.

– Nie mogą zostać same – oznajmiła Liza. – Toaleta jest w łazience przy głównej sypialni. Narobią jakiegoś nieszczęścia.

- Żaden problem, Beth - odparł Stark i bez wysiłku wziął je na ręce. Do dzisiejszego przedpołudnia była przekonana, że gdyby zrobił to ktoś inny poza nią i Thadem, William i Wendy rozdarłyby się wniebogłosy. Ale kiedy Stark je brał, zachichotały pogodnie, jakby spotkała je najzabawniejsza rzecz pod słońcem. - Zaniosę je do łazienki i zamiast na ciebie będę uważał na nie. - Popatrzył na Lizę z nagłym chłodem. - Będę je miał na oku. Nie chcę, żeby im się coś stało, Beth. Lubię je. Jak im się coś stanie, to nie z mojej winy.

Poszła do łazienki. Zgodnie z obietnicą Stark stanął w progu tyłem do niej, obserwując bliźnięta. Podniosła spódniczkę, spuściła majtki. Miała nadzieję, że Stark dotrzyma słowa. Jeśli odwróci się i ujrzy ją siedzącą na kłopotach, ona od tego nie umrze... ale jeśli ujrzy ukryte w jej bieliznie nożyce, to może umrzeć.

Jak zwykle, kiedy chciała szybko się załatwić, pęcherz zawzięcie opierał się jej woli. „No już, już - poganiała go z mieszaniną gniewu i irytacji. - O co ci chodzi, myślisz, że dostaniesz odsetki za gromadzenie tego płynu?”

Wreszcie. Ulga.

- Ale kiedy usiłowali wydostać się z obory - mówił Stark - Maszyna zapala benzynę, którą w nocy wleli do rowu wokół zabudowań. Czy to nie kapitalne? Beth, w tym jest materiał na kino. Te dupki od filmów uwielbiają pożary.

Podtarła się. Bardzo ostrożnie podciągnęła majtki. Poprawiając ubranie, oczy miała jak przyklejone do pleców Starka. Modliła się, żeby się nie obejrzał. Nie obejrzał się. Zagłębił się w swej opowieści.

- Westerman i Jack Rangely dają dyla do środka. Planują samochodem przedrzeć się przez ogień. Ale Ellington wpada w panikę i...

Nagle przerwał, przekrzywił na bok głowę. Odwrócił się do Lizy, właśnie kiedy wygładzała spódniczkę.

- Wyłaź! - rzucił. Rozbawienie znikło bez śladu. - Wypierdalaj w podskokach!

- O co...?

Złapał ją za ramię i brutalnie wepchnął do sypialni. Wszedł do łazienki, otworzył apteczkę.

- Mamy towarzystwo, a to za wcześnie na Thada.

- Nie...

- Słyszę samochód - powiedział krótko. - Potężny silnik. Może policyjny wóz pościgowy. Słyszysz?

Zatrzasnął drzwiczki apteczki, szarpnięciem otworzył szafkę obok umywalki. Znalazł rolkę przylepca, wyjął z opakowania.

Nic nie słyszała. Powiedziała mu o tym.

- Nie szkodzi - rzekł - ja słyszę za nas dwoje. Ręce do tyłu.

- Co chcesz...?

- Zamknij ryj, załóż ręce do tyłu!

Zrobiła, co kazał, i natychmiast skrepował jej ręce. Poprowadził taśmę na krzyż, do przodu i do tyłu. Jeszcze raz. Zaplótł w ciasne ósemki.

- Zgasił silnik - powiedział. - Ćwierć mili stąd. Ktoś stara się być sprytny.

Wydało się jej, że w ostatnim momencie dosłyszała silnik, ale mogła ulec sugestii. Gdyby nie skupiła się maksymalnie, nie dotarłoby do niej nic. Dobry Boże, jaki ostry słuch miał ten człowiek.

- Muszę przeciąć przylepiec - oznajmił. - Wybacz, Beth, że cię pomacam. Nie czas na formy.

I nim się zorientowała, co robi, sięgnął jej pod spódniczkę. Wyciągnął nożyce, nawet nie drasnąwszy skóry agrafkami.

Przeciął przylepiec. Znów ujrzała na jego twarzy rozbawienie.

- Zobaczyłeś - powiedziała głucho. - Jednak zobaczyłeś, jak sterczą.

- Nożyce? - Zaśmiał się. - Zobaczyłem, ale nie przez spódniczkę. Zobaczyłem je w twoich oczach, słodka Bethie. Jeszcze w Ludlow. Wiedziałem, gdzie są, kiedy tylko zesłaś z piętra.

Ukląkł przed nią z taśmą. Jak absurdalna i groźna podobizna zalotnika proszącego o rękę. Wtem podniósł wzrok.

- Tylko niech nie wpadnie ci do łba kopnąć mnie albo coś w tym guście. Nie jestem pewien, ale to chyba gliniarz, i choćbym nawet chciał, nie mam teraz czasu na zabawy chuja żcipką. Więc nie ruszaj się.

- Dzieci...

- Zamknę drzwi - powiedział Stark. - Dzieci nie dostaną do gałki, nawet gdyby się wyprostowały. Może zjedzą kilka kłębków kurzu spod łóżka, ale to największe niebezpieczeństwo, jakie im grozi. Zaraz wracam.

Teraz przylepiec biegał ósemkami wokół kostek u nóg. Stark przeciął go, wstał.

- Bądź grzeczna, Beth. Nie zapodziej swoich radosnych myśli. Bo zapłacisz za to... ale najpierw będziesz musiała patrzeć, jak one płacą pierwsze.

Zamknął za sobą drzwi łazienki, sypialni i przepadł. Poruszał się z szybkością wytrawnego magika.

Pomyślał o strzelbie zamkniętej w szopie ze sprzętem gospodarskim. Czy naboje też

tam są? Na pewno. Na wysokiej półce leży pół pudełka naboju winchestera, kalibru 22, long rifle.

Liza zaczęła trześć przegubami w przód i w tył. Stark przewinał plaster bardzo zręcznie i przez moment nie była nawet pewna, czy zdoła choćby rozluźnić węzły, co dopiero wyswobodzić ręce.

Po chwili poczuła lekki luz i przyspieszyła ruchy. Dyszała.

William podczołgał się do mamy, położył rączki na jej nodze i popatrzył pytająco w oczy.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała z uśmiechem.

Will odpowiedział uśmiechem i odczołgał się w poszukiwaniu siostrzyczki. Liza szybkim ruchem głowy odrzuciła z czoła lok spoconych włosów i znów tarła ręce w przód i w tył, w przód i w tył. Nieprzerwanie.

Trakt do Jeziora wydał się Alanowi Pangbornowi kompletnie bezludny... przynajmniej do tego miejsca, dokąd odważył się dojechać, to znaczy do szóstego podjazdu. Mógł jeszcze bardziej się przybliżyć; z tej odległości dźwięk silnika nie doleciałby do domu Beaumontów, zwłaszcza, że po drodze były jeszcze dwa wzgórza - ale lepiej dmuchać na zimne. Zjechał do zbudowanego na planie litery „A” domu Williamsów, na co dzień obywateli Lynn, Massachusetts; zaparkował na dywanie igieł pod starą srebrzystą sosną, zgasił silnik i wysiadł.

Wszędzie siedziały wróble.

Na krawędzi dachu. Na wysokich konarach drzew otaczających budowlę. Przycupnęły na kamieniach przy jeziorze; przepychały się na pomoście - było ich tak wiele, że zasłoniły deski. Przybyły całymi setkami.

W zupełnej ciszy przyglądały się szeryfowi czarnymi oczkami.

- O Jezu - szepnął.

Świerszcze grały w nie strzyżonej trawie okalającej podmurówkę. Fale tłukły o pomost. Buczał samolot lecący do New Hampshire. Poza tym panowała cisza. Na jeziorze nie warkotała nawet jedna motorówka.

Tylko te ptaki.

Nic, tylko ptaki.

Alan poczuł lęk, uparcie rozłazący się po kościach. Widywał wróble zbierające się w

stada wiosną lub jesienią, czasem po sto albo dwieście sztuk, ale nigdy w życiu nie widział czegoś podobnego.

„Przyleciały po Thada... czy po Starka?”

Popatrzył na mikrofon. A może jednak dać znać? To było po prostu zbyt dziwne, zbyt oszałamiające.

„A co, gdy wszystkie równocześnie zerwą się do lotu? Jeśli on już tu przybył i jest czujny, ^{tak} jak Thad opowiadał, usłyszysz je. Nie ma gadania. Usłyszysz znakomicie”.

Zaczął iść. Wróble nie drgnęły... ale kolejne stado opadło na drzewo. Otaczały go teraz spozierając z góry, jak przysięgli o kamiennych sercach spozierają na mordercę siedzącego na ławie oskarżonych. Wolne od nich było pobocze drogi i las przy Trakcie do Jeziora.

Alan zdecydował się pójść tym szlakiem.

Nawiedziła go nieprzyjemna myśl – niemal pewne przekonanie – że zjawiając się tu popełnił największą omyłkę w swej zawodowej karierze.

„Zrobię tylko rekonesans wokół domu Beaumontów – pomyślał. – Jeśli ptaki nie polecą, a chyba nie chcą lecieć, nie powinno mi się nic stać. Cofnę się podjazdem, przetnę Trakt i pójde do domu Beaumontów lasem. Jeśli toronado tam stoi, zobaczę je. Jeśli zobaczę je, może zobaczę jego. A wtedy przynajmniej się dowiem, z kim mam do czynienia. Dowiem się, czy to Thad, czy... ktoś inny”.

Nawiedziła go również i inna myśl. Alan ledwie dopuszczał ją do świadomości, nie chcąc kusić losu. Jeśli już zobaczy właściciela czarnego toronado, może będzie miał czystą pozycję strzelecką. Może uda mu się zdmuchnąć drania i skoń czyć wszystko raz na zawsze. Jeśli do tego dojdzie, czeka go ciężki o – pe – er od policji stanowej za działanie sprzeczne z rozkazami... ale Liza i dzieciaki będą bezpieczne. W tym momencie wszystko inne było mu obojętne.

Kolejne wróble bezszelestnie sfrunęły na dół. Pokrywały coraz więcej asfaltowej nawierzchni podjazdu Williamsów, siadając coraz dalej ód domu. Jeden wylądował niecałe pięć stóp od Alana. Szeryf zrobił ruch, jakby chciał go kopnąć, i natychmiast tego pożałował, na wpół oczekując, że ptak – a razem z nim całe monstrualne stado – natychmiast uniesie się w niebo.

Ale wróbel tylko odskoczył. Nic więcej.

Inny wylądował Alanowi na ramieniu. Niewiarygodne! A jednak siedział tam. Alan spędził go ruchem ręki i ptak skoczył mu na dłoń. Pochylił łebek, jakby chciał dziobnąć... i zamarł. Szeryfowi mocno biło serce. Powoli opuścił dłoń. Ptak zeskokczył, machnął

skrzydłami i wylądował na podjeździe obok swych braci. Spoglądał świdrującymi, nieprzeniknionymi oczyma.

Alan przełknął ślinę. Usłyszał wyraźny trzask w gardle.

- O co wam chodzi? - zamruczał. - O co wam, kurwa, chodzi?

Wróble tylko patrzyły na niego. Teraz każda sosna i każdy klon po tej stronie jeziora Castle były pełne ptaków. Jakaś gałąź trzeszczała pod ich ciężarem.

„Ptaki mają puste kości - pomyślał. - Ważą tyle co nic. Ile musiało się władować na gałąź, żeby zatrzęszczała?”

Nie wiedział. Nie chciał wiedzieć.

Odpiął pasek na swojej trzydziestceósemce i wycofał się w górę stromej pochyłości podjazdu Williamsów. Był dalej od ptaków. Zanim dotarł do Traktu, polnej drogi, gdzie między koleinami rosła trawiasta wstęga, pot zlał mu twarz, a koszula była mokrusieńka. Rozejrzał się. Ptaki zajmowały całą pokonaną przez niego drogę - obsiadły dach służbowego wozu, bagażnik, maskę, światła alarmowe - ale tu jeszcze nie dotarły.

„Zachowują się tak - pomyślał - jakby nie chciały się zbliżyć... przynajmniej jeszcze nie. Jakby wyczekiwały”.

Popatrzył w lewo i prawo. Miał nadzieję, że zasłaniają go wysokie krzewy sumaka. Sam nie dostrzegł żywej duszy. Widział tylko wróble, które obsiadły stok spadający do domu Williamsów. Słyszał tylko świerszcze i kilka moskitów brzęczących koło twarzy.

Dobrze.

Wcisnął głowę w ramiona i błyskawicznie jak żołnierz na terytorium wroga przeciął Trakt. Przeskoczył zarośnięty chwastami, zarzucony kamieniami rów odpływowy i znikł wśród drzew. Ukryty w lesie, szybko i cicho ruszył do letniego domu Beaumontów.

Wschodni brzeg jeziora Castle leżał u stóp długiego, stromego stoku. Trakt do Jeziora biegł w połowie pochyłości. Większość domów stała niżej, tak daleko od drogi, że Alan widział tylko dachy. Znajdował się dwadzieścia jardów od szczytu wzgórza. Od czasu do czasu zupełnie tracił z oczu domy, ale że widział Trakt i odchodzące podjazdy, był pewny, że jeśli tylko nie pomylił się w liczeniu, trafi na właściwy.

Kiedy dotarł do piątego podjazdu licząc od domu Williamsów, zatrzymał się. Obejrzał się sprawdzając, czy wróble posuwają się za nim. Wariactwo, ale trudno od niego uciec. Ani śladu ptaków. Przyszło mu do głowy, że może przeciążony umysł wymyślił całą sprawę.

„ Daj spokój. Nic sobie nie wymyśliłeś. One tam były... i nadal są

”
Popatrzył na podjazd domu Beaumontów. Niczego nie zauważył ze swego punktu

obserwacyjnego. Skulony ruszył wolno w dół. Poruszał się cicho i właśnie gratulował sobie przebiegłości, gdy George Stark wsadził mu lufę w lewe ucho i rzekł:

– Rusz się, druhu, a masz mózg na prawym barku.

Obrócił głowę. Powoli, powoli, powoli.

To, co zobaczył, sprawiło, że prawie pożałował, iż nie urodził się ślepy.

– Pewnie nie mam szans wylądować na okładce magazynu dla eleganckich panów, co?

– zapytał Stark. Uśmiechał się. Ten grymas pokazywał dziąsła i więcej zębów (oraz dziur po nich), niż mógł ujawnić najszerszy uśmiech. Twarz pokrywały wrzody. Skóra jakby osuwała się z tkanki mięśniowej. Ale to nie cały koszmar – nie to sprawiło, że żołądkiem Alana targnęły fale grozy i obrzydzenia. Coś było nie w porządku z samym szkieletem twarzy faceta. Żeby chociaż zwyczajniegnił! Nie. Przechodził jakąś koszmarną mutację.

Mimo to Alan wiedział, kim jest facet z bronią.

Jego włosy, zlepione jak stara peruka przyklejona do słomianego łba stracha na wróble, były koloru blond. Ramiona miał prawie tak szerokie jak futbolista w pełnym rynsztunku. Stał swobodnie. Mimo nieruchomej pozy widać było, że potrafi poruszać się lekko i z gracją. Patrzył na Alana z rozbawieniem.

Oto człowiek, który nie powinien istnieć, który nie istniał.

Oto pan George Stark, godny skurwysyn z Oxfordu, Missisipi.

A więc to wszystko prawda.

– Witamy w wesołym miasteczku, stary koniu – przyjaźnie rzekł Stark. – Jak na takiego drągala ruszasz się znakomicie. Z początku mało cię nie przegapiłem, choć wypatrywałem za tobą oczy. Zejdźmy do domu. Chcę, żebyś się zapoznał z pewną kobitką. A jak zrobisz jeden fałszywy ruch, ty będziesz martwy, ona będzie martwa i cacane dzieciaczki będą martwe. Nie mam nic do stracenia na tym wielkim, ogromnym świecie. Czy wierzysz mi?

Stark wyszczerzył się do niego gnijącą, niesamowitą twarzą. Świerszcze nadal grały w trawie. Daleko na jeziorze nur podniósł słodki, przeszywający serce krzyk. Alan z całych sił zapragnął być tym ptakiem, ponieważ kiedy spoglądał w wybałuszone oczy Starka, zobaczył w nich śmierć... i nic więcej. Bo pustka to nicość, prawda?

Uświadomił sobie z idealną jasnością, że nigdy nie zobaczy już żony i dzieci.

- Wierzę ci - powiedział.

- No, to rzuć broń w krzaki i chodźmy.

Alan wykonał polecenie. Stark ruszył za nim. Dotarli do drogi. Minęli ją i zeszli do domu Beaumontów. Wzniesiony na grubych palach sterczał na zboczu jak plażowa rezydencja w Malibu. Alan nie dopatrzył się w pobliżu żadnego wróbla. Ani jednego.

Przed drzwiami wejściowymi stało toronado, tarantula połyskująca czernią w popołudniowym słońcu. Wyglądało jak pocisk. Oszołomiony Alan przeczytał naklejkę na zderzaku. Wszystko docierało do niego dziwnie przytępione, dziwnie złagodzone, jakby pograżył się w sen, z którego się niebawem otrząśnie.

„Lepiej tak nie myśl - ostrzegł się w myślach. - To może doprowadzić cię do zguby

”
Zabawne, czym się przejmuję. Przecież już był trupem, co nie? Zaledwie przed chwilą czaił się, aby przemknąć przez Trakt jak Karate Kid; tylko się dobrze rozejrzę, mistrzu, zorientuję w sytuacji i... Stark najzwyczajniej w świecie przystawił mu pistolet do ucha, kazał rzucić rewolwer. Po balu.

„Nie słyszałem go, nawet nie wyczułem. Ludzie mówią, że poruszam się cicho, ale przy tym facecie to hałasuję jak bawół” .

- Podoba ci się moja bryka? - zapytał Stark.

- W tej chwili każdemu funkcjonariuszowi policji w Maine podoba się twoja bryka - powiedział Alan. - Każdy jej szuka.

Stark roześmiał się serdecznie.

- Jakoś trudno mi w to uwierzyć. Nie wiem czemu. - Lufą pistoletu pchnął Alana w krzyż. - Ładuj się do środka, mój miły zacny druhu. Zaczekamy sobie na Thada. A kiedy się zjawi, to zaczniemy prawdziwe tańce i łamańce.

Alan spojrzał na otwartą dłoń Starka i zobaczył coś wyjątkowo dziwnego. Nie miała linii. Ani jednej.

- Alan! - krzyknęła Liza. - Dobrze się czujesz?

- Jeśli mężczyzna, który wyszedł na skóń czoną dupę wołową, może czuć się dobrze, to tak, czuję się dobrze - powiedział Alan.

- Facet twojego pokroju nie mógł uwierzyć w całą tę historię - pocieszył go łagodnie Stark. Wskazał na nożyczki, które przed wyjściem położył poza zasięgiem bliźniąt na jednej z nocnych szafek, stojących po obu stronach wielkiego podwójnego łóża. - Rozetnij przyklepiec

na jej nogach, funkcjonariuszu Alanie. Rękami nie musisz się przejmować; wygląda, że sama sobie z nimi poradziła. A może jesteś „dowódcą Alanem” ?

- Szeryfem - powiedział i pomyślał: „Wie o tym. Zna mnie - szeryfa Alana z okręgu Castle - bo Thad mnie zna. Ale nawet kiedy ma wszystko jak na dłoni, nie sprzedaje tego, co wie. Jest chytry jak łasica, która wyrobiła sobie reputację rozbojami w kurnikach”

Po raz drugi ogarnęło go ponure przekonanie o nadchodzącym końcu. Skierował myśli ku wróblom, ponieważ wydawały mu się jedynym elementem tego koszmaru, o którym George Stark nie wiedział. Ale opamiętał się. Facet jest zbyt bystry. Zobaczy w jego oczach nadzieję... i zacznie się zastanawiać, co ona oznacza.

Alan przeciął nożycami przylepiec na nogach Lizy, choć uwolniła już jedną rękę i zaczęła odwijać plaster z kostek.

- Zrobisz mi krzywdę? - zapytała z obawą Starka. Podniosła ręce, demonstrując czerwone ślady na przegubach, jakby to mogło go powstrzymać.

- Nie. - Uśmiechał się lekko. - Nie mogę mieć do ciebie pretensji za to, że postępujesz zgodnie ze swoją naturą, prawda, miła Beth?

Popatrzyła na niego z lękiem i obrzydzeniem i zajęła się dziećmi. Zapytała Starka, czy może zabrać je do kuchni i dać jeść. Spały, dopóki Stark nie zatrzymał ukradzionego volvo na parkingu. Teraz żwawo baraszkowały.

- Pewnie - powiedział. Wydawało się, iż jest w radosnym, optymistycznym nastroju... ale nie wypuszczał broni z ręki i bezustannie biegał wzrokiem od Lizy do Alana. - Może wszyscy pójdziemy? Chciałbym sobie pogadać z szeryfem.

Pomaszerowali do kuchni i Liza zaczęła przygotowywać posiłek dla bliźniąt. Była to urocza dwójka - tak urocza jak para króliczków. Patrząc na dzieci Alan przypomniał sobie dni, kiedy wraz z Annie byli dużo młodszy, kiedy Toby, obecnie w najstarszej klasie liceum, nosił jeszcze pieluchy, a do pojawienia się Todda miały upłynąć lata.

Bliźnięta czołgały się pełne zadowolenia z życia i od czasu do czasu musiał zmienić im marszrutę, zanim któreś zdążyło przewrócić krzesło lub uderzyć główką o stół.

Stark tymczasem mówił.

- Myślisz sobie, że cię zabiję. Nie zaprzeczaj, szeryfie. Czytam to w twoich oczach. Znam ten wyraz. Mogłbym skłamać i powiedzieć, że to nieprawda, ale chyba byś mi nie uwierzył. O ile się nie mylę, sam masz pewne doświadczenie w tych sprawach, czyż nie tak?

- Pewnie tak - powiedział Alan. - Ale ta sytuacja nieco... wykracza poza rutynowe zajęcia policjanta.

Stark odrzucił głowę i zaśmiał się. Bliźnięta popatrzyły na niego i też się zaśmiały.

Alan zerknął na Lizę. Miała na twarzy grozę i nienawiść. No i chyba jeszcze coś tam było, nieprawdaż? Tak. Zazdrość. Więc może George Stark jeszcze o czymś nie wiedział? Nie wiedział, jak niebezpieczna może okazać się ta kobieta.

Stark zarechotał.

- Masz zupełną rację! - Spowaźniał. Pochylił się do Alana. Zaleciało smrodem gnijącego ciała. - Ale to nie musi się tak skoń czyć. To pewne, że masz niewielką szansę wyjść stąd żywy, ale taka możliwość zawsze istnieje. Muszę tu coś zrobić. Trochę popisać. Thad pewnie mi pomoże - rzec można, zaleje pompę, żebym mógł zassać. Pewnie posiedzimy razem przez nockę, ale nim słoń ce wstanie, powinienem uporządkować sobie wszystko w głowie.

- On chce, żeby Thad nauczył go pisać - odezwała się Liza. - Mówi, że będą współpracować nad nową książką.

- Niedokładnie tak - powiedział Stark. Zmarszczka zniecierpliwienia naruszyła gładką powierzchnię jego dobrego nastroju. - On ma u mnie dług, wiesz. Może wiedział, jak pisać, zanim się pokazałem, ale to ja nauczyłem go, jak się pisze, żeby ludzie chcieli to czytać. ^{A na} co pisać, jeśli nikt nie chce tego czytać?

- Prawda? Tego nie potrafisz pojąć - rzuciła Liza.

- Chcę, żeby zrobił mi transfuzję - tłumaczył Alanowi Stark. - Czuję się tak, jakby wysiadł mi jakiś... jakiś gruczoł. Czasowo wysiadł. Thad chyba wie, jak wziąć go do galopu. Musi wiedzieć, bo stworzył mnie z siebie, sklonował. Rozumiesz, o co mi chodzi. Można chyba powiedzieć, że stworzył większość wyposażenia, jakim się posługuję.

„ O, nie, mój przyjacielu - pomyślał Alan. - To nie tak. Może o tym nie wiesz, ale to nie tak. Stworzyliście razem to wyposażenie, bo przez cały czas było was dwóch. Thad przed urodzeniem chciał skoń czyć z tobą i nie powiodło mu się. Minęło jedenaście lat i doktor Pritchard dobrał się do ciebie. Poskutkowało, ale tylko na chwilę. Wreszcie Thad cię przywołał. Zrobił to, ale nieświadomie... bo Pritchard nigdy nie opowiedział mu o twoim istnieniu. I zjawiłeś się, prawda? Duch zmarłego brata... ale równocześnie ktoś dużo większy i dużo mniejszy niż duch” .

Alan złapał Wendy przy kominku, zanim mała wpadła tyłem do skrzyni na polana.

Stark popatrzył na dzieci, potem na Alana.

- Wiesz, Thad i ja pochodzimy z długiej linii bliźniąt. Ja przyszedłem na świat po śmierci bliźniąt, które byłyby bratem i siostrą tych dzieciaków. Możesz to nazwać rodzajem transcendentального wyrównania rachunku.

- Nazywam to szaleń stwem - powiedział Alan. Stark zaśmiał się.

- Szczerze mówiąc, ja też. Ale stało się. Słowo ciałem się stało, rzecz można. Jak się stało, to nieważne - ważne, że tu jestem.

„ Mylisz się - pomyślał Alan. - To, jak się stało, jest ważne, jest w tej chwili najważniejsze. Jeśli nie dla ciebie, to dla nas... bo tylko to może nas uratować

” - Kiedy sprawy doszły do pewnego etapu, stworzyłem sam siebie - kontynuował Stark.
- Więc nic dziwnego, że mam kłopoty z pisaniem. Stworzenie siebie... na to potrzeba wiele energii. Takie rzeczy przecież nie zdarzają się codziennie, prawda?

- Niech Bóg broni - powiedziała Liza.

Trafiła Starka w czuły punkt albo blisko. Odwrócił głowę z szybkością atakującego węża. Tym razem to już nie zmarszczka zniecierpliwienia naruszyła pogodny nastrój.

- Lepiej przymknij jadaczkę, Beth - odezwał się nie podnosząc głosu - zanim sprowadzisz nieszczęście na kogoś, kto jeszcze sam nie mówi. Albo sama.

Liza spuściła wzrok na garnuszek grzejący się na piecyku. Chyba zbladła.

- Przynieś je tu, Alan, dobrze? - poprosiła cicho. - Jedzenie już gotowe.

Liza do karmienia wzięła na kolana Wendy, a Alan Williama. Zadziwiające, jak szybko odzyskuje się wprawę - pomyślał karmiąc tłuściutkiego chłopczyka. Wsadź łyżeczkę, przechyl, wyjmując zbierz z wargi i podbródka jak najwięcej, żeby nic nie uciekło na śliniaczek. Will ciągle sięgał po łyżeczkę. Dziękuję uprzejmie, ale mam tyle miesięcy i doświadczenia, że dam sobie radę sam. Alan łagodnie odradził mu samodzielność. Chłopczyk uspokoił się i zabrał na poważnie do jedzenia.

- Rzecz w tym, że możesz mi się przydać - powiedział Stark. Opierał się o kuchenną ladę. Jeździł w górę i w dół celownikiem pistoletu po kamizelce. Słychać było ostry szelest. Czy policja stanowa kazała ci przyjechać i sprawdzić dom? Dlatego tu jesteś?

Alan zastanowił się, czy nie skłamać. Po rozważeniu argumentów za i przeciw zdecydował, że bezpieczniej będzie mówić prawdę, głównie dlatego, że ten człowiek - jeśli to człowiek - niewątpliwie miał wbudowany niezwykle skuteczny wykrywacz kłamstw.

- Niedokładnie dlatego - rzekł i opowiedział Starkowi o telefonie Puchatego Martina.

Nie skoń czył jeszcze, a Stark pokiwał głową.

- Tak mi się wydało, że widzę błysk w oknie chałupy - zarechotał. Wyglądało, że odzyskał dobry nastrój. - Proszę, proszę! Wieśniacy zawsze byli ciekawskim ludkiem, prawda, szeryfie? Mają tak mało zajęć, że trudno ich o to winić! Więc co zrobiłeś po odłożeniu słuchawki?

Alan opowiedział mu i to. Nie kłamał, przekonany, że Stark wie, co zrobił - samo przybycie szeryfa wystarczało za odpowiedź. Zapewne chciał się tylko przekonać, czy szeryf

okaże się na tyle głupi, żeby oszukiwać.

Gdy skoń czył, Stark powiedział:

- W porządku, gra. Szeryfie Alanie, masz szansę walczyć o przeżycie całego następnego dnia. Teraz słuchaj, powiem ci dokładnie, co zrobimy, kiedy dzieciaki się napchają.

- Na pewno wiesz, co masz gadać? - powtórzył pytanie Stark. Stali we frontowym holu w pobliżu jedyne go czynnego telefonu.

- Tak.

- I nie będziesz próbował przemycić dyspozytorce żadnej ukrytej wiadomości?

- Nie.

- To dobrze - powiedział Stark. - To dobrze, bo wybrałbyś najgorszy moment na zabawę w piratów. Albo rozbójników. Nie zapominaj, jesteś już dorosły. Ktoś na pewno ucierpiałby z powodu twoich figli.

- Wolałbym, żebyś dał na chwilę spokój z tymi groźbami.

Uśmiech George'a urósł. Nabrał koszarnej okazałości. Stark wziął ze sobą Williama, żeby być pewnym posłuszeństwa Lizy. Połechtął niemowlę pod pachą.

- Nie potrafię - odparł. - Kiedy człowiek postępuje wbrew swojej naturze, ma zaparcia.

Telefon stał na stoliku przy szerokim oknie. Alan, podnosząc słuchawkę, omiół spojrzeniem zalesiony stok. Szukał wróbla, ale nie ujrzał żadnego. Przynajmniej na razie.

- Za czym spozierasz, stary koniu?

- Co? - Obejrzał się na Starka. Pozbawione wyrazu oczy spoglądały z gnijących oczodołów.

- Słyszałeś. - Stark wskazał ręką podjazd i toronado. - Nie patrzyłeś tak, jak człowiek zwyczajnie gapi się przez okno, bo ma je przed nosem. Miałeś wyraz twarzy faceta, który oczekuje, że coś zobaczy. Chcę wiedzieć co.

Alan poczuł w kręgosłupie zimny wężyk obłąkańczego strachu.

- Spodziewam się Thada - usłyszał swój spokojny głos. - Thada. Tak samo jak ty. Powinien niedługo przyjechać.

- Rozumiesz, że nie powinieneś nic ukrywać. Hm? - Stark uniósł Williama trochę wyżej. Przesuwał lufę w górę i w dół po krągłym brzuszku. Łaskotał. William zachichotał i łagodnie poklepał gnijący policzek, jakby mówił: przestań, nie gligłaj... ale dopiero za

chwileczkę, bo to milutkie.

- Rozumiem - powiedział Alan i usiłował przełknąć ślinę. Miał sucho w ustach.

Stark połaskotał pistoletem małe ki podbródek. Niemowlak zaśmiał się.

„ Jeśli Liza wyjdzie z kuchni i zobaczy, co on wyczynia, oszaleje” - spokojnie pomyślał Alan.

- Jesteś pewien, że niczego nie kryjesz, szeryfie Alanie? Nic na mnie nie szykujesz?

- Nic - odrzekł Alan. „ Tylko wróble siedzą w lesie i przy domu Williamsów” . - Nic ciebie ^{na} nie szykuje.

- W porządku. Wierzę ci. Przynajmniej na razie. Teraz do rzeczy, załatwmy nasze sprawy.

Alan wykręcił numer biura szeryfa okręgu Castle. Stark przysunął się blisko - tak blisko, że od jego gnilnej woni Alanowi zebrało się na wymioty - i słuchał.

Sheila Brigham podniosła słuchawkę od razu.

- No, cześć, Sheila - tu Alan. Jestem nad jeziorem. Próbowałem porozumieć się przez radio, ale wiesz, jaka stąd jest łączność.

- Żadna - powiedziała i roześmiała się.

Stark był rozbawiony.

Kiedy mężczyźni wyszli z kuchni, Liza wyciągnęła szufladę i wyjęła najdłuższy nóż. Zerknęła w kierunku holu wiedząc, że Stark w każdym momencie może się zjawić i sprawdzić, co ona robi. Ale jak do tej pory wszystko było w porządku. Słyszała, jak rozmawiają. Stark mówił coś o sposobie patrzenia Alana przez okno.

„ Muszę to zrobić - pomyślała - i to własnymi siłami. On nie odrywa oczu od Alana, a jeśli nawet uda mi się szepnąć coś Thadowi, to tylko pogorszy sprawę... bo on ma dostęp do umysłu Thada” .

Trzymając Wendy na rękach, zdjęła buty i szybko przemknęła boso do bawialni. Podeszła do sofy, z której można było obserwować jezioro. Wsunęła nóż pod falbanę tapicerki... ale nie za głęboko. Gdy siądzie na sofie, będzie miała go w zasięgu ręki.

A jeśli siądną na sofie razem z George'em Starkiem, będzie miała George'a w zasięgu ręki.

„ Mogę go do tego skłonić - pomyślała, szybko wracając do kuchni. - A tak, mogę. Podobam mu się. To okropne... ale nie tak okropne, żeby tego nie wykorzystać” .

Weszła do kuchni spodziewając się Starka, uśmiechającego się szeroko tym swoim strasznym, zniekształconym uśmiechem, wystawiającego resztki zębów na pokaz. Ale pomieszczenie było puste. Głos Alana, mówiącego do telefonu, nadal dobiegał z holu. Wyobraziła sobie Starka stojącego obok szeryfa i wsłuchanego w rozmowę. Więc przynajmniej to się udało. Pomyślała: „Przy odrobinie szczęścia George Stark będzie trupem, zanim Thad przyjedzie”.

Nie chciała, żeby doszło do ich spotkania. Nie rozumiała dokładnie, dlaczego tak bardzo chce temu zapobiec, ale wiedziała jedno: lękała się, że współpraca może się udać, a jeszcze bardziej lękała się owoców ewentualnego sukcesu.

W końcu tylko jedna osoba może sobie rościć prawo do dwoistych osobowości Thada Beaumonta i George'a Starka. Tylko jedna fizyczna istota może przeżyć to podstawowe rozdarcie. Jeśli Thad faktycznie zdoła „popchnąć” Starka, jeśli Stark zacznie sam pisać, czy jego rany i wrzody zaczną się goić?

Liza uważała, że tak. Uważała nawet, że Stark może przybrać oblicze i postać jej męża.

A potem jak długo potrwa (zakładając, że Stark zostawi ich przy życiu i uda mu się zbiec), nim pierwsze wrzody pokażą się na twarzy Thada?

Chyba niezbyt długo. I bardzo wåtpliwe, czy Stark kiwnie palcem, żeby uratować Thada przed gniciem i kompletnym rozkładem. Thad zapodzieje wszystkie swoje radosne myśli.

Liza wsunęła stopy w obuwie i zaczęła sprzątać po wczesnej kolacji bliźniąt. „Ty draniu – myślała ścierając ladę, a potem puszczając gorącą wodę do zlewu. – Ty jesteś tylko pseudonimem, ty jesteś tylko intruzem, nie mój mąż”. Nalała do zlewu płynu do zmywania naczyń i podeszła do drzwi bawialni sprawdzić, co porabia Wendy. Czołgała się po podłodze. Zapewne poszukiwała braciszka. Za przeszklonymi rozsuwanymi drzwiami wieczorne słońce stało jasnożółty szlak po niebieskich wodach jeziora Castle.

„Tu nie twoje miejsce. Jesteś potwornością, obelgą dla oka i umysłu
”
Popatrzyła na sofę. Długi ostry nóż, ukryty pod siedzeniem, leżał w zasięgu ręki.
„Ale ja mogę zaprowadzić z tobą porządek. I jeśli Bóg pozwoli, zaprowadzę”.

Smród Starka naprawdę dawał się Alanowi we znaki – szeryf obawiał się, że lada chwila rzygnie, ale usiłował nie dać nic poznać po sobie.

- Czy Norris Ridgewick jeszcze nie wrócił, Sheilo?

Stark zaczął znów łaskotać Williama czterdziestkąpiątką.

- Przykro mi Alanie, jeszcze nie.

- Jeśli przyjedzie, powiedz mu, żeby przejął dowództwo. Do tej pory szefuje Clut.

- On...

- Wiem, koń czy zmianę. Miasto będzie musiało dorzucić trochę za nadgodziny.

Keeton obtań cuje mnie, ale co ja poradzę? Utknąłem. Radio nie działa, a gaźnik korkuje się, kiedy tylko krzywo spojrzysz na wóz. Dzwonię od Beaumontów. Policja stanowa chciała, żebym się tu rozejrzał, ale to fałszywy alarm.

- Szkoda. Mam dać komuś znać? Stanowej?

Alan popatrzył na Starka. Sprawiał wrażenie, że obchodzi go tylko łaskotanie wierzgającego, rozanielonego chłopczyka. Obojętnie kiwnął Alanowi głową.

- Tak. Zadzwoń do koszar w Oxfordzie. Chyba skoczę do tej budki, w której sprzedają kurczaki na wynos, a potem wrócę i rozejrzę się raz jeszcze. Jeśli uda mi się uruchomić wóz. Jeśli nie, to zajrzę Beaumontom do spiżarni. Przygotujesz za mnie notatkę Sheilo?

Raczej poczuł, niż zobaczył, że Stark sztywnieje. Wylot lufy znieruchomiał na wysokości pępka Williama. Alanowi pot ciekł powoli zimnymi kroplami po klatce piersiowej.

- Jasne, Alanie.

- Po tym gościu należałoby oczekiwać inwencji. Chyba potrafi znaleźć lepszy schowek na zapasowy klucz niż miejsce pod słomianką.

Sheila Brigham zaśmiała się.

- Już piszę.

Wylot lufy drgnął i William znów zachichotał. Alan się rozluźnił.

- Powinam prosić Henry'ego Paytona?

- Mhm. Jak go nie będzie, to proś Danny'ego Eamonsa.

- W porządku.

- Dzięki, Sheilo. Stanowa znów zawraca cztery litery. Nic więcej. Trzymaj się ciepła.

- Ty też, Alanie.

Odłożył łagodnie słuchawkę.

- W porządku? - spytał.

- Bardzo w porządku - odpowiedział Stark. - Szczególnie podobał mi się ten fragment o kluczu pod słomianką. To ten dodatkowy smaczek, który znaczy tak wiele.

Dosł. „, ma korek podciśnieniowy”. Usterka powodowana przegrzaniem. Paliwo w przewodach lub gaźniku ulatnia się i tworzy się próżnia, blokująca przepływ.

- Ale z ciebie menda - rzekł Alan. Był zaskoczony własną reakcją. Biorąc pod uwagę okoliczności, nie odezwał się najchętniej.

Stark też go zaskoczył. Roześmiał się.

- Nikt za mną nie przepada, co, szeryfie Alanie?

- Nikt.

- Cóż, nie szkodzi. Wystarczy mi uczucie, jakie mam do siebie. Pod tym względem jestem autentycznym przedstawicielem Nowego Wieku. Najważniejsze, że tak nam tu dobrze. Wszystko ułoży się śpiewająco. - Owinął przewód telefoniczny wokół ręki i wyrwał z gniazdka.

- Pewnie tak - powiedział Alan, ale nie był o tym przekonany. Zaszifrował wiadomość starannie, zbyt starannie, żeby Stark, który zapewne wierzył, iż wszyscy gliniarze na północ od Portlandu to banda zaspanych bęcwałów, mógł ją wyłowić. Dan Eamons zapewne nie zwróci na nią uwagi. Jemu trzeba by podłożyć bombę pod dupę, żeby się ruszył. Ale Henry Payton? Alan wcale nie był tak przekonany, że Henry kupi bez zastrzeżeń wiadomość, iż Alan szukając mordercy Homera Gamache'a zadowolili się jednym pobieżnym spojrzeniem, a potem pojechał na kurczaka z rożna. Henry może wyczuć pismo nosem.

Alan patrzył na Starka łaskoczącego niemowlę lufą pistoletu i zastanawiał się, czy chce, żeby Henry błysnął domyślnością. Nie wiedział.

- Co teraz? - zapytał Starka.

Ten nabrał głęboko powietrza w płuca i z widoczną przyjemnością popatrzył na osłoneczone drzewa.

- Spytamy Bethie, czy mogłaby nam przyszykować żarełko. Jestem głodny! Nie ma to jak życie na wsi, co, szeryfie Alanie! Niech mnie pokręci, jeśli kłamię!

- Dobra - powiedział Alan. Ruszył do kuchni, ale Stark złapał go za ramię.

- Ten tekst z zakorkowanym gaźnikiem. To nie miało żadnego specjalnego znaczenia?

- Nie - odparł Alan. - To tylko kolejny... jak to nazwałś?... dodatkowy smaczek, który znaczy tak wiele. Kilka naszych wozów przegrzewało się tego roku.

- Lepiej, żeby to była prawda. - Stark patrzył na Alana trupimi oczami. Z kącików sączyła się ropa. Ciekła po obu stronach zdeformowanego nosa jak kleiste krokodyły łzy. - Szkoda byłoby skrzywdzić któregoś z dzieciaków, bo nie mogłeś się powstrzymać, żeby nie odegrać spryciarza. Thad nie pociągnie nawet na pół pary, kiedy się dowie, że musiałem rozwalić jedno z jego bliźniąt, żeby cię przyhamować. - Uśmiechnął się i wcisnął lufę

New Age - to prąd kulturowy lat siedemdziesiątych, którego wyznawcy dbają o wysoką samoświadomość.

pistoletu w pachę Williama. Maluch zachichotał i zaczął się wiercić. – Milutki jak koteczek, co nie?

Alan przełknął ślinę. Miał wrażenie, że w gardle utkwiała mu wielka wyschnięta purchawka.

– Kiedy to robisz, jestem zdenerwowany jak wszyscy diabli, koleś.

– Nie krępuj się. Denerwuj się dalej – uśmiechnął się Stark. – Jestem taki facet, który lubi, jak inni się przy nim denerwują. Zjedźmy coś, szeryfie Alanie. Ten malec zaczyna tęsknić za siostrzyczką.

Liza podgrzała Starkowi talerz zupy w kuchence mikrofalowej. Zaproponowała mu najpierw normalny obiad, ale, potrząsnął głową, uśmiechnął się i bez wysiłku wyjął z zębów zgnięty ząb. Wrzucił go do kosza na śmieci.

Liza odwróciła wzrok. Zacisnęła mocno usta. Twarz jej zeszywniała w grymasie obrzydzenia.

– Nie przejmuj się – rzekł pogodnie. – Niezadługo zęby mi się poprawią. Niezadługo wszystko mi się poprawi. Pappio jest już blisko.

Pił jeszcze zupę, kiedy w dziesięć minut później Thad przyjechał volkswagenem Rawliego.

Stalowa maszyna

Letni dom Beaumontów stał o milę od skrzyżowania Traktu do Jeziora z drogą nr 5, ale Thad zatrzymał samochód po przejechaniu zaledwie jednej dziesiątej dystansu.

Wytrzeszczył oczy z niedowierzaniem.

Wszędzie siedziały wróble.

Gałąź każdego drzewa, każdy kamień, każdy splachetek otwartej przestrzeni pokryły wróble. Świat przybrał groteskowe, widmowe oblicze. Wyglądało to tak, jakby kawałek stanu Maine opierzył się. Droga znikła. Zupełnie. Na jej miejscu wyrósł dywan niemych ściśniętych wróbli. Po jego obu stronach stały przeciążone drzewa.

Gdzieś trzasnęła gałąź. Poza tym słyszał tylko volkswagena. Nim Thad ruszył w podróż, tłumik już był w żałosnym stanie. Teraz kompletnie przestał funkcjonować. Silnik pierdział i wył, od czasu do czasu strzelał w gaźnik. Te hałasy powinny od razu poderwać monstrialne stado, ale ptaki nie ruszały się.

Chmara ptaków zasiadła niecałe dwanaście stóp od miejsca, w którym Thad zatrzymał samochód, przerzuciwszy grubą dźwignię zmiany biegów na luz. Linia demarkacyjna była jak zaznaczona linijką.

„Od lat nikt nie widział takiego stada ptaków – pomyślał. To jest jak z powieści Daphne du Maurier”.

Wróbel sfrunął na maskę volkswagena. Wydawało się, że patrzy na kierowcę. Thad czuł w czarnych oczkach przerażającą, wyzbytą uczuć ciekawość.

„Jak daleko się rozsiadły? – zastanawiał się. – Aż do domu? Jeśli tak, to George je zobaczył... i należy się spodziewać piekła. Jeśli już się nie rozpętało. A nawet jeśli nie rozsiadły się tak daleko, to jak ja się dostanę do domu? One nie siedzą na drodze; one są drogą”.

Ale oczywiście wiedział, jak się ma dostać do domu. Musi po nich przejechać.

„ Nie – zajęczał w myślach. – Nie, nie zrobisz czegoś takiego” . Wyobraźnia podsunęła mu koszmarnie obrazy i dźwięki; oto trzeszcza, pękają tysiące ciałek, strumyki krwi tryskają spod kół, przemoczone kłaki, zlepione pióra obracają się na oponach.

– Ale zrobię to – zamruczał. – Zrobię, bo muszę. – Niepewny uśmiech przeleciał mu przez twarz, przykleił grymas zawziętego, na wpół szalonego skupienia. W tym momencie dziwnie przypominał George’a Starka. Przesunął dźwignię zmiany biegów na jedynekę i zaczął nucić Johna Wesleya Hardinga. Volkswagen zakrztusił się, mało nie zgasł, trzy razy wystrzelił w gaźnik, plunął kłębami czarnego dymu i ruszył.

Wróbel sfrunął z maski i Thad wstrzymał oddech spodziewając się, że wszystkie ptaki wzbiją się w powietrze, jak widział to podczas transu; ulecą wielką mroczną chmurą, której towarzyszy dźwięk miniaturowego huraganu.

Ale nie. Nawierzchnia przed zderzakiem volkswagena zaczęła się wić, poruszać. Wróble – niektóre wróble – wycofały się, odkrywając dwa pasy... dokładnie na szerokość opon samochodu.

– Jezu – szepnął Thad.

Znalazł się między ptakami. Przejechał ze świata, który znał, do świata obcego, zamieszkanego tylko przez strażników granicy między krainą żywych a krainą umarłych.

„ Przekroczyłem linię – pomyślał, powoli sunąc bliźniaczymi torami, które wyznaczały mu ptaki. – Jestem w krainie żywych trupów i niech mi Bóg pomoże” .

Droga nadal otwierała się przed Thadem. Stale miał około dwunastu wolnych stóp Traktu. Podwozie volkswagena przejeżdżało nad wróblami stłoczonymi między koleinami, ale żaden z ptaków nie zginął; Thad, patrząc w lusterko, nie zauważył ani jednego trupka. Ale trudno było ocenić coś z pewnością, bo wróble zasłaniały z powrotem tory, tworząc płaski pierzasty kobierzec.

Czuł ich zapach – lekki, nietrwały zapach, duszący jak woń mączki kostnej. Dawno, będąc jeszcze chłopcem, wcisnął twarz w torebkę z drobnym śrutem i wciągnął głęboko powietrze. Ten zapach był podobny. Nie przykry, ale intensywny. I obcy. Zaczęła gnębić go myśl, że tak wielkie masy ptaków zabiorą cały tlen z powietrza, że udusi się, zanim dotrze ^{na} miejsce.

Usłyszał lekkie TUK – TUK – TUK nad głową i wyobraził sobie, że wróble siedzące na dachu samochodu w jakiś sposób komunikują się ze swymi braćmi, kierują nimi, każąc odsunąć się i stworzyć wolne pasy dla kół, a następnie zawiadamiają, kiedy można bezpiecznie wrócić na poprzednie pozycje.

Wjechał na grzbiet pierwszego wzniesienia i popatrzył w dół na dolinę wróbli – wszechobecnych wróbli, wróbli zasłaniających każdy obiekt, siedzących na każdym drzewie. Zmieniały krajobraz w ptasią krainę rodem z koszmarne snu. Sam nie potrafiłby sobie czegoś takiego wyobrazić, więc i nie potrafił w żaden sposób objąć rozumem tego, co widzi.

Poczuł, że zaraz zemdleje, i z całej siły uderzył się w policzek. W porównaniu z ostrym rykiem silnika volkswagena zrobił niewielki hałas, ale ujrzał, jak przez masy ptaków przebiega fala... fala przypominająca drżenie.

„ Nie potrafię zjechać w dół. Nie potrafię” .

„ Musisz. Ty o nas wiesz. Ty nas sprowadzasz. Ty nami rządzisz” .

A poza tym – dokąd miał się udać? Przypomniał sobie słowa Rawliego: „ Uważaj, Thaddeusu. Bardzo uważaj. Żaden człowiek nie rządzi posłańcami świata pozagrobowego. Jeśli już, to na krótko” . Przypuśćmy, że spróbuje wycofać się do drogi nr 5. Ptaki pozwalały mu jechać w przód... ale raczej nie dadzą jechać w tył. Lepiej już nie zmieniać zdania. Konsekwencje byłyby niewyobrażalne.

Thad potoczył się w dół... i ptaki rozsunęły się.

Nigdy nie potrafił dokładnie przypomnieć sobie dalszego ciągu tej podróży; kiedy tylko się skończyła, umysł litościwie zaciągnął kurtynę za przeszłością. Pamiętał jedynie, że uparcie powtarzał w myślach: To tylko wróble, na litość boską... nie tygrysy, aligatory albo piranie... to tylko wróble!

To prawda, ale widok takiej masy wróbli, siedzących wszędzie, stłoczonych na każdej gałęzi, przepychających się na każdym zwalonym pniu... to oddziaływało na umysł. To sprawiało ból umysłowi.

Po pół mili Trakt do Jeziora ostro zakręcał i z lewej wyłaniało się boisko szkolne... tylko że teraz się nie wyłoniło. Boisko przepadło. Boisko było czarne od wróbli.

To sprawiało ból umysłowi.

„ Ile? Ile milionów? A może miliardów?”

W lesie zatrzeszczała kolejna gałąź. Pękła z hukiem dalekiego gromu. Minął dom Williamsów. Ich budowla, wzniesiona na planie litery „ A” , wyglądała jak pierzasty garb. Thad nie miał pojęcia, że wóz patrolowy Alana Pangborna stoi na podjeździe, widział tylko puszasty wzgórek.

Mijał domy Saddlerów. Massenburgów. Payne’ów. Innych właścicieli nie znał albo nie pamiętał. I wtem, czterysta jardów przed jego domem, ptasi kobierzec urywał się. Do pewnego miejsca wróble stanowiły cały świat; sześć cali dalej nie było ani jednego. Jeszcze raz odniósł wrażenie, że ktoś wyznaczył na trakcie granicę liniijką. Ptaki odskakiwały i

odfrwały na boki, odsłaniając pasy dla kół, które teraz połączyły się z nagą gruntową nawierzchnią Traktu do Jeziora.

Thad wjechał na nagi Trakt. Nagle zatrzymał wóz, otworzył drzwi i zymiotował na ziemię. Stęknął i ramieniem otarł zimny pot z czoła. Przed sobą na obu poboczach miał puste drzewa. Z lewej strony jasnoniebieskimi falami mrugało jezioro.

Obejrzał się do tyłu i zobaczył czarny, milczący świat.

„Psychopompowie – pomyślał. – Niech się Bóg nade mną zlituje, jeśli to źle pójdzie, jeśli on zdobędzie władzę nad ptakami. Niech Bóg zlituje się nad nami wszystkimi”
Zatrzasnął drzwi. Zamknął oczy.

„Weź się w garść, Thad. Nie po to tyle przeszedłeś, żeby teraz wszystko spieprzyć. Weź się w garść. Zapomnij o wróblach”.

„Nie potrafię o nich zapomnieć! – zapiął mu jakiś głos w głowie. Ten głos niezdecydowania był przerażający, urągał zdrowemu rozsądkowi, doprowadzał do obłędu. – Nie potrafię! Nie potrafię!”

Ależ potrafi. I weźmie się w garść.

Wróble czekały. On też może zaczekać. Zaczeka, aż nadejdzie właściwy moment. Będzie wiedział, kiedy nadejdzie. Zrobi co trzeba. Jeśli nie dla siebie, to dla Lizy i bliźniąt.
„Wyobraź sobie, że to powieść. Powieść, którą piszesz. Powieść, w której nie występują ptaki”.

– Dobra – zamruczał. – Dobra, spróbuję.

Uruchomił samochód. Zaczął nucić pod nosem Johna Wesleya Hardinga.

Thad wyłączył silnik – zgasł wraz z ostatnim, triumfalnym strzałem w gaźnik – i powoli wysiadł z samochodziku. Przeciągnął się. George Stark, trzymając Wendy na ręce, wyszedł na werandę. Stał naprzeciw Thada.

Również się przeciągnął.

Liza, stojąca obok Alana, poczuła, że rośnie w niej krzyk. Nie w gardle. W głowie. Chciała za wszelką cenę oderwać wzrok od tych dwóch mężczyzn – i nie mogła.

Obserwując ich miała wrażenie, że patrzy na jednego człowieka przeciągającego się przed lustrem.

W niczym nie byli do siebie podobni – nawet pomijając coraz szybszy rozkład Starka. Thad był szczupły i śniady, Stark barczysty i mimo opalenizny (choć niewiele jej zostało)

miał jasną karnację. A jednak przypominali lustrzane odbicia. Było to niesamowite właśnie dlatego, że przerażone, protestujące oko nie mogło znaleźć ani jednej wspólnej cechy. Podobnie stwo istniało sub rosa, głęboko ukryte, ale było tak żywe, że aż uderzające: nawyk krzyżowania stóp podczas przeciągania się, rozprostowywanie palców po opuszczeniu rąk, lekkie zmarszczenie powiek.

Rozluźnili się dokładnie w tym samym momencie.

- Cześć, Thad. - Stark był prawie zawstydzony.

- Cześć, George - powiedział obojętnie Thad. - Jak rodzina?

- Dziękuję, nieźle. Naprawdę to zrobisz? Jesteś gotów?

- Tak.

Gdzieś bliżej drogi nr 5 zatrzeszczała gałąź. Wzrok Starka skoczył w tym kierunku.

- Co to było?

- Gałąź - odparł Thad. - George, cztery lata temu przeszło tędy tornado. Wciąż jeszcze odpadają uschnięte gałęzie. Przecież wiesz o tym.

Stark kiwnął twierdząco głową.

- Jak się czujesz, stary koniu?

- W normie.

- Nastroszyłeś się trochę. - Oczy Starka biegały po twarzy Thada. Thad czuł, jak usiłują wdrzeć się głębiej, poznać myśli.

- A ty nie wyglądasz za pięknie.

Na to Stark się roześmiał ponuro.

- Chyba nie.

- Dasz im spokój? - zapytał Thad. - Jeśli zrobię to, czego ode mnie żądasz, naprawdę odczepisz się od nich?

- Tak.

- Daj słowo.

- W porządku - powiedział Stark. - Masz je. Słowo mężczyzny z Południa, a to coś, czego się nie rzuca na wiatr. - Sztuczny, niemal groteskowo brzmiący akcent znikł. Stark przemawiał z niewymuszoną, złowieszczą godnością. Dwaj mężczyźni stali twarzą w twarz. Blask późnego popołudnia był tak jasny, tak złocisty, że wydawał się nierealny.

- Dobra - rzekł Thad po długiej chwili i pomyślał: „On nie wie. Naprawdę nie wie. Wróble... nadal są dla niego tajemnicą. Ten sekret jest mój” . - Kupujemy.

Podczas kiedy dwaj mężczyźni rozmawiali przy drzwiach, Liza uświadomiła sobie, że właśnie miała idealną okazję powiadomić Alana o nożu pod kanapą... i zmarnowała szansę.

A może jednak nie?

Odwróciła się do Alana i w tym momencie Thad zawołał:

- Lizo!

Odezwał się ostrym, rozkazującym tonem. Rzadko go używał. Wydało się jej, że Thad wie, co zamierzała zrobić... i nie chciał, żeby to zrobiła. Niemożliwe. Oczywiście, że niemożliwe! Na pewno? Nie wiedziała. Nic już nie wiedziała.

Spojrzała na męża. Stark właśnie podawał mu niemowlę. Thad przytulił Wendy, która objęła tatę za szyję tak serdecznie, jak obejmowała Starka.

„ Teraz! - wrzasnęła w myślach Liza. - Teraz mu powiedz! Powiedz, niech ucieka! Teraz, kiedy mamy bliźnięta!”

Ale Stark za to miał broń . Żadne z nich nie biegało szybciej od wystrzelonego pocisku. I znała Thada świetnie. Nigdy nie powiedziałaaby tego głośno, ale pomyślała, że najprawdopodobniej zaplątałyby się we własne nogi.

Poza tym Thad znalazł się teraz bardzo blisko i nie mogła się oszukiwać, że nie rozumie wyrazu, jaki ma w oczach.

„ Nie wtrącaj się, Lizo - komunikował żonie. - To moja rozgrywka” .

Objął ją i rodzina złączyła się w niezgrabnym, ale gorącym, czteroosobowym uścisku.

- Lizo - mówił całując zimne wargi żony. - Lizo, Lizo, tak mi przykro, tak mi przykro z powodu tego wszystkiego. Wcale nie chciałem, żeby się to wydarzyło. Nie wiedziałem. Myślałem, że to jest. ;. niegroźne. Że to żart.

Ścisnęła go, całowała, zimne wargi rozgrzewały się.

- W porządku - powiedziała. - I będzie w porządku, prawda, Thad?

- Tak. - Odsunął się, aby móc jej spojrzeć w oczy - Już niedługo.

Pocałował ją jeszcze raz. Popatrzył na Alana.

- Cześć, Alanie. - Uśmiechnął się lekko. - Zmieniłeś pogląd w jakiejś sprawie?

- Tak. W wielu sprawach. Rozmawiałem dziś z twoim starym znajomym. - Popatrzył na Starka. - Twoim też.

Stark podniósł resztki brwi.

- Szeryfie Alanie, nie wydaje mi się, byśmy z Thadem mieli jakichkolwiek wspólnych przyjaciół.

- Ależ zawarłeś bardzo bliską znajomość z tym gościem - powiedział Alan. - Prawdę mówiąc, to zabił cię raz.

- O czym ty opowiadasz? - ostro zapytał Thad.

- Rozmawiałem z doktorem Pritchardem. Znakomicie pamięta was obu. To była zupełnie wyjątkowa operacja. Wyciął z twojego mózgu jego. - Ruchem głowy wskazał Starka.

- O czym ty opowiadasz? - zapytała Liza. Głos załamał się jej na ostatnim słowie.

Więc Alan powtórzył im to, co Pritchard opowiedział jemu... ale ominął końcówkę o ataku wróbla na szpital. Postąpił tak, ponieważ Thad nie wspominał nic o wróblach... a musiał minąć dom Williamsów. To sugerowało dwie możliwości: albo do przyjazdu Thada wróble odfrunęły, albo nie chciał, żeby Stark dowiedział się o ich obecności.

Alan bardzo dokładnie przyjrzał się Thadowi. „ Coś tam kombinuje. Boże, spraw, żeby to, co wykombinuje, miało ręce i nogi” .

Kiedy Alan skończył opowieść, Liza wyglądała na oszołomioną. Thad kiwał potakująco głową. Stark, po którym Alan spodziewał się najmocniejszej reakcji, przyjął historię obojętnie. Na ruinie jego twarzy dało się odczytać jedynie rozbawienie.

- To wyjaśnia wiele - powiedział Thad. - Dziękuję ci, Alanie.

- Mnie to cholernie mało wyjaśnia! - zawołała Liza tak przeraźliwie, że bliźnięta zaczęły popłakiwać.

Thad popatrzył na George'a Starka.

- Jesteś duchem - powiedział. - Duchem niesamowitego rodzaju. Mamy tu przed oczami ducha. Czy to nie zadziwiające? To nie jest nadprzyrodzony przypadek, to nadprzyrodzona epopeja!!

- Nie wydaje mi się, żeby to odgrywało jakąś rolę. - Stark przeszedł do porządku nad opowieścią Alana. - Thad, opowiedz im o Williamie Burroughsie. Dobrze go pamiętam. Oczywiście, byłem w środku... ale słuchałem, co mówił.

Liza i Alan spojrzeli pytająco na Thada.

- Wiesz, o co mu chodzi? - zapytała Liza.

- Oczywiście, że wiem. W głowie Jacka to co u Placka.

Stark odrzucił w tył głowę i zarechotał. Bliźnięta przestały popłakiwać i zaśmiały się do wtóru.

- A to dobre, stary koniu! To dooobre!

- W 1981 roku uczestniczyłem w dyskusji panelowej z udziałem Burroughsa. W New School w Nowym Jorku. Kiedy padały pytania z sali, jakiś chłopak zagadnął Burroughsa, czy

wierzy w życie po śmierci. Burroughs powiedział, że wierzy – jego zdaniem każdy żyje po śmierci.

– To ci mądrala! – Stark uśmiechał się. – Wyglądał, jakby nie umiał zliczyć do trzech, taki mądrala! No i widzicie? Ta historyjka z Pritchardem nie ma żadnego znaczenia.

„ A ma – pomyślał Alan, wpatrując się uważnie w Thada. – Ma wielkie znaczenie.

Mówi to twarz Thada... i obecność wróbla, o której nie masz pojęcia

” · Zdaniem Alana, Thad nawet nie wiedział, jak groźna jest jego wiedza. Ale nie mieli innej broni. Alan zdecydował, że słusznie zrobił ukrywając końcówkę opowieści Pritcharda... lecz nadal czuł się jak człowiek, który usiłuje zonglować wieloma zapalonymi pochodniami nad przepaścią.

– Starczy tego gadu – gadu, Thad – powiedział Stark.

Thad kiwnął głową.

– Tak. Zupełnie wystarczy. – Popatrzył na Lizę i Alana. – Nie chcę, żeby któreś z was odważyło się na jakiś... hm... wyskok. Zrobię to, czego on ode mnie żąda.

– Thad! Nie możesz tego zrobić! Nie rób tego!

– Ciii – położył Lizie palec na ustach. – Mogę i zrobić. Żadnych sztuczek, żadnych efektów specjalnych. – Przechylił na bok głowę, wskazując Starka. – Myślisz, że on jest przekonany, iż to zaskoczy? Wcale nie. On tylko ma taką nadzieję.

– Zgadza się – powiedział Stark. – Nadziejo, jutrenko wieczna, w cychach ludzkości ukryta. – Zaśmiał się. Śmiał się jak kompletny obłąkaniec i Alan zrozumiał, że Stark też zongluje gorejącymi pochodniami nad przepaścią.

Kątem oka zauważył nagły ruch. Odwrócił lekko głowę. Za przeszklonymi drzwiami bawialni, po zachodniej stronie domu, na balustradzie werandy usiadł wróbel. Dołączył do niego drugi. Trzeci. Alan popatrzył na Thada. Oczy pisarza drgnęły. Też zobaczył ptaki? Tak. Więc Alan miał rację. Thad wiedział... ale nie chciał, żeby wiedział Stark.

– Nasza dwójka popiszę trochę, a potem się pożegnamy – powiedział Thad. – Tak to będzie wyglądało, prawda, George?

– Masz to u mnie jak w banku, facet.

– Więc powiedz mi – Thad zwrócił się do Lizy. – Czy coś ukrywasz? Coś wpadło ci do głowy? Masz jakiś plan?

Wpatrywała się z rozpaczą w mężowskie oczy, nieświadoma, że pomiędzy nimi William i Wendy trzymają się za rączki i patrzą na siebie rozradowani, jak krewni, którzy

Cytat („ustarkowiony”) z płyty Alana Price’a O! Lucky Mam.

dawno stracili siebie z oczu i teraz przypadkowo się spotkali.

„ Chyba nie mówisz tego poważnie? – pytała wzrokiem. – To sztuczką, prawda? Sztuczka, która ma uśpić jego podejrzenia?”

„ Nie – odpowiedziały szare oczy Thada. – Mówię dokładnie to, co myślę. To, czego chcę” .

Ale czy poza tym nie było w jego oczach czegoś jeszcze? Czegoś ukrytego tak głęboko, że tylko ona potrafiła to dojrzeć?

„ Już ja się nim zajmę, kochana. Wiem jak. Dam sobie radę” .

„ Och, Thad, mam nadzieję, że się nie mylisz” .

– Pod kanapą jest nóż – powiedziała powoli, nie odrywając oczu od jego twarzy. – Wzięłam go z kuchni, podczas kiedy Alan i... i on telefonowali z holu.

– Lizo, na Boga! – prawie wrzasnął Alan. Dzieci podskoczyły. Prawdę mówiąc, wcale nie był tak przejęty, jak można by sądzić po głosie. Doszedł do wniosku, że jeśli mogą uniknąć totalnego horroru, odpowiedzialność za finał spoczywa na Thadzie. On stworzył Starka; on będzie musiał go zniszczyć.

Liza obejrzała się na Starka. Znienawidzony uśmiech wypełzał mu na resztki twarzy.

– Wiem, co robię – powiedział Thad. – Zaufaj mi, Alanie. Lizo, idź i wyrzuć nóż z werandy.

„ Mam tu do odegrania pewną rolę – pomyślał Alan. – Małą rolę, ale nie zapominajmy tego, co w college’u mówił facet od dramatu: nie ma małych ról, są tylko mali aktorzy” .
– Ty sobie wyobrażasz, że on nas zostawi w spokoju?! – zapytał z niedowierzaniem. – Że zniknie za wzgórkim dyndając siurkiem jak jagniątko niewiniątko?! Chłopie, zwariowałeś.

– Pewnie zwariowałem – powiedział Thad i zaśmiał się. Ten śmiech w niesamowity sposób przypominał śmiech Starka – rozbawienie faceta, który tań czy na skraju urwiska. – On jest wariatem, a przecież wyszedł ze mnie, co nie? Jak jakiś tandetny demon z czoła trzeciorzędnego Zeusa. Ale ja wiem, jak to powinno się potoczyć. – Odwrócił się i po raz pierwszy od przyjazdu popatrzył Alanowi prosto w oczy. Długo i z powagą. – Ja wiem, jak to powinno się potoczyć! – powtórzył powoli i z wielkim naciskiem. – Ruszaj się Lizo.

Alan chrząknął, jednoznacznie dając wyraz swemu obrzydzeniu, i odwrócił się plecami, jakby chciał odciąć się od nich wszystkich.

Czując się jak we śnie Liza przeszła przez bawialnię, uklękła i wyciągnęła nóż spod kanapy.

– Uważaj z tym dingsem – powiedział Stark. Był bardzo czujny, bardzo poważny. –

Gdyby twoje dzieci mogły mówić, powiedziałyby ci to samo.

Obejrzała się, odgarnęła z czoła włosy i zobaczyła, że Stark celuje pistoletem w Thada i Williama.

- Uważam cały czas! - zawołała drżącym, urażonym głosem, bliska łez. Rozsunęła przeszkłone drzwi i wyszła na werandę. Na balustradzie siedziało teraz pół tuzina wróbli. Gdy Liza się zbliżyła, rozdzieliły się na dwie równe grupki, ale nie odleciały.

Alan po kolei popatrzył na wszystkich. Liza przystanęła, zastanawiała się chwilę nad ptakami, nóż trzymając w palcach. Czubek ostrza mierzył w podłogę werandy jak ołowianka.

Thad obserwował żonę z napięciem.

Stark patrzył uważnie na Lizę, ale w jego oczach nie było zaskoczenia ani podejrzliwości. Alana przeszła myśl: „ On ich nie widzi! Nie pamięta, co pisał na ścianach, nie widzi wróbli! Nie wie, że tu są!”

Nagle uświadomił sobie, że z butwiejącej twarzy Starka spokojnie nań spoglądają dociekliwe oczy.

- Co się tak na mnie gapisz? - zapytał Stark.

- Chcę dobrze zapamiętać, jak wygląda prawdziwa ohyda - powiedział Alan. - Może kiedyś będę miał ochotę opowiedzieć o tym wnukom.

- Jak nie będziesz, kurwa, trzymał języka za zębami, to nie doczekasz wnuków. Możesz zaraz mieć je z głowy. Lepiej przestań się gapić, szeryfie Alanie. To po prostu głupie z twojej strony.

Liza cisnęła długi nóż poza balustradę. Kiedy usłyszała, jak ląduje w krzakach dwadzieścia pięć stóp niżej, zaczęła płakać. Dopiero wtedy.

- Wszyscy ładujemy się na górę - powiedział Stark. - Tam gdzie gabinet Thada. Sądzę, że chciałbyś zasiąść do maszyny, co, stary koniu?

- Nie w tym wypadku - odrzekł Thad. - Sam wiesz, jak jest.

Uśmiech wykrzywił spękane wargi.

- Wiem?

Thad wskazał szereg ołówków w kieszeni na piersi.

- Takich używam, kiedy znów chcę wejść w kontakt z Alexisem Maszyną i Jackiem Rangelym.

Stark czuł się mile polectany. Sprawiało to absurdalne wrażenie.

- Taaa... pasują ci, co nie? Zdawało mi się, że tym razem chcesz to inaczej machnąć.

- Nic inaczej, George.

- Przywiozłem własne. Trzy pudełka. Szeryfie Alanie, bądź grzecznym chłopcem, skocz do mojego wozu i przynieś pisadła. Są w schowku kierowcy. A my zajmiemy się maluszkami. - Popatrzył na Thada, wybuchnął swoim wariackim śmiechem i potrząsnął głową. - Ale z ciebie uparte psisko!

- Zgadza się, George. - Thad uśmiechał się lekko. - Psisko ze mnie. I z ciebie. A starego psa nowej sztuczki nie nauczysz.

- Palisz się do tego, co, koniu? Mów co chcesz, ale aż cię łapy swędzą. Widzę to po twoich oczach. Bardzo chcesz.

- Tak - bez ogródek przyznał Thad. I Alan poczuł, że nie kłamie.

- Alexis Maszyna - powiedział Stark. Żółte oczy błyszczały.

- Zgadza się - przytaknął Thad. Teraz jemu wzrok zabłysnął. - Tnij go. Tnij na moich oczach.

- I o to chodzi! - zawołał Stark i zaczął się śmiać. - Chcę widzieć, jak broczy krwią. Nie każ sobie dwa razy powtarzać!

Obaj rechotali.

Liza przeniosła wzrok z Thada na Starka i z powrotem na męża. Krew odpłynęła jej z twarzy. Nie widziała różnicy między tymi dwoma. Nagle skraj przepaści znalazł się blisko jak nigdy do tej pory.

Alan poszedł po ołówki. Wsadził głowę do samochodu tylko na chwilę, ale wydało mu się, że trwało to znacznie dłużej. Czuł się lekko otumaniony. Grzebiąc w toronado Starka miał wrażenie, że zagląda do pokoiku na poddaszu, w którym ktoś wylał butelkę chloroformu.

„To odór jego snów - pomyślał. - Oby nigdy nie nawiedził mnie żaden”.

Chwilę stał obok czarnego wozu, trzymając w ręku pudełka ołówków firmy Berol, i patrzył na podjazd.

Zjawiły się wróble.

Podjazd znikł pod żywym dywanem. Lądowały kolejne ptaki. Las roił się już od nich. Lądowały i w upiornej ciszy patrzyły na Alana. Żywa, ogromna niewiadoma.

„Przybyły po ciebie, George” - pomyślał i ruszył do domu. W połowie drogi zatrzymała go nieprzyjemna myśl.

„ A może przybyły po nas?”

Długo patrzył na ptaki, ale że nie zdradziły mu sekretu, wszedł do środka.

- Na górę! - powiedział Stark. - Ty pierwszy, szeryfie Alanie. Podejdź do tylnej ściany sypialni. Stoi tam serwantka pełna zdjęć, szklanych przycisków do papieru i różnych bibelotów. Kiedy naciśniesz ją z lewej strony, obróci się. Gabinet Thada jest za nią.

Alan popatrzył na pisarza. Ten kiwnął głową.

- Jak na faceta, który nigdy tu nie był - odezwał się Alan - cholernie dużo wiesz o tym domu.

- Ależ byłem - odrzekł z namaszczaniem Stark. - Byłem tu często. We snach.

W dwie minuty później zgromadzili się przy niezwykłych drzwiach gabinetu Thada. Pchnięta serwantka obróciła się na osiowym trzpieniu i ukazało się wejście do pomieszczenia przedzielonego teraz szafką. Nie było w nim okien.

„ Wybij mi tu okno - powiedział Lizie Thad - a napiszę dwa słowa i potem będę dwie godziny wyglądał przez to drań stwo i gapił się na przepływające łódki

” · Lampa na ruchomym ramieniu, z ostrą halogenową żarówką, rzucała na blat krąg białego światła. Za biurkiem stały obok siebie fotel gabinetowy i składane turystyczne krzesło, przed nimi leżały obok siebie na pulpicie dwa zeszyty, na każdym z nich czekały dwa ostro zatemperowane ołówki, czarne piórkosy firmy Berol. Maszyna do pisania firmy IBM została wyłączona z kontaktu i odstawiona w kąt.

Thad sam przyniósł składane krzesło z szafy ściennej w holu i pomieszczenie emanowało teraz szczególną dwoistością, która dla Lizy była jednocześnie zaskakująca i wyjątkowo nieprzyjemna. Objawiła się bowiem inna wersja tej lustrzanej kreatury, z którą zapoznała się po przyjeździe Thada. Oto tam, gdzie zawsze stało jedno siedzisko - znalazły się dwa, tam, gdzie powinno być tylko jedno miejsce do pracy pisarskiej - pojawiły się dwa. Urządzenie do pisania, które kojarzyło się jej z (lepszą) połową Thada - zostało odsunięte, a kiedy ci dwaj usiedli - Stark w gabinetowym fotelu Thada, a Thad w turystycznym krześle - w głowie Lizy zapanował kompletny chaos. Czuła się jak podczas ataku choroby morskiej.

Każdy z nich trzymał na kolanach niemowlę.

- Ile mamy czasu, zanim ktoś nabierze podejrzeń i zdecyduje się tu zajrzeć? - zapytał Thad Alana. Szeryf i Liza stali w progu. - Bądź jak najuczciwszy i jak najdokładniejszy. To nasza jedyna szansa, musisz mi wierzyć.

- Thad, popatrz na niego! - wybuchła gwałtownie Liza. - Nie widzisz, o co mu chodzi? On nie chce od ciebie tylko pomocy przy pisaniu książki! On chce ukraść twoje życie! Czy ty tego nie widzisz?!

- Ciii - powiedział. - Wiem, o co mu chodzi. Od początku wiedziałem. To jedyny sposób. Wiem, co robię. Ile to potrwa, Alanie?

Szeryf rozważył dokładnie problem. Powiedział Sheili, że jedzie po kurczaka, a ponieważ już zadzwonił, minie dobra chwila, zanim dyspozytorka zacznie się denerwować. Sprawy mogą przybrać szybszy obrót, jeśli pojawi się Norris Ridgewick.

- Może aż do telefonu Anne. Może dłużej. Jest żoną gliniarza spory kawał czasu. Zahartowała się. Długie oczekiwanie i mężowskie powroty nad ranem to dla niej nie nowina. - Nie podobało mu się to, co mówi. Nie tak miała być rozegrana ta gra. Ta gra miała być rozegrana dokładnie na odwrót.

Oczy Thada przynaglały go do dalszego mówienia. Stark wydawał się w ogóle nie słuchać. Z niedbale ułożonego starego maszynopisu zdjął przycisk do papieru i bawił się nim.

- Myślę, że to potrwa co najmniej cztery godziny. - Dodał z wahaniem: - Może całą noc. Dowództwo zostawiłem Andy'emu Clutterbuckowi, a Clut bynajmniej nie zapowiada się na orła wydziału. Jeśli ktoś wyczuje pismo nosem, to Harrison - facet, któremu nawiałeś - albo jeden mój znajomek z koszar policji stanowej w Oxfordzie. Nazywa się Henry Payton.

Thad popatrzył na Starka.

- Tyle nam wystarczy?

Oczy Starka, drogie kamienie osadzone w zniszczonej oprawie, były dalekie i zamglone. Obandażowana ręka bawiła się przyciskiem do papieru. Kiedy go odłożył, uśmiechnął się.

- A co ty myślisz? Wiesz tyle co i ja.

Thad zastanowił się nad tymi słowami. „, Obaj wiemy, o czym tu mowa, ale chyba żaden z nas nie potrafi wyrazić tego słowami. Tak naprawdę to nie chodzi o pisanie. Pisanie to tylko rytualna forma. Mówimy tu o przekazaniu jakiejś pałeczki. O przekazaniu władzy. A dokładniej to o wymianie: życie Lizy i bliźniąt za... co? Za co dokładnie?

” Ależ oczywiście wiedział za co. Byłoby dziwne, gdyby nie wiedział, ponieważ rozważał ten problem zaledwie przed kilkoma dniami. Stark chciał - nie, żądał - oka. Tego nadliczbowego trzeciego oka, ukrytego głęboko w zwojach mózgu, które potrafiło patrzeć

tylko do wewnątrz.

Thad kolejny raz poczuł pod skórą mrowienie i zapanował nad nim. „George, podglądanie jest nieuczciwie. Ty masz przewagę ogniową; ja tylko stadko obszarpanych wróbli. Więc podglądanie jest nieuczciwie”.

– Myślę, że tyle nam wystarczy. Będziemy wiedzieli, kiedy już to się dokona, prawda?

– Tak.

– Jak na huśtawce. Kiedy jeden koniec podejdzie w górę... drugi opadnie w dół.

– Thad, co ty ukrywasz? Co ty ukrywasz przede mną?

W pokoju zapadła elektryzująca cisza. Gabinecik nagle wydał się zbyt mały, by pomieścić wypełniające go emocje.

– Mogłbym zadać ci to samo pytanie – powiedział wreszcie Thad.

– Nie – odparł z wolna Stark. – Wszystkie moje karty leżą na stole. Powiedz mi, Thad. Zimna, gnijąca ręka, nieugięta jak stalowe okowy, uchwyciła przegub Thada. – Co ty ukrywasz?

Thad zmusił się, żeby spojrzeć Starkowi w twarz. Czuł teraz, mrowienie w całym ciele, które skupiało się w ranie na dłoni.

– Chcesz wziąć się do tej książki czy nie? – zapytał.

Po raz pierwszy Liza ujrzała nieklamane uczucie na twarzy Starka – nie, nie na twarzy, w twarzy. Niezdecydowanie. I lęk? Może. Może nie. Ale jeśli nawet nie, lęk był tuż – tuż i czekał na wejście.

– Nie przyjechałem tu po to, żeby zjeść z tobą talerz owsianki, Thad.

– Więc decyduj się – powiedział Thad. Liza usłyszała, jak ktoś się zachłystuje, i uświadomiła sobie, że to ona sama.

Stark popatrzył na nią, po czym wrócił wzrokiem do Thada.

– Nie pogrywaj sobie ze mną, Thad – rzekł miękko. – Lepiej, żebyś nie pogrywał sobie ze mną, koniu.

Thad zaśmiał się. Zaśmiał się głucho, wręcz rozpaczliwe, ale i z odcieniem rozbawienia. To było najgorsze. Ten śmiech nie był pozbawiony rozbawienia i Liza usłyszała w nim George’a Starka, tak jak zobaczyła Thada Beaumonta w oczach Starka, kiedy ten bawił się z niemowlętami.

– A czemu nie, George? Wiem, co mam do stracenia. To też jest wywalone na stół. A teraz – chcesz gadać czy chcesz pisać?

Stark oceniał Thada długą chwilę spojrzeniem ciężkim i groźnym. Wreszcie się odezwał:

- Aaa, pierdolić to. Do roboty.

Thad uśmiechnął się.

- Czemu nie?

- Ty i glina, wynocha - powiedział Stark do Lizy. - Zostają same chłopcy. Nie trzeba nam widowni.

- Zabiorę dzieci - oznajmiła Liza. Stark roześmiał się.

- Dobry kawał, Beth. Ha - ha. Dzieci to ubezpieczenie. Jak naklejka na dyskietce, ochrona przez skasowaniem, co nie, Thad?

- Ale... - zaczęła Liza.

- W porządku - uspokoił ją Thad. - Nic im nie będzie. Podczas kiedy ja zajmę się rozruchem, George zajmie się nimi. Lubią go. Nie zauważyłaś?

- Oczywiście, że zauważyłam - odparła niskim, pełnym nienawiści głosem.

- Tylko pamiętaj, że są z nami - powiedział Stark Alanowi. - Miej to na uwadze, szeryfie Alanie. Daj sobie spokój w pomysłami. Spróbujesz czegoś sprytnego i zrobi się tu Jonestown. Wyniosą nas wszystkich nogami do przodu. Kojarzysz?

- Kojarzę.

- Zamknijcie przy okazji drzwi. - Stark zwrócił się do Thada: - Już czas.

- Zgadza się - potwierdził Thad. Podniósł ołówek. Odwrócił się do Lizy i Alana. Oczy George'a Starka popatrzyły z twarzy Thada Beaumonta. - No, już! Wynocha.

Liza zatrzymała się w połowie schodów. Alan prawie wpadł na nią. Patrzyła na przeszklone drzwi.

Świat sptasiał. Weranda znikła. Światło dnia gasło, stok schodzący do jeziora czernił się ptakami; niebo nad wodą kryła pomroka skrzydeł. Kolejne zastępy frunęły z zachodu ku domowi Beaumontów.

- O mój Boże - powiedziała Liza.

Alan złapał ją pod ramię.

- Bądź cicho. On nie może cię usłyszeć.

- Ale co...?

Sprowadził ją po schodach, nadal mocno trzymając pod ramię. Kiedy znaleźli się w kuchni, opowiedział jej resztę tego, co doktor Pritchard mówił mu po południu - tysiąc lat temu.

- Co to znaczy? - szepnęła. Jej twarz pobladła. Poszarzała. - Alanie, tak się boję!

Objął ją i choć był równie niespokojny co ona, poczuł, że kobieta, którą trzyma w ramionach, jest godną córką Ewy.

- Nie wiem - odparł - ale wiem, że są tu, ponieważ Thad albo Stark je przyzwał. Na pewno Thad. Musiał je widzieć. Widział, ale nie wspomniał o nich.

- Alanie, to nie ten sam człowiek.

- Wiem.

- On częściowo kocha Starka. Kocha jego... mroczność.

- Wiem.

Przeszli do holu, stanęli przy stoliczku z telefonem, wyjrzeli przez okno. Podjazd, niewielki ^{las,} placyk wokół zamkniętej szopy, w której leżała strzelba, były pełne ptaków.

Volkswagen znikł.

Jednakże żaden ptak nie usiadł na toronado George'a Starka. Nagi krąg otaczał czarny samochód, jakby pojazd był poddany kwarantannie.

Wróbel uderzył o okno. Rozległ się miękki stuk. Liza wydała cichy okrzyk. Reszta ptaków poruszyła się niespokojnie - długa fala spłynęła w dół wzgórza - i znów zamarła.

- Nawet jeśli one należą do Thada - powiedziała Liza - to może on nie wykorzysta ich przeciw Starkowi. Thad jest po części szalony. Częściowo zawsze był szalony! Jemu... jemu się to podoba.

Alan nie odezwał się, ale wiedział i to. Wyczuł.

- Wszystko to jest jak koszmarne sen - mówiła. - Marzę, żeby się obudzić. Marzę, żeby się obudzić i żeby wszystko było tak jak dawniej. Nie tak jak przed Clawsonem. Tak jak przed Starkiem.

Alan kiwnął głową. Popatrzyła na niego.

- Więc co teraz zrobimy?

- Zrobimy coś trudnego. Będziemy czekać.

Wieczór zdawał się trwać wiecznie, światło z wolna broczyło z nieba, a słońce zniknęło za górami po zachodniej stronie jeziora, górami, które się oddalały, aby połączyć się z Presidential Range w masywie New Hampshire.

Ostatni zastęp wróbli nadleciał i zmieszał się ze stadem. Alan i Liza czuli obecność ptaków nad głowami; wróbel grzebalny kopiec pokrył dach. Ale nie odzywali się. Czekali.

Kiedy poruszali się po pokoju, ich głowy obracały się jak czasze radarów wypatrujące sygnału. Nasłuchiwali sygnału z gabinetu. Żaden odgłos nie przebijał się zza tajnych drzwi. To doprowadzało do szaleń stwa. Liza nie słyszała nawet gaworzenia i paplaniny niemowląt. Miała nadzieję, że zasnęły, ale nie potrafiła uciszyć głosu, który z uporem powtarzał, że Stark zabił oboje dzieci i Thada.

Zabił po cichu.

Brzytwą.

Mówiła sobie, że gdyby coś takiego nastąpiło, wróble dowiedziałyby się o tym i jakoś zareagowały. Ta myśl niosła ulgę, ale niewielką. Wróble to była jedna wielka, kurewska niewiadoma otaczająca dom. Bóg tylko wiedział, co zrobią... i kiedy.

Zmierzch powoli ustępował ciemności, gdy Alan odezwał się chrapliwym głosem:

– Jeśli to tak dłużej potrwa, zamienią się miejscami, co nie? Thad zacznie się czuć podle... a Stark wydobrzeje.

Tak ją tym zaskoczył, że o mało nie upuściła filiżanki z gorzką kawą.

– Tak. Tak mi się wydaje.

Nur zawołał na jeziorze bolesnym samotnym krzykiem. Alan myślał o tych, którzy byli na piętrze – o dwóch parach bliźniąt, jednej odpoczywającej i drugiej zajętej straszliwą walką w pomroce wspólnej wyobraźni.

Ptaki obserwowały i czekały. Zapadał zmierzch.

„Huśtawka się kołysze – pomyślał Alan. – Koniec Thada idzie do góry, koniec Starka idzie w dół”. Na piętrze, za drzwiami, które po uchyleniu tworzyły dwudzielne wejście, zaczęła zachodzić przemiana.

„To już zaraz się skoń czy – pomyślała Liza. – Tak albo inaczej

”
Jakby ta myśl miała sprawczą moc, usłyszała wiatr – dziwnie turkoczący wiatr. Ale jezioro było płaskie jak stół.

Wstała, otworzyła szeroko oczy, podniosła ręce do gardła. Patrzyła przez przeszkłone drzwi. „Alan!” – chciała powiedzieć, ale głos ją zawiódł. Nie miało to znaczenia.

Z pietra rozlegał się dziwny, niesamowity świst, jak jedna nuta grana na pękniętym flecie. Nagle Stark zawołał przeraźliwie:

– Thad! Co ty wyprawiasz?! Co ty wyprawiasz?

Rozległ się huk jak wystrzał z korkowca. Wendy zapłakała.

W zapadającym mroku milion wróbli zamachało skrzydełkami, gotując się do lotu.

Wróble fruważą

Kiedy Liza zamknęła drzwi i zostawiła dwóch mężczyzn samych, Thad otworzył zeszyt i chwilę patrzył na pustą stroniczkę. Podniósł ołówek.

- No, to jadę z tym koksem - powiedział do Starka.

- Tak - odparł Stark. Żarliwa tęsknota pojawiła się na jego twarzy. - Tak będzie dobrze.

Thad umieścił czubek ołówka nad zeszytem. Oto najmiłszy moment - tuż przed pierwszym pociągnięciem. Tworzenie było rodzajem operacji, która prawie zawsze kończyła się śmiercią pacjenta, ale skutki nie miały znaczenia. Operacja stanowiła konieczność. Po to się urodził, by ją przeprowadzić. Tylko po to.

„Pamiętaj - pomyśl. - Pamiętaj, co robisz”.

Ale jakaś część jego osoby - ta część, która naprawdę chciała napisać Stalową maszynę - zaprotestowała.

Thad pochylił się i zaczął wypełniać puste linijki.

George Stark
STALOWA MASZYNA

Rozdział 1. Wesele

Alexisowi Maszynie rzadko wpadało do głowy coś ni z gruchy, ni z pietruchy, a w podobnej sytuacji to nigdy nie wpadło mu do głowy coś ni z gruchy, ni z pietruchy. Jednak tym razem wpadło: Ze wszystkich ludzi na ziemi - ilu ich tam jest? pięć miliardów? - tylko ja trzymam w ręku pistolet półautomatyczny heckier & koch kalibru 223 i stoję w środku weselnego tortu.

Nigdy nie wylądował w tak ciasnym zamknięciu. Od razu zaczęło brakować mu

powietrza, ale w żadnym wypadku nie mógł pozwolić sobie na głęboki oddech. Lukier na Torcie Trojańskim był prawdziwy, ale pod nim była tylko cienka warstwa niby - gipsu o firmowej nazwie „Nartex” - coś w rodzaju wysokiej klasy tektury. Jeśli Maszyna wciągnie powietrze w płuca, państwo młodzi stojący na torcie prawdopodobnie się zachwieją. Lukier trzaśnie i...

Pisał prawie czterdzieści minut, coraz szybciej w miarę rozwoju akcji. Jego umysł wypełniały obrazy i dźwięki weselnego przyjęcia, które zwień czy wyjątkowo mocny akord.

Wreszcie odłożył ołówek. Stąpił go zupełnie.

- Podaj mi papierosa - powiedział.

Stark uniósł brwi.

- Tak - potwierdził Thad.

Na biurku leżała paczka pall maili. Stark wytrząsnął jednego. Thad wsadził papierosa do ust. Po tylu latach przerwy dziwnie tam leżał... był jakiś za duży. Ale znalazł się na właściwym miejscu. Pasował.

Stark potarł zapałkę, podał ogień. Thad zaciągnął się głęboko. Dym po staremu - nieubłaganie, natarczywie - uderzył w płuca. Thad natychmiast poczuł zawrót głowy, ale wcale mu to nie przeszkadzało.

„Teraz przydałoby się wychylić kielonka - pomyślał. - I jeśli skończę to wszystko żywy i cały, to będzie pierwsza rzecz, jaką zrobię”.

- Myślałem, że rzuciłeś - powiedział Stark. Thad przytaknął głową.

- Ja też tak myślałem. Cóż mogę rzec, George? Myliłem się. - Znow zaciągnął się głęboko i wydmuchnął dym nosem. Podsunął zeszyt George'owi. - Twoja kolej.

Stark pochylił się i przeczytał ostatni akapit. Więcej nie musiał. Obaj wiedzieli, jak układają się ta opowieść.

W domu Jack Rangely i Tony Westerman zajęli pozycje w kuchni, a Rollick powinien już czatować na piętrze. Cała trójka była uzbrojona w półautomatyczne steyr - augi, jedyne dobre subkarabinki produkowane w Ameryce, i jeśli nawet część obstawy przebrana za gości okaże się bardzo szybka, trójka napastników powinna położyć zaporę ogniową wystarczającą do zapewnienia sobie odwrotu. Tylko wypuście mnie z tego tortu, pomyślał Maszyna. O nic więcej nie proszę.

Stark zapalił pall maila, wziął swój ołówek, otworzył swój zeszyt, .. i zamarł. Popatrzył na Thada z zupełną szczerością.

- Boję się, koniu - powiedział.

I Thada mimo wszystko ogarnęła wielka fala współczucia do Starka. „Boisz się, oczywiście, że się boisz – pomyślał. – Tylko ci, którzy zaczynają – nowicjusze – się nie boją. Latka leca, a słowa na papierze wcale nie stają się wyraźniejsze... ale papier na pewno staje się bielszy. Boisz się? Musiałbyś być jeszcze bardziej szalony, niż jesteś, żeby się nie bać”. – Wiem – rzekł. – I ty wiesz, do czego się rzecz sprowadza – bez pracy nie ma kołaczy.

Stark kiwnął głową i pochylił się nad zeszytem. Jeszcze dwukrotnie popatrzył na ostatni akapit, który wyszedł spod ręki Thada... i zaczął pisać.

Słowa z rozdzierającą powolnością formowały się w umyśle Thada.’

Maszyna... nigdy... nie zastanawiał się...

Długa pauza i nagle poleciało jednym ciągiem:

5... jak czuje się astmatyk, ale gdyby ktoś zapytał go o to po tym wszystkim...

Krótsza pauza.

5... wspomniałby robotę na Scorettim.

Przeczytał to, co napisał, i popatrzył z niedowierzaniem na Thada.

Thad kiwnął głową.

– Trzyma się kupy, George.

Zapiekł go kącik ust. Dotknął go i poczuł pod palcem wrzód. Popatrzył na Starka i zobaczył, że podobny wrzód znika z kącika ust George’a.

„A jednak. To naprawdę się dzieje”.

– Trzymaj tak dalej, George – powiedział. – Wyciśnij co się da.

Ale Stark już pochylił się nad zeszytem i teraz pisał szybciej.

Stark pisał prawie pół godziny i wreszcie odłożył ołówek z krótkim, wyrażającym satysfakcję sapnięciem.

– Idzie dobrze – powiedział cichym triumfującym głosem. – Idzie tak dobrze, że lepiej iść nie może.

Thad sięgnął po zeszyt i zaczął czytać – w przeciwnym stwie do Starka czytał całość. To,

czego szukał, zaczęło pokazywać się na trzeciej stronie. Stark ogółem napisał dziewięć.

Maszyna usłyszał drapanie i zeszytniał, zacisnął ręce na hecklerze & wróble, ale skojarzył, co się dzieje. Goście – było ich ze dwie setki – zgromadzeni przy długich stołach pod wielką markizą w niebiesko – żółte paski, odsuwali w tył składane wróble, szorując nimi po płytach, którymi zasłonięto trawnik dla zabezpieczenia przed damskimi pantoflami na wysokich wróblach. Goście urządzili wróblemu tortowi pierdoloną owację na stojąco.

„ On nie wie – pomyślał Thad. – Pisze w kółko wróble i nie ma o tym najmniejszego... pierdolonego... pojęcia” .

Słyszał, jak wiercą się na dachu. Bliźnięta przed zaśnięciem kilka razy popatrzyły w górę, więc wiedział, że i one usłyszały wróble.

Ale nie George.

Dla George’a wróbli jakby nie było.

Thad wrócił do rękopisu. To słowo zaczęło pojawiać się z coraz większą częstotliwością i w ostatnim akapicie pokazała się cała fraza.

Maszyna dowiedział się później, że wróble fruwać i jedyne wróble z jego dobranego osobiście składu, na których mógł polegać, to Jack Rangely i Lester Rollick. Wszyscy pozostali, wróble, z którymi latał przez dziesięć lat, grali podwójną grę. Co z nich za wróble! Zaczęły fruwać, nawet nim Maszyna krzyknął komendę do wróble – talkie.

– No i? – zapytał Stark, kiedy Thad odłożył rękopis. – Jak uważasz?

– Uważam, że jest w porządku – powiedział Beaumont. – Ale ty sam wiesz, co nie?

– Tak... ale chciałem usłyszeć to z twoich ust, koniu.

– Uważam również, że wyglądasz dużo lepiej.

To była prawda. Kiedy George zagłębił się w opętań czym świecie Alexisa Maszyny, jego ciało zaczęło się goić.

Pękające, gnijące wrzody zniknęły pod świeżą skórą, której różowe kawałki już w kilku miejscach się zeszyły. Brwi, poprzednio roztopione w bagnie zgnilizny, zjawiły się na powrót. Strumyczki ropy, które nasączyły kołnierzyk koszuli chorobliwą żółtą wilgocią, wysychały.

Thad dotknął wrzodu, który zaczął wykwitać na lewej skroni, i spojrzał na opuszki palców. Były wilgotne. Dotknął czoła. Skóra była gładka. Mała biała blizna, pamiątka po operacji, którą przeszedł w pierwszym roku swego prawdziwego życia, przepadła.

Jeden koniec huśtawki idzie w górę, drugi musi iść w dół. Po prostu kolejne prawo

natury, dziecinko. Takie jest po prostu kolejne prawo natury.

Czy na dworze zapadł już mrok? Thad podejrzewał, że tak – nastąpiła niemal zupełna ciemność. Popatrzył na zegarek, ale nic mu to nie dało. Wskazówki ustawiły się na czwartej czterdzieści pięć. Zresztą mniejsza o porę. Będzie musiał zrobić to niebawem.

Stark zgasił niedopałek w przepelnionej popielniczce.

– Chcesz jechać dalej czy zrobić przerwę?

– Dlaczego ty nie masz jechać dalej? – zapytał Thad. – Przecież potrafisz.

– Taaa... – Stark nie patrzył na Thada. Patrzył tylko na słowa, słowa i jeszcze raz słowa. Przejechał ręką po włosach. Odzyskiwały połysk. – Myślę, że potrafię. Więcej – wiem, że potrafię.

Znów zaczął pisać. Podniósł na krótko wzrok, gdy Thad wstał i podszedł do strugaczki. Temperował ołówek, aż grafit stał się ostry jak igła. Stojąc tyłem do Starka wyjął z kieszeni świstawkę. Ukrył w dłoni i siadł za biurkiem. Patrzył na leżący przed nim zeszyt.

A więc wybiła godzina. Czuł to tak wyraźnie jak kształt własnej twarzy, kiedy przesuwał po niej dłoń. Pozostawało tylko odpowiedzieć sobie na jedno pytanie: czy stać go na to, aby pójść na całość.

Częściowo się buntował, pragnął zagłębić się w pracy nad książką. Ale ku własnemu zdziwieniu odkrył, że to pragnienie nie jest tak mocne jak wtedy, kiedy Liza i Alan wychodzili z gabinetu. Wiedział zresztą dlaczego. Następował podział. Rodzaj obrzydliwego poczęcia. To nie jego książka tu powstawała. Alexis Maszyna był z kimś, kto od samego początku miał do niego prawo.

Thad pochylił się nad zeszytem. W dłoni nadal ścisnął świstawkę.

„ Ja was sprowadzam” – napisał.

Szuranie ptaków na dachu ustało.

„ Ja o was wiem” – napisał.

„ Ja wami rządę” .

Zatrzymał się i popatrzył na śpiące dzieci.

„ Jeszcze trzy słowa – pomyślał. – Jeszcze tylko trzy słowa

”
I poczuł, że niczego w życiu tak nie pragnął, jak napisania tych trzech słów.

Chciał pisać opowieści... ale jeszcze bardziej niż cudownych wizji, jakie mógł dojrzeć trzecim okiem, chciał wolności.

„ Trzy słowa” .

Uniósł rękę. Wsunął świstawkę w usta. Zacisnął na niej wargi jak na cygarze.

„ Nie podnoś oczu, George. Nie podnoś oczu, nie wyglądaj poza świat, który właśnie

tworzysz. Nie teraz. Proszę, wielki Boże, nie pozwól, żeby podniósł oczy i popatrzył na prawdziwy świat”.

Na czystej kartce napisał wyraźnymi dużymi literami: PSYCHOPOMPOWIE.

Zakreślił słowo, pod spodem narysował strzałkę, a pod nią napisał: WRÓBLE FRUWAJĄ.

Na dworze zadął wiatr – tylko że to nie był wiatr, to stroszyły pióra miliony wróbli. Thad usłyszał ten niewiatr również w swej głowie. Nagle otworzyło się trzecie oko, szerzej niż kiedykolwiek dotąd i Thad zobaczył Bergenfield, New Jersey – puste domy, puste ulice, blade wiosenne niebo. Wszędzie siedziały wróble; jeszcze nigdy nie widział takiej chmary wróbli. Świat, w którym dorastał, stał się jedną wielką ptaszarnią.

Ale to nie było Bergenfield.

To był Koniec Pieśni.

Stark przestał pisać. Otrząsnął się poniewczasie. Szeroko otworzył oczy.

Thad nabrał głęboko powietrza i gwizdnął. Świstawka Rawliego DeLessepsa wydała dziwny pisk.

– Thad! Co ty wyprawiasz?! Co ty wyprawiasz?!

Stark rzucił się, by wyrwać świstawkę. Ale nim jej dotknął, pękła na dwoje z hukiem, przecinając Thadowi wargi. Hałas obudził bliźnięta. Wendy zaczęła płakać.

Szelest ptasich piór spotężniał, przeszedł w łoskot.

Wróble frunęły.

Na płacz Wendy Liza skoczyła ku schodom, Alan stał przez moment, osłupiały na widok tego, co działo się na dworze. Ziemia, drzewa, jezioro, niebo – wszystko znikło. Wróble uniosły się wielką falującą kurtyną, która zaczerniła całe okno.

Kiedy pierwsze ciała zaczęły tłuc o grube szkło, Alan pokonał paraliż.

– Lizo! – wrzasnął. – Lizo, padnij!

Ani było jej w głowie kłaść się na podłogę; słyszała płacz swojego dziecka i nie potrafiła myśleć o niczym innym.

Alan rzucił się do niej sprintem z tą prawie niesamowitą szybkością, którą osiągał jakimś sekretnym sposobem. Złapał Lizę dokładnie w chwili, kiedy przeszkłone drzwi runęły do środka pod ciężarem dwudziestu tysięcy wróbli. Za nimi wleciało następne dwadzieścia tysięcy i następne, i następne. W jednej chwili bawialnia wypełniła się wróblami. Były wszędzie.

Alan zasłonił Lizę własnym ciałem, wciągnął pod kanapę. Cały świat był pełen ostro ćwierkających wróbli. Usłyszeli pęknięcie innych okien, wszystkich okien. Dom zadygotał pod uderzeniami maleńkich kamikadze. Alan podniósł głowę. Nie widział nic. Tylko ruchomą brązowoczną masę.

Ptaki wpadały na wykrywacze dymu. Urządzenia urywały się z sufitu. Z potwornym hukiem eksplodował telewizor. Ze stukotem leciały ze ścian reprodukcje. Rozległa się seria metalicznych odgłosów, jak pasaż na ksylofonie. Ptaki uderzyły w garnki wiszące przy kuchence, naczynia spadały na podłogę.

Alan wciąż słyszał płacz dzieci i przeraźliwe wołanie Lizy.

- Puść mnie! Moje dzieci! Puść mnie! Muszę biec do dzieci!

Wyczołgała się częściowo spod niego i natychmiast górną połowę jej ciała pokryły wróble. Zaplątane we włosy trzepotały szaleńczo. Tłukła je wściekle. Alan złapał Lizę i przyciągnął z powrotem. Poprzez ptasi wir zalegający bawialnię dojrzał, że szeroki strumień wróbli czerni się w górę schodów - ku gabinetowi.

Stark złapał Thada, kiedy pierwsze ptaki zaczęły tłuc o ukryte drzwi. Beaumont słyszał zza ściany przytłumiony stuk spadających przycisków do papieru i dzwoniące pękające szkło. Bliźnięta wyły. Ich rosnący wrzask splatał się z szaleńczo świergotem wróbli, tworząc rodzaj piekielnej harmonii.

- Przestań! - ryknął Stark. - Przestań, Thad! Do diabła, po prostu przestań!
Sięgnął po broń, ale Thad wbił mu ołówek w gardło.

Krew chlusnęła szybką strugą. Stark odwrócił się do Thada. Dławił się. Ołówek podskakiwał w górę i w dół. To Stark usiłował przełknąć krew. Złapał za ołówek i wyciągnął go z gardła.

- Co ty wyprawiasz?! - zaskrzeczał. - O co chodzi?

Słyszał już ptaki. Nie rozumiał, co znaczy ich przybycie, ale słyszał je. Przesunął wzrok w kierunku zamkniętych drzwi i Thad po raz pierwszy ujrzał w jego oczach prawdziwą grozę.

- Piszę zakończenie, George - powiedział cichym głosem, którego ani Liza, ani Alan nie słyszeli na dole. - Piszę zakończenie tu, w świecie żywych.

- Gra - odparł Stark. - Więc napiszmy je dla wszystkich.

Odwrócił się ku bliźniętom. W jednej ręce trzymał zakrwawiony ołówek, w drugiej

czterdziestkępiątkę.

W kącie kanapy leżał złożony gęsty wełniany afgan. Alan wyciągnął po niego rękę. Poczł, jakby go kłuło tuzin rozpalonych igieł z maszyny do szycia.

- Cholera! - zaklął i cofnął rękę.

Liza nadal usiłowała się wyczołgać. Niebwywały furkot wypełniał wszechświat i Alan nie słyszał już niemowląt... ale Liza Beaumont słyszała. Wiła się, wykręcała i szarpała. Alan zacisnął rękę na jej kołnierzu i poczuł pękanie materiału.

- Zaczekaj chwilę! - huknął, ale to okazało się bezcelowe. Nic nie mogło jej powstrzymać, kiedy słyszała krzyk swoich dzieci. Annie zachowałyby się tak samo.

Alan znowu wyciągnął rękę, tym razem ignorując kłujące dziobki, i porwał koc. Afgan spadł z kanapy, rozłożył się nierówno. Z głównej sypialni doleciał potężny łomot. Przewrócił się jakiś mebel, może komoda. Przeciężony, otumaniony umysł Alana usiłował wyobrazić sobie, ile trzeba wróbli, żeby przewrócić komodę. Problem okazał się za trudny.

„Ile trzeba wróbli, by wkręcić żarówkę? - zadał sobie wariacką zagadkę. - Trzy do trzymania żarówki i trzy miliardy do obracania domu!” Zapiał śmiechem szaleń ca. Wtem wielki klosz wiszący w centrum pokoju wybuchł jak bomba. Liza wrzasnęła, kuląc się na moment. Alan zarzucił jej wówczas koc na głowę i też schronił się obok. Ale i tam przyplątało się kilka wróbli. Alan poczuł na policzku trzepoczące skrzydełko, poczuł ostry ból w lewej skroni i palnął dłonią na oślep. Wróbel stoczył się na jego ramię i padł na podłogę.

Alan przyciągnął do siebie Lizę i wrzasnął jej do ucha:

- Będziemy szli! Szli, Lizo! Pod kocem! Jeśli spróbujesz biec, ogłuszę cię! Kiwnij głową, jeśli zrozumiałaś!

Spróbowała się wyrwać. Afgan naciągnął się. Lądujące na nim wróble odbiły się jak od trampoliny, pofrunęły dalej. Alan przyciągnął Lizę do siebie i potrząsnął za ramię. Mocno.

- Jeśli zrozumiałaś, kiwnij głową, do jasnej cholery!

Kiwnęła, łaskocząc go po twarzy włosami. Wyczołgali się spod kanapy. Alan mocno obejmował ją ramieniem, obawiając się, że bryknie. Powoli ruszyli przez pokój, w którym kotłowały się chmurki wróbli. Wyglądali z tym kocem jak niby - zwierzę na wiejskim jarmarku, jak tań czący osioł; Jacek trzyma głowę, a Placek udaje zadnią parę nóg.

Bawialnia Beaumontów była przestronna, z sufitem wysokim jak w katedrze, ale teraz brakowało powietrza. Alan i Liza brnęli przez nieustępliwe, ruchome, lepkie ptasie tumany.

Meble waliły się na podłogę. Ptaki odbijały od ścian, sufitu, wyposażenia. Cały świat śmierdział guanem i grzmiał jak cudaczna perkusja.

Wreszcie dotarli do schodów i powoli zaczęli wspinać się pod afganem pokrytym gęstym nalotem piór i ptasich odchodów. Wtedy właśnie w gabinecie huknął wystrzał z pistoletu.

Alan znów usłyszał bliźnięta. Wyły naprawdę przeraźliwie.

Gdy tylko Stark wymierzył broń w Williama, Thad na ślepo obmacał biurko. Trafił na przycisk do papieru, którym George wcześniej się bawił. Był to ciężki odłamek szaroczarnego łupku, płaski z jednej strony. Thad spuścił go na rękę wielkiego blondyna, niemal gdy ten pociągnął za spust. Pękła kość, lufa poszła w dół. Huk wystrzału zagrział ogłuszająco w ciasnym pomieszczeniu. Pocisk zarył się w podłogę cal od lewej stópki Williama, drzazgi powbijały się w nogawki puszystego śpioszka. Bliźnięta zawyły przeraźliwie. Thad zderzył się ze Starkiem, widząc równocześnie, jak maluchy objęły się w spontanicznym odruchu wzajemnej osłony.

„Jaś i Małgosia” – pomyślał.

Stark wbił mu ołówek w ramię.

Thad wrzasnął z bólu i odepchnął Starka, który zawadził nogą o maszynę do pisania postawioną w kącie i uderzył plecami o ścianę. Usiłował przerzucić pistolet do prawej ręki... ale upadł mu na podłogę.

Odgłos, z jakim ptaki tłukły o drzwi, rósł jak nadchodząca burza... i serwantka obróciła się z wolna. Przecisnął się jeden wróbel. Miał złamane skrzydełko. W drgawkach padł na podłogę.

Stark sięgnął do tylnej kieszeni... i wyjął brzytwę. Zębami rozłożył ostrze. Oczy błysnęły szaleńczo nad paskiem stali.

– Chcesz, koniu? – zapytał. Thad ujrzał, że zgnilizna znów zaczyna niepowstrzymanie pokrywać twarz Starka. – Naprawdę chcesz? Dobra. Służę.

W połowie schodów Liza i Alan musieli stanąć. Wpadli na sprężysty, zawieszony w powietrzu ptasi mur i po prostu nie mogli go pokonać. Furkot i szum skrzydełek przepętniały

powietrze. Liza krzyczała, ogarnięta grozą i furia.

Ptaki nie kierowały się przeciw ludziom, nie atakowały, po prostu zagroziły im drogę. Wydawało się, że wszystkie wróble świata zleciały się na pierwsze piętro domu Beaumontów w Castle Rock.

– W dół! – krzyknął Alan. – Może przeczołgamy się pod nimi!

Padli na czworaki. Z początku posuwanie się, choć dalekie od przyjemności, było możliwe. Szli po pękającym, krwawiącym dywanie wróbli, grubym co najmniej na osiemnaście cali. Znowu wpadli na ten mur. Alan wyrzwał spod afgana i zobaczył zbitą, skotłowaną masę, której nie dało się opisać. Wróble na stopniach zostały zgniecione. Na nich kłębiły się kolejne warstwy żywych, ale przeznaczonych na szybką śmierć ptaków. Dalej, jakieś trzy stopy od początku podestu, wróble wlatywały w samobójczą strefę, zderzały się i upadały, niektóre zrywały się do lotu, inne z połamanymi nóżkami i skrzydełkami wiły się w masie leżących braci. Alan przypomniał sobie, że wróble nie umieją zawisnąć w powietrzu.

Po drugiej stronie tej groteskowej żywej bariery rozległ się krzyk mężczyzny.

Liza złapała się kurczowo Alana.

– Co możemy zrobić?! – wrzeszczała rozpaczliwie. – Co możemy zrobić, Alanie?!

Nie odpowiedział jej. Nie miał dla niej żadnej odpowiedzi. Nic nie mogli zrobić.

Stark zbliżał się z brzytwą w prawej ręce. Thad, nie spuszczając wzroku z ostrza, cofał się w kierunku powoli obracających się drzwi. Złapał ołówek z biurka.

– To na nic, koniu – powiedział Stark. – Nie teraz. – Popatrzył na drzwi. Otworzyły się szeroko. Wróble wtargnęły rzeką, która... runęła ku George'owi Starkowi.

W jednej chwili na jego twarzy pojawiła się groza... i zrozumienie.

– Nie! – wrzasnął i brzytwą Alexisa Maszyny zaczął siekać wróble. – Nie! Nie wróć! Nie! Nie zmusicie mnie!

Przeciął wróbla dokładnie na pół, runęły na podłogę dwa machające skrzydełkami kawałeczki. Stark darł i młócił otaczające go powietrze.

I nagle Thad pojął

(nie wróć)

co się tu dzieje.

Psychopompowie przybyli w charakterze eskorty George'a Starka. Eskorty na drogę powrotną do Końca Pieśni, drogę powrotną do krainy umarłych.

Thad rzucił ołówek i wycofał się w stronę dzieci. Powietrze gęstniało od wróbli. Drzwi uchyliły się na pełną szerokość; rzeka zamieniła się w powódź.

Wróble siadały na barczystych ramionach Starka. Na rękach, na głowie. Tłukły o pierś, najpierw tuzinami, potem setkami łebków. Wykręcał się jak mógł w chmurze opadających piór i błyskających, tnących dziobków, odpłacał pięknym za nadobne.

Ptaki zakryły brzytwę; złowrogi srebrzysty blask przepadł pod sklejonymi piórami.

Thad spojrział na dzieci. Przestały łkać. Patrzyły w gęste, kotłujące się powietrze z identycznymi wyrazami zdziwienia i zachwytu. Wyciągnęły rączki, jakby sprawdzały, czy spadnie deszcz. Wyprostowały paluszki. Wróble siadały na nich... i nie dziobały.

Ale dziobały Starka.

Krew sikała z twarzy dziesiątkami strumyczków. Jedno błękitne oko wypłynęło. Wróbel wylądował na kołnierzyku koszuli i zanurzył dziobek w ranie po ołówku Thada; uderzył szybko trzy razy DAD – DAD – DAD, jakby wypuszczał serię z automatu. Macająca na ślepo ręka Starka złapała ptaszka i zgmiotła jak żywe origami.

Thad przykląkł obok bliźniąt, a ptaki siadały również na nim. Nie dziobały; siadały.

I patrzyły.

Stark znikł. Stał się ruchomą, podrygującą rzeźbą. Krew tryskała spomiędzy stłoczonych skrzydeł i ogonków. Thad usłyszał dobiegające z dołu domu trzaski – to pękało drewno.

„Dostały się do kuchni” – pomyślał. Przemknął mu przez głowę obraz przewodów prowadzących do kuchenki gazowej, ale to było nieważne, dalekie.

Teraz słyszał odgłosy darcia; chlupot i plaskanie, z jakim ciało George’a Starka odchodziło od kości.

– One przybyły po ciebie, George – usłyszał własny szept. – Przybyły po ciebie. Niech ci Bóg pomoże.

Alan wyczuł, że ma przed sobą wolną przestrzeń, i popatrzył przez romboidalną dziurkę w afganie. Ptasie gówienko spadło mu na policzek. Otarł twarz. Klatka schodowa nadal była pełna ptaków, ale stado przeredziło się. Widocznie większość, która przeżyła, dopadła swej ofiary.

– Rusz się – powiedział do Lizy i udali się w górę po upiornym dywanie zdechłych ptaków. Dobrnęli do podestu piętra, kiedy usłyszeli wrzask Thada:

- Zabierzcie go! Zabierzcie! ZABIERZCIE GO DO PIEKŁA! TAM JEGO MIEJSCE!

I ptasi furkot przeszedł w huragan.

Stark podjął ostatni, tytaniczny wysiłek, żeby się uwolnić. Nie miał dokąd odejść, nie miał żadnej drogi ucieczki, ale mimo to spróbował. Trzymał styl.

Ptasia kolumna, która go pokrywała, ruszyła wraz z nim; gigantyczne, spęczniałe ramiona, pokryte ogonkami, skrzydełkami, główkami, uniosły się, uderzyły po torsie, znów uniosły i skrzyżowały się na piersi. Ptaki, niektóre ranne, niektóre zdechłe, padły na podłogę i przez jedną chwilę przed Thadem odsłonił się obraz, który będzie go nawiedzał przez resztę życia.

Wróble żarły George'a Starka żywcem. Stracił oczy, zostały tylko wielkie mroczne jamy. Nos miał zredukowany do krwawiącego strzępka. Spod wyszarpanej na czole skóry i resztek włosów wyłaniała się zaropiała czaszka. Koszula znikła, został tylko kołnierzyk. Sterczały białe kawałki żeber. Ptaki rozdziobały brzuch. Rządek wróbli siedział na stopach i bystro spoglądając w górę, walczył o wypadające mokre flaki.

I Thad dojrzał coś jeszcze.

Wróble starały się podnieść Starka. Staraly się... i już wkrótce, kiedy ujmą mu ciała, podniosą.

- Zabierzcie go! - krzyknął Thad przeraźliwie. - Zabierzcie! ZABIERZCIE GO DO PIEKŁA! TAM JEGO MIEJSCE!

Wrzaski Starka ustały, gardło znikło pod setkami tłukących dziobków. Wróble skupiły się pod pachami i na sekundę stopy oderwały się od zakrwawionego dywanu.

Uderzył rękami - tym, co z nich zostało, po bokach. Ten gwałtowny gest skrzeszył tuziny... ale kolejne zastępy zajęły ich miejsce.

Odgłos pękającego drewna nagle stał się głośniejszy, wyraźniejszy. Thad odwrócił się w prawo. Wschodnia strona gabinetu rozłaziła się jak wilgotna serwetka. W jednej sekundzie tysiąc żółtych dziobków przeszło drewno. Złapał bliźnięta i przykrył swym skulonym ciałem. Ten jedyny raz w życiu poruszał się z prawdziwą gracją.

Ściana runęła do wewnątrz. Podniosła się chmura gipsu i trocin. Thad zamknął oczy i przytulił jeszcze mocniej dzieci.

Nie widział tego, co się dzieje.

Ale Alan Pangborn widział i Liza też widziała. Chmura ptaków zrzędła, więc ściągnęli koc na ramiona. Liza ruszyła niepewnym krokiem do sypialni w kierunku otwartych drzwi gabinetu. Alan za nią.

Przez chwilę mieli przed sobą tylko nieprzeniknioną brązowoczną chmurę. Ale wreszcie dostrzegli postać – straszliwie napuchniętą postać. To był Stark. Pokryty ptakami, zjadany, wciąż nie chciał umierać.

Ptaków przybywało, wciąż przybywało. Nieznośne, przenikliwe ćwierkanie doprowadzało Alana do szaleń stwa. Wtem zrozumiał, co ptaki usiłują zrobić.

– Alan! – wrzasnęła Liza. – Alan, one go podnoszą! Stwór, który kiedyś był George’em Starkiem, stwór, który teraz ledwo przypominał człowieka, uniósł się w powietrze na poduszce z wróbli. Przesunął się przez gabinet, mało nie upadł, znów uniósł niepewnym ruchem. Zbliżał się do wielkiej dziury we wschodniej ścianie, wyznaczonej połamanymi kawałkami drewna.

Tędy wlatywały kolejne ptaki; te, które jeszcze były w pokoju gościnnym, również frunęły do gabinetu.

Ohydny deszcz resztek ciała spadał z podrygującego szkieletu Starka. Stwór wypłynął przez dziurę. Wróble uwijały się wokół i rwały resztki włosów.

Alan i Liza brnęli do gabinetu po dywanie zdechłych ptaków. Thad powoli wstawał. Szlochające bliźnięta trzymał w ramionach. Liza podbiegła i wzięła dzieci. Obmacywała je szukając ran.

– Są w porządku – powiedział Thad. – Tak mi się zdaje.

Alan podszedł do nieregularnej dziury w ścianie. Zobaczył scenę jak ze złowieszczej bajki. Niebo było czarne od ptaków, a w jednym miejscu nawet hebanowe, jakby tam wyrwano dziurę w materii rzeczywistości.

Ta hebanowa dziura wyraźnie miała kształt walczącego człowieka.

Ptaki unosiły go coraz wyżej i wyżej, i wyżej. Dotarły do wierzchołków drzew i zatrzymały się. Alanowi wydało się, że ze środka dziwnej chmury dobiega go wysoki, nieludzki wrzask.

Wróble ruszyły. Widok, jaki sobą przedstawiały przypominał puszczonej wstecz film. Czarne strumienie rwały w górę ze zniszczonych okien, z podjazdu, z drzew, z koślawego dachu volkswagena.

Wszystkie kierowały się ku temu hebanowemu centrum.

Plama o ludzkim kształcie poruszyła się, uniosła ponad drzewa... w mroczne niebo... i znikła z pola widzenia.

Liza siedziała w kącie. Trzymała bliźnięta na kolanach, kołysała, tuliła, ale wydawały się spokojne. Zadowolone spoglądały w umęczoną, pokrytą łzami twarz. Wendy poklepała mamę po policzku, jakby dodając otuchy. William wyjął jej z włosów piórko i dokładnie mu się przyglądał.

- Koniec z nim - powiedział chrapliwym głosem Thad. Stanął obok Alana.

- Tak - odparł szeryf.

Wybuchnął płaczem. Nawet się tego nie spodziewał, stało się tak nagle. Po prostu zapłakał.

Thad chciał go objąć, ale Alan cofnął się, zgniatając z suchym chrzęstem zaspę zdechłych ptaków.

- Nie - rzekł. - Nic mi nie będzie.

Thad spojrział w noc przez wydartą w ścianie dziurę. Z mroku sfrunął wróbel i siadł mu na ramieniu.

- Dziękuję ci - powiedział Thad. - Dzień...

Wróbel dziobnął go nagle i złośliwie. Krew trysnęła spod oka Thada.

Ptak odleciał. Dołączył do swych braci.

- Dlaczego? - zapytała Liza. Patrzyła na Thada wstrząśnięta i zdumiona. - Dlaczego on to zrobił?

Thad nie odezwał się, ale chyba znał odpowiedź. I Rawlie DeLesseps też ją znał. To, co się tuż przed chwilą wydarzyło, było czymś niesłychanie magicznym... ale nie było żadną miłą bajeczką. Może ten ostatni wróbel został pchnięty przez jakąś moc, która uznała, że trzeba o tym Thadowi przypomnieć. Stanowczo przypomnieć.

„Uważaj, Thaddeusu. Żaden człowiek nie rządzi postaćami świata pozagrobowego. Jeśli już, to na krótko. I zawsze musi za to zapłacić”
„Jaką cenę ja mam do zapłacenia? - zastanawiał się chłodno. - A rachunek... kiedy przyjdzie termin zapłaty?”

Ale to było pytanie na inny czas, inny dzień. A poza tym być może rachunek już został spłacony?

Być może Thad miał wreszcie czyste konto.

- Czy on nie żyje? - zapytała Liza niemal... proszącym głosem.

- Tak - powiedział Thad. - On nie żyje, Lizo. Do trzech razy sztuka. George Stark to zamknięty rozdział. No, chłopaki, robimy rząd i spływamy stąd.

Co też i uczynili.

Epilog

Tego dnia Henry nie pocałował Mary Lou, ale też nie opuścił jej bez słowa, jak powinien uczynić. Spotkał się z nią, stawił czoło wybuchom gniewu, przeczekał, aż rozpląną się w upartym milczeniu, znanym tak dobrze. Uznał już wcześniej, że większość tych żalów jest jej, nikt nie ma prawa ich dzielić ani nawet o nich rozprawiać. Mary Lou najlepiej tań czyła w samotności. Zawsze tak było.

Wreszcie udali się na wspólną przechadzkę po łące i jeszcze raz stanęli przed teatrzykiem, w którym Evelyn umarła trzy lata temu. Nie było to odpowiednie pożegnanie, ale było najlepsze, na jakie mogli się zdobyć. Henry uznał, że takie wystarczy.

Postawił małe papierowe baletki Evelyn na nie strzyżonej trawie przy zrujnowanym progu, wiedząc, że niebawem wiatr uniesie je daleko. Po raz ostatni wspólnie z Mary Lou opuścili stary dom. Nie było to miłe, ale było właściwe. Powiedzmy – odpowiednie. Nie ma happy endów. Jeśli życie miało mu jeszcze przynieść ukojenie, to tylko dlatego, że pogodził się z tą gorzką prawdą.

Thaddeus Beaumont

Przypadkowi tancerze

udzkie sny – prawdziwe sny, w przeciwieństwie do nocnych halucynacji, które nachodzą nas lub nie, wedle swego widzimisię – kończą się w różnym czasie. Sen Thada Beaumonta o George’u Starku skończył się kwadrans po dziewiątej tej nocy, kiedy psychopompowie unieśli mroczną połowę Thada do miejsca, które zostało jej wyznaczone. Sen skończył się na czarnym toronado, tej tarantuli, którą obaj zawsze przyjeżdżali do domu Thada w powtarzającym się sennym koszmarze.

Liza z bliźniętami była u dołu podjazdu, tam gdzie łączył się z Traktem do Jeziora. Thad i Alan stali przy czarnym wozie George’a Starka. Pojazd już przestał być czarny. Zszarzał od ptasich odchodów.

Alan nie chciał patrzeć na budynek, ale nie potrafił oderwać od niego oczu. Dom był rozwaloną ruiną. Wschodnia ściana gabinetu ucierpiała najwięcej, ale cała budowla rozsypywała się. Wszędzie ziały wielkie dziury. Balustrada od strony jeziora zwisała z werandy jak składana drabina. Dom otaczały wielkie zakola zdechłych ptaków. Ich ciała utknęły w dachówkach, zapchały rynny. Wstał księżyc, rozbite szkło sypnęło snopami srebrnych iskier. Te same skry zajarzyły się głęboko w szklistych oczkach zdechłych ptaków.

– Jesteś pewien, że ci to nie przeszkadza? – zapytał Thad.

Alan kiwnął głową.

– Pytam, bo to jest niszczenie dowodów rzeczowych.

Alan zaśmiał się ochryple.

– Czy ktoś uwierzyłby, czego to jest dowód?

– Wątpię. – Thad zrobił pauzę i dodał: – Wiesz, kiedyś wydawało mi się, że trochę mnie lubisz. Teraz już mi się nie wydaje. Ani trochę. Nie rozumiem cię. Czy uważasz, że ponoszę odpowiedzialność za to... wszystko?

– Mam to w dupie – powiedział Alan. – Skończyło się i tylko tego nie mam w dupie, panie Beaumont. W tej chwili to jedyna rzecz na całym świecie, której nie mam w dupie.

Thadowi zrobiło się przykro. Alan zobaczył to na udręczonej, zmęczonej twarzy i zadał sobie wielki trud.

– Słuchaj, Thad. Za dużo tego. Za dużo na jeden raz. Właśnie przed chwilą widziałem, jak kupa wróbla uniosła w powietrze człowieka. Zejdź ze mnie, dobra?

Thad kiwnął głową.

– Rozumiem.

„ Nie, nie rozumiesz – pomyślał Alan. – Nie rozumiesz, kim jesteś, i wątpię, żebyś kiedyś zrozumiał. Może twoja żona tak... choć nie sądzę, żeby po tym wszystkim układało się między wami, żeby chciała cię zrozumieć albo odważyła się kochać. Może twoje dzieci kiedyś... ale nie ciebie, Thad. Kiedy stoi się obok ciebie, to tak jakby się stało obok nory, z której wylazła jakaś koszmarna kreatura. Potwór przepadł, ale nikt nie chce być zbyt blisko miejsca, z którego wylazł. A nuż wylezie następny? Może nie. Ty wiesz, czym to grozi, ale twoje emocje... one grają na inną nutę, co nie? O rany! A nawet jeśli nora na zawsze będzie pusta, pozostaną sny. I wspomnienia. Na przykład o Homerze Gamache’u, zatłuczonym na śmierć własną sztuczną ręką. Z twojej winy, Thad. Wszystko z twojej winy” .

To nie było uczciwe i Alan wiedział o tym. Thad nie prosił się, żeby być bliźniakiem, swego brata w łonie matki nie zniszczył złośliwie („ Nie mówimy tu o Kainie, który podnosi kamień i morduje Abła” – powiedział doktor Pritchard). Zaczynając pisać jako George Stark, nie wiedział, co za potwór szykuje się do wyjścia na świat.

Niemniej jednak byli bliźniakami.

I Alan nie potrafił zapomnieć wspólnego rehotu Starka i Thada.

Wariackiego rehotu i błysku w oczach.

Wątpliwe, czy Liza potrafi to zapomnieć.

Dmuchał wiaterek i przyniósł gryzącą woń płynnego gazu.

– Spalmy to – rzucił gwałtownie. – Spalmy do reszty. Nie obchodzi mnie, co kto potem pomyśli. Prawie nie ma wiatru. Straż pożarna przyjedzie, zanim ogień się rozszerzy. Jeśli spali się trochę lasu dookoła, tym lepiej.

– Ja to zrobię – rzekł Thad. – Idź do Lizy, pomóż jej przy bliźnię...

– Zrobimy to razem – powiedział Alan. – Daj mi swoje skarpetki.

– Co?

– To, co słyszałeś – potrzebuję twoich skarpetek.

Alan otworzył drzwi toronado i zajrzał do środka. Tak jest – lewarek zmiany biegów. Taki superfacet jak George Stark nigdy nie zgodziłby się na automatyczną przekładnię; to dla żonkosiów w rodzaju Thada Beaumonta.

Alan nie zamykając drzwi stanął na jednej nodze, zdjął prawy but i skarpetkę. Thad popatrzył i zaczął robić to samo. Alan włożył but i powtórzył cały zabieg z lewą nogą. Nie zamierzał nawet na moment wsadzać gołej stopy w warstwę zdechłych ptaków.

Skoń czył, związał skarpetki razem. Wziął parę od Thada i dołączył do swojej. Obszedł

samochód z tyłu – zdechłe wróble trzaskały mu pod stopami jak gazeta – i otworzył wlew paliwa. Zdjął nakrętkę, po czym wsadził prowizoryczny lont w bak. Wyciągnął. Odwrócił. Wetknął suchą część do zbiornika. Namoczony koniec legł na pokrytej guanem karoserii. Alan pogrzebał w koszuli bluzy mundurowej i wyjął książeczkę papierowych zapalek, jakie w kiosku dorzucają do papierosów. Nie wiedział, skąd wzięły się u niego te zapaliki. Miały na opakowaniu reklamę filatelistyczną w postaci znaczka.

Na znaczku był ptaszek.

– Zapal skarpetki, kiedy wóz zacznie się toczyć. – Alan zwrócił się do Thada. – Ani sekundy wcześniej, zrozumiałeś?

– Tak.

– Wystrzeli jak bomba. Dom się zapali. Potem zajmie się zbiornik z gazem, który jest na tyłach. Kiedy przyjadą inspektorzy straży pożarnej pomyślą, że twój przyjaciel stracił panowanie nad kierownicą, uderzył w dom i wóz się zapalił. Przynajmniej na to liczę.

– W porządku.

Alan z powrotem obszedł samochód.

– Co wy tam robicie?! – nerwowo zawołała Liza. – Dzieci marzną!

– Jeszcze chwila! – odkrzyknął Thad.

Alan włożył rękę do śmierzącego wnętrza toronado i spuścił hamulec ręczny.

– Oczekaj, aż się potoczy! – zawołał przez ramię.

– Tak.

Wcisnął sprzęgło i wrzucił luz. Toronado od razu zacięło się toczyć.

Alan cofnął się i przez chwilę myślał, że Thad zawali swoją część zadania... ale z tyłu wozu zapłonął jasny, długi płomień.

Toronado powoli przejechało ostatnie piętnaście stóp podjazdu, podskoczyło na niewysokim asfaltowym krawężniku i powoli dobiło do niewielkiej tylnej werandy. Stuknęło w dom i zatrzymało się. W pomarań czowym świetle płonącego lontu Alan widział dokładnie naklejkę z napisem: GODNY SKURWYSYN.

– Już nie – zamruczał.

– Co?

– Nieważne. Wracaj. Bak wybuchnie.

Odeszli dziesięć kroków, kiedy toronado zamieniło się w piorun kulisty. Płomienie strzeliły w górę po zdziobanej, popękanej fasadzie domu. Dziura w ścianie gabinetu wyglądała jak szerniałe, wysadzone oko.

– Chodź – powiedział Alan. – Wsiądźmy do wozu patrolowego. Teraz, kiedy mamy to

już za sobą, muszę wszczać alarm. Nie ma potrzeby, żeby wszyscy nad jeziorem stracili domy przez ten pożar.

Ale Triad zwlekał chwilę i Alan zwlekał razem z nim. Pod cedrową szalówką dom był wyschnięty na wiór i szybko się zajął. Płomienie wskoczyły w dziurę, za którą był gabinet Thada. Ciąg od pożaru wysysał w górę kartki papieru. W jasnym blasku ognia Alan widział, że były pokryte odręcznym pismem. Zwijały się, zapalały, żółkły i czerniały. Uniosły się w górę nad płomienie, znikły w nocy jak wirujący dywizjon czarnych ptaków.

„Kiedy uciekną z pożarowej turbulencji – pomyślał Alan – trafią na wiatr. Porwie je poniesie daleko, może nawet na krańce ziemi”.

„No i dobrze” – dodał jeszcze i ze zwieszoną głową ruszył w dół podjazdu w kierunku Lizy i niemowląt. Zwiesił głowę.

Thad Beaumont powoli podniósł ręce i zakrył twarz.

Stał tak długo.

3 listopada 1987 – 16 marca 1989

Posłowie

Nie ja wymyśliłem Alexisa Maszynę. Czytelnicy powieści Shane'a Stevensa Dead City na pewno pamiętają występującego tam przywódcę bandytów, noszącego identyczne imię i przyzwisko. Alexis Maszyna tak idealnie uosabia charakter George'a Starka i występującego w jego utworach przywódcy kryminalnego podziemia, że wprowadziłem tę postać do książki, którą właśnie skoń czyliście... ale uczyniłem to również dlatego, aby oddać hołd p. Stevensowi, autorowi takich powieści, jak Rat Pack, By Reasons of Insanity i The Anvil Chorus. Te dzieła, w których tzw. spaczony umysł i zjawisko przemożnej psychozy splatają się ze sobą tworząc zamknięty system doskonałego zła, to trzy najlepsze powieści wszechczasów opisujące mroczną stronę American dream. Na swój sposób są równie fascynujące, jak McTeague Franka Norrisa i Siostra Carrie Theodore'a Dreisera. Polecam je bez zastrzeżeń ... ale tylko czytelnikom o mocnych nerwach i odpornych żołądkach.

S. K.

Spis treści

| | |
|----------------------------|-----|
| Od autora | |
| Prólóg | 3 |
| I Nadzienie durniów | 4 |
| II Stark przejmuje opiekę | 14 |
| III Przybycie psychopompów | 162 |
| Epilóg | 293 |
| Posłowie | 381 |
| | 386 |